

Julián Sánchez

Antykwariusz

Z hiszpańskiego przełożyła Teresa Tomczyńska

Tytuł oryginału EL ANTICUARIO

Wydanie oryginalne 2009

Wydanie polskie 2010

Spis treści:

ANTYKWARIUSZ I PISARZ.....	1
MANUSKRYPT CASADEVALLA.....	106
UPADEK MOTYLA.....	124
BARCELONA W 1390 ROKU.....	185

Dedykuję moim bliskim.

Córce, Julii, która zmieniała się w najpiękniejszy kwiat - wreszcie nadszedł Twój najlepszy czas.

Synowi, Ivanowi, który dorósł, aby zmienić się w przyjaciela, najszlachetniejszego człowieka, jakiego znam.

I przede wszystkim Mercedes, odzwierciedleniu moich marzeń, głosowi mego rozsądku, chlubie mojego życia.

ANTYKWARIUSZ I PISARZ.

1.

Był piękny kwietniowy dzień. Barcelona w ciepłych promieniach słońca wyglądała olśniewająco. Zdawało się, że słońce pragnie wynagrodzić niespotykane srogą zimę. Dwudziestego drugiego kwietnia, w przeddzień święta Sant Jordi, przechodnie tłumnie wylegli na ulice i w oczekiwaniu na zbliżające się uroczystości cieszyli się prawdziwie wiosenną pogodą, usilnie pragnąc zapomnieć o deszczowych, posępnych dniach.

W samym sercu dzielnicy gotyckiej, w małej i wąskiej uliczce Carrer de la Palla, odchodzącej od placów Sant Josep Oriol i del Pi i kończącej się na Plaça de la Catedral - historycznym centrum cechu antykwariuszy i księgarzy - w sklepie ze starociami leciwy mężczyzna szperał wśród stosu piętrzących się na biurku książek. Liczył sobie jakieś sześćdziesiąt kilka lat, chociaż na pierwszy rzut oka wyglądał na młodszego. Szczupły, średniego wzrostu, ubrany w skromny granatowy garnitur - o niemodnym kroju i trochę wyświecony - miał idealnie ostrzyżone i uczesane siwe włosy, smukłą sylwetkę przydającą mu eteryczności. Zwinne ruchy i zręczność, z jaką poruszał się wśród cennych przedmiotów, nie pasowały do jego poważnego wieku.

W jego twarzy, poprzecinanej licznymi, głęboko żłobionymi zmarszczkami odchodzącymi od kącików ust i powiek, uwagę przyciągały błękitne oczy, ukryte za szklami w podłużnych metalowych oprawkach. Żywe i bystre spojrzenie świadczyło o nadzwyczajnej zdolności koncentracji, typowej dla człowieka kochającego swoje zajęcie i tak bardzo pochłoniętego tym, co robił, że cierpiał, gdy cokolwiek go rozpraszało i odrywało od pracy. Okulary wspierały się na dość charakterystycznym nosie, który już sam w sobie mógł być jego cechą szczególną: pęknięta przegroda nosowa na skutek

jakiegoś dawnego urazu powodowała, że nos - krzywy jak u bokserów z amerykańskich filmów z lat pięćdziesiątych - nadawał mu wojowniczy i nieustraszony wygląd, tak bardzo kontrastujący z intelektualną naturą jego zawodu.

Delikatnymi dłońmi, o długich palcach i zadbanych paznokciach, z pieczołowitością dotykał rozłożonych na biurku starych ksiąg i cennych manuskryptów. Na palcu błyszczał antyczny, ciężki złoty sygnet z wygrawerowaną gotycką dużą literą A. Pierścień ten - przez wiele pokoleń znak i symbol rodu Aiguaderów - nosił teraz ostatni potomek tej linii: Artur Aiguader, księgarz i antykwariusz.

Stół, przy którym Artur badał stare wolumeny z ostatniej dostawy, nabyte parę dni temu, znajdował się w należącym do antykwariatu biurze. Sklep Aiguadera był jednym z większych, jakie posiadali członkowie cechu antykwariuszy, do którego jego właściciel należał od ponad czterdziestu lat. Lokal składał się z trzech pomieszczeń.

Właściwy sklep mieścił się w przestronnej sali, w której panował nieopisany chaos, stworzony przez natłok mebli, rzeźb, obrazów oraz przedmiotów różnej proveniencji, porozstawianych pozornie bez ładu i składu. Mimo to stanowił niewątpliwą atrakcję dla przechodniów, którzy zatrzymywali się przed wystawą i przypatrywali wnętrzu. Ich wzrok przyciągała wystawna dekoracja złożona z zawsze świeżych owoców i kwiatów. Zapach kadzidełek i drzewa sandałowego palonego w niewielkim podgrzewaczu wzmacniał jeszcze doznania estetyczne.

Kolejne pomieszczenie: prywatny gabinet, będący jednocześnie biurem Artura, znajdujący się na antresoli w końcu sali, był tak urządzone, by właściciel mógł kontrolować sklep ze swojego miejsca przy biurku. Wzdłuż ścian stały regały pełne bardzo starych i cennych ksiąg z rozmaitych dziedzin. Artur przesiadywał zazwyczaj przy osiemnastowiecznej, bogato intarsjowanej i inkrustowanej brązem sekretarze z drewna orzechowego, postawionej tuż przy przeszklonej ścianie, przez którą mógł ogarnąć wzrokiem całą powierzchnię antykwariatu. Tu oceniał przedmioty, czytał starodruki i prowadził badania. Miał rozległą wiedzę filologiczną i historyczną. Potrafił zgłębić każdą dziedzinę, która go pasjonowała, ale najbardziej pociągały go zagadki i tajemnice związane z historią miast. Prawdę mówiąc, przy nabywaniu cennych przedmiotów kierował się raczej osobistymi zamiłowaniem, a nie perspektywą zysku, ponieważ zdążył już zarobić więcej, niż potrzebował na życie. Większą część biura zajmował szeroki i wygodny stół do pracy, podobny do tych używanych przez architektów, zavalony książkami i manuskryptami. Frymuśny stolik z czereśniowego drewna oraz trzy kunsztownie rzeźbione fotele w klasycznym kastyljskim stylu, obite starą, acz dobrze wyprawioną skórą, dopełniały skromnego wystroju gabinetu.

Ostatnim pomieszczeniem antykwariatu był ogromny magazyn, położony na tyłach sklepu. Wchodziło się do niego przez szeroką drewnianą bramę od Carrer del Pi. Właśnie tam Artur oraz jego stary przyjaciel i kolega po fachu, Samuel Horowitz, składowali swoje nabytki przed wyceną i renowacją. Przechowywali tam również rzeczy, które przeszły już proces odświeżenia i czekały na odesłanie do nabywców lub na wystawienie w antykwariacie. Magazyn był duży - liczył około czterystu metrów kwadratowych - i jeśli w sklepie meble zajmowały niemal całą powierzchnię, to ich nagromadzenie na zapleczu wręcz przytłaczało. Gabinet i antykwariat odzwierciedlały wyrafinowany gust Artura, natomiast magazyn miał wyłącznie charakter użytkowy. Panował tu klimat typowy dla tego rodzaju pomieszczeń: woń starego wilgotnego drewna i fetor specyficzny dla miejsc, gdzie buszują koty, zmieszany z odorem chemikaliów oraz zapachem wosku do mebli.

Artur był właśnie pogrążony we wnikliwym studiowaniu starego rękopisu, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Zsunął okulary na czubek nosa i sprawdził, kto się dobija. Wcisnął przycisk otwierający drzwi. Usłyszał metaliczne trzaśnięcie. Do sklepu wszedł starszy, wysoki, postawny i kompletnie łysy mężczyzna. Miał wydatne, choć nie zmysłowe usta. Długie i gęste rzęsy ocieniały ciemne oczy, nad którymi wyrastały krzaczaste brwi. Nosił się sportowo, choć z nieukrywaną elegancją. Wszedł do sklepu i stanął na środku, tuż koło marmurowego ołtarza. Jego ruchy miały w sobie coś szczególnego i trudno uchwytnego: jakąś kocią zręczność i czujność, jakby w każdej chwili spodziewał się ataku.

Antykwariusz podniósł się ociężale, być może zmęczony długim tygodniem pracy. Podszedł do schodów, nie patrząc jednak na parter.

- No i co? - spytał.

- No właśnie, co? Ciągle jeszcze czekam. - Gość mówił z dziwnym, obcym, lekko gardłowym akcentem, a przy tym zmiękczał i przeciągał głoskę s.

- To nie czas ni miejsce na takie rozmowy. Jestem zajęty.

- Pewnie znowu ślęczysz nad czymś tak bardzo ciekawym, tak pasjonującym, że zapomniałeś już, co naprawdę jest dla nas ważne.

- Otóż to. Zdobyłem stare dokumenty należące do rodziny Bergues, zacnego rodu z bogatej katalońskiej burżuazji - odparł Artur, próbując skierować rozmowę na bezpieczne tory. - Wyglądają obiecująco. Znalazłem wśród nich zapiski, które mogą okazać się bardzo cenne, a do tego...

- Nie wątpię, wcale w to nie wątpię - uciął krótko mężczyzna z wyraźnym sarkazmem. - W sam raz odpowiednie, żeby zapomnieć o ostatnim fance, który ci przekazałem.

- Przyjdź później, po zamknięciu sklepu - odparł antykwariusz, z trudem hamując wzburzenie.

- Przyjdź później, zrób to, zrób tamto... Potem znowu wymyślisz coś innego - szydził. - Zawsze tylko wydajesz polecenia: przynieś, podaj, pozamiataj. - Gość syczał jadownicie i przeciągał ostatnie sylaby. - Mam dość rozkazywania ukrytego pod grzecznymi słówkami. Pora działać.

- Powtarzam: to nie jest właściwy moment.

- Nie pleć bzdur! Zasłużyłem na kasę i dobrze wiesz, że jej potrzebuję. W innych okolicznościach zgodziłbym się poczekać, ale zwały mi się na głowę same problemy. Ja odwałem swoją robotę: dwa miesiące przygotowań, szczegółowo zaplanowana akcja, dyskretne działanie, ze względu na specyfikę miejsca, kłopoty z przerzutem, opłacenie milczenia pomagierów... Teraz kolej na ciebie!

Artur, zaniepokojony wrzaskami intruza zszedł po schodach, gotowy za wszelką cenę go uspokoić. Stanął po drugiej stronie ołtarza, naprzeciwko rozjuszonego współnika, i umyślnie zaczął mówić wolno i spokojnie.

- Posłuchaj, Francuzie... daj mi coś powiedzieć. Jesteśmy co do tego zgodni: to towar doskonałej jakości, najlepszy, jaki trafiliśmy od lat. Ale obaj wiemy, że rynek już się nasycił, a kryzys dotyka nas wszystkich w takim samym stopniu, niezależnie od tego, ile mamy pieniędzy. Klient wycofał się tuż po realizacji zlecenia, chociaż wiedział, że straci zaliczkę. Niestety, ty już przeprowadziłeś akcję. Pokryłem twoje wydatki i zgodnie z umową, w ramach odszkodowania, przekazałem ci całą nadwyżkę. Nie miałem z tego żadnych zysków. Co mam jeszcze zrobić? Jak rynek się ożywi, wtedy wystawię fant na sprzedaż. Nie każdy może wyciągnąć taką sumę, ot tak, po prostu, z kieszeni... Koniec końców nie wiem, ile to będzie w euro, ale pięćdziesiąt milionów peset to...

- Ble, ble, ble! Bredzisz! To zwykłe wymówki. Nie próbuj mnie okłamywać. Ja dotrzymałem umowy, jak zawsze zresztą. Tylko spróbuj mi nie zapłacić, to popamiętasz. Widzę, że znowu buszujesz wśród tych pieprzonych szpargałów zamiast szukać klienta.

- Nie zdobędę pieniędzy ot tak, od ręki - odpowiedział Artur, bliski wybuchu.

- W takim razie ja to załatwię za ciebie - zaproponował z pozorną życzliwością Francuz, ukazując w złośliwym półuśmiechu ostre zęby. - Podaj mi nazwisko zleceniodawcy, już ja go przekonam, żeby oddał resztę kasy. Zobaczysz, że bardzo szybko zgodzi się na moje warunki!

Artur pokręcił głową. Po raz pierwszy widział Francuza tak rozwścieczonego.

- Co ty mówisz! To niemożliwe! W końcu obowiązują nas jakieś zasady. Nazwisko potencjalnego klienta to tajemnica handlowa. Tylko ja je znam. Zachowanie dyskrecji to jedyny sposób, żeby nasz interes funkcjonował. Złam zasady i będziemy skończeni i to nie tylko my dwaj, ale także reszta ludzi z naszej branży. Mam ci podać nazwisko?! A to dobre!

- Merde alors! - Mężczyzna z całej siły walnął pięścią w ołtarz. - Masz to załatwić! Zdobądź kasę!

Artur przez chwilę rozważał jego słowa. Pewnie mógłby zebrać taką sumę, przecież wcześniej czy później towar da się wystawić na rynek. Średniowieczne retabulum, przez wieki otoczone czcią wiernych, zostało zapomniane przez Kościół i inne stosowne instytucje, które pozwoliły, aby bezcenny skarb dziedzictwa narodowego niszczał pod gołym niebem, wystawiony na strumienie deszczu i palące promienie słońca. Teraz to arcydzieło, ukryte w bezpiecznym miejscu, o którym wiedzieli tylko Artur i Francuz, zostało należycie zabezpieczone, a przeżarte przez korniki drewno przechodziło wstępny, niezbędny proces renowacji; miał on w pełni zagwarantować, że dzieło sztuki przetrwa kolejne siedemset lat. Było niezwykle piękne... Właściwie już chciał przystać na żądanie Francuza, przede wszystkim po to, aby cieszyć się pięknym zabytkowego przedmiotu, napawać pieczołowicie rzeźbionymi detalami, podziwiać prostotę i urok całości. A jednak to niemożliwe; pracy nie należy mieszać z przyjemnością, jeśli teraz ulegnie, znajdzie się w ślepych zaułku.

- Nie tak się umawialiśmy. Pracujemy razem ponad dwadzieścia lat i nigdy, powtarzam: nigdy nie mieliśmy takiego problemu. Trochę cierpliwości, z pewnością uda mi się wystawić towar na rynek, przy odrobinie szczęścia w ciągu paru miesięcy. - Wzrok Francuza stał się jawnie wrogi. - Jeśli potrzebujesz pieniędzy, mogę ci trochę dać, żebyś wybrnął z tarapatów...

- Nie o to chodzi! - wrzasnął Francuz. - Potrzebna mi cała kasa! Ja dotrzymałem słowa, teraz kolej na ciebie!

- Nie mogę. Wiesz dobrze, że nasz fach łączy się z ryzykiem. Podczas gdy oparty dłońmi o ołtarz Artur czekał na odpowiedź, Francuz, groźnie marszcząc brwi, nerwowo krążył po sklepie. Nagle podjął decyzję.

- Koniec gadania - powiedział, podchodząc do drzwi i wyciągając wskazujący palec w stronę antykwariusza. - Na poniedziałek rano szykuj dla mnie kasę, tyle ile się należy. W przeciwnym wypadku liczę się z konsekwencjami.

- Grozisz mi? - spytał spokojnie Artur. - Wcale się nie boję. I tak ci nie dam.

- Powiedziałem swoje. Liczę się z konsekwencjami. - Uśmiechnął się i niespodziewanie delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Gdy wyszedł, antykwariusz odetchnął z ulgą. Drobne kropelki potu zrosiły mu skronie, serce tłukło się w piersi. Znowu był sam w sklepie, wśród znanych i ulubionych przedmiotów. Incydent zaburzył porządek jego świata i skończył się nader nieprzyjemnie. Starał się przekonać samego siebie, że to było do przewidzenia. Francuz był impulsywny i już nieraz tracił kontrolę nad swoim zachowaniem, choć, jak do tej pory, w tak niespokojnym fachu, jakim się parał, nerwy nigdy go nie zawiodły. Tak czy owak to nagłe wtargnięcie do sklepu, i to w godzinach otwarcia, wiązało się z ogromnym niebezpieczeństwem, tak obcym rozważnemu człowiekowi, jakim był Artur. Nie ulegało wątpliwości, że czas nie służył równowadze psychicznej najlepszemu dostawcy towaru na czarnym rynku dziełami sztuki w Hiszpanii.

Artur nie wiedział, czy powiedzieć o tym, co się stało, Samuelowi, swojemu najlepszemu przyjacielowi i powiernikowi, z którym dzielił tyle wspólnych przeżyć, czy raczej wstrzymać się z tym do poniedziałku. Pogrożki Francuza nie przerażały go, chociaż teraz, kiedy niósł do ust kieliszek ze starą brandy, ręce mu drżały. Pewnie nic mu nie zrobi... Próbował się uspokoić, pocieszyć, odsunąć problem na później. Już wcześniej dochodziło do ostrej wymiany zdań, jednak najdalej po paru dniach zapominali o tym. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zabija kury znoszącej złote jajka. Wiedział, że przy tego rodzaju transakcjach scysje są nieuniknione, a ich natężenie wprost proporcjonalne do spodziewanego zysku. Zbyt wiele mieli do stracenia, by przedłużać stan napięcia. A zatem postanowił zlekceważyć pogrożki i wrócić do pracy.

Usiadł przy biurku i podjął przerwane badania. Niektóre z ostatnio nabytych dokumentów okazały się fascynujące. Nie miał wątpliwości co do ich wartości historycznej i rynkowej. Całkowicie pograżył się w pracy. Starodruki, choć bywały nieczytelne, zawsze dodawały mu zapału, cieszyły oko swym pięknem i przywracały ład w tym niespokojnym świecie, w jakim przyszło mu żyć. Pomogły mu zapomnieć o żenującej scenie, której stał się mimowolnym bohaterem.

Zatopiony w pracy, zapomniał o upływającym czasie. Dopiero przeraźliwy dzwonek do drzwi przywrócił go do rzeczywistości. Rzucił okiem, kto przyszedł, i nacisnął przycisk. Do środka weszło trzech mężczyzn, toczących ożywioną rozmowę. Artur sprawdził godzinę na starym zegarku kieszonkowym i ze zdumieniem stwierdził, że minęło ponad sześć godzin, odkąd zasiadł do pracy nad manuskrypcem Casadevalla, przerwanej nieszczęsnym incydem z Francuzem. Przez ten czas nawet nie poczuł głodu. Wstał, podszedł do schodów i zaprosił gości do gabinetu.

- Bardzo proszę, wchodźcie. Wybaczcie, że nie przygotowałem kawy, ale cały dzień pracowałem i nie zauważyłem, kiedy minęło południe. Szczerze mówiąc, nic jeszcze nie jadłem.

Trzej mężczyźni skierowali się w stronę schodów. Najmłodszy z nich liczył sobie najwyżej trzydzieści lat. Ostrzyżony na jeża blondyn w okrągłych okularach, nadających mu wygląd intelektualisty, miał wyważone ruchy i sprawiał wrażenie nieśmiałego. Ubrany z prostotą, o twarzy idealnie odzwierciedlającej jego spokojny charakter: lekko zaokrąglony, dziecinny owal, różowe policzki, delikatne usta, orli nos i szerokie czoło z zakolami, zwiastującymi wczesne łysienie. Podsumowując, młody inteligent, nie wyróżniający się niczym szczególnym, co zdawało się go w zupełności zadowalać.

Drugi z kolei gość był mniej więcej rówieśnikiem Artura. Zupełnie łysy, z poprzecinaną licznymi zmarszczkami twarzą, przypominającą mapę topograficzną terenów górzystych z zaznaczonymi poziomiami. Miał pewną charakterystyczną cechę, znaczącą go na całe życie: otóż jedno jego oko było ciemne, prawie czarne, drugie zaś miodowozielone. Garnitur z szarej flaneli, o prostym kroju, perfekcyjnie pasował do jego dostojnego wyglądu. Opierał się na lasce z kości słoniowej, zakończonej gałką z brązu, w kształcie głowy smoka. Laska nie była mu potrzebna, stanowiła jedynie dopełnienie stroju dandysa.

Ostatni mężczyzna, raczej w średnim wieku - mógł mieć ponad czterdzieści lat - ubrany był z klasyczną elegancją. Wysoki, z zaczesanymi do tyłu, wypomadowanymi czarnymi włosami, o drobnych, wskazujących na wyrafinowaną zmysłowość ustach, zielonych oczach i proporcjonalnym nosie. Ubrany był w nienagannie skrojony garnitur z niebieskiej al-paki, śnieżnobiałą koszulę, ze

starannie zawiązaną granatową apaszką na szyi. Na nogach miał czarne skórzane buty z klamerkami. Summa summarum był to mężczyzna świadomy swojej klasy i atrakcyjności, typ uwodziciela. To właśnie on wiódł prym w prowadzonej przez trzech mężczyzn rozmowie, i właśnie on, bo któż by inny, odezwał się pierwszy.

- Arturze, drogi kolego, jak zawsze pogrążony w pracy! A może powinienem powiedzieć: pochłonięty swoją pasją?

- Trafnieś to ujął. Dla mnie, a przypuszczam, że także i dla ciebie, to nie tylko praca, ale prawdziwa przyjemność i pasja - odparł z uśmiechem antykwariusz. - Proszę, wchodźcie, przyjaciele. Zaraz przyrządzę wam mieszankę, która - mam nadzieję - będzie nadzwyczajna: to mokka z dodatkiem najlepszej kawy kolumbijskiej i tureckiej, w równych częściach, skropiona odrobiną wyborowego starego koniaku.

- Może lepiej podelektujmy się jej smakiem po obiedzie... - wtrącił nieśmiało najmłodszy z mężczyzn.

- Nic podobnego, Enricu. Starcy tacy jak Samuel - gospodarz wskazał trzeciego z gości - i ja nie muszę jeść tyle co wy, młodzi. Zapraszam na górę i szykujcie się na niespodziankę.

Trzej mężczyźni usadowili się wokół niskiego stolika w gabinecie, tymczasem Artur otworzył drzwi zabytkowego konfesjonu, zakrywającego ścianę starego budynku. W tym właśnie meblu, o zgoła innym pierwotnym przeznaczeniu, Artur przemyślnie ukrywał kompletne wyposażenie kuchni, zastawę stołową i minibarek, w którym wytrawny koneser znalazłby najdroższe i najwykwintniejsze trunki. Raz w tygodniu, w różnych lokalach sklepowych, ci czterej antykwariusze smakowali po obiedzie rozmaite mieszanki kaw i trunków. Był to dla nich rodzaj cichego współzawodnictwa - licytowali się, kto odkryje najwyborniejszy melanz. Tak czy owak ta rywalizacja stanowiła w gruncie rzeczy pretekst, by miło spędzić czas w doborowym towarzystwie. Gospodarz szybko zaparzył kawę i wkrótce jej aromat wypełnił gabinet, mieszając się z ciągle jeszcze unoszącym się w powietrzu odświeżającym zapachem dawno zgaszonego kadzidełka. Artur podał kawę w siedemnastowiecznym, drogocennym porcelanowym serwisie z Sevres, ozdobionym dyskretnym kwiatowym wzorem. Postawił tacę na stoliku i podsunął swój fotel. Rzucił mu się na pomoc - choć była zbędna - Enric, usłużny młody człowiek. Artur wlał do kawy parę kropel koniaku ze starej karafki z ręcznie rżniętego weneckiego kryształu. Goście degustowali napój w milczeniu.

- I co powiecie? - spytał Artur.

- Wyborna - odparł Guillem. - Zapewniam was, że lepszej nie piłem.

- Po raz pierwszy i mam nadzieję, że nie będzie to stanowić precedensu, zgadzam się z moim zazwyczaj przesadnym w wyrażaniu zachwytów kolegą: mieszanka wyszła naprawdę znakomita - dodał Samuel. - Drogi Arturze, dziś osiągnąłeś wyżyny. A przecież kawa, którą przyrządził w zeszłym tygodniu Enric, również należała do najlepszych, jakie piłem.

- A ty, Enricu, co o niej sądzisz? - indagował z nadzieją Artur.

- Wspaniała - odpowiedział młody człowiek, nalewając sobie do filiżanki drugą porcję. - Chyba także i w tym bijesz nas wszystkich na głowę.

- A teraz, Arturze, opowiadaj. Cóż takiego pochłonęło cię aż tak bardzo, że zapomniałeś o naszym spotkaniu? - spytał Guillem. - O ile dobrze pamiętam, zdarzyło ci się to po raz pierwszy od dwóch lat.

- Właściwie nic szczególnego. Jak już mówiłem, ja po prostu kocham moją pracę. Badałem i wyceniałem ostatnio nabyte rękopisy i księgi. Dlatego zapomniałem o bożym świecie. W zasadzie nie do końca zapomniałem... Udało mi się zaskoczyć was znakomitą mieszanką.

- Panowie - rzekł Guillem, wstając i zdejmując z głowy wymagowany kapelusz - oddajmy honor staremu mistrzowi, który kolejny raz sprawił nam niespodziankę.

Przyjaciele roześmiali się. Guillem już taki był, zawsze wylewny i skory do żartów.

- Arturze, dużo rzeczy ostatnio nabyłeś? - spytał Enric.

- O, tak. Mienie ruchome, w tym zbiory biblioteczne składające się z pięciuset wolumenów, pochodzące ze starego dworu niedaleko Ripollu, rodowej siedziby Berguesów. Przywieźliśmy rzeczy w zeszły wtorek i już dokonałem wstępnej wyceny mebli. Kojarzycie nazwisko?

Mężczyźni spojrzeli po sobie; wydawało się, że skupienie widoczne na twarzach gości nie służy tylko temu, aby odpowiedzieć na pytanie Artura, ale przede wszystkim była to swego rodzaju gra, w której gospodarz wystawiał na próbę ich wiedzę zawodową i ogólną erudycję. Jedynie Samuel udzielił odpowiedzi:

- Chyba przypominam sobie to nazwisko. Pojawia się w dokumentach z XV i XVI wieku. Ród Berguesów należał w tamtej epoce do nowej burżuazji. Tytuł szlachecki kupili sobie za pokaźną sumę. Byli zasłużonymi obywatelami... Czyżby mieli jakieś związki z Bigą¹?

- Masz wspaniałą pamięć - uśmiechnął się Artur, usłyszawszy wypowiedź Samuela. - Zaczynali jako budowniczości, architekci, ale w połowie XVI wieku zmienili swoją pierwotną działalność i zajęli się sprowadzaniem solonego mięsa. Odnosili sukcesy w handlu aż do końca XVIII wieku, kiedy to główna gałąź rodu nie miała już spadkobierców. Boczne linie odgrywały jeszcze poślednią rolę w katalońskiej społeczności w tamtej epoce. W końcu ich gwiazda przygasła i zaszyli się w mało znaczących majątkach ziemskich, rozrzuconych po całym księstwie.

- Oznacza to, że odkryłeś skarby nieoszacowanej wartości - skomentował jego słowa Guillem, nie kryjąc rosnącego zainteresowania.

- Otóż to. Meble pochodzą z późniejszych wieków, głównie z XVIII i są bardzo dobrze zachowane. Nawet nie potrzebują specjalnych zabiegów renowacyjnych i sądzę, że szybko znajdą nabywców. Najcenniejsze są zbiory relikwiarzy, szkatuł, kuferków na dokumenty oraz kufrów podróżnych, utrzymanych w naprawdę doskonałym stanie. Oprócz mebli szczególnie wartościowym nabytkiem są zbiory biblioteczne. Znalazłem wśród nich dwa białe kruki, prawie niezniszczone. Pozostałe egzemplarze również nieźle się prezentują, choć znacznie ciekawsza jest ich treść niż wygląd i oprawa.

Artur umyślnie umilkł i skupił się na starannym mieszanu cukru w filiżance. Podobał mu się dźwięk srebrnej łyżeczki stukającej o kruchą porcelanę nie mniej niż oczekiwanie, jak goście zareagują na jego milczenie.

- Kochany przyjacielu, chyba nadużywasz naszej cierpliwości - skomentował Samuel, puszczając do niego oko. - Każdy, choć trochę wrażliwy człowiek nie milczałby tak długo, chyba że chowa asa atutowego w rękawie.

- Przypaliliście mnie! - Uśmiechnął się do nich szelmowsko. - Sprawianie cierpienia przyjacielom, z tej samej zresztą branży, to jedna z nielicznych przyjemności biednego starca w jesieni życia. Sami się przekonacie, biblioteka zawiera księgi z różnych dziedzin i powiedziałbym, że nie ma w niej nic nadzwyczajnego. Natomiast prawdziwą niespodzianką ukrywał kufer z dokumentami, nieotwierany od wieków, zawierający rękopisy o tematyce religijnej, związane nie tylko z wiarą katolicką. Mógłbym zaryzykować stwierdzenie, że właściciele tych cennych zbiorów zbliżali się do dwóch różnych krańców wiary.

- Dwóch różnych krańców? Odkryłeś bibliotekę żyda przechrzty czy jakiegoś wolnomularskiego spiskowca? - dopytywał się Guillem.

- Nie ma tam tylu ksiąg, aby uznać, że stworzono ją jako wyraz jednorodnych poglądów religijnych. Znacznie ważniejsze są odręcznie sporządzone tłumaczenia starych tekstów arabskich, greckich, łacińskich oraz - i to ciebie najbardziej zainteresuje, Samuelu - hebrajskich. Niektóre traktują o magii, okultyzmie, doktrynach religijnych, inne to fragmentaryczne tłumaczenia Koranu i Talmudu... Oprócz tego kufer zawierał zamkniętą na klucz szkatułę, w której spoczywały listy z różnych epok, należące do rodziny Casadevallów, oraz coś w rodzaju diariusza.

- Casadevall?

- Właśnie. Ty też znasz to nazwisko, Samuelu?

- Otóż to... Chyba pamiętam jakiegoś Casadevalla, żyjącego kilka wieków przed Berguesami, ale nie potrafię sprecyzować, czym się dokładnie zajmował.

- A wy?

Enric i Guillem spojrzeli na siebie i pokręcili bezradnie głowami.

- Pierwszy znany Casadevall, o którym wzmiankują dokumenty, żył pod koniec XIV wieku i był pomocnikiem mistrza budowlanego przy wznoszeniu katedry barcelońskiej. Większość listów poświęcona jest nieistotnym sprawom, ale są one ciekawym przykładem zawiłych losów rodziny. Do tej pory prześledziłem zaledwie czwartą ich część, ale ciągle oczekuję, że odkryję jakiś rękopis spisany przez jeszcze odleglejsze pokolenia.

- To się nazywa prawdziwe eldorado - wtrącił Guillem. - Mógłbyś nam zdradzić, w jaki sposób zdobywasz takie cuda?

- Drogi przyjacielu, to moja jedyna tajemnica zawodowa, którą muszę zachować dla siebie - odpowiedział z uśmiechem Artur. - Reszty można się nauczyć, ale utrzymanie w sekrecie źródła

¹ Biga - związek zasłużonych obywateli, kontrolujących gospodarkę, mających silne wpływy polityczne (przyp. aut.).

informacji jest tak samo ważne dla nas, antykwariuszy, jak dla dziennikarzy... albo spowiedników, to jest najlepsze porównanie, jeśli weźmiemy pod uwagę ten przypadek.

- Daj spokój, Arturze. Przedmioty z ostatnich czterech czy pięciu naprawdę ważnych wyprzedaży, jakie odbyły się na naszym rynku w ostatnich latach, trafiły wprost w twoje ręce, a jedyną, która przeszła ci koło nosa, przechwycił ten stary Żyd. A ty - wskazał palcem Samuela - byłeś zwykłym antykwariuszem, no, może nieco lepszym, ale odkąd twoją współpracowniczką została Mariola Puigventós, stopniowo doganiasz obecnego tu boga antykwariuszy barcelońskich i wkrótce obaj nie zniżycie się do tego, aby zadawać się z nami, biednymi śmiertelnikami. W tym tempie wkrótce będę zmuszony sprzedawać stare sosnowe skrzynie, a to mi nie pozwoli żyć na takiej stopie, do jakiej przywykłem. Enricu - spojrzął na młodego kolegę - sądzę, że najlepiej zrobimy, jeśli zajmiemy się renowacją, bo właśnie teraz ta działalność przeżywa swój renesans.

- Stary Żyd radzi ci najuprzejmiej, żebyś nie trwonił tyle pieniędzy na nocne hulanki. Wtedy lepiej wykorzystasz poranki na poprawianie swoich kontaktów zawodowych.

- Do diabła, Samuelu! Gdybym nie włączył się po nocy, nie miałbym żadnych kontaktów! ?

Wybuchnęli śmiechem. Rzeczywiście, antykwariat Guillem należał do najbardziej uczęszczanych przez modnych dekoratorów wnętrz i nadzianych klientów poszukujących staroci. Był przecież znakomitym fachowcem, o ogromnej wiedzy i dużej oglądzie. Śmiało można zaryzykować stwierdzenie, że cała czwórka stanowiła elitę barcelońskich antykwariuszy: utalentowanych, wykształconych, o ogromnej intuicji.

- Tak czy siak, Arturze, muszę dowiedzieć się czegoś więcej. Mówiłeś, że część ksiąg to tłumaczenia z różnych języków. Masz jakieś w sklepie? - wtrącił Samuel.

- Tak, właśnie nad nimi pracowałem. W moim domu w Vallvidrerze trzymam książki już przejrane, jakieś dwie trzecie całości. Na stole leżą te do wyceny i zbadania oraz takie, które już na pierwszy rzut oka szczególnie mnie zainteresowały. Spójrzcie - wstał i podszedł do stołu, a za nim ruszyła reszta towarzystwa - tu są. Po prawej stronie leżą te, które już przejrzałem; reszta ciągle czeka, aby na nowo pokazać się światu po długim okresie nieistnienia.

Na stole spoczywała część starych ksiąg, ocalonych od zapomnienia dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, desperacji rodziny, gwałtownie potrzebującej pieniędzy, oraz nieopanowanej ciekawości starego antykwariusza, który poprzez spuściznę poprzednich pokoleń chciał poznać i zrozumieć przeszłość. Książki, o małym i dużym formacie, niektóre w doskonałym stanie, inne zwiędziały i niemal rozpadające się w rękach, cierpliwie czekały przez całe wieki, aż ktoś je otworzy i wnuknie w ich treść. Wśród przypadkowych czytelników niewiele było podobnych do Artura, którzy zajęliby się nimi z równie wielką starannością i oddaniem. Mężczyźni zbrali się wokół stołu, zbratani w uroczystej ciszy, nie tylko dlatego, że wszyscy czterej byli antykwariuszami, a przed ich oczami leżały prawdopodobnie białe kruki. Łączyło ich także pragnienie poznania zawartych w nich myśli oraz szacunek dla słowa pisanego. Przyjaźnili się, bo dzielali te same pasje, z których najważniejsza była miłość do starych ksiąg. Są one bowiem - niezależnie od ich wartości materialnej - cennymi przedmiotami, które należy ocalić dla przyszłych pokoleń. Niespiesznie przeglądali kolejne starodruki, wnikliwie analizując ich cechy, wygląd i karty tytułowe.

- Patrzenie, Sofizmaty Pawła z Wenecji. A tam Tora z 1654 roku - zauważył Guillem.

- Egzemplarz Ars Generalis Llulla, niedatowany. Sądząc po oprawie, to kopia z XVII wieku - stwierdził Samuel.

- Prawda wiary chrześcijańskiej, przekład na średniowieczny kastylijski z łaciny tekstu świętego Tomasza, przedruk wydania Nicolasa Jensena z roku 1480.

Komentowali na głos jeszcze inne tytuły, wszyscy z wyjątkiem Enrica, który z typową dla siebie powściągliwością nie brał udziału w uczonej dyspacie; trzymał się na uboczu i skupił na pewnym zachowanym w doskonałym stanie wyjątkowym egzemplarzu. Już po niego sięgał, gdy Guillem żartobliwie poklepał go po plecach.

- Patrzenie no! Cóż takiego przyciągnęło uwagę naszego drogiego kolegi? Czy przypadkiem nie chodzi o tę księgę? - stwierdził i wyciągnął rękę po ten właśnie wolumen.

Dłoń Enrica przez chwilę zawisła niepewnie nad stołem, a potem drgnęła nieznacznie, jakby młody człowiek pragnął powstrzymać Guillem od sięgnięcia po księgę, ale koniec końców, ku swemu zdziwieniu, cofnął rękę i ustąpił koledze. Guillem podniósł manuskrypt do oczu, nie dostrzegł na nim tytułu, zaczął więc analizować wygląd.

- Oprawa z pięknie wyprawionej skórki cielejącej, na drewnianej podstawie w stylu gotyckim, zdobiona złożonymi tłoczonymi filekami oraz przeplatającymi się elipsami z miniaturowymi wzorkami w środku. Bardzo pieczołowite i staranne wykończenie, w sumie piękne dzieło. Zobaczmy, co kryje się

w środku... Niedokończony rękopis, sporządzony po łacinie, bardzo niewyraźnym pismem, na większości stron widnieją na marginesie drobne zapiski. Moja znajomość łaciny nie jest doskonała, ale na pierwszy rzut oka nie ma w nich nic nadzwyczajnego. A swoją drogą nie znam tego tekstu. Wiesz, co to jest? - spytał Enrica.

- Nie, ale moją uwagę zwrócił dobry stan tego wolumenu. Daj mi go, proszę.

Guillem podał mu księgę i zajął się kolejnym manuskrypcem. Artur i Samuel podeszli bliżej i wspólnie tłumaczyli poszczególne fragmenty.

- Patrzcie, państwo. - Artur zbliżył się i podniósł okulary na czoło. -Widzę, że znaleźliście ten słynny diariusz. Właśnie sporządzam notatki na jego temat.

- Klasyczna łacina i kaligraficzne pismo świadczą o tym, że tekst pisał człowiek wykształcony, prawdopodobnie z kręgu duchowieństwa - dodał Samuel. - Spójrzcie tu. - Wskazał na ozdobnie zakończone litery. - Prawdopodobnie pochodzi z końca XIV lub początków XV wieku.

- Niewątpliwie są tu zanotowane zajęcia jakiegoś mężczyzny - wtrącił Enric. - Popatrzcie na ten zapisek: „Spotkanie mistrza z biskupem”... A tu są chyba wymienione sprawy, o jakich miał rozmawiać.

- Albo ta notatka - odczytał Guillem: - „Transport budulca z kamieniołomów w Segur”. To mówi coś więcej o piszącym, prawdopodobnie był mistrzem budowlanym albo jego pomocnikiem.

- Spójrzcie tu: „Spotkanie z przedstawicielami zakonów”.

- Popatrzcie, większość zapisków na marginesie sporządzona jest w dawnym katalońskim, a przynajmniej na to wygląda. Niewiele słów da się odczytać, ale nie mam wątpliwości. Zajrzyjmy dalej...

Samuel przewrócił kilka stron.

- Zdaje się, że zapiski pojawiają się po jakiejś konkretnej dacie - zauważył Guillem.

- Ho, ho, widzę, że złapaliście bakcyła! To jest właśnie rękopis Casadevalla, jak go nazwałem. A jeśli chodzi o notatki na marginesie, zdaje się, kilka wieków później ktoś pracował nad tekstem. Już o tym myślałem, choć jeszcze nie doszedłem do żadnych wniosków.

- W zapiskach wielokrotnie pojawia się nazwisko Casadevall - dodał Enric po przełożeniu kilku kart. - Występuje dość często, poza tym w niektórych zapiskach widnieje duże C, co oznacza, chodzi o tę samą osobę.

Samuel przerzucił kilka kolejnych stron. Artur zatrzymał się na jednej z nich, pozornie wybranej przypadkowo, chociaż szybkość, z jaką to zrobił, wskazywała, że działał świadomie.

- To prawda - stwierdził Samuel, nie przykładając jednak do tego zbyt wielkiej wagi. - Rzeczywiście, autor notatek to nie ta sama osoba, która dokonywała pierwotnych zapisów. Pismo jest zupełnie inne, prawdopodobnie nawet z innej epoki. Zwróćcie uwagę na duże F i zakończenia liter s i t. To ciekawe. - Przewrócił szybko kilka kolejnych stron. - Zdaje się, że trafiła ci się prawdziwa łamigłówka, nad którą spędzisz wiele godzin.

- Zatrzymaj się, Samuelu, w tym miejscu. - Artur wskazał stronę oznaczoną zakładką. - Zwróćcie uwagę. Mówiąc o wyjątkowym nabytku, miałem na myśli właśnie ten manuskrypt, a dokładniej ten fragment. Zaznaczyłem go ołówkiem.

- „...miejsce ukrycia przedmiotu to tajemnica, której mistrz ma obowiązek dochować...” - przetłumaczył Samuel.

- Dziwny komentarz, nie uważacie? - wtrącił Artur.

- Czemu tak mówisz? Odkryłeś na stronach diariusza jakiś sekret?

- Na razie powiedzmy, że odkryłem możliwość powrotu do przeszłości, którą tak bardzo kocham. Stare rękopisy to moja pasja, a sami mówiliście, że starsi ludzie muszą mieć jakieś hobby.

Samuel zamknął diariusz i wręczył go Arturowi.

- Trzymaj. Będziesz miał mnóstwo czasu, aby go przeczytać do końca. Jestem pewny, że natychmiast się do tego zabierzesz.

- Rzeczywiście, jak zauważyliście, sporządziłem już pierwsze notatki. Jest to zaledwie wstępny szkic, ale dzieło wydaje się na tyle ciekawe, by kontynuować pracę podczas weekendu. - Zsunął okulary na czubek nosa i wziął księgę z rąk przyjaciela. - Ciekawe, co tam jeszcze znajdę.

- Skoro wpadło w twoje ręce, niewątpliwie wyciśniesz z niego wszystkie soki.

- Zazdroszczę ci, Arturze - stwierdził Guillem. - Trafił ci się prawdziwy rarytas, i to zupełnie przypadkowo. Nie wiadomo, jakie jeszcze skarby kryją się w tym stosie książek. O Panie - rzekł, wznosząc ręce w górę - czemu obdarzasz łaską tylko nielicznych?

- Daj spokój - odpowiedział, śmiejąc się, Artur. - Niebiosa darzą mnie łaską, ale pora otworzyć sklep. Przedtem jednak chciałbym coś zjeść. Oczywiście, najpierw odprowadzę was do drzwi. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Wyszedł z gośćmi na ulicę i starannie zamknął drzwi antykwariatu.

- Moi panowie, zanim po przerwie otworzę sklep, przekazuję coś na Plaça del Pi. W przyszły piątek powinien nas zaprosić Samuel. Wtedy się zobaczymy i pogadamy... a swoją drogą, Samuelu, może byś wpadł ze mną do baru? Chciałbym coś z tobą omówić.

- Nie ma sprawy, oczywiście. Mariola wyjechała, wróci dopiero wieczorem, a sam wiesz, że o tej porze wpada raczej niewielu klientów.

Przyjaciele pożegnali się i udali w przeciwne strony. Samuel i Artur doszli powoli pustą ulicą do Plaça de Sant Josep Oriol. Na rogu jakiś pogrążony w majakach żebrak zawodził monotonicznie wśród dwóch pustych, zgniecionych kartonów po kiepskim winie. Wrażenie opuszczenia i smutku emanowało z wychudłego ciała biedaka, owiniętego w postrzępiony stary koc, tak wytłamszony jak jego udręczona dusza. Artur podszedł do niego z serdecznym uśmiechem na ustach.

- Co słyhać, Pomes? Zdobyłeś już forszę na nocleg?

- Sam pan widzi, panie Aiguader - wskazał chustkę, na której błyszczało zaledwie kilka moniaków - serca barcelończyków stają się mniejsze niż Guliwer w krainie olbrzymów.

Artur wyjął banknot z portfela i wręczył go żebrakowi ze słowami:

- To powinno wystarczyć na obiad, kolację i nocleg. Tylko nie kupuj za to wina, nie chcę ci prawić morałów, ale dobrze wiem, że wiele razy tak robiłeś. Teraz idę z kolegą na obiad, a zatem, gdy wyjdę z baru, mam nadzieję, że zdążysz zwinąć manatki i znikniesz stąd. Bez obaw, przez piętnaście lat wysiedziałeś sobie tu miejsce i nikt ci go nie zajmie.

- Panie Aiguader, jak to dobrze, że są jeszcze na tym świecie dżentelmeni, choć wkrótce wymrą jak dinozaury. Proszę się nie martwić, zaraz udam się do pensjonatu Casa Felisa, skromnego, lecz czystego, w którym znajdują schronienie zarówno napalone parki, jak i wygnańcy bez ziemi... oczywiście, jeśli mają kasę.

Włóczęga podniósł się z trudem i zniknął w Carrer del Pi. Artur z Samuelem usiedli przy stoliku na zupełnie wyludnionym o tej porze placu. Kelner zjawił się błyskawicznie i Artur zamówił specjalność zakładu: carpaccio z kalmarów. Długą chwilę ciszy, podczas której delektowali się smakiem potrawy, przerwał Samuel:

- Wiesz równie dobrze jak ja, że wyda te pieniądze na alkohol.

- Możliwe, ale w końcu kim ja jestem, żeby mu dyktować, na co ma wydawać... Dajmy mu pogrążyć się w jego urojonym świecie. Co nasz świat może mu zaoferować? Kopniaki wymierzone przez chuliganów? Przy odrobinie szczęścia starczy mu na to, żeby się upić, i jeszcze na jakiś dach nad głową. Zresztą popatrz, pamiętam go, gdy był jeszcze młody. Kto by pomyślał, że tak skończy... Każdego z nas mógłby spotkać taki los.

- Przesadzasz, choć muszę przyznać, że jesteś bardzo hojny.

- Nie uważam hojności za wadę, co wcale nie znaczy, że prawem kontrastu należy uznać ją za zaletę.

Artur kończył posiłek w ciszy. Zniecierpliwiony jego milczeniem Samuel podjął przerwana rozmowę.

- Mów wreszcie, o co chodzi. Przecież widzę, że coś cię męczy.

Artur głaskał w zamyśleniu płatek prawego ucha. Robił tak zawsze, gdy czuł się niepewny lub niezdecydowany.

- Dzisiaj wczesnie rano przyszedł do mnie Francuz. - Zwierzywszy się z dręczącej go tajemnicy, poczuł ulgę. W końcu wyznał, co go trapi.

- I co z tego? Nie jest to może normalne, ale nie widzę w tym nic dziwnego - stwierdził Samuel.

- Mieliśmy ustawiony interes.

- Rozumiem - powiedział Samuel, jakby dopiero teraz pojął nietypowe zachowanie Francuza.

- Francuz przeprowadził całą akcję, a tymczasem klient nieoczekiwanie zrezygnował. Dziś rano Francuz przyszedł do antykwariatu i próbował zmusić mnie do rozliczenia się. Stwierdziłem, że nie mogę wystawić na rynek tak pokaźnego towaru, na dodatek tak charakterystycznego, wcześniej niż za dwa miesiące, a to go wcale nie ucieszyło. Chciał ode mnie wyciągnąć dane zleceniodawcy, ale oczywiście odmówiłem. Potem kazał mi samemu zapłacić za towar.

- Wypłaciłeś mu umówioną zaliczkę?

- Jasne, z tym nie było problemu. Klient jej nie wpłacił, bo to osoba zaufana, ale potem, wycofując się z transakcji, uregulował co do grosza. Wszystko w porządku.

- To duża rzecz? - indagował Samuel.

- Tak i sporej wartości.

- Pewnie schowana w bezpiecznym miejscu. Czy on wie gdzie...?

- Oczywiście, że nie. A jak myślałeś?

- Nie bądź taki drażliwy. Czemu się bronisz?

- Wybacz. Nie powinienem obarczać cię własnymi problemami, a tak właśnie robię - przyznał niechętnie Artur, wzdychając przeciągle. - Ale chyba mam ku temu podstawy. Zanim wyszedł, kazał mi do poniedziałku zdobyć pieniądze. Nie po raz pierwszy mam z nim scysję, ale pierwszy raz od dwudziestu lat miałem wrażenie, że mówi poważnie.

- Daj spokój.

- Co ty byś zrobił na moim miejscu?

- No cóż, nie ulega wątpliwości, że zachowanie Francuza może zaszkodzić waszym wspólnym interesom, ale, o ile wiem, nigdy nie groził żadnemu ze swoich współników.

- No właśnie. Wszyscy wiemy, że Francuz jest porywczy, poza tym wpadł w jakieś tarapaty finansowe. I prawdę mówiąc, choć trudno mi się do tego przyznać, trochę się martwię.

Samuel kręcił głową, zaskoczony postawą Francuza.

- Nie po raz pierwszy się wścieka, ale pierwszy raz posuwa się do gróźb. To cena, jaką musisz płacić za to, że korzystasz z jego usług. Jest najlepszy. Ma jedną okropną wadę: impulsywny charakter. Jest nieprzewidywalny, a wy latami za bardzo mu pobażaliście.

- Wcale o tym nie zapominam, mimo to martwię się. Jak tak dalej pójdzie, stanie się jeszcze bardziej agresywny. Wyobrażasz sobie? W biały dzień pojawił się u mnie w sklepie... Chyba zupełnie stracił instynkt samozachowawczy. Pewnego dnia powinie mu się noga. Dwa lata temu omal nie wpadł podczas tej nieszczęsnej afery w Tortosie i od tego czasu ciągle powtarza, że wycofa się z interesu. Decyzję odkłada z miesiąca na miesiąc i podejmuje się coraz bardziej ryzykownych zadań, za to bardziej opłacalnych.

- Uspokój się, naprawdę nie ma powodu do obaw. Pamiętasz przysłowie: „Z dużej chmury mały deszcz”? Prosisz mnie o radę? Taki ma charakter, przejdzie mu - podsumował Samuel.

- Dobrze ci mówić, bo on grozi mnie, nie tobie - uciął kategorycznie zdenerwowany Artur.

- To uwaga w złym tonie - odparł Samuel. - W takim razie po co pytasz mnie o zdanie?

- Ja... Przepraszam. - Artur zacisnął usta. - Afera z Francuzem wyprowadziła mnie z równowagi.

- Powinieneś być zerwać z nim kontakty już dawno temu. Nigdy nie mogłem zrozumieć, po co wchodzisz z nim w układy. Już w siedemdziesiątym dziewiątym roku ostrzegałem cię przed nim. Oj Arturze, Arturze, takie sytuacje nas przerastają. To nie dla nas. Starzejemy się, po co nam tyle pieniędzy? Lata mijają i nasz interes nie jest taki jak dawniej. Niech nowe pokolenie wkrocza do biznesu.

- Nie oczekuj, że zrobię tak jak ty i pozwolę młodym ratować mój antykwariat z opresji.

Samuel spojrział z niedowierzaniem na przyjaciela. Był taki wściekły, że walnął z całej siły pięścią w metalowy stół. Donośny huk przyciągnął uwagę gości.

- Nie przypuszczałem, iż sprzeczka z Francuzem aż tak cię rozdrażni, że zapomnisz o dobrych manierach.

Artur, zanim odpowiedział, znowu pogłaskał się po ucho. Wiedział, że obraził przyjaciela, wypominając mu kłopoty finansowe, jakie przechodził jego antykwariat parę lat temu, które na szczęście minęły, gdy Samuel przyjął na współniczkę Mariolę Puigventós, ale jakaś dziwna, trudna do pohamowania duma nie pozwoliła mu przeproszać go po raz trzeci z rzędu. Poczł, jak ogarnia go przemożne poczucie winy.

- Możliwe, że trudno ci się z tym pogodzić, ale to fakt, że twój interes nie szedł najlepiej i od bankructwa uratowała cię Mariola. Nie pozbyłem się Francuza, bo jego usługi zapewniają mi minimalne dochody, dzięki którym mogę poświęcić się moim pasjom. Ty z nim zerwałeś, choć wiedziałeś, na co się narażasz. Zaryzykowałeś i o mały włos nie skończyło się to dla ciebie tragicznie. A jednak... jednak lata nie płyną na próżno. No cóż, chyba plotę bzdury. - Pożałował swoich słów. - Może masz rację. Pora się wycofać. Po prostu nadszedł na to czas, a ja nie potrafię tego zrozumieć.

Powinienem nie tylko zakończyć znajomość z Francuzem, ale także definitywnie zamknąć antykwariat.

Samuel spojrział na niego zdziwiony, pozwalając, aby rozrzewnienie zastąpiło urazę. Nie wypada kłócić się ze starym przyjacielem o coś, co w pewnym sensie jest prawdą.

- Nie przejmuj się. Doprawdy bardzo wątpię, żeby ta sprawa miała jakiegokolwiek konsekwencje. Francuz zapomni o wszystkim, jak tylko minie mu złość.

- Może...

Spojrzeni na siebie i znowu pogrążyli się w milczeniu. Powiedzieli sobie bolesną prawdę. Artur czuł, że przez jego popędliwość i brak taktu rośnie między nimi niewidzialny mur. Był skruszony, mimo to nie znalazł w sobie dość odwagi, by przyznać się do błędu. Wolał udawać obojętność.

- Muszę otworzyć antykwariat - odezwał się Samuel. - Mariola wróci dopiero wieczorem. Ale, ale, zapomniałem ci powiedzieć... Jeśli masz ochotę się zrozerwać, Mariola prosiła, żeby ci przypomnieć o spotkaniu, które jej ojciec urządza w Boulevard dels Antiquaris².

- Nie przyjdę. - Artur zazwyczaj trzymał się z dala od życia towarzyskiego gremium, a w szczególnych okolicznościach, w jakich właśnie się znalazł, nie życzył sobie zacieśniania kontaktów z kolegami po fachu, którzy przypominiliby mu groźną postać Francuza. - Mam zbyt wiele pracy, żeby tracić czas na imprezy. Jeśli poświęcę cały weekend na czytanie nowo nabytych ksiąg i dokumentów, może uda mi się skończyć do poniedziałku. Przepraszam wszystkich w moim imieniu i wyjaśnij staremu Puigventósowi i jego pięknej córce, co mnie zatrzymało. Powinni to zrozumieć.

- Dobrze, chociaż Mariola nie będzie zadowolona. Jest już wystarczająco na ciebie cięta za to, że nigdy nie pojawiaasz się na spotkaniach naszego stowarzyszenia. Za każdym razem wymyślasz inny powód, a przecież wiesz, jak bardzo cię ceni.

- Najważniejsza jest praca. A dla mnie nie ma lepszej rozrywki.

- A zatem do zobaczenia w poniedziałek.

Wstali. Artur zapłacił za obiad i zostawił suty napiwek. Następnie, nie uściskawszy sobie nawet dłoni, każdy z nich udał się do swojego antykwariatu. W piątek wieczorem pojawiało się sporo klientów. O tej porze przychodziły zazwyczaj pary w różnym wieku, poszukujące rozmaitych staroci do dekoracji wnętrz, i chociaż Artur był antykwariuszem z zamiłowania i lubił obsługiwać potencjalnych nabywców, tego dnia nie potrafił się skupić, ponieważ wszystkie jego myśli krążyły uporczywie wokół leżących w gabinecie ksiąg. Manuskrypty podsycaly jego wyobraźnię i nie mógł się doczekać, aż nadejdzie pora zamknięcia sklepu. Po ósmej spuścił żaluzje w drzwiach wejściowych i udał się do gabinetu, gdzie pogrążył się w lekturze aż do późnych godzin. O trzeciej w nocy opuścił sklep i pojechał się przespać do swojego domu w Vallvidrerze.

Obudził się późno, około dziesiątej. Zjadł spokojnie śniadanie, jak co dzień przejrzał na tarasie poranną prasę i wyruszył do Barcelony. Wspaniała, prawie letnia pogoda sprzyjała radosnym obchodom święta Sant Jordi. Tego roku oprócz rodowitych barcelończyków uczestniczyła w nich rekordowa liczba turystów. Ulice były pełne ludzi. Zostawił samochód na parkingu przy Carrer de l'Hospital. Na widok zatłoczonej alei Ramblas uległ pokusie i zanim otworzył sklep i pogrążył się w pełnym obietnic świecie zagadek, zawartych w księdze Casadevalla, postanowił przejść się do portu. Przy okazji zjadł obiad w barze London, chociaż wcale nie był głodny, wiedział jednak, że gdy pochłonie go praca, zapomni nie tylko o obiedzie, ale, zajęty jakimś pasjonującym tematem, także o kolacji.

Wszedł do sklepu od strony Carrer del Pi i zostawił otwarte drzwi, z opuszczoną żaluzją, żeby trochę przewietrzyć pomieszczenie. Budynek pochodził sprzed kilku wieków; ściany wydzielaly zapach stęchłej wilgoci, charakterystyczny dla starych kamieniczek. W przeciągu mokre drewno osuszy się i wilgoć nie przeniknie wewnątrz.

Całą sobotę spędził nad rękopisem Casadevalla. Księga nie była wyłącznie pamiętnikiem, autor zapisywał w niej również swoje dochody i wydatki, wrażenia i obserwacje z okresu, gdy przez wiele lat pracował przy budowie barcelońskiej katedry, a w latach 1398-1414 pełnił obowiązki mistrza budowlanego. Autora zapisków na marginesie nie udało się Arturowi zidentyfikować.

Tłumaczenie całości okazało się najtrudniejszym zadaniem, jakiego się podjął. W jego ręce trafiło wiele manuskryptów, starych listów, lecz nie przysparzały mu takich trudności jak ten enigmatyczny tekst. W miarę upływu czasu, w wyniku wnikliwej lektury rękopisu oraz notatek na marginesie, zaczęły się wyłaniać pewne fakty. Swoimi spostrzeżeniami, tak zawiłymi, że musiał je natychmiast

² Boulevard dels Antiquaris - centrum handlowe w Barcelonie przy Passeig de Gracia 55/57, w którym mieści się ponad 70 antykwariatów i galerii sztuki (przyp. tłum.).

weryfikować, wypełniał kolejne strony notatnika. Tekst zawierał tyle tajemnic, że wolał dalej czytać i ujawniać kolejne, utajone przez wieki zagadki niż szperać w swoich zbiorach bibliotecznych i sprawdzać wiarygodność tego, co już odkrył.

Gdy w końcu spojrzął na zegar, minęło wpół do trzeciej. Wstępne tłumaczenie tekstu zabrało mu ponad trzynaście godzin nieprzerwanej pracy. Nawet dla tak doświadczonego eksperta od języków klasycznych odczytanie ściśniętego, drobnego pisma architekta stanowiło niemały problem. Wzrok mu się zmęczył, bolały go plecy, i musiał natychmiast skorzystać z toalety, postanowił więc zakończyć pracę. Przez otwarte drzwi wpadał strumień świeżego powietrza. Na dworze ochłodziło się i w sklepie panowało lodowate zimno. Włożył marynarkę i zaczął zbierać się do domu. Przyjrzał się bacznie manuskryptowi Casadevalla. Po raz pierwszy od dawna poczuł prawdziwe przerażenie, nieprzypominające niepokoju, jaki go dręczył po rozmowie z Francuzem. To, co wtedy uważał za strach, było zaledwie nędzną namiastką uczucia, jakie się teraz zrodziło w jego duszy, a którego bezsporną przyczyną była ta nieprawdopodobna historia. To był prawdziwy strach: atawistyczny, zwierzęcy, nie do opanowania, nieustannie narastający, pomimo wieku Artura i poczucia pewności siebie. Z wielkim trudem udało mu się go przezwyciężyć.

Postanowił zabrać manuskrypt do domu. Pod wpływem impulsu, z wprawą, jaką daje wiedza i doświadczenie, rozpruł nici łączące poźółtkę karty z okładką. Tak samo postąpił z innym starym egzemplarzem ze swojej podręcznej biblioteki, o identycznych rozmiarach, lecz znikomej wartości. Sprawnie, za pomocą szybko schnącego kleju, podmienił zawartość *Exercicio de Perfección*³ na księgę Casadevalla i upchnął ją na półce wśród setek egzemplarzy przedstawiających wartość tylko dla wąskiego grona ekspertów. Księgę, której użył jako zamiennika, oraz okładkę rękopisu wyrzucił do pierwszego napotkanego kosza na śmieci. Treść manuskryptu wzbudziła w nim pierwotny lęk przed nieznanym, choć sądził, że tego rodzaju strach pokonał w sobie już dawno temu, na progu starości.

Ulica była pusta. Zaledwie sto metrów dzielących antykwariat od placu del Pi przemierzył pełen obaw. Dopiero tam odetchnął z ulgą. Chociaż kraty w drzwiach okolicznych barków były już opuszczone, wykorzystał wieloletnią przyjaźń łączącą go z właścicielem jednego z nich i dostał jeszcze lekką kolację. Aleją Ramblas dotarł na parking, wsiadł do samochodu i pojechał do domu na zasłużony odpoczynek.

Niedzielnny poranek był chłodny, posępny i mglisty. Widocznie piękna pogoda została zarezerwowana wyłącznie na sobotę. Ostre podmuchy wiatru znad ośnieżonych ciągle Pirenejów skłaniały do pozostania w domu i leniuchowania w łóżku. Artur źle spał. Przez całą noc - co zdarzyło się mu pierwszy raz w życiu - dręczyły go przedziwne sny. Raczej drzemał, niż spał. Godziny wlokły się niemiłosiernie. Zegar w salonie wygrywał co kwadrans melodyjkę, a jego umysł, pobudzony niesłychanymi sensacjami odkrytymi na stronach rękopisu Casadevalla, tworzył następujące kolejno po sobie szalone wizje, mieszające się z sennymi majakami. Obudził się kilka sekund przed dzwonkiem budzika, tak samo jak kiedyś, gdy pilne sprawy zmuszały go do ciągłego kontrolowania czasu. Czuł się zmęczony i obolały. Czekają go mnóstwo pracy, zjadł więc lżejsze niż zwykle śniadanie i nawet zrezygnował z codziennej lektury prasy. Zatrzymał się tylko na chwilę w bibliotece, żeby wybrać kilka książek, które mogły mu się przydać, i wtedy przypomniał sobie o liście pozostawionym na biurku w gabinecie. To był najlepszy moment na dokończenie go, ponieważ mógł dodać zaskakującą nowinę, która z pewnością będzie inspirująca dla jego przybranego syna, obdarzonego tak wielką wyobraźnią, że został znanym pisarzem. Dopisał pospiesznie postscriptum, starannie złożył kartki, schował do koperty, zaadresował ją i przykleił znaczki. Podgrzał płomieniem zapalniczki laseczkę laku, którym zawsze pieczętował swoje listy, a gdy masa pode-schła, odcisnął w niej sygnet z inicjałem, posmarowany najpierw kroplą oliwy, żeby lak do niego nie przywarł. Z listem w ręku wyszedł z domu i wsiadł do samochodu. Na chwilę zatrzymał się przed skrzynką pocztową, wrzucił kopertę i ruszył do centrum.

Cały dzień ciężko pracował. Prześledził na planie wszelkie zmiany w historycznej zabudowie miasta, robiąc przy tym szkice na kalce. Zgromadził wszystkie dostępne informacje o rodzie Casadevallów. Odświeżył swoją wiedzę na temat kabały, zaglądając do ksiąg zajmujących honorowe miejsce w jego bibliotece, mało komu znanych, a tak ważnych w tym konkretnym przypadku. Wnioski, jakie wyciągnął, potwierdziły wiarygodność większości zawartych w tekście tajemnic. By sprawdzić prawdziwość niektórych ze swoich hipotez, zadzwonił do Samuela, który dał mu parę wskazówek, dość ogólnych, ponieważ Artur zadawał mu mgliste i nieprecyzyjne pytania. Wreszcie, zdobywszy różnorodne dane z pozoru pasujące do siebie, odłożył słuchawkę, zostawiając starego przyjaciela w pół słowa. Wiadomości uzyskane od Samuela potwierdzały w sposób wystarczający jego

³ Zbiór cnót chrześcijańskich jezuita Alonsa Rodrígueza (przyp. tłum.).

przypuszczenia. Rozmowa przyczyniła się do ocieplenia stosunków, dość chłodnych na skutek piątkowej wymiany zdań.

Powinien mieć większą wiedzę o Casadevallu. W tym celu postanowił przejrzeć stare księgi w archiwach katedry w Barcelonie oraz arcybiskupstwa. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i poczekać do poniedziałku - pomyślał. Zamierzał stworzyć szkic charakterologiczny postaci mistrza budowlanego Casadevalla. Wymóg ten uznał za niezbędny przy prowadzeniu dalszych badań. Był pewny, że dzięki nowym danym uda mu się osiągnąć zamierzony cel. Powoli zaczął sobie uświadamiać, o co właściwie chodzi, cieszyła go tajemnica, jaka stopniowo odkrywała się na jego oczach. Niecierpliwie czekał na rozwiązanie zagadki.

Gdy wreszcie trafił na konkretny ślad, na dworze już od dawna panowały ciemności. Umieścił na półce sprytnie zakamuflowaną w cudzych okładkach księgę i zaczął zbierać się do wyjścia, gdy usłyszał stłumione pukanie w szybę w drzwiach. Panujący w sali mrok nie pozwalał dostrzec z wysokości antresoli osoby przed drzwiami. Mimo podeszłego wieku Artur nie był strachliwy.

- Kto tam?

- To ja, Arturze. Tylko na chwilę, musimy porozmawiać. Zaniepokojony późną porą Artur od razu rozpoznał głos nieoczekiwanego gościa.

- Nie mogę uwierzyć, że przychodzisz niemal w środku nocy.

- Zaraz ci wyjaśnię. Mam nadzieję, że pomożesz mi rozwiązać pewien problem.

- Wejdz, proszę, spróbuję ci pomóc. Zapraszam na górę, jestem w gabinecie - powiedział, wciskając guzik odblokowujący drzwi.

Ciemna, niewyraźna postać przemknęła ostrożnie do wnętrza, ominęła zręcznie porostawiane w sklepie cenne przedmioty i wspięła się po schodach.

- Widać z ulicy, że jeszcze pracuję? - spytał podejrzliwie Artur.

- Poprzez żaluzje prześwieca światło. Można pomyśleć, że jeszcze pracujesz, co prawda trochę to dziwne, bo jest już bardzo późno, albo że niechący zostawiłeś palącą się lampę. Widzę jednak, że siedzisz przy biurku nad robotą.

- Dobrze wiesz, że praca to moja starcza przywara. A dzisiaj natrafiłem na pewien cenny trop, klucz do zagadki, którą ostatecznie spróbuję rozwikłać jutro.

- Jaki klucz? O jaką zagadkę chodzi?

- Ukrytą w rękopisie - z tajemniczym uśmiechem odpowiedział Artur. - Zachowam sekret dla siebie, póki nie sprawdzę jego prawdziwości. Na razie nic więcej nie mogę powiedzieć. - Odwrócił się tyłem i starannie układał kartki z zapiskami w szufladzie biurka. - W czym mogę ci pomóc?

- W niczym - uciął krótko tajemniczy gość.

Ciemna postać stojąca za Arturem złapała ciężki marmurowy przycisk do papieru, podniosła oburącz w górę i z całej siły uderzyła, celując w głowę staruszka, który w tym samym momencie wyprostował się, zaskoczony dziwną odpowiedzią nieproszonego gościa. Może na skutek tej niespodziewanej zmiany pozycji przycisk trafił nie w skroń Artura, lecz w obojczyk. Głuchy trzask miażdżonych kości odbił się echem w sklepie. Antykwarisz stracił równowagę i upadłby na podłogę, gdyby pod wpływem siły ciosu nie wylądował na biurku. Odwrócił się jeszcze. Jego lewe ramię zwisało bezwładnie wzdłuż tułowia. Twarz wyrażała nie tyle ból, ile absolutne zaskoczenie.

Morderca chłodno i beznamiętnie uniósł w górę ciężki przycisk. Artur próbował zdrową ręką uchronić głowę przed ciosem. Z zakrwawioną twarzą upadł na podłogę. Lodowaty marmur pozostawił ciągnącą się od czoła aż po ucho ranę, z której obficie spływała krew. Staruszek, ciężko dysząc, podniósł się i dowlókł do schodów, gdzie czekał na niego zabójca. Jedno spojrzenie w jego zimne oczy uświadomiło Arturowi, że czeka go nieuchronne spotkanie ze śmiercią.

- Dlaczego? - wyszeptał ledwie słyszalnym głosem. - Dlaczego?

Morderca po raz trzeci uniósł przycisk i tym razem uderzył celnie. Siła uderzenia rzuciła Artura na barierkę, która pękła pod jego ciężarem. Ciało runęło w dół i spadło z hukiem na marmurowy stół ołtarzowy, przeniesiony ze starego opuszczonego kościoła, będący zarazem główną ozdobą sklepu i ladą dla eksponatów. Napastnik zbliżył się ostrożnie do spoczywającego na ołtarzu ciała. Panującą w sklepie ciszę zmącił jego triumfujący głos.

- Bo to, co znalazłeś, musi należeć do mnie - powiedział do bezwładnie leżącej ofiary, która już nie mogła usłyszeć jego słów.

Morderca zabrał plik kalek technicznych ze szkicami Artura sporządzonymi podczas weekendu. Potem wyjął zapiski z szuflady biurka. Na próżno przetrząsał biuro w poszukiwaniu księgi.

Rozdrażniony, zrzucił na podłogę zalegające na biurku wolumeny, ale wśród nich również jej nie znalazł. Znowu spojrzął na antyk; stare sekretery zazwyczaj miały skrytkę do przechowywania ważnych dokumentów, a nawet książek o niewielkich rozmiarach. Szuflady z prawej strony udało się otworzyć, ale jedna z lewej strony pozostała zamknięta. Przeszukał wnętrze szuflad i szybko znalazł mechanizm otwierający skrytkę. Pod zdobieniem z boku biurka kryła się szuflada, która powoli wysunęła się na zewnątrz. Ku swemu rozczarowaniu tam także niczego nie znalazł.

Podenerwowany, zaczął ponownie przetrząsać szuflady i rozrzucone na podłodze książki, niestety nadaremnie. Zniecierpliwiony, ciężko dysząc ze zmęczenia, kopnął ulubiony fotel Artura.

Rozejrzał się po półkach stojącej w biurze antykwariusza biblioteczki. Dwukrotnie sprawdzał widniejące na grzbietach tytuły, ale tam także nie było księgi.

- Cholera jasna! - zaklął pod nosem. - Pewnie zabrał ją do Vallvidrery. Już nic nie można zrobić, chyba że...

Stłumiony jęk przerwał jego słowa. Zgasił lampę w biurze i zszedł po schodach. Stwierdził z zaskoczeniem, że jego ofiara, choć nieprzytomna, nadal żyje. Nad ołtarzem, tworząc jakby niewielkie panoplium, w pochwach z masy perłowej wisiała kolekcja srebrnych noży do rozcinania kopert. Te piękne okazy rękodzieła czekały na kupca, trafiły zaś w ręce mordercy. Złapał najdłuższy z nich i wbił Arturowi w plecy, między żebra, dokładnie tam gdzie znajduje się serce.

- Nie mogę zostawić cię żywego - wyszeptał. - Zresztą przedłużanie agonii pokonanego wroga nie przynosi chwały zwycięzcy.

Odczekał parę minut. Upewniwszy się, że ofiara nie żyje, przeszukał kieszenie marynarki i wyciągnął pęk kluczy. Ostrożnie wyjrzał na ulicę, mżyło i jak można było oczekiwać, ulica była zupełnie pusta. Z pochyloną nisko głową, kryjąc twarz pod kołnierzem płaszcza, pospiesznie udał się w stronę portu.

2.

Młody, mniej więcej trzydziestopięcioletni mężczyzna siedział przed monitorem i powoli, mozolnie stukał w klawiaturę. Nagle, jakby poruszony nieoczekiwanym impulsem, przyspieszył. Litery pojawiały się na ekranie z niewiarygodną szybkością. Młodego człowieka ogarnął poryw natchnienia. Musiał go wykorzystać, świadomy, że zaraz może zniknąć. Był doświadczonym pisarzem i do perfekcji znał funkcjonowanie własnego umysłu: zwykle pracował wytrwale, acz wolno. Takie wzloty stanowiły najlepsze momenty w jego twórczości; nie mógł ich zmarnować.

Spod zmierzwionej kasztanowej czupryny oczy w tym samym kolorze śledziły z uwagą na monitorze słowa spływające spod jego palców na klawiaturę, w daremnym wysiłku, by nadażyć za nieograniczoną i niepohamowaną lotnością myśli. Co i rusz oblizywał delikatne wargi, jakby upajał się smakiem świeżo stworzonych i dobrze przemyślanych zdań.

W szalonym tempie pracował przez kilkanaście, najwyżej dwadzieścia minut. W tym czasie napisał jakieś dwie strony, które nieskromnie uznał za doskonałe. Już od tygodnia usiłował skończyć swoją szóstą z kolei książkę. Do ustalonego przez wydawcę terminu brakowało jeszcze dwóch miesięcy, a on nie potrafił dobrać odpowiedniego zakończenia. Akcja powieści rozwijała się samorzutnie, wbrew uprzednim zamierzeniom, co w jego karierze pisarskiej nie było wyjątkiem, i zmierzała w nieprzewidzianym kierunku. Za wszelką cenę starał się utrzymać zgodny z konspektem rozwój wypadków, ale musiał ustąpić wobec konieczności: nie istniało żadne inne logiczne rozwiązanie niż to, które wyznaczała akcja. Stwierdziwszy to, poddał się wienie i po kilku minutach osiągnął to, czego nie mógł dokonać przez ostatnie siedem dni.

Zanim wyłączył komputer, zgrał tekst na pendrive'a i zapisał kopię na backupie. Wstał, podszedł do okna i oparł szerokie czoło o chłodną szybę. Był wysokim mężczyzną - miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć centymetrów - o solidnej budowie ciała, ale przy jego wzroście kilkukilogramową nadwagą nie raziła, i ogorzalej twarzy. Rozpłaszczony o szybę wydatny orli nos sprawiał komiczne wrażenie. W tej niezbyt wygodnej pozycji stał kilka sekund, i jeśli sądzić po tu i ówdzie odcisniętych na szybie tłustych plamach, robił to regularnie. Przyglądał się własnemu odbiciu, jakby odległemu i zamazanemu, i tak właśnie postrzegał samego siebie. Wyglądał na zagubionego i taki wizerunek siebie pielęgnował w głębi duszy: człowieka powracającego z krainy marzeń, gdzie w gruncie rzeczy przebywał przez większość czasu, krainy tak odległej od rzeczywistości, że niemal doskonałej, co czyniło z niej poważną alternatywę dla życia w realu. Zmierzwione włosy, trochę zagubione spojrzenie głęboko osadzonych oczu, swego rodzaju abnegacja - miał na sobie zmiętą, granatową piżamę -

spowodowana niemal całkowitym oddaniem się pracy, zamknięciem się w samotności we własnym domu, te wszystkie cechy pozwalały mu rozpoznać siebie w niewyraźnym odbiciu. Tak, to był on: to samo wysokie, szlachetne czoło, dalekie spojrzenie dużych ciemnych oczu, szerokie, wyraźnie zaznaczone brwi, wąski nos, który on sam zawsze uważał za rzymski, raczej mocno zarysowane szczęki. Tak, to był on. Po raz kolejny powrócił ze świata fikcji, tego magicznego miejsca, w którym zatracił się przez ostatnie miesiące, całkowicie oderwany od prawdziwego życia.

Oczy uporczywie i bezwiednie przemykały po zatoce. Na czystym, bezchmurnym niebie mocno świeciło słońce. W takie dni jak ten największą przyjemność sprawiało mu podziwianie zatoki La Concha z okien własnego apartamentu. Na stokach wzgórza Igueldo, jednego z dwóch wzniesień otaczających burzliwe i nieprzewidywalne wody Morza Kantabryjskiego, w jednym z najpiękniejszych krajobrazów całego wybrzeża, Enrique powracał we wspomnieniach do dnia, w którym przeprowadził się do tego mieszkania. Pamiętał, jak po przenosinach przez parę miesięcy nie był w stanie napisać ani jednej linijki, z urzeczeniem wpatrzony w tajemniczą i niepokojącą ton zatoki. Postawił biurko przy panoramicznym oknie, przez które mógł podziwiać całą nadmorską część San Sebastián; wystarczyło podnieść głowę znad klawiatury, by wzrok zatonął w niepowtarzalnym krajobrazie. Było to uczucie tak nieodparte, że niejednokrotnie zastanawiał się, czy nie wrócić do dawnego mieszkania, gdzie piękno natury nie odrywało go od pracy. Bez wątplenia kontemplowanie uroków La Conchy wydatnie zmniejszało jego dokonania twórcze. W końcu po trzech miesiącach zdołał usiąść przed komputerem i przewyciężyć magnetyczną siłę, z jaką przyciągał go pejzaż za oknem. Oczywiście, wszystko ma swoją cenę, a tą, którą musiał zapłacić, była dość wysoka, niemniej jednak połączona z przyjemnością: udało mu się skupić nad pracą. Po jej zakończeniu nie mógł się jednak powstrzymać i godzinami przesiadywał w oknie, obserwując przyprływy i odpływy morza. Obawiał się, że jeśli tak dalej pójdzie, zmieni się w pustelnika.

Wyszedł na taras. Powiew świeżej północnej bryzy podziałał ożywczo i przywrócił go do rzeczywistości. Wbił badawczy wzrok w odległy horyzont i potwierdził swoje przypuszczenia: silny i stały wiatr podnosił spienione fale na morzu. Powodowany impulsem, szybko przebrał się w pierwsze lepsze znalezione w szafie ciuchy: dżinsy, sportowe buty, koszulkę polo i granatowy marynarski sweter. Z szuflady stojącej w przedpokoju komódki wyjął pęk kluczy. Zbiegł po schodach i w holu wpadł na listonosza rozkładającego pocztę do skrzynek lokatorów. Pod nazwiskiem Enrique Alonso leżały dwie grube koperty i plik listów. Wahał się przez chwilę, ale postanowił wyjąć je po powrocie. Wsiadł do starego samochodu, częściowo przeżartego rdzą zarówno przez wilgoć i częste opady deszczów, jak i ze względu na abnegację właściciela, i ruszył do centrum. Po kilku minutach zatrzymał swój skorodowany pojazd na parkingu przy bulwarze, tuż obok ratusza. Wysiadł z samochodu, nie zatrzymał się, żeby zatknąć kwit OC za szybę, i niemal biegiem dotarł do schodków na molo. Następnie, przeskakując z pokładu na pokład żaglówek, dotarł do swojej własnej, z dumnie wypisaną nazwą „Hispaniola”, na cześć statku, który w swej bujnej wyobraźni stworzył Stevenson. Tam otworzył jednym z kluczy luk do kokpitu i sprawdził deskę sterowniczą oraz radio: wszystko działało bez zarzutu. Wrócił na pokład i już zaczął odwiązywać linę, gdy doszedł go zachrypnięty głos:

- Patrzcie, patrzcie, kogo my tu widzimy! Toć to nasz sławny pisarz!

Z luku sąsiedniego jachtu wynurzyła się łysa głowa starszego, dobiegającego siedemdziesiątki mężczyzny, o twarzy ogorzalej od słońca i wiatru, ubranego w starą wypłowiałą koszulkę.

- Cześć, Mikelu, stary wilku morski! Zer moduz?⁴

- Oso ondo, stary druhu, oso ondo⁵. Słyszałem, że ktoś biegnie, ale nie sądziłem, że to ty. Można wiedzieć, gdzie się tak spieszysz, kolego?

- A gdzie mam się spieszyć? Na morze! - odparł z nieukrywanym zapałem Enrique. - Skończyłem pisać powieść i wreszcie mogę wypłynąć.

Mikel wybuchnął serdecznym śmiechem, którym zaraził swojego rozmówcę.

- Ależ stary, a jeśli wiatr nagle zdechnie? Powinieneś podejść do tego na luzie!

- Nic podobnego! - Szczery uśmiech Enrique'a, jak zawsze, natychmiast zmiękczył serce starego, steranego życiem rybaka. - Dwa miesiące nie pływałem. Przez cały ten czas siedziałem kołkiem w domu, a przez ostatni tydzień praktycznie nie ruszałem się od biurka, bo musiałem skończyć tę przeklętą książkę. Wreszcie wystukałem ostatnią kropkę i słowo „koniec”. Dzisiaj mam zamiar nadrobić zaległości. A zatem wskakuj do tej swojej łajby, którą dumnie zowiesz barkasem, i daj mi odbić.

⁴ Zer moduz? (bask.) - Jak się czujesz? (przyp. aut.).

⁵ Oso ondo (bask.) - bardzo dobrze (przyp. aut.).

- Dokąd się wybierasz? - spytał tym razem poważnie Mikel. - Od północnego zachodu zaczyna wiać jak cholera. W radiu podawali, że wieczorem wiatr jeszcze się zwiększy. Ponoć ma wiać szóstka. Fale wzrosną do trzech-czterech metrów. Idzie sztorm, i to z tych najgorszych. Nie muszą słuchać meteo. Moje zreumatyzowane kości same mi to mówią. Wierz mi, mam nosa.

* * *

Wysoki falochron podczas odpływów nie chronił twarzy Enrique'a przed coraz silniejszymi podmuchami wiatru, które rozbudzały w nim jeszcze większe pragnienie przeżycia morskiej przygody.

- Popłynę tam - odparł Enrique z widocznym błyskiem w oczach - gdzie mnie wiatry poniosą.

- Jak zawsze szalony - stwierdził Mikel. - Bądź ostrożny. Ten szkwał ma być groźny, może sprawić kłopot nawet najwytrawniejszym żeglarzom, uważaj na wywrotki. I nie wyłączaj radia!

Enrique pokiwał głową. Włączył silnik, zwolnił cumy trzymające „Hispaniolę” przy nabrzeżu i popłynął w stronę wyjścia z portu. Wciągnął żagiel na grotmaszt, potem genuę, zrobił jeszcze rundkę wokół zatoki na pożegnanie oraz w hołdzie dla otaczającego go wokół piękna, od stóp wzgórza Urgull aż po plażę Ondarreta i z powrotem, ominął mieliznę i wypłynął wprost na otwarte morze.

Trzy dni później dobił wczesnym rankiem z powrotem do portu w San Sebastián. Żeglował bez wyznaczonego kursu, pchany silnym wiatrem, jakby umyślnie zesłanym tylko dla niego. Tak jak przewidział Mikel, szkwał wzburzył fale i żeglowanie stało się karkołomnym zadaniem, ale trudności sprawiły, że jeszcze bardziej cieszyła go ta wyprawa, ponieważ wymagała niemałych umiejętności. Niewiele miał okazji do drzemki, ale to i tak wystarczyło, aby pozbyć się uczucia nieznośnego napięcia, spowodowanego ukończeniem kolejnej powieści. Nie czuł się wyczerpany, tylko znużony, choć z doświadczenia wiedział - tak było zawsze podczas poprzednich wypraw żeglarskich - że gdy tylko zawinie do portu, dopadnie go zmęczenie. Teraz jednak umysł miał odprężony i świeży. Znalazł nawet odpowiedni tytuł dla swojej książki, co zwykle przychodziło mu z trudnością, a wydawcy i tak potem zmieniali go na inny, ich zdaniem odpowiedniejszy. Ale nie tym razem - stwierdził z dumą. Tym razem zostawił ten tytuł.

W niewielkim porcie w San Sebastián niewiele było miejsc przeznaczonych do cumowania żaglówek. Żeglarskie pasje nie są zbyt popularne wśród Basków. Garstka zapaleńców, prawdziwych żeglarzy godnych tej nazwy, tłoczyła się daleko w głębi portu, burta przy burcie, na tak ograniczonej przestrzeni, że w innych portach cumowałyby tam jolki szkoleniowe. Enrique manewrował powoli i ostrożnie, zarzucił cumę, przyciągnął jacht do nabrzeża i uwiązał dziób „Hispanioli”. Pedantycznie poukładał liny na pokładzie i zamknął luk zejściowy do kokpitu. Po pokładach żaglówek doszedł do schodków prowadzących na pomost. Zanim dotarł do domu, wstąpił do małej cukierenki obok ratusza, gdzie kupił dwa razy tyle ciastek i słodyczy co zwykle. W drodze do Igueldo wywęszył w samochodzie dziwny smrodek i ku swemu zdziwieniu stwierdził, że to on jest jego przyczyną. Taka była cena za trzy dni wytężonego wysiłku bez wody i mydła, chociaż czasem obmywał się słoną wodą, ale szybko pocieszył się myślą, że dzięki temu jeszcze większą frajdą będzie kąpiel w wannie, do której zamierzał wskoczyć zaraz po powrocie do domu.

Sprawnie zaparkował przed wejściem do budynku. Wyjął listy ze skrzynki. Rzucił na nie okiem i szybko posegregował korespondencję na trzy grupy: nieciekawe, to znaczy pisma z banków, listy od wydawców i reklamówki; do przejrzenia, od nieznanomych - prawdopodobnie czytelników jego powieści; oraz ważne, od przyjaciół i znajomych pisarzy. Tak czy siak najważniejszy z nich był list od przybranego ojca, Artura Aiguadera.

Zrzucił z siebie przepocone ubranie i odkręcił kurek z gorącą wodą. W czasie kiedy wanna napelniała się wodą, pochłonął wszystkie ciastka i pootwierał koperty. Zawsze rozpoczynał od tych nieciekawych: wolał najpierw przełknąć łyżkę dziegciu, aby potem rozkoszować się przyjemnością płynącą z listów, które go naprawdę interesowały. Zanim zanurzył się w gorącej wodzie, złożył na kupkę rachunki i faktury do zapłacenia, opłaty hipoteczne, stan konta, wyciągi bankowe i tym podobne. Kiedy indziej otworzyłby listy od swoich czytelników, ale tym razem kusząca perspektywa spędzenia długiej i miłej chwili w odprężającej kąpeli sprawiła, że wziął list od ojca i rozkruszył pieczęć z laku, którą staruszek pragnął okazać styl, klasę i głębokie przywiązanie do tradycji. Wszedł ostrożnie do wanny, żeby nie zachłapać kartek.

Czytał uważnie, bo zazwyczaj długie i wyczerpujące listy od ojca, przetykane inteligentnymi i żartobliwymi uwagami, stanowiły idealną miksturę kultury i ploteczek, zdolną zadowolić najwybredniejszego czytelnika. Jeśli dodać do tego synowskie uczucia, jakimi Enrique darzył Artura, właściwie nic na świecie nie mogło go oderwać od lektury listu. Pokonał ogarniającą go senność.

Zawsze uważał, że ojciec powinien się poświęcić pisarstwu, ale Artur twierdził, że pasjonuje go przeszłość, a ta już nikogo nie obchodzi. Jedynie oddawanie się pasjom: historyka, antykwariusza i bibliofila dostarczało mu prawdziwej satysfakcji i właśnie dlatego poświęcił się tym dziedzinom.

Kochany synu!

Przede wszystkim przepraszam za zwłokę w odpisaniu na Twój ostatni list, który otrzymałem już dawno temu. Z jednej strony powodem tego jest, jak to czasem bywa, zaniedbywanie spraw osobistych, a z drugiej - nadmiar pracy. Dobrze wiesz, że łączące nas więzi są znacznie głębsze i bogatsze niż zwykle związki krwi, a jednak trudno było mi dotrzymać danego słowa i odpowiedzieć na Twój list w czasie krótszym niż parę miesięcy. Wybacz mi, proszę, a jednocześnie przyrzekam, że tak wielka zwłoka już się więcej nie powtórzy, i mam nadzieję, że nie sprawię Ci zawodu. Przy okazji jeszcze raz potwierdzam moją szlachetną wolę przywiązania do słowa pisanego, nie zamierzam bowiem uciekać się do nowoczesnych wynalazków, takich jak poczta elektroniczna, z pewnością bardzo pożyteczna, ale odbierająca urok wyjątkowości drobnym życiowym sprawom. A zatem musisz pogodzić się z resztkami wspaniałej przeszłości, cudem przetrwałymi w epoce bylejakości, do której zawiodła nas źle pojęta nowoczesność.

Ale zmieńmy temat, zapomnijmy o śmiesznośkach i przywarach starszego pana, który tak bardzo Cię kocha. W swoim liście przedstawiłeś mi zarys - i to wcale nie powierzchowny, jak wynikałoby z definicji tego słowa - treści oraz charakteru bohaterów Twojej nowej powieści. Według mnie wybrałeś naprawdę interesujący temat, z pewnością oryginalny i do tej pory rzadko poruszany w literaturze: „zbadanie związku dwojga ludzi podlegających różnym napięciom, analiza ich uczuć i zachowań, tak jakby chodziło o króliki doświadczalne”. Interesujące, i to nawet bardzo.

Czyżbyś uważał, że możesz swobodnie manipulować swoimi bohaterami? Poruszanie tematów, których nigdy wcześniej nie zgłębiałeś, świadczy o zupełnym braku rozwagi z Twojej strony i tylko naiwny umysł, słabo wykształcony i ograniczony, taki jak Twój, mógł się porwać na coś podobnego. Brak rozsądku może doprowadzić Cię do nieszczęścia. Nigdy nie wyróżniałeś się nadmierną rozwagą przy nawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków międzyludzkich -chodzi mi przede wszystkim o związki uczuciowe - a zamierzasz zapuszczać się na nieznany teren? Wspecjalizowałeś się w robieniu takich rzeczy, których nie należy robić, bo można zepsuć wszystko. (A przy okazji, jak się czuje Bety? Czy masz od niej jakieś wiadomości?). A zatem Twój zamiar przeprowadzenia naukowej i rzeczowej analizy związku dwojga ludzi wydaje mi się - wybacz, że to powiem - niewykonalny. Jeśli Twój wydawca dał Ci carte blanche w doborze tematów, nie mam najmniejszych wątpliwości, że jest równie szalony jak Ty... albo jest Ci coś winien i dlatego ulega Twojemu kaprysowi.

Wyobrażam sobie, jak siedzisz przed komputerem i usilnie próbujesz stworzyć wątek przykuwający uwagę czytelnika, i wtedy przychodzą mi na myśl wyprawy śmiałków (choć, prawdę mówiąc, byty to hałastry zbójów spragnionych grabieży i gwałtu), tak zwanych odkrywców Nowego Świata z początków XVI wieku, ale nie tych, którzy osiągnęli postawiony sobie cel, to znaczy: Pizarro, Cortes, Jimenez de Quesada, tylko nieudaczników, na przykład Dortal, Ordas, Dalfinger, Federmann, Benalcazar... - pamiętasz jeszcze Twoje ulubione opowieści, które snułem, ledwie od ziemi odroślesz? - a zatem ekspedycje zakończone kompletnym fiaskiem. Ci nieszczęśnicy sami nie wiedzieli, dokąd zmierzają, czasem ledwie kilka dni marszu dzieliło ich od upragnionego celu, i zamiast do wymarzonego eldorado trafiali na niegościnne pustkowia, gdzie przydarzały się im wszelkie możliwe nieszczęścia, i wreszcie spotykał ich jedyny i ostateczny koniec, taki zresztą, jaki czeka nas wszystkich. Oczywiście będziesz gorączkowo poszukiwał, ale nie znajdziesz swego ceiu, po prostu dlatego, że jest on poza Twoim zasięgiem.

Przychodzi mi też na myśl inny powód Twojego daremnego przedsięwzięcia: Czy przypadkiem przyczyną tego nie są Twoje osobiste przejścia? Czy nie pragniesz przemycić na stronach powieści swoich prywatnych problemów, własnych nieszczęść i rozterek, przekształcając w ten sposób to, co miało być zwykłym zamierzeniem literackim w próbę wyjaśnienia bądź zgłębienia Twoich kłopotów? Wcale by mnie to nie zdziwiło, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę Twoją naturalną skłonność do samousprawiedliwiania się. Zawsze byłeś zbyt pobłażliwy wobec siebie, powtarzałem Ci to niejednokrotnie, odkąd mogliśmy rozmawiać na podobne tematy. Poza tym, jeśli zaakceptujesz siebie i to, kim jesteś, zamiast zgłębiać to, kim mógłbyś być, Twoja pozycja w literackim świecie bez wątpienia niepomniernie wzrośnie i wprawi w zachwyt zarówno krytykę, jak i czytelników. A więc walcz, mój drogi, nie zadowolaj się sławą dobrego pisarza wśród równych sobie, ciągle z dala od Olimpu, gdzie trafiają naprawdę Wielcy.

Nie wiem, w jakim miejscu Twojego zamierzenia będziesz się znajdował, kiedy mój list dotrze do Ciebie: może już zdołasz ukończyć swoje dzieło i moje pesymistyczne przewidywania okażą się spóźnione, ale takie rozwiązanie akurat by mnie ucieszyło. Może też się zdarzyć, i to jest znacznie gorsza ewentualność, że moje prognozy okażą się trafne w całej rozciągłości. W takim przypadku mogę Ci służyć pomocą, tak jak wtedy, kiedy pojawiłeś się w Barcelonie z maszynopisem Twojej drugiej książki - a może trzeciej, już zaczynam się gubić w rachubach - z prośbą, żebyśmy przejeździł go razem. Powiadom mnie o tym jak najprędzej, nie idź w ślady roztargnionego, zapominalskiego starca.

A teraz odłóżmy na bok kwestie literackie i przejdźmy do spraw przyziemnych. Musisz wiedzieć, że już od czterech miesięcy pełnię funkcję wiceprezesa stowarzyszenia barcelońskich antykwariuszy. Od wielu lat zwracali się do mnie z propozycją, abym przyjął to stanowisko, ale za każdym razem odmawiałem. Dobrze wiesz, że nie lubię figurować na tablicach honorowych ani chwalić się nadętymi tytułami, które niczemu nie służą. Sytuacja naszego gremium staje się coraz bardziej dramatyczna, mam na myśli nieumiejętność przystosowania się do nowych czasów. Rynek nie jest tak chłonny, by pomieścić starych antykwariuszy i chmary nowych, od niedawna działających w dzielnicy gotyckiej. Ostatnio otwarto tyle nowych sklepów, że Carrer de la Palla przypomina arabski suk. Wiele sklepów sprawia wrażenie, jakby służyły za przykrywkę do prowadzenia innej działalności. Wolałbym tego nie komentować, nie mogę jednak milczeć: plotki krążące w naszym środowisku mówią o praniu brudnych pieniędzy, pochodzących z nielegalnych interesów, i chyba lepiej nie dociekać, jakich, bo możemy dotknąć niezbyt przyjemnych spraw.

Wystrój i estetyka wnętrza tych nowych sklepów, starannie urządzonych i zadbanych, są bez zarzutu, natomiast poziom profesjonalnej obsługi - fatalny. Aż trudno uwierzyć, że są to nasi koledzy po fachu, świeżo wprowadzeni w świat antyków, w którym, jak z pewnością wiesz, wszyscy się dobrze znamy. W tych wyjątkowych okolicznościach zgodziłem się tymczasowo objąć wakaty w radzie zarządzającej naszego stowarzyszenia. Może dowiem się czegoś więcej o sponsorach i inwestorach nowych antykwariatów. Stary Puigventós nalegał na to, bo sądzi, że ze względu na „moje doświadczenie zawodowe, umiejętności i kontakty” jestem najodpowiedniejszą osobą. Ciekawe, o jakie kontakty chodzi; dwa pierwsze warunki akurat nie budzą moich obiekcji. Być może ma rację, ale zaszczyc to dla mnie wątpliwy.

Na razie moje wstępne dochodzenie nie doprowadziło do żadnych konkretnych wniosków. Pamiętasz komisarza Fornellsa, tego pulchnego jegomościa, ceniącego sobie uroki życia, z którym dzieliłem wspólne chwile za szkolnych czasów? Teraz pracuje w komisariacie na Ravalu. Otóż nawet on, chociaż naprawdę ma bogate kontakty, nie zdołał niczego wyjaśnić. A jeśli on nic nie wskórał, musimy zwrócić się o pomoc do wyższych instancji, gdyż ewidentnie chodzi tu o coś więcej niż tylko o zwykłą lokalną mafię. Fornells omawiał już ten przypadek z kolegami z Wydziału Przepływów Gospodarczych w Komendzie Głównej Policji, którym dostarczyłem wszystkie dostępne dane na temat nowych antykwariatów. Obiecano przeprowadzić „czynności śledcze”. Dodam jeszcze, że nie licząc Fornellsa i kilku jego kolegów ze starej gwardii, nowi stróże porządku publicznego to banda technokratów, wyglądają jak sklonowani, niczym się między sobą nie różnią, zarówno pod względem języka, jak i manier. Mówią to samo i tak samo się zachowują. Mam nadzieję, że śledztwo okaże się skuteczne i pomoże zdemaskować nowych kupców, zanim jakiś grubszy szwindel zepsuje opinię całemu naszemu środowisku.

Żegnaj się już, mój drogi synu. Pamiętaj, odpisz jak szybciej. Twoje listy są prawdziwą przyjemnością dla starego antykwariusza.

Kochający Cię

Artur

PS. Kreślę te parę zdań kilka dni po skończeniu listu, tuż przed wysłaniem. Niedawno nabyłem ruchomości pochodzące ze starego majątku ziemskiego, należącego do zanego katalońskiego rodu Berguésów. Wśród zbiorów bibliotecznych znalazłem coś niewiarygodnego, co z pewnością zaspokoi oczekiwania i nadzieje starego antykwariusza. Na razie nie mam odwagi zdradzić Ci, co odkryłem, ponieważ są to zaledwie hipotezy. Muszę sprawdzić, czy nie jest to wytwór imagacji starszego pana, i potwierdzić ich prawdziwość. Z jakiegoś powodu, którego sam nie potrafię zrozumieć, czuję się niespokojny. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od wielu lat i ten lęk całkowicie mną zawładnął. Jeśli coś mi się stanie - sam nie wiem co - jakieś nieszczęście, które przytrafia się starym ludziom: udar, zawał czy coś w tym rodzaju, proszę Cię, abys przeczytał pierwszy tom Exercicio de Perfección. Tam znajduje się dokładna wskazówka potrzebna do kontynuowania mojej pracy. Znajdziesz tę księgę na półce w biblioteczce antykwariatu.

Sam nie wiem, czemu Ci o tym piszę. Tak jakby miało mi się coś stać. Co za nonsens!

Ściskam serdecznie, Artur.

Enrique skończył czytać list z uśmiechem na ustach. Jak zwykle komentarze Artura, niepozbawione subtelności poczucia humoru, okazały się trafne i celne. Rzeczywiście nie potrafił zapanować nad uprzednio zaplanowanym rozwojem akcji powieści. Stracił mnóstwo czasu, zanim stwierdził, że wykonana praca jest pozbawiona jakości i spójności, a rezultat nijaki. W końcu musiał zacząć wszystko od nowa, opierając się na prostym schemacie, jaki wskazał mu jego przybrany ojciec. Ież mitręgi by zaoszczędził, gdyby wcześniej otrzymał ten list! Bez wątplenia Artur świetnie go znał, lepiej, niż wielu ojców zna swoich rodzonych synów. I prawdopodobnie kochał go znacznie mocniej, niż dawał to odczuć.

Najbardziej zaintrygowało go zakończenie listu, a właściwie postscriptum. Co to za tajemnicze odkrycie? Musiało to być coś bardzo ważnego. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, aby jego przybrany ojciec stracił opanowanie i okazał niepokój w tak ewidentny sposób jak w dopisku: „Jeśli coś mi się stanie...”. Co miało mu się stać? Może Artur boi się, że umrze, zanim przedstawi ostateczny wniosek w jakiejś ważnej kwestii. W końcu lata lecają. Stan jego zdrowia był jednak niemal idealny i przecież nie był aż taki stary, aby sądzić, że wybiła jego ostatnia godzina. Odkrycie musiało być naprawdę wyjątkowe, skoro Artur odczuwał tego typu obawy. Tajemnica rozbudziła umysł pisarza, zawsze skorego do wykorzystywania nieprawdopodobnych wątków i sytuacji, choć tym razem Enrique był zbyt zmęczony, aby to przemyśleć.

Przeczytawszy ponownie postscriptum, położył list przybranego ojca na umywalce. Siedział w wannie już od dłuższej chwili i woda zaczęła stygnąć. Właśnie wycierał się ręcznikiem kąpielowym, gdy usłyszał dzwonek telefonu. Chciał go zignorować, ale nie zdążył podłączyć sekretarki automatycznej, zresztą osoba, która dzwoniła, była dość uparta, wobec tego po dziesiątym sygnale postanowił odebrać.

Rozsiadł się na kanapie. Złotawe, ciepłe promienie słońca rozświetlały salon. W słuchawce rozległ się kobiecy głos, ukochany, a zarazem zniechęcony, a przede wszystkim ku jego ubolewaniu - wytęskniony.

- Enrique? Jesteś tam? Wreszcie cię zastałam.

- Witaj, Bety. - Znużenie trzydniową żegluga dołączyło do uczucia niechęci, że to właśnie ona dzwoni. - Co się stało?

- Gdzie się podziewałeś? - Nie kryła złego humoru. - Od dwóch dni próbuję cię złapać!

- Takie to dla ciebie ważne, gdzie byłem? - odpowiedział Enrique.

Rzadko i niechętnie utrzymywał kontakty ze swoją byłą, nie mieli dzieci, które by ich łączyły, i chociaż spotykając się na ulicy, witali się uprzejmie, za wszelką cenę starali się siebie unikać.

- Odupuś sobie. Jeśli do ciebie dzwonię, to nie po to, aby prowadzić głupie rozmowy, które tak świetnie nam wychodziły, kiedy byliśmy razem.

- Ciekawe, co masz mi do powiedzenia - zaczął Enrique, zdając sobie sprawę, że w ten sposób daje początek zimnej wojnie.

Za nic na świecie nie chciał kłócić się z Bety, ale od rozwodu nie umiał się opanować. Nagromadzone w nim żal i uraza, wywołane rozstaniem z powodu niezrozumienia jej potrzeb, sprawiły, że nie potrafił traktować byłej żony jak przyjaciółki.

- Posłuchaj, Enrique: chciałam ci to powiedzieć delikatnie, ale jak widzę, nadal wojujesz ze sobą i z całym światem, a zatem powiem ci to bez ogródek. Artur nie żyje.

Wiadomość przekazana przez Bety w sposób suchy, kategoriyczny i definitywny zupełnie go zaskoczyła. Zastygł z otwartymi ustami i nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

- Enrique? Dobrze się czujesz? - zapytała Bety po długiej chwili ciszy. Milczał. Stał przy oknie, z którego roztaczał się widok na zatokę, ze wzrokiem utkwionym w odległym paśmie gór wyłaniającym się na drugim brzegu i nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, zresztą wątpił, by takie istniały.

- Enrique? Enrique?! - powtarzała zaniepokojona Bety.

- Tak... - Zawiesił głos. Nic więcej nie mógł powiedzieć.

- Ja... przepraszam. Nie powiedziałam ci tego, tak jak zamierzałam, ale... dobrze wiesz, że pewnych spraw i sytuacji nie znoszę. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Nie przejmuj się. Rozumiem. Chodzi o to, że...

Nie potrafił się skupić. Prześladowały go słowa, jakie przeczytał jakieś dziesięć minut temu w postscriptum. Artur nie żyje! Jak to? Kiedy umarł? Przypomniał sobie list i aż wzdrygnął się na myśl o proroczych głowach ojca w zdaniu: „Jeśli coś mi się stanie”. Tyle razy drwił z ludzi wierzących w przeczucia, w zjawiska paranormalne, w nieprzenikniony świat przepowiedni!

- Enrique... wiem, jak się czujesz. Pamiętam, ile dla was obu znaczyła wzajemna miłość i przyjaźń. Jeśli wolisz, zadzwoń do mnie później. Będę w domu.

- Nie, nie... opowiedz mi, co się stało.

- Jeszcze nie wiem nic pewnego. W poniedziałek rano sklep był zamknięty, ale nikogo to nie zdziwiło. Alarm wszczął po południu Samuel Horowitz, gdy dostrzegł przez okno Artura leżącego na starym ołtarzu. Najprawdopodobniej spadł z góry. Ktoś wezwał policję. Otwarto sklep, ale nikomu nie pozwolono wejść. Nie to jest najgorsze, Enrique...

Bety zamilkła. Nie wiedziała, jak powiedzieć mu, co się stało.

- Nie?

- Nie. Artur został zamordowany.

- O Boże - wymamrotał zupełnie zagubiony Enrique.

Bety wyrzucała sobie, że przekazała mu tę wiadomość w taki suchy i pozbawiony empatii sposób. Wiedziała, że niezależnie od słów rezultat byłby taki sam, bo Enrique kochał przybranego ojca mocniej, niż większość dzieci kocha swoich prawdziwych rodziców. Żałowała, że nie poinformowała go o tragedii inaczej, spokojniej, sprawiając mniejszy ból.

- Może powinnam była powiedzieć ci to osobiście - stwierdziła, żywiąc nadzieję, że będzie mu potrzebna.

- Dobrze, jeśli chcesz, wpadnij.

- Numer trzydzieści sześć, prawda?

- Tak.

- Będę za jakieś dwadzieścia minut. Uspokój się. Zaraz przyjadę.

Enrique nic nie odpowiedział. Minęło kilka sekund, nim monotony sygnał przerwanej rozmowy telefonicznej przywrócił go do rzeczywistości. Wytarł się do sucha i włożył czyste ubranie. Nie potrafił myśleć jasno. Tysiące myśli krążyło bezładnie w jego głowie, rodziły się nedorzeczne hipotezy, które starał się odrzucić, ale na ich miejsce natychmiast pojawiały się nowe. Otworzył buteleczkę koktajlu czekoladowego i popijając go, usiadł na leżaku na tarasie. W głębi duszy pragnął, żeby to okazało się złym snem, absurdalnym koszmarem, wywołanym znużeniem i wybujałą wyobraźnią, majakiem sennym, w którym ujawniły się wszystkie jego najgłębiej skrywane lęki. Ale to nie był sen. Słońce ukryte za delikatnym woalem mgły już nie grzało, lecz Enrique nawet nie czuł chłodnych podmuchów północnego wiatru.

Z odrętwienia obudził go dzwonek do drzwi. Weszła Bety, piękna jak zawsze. Znajome długie złotawe włosy z krótką grzywką, wielkie zielone oczy, lekko podkreślone, by je uwydatnić, wypukłe, namiętne usta, klasyczny owal twarzy, smągła, delikatna cera... W prostym, świetnie skrojonym kostiumie, bez wątplenia dobrej firmy, wyglądała jak zwykle elegancko. Wyjątkowo miała na nogach szpilki, przez co sprawiała wrażenie jeszcze wyższej. Niezależnie od okoliczności, czego zresztą Enrique był absolutnie świadom, wyglądała olśniewająco.

- Witaj - powitała go ciepłym głosem i mocno przytuliła.

- Cześć - odpowiedział obojętnie, obejmując ją bezwiednie. Kiedyś to ciało budziło w nim pożądanie, dziś już wcale.

- Wpuścisz mnie do środka? - To zdanie wypowiedziane innym tonem stanowiłoby zapewne wyzwanie do bitwy, ale tym razem było szczerym zaproszeniem do rokowań pokojowych.

- Ależ oczywiście, proszę bardzo. Czuję się po prostu... sam nie wiem, pogubiony, skołowany.

- Trzymaj, wytrzyj łzy. - Podała mu chusteczkę.

- Jakie łzy? - spytał zdziwiony, póki nie zrozumiał, że twarz ma mokrą od łez.

Bety przejęła kontrolę nad sytuacją. Zamknęła za sobą drzwi wejściowe i sama znalazła drogę do salonu.

- Piękne mieszkanie - wyraziła swój zachwyt. - Dobrze ci się powodzi, skoro stać cię na taki apartament.

- Tak, całkiem nieźle. Ostatnia powieść rozeszła się w dużym nakładzie. Chyba słyszałaś? Absolutny sukces wydawniczy, a do tego przychylność krytyki.

- Sam je urządzałeś? - spytała, przyglądając się wykonanym ze szlachetnych odmian drewna antykom w eklektycznym połączeniu z nowoczesnymi meblami.

- Tak. Trochę to trwało, zanim znalazłem odpowiednie rzeczy, ale sam wszystko wymyśliłem.

- Wysmakowane i w dobrym stylu. Masz coś do picia? - Bety pragnęła rozpocząć poważną rozmowę, zamiast tracić czas na błahe i kurtuazyjne frazesy, nie wiedziała tylko, jak zacząć.

- Tak. To znaczy nie. Wiesz, w lodówce jest sok, mleko i chyba nic więcej.

- To wystarczy. Na coś mocniejszego jest za wcześnie. Gdzie...?

- Tamte drzwi - pokazał Enrique. - Zostań, sam przyniosę...

- Nie ma mowy - rzuciła rozkazująco. - Zaraz wracam.

I rzeczywiście, Bety wróciła w mgnieniu oka ze szklanką pełną soku ananasowego. Szperając w lodówce w poszukiwaniu ulubionego napoju, bezskutecznie zastanawiała się, jak zaoferować mu swoją pomoc. Wcale jej to nie zaskoczyło, bo już w drodze do niego szukała jakiegoś sposobu. Również nadaremnie. Usiadła obok Enrique'a i cierpliwie czekała, aż pierwszy się odezwie.

- Opowiedz, jak to się stało - powiedział w końcu.

Bety nabrała powietrza. Już kilkakrotnie wyobrażała sobie tę scenę, a teraz trudno jej było opowiedzieć wszystko spójnie i logicznie. Ona także była przejęta tym wydarzeniem, nie mogła wprost uwierzyć w tragiczną śmierć Artura. Prawdę mówiąc, kochała go jak własnego ojca. Istniejąca między nimi więź była znacznie głębsza niż ta zwyczajowo łącząca teścia i synową. Pewnie ze względu na niezwykłą dobroć i szlachetność antykwariusza.

- Sama dokładnie nie wiem. Policja próbowała skontaktować się z tobą jako jedynym bliskim krewnym Artura, a ponieważ nie mogli cię namierzyć, Samuel zadzwonił do mnie. Numer mojego telefonu otrzymał w sekretariacie uniwersytetu.

- Nie o to mi chodzi, powiedz, jak zginął.

- Samuel zobaczył zwłoki przez okno antykwariatu. Dla dobra prowadzonego śledztwa policja nie ujawnia szczegółów. Dowiedziałam się tylko, że Artur miał liczne obrażenia głowy oraz ranę kłutą na plecach.

- Cholera! To wszystko? Nic więcej nie wiesz?

- Sądzisz, że uznaliby za zasadne udzielić wyczerpujących informacji byłej żonie przybranego syna ofiary? Potrzebowali mnie tylko po to, by ciebie odnaleźć.

- Oczywiście, rozumiem - stwierdził, ale to nie była prawda. W gruncie rzeczy nic z tego nie rozumiał.

Przetań oczy; były spuchnięte i same zamykały się ze zmęczenia. Nigdy dotąd nie czuł się tak bardzo zagubiony. Nawet wspomnienie tamtej nocy, kiedy Bety powiedziała, że odchodzi od niego, nie było tak straszne, by zburzyć ład panujący w jego małym idealnym świecie.

- Kto zgładził takiego wspaniałego człowieka, jakim był Artur?

- Przepraszam, co powiedziałaś? - spytała zaskoczona Betty.

- Wybacz, po prostu myślałem na głos. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ktoś zabił starego antykwariusza.

- Kto wie... może, żeby go okraść... - spekulowała Bety.

- Każdy włamywacz, byle złodziejasek wie, że antykwariusze nie trzymają gotówki w sklepie. Ceny staroci są wysokie, nabywcy nie noszą takich kwot w kieszeni.

- Tak czy siak powinieneś pojechać do Barcelony. Tę sprawę powierzono komisarzowi Fornellsowi. O ile pamiętam, był starym przyjacielem twojego ojca. Chce jak najszybciej z tobą rozmawiać. Ja nie mogę odwołać zajęć ze studentami. Pomyśl tylko, to najgorsza pora w roku akademickim. Koniec seminariów i zbliżające się egzaminy. Załatwiłam już bilet lotniczy na dziś...

- O której godzinie jest lot?

- Punktualnie o piątej. Podrzucić cię? Wyglądasz na wykończonego, nie powinieneś sam prowadzić.

- Będę ci wdzięczny. Nie śpię od trzech dni.

- Byłeś na żaglach. Mam rację?

- To prawda.

- Nigdy się nie zmienisz - odpowiedziała z delikatnym uśmiechem Bety. - Mogę polecieć z tobą.

- Nie, nie chcę sprawiać ci kłopotu. Już i tak dużo dla mnie zrobiłaś.

- Mylisz się, to naprawdę nic takiego. Wyobrażam sobie, jak się czujesz. W końcu Artur cię wychowywał. Odkąd skończyłeś jedenaście lat, był dla ciebie ojcem i przyjacielem. Ja też go kochałam. Po naszym rozwodzie nadal utrzymywaliśmy kontakty, nalegał, żebym go traktowała jak przyjaciela, a nie jak byłego teścia. Mówię szczerze: jeśli mogę ci w czymś pomóc, powiedz.

Propozycja płynęła prosto z serca, nie wątpił w to. Jednak poczucie chłodnej i wyniosłej dumy nie pozwalało mu przyjąć pomocy od jedynej osoby, która mogła mu ją zaoferować. Rozstali się niedawno i zadawane sobie wzajemnie rany ciągle jeszcze były świeże. Między nimi wyrósł mur - według Enrique'a - nie do pokonania.

- Nie, Bety. Bardzo dziękuję, ale wolę być sam.

- Rozumiem - wyszeptala ze smutkiem i natychmiast przybrała pogodną maskę. - W porządku, w takim razie wykorzystaj ten czas na wypoczynek, wyśpij się i spakuj. Wpadnę po ciebie o wpół do czwartej. Na lotnisku załatwię w agencji zmianę nazwiska na bilecie.

Enrique wstał, żeby odprowadzić ją do przedpokoju, ale Bety się wymówiła.

- Nie ma mowy - powstrzymała go, kładąc mu ręce na ramionach - odpoczywaj, zbieraj siły. W najbliższych dniach będą ci bardzo potrzebne.

Wyszła. Widać było, że czuje się zraniona i jedna część jego duszy - ta mroczna - cieszyła się z tego, natomiast ta druga, uspiiona zmęczeniem i bólem, wołała tego nie dostrzegać. Po tylu latach nadal ją kochał, może nawet bardziej niż na początku.

Punktualnie o wpół do czwartej stała pod domem i dała dwa razy znać klaksonem, że już przyjechała. Enrique pokiwiał jej przez okno i po paru chwilach wyszedł z bramy z wielką torbą podróżną w rękę. Bety otworzyła drzwi od strony pasażera, Enrique wrzucił bagaż na tylne siedzenie i usiadł na fotelu obok niej.

- I jak się czujesz? - spytała.

- Źle. Położyłem się na chwilę do łóżka. Chciałem się przespać, ale nie mogłem zasnąć. Jestem zbyt zmęczony, bolą mnie wszystkie mięśnie.

- Zapnij pas - powiedziała.

- Wiesz, że nie lubię.

- Wiem, że nie lubisz, ale to mój samochód, więc przestań się kłócić. Powiedz, masz zamiar przez całe życie dyskutować ze mną na każdy temat? Dobrze wiesz, że kiedy prowadzę, lubię, jak pasażerowie mają zapięte pasy, a ty ciągle starasz się robić mi na złość! Czy tak trudno ustąpić w tak błahej sprawie?

- Nie, wcale nietrudno. - Był świadomy tego, że zachował się niestosownie. - Masz rację. - Natychmiast zapiął pas. - Bety, przepraszam. Nie jestem w najlepszej formie. Właśnie skończyłem moją nową książkę, przez ostatnie trzy dni żeglowałem w ekstremalnych warunkach. Doszedłem ze sobą do ładu i nie sądziłem, że zdarzy się coś takiego. Miałem ochotę wskoczyć do łóżka, zasnąć i spać jak suseł przez całą dobę bez przerwy.

- W porządku. Nie ma sprawy. Mamy mało czasu, pojedziemy autostradą.

W drodze ledwie zamienili ze sobą parę słów. Bety, żeby rozproszyć ponure myśli Enrique'a, wypytywała go o najnowszą powieść, ale on nie miał ochoty rozmawiać. Dalej prowadziła w milczeniu. Enrique zajrzał do schowka w poszukiwaniu kompaktów. Jeden z nich, z bołkami, nagrał osobiście tuż przed rozstaniem. Włożył go do odtwarzacza i wcisnął play. Pogrążony we własnych myślach, już niemal zapomniał, że właśnie przy tych dźwiękach po raz pierwszy się całowali. Szczerze mówiąc, zdziwił się, że Bety zachowała te melodie. Pewnie on by je wyrzucił, ale ona była zbyt pragmatyczna, by nadawać znaczenie takim błahostkom.

Zaparkowała przy samym wejściu do terminalu; miała ten szczególny dar znajdowania miejsca najbliższej punktu docelowego. Przy stanowisku linii lotniczych „Iberia” pracownica zmieniła na bilecie nazwisko pasażera. W oczekiwaniu na ogłoszenie odprawy zamówili kawę w barku.

- Komisarz Fornells prosił, żebyś jak najszybciej się z nim skontaktowała. Tu masz jego numer służbowy. - Podała mu karteczkę. - Gdzie się zatrzymasz? Muszę znać twoje namiary, Enrique. Chciałabym przyjechać na pogrzeb, ale obawiam się, że w ostatniej chwili będzie mi trudno rzucić wszystko.

- Jeszcze nie wiem, gdzie będę mieszkał. Chciałabym zatrzymać się w Vallvidrerze, ale boję się, że nie dam rady. Zobaczę, jak dotrę na miejsce.

- Pamiętaj, dzwoń na komórkę albo do domu i informuj mnie na bieżąco, co się dzieje.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że Fornells ma już jakiś trop, konkretny ślad pomocny w śledztwie. Wszystko ci opowiem.

Monotonny głos zapowiedział lot do Barcelony i wezwał pasażerów do odprawy. Pospiesznie dopili kawę i podeszli do jednego z dwóch przejść prowadzących do samolotów, odlatujących z niewielkiego lotniska Hondarribia w San Sebastián.

- Trzymaj się - pożegnała go Bety - I pamiętaj, dzwoń.

- Dziękuję za podwiezienie. Będę dzwonił.

Spojrzeni sobie w oczy. Bety w spontanicznym odruchu cmoknęła go w policzek. Enrique nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł dotyk tych pięknych, wydatnych ust, i przypomniały mu się szczęśliwe czasy. Pokiwała mu jeszcze ręką na pożegnanie i odeszła. Enrique ruszył do samolotu.

3.

Lot przebiegł bez zakłóceń. Pogoda była idealna i po niespełna pięćdziesięciu minutach samolot wylądował na lotnisku El Prat. Trochę czasu zajęło Enrique'owi wynajęcie samochodu. Musiał dysponować własnym środkiem transportu, żeby się swobodnie poruszać po tak dużym mieście jak Barcelona. Jeszcze z lotniska zadzwonił do komisariatu na Ravalu. Fornellsa chwilowo nie było, ale niebawem miał się pojawić. Enrique zostawił wiadomość, że jest już w Barcelonie i wkrótce stawi się na wezwanie. Potem wynajętym autem pojechał do centrum.

Jak przy każdym powrocie do rodzinnego miasta, bo pomimo lat spędzonych w San Sebastián tak zawsze traktował Barcelonę, w jego duszy zrodziło się trudne do określenia uczucie: tęsknota pomieszana z ulgą, że już nie należy do tego miejsca. To towarzyszące mu od lat wrażenie, niezależne od długości pobytu czy celu podróży, było zawsze tak samo intensywne i żywe jak pierwszego dnia. Mieszkał w tym mieście od urodzenia aż do ukończenia dwudziestu siedmiu lat. Przez szesnaście - odkąd zamieszkał w Vallvidrerze - miał je niemal pod stopami. Dziś wracał z pustką w sercu. Poprzednie wizyty były jak pielgrzymki dla wiernych wypełniających przykazania wiary: obowiązkowe, lecz radosne, oznaczały bowiem spotkanie z człowiekiem, który był jego ojcem chrzestnym i od jedenastego roku życia zastępował mu zmarłych rodziców. Do ustawicznej nostalgii odczuwanej podczas poprzednich przyjazdów doszedł ból po stracie przybranego ojca.

Prowadził ostrożnie i spokojnie, i to wcale nie z powodu radarów rozmieszczonych wzdłuż drogi. Okropnie się czuł, wracając do domu ze świadomością, że nie ma tam najważniejszej osoby, którą utracił na zawsze. Nie potrafił pogodzić się z wszechogarniającym go wrażeniem pustki. Do miasta dotarł obwodnicą wzdłuż wybrzeża, przy porcie dochodzącą do dolnej części Ramblas. Szybko dojechał do komisariatu i zaparkował tuż przed głównym wejściem.

Policja zajmowała trzy piętra gmachu, który w początkach minionego wieku był najbardziej imponującą budowlą najważniejszej w owym czasie dzielnicy Barcelony. Zachował się jeszcze okazały, elegancki portal, dziś ze śladami łuszczącego się, odpadającego płatem tynku, i strop na wysokości trzech metrów. Sąsiedztwo prywatnej uczelni oraz niektórych wydziałów państwowego uniwersytetu przyczyniło się do przełamania nastroju odwiecznej frywolności, charakterystycznej dla starych dzielnic portowych. Ciągle snuły się tu cienie starych wilków morskich, być może z nostalgii, a może z przyzwyczajenia, czy też po prostu zbyt starych i znużonych, by szukać nowych portów, gdzie sterani życiem znaleźliby wytchnienie. Komisariat nie był już co prawda jak dawniej tygłem, w którym aż wrzało od kołujących się interesantów wnoszących skargi, zabieganych oficerów śledczych, ale i tak biurka wszystkich inspektorów zarzucone były sprawami wymagającymi wielomiesięcznej, żmudnej pracy. Spytał dyżurnego policjanta o gabinet Fornellsa. Funkcjonariusz wskazał palcem pokój w samym końcu korytarza. Zanim zdążył zapukać do drzwi, zatrzymał go barytonowy głos:

- Komisarza nie ma.

Jakiś młody, niespełna dwudziestopięcioletni, dobrze zbudowany mężczyzna, nienagannie ubrany w porównaniu z resztą towarzystwa, spytał go li tylko dla formalności:

- Pan Alonso, pisarz, prawda?

- Tak.

- Pozwoli pan, że się przedstawię: inspektor Joan Rodríguez. Współpracuję z Fornellsem w sprawie zabójstwa pańskiego ojca.

- Miło mi. - Enrique machinalnie podał mu rękę i lekko uściśnił jego dłoń.

- Fornells powinien niedługo przyjść. Jest na naradzie koordynującej działania z dowódcą mossos katalońskiej policji. Dzwonił jakieś pięć minut temu i powiedział, że już wraca. Możemy poczekać w jego gabinecie - dodał i otworzył drzwi.

Enrique wszedł razem z inspektorem i przy okazji potwierdził swoje pierwsze wrażenie: Joan należał zapewne do grupy oficerów świeżo przeniesionych z oddziałów katalońskich mossos. Z wyglądu i sprężystej sylwetki przypominał raczej modela niż policjanta. Regularne rysy, wyważone gesty świadczyły o klasie i stylu. Młody człowiek emanował pewnością siebie i optymizmem. Skoro Fornells miał do niego tyle zaufania, aby powierzyć mu, mimo młodego wieku, tak poważną sprawę jak morderstwo Artura, musiał być naprawdę dobrym fachowcem. Rodríguez rozsiadł się wygodnie obok niego, na jednym z ustawionych przed biurkiem krzesel.

- Jestem do pana dyspozycji, mogę udzielić wszelkich informacji dotyczących śledztwa, ale najpierw muszę powiedzieć, że jestem namiętym czytelnikiem pańskich powieści.

- Bardzo mi przyjemnie.

Enrique odpowiedział uprzejmie i z szacunkiem, jak zawsze, gdy miał do czynienia ze swoimi wiernymi czytelnikami. W tym przypadku jego respekt był tym większy, że ten młody człowiek stanowił kontrast z klasycznym wizerunkiem gliniarza. Kolejne słowa Rodrígueza ostatecznie potwierdziły poprzednie wrażenie.

- Bardzo mi się podobała Sztuka niespełnionej miłości, ale prawdę mówiąc, wolę świat fantazji. Byłem zachwycony Ziemią marzeń. Chciałbym...

- Jeśli pan sobie życzy, mogę napisać dedykację.

- Nie chcę robić kłopotu, wiem, że to nie najlepszy moment.

- Ależ nie ma sprawy.

- Przyniosę książki z domu. Doprawdy jest pan bardzo uprzejmy. Przepraszam za tę dygresję. Jestem do pana dyspozycji - powtórzył. - Mogę zrelacjonować przebieg zdarzenia.

- Będę wdzięczny. Niewiele wiem. Od mojej byłej żony dowiedziałem się dziś rano, że Artur został zamordowany. I to właściwie wszystko.

- Dzwoniłem do pana wielokrotnie, i to o różnych porach, ale nie zastałem pana.

- Żeglowałem po morzu, mam mały jacht.

- Rozumiem. A zatem krótko streszczę, co się stało i czego się już dowiedzieliśmy.

- Bardzo proszę - zachęcił go Enrique. Rodríguez wyjął niewielki notes z kieszeni sportowej marynarki, przejrzał pobieżnie kilka stron i przedstawił suche fakty z charakterystycznym dla starych policyjnych wyg chłodem, kontrastującym z jego wyglądem nowicjusza.

- Autopsja wykazała, że zgon nastąpił w nocy z niedzieli na poniedziałek, około dwunastej trzydzieści. Pan Aiguader przebywał w sklepie do tak późnej pory z nieznanymi nam powodów, chociaż zgodnie z brzmieniem dość wiarygodnie informacją uzyskaną od jego przyjaciół, a mianowicie...

- sprawdził w notatkach - od Samuela Horowitza, Guillema Cardúsa i Enrica Tornera, z którymi pił kawę w piątek po południu, najprawdopodobniej wyceniał ostatnią partię towaru, zdaje się, że tak na to mówią. - Wypowiedziawszy te słowa, Rodríguez zamilkł na chwilę, jakby czekał na aprobatę.

- Proszę mówić dalej, słucham.

- To nie jest przyjemny opis.

- Wyobrażam sobie, ale chciałbym poznać szczegóły.

- W pewnej chwili ktoś wszedł do sklepu. Nie znaleźliśmy śladów włamania na drzwiach ani na żaluzji. To może wskazywać, że pański ojciec znał napastnika, chociaż co do tego nie ma absolutnej pewności. Równie dobrze mógł się zdrzemnąć, a ponieważ drzwi były otwarte, morderca swobodnie wszedł do środka. Przeszukując sklep, narobił hałasu. Zauważył, że pański ojciec się obudził, więc zdzielił go trzykrotnie marmurowym przyciskiem do papieru w głowę. W wyniku otrzymanych ciosów pan Aiguader spadł z antresoli, gdzie mieści się jego biuro, wprost na stół ołtarzowy na parterze sklepu. Tam napastnik dobił go nożem do rozcinania kopert. Ostrze przeszło serce. Zgon nastąpił natychmiast.

- Straszne - wyszeptał wstrząśnięty Enrique.

- Tak, śmierć zawsze jest straszna - dorzucił sentencjonalnie Rodríguez. - Szczególnie w tragicznych okolicznościach. Dobrze się pan czuje? - spytał, stwierdziwszy, że Enrique nagle zbladł.

Pisarz ukrył twarz w dłoniach. Detaliczny, suchy opis śmierci Artura wywarł na nim wstrząsające wrażenie. Czuł się naprawdę zdruzgotany. W wyobraźni widział leżące na ołtarzu skrwawione ciało ojca. Pierwszy raz w życiu spotkał się z taką sytuacją, włączając w to swój literacki żywot. Przypomniał sobie sceny z seriali telewizyjnych i filmów kryminalnych. Do tej pory niewiedza stwarzała pewien dystans, teraz zyskał pewność, która wywołała w nim mdłości.

- Przepraszam - zmyłogował się - ale nie miałem pojęcia...
- Spokojnie. To zrozumiałe. Może napiłby się pan wody albo kawy? - spytał usłużnie inspektor.
- Kawy, jeśli można.
- Zaraz wracam.

Wyszedł z gabinetu. Po minucie wkroczył z fajansową filiżanką pełną parującej kawy. Enrique pospiesznie łykał gorący napój.

- Kto to mógł zrobić? I dlaczego?
- Właśnie prowadzimy w tej sprawie dochodzenie.
- Może pan zdradzić szczegóły? Czy to tajemnica śledztwa?
- Zwykle szczegóły objęte są tajemnicą, ale Fornells znał obu panów osobiście, dlatego nalegał, aby to jemu powierzono śledztwo, a mnie polecił przedstawić panu najważniejsze fakty. Śledztwo prowadzimy w trzech kierunkach. Pierwszy związany jest ze środowiskiem złodziei przede wszystkim z Ravalu, ale także z innych dzielnic. Mogło to być zwykłe włamanie, zakończone w tak tragiczny, nieoczekiwany sposób. Nie jest to zbyt wiarygodna hipoteza, ale nie można jej odrzucić. Przesłuchaliśmy już lokalnych złodziei, ale, prawdę mówiąc, są za ostrożni na to, aby mordować. Zresztą Artur, powiedzmy, był uważany za miejscowego, a w takich wypadkach bandyci przestrzegają kodeksu honorowego, który zabrania krzywdzić swoich. Oczywiście, mógł to zrobić narkoman na głodzie. Taki w poszukiwaniu pieniędzy na towar łatwo traci kontrolę i zmienia się w nieprzewidywalną bestię.

Druga linia śledztwa wiąże się, powiedzmy, z porachunkami grup mafijnych. Pański ojciec prosił komisarza o pomoc w tej sprawie. Jego śmierć miałaby być przestrożą dla tych, co wsadzają nos w nie swoje sprawy. Ta hipoteza jest również mało wiarygodna: jeśli za tymi interesami kryje się jakaś brudna sprawa, raczej nikt by nie ryzykował, bo morderstwo mogło ściągnąć uwagę policji na zleceniodawców. Mimo to sprawdzamy ten wątek. I wreszcie trzeci tor. Sądzimy, że...

-...że chodzi o sprawę, w którą zamieszany jest jakiś znajomy biednego Artura - usłyszeli głos dochodzący od strony drzwi. - To wyjaśniałoby, dlaczego zabójca wszedł, nie zostawiając śladów włamania, ukradł klucze od domu i spędził tam całą noc, wywracając wszystko do góry nogami. Owszem, może to być sprawka złodziejasków i mafiosów, ale jakoś to nie pasuje do ich sposobu działania. Wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem.

Komisarz Fornells właśnie wszedł do gabinetu i niemal w biegu kończył wywód swojego podwładnego. Był raczej niski i dość korpulentny, prawie zupełnie łysy, z pożyczką z zapuszczonych, przerzedzonych włosów, w daremnej próbie ukrycia nagiej czaszki. Ubrany w stare, znoszone, wypłowiałe dżinsy, tanią - pewnie kupioną na ulicznym straganie - wygniecioną koszulę w kratkę i skórzaną czarną, dawno niemodną kurtkę. Fioletowe policzki i widoczne na całym nosie czerwone żyłki były ewidentnym świadectwem, że komisarz nie stroni od wina, i to w bynajmniej niemałych ilościach. Nosił modne w latach siedemdziesiątych okulary w metalowych oprawkach i z grubego hawańskiego cygara wydmuchiwał potężne kłęby dymu. Przeciętny obserwator dostrzegłby w nim typowego detektywa z minionej epoki, tkwiącego jeszcze w przeszłości, w starych niechlubnych wspomnieniach, ale być może w czasach lepszych niż obecne: niezrozumiałe i niepojęte.

Inspektor Rodríguez i Enrique natychmiast poderwali się z miejsc. Fornells podszedł do pisarza i ucisnął mu rękę.

- Serdecznie współczuję, Enrique. Dawno się nie widzieliśmy. Szkoda, że spotykamy się w takich smutnych okolicznościach. Jak się trzymasz?
- Rzeczywiście, Fornells. Minęło już chyba siedem lat. A jeśli chodzi o to, jak się czuję... Prawdę mówiąc, jestem zagubiony, dezorientowany i zupełnie załamany.
- Masz ku temu powody. Jak słyszałem, Rodríguez już cię zapoznał z wynikami śledztwa. A zatem przejdę do sedna: czy wiesz coś istotnego, o czym mówił ci Artur, a my nie mamy pojęcia? Nie wiem... może jakaś osobista sprawa, kłopoty zawodowe? Może się tobie zwierzał?

Enrique zastanawiał się przez kilka chwil. Ostatni list ojca wskazywał ponad wszelką wątpliwość, że antykwariusz odkrył coś bardzo ważnego, miał nawet złe przeczucia, co się ziściło. Ktoś się dowiedział o odkryciu Artura i postanowił to sobie przywłaszczyć. To tłumaczyłoby gruntowne przeszukanie domu

w Vallvidrerze. Nic nie znalazł, ponieważ przezorny Artur w porę ukrył rękopis. Ale zdradzenie tego faktu policji oznaczałoby utratę manuskryptu i listu niezbędnych do odnalezienia nieznanego „nie wiadomo czego”. Nie, to niemożliwe. Czy ktoś zabiłby Artura tylko po to, aby przywłaszczyć sobie jakieś tajemnicze odkrycie? Przecież to śmieszne! Absurdalne! Podobne brednie zdarzają się tylko w trzeciorzędnej literaturze, w kiepskich kryminałach kupionych w dworcowym kiosku. W końcu, świadom, że dwaj policjanci czekają na jego odpowiedź, postanowił coś powiedzieć.

- Nie, nie sądzę. W swoim ostatnim liście pisał, że zwrócił się do policji o pomoc w związku z pojawiającymi się jak grzyby po deszczu podejrzanymi antykwariatami, ale dodał, że jak do tej pory śledztwo nie przyniosło żadnych rezultatów.

- Ma pan przy sobie ten list? - spytał Rodríguez.

- Nie, zostawiłem go w domu - odpowiedział Enrique i przełknął ślinę. Policjanci z pewnością domyślili się, że kłamie. - Przykro mi.

- Wysł pamięć, Enrique. Może znasz jakiś szczegół, dla ciebie bez znaczenia, a dla nas być może bardzo istotny. Przypomnij sobie: może zdarzyło się coś nietypowego, coś, co cię zaskoczyło.

- O ile dobrze zrozumiałem, mordercą był ktoś, kogo ojciec dobrze znał.

- Tak. Taka jest jedna z hipotez - wyjaśnił inspektor. - Morderca działał w biurze, w pozostałych pomieszczeniach sklepowych nie ma śladów przemocy ani włamania: drzwi są całe, zamki nienaruszone. Jeśli to był ktoś znajomy, to w końcu nic dziwnego, że spotkali się o tak późnej porze i w dodatku w biurze Artura. Dobrze znałem twojego ojca, chociaż ostatnio rzadko się widywaliśmy i raczej nic mi nie wiadomo o kimś, kto by go tak bardzo nienawidził, by go zabić. Trudno mi uwierzyć, żeby ktokolwiek czuł do niego aż taką urazę czy niechęć. Koledzy po fachu bardzo go cenili. Był zacnym człowiekiem, dobrym, prostodusznym, muchy by nie skrzywdził. Dlatego sądzimy, że najtrafniejsza jest wersja związana z mafią. Zaraz ci wszystko opowiem... a może już wiesz? Artur chciał zdemaskować antykwariaty, które pod przykrywką legalnych interesów piorą brudne pieniądze. To mogło rozdrażnić stojących za tym dysponentów czy też, powiedzmy, inwestorów.

- To główna linia śledztwa, chociaż nie pasuje do mafijnych sposobów załatwiania porachunków - dodał Rodríguez. - Morderstwo, i to takie brutalne, jest sprzeczne z ich metodami działania. Dlatego sądzimy, że może istnieć inna przyczyna, inny powód, którego na razie nie znamy.

- W liście ojciec wspominał, że wystąpili panowie o pomoc do Wydziału Przepływów Gospodarczych.

- Zgadza się, ale na razie bez rezultatów. Procedury śledcze są żmudne i bardzo skomplikowane. Dopóki nie otrzymamy informacji o popełnieniu przestępstwa, niewiele możemy zdziałać.

- Rozumiem - stwierdził Enrique. - Gdzie jest... ciało?

- W prosekutorium. Mieliśmy do czynienia z gwałtownym zgonem, więc trzeba było zrobić sekcję zwłok, a ponieważ ty jesteś jedynym krewnym zamordowanego i nikt inny nie zgłosił się po ciało, więc czekaliśmy, aż cię znajdą.

- Czy można już go pochować?

- Tak. W gruncie rzeczy wystarczy podpisać kilka dokumentów i będziesz mógł zabrać zwłoki.

- Chciałbym to zrobić jak najszybciej. Choćby jutro.

- Pamiętaj, że Artur był postacią powszechnie znaną w kręgach kulturalnych Barcelony. Z pewnością wiele osób będzie chciało go pożegnać.

- Artur przeniósł wszystkich swoich zmarłych krewnych do grobowca, który wznosił parę lat temu na cmentarzu Montjuic. Właśnie tam chciałbym zorganizować uroczystości pogrzebowe dla grona najbliższych przyjaciół.

- Mógłbym panu pomóc w załatwianiu formalności w zakładzie pogrzebowym i na cmentarzu - zaoferował się Rodríguez. - Zajmę się wszystkimi sprawami urzędowymi: dokumentami, nekrologami...

- Bardzo dziękuję. Jest pan bardzo uprzejmy.

- Nie ma sprawy. Te przykre formalności mogę załatwić w pańskim imieniu. Proszę wyrazić zgodę, a ja się wszystkim zajmę - obiecał i wyszedł z gabinetu.

- Rodríguez to rzutki i bystry facet. W ciągu pół roku nawiązał tyle kontaktów, ile ja przez czterdzieści lat. Wszystko będzie w porządku, przekonasz się. A teraz powiedz, gdzie zamierzasz się zatrzymać.

- Jeszcze nie wiem. Myślałem, że najlepiej byłoby zamieszkać w domu Artura w Vallvidrerze, ale obawiam się, że nie dam rady, zbyt silne wspomnienia wiążą się z tym miejscem. A zresztą skoro przetrząsnęli całe mieszkanie...

- W poniedziałek i wtorek wysłałem tam dwóch inspektorów, żeby zebrali ślady i ewentualne odciski palców. Nakazałem im działać ostrożnie. Nie znaleźli nic istotnego, więc uładziłem wszystko w miarę możliwości w asyście Samuela Horowitza, żebyś nie miał przykrego wrażenia, gdybyś chciał tam zanoć. Wiesz, to było bardzo dziwne. Kimkolwiek był morderca, przewrócił wszystko do góry nogami, tak jakby czegoś szukał. Pewnie nic nie leży na swoim miejscu, ale...

- Szukał czegoś specjalnego? - Zadał to pytanie niemal bezwiednie.

- Tak myślę, ale równie dobrze mógł to zrobić celowo dla zmylenia śladów i utrudnienia śledztwa. Tak czy owak było to świadome poszukiwanie, trwające godzinami. Według Samuela nie zginęło nic wartościowego. Był częstym gościem w domu Artura, wierzymy mu na słowo. Jeśli zauważysz brak czegokolwiek, natychmiast mnie zawiadom.

Enrique westchnął. Chwilami ta sprawa go przerastała. Zaczął się wiercić na krześle i nagle podjął decyzję, że musi natychmiast wyjść z komisariatu.

- W porządku. Wcześniej czy później i tak musiałbyś wyjść, więc w zasadzie to wszystko jedno.

Fornells wyciągnął z szuflady dwa komplety kluczy i wręczył Enrique'owi.

- Morderca użył kluczy Artura i zostawił je w drzwiach. Na wszelki wypadek zmień zamki.

- Oczywiście.

- Jak tu dotarłeś z lotniska?

- Wynająłem samochód.

- Artur trzymał swój na parkingu przy Carrer de l'Hospital. Możesz go stamtąd zabrać.

- Dobrze. - Enrique znowu głęboko westchnął. - Jutro załatwię wszystkie sprawy.

- Świetnie. Posłuchaj, coś ci powiem, zanim zapomnę: musisz skontaktować się z... zaraz, gdzie ja to wsadziłem... - przeszukawszy kieszenie spodni, wyciągnął pogniecioną wizytówkę - z kancelarią mecenasa Santfeliu. Chodzi o testament. Mam także wiadomość od Samuela Horowitza. Chce jak najszybciej z tobą rozmawiać.

Enrique poczuł, jak wilgotnieją mu oczy. Notariusz, testament, autopsja, zwłoki, pogrzeb - te wszystkie słowa oplątywały go niezrozumiałą siecią i miał wrażenie, że jeśli natychmiast nie ucieknie z gabinetu komisarza, spalą mu się zwoje mózgowie.

- Zadzwoń do ciebie jutro, Fornells. Skoro już mnie nie potrzebujesz, pójdę sobie.

- Oczywiście. Jak długo zamierzasz pozostać w Barcelonie?

- Jeszcze nie wiem, ale podejrzewam, że będę musiał spędzić tu przynajmniej kilka tygodni.

- Będę cię informował na bieżąco o postępach w śledztwie. A jeśli przypadkiem wpadniesz na jakiś trop, który może wiązać się ze sprawą, natychmiast do mnie dzwoń. Tu masz moją wizytówkę z numerem tej przekłętej komórki, którą każą mi nosić przy sobie.

- Na pewno zadzwonię. Do zobaczenia, Fornells.

- Do jutra, Enrique.

Szybko przejechał przez miasto i dotarł na drogę łączącą katalońską metropolię z prawdziwym rajem, jakim była dla niego Vallvidrera. Wjeżdżał w górę ulicami, przy których stopniowo zapalały się latarnie. Dobrze wiedział, że wiosną dzień kończy się niespodziewanie - nagle zmienia się w ciemną, osaczającą noc. Zjeżdżając i wjeżdżając serpentyną Carretera de l'Arrabassada przy innej, stosowniejszej okazji, pewnie napawałby się widokiem zasypiającego miasta, zatrzymawszy się na jednym z licznych miejsc widokowych, gdzie młode, pozbawione własnego lokum parki korzystały z samochodów jak z żalosnej namiastki łóżka, ale tego dnia nie był w nastroju, aby cieszyć się prostymi przyjemnościami, płynącymi z doznań wzrokowych. Zaparkował tuż koło domu Artura i zawahał się przez chwilę, zanim przekręcił klucz w zamku. Formalnie był to jego dom, a zatem nie robił nic złego, uznał to jednak za rodzaj profanacji. Ostrożnie otworzył drzwi i zapalił światło w przedpokoju.

Rzeczywiście, dom sprawiał wrażenie, jakby został przewrócony do góry nogami. Wysiłki Fornellsa i Samuela Horowitza na rzecz przywrócenia porządku ograniczyły się do usunięcia z podłogi wszelkiego rodzaju przedmiotów, ale w żaden sposób nie doprowadziły do typowego, pedantycznego ładu, który tak bardzo cenił sobie Artur. Na stołach i regałach piętrzyły się stosy książek, papierów,

ozdób i ozdóbek, w większości antycznych cacuszek o sporej wartości. Ten sam żalony widok prezentowały pozostałe pomieszczenia. Ktokolwiek to zrobił, nie ominął żadnego zakątka domu.

Enrique spędził kilka godzin, doprowadzając pokoje do ładu zgodnie z upodobaniem Artura. Gdy przywrócił już w domu względny porządek, przypomniał sobie, że obiecał zadzwonić do Bety, ale wołał zaczekać z tym do rana, bo było już bardzo późno, a zresztą nie miał siły wszystko jej wyjaśnić. Korzystając z dobrze zaopatrzonej lodówki ojca, przygotował sobie kolację. Przez przesuwane drzwi wyszedł na taras i jadł, mając pod stopami całe miasto. Potem wziął szybki prysznic, aby odświeżyć się przed snaniem, ale zbyt gorąca woda, zamiast go odprężyć, wywołała wręcz przeciwny skutek: zupełnie go rozłożyła i w końcu, przygnębiony otaczającym go wokół wszechobecnym wspomnieniem Artura, rozsiadł się w gabinecie. Przejrzał ponownie list, choć zupełnie niepotrzebnie, ostatnie zdania miał bowiem dokładnie zakodowane w pamięci. Fornells wręczył mu również klucz do sklepu, i tam spodziewał się znaleźć *Exercicio de Perfección*. Przez chwilę miał nawet ochotę zjechać do Barcelony i natychmiast odszukać ową książkę, powstrzymał się jednak. Czuł się zmęczony, wyczerpany; prawdę mówiąc, było to coś więcej niż zwykłe znużenie, był rozbity, pokonany, upokorzony przez to nędzne życie, które ponownie skazało go na samotność: najpierw odeszli rodzice, potem żona, teraz przybrany ojciec. Wszyscy, którzy coś dla niego znaczyli, opuścili go. Czekał go kolejny, pełen smutku dzień. Jutro poszuka księgi. Nie mógł zasnąć, opanowany przytłaczającą tęsknotą, którą na swoje nieszczęście poznał już wcześniej, towarzyszyła mu właściwie 'stale. Otworzył album z fotografiami: utrwalone na kliszy sceny z życia Artura, a od pewnego czasu także i jego. Ominął te, na których na twarzy Artura pojawiają się pierwsze oznaki starości. Zatrzymał się dopiero przy zdjęciach ślubnych rodziców. Ile razy przeglądał te fotografie, kiedy był dzieckiem! Mama taka piękna i wytworna, ojciec taki elegancki. Potem pojawia się Enrique: chrzciny, urodziny, pierwsza komunია, uroczystości rodzinne... aż do feralnego dnia, kiedy rodzice zginęli w głupim wypadku samochodowym. Kolejne fotografie przedstawiają Enrique'a w domu przybranego ojca, który szybko stał się dla chłopca kimś więcej: prawnym opiekunem, czułym i kochającym ojcem. Zobowiązał się chronić, wychowywać i kształcić chrześniaka, dziecko swoich najlepszych przyjaciół.

Tamte lata wcale nie były sielankowe. Enrique z trudem przystosowywał się do nowych warunków, a Arturowi - staremu kawalerowi - również nie było łatwo dbać w odpowiedni sposób o zagubionego po tragicznej śmierci rodziców chłopca, ale dobra wola z obu stron pomogła im przezwyciężyć trudności i w końcu stworzyli idealną komitwę. Enrique zyskał nowego ojca, a Artur syna.

Coraz więcej i więcej zdjęć z kolegami i koleżankami, pierwsze młodzieńcze sympatie, studia, magisterium - wszystko, całe jego życie. I zawsze tuż obok niego Artur, czuwający, aby Enrique kroczył dobrą drogą. Fotografie ze ślubu: Bety prześliczna, jak prawdziwa księżniczka z bajki, prowadzona do ołtarza przez Artura w nienagannym smokingu. Na kolejnych cała trójka na wycieczce na Costa Brava. I następne, zrobione już w jego domu w San Sebastián, jeszcze przed rozwodem. Ostatnie z ubiegłego roku, kiedy Enrique kupił mieszkanie na Igueldo. Artur nie miał ochoty jechać do San Sebastián, ale wielokrotnie ponawiane prośby przekonały go i w końcu nie żałował tej wyprawy: warto było ruszyć się z Barcelony, choćby po to, aby rozkoszować się tym niezrównanym widokiem. I koniec. Reszta stron albumu była, niestety, pusta, tak jak serce Enrique'a.

Przez taras przemknął delikatny wietrzyk, trochę za chłodny, żeby go nie poczuć. Enrique zaciągnął zasłony, pogasił światła w salonie i wrócił, po tak długim czasie, do pokoju, który był kiedyś jego sypialnią. Położył się na łóżku, przez chwilę kręcił się i wiercił, jakby jego kości były nieświadome, że ten materac należał kiedyś do niego. W końcu udało mu się zasnąć i choć przez kilka godzin odpocząć w niespokojnym półśnie.

Przedpołudnie następnego dnia minęło na załatwianiu mnóstwa spraw: zadzwonił do Rodrígueza, aby ustalić niezbędne formalności, i do Samuela, który podjął się zorganizowania uroczystości pogrzebowych, przekazał telefonicznie smutną wiadomość przyjaciołom w Barcelonie... Potem zwrócił wynajęty na lotnisku samochód do jednego z punktów agencyjnych w mieście i zabrał auto Artura z parkingu przy Carrer de l'Hospital.

Wizyta u notariusza okazała się szczególnie przykra, ponieważ z psychologicznego punktu widzenia miała charakter ostateczny. Jeśli podczas porannych czynności miał poczucie nierealności, to adwokaci swoim niezachwianym pragmatyzmem przywrócili go do rzeczywistości. Oświadczyli, że jest jedynym spadkobiercą majątku Artura, z wyłączeniem zapisów na rzecz Bety, legatów dla najbliższych przyjaciół, między innymi Samuela, i oczywiście na cele charytatywne. Po odczytaniu punktów dotyczących zapisów na rzecz osób trzecich nastąpił zaskakujący moment: wartość majątku Artura wynosiła aż milion euro, czyli prawie sto siedemdziesiąt milionów dawnych peset. Zaskoczyła go tak wysoka suma. Wiedział, że interes ojca przez wiele lat przynosił całkiem niezłe dochody, ale nie przypuszczał, że Artur zgromadził aż tyle. Spadek zapewniał mu bezpieczną spłatę hipoteki apartamentu na Igueldo. Ponadto odziedziczył nieruchomości w Vallvidrerze, wartą w przybliżeniu

jakieś sto milionów peset, i kolekcję antyków, ubezpieczonych na czterdzieści milionów. Oczywiście, od tej sumy należało odjąć podatek od spadku i darowizn, którego kwota wahała się w zależności od różnych czynników, ale generalnie wynosiła od dwudziestu pięciu do trzydziestu procent wartości mienia. Bez wątplenia to fortuna dla każdego normalnego człowieka, szczególnie o tak prostych zwyczajach i upodobaniach jak Enrique. Mecenas oferowali pomoc przy załatwianiu wszelkich formalności. Jeszcze pod wrażeniem nieoczekiwanej odziedziczonego majątku, miotany sprzecznymi uczuciami, opuścił kancelarię.

Jeśli spotkanie w biurze notarialnym można określić mianem przykrego, to wizyta w zakładzie pogrzebowym była naprawdę koszmarna.

Rodríguez dotrzymał słowa i załatwił niezbędne formalności. W gruncie rzeczy rola Enrique'a sprowadzała się do podpisania paru dokumentów. Chciał jeszcze zobaczyć ciało. Inspektor odradzał mu. Zbrodnia, sekcja zwłok, no i czas, jaki upłynął od momentu śmierci, zrobiły swoje. Mimo to uparł się i poszedł do kostnicy. Rodríguez miał rację. Widok był rzeczywiście przerażający, ale nie z powodu zmian, jakim uległo biedne, pozbawione życia ciało. To nie wygląd był najgorszy, tylko świadomość, że Artur odszedł na zawsze. Pracownik zakładu pogrzebowego potwierdził, że przeniesienie zwłok na cmentarz nastąpi o wpół do piątej, a zatem uroczystości mogłyby się zacząć punktualnie o piątą. Po wizycie w kostnicy poszedł porozmawiać z Samuelem.

W sklepie Samuela zebrała się większość antykwariuszy z Carrer de la Palla, wśród nich Guillem i Enric. Mariola Puigventós, współpracowniczka Samuela i córka przewodniczącego gremium, jeszcze nie wróciła z Madrytu. Antykwariusze złożyli Enrique'owi szczerą kondolencję; podziękował im za nie z całego serca. Potem rozeszli się do swoich sklepów, a Enrique miał wreszcie okazję porozmawiać swobodnie z człowiekiem, który od ponad dwudziestu lat był najlepszym przyjacielem jego przybranego ojca. Samuel przedstawił mu zamiar ceremonii pogrzebowej, podczas której wygłosi krótką, prostą mowę pożegnalną. Zaproponował Enrique'owi swoje towarzystwo w wyprawie do antykwiariatu Artura, ale pisarz stwierdził, że woli tam nie wchodzić, póki ojciec nie zostanie pochowany. Powodowany niezrozumiałym dla siebie impulsem, pożegnał się z Samuelem. Chciał być sam. Umówili się, że razem pojedą na cmentarz. Enrique wpadnie po niego o wpół do piątej.

Na cmentarz Montjuic przybyło wiele ważnych osobistości z kulturalnych kręgów Barcelony: politycy, poeci i przede wszystkim członkowie stowarzyszenia antykwariuszy, właściciele okolicznych sklepików związanych z handlem antykami i dziełami sztuki, takich jak galerie i wystawy z Carrer Petritxol, oraz reprezentacja dziwacznych typów, charakterystycznych dla szczególnego klimatu Plaça del Pi, którzy kolegowali się z Arturem. Otoczona wieńcami trumna spoczywała przed grobowcem Aiguaderów. Żałobnicy zajęli ustawione przed wejściem ławki. Samuel w swoim prostym, acz wzruszającym przemówieniu, które wśród zebranych wywołało żywe emocje, wspominał charakter i życie Artura. Bez wątplenia ojciec pisarza był osobą nie tylko przez wszystkich szanowaną, ale i kochaną. Następnie przysła kolej na Enrique'a, który ledwie zdołał wydukać podziękowanie za przybycie. Pragnął powiedzieć coś więcej, coś znaczącego, podniosłego, w literackim stylu, ale nie potrafił. Grabarze wnieśli trumnę z ciałem Artura do grobowca. Po zatrzaśnięciu żelaznej furty nieopisana rozpacz ścisnęła serce młodego człowieka. Było to ostateczne pożegnanie.

Część żałobników cisnęła się z kondolencjami do Enrique'a, inni, dla których takie uroczystości są okazją do spotkania po latach niewidzenia, pograżyli się w ożywionych rozmowach. Fornells podszedł do niego jako jeden z ostatnich. Wreszcie Samuel i Enrique zostali sami przed wielkim marmurowym grobowcem.

- Bardzo dziękuję, Samuelu. Twoja mowa pożegnalna była znakomita. Wyważona i szczerą. Wiem, że Arturowi by się podobała.

Samuel pokręcił głową, a potem stwierdził:

- No cóż, być może... - Zawiesił głos, by po chwili mówić dalej. - Enrique, posłuchaj, muszę ci coś powiedzieć. Wszystkich nas wcześniej czy później czeka śmierć. Wtedy liczy się tylko to, czy nasi wychowankowie dają sobie radę w życiu, czy kierują się wpojonymi przez nas zasadami. Muszę przyznać, że nigdy nie spotkałem człowieka bardziej dumnego z syna niż Artur. Zapewniam cię. Chodźmy już. Czas opuścić to miejsce.

- Masz rację. - Trzymając się pod rękę, ruszyli do bramy. - Pozostawiam za sobą ważną część mojego życia, bo po śmierci rodziców właśnie Artur nauczył mnie patrzeć w przyszłość.

- I tak właśnie trzeba robić. Patrzeć w przyszłość. Śmierć to integralna część życia, wielu z nas zatrzymuje się w drodze, podczas gdy inni dalej nią kroczą. W naszych sercach przechowamy czułe wspomnienie, pamięć o nim ożywi nasze dusze, i to będzie najlepszy hołd, jaki możemy mu złożyć. Nie pograżajmy się w smutku. Nie walczmy z przeznaczeniem.

Enrique zaparkował samochód na zwykłym miejscu. Przeszli Ramblas w stronę morza, do Pla de la Boqueria. Zatrzymali się dopiero przed antykwariatem Artura.

- Dlaczego to zrobił? - spytał Enrique. - Nie mogę tego zrozumieć.

- Nikt tego nie potrafi pojąć - stwierdził Samuel. - Miejmy nadzieję, że policja szybko schwyta mordercę. Mam do ciebie sprawę, Enrique...

- Słucham.

- Wiem, że to nie najlepszy moment, bo pewnie chcesz wrócić do domu, ale chciałbym ci coś zaproponować. Przypuszczam, że nie masz ochoty prowadzić antykwariatu, twój świat to przecież literatura. Otóż muszę ci powiedzieć, że jeśli masz zamiar pozbyć się towarów ze sklepu, jestem gotów nabyć wszystko, oczywiście po rozsądnej cenie. Jestem nawet skłonny przejąć lokal. Zastanów się, zanim odpowiesz.

- Dziękuję. Chyba sprzedam wszystko, ale na razie nie mam do tego głowy. Odpowiem ci przed wyjazdem. A teraz...

- Rozumiem. Nie przejmuj się. Ja też mam jeszcze coś do załatwienia. Jeśli potrzebna ci będzie pomoc albo rada, wiesz, gdzie mnie szukać. Dzwon do mnie bez wahania, o każdej porze.

- Dziękuję, Samuelu.

Nadszedł najtrudniejszy moment od przyjazdu do Barcelony: musiał wejść do antykwariatu i zobaczyć miejsce, w którym popełniono zbrodnię. Otworzył drzwi do sklepu i wyłączył alarm. Na samym środku stał marmurowy ołtarz, widoczny z każdego kąta. Na płycie widniała ogromna ciemna plama - świadectwo tragedii. O zbrodni przypominała również wyłamana barierka na antresoli. Przeszedł przez sklep, starając się nie patrzeć na miejsca świadczące o rozegranym tu dramacie. Wszedł na górę. Na stole, przy którym zwykle pracował Artur, piętrzyły się stosy książek i rękopisów. Nie miał wątpliwości, że szperał w nich morderca. Pewnie później ułożyli je tak porządnie Fornells i Samuel.

Na próżno poszukiwał księgi *Exercicio de Perfección* na stole. Biorąc pod uwagę ostrożność ojca, to miejsce było zbyt na widoku, by pozostawić tam cenną rzecz. Musiał ją ukryć w pięknej rzeźbionej biblioteczce, mieszczącej ponad czterysta wolumenów o różnorodnej tematyce, różnych rozmiarów i każdy w innym stanie. Przez ponad czterdzieści lat Artur zgromadził bogatą kolekcję białych kruków. W ten sposób zaspokajał swoją bibliofilską pasję i głód wiedzy. Oczywiście większą część księgozbioru trzymał w domu w Vallvidrerze. W sklepie pozostawił te, do których częściej sięgał. Enrique pomyślał, że wszystkie cenne wolumeny należy przenieść do Vallvidrery. Sklep może i sprzeda, ale nie zamierzał pozbywać się wraz z nim cennego księgozbioru. Uważał się za bibliofila amatora, dyletanta w tej dziedzinie, właściciela zaledwie kilku wartościowych egzemplarzy, które kupił dla własnej przyjemności. Były one jednak niczym w porównaniu z przepięknymi okazami, które miał przed oczami. Wiele z nich było prawdziwymi perełkami edytorskimi, spuścizną po minionych wiekach, cenną nie tylko ze względu na treść, ale także szatę graficzną.

Na jednej z półek w biurze ojca znalazł *Exercicio de Perfección*. Dzieło to składało się z trzech opasłych wolumenów, oprawionych w ciemną, zniszczoną upływem czasu skórę. Na okładkach widniał wytarty tytuł, wykonany złożonymi literami, ledwie dostrzegalny wśród pęknięć, brudu i piany - pamiątek trzech wieków używania. Z ciekawością, a przy tym z szacunkiem wyjął pierwszy tom. Wreszcie miał w ręku wielkie odkrycie Artura i zgodnie z nagłym przeczuciem przyczynę jego tragicznej śmierci. Dotknął z pietyzmem pomarszczonej skóry na okładce. Nagle ogarnęło go złowróżbne przeczucie. Tak, teraz był najzupełniej pewny. Intuicja podpowiadała mu, że morderca Artura desperacko poszukiwał księgi, którą właśnie trzymał w ręku. Nie był to pospolity złodziejaszek, nie chodziło też o porachunki mafijne. Ktoś, kto wiedział o odkryciu, świadomie wyeliminował Artura, żeby przywłaszczyć sobie księgę. Nie przewidział, że powodowany jakimś szóstym zmysłem antykwariusz włoży cenny manuskrypt w okładki zbioru cnót chrześcijańskich i postawi na półce wśród setek mu podobnych przeciętnych egzemplarzy. Inkunabuł ukryty wśród inkunabułów. W pełnym starych wolumenów biurze Artura rękopis w obcej okładce, jak w cudzym przebraniu, był tak perfekcyjnie zamaskowany, że zabójca nie mógł go znaleźć. Przeczucie Enrique'a zmieniło się w cudowną pewność.

Po raz pierwszy od przyjazdu do Barcelony, idealnie skupiony, rozsiadł się w ulubionym fotelu Artura i świadom bystrości swojego umysłu, zaczął wertować księgę. Ojciec wyjął oryginalne strony i zastąpił je innymi, pochodzącymi z manuskryptu z dopiskami na marginesie. Zrozumiał, że ma w swoich rękach rzecz, przez którą jego przybrany ojciec został zamordowany. Bo niby dlaczego ukrył rękopis, tak aby udawał inną księgę? Co takiego zawierał, że zasługiwał na tak przemyślny kamuflaż? Próbował odczytać dziwne, zawile pismo autora, ale po tylu latach zapomniał już łaciny i nie potrafił zrozumieć tekstu. Był w stanie przetłumaczyć niektóre zdania, ale gubił ogólny sens. Zapiski na

marginesie, sporządzone w starokatalońskim, również okazały się za trudne. Przetłumaczenie księgi zabrałoby mu zbyt wiele czasu. Będę musiał poprosić o pomoc - pomyślał. Wcale tego nie chciał. Jeśli, jak przypuszczał, ojciec zginął z powodu treści tej księgi, zrozumienie tekstu automatycznie narażało na niebezpieczeństwo każdego kolejnego czytelnika. On sam znalazł się w opałach, ponieważ był jedyną osobą, która ze względu na prostą logikę faktów mogła odnaleźć manuskrypt, choć morderca nie wiedział, czy Artur przed śmiercią powierzył komukolwiek swój sekret.

Z księgą ukrytą pod płaszczem, zamknął sklep i poszedł na parking. Najważniejsze zadanie to przeczytać i zrozumieć tekst, a do tego potrzebny jest czas i spokój. Vallvidrera idealnie się w tym celu nadawała.

4.

Ani nakładające się od kilku dni zmęczenie, ani zwietrzała z czasem znajomość łaciny nie przeszkadzały Enrique'owi w czynieniu postępów w pracy nad tłumaczeniem rękopisu Casadevall'a. Początkowo z ogromnym trudem, potem z coraz większą swobodą, w miarę jak przypominał sobie języki klasyczne, których pod naciskiem Artura uczył się od dziecka, pogrążał się w najbardziej zadziwiającej historii, jaka zdarzyła się przed wieloma wiekami.

W tekście brakowało strony tytułowej i nazwiska autora, ale jego tożsamość ujawniły dopiski czynione na marginesie tekstu. Należał do rodu Casadevallów i w swoim czasie pełnił jakąś ważną funkcję związaną z budownictwem. W końcu, dzięki bezpośredniej wzmiance w tekście, Enrique zdołał go zidentyfikować jako pomocnika mistrza budowlanego, a zatem szybko mógł go osadzić we właściwej epoce historycznej: pomogła mu w tym stara księga z biblioteki Artura, zatytułowana Historia wzniesienia katedry w Barcelonie, „wydana w szlachebnym grodzie Tortosa Roku Pańskiego tysiąc sześćset sześćdziesiątego”. Pere Casadevall odpowiadał za prace budowlane prowadzone przy wznoszeniu barcelońskiej katedry przez czterdzieści sześć lat, od roku 1368 aż do 1414; od 1398 pełnił funkcję mistrza budowlanego. Opis jego zajęć nie zawierał nic szczególnego, oprócz odnotowania znacznego przyspieszenia robót, dotąd dość powolnych, dzięki wsparciu biskupa Planellesa, którego życie miało tajemniczy kres; zmarł bowiem w bardzo dziwnych i nigdy niewyjaśnionych okolicznościach.

Praca Casadevalla polegała na nadzorowaniu robotników i prowadzeniu spraw finansowych i administracyjnych związanych z budową najpotężniejszego gmachu w ówczesnej Barcelonie. Zakres jego uprawnień odpowiadał mniej więcej dzisiejszej funkcji architekta i majstra. Na ogół jego rola sprowadzała się do zarządzania pracami w różnych miejscach katedry i przy wznoszeniu budynków mieszkalnych w dynamicznie rozwijającym się wówczas grodzie.

Potwierdziwszy tożsamość autora, Enrique powrócił do tłumaczenia manuskryptu. Pierwsze trzydzieści stron nie zdradzało nic szczególnego: właściwie było to zestawienie głównych działań i obowiązków wykonywanych na tym stanowisku. Jednak w miarę mijających miesięcy architekt zapisywał na stronach manuskryptu coraz więcej osobistych wrażeń wynikających ze sprawowanej funkcji, a zatem nie był to już tylko suchy rejestr prac. Mówiąc inaczej, zapis przychodów i rozchodów zmienił się w dziariusz. Następnie dziariusz stał się czymś więcej: pamiętnikiem, miejscem na wyznania, podsumowania, przemyślenia i wątpliwości.

Zapiski nie były prowadzone codziennie. Mistrz zazwyczaj odnotowywał swoje wrażenia wobec wydarzeń pozornie zwyczajnych albo takich, które miały dla niego szczególne znaczenie: choroba córki, problemy wyłaniające się podczas budowy... Wspominał także o audiencjach u arcybiskupa, podejmowaniu wysłanników papieskich, próbach odporności kamienia pochodzącego z różnych kamieniołomów i tym podobnych sprawach. W miarę lektury tekst stawał się coraz bardziej osobisty, tak jakby autor zrezygnował z fachowych uwag i opisów i skupił się na kreśleniu zmiennych losów swojej rodziny oraz opisie epidemii czarnej śmierci - dżumy, która wybuchła w Barcelonie w 1393 roku.

Na stronie sześćdziesiątej Enrique natrafił na pierwsze zapiski na marginesie. Miały one związek z pojawieniem się tajemniczej postaci, zwanej S.

Od tego momentu praca nad przekładem stała się jeszcze trudniejsza. Nie ze względu na zwiększony materiał do tłumaczenia, ale na zawarte w nim zaszyfrowane wiadomości. Skrótowy charakter uwag na marginesach, zapisanych w starokatalońskim, sprawił mu niejednokrotnie kłopot. Rozumiał z nich niewiele lub prawie nic, toteż skoncentrował się na tekście łacińskim, ale i w tym wypadku jego nieudolne próby tłumaczenia okazały się mętne i powierzchowne. W każdym razie

ewidentnie zapiski na marginesie ściśle wiązały się z pojawieniem się tajemniczego S., ponieważ znajdowały się na tych samych stronach, na których autor wspominał o nim w tekście.

Dla ułatwienia sporządził w brudnopisie listę stron ze skrótem zapisków. Te zupełnie niezrozumiałe, a była ich większość, przepisał dokładnie, słowo w słowo.

Wreszcie na dziewięćdziesiątej czwartej stronie natknął się na pierwszą wzmiankę o „przedmiocie”. Architekt napisał, że spotkanie miało miejsce w domu przechrzty Àngela Martina, w starym callu⁶ - użył hebrajskiego słowa gahal, od którego pochodzi ten termin, i to wtedy Żydzi mieli mu pokazać ów tajemniczy przedmiot. Enrique'a ogarnęło gorączkowe podniecenie. Był pewny, że wpadł na trop wielkiego odkrycia Artura. Dalej, z powodów, których nie wyjaśnia, Casadevall wyznaje, że doznał zawodu: coś poszło nie tak jak należy i podczas sekretnej spotkania nic nie zobaczył. Zgodnie z jego zapiskami chodziło o kwestię bezpieczeństwa - był to swego rodzaju podstęp, aby sprawdzić wiarygodność i uczciwość mistrza budowlanego. Kolejne uwagi architekta opisują nieprawdopodobne wrażenie, jakie wywarło na nim istnienie „tego”, ale nigdzie nie zostało jasno powiedziane, o co, do diaska, chodzi. Notatki na marginesie ciągnęły się w jednej linii, pełne skrótów, niejasności, może szyfrów; tu i ówdzie pojawiały się znaki zapytania i wykrzykniki, których w poprzedniej części tekstu nie było.

W miarę zgłębiania rękopiśmiennych zapisków czuł się coraz bardziej zagubiony. Tekst niczego nie wyjaśniał, natomiast zawierał zaskakującą wzmiankę o dziwnych związkach łączących architekta Casadevalla z tajemniczym S. oraz z Żydami z barcelońskiego getta, fakt dość niezwykły w tamtej epoce, a nawet intrygujący. Wysoka pozycja społeczna mistrza budowlanego, i to wznoszącego budynki sakralne, raczej utrudniała nawiązywanie niewynikających z jego kompetencji znajomości z ludźmi spoza kręgów duchowieństwa, a tym bardziej z wyznawcami innej wiary. Parę lat później wprowadzono dekret o wygnaniu Żydów, ogłoszony oficjalnie przez Królów Katolickich w 1492 roku⁷. Obecność izraelitów w królestwach o przewadze katolików była ledwie tolerowana i oczywiście źle widziana przez szlachtę i duchowieństwo, skądinąd zaciągających wysokie pożyczki u żydowskich lichwiarzy. Z drugiej jednak strony należy pamiętać, że już raz oficjalnie wygnano Żydów z barcelońskiego callu w 1424 roku. Nie wolno też zapominać o krwawej rzezi wyznawców judaizmu na całym Półwyspie Iberyjskim, dokonanej w 1391 roku. W Barcelonie prześladowano ich ze szczególną zawziętością. Społeczność żydowska była mniejszością izolowaną, ledwie tolerowaną, czasami zawzięcie prześladowaną. A więc jak wyjaśnić to, że znacząca osobistość tamtej epoki utrzymywała kontakty z Żydami z barcelońskiego getta? Uchodzili oni za przechrztów oficjalnie nawróconych na wiarę katolicką i zwani byli marranami⁸, odstępcami od wiary, którym nie należy ufać.

Chaos, który ten zawiły tekst wywoływał w jego rozszalałej wyobraźni, był tak wielki, że w końcu pogrążył się w abstrakcyjnym świecie, nie zauważając, że mija czas, zapominając o zobowiązaniach. Przerażliwy dzwonek telefonu przywrócił go raptownie do rzeczywistości. Nie musiał podnosić słuchawki - wiedział, kto dzwoni.

- Enrique?

- Słucham, Bety. - Pogrążony w świecie tajemnic manuskryptu, zupełnie zapomniał o obietnicy złożonej byłej żonie podczas pożegnania na lotnisku.

- Czasem odnoszę wrażenie, że jesteś prawdziwym skurwielem. -Wyważony, pozornie spokojny ton nie ukrywał silnej pogardy zawartej w słowach ostrych jak skalpel. - Obiecałeś do mnie zadzwonić i jak zwykle nawaliłeś. Dowiedziałam się o pogrzebie z nekrologów w gazecie, zadzwoniłam więc do Fornellsa i komisarz Rodriguez potwierdził, że Artur został pochowany.

Chodziło jej dokładnie o to: dał słowo i nie dotrzymał go, nie dopełnił zobowiązań. Enrique usiłował skierować rozmowę na inne tory, ten temat bowiem, pomimo dobrej woli, jaką w tej chwili mogła przejawiać Bety, wcale mu się nie podobał, chociaż, prawdę mówiąc, ze zgoła innego powodu, niż pewnie sobie wyobrażała jego była.

- Bardzo mi przykro, Bety, naprawdę przepraszam. Nawet sobie nie wyobrażasz, co się ze mną dzieje. Nie o to chodzi, że zapomniałem o obietnicy, mam wrażenie, jakby otaczała mnie gęsta mgła, wydarzenia mnie przerosły, godziny mijają niemal niezauważalnie... Nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. - Oczywiście skłamał, choć dobrze wiedział, że Bety natychmiast, jak zawsze zresztą, wyczuje łgarstwo. - Artura już nie ma - mówił dalej, gotów ciągnąć do końca raz rozpoczętą grę.

⁶ Call - dzielnica żydowska (przyp. aut.).

⁷ Edykt z Alhambry, ogłoszony 31 marca 1492 roku przez Królów Katolickich Izabelę I Kastylijską i Ferdynanda II Aragońskiego (przyp. tłum.).

⁸ Marran (hiszp. marrano) - portugalski lub hiszpański Żyd, zmuszony w czasie prześladowań w XIV i XV w. do przyjęcia chrztu, potajemnie wyznający judaizm (przyp. tłum.).

- W porządku, skoro nie czujesz się dobrze... - ustąpiła Bety.

- Nie wiesz, jakie to straszne uczucie mieszkać w tym domu ze świadomością, że Artura już nie ma - kontynuował Enrique. - Ciągłe jeszcze nie mogę się przyzwyczaić do jego braku i szczerze mówiąc, bardzo mi ciężko.

- Przestań - ucięła Bety.

Chyba bardziej przekonały ją argumenty niż szczerść jego wyznania. Enrique nie chciał dalej mówić, uznał, że powinien zakończyć rozmowę. Wiedział jednak, że jeśli to zrobi, swoją gwałtowną reakcją rozbudzi ciekawość Bety. W końcu to ona postanowiła zmienić temat i sprawy osobiste zeszyły na drugi plan.

- Czy są jakieś postępy w śledztwie? Rodríguez nie chciał mi nic powiedzieć, twierdzi, że ty znasz szczegóły.

Enrique przedstawił hipotezy Fornellsa, ale nie wyjawiał własnych przemyśleń. Bał się, że zwracając się ze swoich refleksji, wzbudzi także i w niej niepokój. Była żona potrafiła jednak wychwycić szóstym zmysłem, wyostrzonym przez lata wspólnego życia, że coś przed nią ukrywa.

- A ty co o tym sądzisz? - spytała.

- Nie mam zielonego pojęcia - znowu zełgał i poczuł, że narastająca lawina kłamstw wpędza go w ślepy zaułek. - Wszystko jedno kto to był. Chcę tylko, żeby tego bydlaka złapano jak najprędzej.

Po dłuższym milczeniu zaczęli rozmawiać o spadku. Bety była zaskoczona, dowiedziawszy się, że Artur pomyślał także o niej i chciał jej zrobić przyjemność podarunkiem, który można by uznać za drobny, choć niezupełnie bezwartościowy. Zawsze miała słabość do pewnej starej księgi z 1544 roku - kompilacji łacińskich tekstów Arystofanesa, jej zdaniem jednego z najlepszych greckich komediopisarzy. Artur, wiedząc o fascynacji byłej synowej, zapisał jej to stare wydanie. Ten gest wzruszył ją tak bardzo, że się rozplakała. Głosem nabrzmiałym od łez zobowiązała Enrique'a do regularnego telefonowania i przerwała połączenie.

Zamierzał wrócić do tłumaczenia, ale nagle stracił zapał. Wolałby, żeby tej wymuszonej, nieszczerzej rozmowy wcale nie było. Był zmieszany i zły na siebie, wściekły za kłamstwa, których się zupełnie niepotrzebnie dopuścił. Ciągłe robił to samo, odgradzał ją od swojego świata, wtedy kiedy, szczerze mówiąc, najbardziej jej potrzebował. Nigdy nie potrafił dzielić z Bety swoich prywatnych problemów, być może dlatego, że sam uważał je za zbyt skomplikowane, chociaż wiedział, że w ten sposób zwiększa dzielący ich dystans.

Po chwili zobaczył na ekranie komórki sygnał kolejnego połączenia. Zastanawiał się, czy odebrać. Nie miał ochoty, ale pomyślał, że może dzwoni Fornells z nowinami dotyczącymi śledztwa, postanowił więc odezwać się.

- Słucham.

- Enrique? - spytał ktoś barytonem, który w jego pamięci obudził jakieś mgliste wspomnienie.

- Tak.

- Dzień dobry. Mówi Guillem Cardús. Pamiętasz mnie? Antykwariusz. Przyjaciel twojego ojca. Jakies cztery lata temu Artur przedstawił nas sobie u siebie w antykwariacie. Byłeś wtedy przejazdem w Barcelonie, a przedwczoraj widzieliśmy się u Samuela.

- Tak, pamiętam. Widziałem cię wczoraj na cmentarzu, dziękuję.

- Artur był dobrym przyjacielem i kolegą, w tej właśnie kolejności. Nie mogłem nie przyjść, byłoby to poważne uchybienie i niewybaczalny brak szacunku.

- Bardzo dziękuję - powtórzył.

Chociaż starał się, aby podziękowania zabrzmiały serdecznie, nie potrafił ukryć suchego tonu. Naprawdę nie miał ochoty na tę rozmowę i nie zamierzał udawać, że jest inaczej. Postanowił uczynić z milczenia swojego sprzymierzeńca: pozostawił inicjatywę rozmówcy. Ku jego zdziwieniu kolejne słowa Guillem'a rozbudziły jego ciekawość, chociaż w zupełnie innym sensie, niż oczekiwał.

- Dzwonię do ciebie, choć, prawdę mówiąc, nie jest to odpowiedni moment na rozmowę o interesach.

- Słucham - odparł Enrique, zdumiony przede wszystkim tym, że kataloński przedsiębiorca z krwi i kości określa minione wydarzenia jako nieodpowiedni moment.

- Posłuchaj, Enric Torner, mój kolega po fachu i jak może wiesz, dobry znajomy Artura, i ja pomyśleliśmy, że jeśli nie zamierzasz prowadzić antykwariatu po ojcu, to my dwaj bylibyśmy zainteresowani nabyciem całego majątku ruchomego, jak również przejęciem lokalu. Osobno nie stać by nas było na kupno całego mienia, dlatego postanowiliśmy zawrzeć, oczywiście, jeśli wyrazisz

zgode, coś w rodzaju spółki. Jesteśmy skłonni przedstawić ci dobrą ofertę, której raczej nikt nie przebiję. Dzięki temu moglibyśmy kontynuować specyficzną filozofię pracy Artura, tak przez nas obu cenioną.

- Rozumiem. - Enrique starał się ukryć rosnące zaskoczenie. - Posłuchaj, Guillem, szczerze mówiąc, jeszcze nie myślałem, co zrobię z antykwariatem. W najbliższych dniach podejmę decyzję, wtedy do ciebie zadzwonię. Przypuszczam, że znajdę twój numer w notesie Artura.

- Tak, na pewno tam jest. Dziękuję. I przepraszam, że ci zawracam głowę, ale zanim skończymy rozmowę, chciałbym cię o coś spytać.

- Słucham.

- Czy ktoś jeszcze zwracał się do ciebie z propozycją kupna antykwariatu?

- Tak. Wczoraj proponował mi to Samuel Horowitz. Dlaczego pytasz?

- Stary Samuel. Aha... Można się było tego spodziewać. No cóż, dobrze wiedzieć, kto jest rywalem. Czekam na wiadomości. Dziękuję za wszystko - powiedział i szybko się rozłączył.

- Nie ma za co - odpowiedział Enrique do głuchej słuchawki.

W głowie zaświeciła mu się czerwona lampka. W ciągu niespełna doby trzy osoby, z którymi Artur rozmawiał przed śmiercią, zwróciły się do niego z ofertą kupna lokalu oraz znajdującego się w nim towaru. Brakowało w tym logiki i było co najmniej alarmujące. Działo się coś dziwnego, i to niemal na jego oczach. Nie mógł tego nie zauważyć podczas rozmowy telefonicznej z Guillemem. Manuskrypt należał do partii towaru sprzedanego Arturowi przez rodzinę Berguesów na kilka dni przed jego śmiercią. Zgodnie z relacją Fornellsa trzy ostatnie osoby z bliskiego otoczenia, które kontaktowały się z Arturem przed tragedią, to jego trzech koledzy antykwariusze. Zamienił, oczywiście, kilka słów z właścicielem baru na Plaça del Pi i strażnikiem z parkingu, ale to się nie liczy. Czy mogło tak się zdarzyć, że jakimś cudem jeden z nich domyślił się znaczenia, jakie miał ten tekst, i korzystając z weekendu, zabił ojca, żeby zdobyć księgę i pozbyć się ewentualnego rywala? A może chciał ukraść manuskrypt i został przyłapany przez Artura...

Wszystko zdawało się pasować idealnie. Zabójcą mógł być jeden z trzech antykwariuszy. Tylko który? Samuel nie... Czy Artura mógł zabić człowiek, który przez dwadzieścia lat był jego najlepszym przyjacielem? Nie, z pewnością to nie Samuel. Jeśli skreśli go z listy podejrzanych, pozostaną dwie osoby: Guillem i Enric, którzy już wykonali swój pierwszy krok. Musi znaleźć jakiś sposób, aby zdemaskować mordercę. Powinien poinformować o tym policję, jeśli chce dojść, kogo właściwie szuka.

Poinformować policję... Tylko jak ma to zrobić? W ciągu zaledwie paru sekund przestał uważać swoją hipotezę za śmieszną i zaczął zastanawiać się, czy przedstawić ją Fornellsowi. Oczywiście, jeśli się zwierzy komisarzowi, nie będzie mógł sprawdzić, jaką tajemnicę kryje rękopis, a tym bardziej zatrzymać manuskryptu i jego sekretu dla siebie. Nie może zataić przed policją informacji, która ewentualnie doprowadzi do rozwiązania sprawy. A zresztą czy to nie dziwne uważać za podejrzanych Guillema i Enrica? Dwóch szacownych antykwariuszy zaprzyjaźnionych z jego ojcem mimo dzielącej ich różnicy wieku. Artur wyrażał się o nich w samych superlatywach, zarówno w listach, jak i osobiście podczas spotkania z Guillemem cztery lata temu.

Niemożliwe. Lepiej na pewien czas zapomnieć o tej sprawie i skupić się na tłumaczeniu. Dopiero kiedy je skończy, przeanalizuje całość. I tym sposobem, jak wielokrotnie przedtem, Enrique schował głowę w piasek, odsunął od siebie problem, wyłączył komórkę oraz telefon stacjonarny w salonie i zabrał się do dzieła.

Po dwóch dniach wytężonej pracy miał już klarowny pogląd o wydarzeniach z początku XV wieku, będących - skonstatował ze zdziwieniem - konsekwencją wypadków z jeszcze odleglejszych czasów. Z zapisków architekta wynikało, że był on zaledwie niewielkim trybikiem w mechanizmie historii sięgającej zamierzczłej przeszłości.

Casadevall na pewno kontaktował się z grupą żydów przechrztów. Nowo nawróceni oficjalnie wyrzekli się swojej religii, ale potajemnie praktykowali dawną wiarę. Rabini - jako jedyni wiarygodni badacze i interpretatorzy boskiego prawa - byli osobami cieszącymi się największą estymą u współwyznawców. S. był wśród nich prawdziwym autorytetem moralnym, co prowadziło do wniosku, że musiał być ich duchowym przywódcą. Skoro autor manuskryptu używał tylko jego inicjału, to znaczy, że zastosował podstawowy i najprostszy środek ostrożności: lepiej, żeby nie kojarzono go z nikim konkretnym, i z tego też powodu unikał wszelkich bezpośrednich wzmianek o nim w jakimkolwiek pisany dokumencie.

Spotkania, najpierw sporadyczne, z biegiem czasu stawały się coraz częstsze. Enrique tłumaczył to tym, że po przezwycięzeniu początkowych oporów słaba i powierzchowna znajomość została

ugruntowana, co zresztą wydawało się logiczne. Właściwie niewiele da się powiedzieć na temat powodów spotkań: lakoniczne wzmianki o miejscu zebrania i zaproszonych osobach - skrócone informacje, zupełnie inne niż skrupulatne i szczegółowe notatki pojawiające się na początku tekstu. Architekt jakby obawiał się, że zapomni o umówionym spotkaniu, a nie chciał pisać o tym otwarcie. Stąd ten zaszyfrowany sposób zapisu.

Pierwsza konkretna data to 12 maja 1401 roku. Tego dnia sucha relacja zostaje zamącona. Przejęty i wstrząśnięty Casadevall sporządza następującą notatkę:

Nadszedł maj, przez Żydów nazywany szwał, a przez mułmanów jumada. I właśnie w tym miesiącu wydarzy się coś niezwykłego: dziś mają mi To pokazać. S. potwierdził, że będę dzisiaj uczestniczył w gahalu, całkowicie odmiennym od poprzednich. Tyle razy mnie wzywano, że aż trudno mi uwierzyć, iż w końcu postanowili to zrobić. Niech Bóg mnie prowadzi i oświeci.

Bingo! Wreszcie! Po raz pierwszy miał wrażenie, że zbliża się do celu. Enrique nie przerwał lektury, aby zastanowić się nad treścią komentarza; badał tekst w nadziei, że trafi na trop wiodący go do rozwiązania coraz liczniej pojawiających się zagadek. Kolejna strona manuskryptu zawierała wiele dziwnych uwag i komentarzy, prowadzących do porażającego, wręcz wstrząsającego wniosku. Ukończywszy żmudną pracę przy tłumaczeniu stron, które uważał za kluczowe, ponownie przeczytał uważnie tekst, niepozabawiony - był tego świadom - błędów translatorskich. Pomyślał jednak, że nie są one aż tak istotne, skoro ogólny sens został zachowany. W miarę jak przeglądał przetłumaczone strony, ogarniało go coraz większe zaskoczenie, do tego stopnia, iż miał wrażenie, że cała historia jest niewiarygodna. Co to wszystko miało znaczyć? Te wszystkie wydarzenia, a szczególnie te kilka linijek, które wryły mu się w pamięć...

Najpierw S. recytował cicho jakąś dziwną modlitwę po hebrajsku i choć usilnie starałem się ją zrozumieć, moje wysiłki spełzły na niczym. Być może był to jakiś rzadki dialekt, od dawna nieużywany, pochodzący z zamierzchłych czasów. Potem odsunął rytualny świecznik i nacisnął jakieś miejsce na drewnianym obramowaniu ołtarza. Tabliczka, na której były wryte znaki, ustąpiła. Widać w ramie ukryty był zmyślny mechanizm przesuwający kamienną płytę. Następnie S. wsunął dłoń w otwór powstały pod ołtarzem i wyjął ten przedmiot.

To, co wydarzyło się później, jest zbyt nieprawdopodobne, by o tym mówić, a tym bardziej pisać. Opowieści S. okazały się prawdziwe. Wystarczy powiedzieć, że na przedmiocie jest wryte Jego Imię, i S. ośmielił się Je wymówić.

Dalej była pustka, przerwa. Tak jakby architekt zastanawiał się nad tym, co się stało, albo przestraszył się tego, co chciał napisać. Parę linijek pozostało niezapisanych, rozpoczęta narracja niedokończona, wydarzenia z jakiegoś powodu przemilczane.

Mieli rację. Moim obowiązkiem jako chrześcijanina i człowieka jest zachować To w sekrecie na zawsze. Muszę znaleźć jakiś sposób, aby To ukryć i zapomnieć o tym, co widziałem i trzymałem w ręku. (...)

Panie, wybac mi, bo popełniłem najcięższy grzech. Boże, wybac mi, bo jeśli zgrzeszyłem, to tylko dlatego, by inni nie mieli ku temu sposobności i by jeszcze większe nieszczęścia nie spadły na ludzkość. Z całą świadomością przyznaję się do winy. Niech Bóg zlituje się nad mą biedną duszą.

Tu kończył się fragment tekstu, nad którym Enrique pracował z mozołem przez ostatnie dwa dni. Co to mogło być? O czym mówił Casadevall? „Boże, wybac mi...” - napisał. Co takiego widział i trzymał w dłoni, że popełnił aż tak ciężki grzech? Ewidentnie chodziło o jakiś ważny przedmiot, o ogromnym znaczeniu, jednak z tekstu nie wynikało, co to mogło być. Czy miał on znaczenie religijne?

Prawdopodobnie tak, ale ten stanowczy nakaz, by To ukryć przed wzrokiem innych, i to „na zawsze”, był bardzo dziwny. Nawiązanie do „Jego Imienia” również niczego nie wyjaśniało.

Opanowany jakimś frenetycznym podnieceniem, Enrique dalej zajmował się fragmentarycznym tłumaczeniem tekstu, w nadziei, że wpadnie na jakiś ślad, który mu wyjaśni, o co chodzi, ale kolejne strony zawierały tylko informacje związane ze wznoszeniem różnych budowli. Casadevall sporządził listę mistrzów budowlanych z tamtych czasów oraz wykaz gmachów sakralnych i cywilnych na różnym etapie budowy. Długa, szczegółowa lista stanowiła kontrast z poprzednimi fragmentami, przesyconymi napięciem i emocją. Długo zastanawiał się, w jakim celu architekt przygotował ten nudny, detaliczny spis, i w końcu doszedł do jedyne go rozsądnego wniosku: prawdopodobnie szukał miejsca, gdzie mógłby schować czy raczej na zawsze ukryć wspomniany przedmiot. Wykaz przedstawiał wszystkie możliwości, jakie tylko przyszły mu do głowy. Niektóre z nich zostały oznaczone numerami, tak aby utworzyły uporządkowany ciąg. Sporządziwszy listę w przypadkowy sposób, wytypował najodpowiedniejsze miejsca. Enrique przejrzał z rozpaczą wykaz, spodziewając się, że znajdzie jakąś wskazówkę: numer czy jakikolwiek inny znak pomocny w rozszyfrowaniu wybranego schowka, ale musiał się poddać: nic, żadnej podpowiedzi, że Casadevall zdecydował się na jakieś konkretne miejsce.

Dopisek kończący diariusz również niczego nie wyjaśniał; dla Casadevalla było to oczywiste, dla Enrique'a zaś absolutnie niezrozumiałe.

Zrobiłem, co było w mojej mocy. Na koniec, prowadzony i chroniony miłością oraz mądrością, znalazłem wyjątkowe i odpowiednie miejsce w Królestwie Bożym, które miłosierny Bóg raczył mi wskazać.

Większość wymienionych na liście obiektów liczyła sobie ponad pięćset lat. Stare miasto, choć zachowało się w prawie nienaruszonym kształcie, przeszło jednak wiele zmian i trudno będzie, na podstawie skrótowych informacji, odnaleźć wspomniane budowle. Co prawda do współczesnych czasów, zarówno w Barcelonie jak i w innych miastach na świecie, przetrwało niewiele średniowiecznych gmachów i to ułatwiało zlokalizowanie tych nielicznych, które wygrały walkę z czasem. Znał położenie większości z nich, ale to za mało. Enrique dotarł do ściany. Jego znajomość miasta była rozległa - Artur zadbał o to w dzieciństwie - miała jednak granice. Bez pomocy nie znajdzie tajemniczego przedmiotu, ponieważ nie potrafi zidentyfikować miejsca jego ukrycia. Tylko połączenie encyklopedycznej wiedzy z wielką miłością do rodzinnego miasta oraz ogromne doświadczenie pozwoliło Arturowi określić, gdzie najprawdopodobniej zostało ukryte To. Niestety, Enrique dysponował zbyt skromną wiedzą, by znać odpowiedź.

Po raz trzeci w życiu poczuł się przegrany. Pierwszy raz, gdy powiadomiono go o tragicznej śmierci rodziców. Był wtedy dostatecznie duży, żeby to w pełni zrozumieć, i nie na tyle mały, by szybko zapomnieć. Drugi raz miał świadomość przegranej, gdy Bety obwieściła głosem zupełnie pozbawionym uczuć, zawsze oznaczającym nieodwołalną decyzję, że go opuszcza. Spodziewał się, że taki będzie finał tego związku, ale to nie znaczy, że był przygotowany na podobną wiadomość, i koniec końców poczuł się zupełnie zdruzgotany. Z trudem przyzwyczajał się do nowej sytuacji. Był wtedy raczej radosnym ekstrawertykiem i ta cecha jego charakteru bardzo mu pomogła znieść rozstanie. Teraz, zraniony zabójstwem człowieka, którego kochał najbardziej w życiu, czuł się zupełnie bezradny wobec zagadki, przez którą zginął Artur. Zabójca ojca jest gdzieś blisko, ale on nie potrafi go zdemaskować.

Postanowił za wszelką cenę wyzbyć się gniewu i bezsilności. Starał się oczyścić umysł, żeby móc jasno myśleć. Zniewolony własną bezradnością, nie był w stanie dojść do jakiegoś konkretnego wniosku: potrzebował pomocy i nawet wiedział, kto może mu jej udzielić. Z torby podróżnej wyjął notes i odszukał prywatny numer telefonu Carlosa Hidalgo. Nikt nie odbierał. Zadzwoił więc do biura. Po czwartym sygnale zgłosiła się automatyczna sekretarka. Na próżno próbował skontaktować się przez komórkę. Nie chciał zostawiać żadnej wiadomości. Skoro Carlosa nie było ani w domu, ani w pracy, to można go było złapać tylko w jednym miejscu i Enrique dobrze wiedział, gdzie. Do przepastnej kieszeni sportowej kurtki wcisnął Exercicio de Perfección i sporządzone w trakcie prywatnego śledztwa notatki, wyszedł z domu i wsiadł do samochodu.

Jadąc wolno i ostrożnie krętą szosą z Vallvidrery, podziwiał widok roztaczający się na Barcelonę, jego rodzinne miasto. Ogarnęła go przemożna nostalgia. Wspominając dawne czasy - teraz wydawały się odległe - nagle zorientował się, że otacza go ożywiony wielkomiejski ruch. Prowadząc samochód, tak się zamyślił, że stracił kontakt z rzeczywistością. Artur nie powinien być umrzeć w taki sposób, był

przecież dobry, szlachetny i prawy. Pragnął żyć w otoczeniu książek i antyków. Po śmierci przyjaciół przyjął pod swój dach osieroconego chłopca i pokochał jak własnego syna. Mógł żyć na bezludnej wyspie jak współczesny Robinson Crusoe. Nie potrzebował nikogo, bo też nikt nie był tak bardzo samowystarczalny i niezależny jak on. Jednak zawsze miał dla niego czas, okazywał mu miłość, przyjaźń i czułość. Ofiarował wszystko, co mógł, samotnemu chłopcu, a teraz leżał martwy w lodowatym marmurowym grobowcu. Dlaczego musiał zginąć?

Zaczął prowadzić szybko, agresywnie. Taki styl jazdy najlepiej odzwierciedlał jego emocje. Zjeżdżał w dół Carrer Balmes, wymijając pojazdy. W ostatniej chwili ostro zahamował przed światłami i stał teraz otoczony innymi autami, dobrze wiedząc, jakim wzrokiem patrzą na niego kierowcy: oburzonym, wściekłym, a może przestraszonym, ale nic go to nie obchodziło. Nie zważał na to, co o nim pomyślą. Odetchnął głęboko, próbował się uspokoić, świadom, że stracił panowanie nad sobą. Czasami dochodziła do głosu mroczna strona jego osobowości. Nienawidził tej wersji Enrique'a. Musi się opamiętać.

Kierowca stojącego za nim samochodu upomniał go klaksonem, że światła znowu się zmieniły. Ruszył naprzód z zupełnie wyjałowionym umysłem. O niczym nie myślał. Po dziesięciu minutach zaparkował tuż przy porcie olimpijskim. W powiewach świeżej wieczornej bryzy poczuł wilgoć na policzkach. Wyjął papierowe chusteczki ze schowka i wytarł łzy z twarzy. Już spokojniejszy, poszedł na przystań, gdzie cumowały jachty i żagłówki. Na pokładzie jednego z nich dojrzał światło. Przeczucie go nie myliło.

- Przepraszam, wstęp wzbroniony - zatrzymał go umundurowany strażnik, stojący w cieniu palmy. - Na teren portu mogą wejść tylko właściciele jachtów.

- Właściciel „Korsarza” zacumowanego przy piątym pomoście jest moim przyjacielem.

Strażnik przyglądał mu się uważnie. Facet wyglądał niby normalnie i faktycznie przy piątce cumował jacht o tej nazwie, ale coś w twarzy Enrique'a go zaniepokoiło. Enrique spojrzał na niego i wartownik szybko odwrócił wzrok. Pewnie miał jeszcze w oczach resztki przepelniającej go złości, skoro mężczyzna, być może pod wpływem uprzednich doświadczeń, wołał ustąpić i nie wywoływać awantur.

- Proszę. - Zwolnił zagradzający drogę łańcuch.

Enrique nie zadał sobie nawet trudu, żeby mu podziękować. Strażnik znaczył dla niego tyle co nędzny robak - tak bardzo ich nienawidził, że tego wieczoru postanowił wypowiedzieć im wojnę - niegodny uwagi, chyba że utrudniał mu życie. Idąc mołem, minął cztery kolejne pomosty. Dotarł do piątego i szedł po schodkach. Łagodne kołysanie fal rozbijających się o drewniany trap, cudem unoszący się na wodzie, błyskawicznie poprawiło mu kiepski nastrój. Morze zawsze wywierało na niego zbawienny wpływ, w najgorszych chwilach było jego jedynym towarzyszem. Prawie na samym końcu kołysała się na wodzie dziesięciometrowa żagłówka, ze złożonym masztem. Przytrzymał się cumy i jednym susem skoczył na pokład. Z luku wyłoniła się głowa właściciela, zaalarmowanego nagłym przechyłem jachtu. Oślepiiony jaskrawym światłem, początkowo nie poznał gościa, ale nim zapytał kto zacz, w nagłym przeblasku przypomnienia jego ogorzałą twarz rozświetlił promienny uśmiech. Niedbałym gestem odgarnął z czoła długie, przetłuszczone włosy, odsłaniając niewiarygodnie zielone oczy, i wolno wspiął się na pokład. Miał na sobie wypłowiały na słońcu niedbały strój, jak wszyscy prawdziwi żeglarze, dla których morze jest ważniejsze niż moda i szyk. Był niewysoki - mierzył jakieś metr siedemdziesiąt pięć - o silnej i atletycznej budowie ciała, zahartowanego trudami morskiej żeglugi.

- Stary, co za niespodzianka! - wykrzyknął. - Tak dawno cię nie widziałem, że prawie zapomniałem, jak wyglądasz.

Enrique podszedł bliżej i wtedy uśmiech powoli zaczął znikać z twarzy mężczyzny. Pisarz usiadł koło luku zejściowego, wbił pusty wzrok w falochron i milczał:

- Stary, co się dzieje? - spytał Carlos, widząc, że coś go dręczy.

Głucha cisza. Carlos, z natury powściągliwy, więcej się nie odezwał. Jeśli Enrique tu go znalazł, to znaczy, że potrzebuje pomocy. Po tylu latach przyjaźni i tylu wspólnych przeżyciach znał go jak siebie samego i czytał w nim jak w otwartej księdze. Zaprzyjaźnili się jeszcze w czasach szkolnych. Carlos cierpliwie czekał, aż Enrique zbierze siły, powie coś, wyjaśni, co się stało. Po kilku minutach milczenia pisarz odezwał się.

- Chciałbym trochę popływać - wyszeptał. Z trudem wydobył głos z zaciśniętego gardła. Nie chciał zdradzić własnych rozterek i lęków.

- Niezły pomysł - stwierdził spokojnie Carlos, próbując pomóc przyjacielowi. - Wieczór jest piękny. Wieje słaby zachodni wiatr. Pożeglujemy jak dawniej. Ty zajmiesz się linami, a ja sterem.

Enrique odwiązał cumę łączącą „Korsarza” z keją, Carlos włączył światła pozycyjne i silnik. Ledwie słyszeli monotony terkot diesla wśród hałasu i gwaru dochodzącego z licznych modnych barków i stylowych restauracji, znajdujących się przy wyjściu z portu. Carlos wykonywał manewry ze swobodą świadczącą o dużej wprawie. Minął falochron i wyprowadził „Korsarza” na otwarte morze. Tam ustawił jacht dziobem na wiatr, aby Enrique mógł rozciągnąć fok. Potem zgasił światła na pokładzie, wyłączył silnik i wciągnął genuę na maszt. Wiatr popchnął żaglówkę lekko i radośnie, po tych wstępnych czynnościach „Korsarz” był gotowy do dłuższej żeglugi, Enrique usiadł obok Carlosa, który sterował niedbale jedną ręką, bardziej skupiony na zachowaniu przyjaciela niż na manewrach.

- W szafce na dole znajdziesz dwa sztormiaki. Włóż jeden, drugi przynieś dla mnie i weź coś do picia.

Enrique bez słowa zniknął pod pokładem. Po chwili zjawiał się w nieprzemakalnej kurtce, z dwiema puszkami piwa w jednej ręce i sztormiakiem dla przyjaciela w drugiej. Carlos szczelnie się zapiął, raczej dla ochrony przed nocną rosą niż przed zimnem, i otworzył puszki. Pili w milczeniu. Bryza, chłodniejsza na morzu niż na lądzie, pieściła delikatnie ich twarze.

- Właśnie tego potrzebowałem - powiedział Enrique. - Dziękuję, stary.

- Nie ma za co. Jeśli kiedyś wpadnę do San Sebastián i poproszę cię o coś w tym stylu, będziesz musiał się zrewanżować - powiedział z uśmiechem Carlos. Odetchnął głęboko i zapytał: - Lepiej się czujesz?

- Tak.

Rzeczywiście, na pokładzie „Korsarza” jego twarz straciła wyraz napięcia i bólu spowodowanego śmiercią Artura oraz mozolnego skupienia - rezultatu wyłożonej pracy nad manuskrypcem.

Carlos zrozumiał, że Enrique potrzebował tej krótkiej chwili relaksu. Żeglowanie po otwartym morzu miało zbawienny wpływ na jego porywczy i zmienny charakter. W czasach, kiedy obaj byli początkującymi żeglarzami, często działał pochopnie i nieprzewidywalnie. Po paru dniach od wypłynięcia z portu nieopanowane, pełne agresji reakcje, wynikające przede wszystkim z jego popędliwości, zaczynały powoli zanikać, rozwiewać się wobec ogromu morza i konieczności pracy zespołowej, od czego zależy los marynarzy. Żeglowanie działało na Enrique’a jak kojący balsam.

Carlos przypomniał sobie ich pierwszą wspólną eskapadę, odbyłą bez wiedzy rodziców. Skoro on o niej pamiętał, przyjaciel też jej nie zapomniał. A cóż może być lepszym sposobem na przerwanie okowów milczenia, które nie pozwalały Enrique’owi wyrazić więzionych udręk i niepokojów, niż pełne nostalgii wspomnienia z młodości.

- Kiedy zobaczyłem cię na pokładzie, przypomniałem sobie naszą szaloną wyprawę. Wypłynęliśmy w morze w Wielki Tydzień. Pamiętasz aferę, jaka wtedy wybuchła?

Enrique ukrył twarz w dłoniach, widać było tylko jego oczy. Carlos nie był pewien, czy przyjaciel się uśmiecha, ale dojrzał błysk w jego wzroku na wspomnienie pierwszej wielkiej przygody. Tak, pamiętał. Zresztą tego nie można było zapomnieć.

To były inne czasy. Carlos i Enrique, od czterech lat adepci Królewskiego Klubu Żeglarskiego w Barcelonie, zawarli głęboką, dozgonną przyjaźń. Nerozłączni towarzysze spędzali każdą wolną chwilę na terenie klubu, gdzie wszyscy dobrze się znali. Najważniejsze dla nich było wykorzystanie najmniejszej nawet sposobności wypłynięcia na otwarte morze. Jeśli właściciele cumujących w porcie jachtów akurat się tam wybierali, zgłaszali się do pomocy. Zazwyczaj były to krótkie jednodniowe rejsy. O wyprawie zawiadamiali swoich rodziców telefonicznie, żeby się o nich nie martwili.

Przygoda, o której wspominał Carlos, miała trochę inny przebieg. Àngel Llompart, synalek z bogatej katalońskiej rodziny, umyślił sobie popłynąć na weekend na Minorkę. Rodzice mieli gest i podarowali mu piękny jacht o długości dziesięciu metrów. Wspaniale wyposażony, z pewnością kosztował fortunę. Àngel uwielbiał żeglować, ale na ogół pływał na mniejszych jednostkach i zawsze w towarzystwie. Dlatego, wybierając się na Minorkę zupełnie nowym jachtem, postanowił poprosić o pomoc przyjaciół. Obecność załogantów miała zapewnić bezpieczną żeglugę. Zarówno Carlos, jak i Enrique dobrze wiedzieli, że rodzice nie zgodzą się na trwającą ponad szesnaście godzin wyprawę, licząc tam i z powrotem, na dodatek z kapitanem - zupełnym żółtodziobem - który pierwszy raz dowodził tak dużym jachtem. A zatem dwaj szesnastoletni żeglarze wspólnie uradzili, omamieni magią wielkiej przygody, że okłamią rodziców, mówiąc, że każdy z nich spędzi weekend u przyjaciela.

W niedzielę około dziesiątej wieczorem przybili z powrotem do portu w Barcelonie. Ku ich zdziwieniu na pomoście czekali na nich Artur oraz rodzice Carlosa, z minami niewróżącymi niczego dobrego. Okazało się, że spacerując w sobotnie popołudnie po Ramblas, wpadli przypadkiem na siebie, i od słowa do słowa spiszek młodocianych konspiratorów się wydał. Państwo Hidalgo i Artur, początkowo zdenerwowani, szybko odkryli, że w domu brakuje sztormiaków. Doszli więc do jedynego

logicznego i słusznego wniosku, że chłopcy wybrali się na żagle. Pognali zatem do klubu, gdzie poinformowano ich, że Enrique i Carlos wypłynęli na pokładzie jachtu Àngela Llomparta. W kapitanacie portu zapoznali się z trasą żeglugi oraz przewidzianą datą i godziną powrotu. Gdy chłopcy przycumowali do nabrzeża, na widok rozsierdzonych rodziców ziemia usunęła im się spod nóg. Dwa siarczyste policzki wymierzone na wstępie na długo pozbawiły ich ochoty do samowolnych wypraw na morze.

Carlos dobrze zrobił, przypominając tę przygodę. Enrique poweselał i stał się bardziej przystępny, akurat w sam raz, aby z niego wydusić prawdziwy powód wizyty.

- Co się stało - spytał wprost.

- Artur został zamordowany.

Wypowiedziawszy te słowa, Enrique poczuł, że spadł mu kamień z serca.

- Cholera, nie do wiary. Kiedy?

- Tydzień temu. Znalaziono go martwego w poniedziałek, po święcie Sant Jordi. Ktoś zdzielił go kilkakrotnie w głowę marmurowym przyciskiem do papieru. Pamiętasz jego antykwariat? Artur spadł z antresoli, ale jeszcze żył. Żeby go dobić, morderca przebił mu serce nożem do rozcinania kopert. Następnie przetrząsnął cały sklep, zabrał klucze do domu Artura i przeszukał go tak samo jak antykwariat.

- Rozumiem. - Sprawa była jasna. Nie tylko pojął powód rozpaczy Enrique'a, ale także zrozumiał, że przyjaciel nie miał innego wyjścia jak zwrócić się do niego, Carlosa Hidalgo, z zawodu prywatnego detektywa. I to nie byle jakiego tajniaka na usługach mężów rogaczy, tylko jednego z najlepszych w mieście, cieszącego się renomą w całym kraju. - Kto prowadzi śledztwo?

- Komisarz Fornells. Znasz go?

- Jasne. Stary, doświadczony gliniarz, w najlepszym dawnym stylu, jeszcze z czasów frankistowskich. Starszawy gość, pewnie tuż przed emeryturą, ale ciągle ma ten szósty zmysł i jest skuteczny. Jeśli to on prowadzi śledztwo, jest szansa, że złapie mordercę, oczywiście, jeśli są jakieś ślady i wiarygodne dowody.

- Policja ma kilka tropów, swoją hipotezę, ale go nie złapie.

- Dlaczego tak myślisz?

- Fornells przedstawił mi policyjną tezę: napadu dokonał jakiś miejscowy złodziejasek.

- Mało prawdopodobne - skwitował Carlos. - Nawet największy złotodziób w tym fachu wie, że antykwariusze rzadko dokonują transakcji gotówkowych, raczej używają kart.

- To samo powiedział Fornells i z tym się zgadzam. Artur nakłonił policję do przeprowadzenia śledztwa w sprawie cudownego rozmnożenia nowych antykwariatów w Barcelonie. Krąży plotka, że mogą mieć związek z mafią i służą jako pralnie brudnych pieniędzy.

- To brzmi bardziej przekonująco, chociaż mafiosi w takich okolicznościach raczej nie plamią sobie rąk krwią. To dobre w amerykańskim kinie i nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem, tym bardziej u nas, w Barcelonie. Dowiedzieli się czegoś?

- Na razie nic pewnego. Czekają na informacje z Wydziału Przystępstw Gospodarczych.

- No dobra i co jeszcze?

- Nie złapią mordercy, bo idą mylnym tropem - odpowiedział tajemniczo Enrique.

- Opowiadaj. - Carlos rzucił hasło i czekał na odpowiedź. Był niezłym detektywem. Działał bez pośpiechu.

- Artur czytał stary, pochodzący z początków XV wieku rękopis. Zdaje się, że odkrył coś, nie wiem jeszcze co, naprawdę ważnego. Popatrz - wyjął z wewnętrznej kieszeni sztormiaka list, który Artur napisał do niego na dzień przed śmiercią - tutaj, w postscriptum.

Carlos zapalił reflektor pokładowy i dwukrotnie z uwagą przeczytał dopisek.

- Myślisz, że ktoś mógł go zabić tylko z powodu tego odkrycia?

- Jestem tego pewny.

- Powiedziałeś, że morderca przeszukał dom Artura. Widocznie manuskryptu nie było w sklepie, skoro go tam nie znalazł.

- Właśnie.

- A w Vallvidrerze?

- Też nie.

- W takim razie ty go masz - skonstatował Carlos.

Enrique nic nie odpowiedział.

- Jak to możliwe, że morderca nie znalazł rękopisu ani w antykwariacie, ani w domu Artura?

- Przeczytałeś postscriptum. Artur miał przeczucie. Zamienił okładki i włożył rękopis między wolumeny w swojej bibliotece. Wśród pięciuset ksiąg stał się jedną z nich i mógł go odnaleźć tylko ktoś wtajemniczony.

- Z tego wniosek, że policja nie złapie mordercy, ponieważ śledztwo idzie w złym kierunku - rozumował Carlos - a skoro tak, to znaczy, że, po pierwsze, nie wiedzą o istnieniu rękopisu, a po drugie, ty się domyślasz, kto to mógł zrobić.

- Właśnie. Tylko trzy osoby wiedziały, że w ostatniej partii zakupionych ksiąg Artur natrafił w jednej z nich na tajemnicze zapiski. Od razu wykluczam Samuela Horowitza. Odkąd pamiętam, był przyjacielem rodziny i raczej to niemożliwe, żeby był w to zamieszany.

- Już słyszałem to nazwisko. Chyba kiedyś mi o nim opowiadałeś. Ale myśląc schematycznie, popełniasz błąd: udowodniono, że dziewięćdziesiąt procent zbrodni popełniają osoby z najbliższego otoczenia denata - dodał spokojnie, skupiony raczej na czynnościach detektywa niż na analizie przyjacielskich więzi.

- Ale to nie on. Trudno mi w to uwierzyć. Byli przyjaciółmi, w dzieciństwie spędzałem u niego niemal tyle samo czasu co u siebie.

- W porządku, mów dalej - Carlos wszedł mu w słowo.

- Pozostali dwaj to Guillem Cardús i Enric Torner, antykwariusze młodszej generacji. Podejrzewam, że jeden z nich, o ile nie działali wspólnie, zabił mojego ojca.

- Znasz ich osobiście?

- Słabo. Pojawili się w świątku antykwariuszy przed paroma laty. Po mojej przeprowadzce do San Sebastián nabyli własne lokale sklepowe i uniezależnili się. Wiem o nich tylko tyle, ile opowiedział mi Artur. Są dobrymi fachowcami. Guillem jest otwarty, sympatyczny. Natomiast Enric ma więcej rezerwy, jest trochę nieśmiały. Obaj są znakomitymi specjalistami, mają szósty zmysł do interesów. Świetnie prosperują. Artur zawsze chwalił ich za wiedzę i erudycję, a przede wszystkim za wycucie i smak.

- Guillema i Enrica można więc uznać za przyjaciół Artura?

- Tak. Mieli zwyczaj raz w tygodniu umawiać się na kawę.

- Słuchaj, Enrique. Czy jesteś pewny tego, co mówisz?

- Oczywiście.

Carlos kiwał głową, jakby w myślach rozważał opowieść Enrique'a. Wiatr nagle zmienił kierunek na północny. Hidalgo dał znak i Enrique przestawił genuę, tak aby jacht zawrócił do portu.

- Powiedz coś więcej - polecił. - Na podstawie danych, które mi przekazałeś, trudno wywnioskować, czy któryś z nich jest winien. Z pewnością wiesz coś jeszcze.

- Owszem. W ciągu zaledwie trzech dni otrzymałem aż dwie oferty kupna sklepu Artura. I to od trzech osób, które ostatnie widziały mojego ojca żywego i z nim rozmawiały. Pierwszą propozycję złożył Samuel, drugą - Guillem i Enric, gotowi założyć spółkę i wspólnie pokryć koszty. To zbyt duży zbieg okoliczności.

- Rozumiem. Ale mogło się tak zdarzyć, powinieneś to wziąć pod uwagę. Jeśli wszyscy trzej należą do kręgu antykwariuszy utrzymujących stosunki zawodowe i koleżeńskie z Arturem, to logiczne, że proponują ci współpracę, a nawet kupno sklepu. Choć, szczerze mówiąc, masz rację, trzynastcie lat pracy w tym zawodzie nauczyło mnie nie wierzyć w przypadki. - Carlos wypił piwo do końca. - Przypuszczam, że opowiedziałeś mi tę historię, ponieważ potrzebujesz pomocy.

- Rzeczywiście.

- A teraz przyznaj się, czemu nie opowiedziałeś tego wszystkiego Fornellsowi? Domyślam się, że ukrywasz coś, co może mieć fundamentalne znaczenie dla rozwiązania tej sprawy. Powiedz dlaczego.

Enrique zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi. On też nie widział w tym logiki. Tłumaczyła go jedynie ciekawość: sam chciał zbadać, co to za ważne odkrycie stało się przyczyną zbrodni.

- Nie wiem. Odniosłem wrażenie, że śmierć Artura ma związek z rękopisem, a kiedy go znalazłem i trzymałem w ręku, poczułem pewność, że tak jest - mówił w zamyśleniu Enrique. - Wtedy ja...

- Odpowiedz na moje pytanie.

Enrique przez dłuższą chwilę milczał.

- No powiedzże wreszcie. Co takiego może się kryć w rękopisie, że ludzie są gotowi za to zabić?

- Nie wiem - odpowiedział krótko Enrique.

Carlos wyjął z kieszeni papierosa i przypalił go zapalniczką.

- Nic nie wiesz. - Spojrzył na niego z wyrzutem. - Nie podoba mi się to. Powinieneś porozmawiać z policją, opowiedzieć komisarzom, co odkryłeś, zamiast przychodzić z tym do mnie. Przypominam ci, że zatajanie jakichkolwiek informacji mogących doprowadzić do rozwiązania sprawy i złapania mordercy to przestępstwo... a oprócz tego jest to naganne z moralnego punktu widzenia.

- Trzy razy uderzono Artura w głowę marmurowym przyciskiem z takim impetem, że spadł z antresoli. Później wbito mu sztylet między żebra, dziurawiąc serce na wylot. Ta bestia nie miała krztyny litości. Pomóż mi złapać skurwysyna, który zabił mojego ojca - powiedział już spokojniej Enrique.

Carlos zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i pokiwał głową. Ta historia nie trzymała się kupy, ale Enrique był jego przyjacielem i musiał mu pomóc.

- Spróbuję.

5.

Przez kolejne dwa dni cierpliwość Enrique'a została wystawiona na wielką próbę: nie znośił czekać. Miał mnóstwo pilnych spraw do załatwienia, wszystkie związane z rękopisem, ale tak naprawdę interesowały go nie archiwa i biblioteki, dokąd chadzał w nadziei, że natrafi na jakąś wskazówkę, podpowiedź, gdzie średniowieczny mistrz budowlany ukrył tajemniczy przedmiot, lecz informacje, jakich miał mu dostarczyć Carlos na temat mordercy jego ojca. Przedłużające się oczekiwanie sprawiało mu nieznośne cierpienie, doprowadzało do pasji. Jedyne sensowne działanie, jakie mógł podjąć, to przeniesienie biblioteki Artura ze sklepu do domu. Wspecjalizowana firma traktowała cenne wolumeny z należytym szacunkiem i odpowiednią dbałością. Wystawili za to fakturę na kwotę z nawiązką rekompensującą ich starania.

Połączenie niewielkich zasobów cierpliwości i nikłych rezultatów jego własnych prac badawczych stworzyło mieszkankę wybuchową: taki koktajl mało kto jest w stanie przełknąć.

Wreszcie Carlos się odezwał. Enrique, po powrocie do domu w Vallvidrerze, zastał wśród innych wiadomości oschły komunikat pozostawiony na sekretarce automatycznej. Jego treść była odwrotnie proporcjonalna do dręczącej go ciekawości: „Mówi Carlos. Zadzwoń jak najszybciej”. Odsłuchał inne wiadomości.

Bety nalegała na stały kontakt telefoniczny, chociaż Enrique nie miał na to ochoty. Jego była żona tramie przeczuwała, że dzieje się coś dziwnego, o czym nie chce jej powiedzieć. Jak ognia unikał rozmów ze swoją byłą, bo wiedział, że nie potrafi nic przed nią ukryć i tym razem będzie tak samo. Dlatego dzwonił do niej tylko wtedy, kiedy wiedział, że jest na uniwersytecie. Zostawiał jej uspokajające wiadomości na sekretarce, których mimo wszystko nie mógł przekazywać osobiście, nie budząc jej niepokoju.

Samuel martwił się o niego i prosił, żeby oddzwonił. Enrique'a wzruszyła troska starszego pana. Łączyła ich z Arturem wieloletnia przyjaźń, nic więc dziwnego, że w pewnym sensie czuł się odpowiedzialny za nastrój i zdrowie jego przybranego syna.

Czwartą wiadomość, na którą zresztą niecierpliwie czekał, nagrał komisarz Fornells. Prosił Enrique, żeby wpadł do komisariatu na Ravalu w godzinach urzędowania.

Postanowił najpierw zadzwonić do Carlosa. Ze wszystkich wiadomości ta była dla niego zdecydowanie najważniejsza. Wybrał jego numer.

- Tak, słucham - w słuchawce odezwał się jakiś miły kobiecy głos, którego Enrique nie znał.

- Dobry wieczór. Chciałbym rozmawiać z Carlosem.

- Chwileczkę. Kto mówi?

- Enrique Alonso.

Po niecałej minucie Carlos podszedł do telefonu.

- Przepraszam, brałem prysznic.

- Nie wiedziałem, że jest ktoś u ciebie. Jeśli przeszkadzam, zadzwonię później.

- Nie, już jestem wolny. Zostawiłem ci wiadomość na sekretarce. Musimy pogadać.

- Dowiedziałeś się czegoś? - W jego głosie pobrzmiwał niepokój.

- Nie. Właśnie o tym musimy porozmawiać.
- Kiedy? - Enrique próbował ukryć rozczarowanie.

- Jutro po południu. Wpadnij do mnie do biura około szóstej. O tej porze będzie już spokojnie. Do jutra. - Carlos rozłączył się, nie dając mu czasu na pożegnanie.

Rozgoryczony, a do tego w fatalnym nastroju z powodu braku postępów w śledztwie, nie miał już ochoty dzwonić do Bety i Samuela. Zjadł kolację i położył się do łóżka. Chciał się wreszcie wyspać, ale znowu nie zmrzucił oka aż do świtu.

Przy śniadaniu ustalił plan dnia: pójdzie do archiwum arcybiskupstwa, bo spodziewał się, że w jego zasobach może znajdować się rozwiązanie zagadki; po południu wpadnie najpierw do Fornellsa, choć nie oczekiwał zbyt wielu nowin, a potem do biura Carlosa na Plaça Reial.

Ten ranek, podobnie jak poprzednie, nie poprawił mu humoru. Dokładnie określił, na jakim okresie historycznym powinien skoncentrować swoje badania, ale to jeszcze nie oznaczało sukcesu. Zdając się na los szczęścia, szperał, tak jak poprzednio, w piętrzącej się stercie starych, zniszczonych dokumentów. Dowiedział się o wielu wydarzeniach, nie-związanych jednak z przedmiotem jego badań. W południe stwierdził, że stracił tylko czas, i odłożył nieme świadectwa przeszłości na półkę. Zjadł bez pośpiechu obiad i wypił kawę na patiu siedziby stowarzyszenia kulturalnego Ateneu. Co prawda nie należał do tego elitarnego klubu, ale ponieważ wygłosił tam kiedyś cykl wykładów, miał wstęp wolny. Przed spotkaniem z Fornellosem przeszedł się Ramblas w stronę morza.

Jak zawsze aleję wypełniali turyści, wielobarwny tłum błakających się obcych ludzi-w pogoni za nie wiadomo czym. Stał przed kioskiem i powodowany niezrozumiałym impulsem kupił gazetę „Diario Vasco”, mimo że w San Sebastián czytywał wyłącznie „La Vanguardię”. Przypomniał sobie, że w małżeńskich czasach zaglądał do „Diaria” - ulubionego dziennika Bety. Szedł w kierunku Plaça Reial i bez zbytniego zapału przeglądał kolejne strony. Nagłówki artykułów budziły w nim niejasne i nieokreślone, ale całkiem przyjemne wspomnienia San Sebastián -miasta, w którym zamieszkał na stałe. W końcu złożył egzemplarz, schował go pod pachę i pod wpływem nagłego przeczucia obejrzał się. Zdawało mu się, że wśród mrowia przechodniów dostrzega znajomą sylwetkę, ale poprzez otaczający go wokół tłum nie mógł jej ponownie wypatrzeć. O ile wzrok go nie mylił, szedł za nim inspektor Rodríguez, młody współpracownik Fornellsa. Nie był jednak tego pewien. W tej części miasta dość często widuje się mężczyzn w eleganckich garniturach i pod krawatem, choć większość wybierała swobodny, sportowy styl. Przysięgłby, że nie był to jeden z urzędników z pobliskiego banku. Cóż w tym dziwnego, że wpadł na Rodrígueza na Ramblas, w końcu komisariat mieścił się niedaleko. Starał się zachowywać bez troski i swobodnie, ale nie mógł pozbyć się uczucia niepokoju i obawiał się, że to po nim widać.

Po chwili znalazł się przed komisariatem. Wyjące syreny wozów patrolowych tworzyły nieopisany zamęt, wskazujący nieomylnie siedzibę policji. Z sukni wyskoczyło trzech funkcjonariuszy po cywilnemu, prowadząc skutego kajdankami mężczyznę, na pozór o całkiem zwyczajnym wyglądzie, choć o dziwnym, wyobcowanym spojrzeniu, jakby aresztant znajdował się z dala od otaczającej go rzeczywistości. Policjanci traktowali go z brutalnością, jaką zazwyczaj wyzwała w ludziach odraza lub strach. Enrique widział, jak ciągną go do bocznych drzwi w głębi bramy, które, jak przypuszczał, prowadziły do aresztu. Wśród uwijających się po dziedzińcu kilkunastu policjantów zobaczył Fornellsa. Komisarz wyglądał na zmęczonego i równie wyobcowanego jak więzień, skinął Enrique'owi głową na powitanie i gestem zaprosił na górę. Miał smutne, zgorzkniałe, skrajnie zmęczone spojrzenie, jakby był przeświadczony, że niezależnie od tego, co zrobi, nie zmieni biegu nieuchronnych, acz nieoczekiwanych zdarzeń. Rzucił rozkaz i kłębiący się bezładnie przed wejściem policjanci, jakby pod wpływem bodźca, rozpieczęli się, a potem wszedł tymi samymi drzwiami, którymi wprowadzono więźnia. W jednej chwili katagoryczny głos szefa - jak nagle wybawienie - przywołał do porządku miotającą się bezradnie, owładniętą chaosem, pokonaną nieoczekiwanym wydarzeniem masę.

Enrique także ocknął się ze zbiorowego letargu i wszedł do pomieszczeń komisariatu. Dyżurny policjant polecił mu poczekać. Pisarz pragnął się dowiedzieć, co zaszło, ale nikt się nie spieszył z udzieleniem wyjaśnienia, ponieważ pewnie nawet nie zauważano jego obecności. Fornells zjawił się dopiero po półgodzinie. Bez słowa zaprosił go do gabinetu.

- Czemu tak długo nie wpadałeś? Zresztą wszystko jedno - powiedział, machając ręką z rezygnacją. - Przepraszam, ale mamy prawdziwy kłopot. - Mówił z tym samym nieobecny wyrazem twarzy, jaki miał na dziedzińcu. - Ten sukinsyn zastrzelił jednego z naszych ludzi. Sąsiedzi usłyszeli straszną awanturę i jakąś godzinę temu wezwali policję. Wysłaliśmy tam patrol, żeby sprawdzić, co się dzieje. Moi ludzie weszli pod wskazany adres, a ten skurwiel, poproszony o dokumenty, wyjął broń myśliwską i wystrzelił. Podobno przyłapał żonę w łóżku ze swoim najlepszym przyjacielem. Nie miał odwagi zastrzelić kochanków, więc zabił jednego z moich ludzi.

Enrique przez chwilę zastanawiał się nad najlepszą w tych okolicznościach odpowiedzią.

- Bardzo mi przykro - rzucił krótko.

- Biedny chłopak. - Fornells pokręcił głową.

- Jeśli wolisz, wpadnę kiedy indziej, może jutro...

- Nie - wszedł mu w słowo komisarz. Pełne empatii zachowanie Enrique'a sprawiło, że powoli zaczął odzyskiwać równowagę. - Ponieważ w końcu przyszedłeś, nie pozwolę ci wyjść, póki nie porozmawiamy.

- Są jakieś nowe wiadomości? - spytał pełen nadziei.

- No cóż. Niezupełnie. Właśnie dostałem raport z Wydziału Przestępstw Gospodarczych. Artur miał rację: nowe lokale sklepowe to pralnie brudnych pieniędzy. Nielegalne interesy są jednak dobrze zakamuflowane i zręcznie prowadzone. W tej chwili wyklucza się jakąkolwiek ewentualność zamieszania mafijnych bossów w to morderstwo. Takie są końcowe wnioski po stwierdzeniu, że brak nie tylko dowodów, ale nawet poszlak, aby udowodnić im pranie pieniędzy, i chociaż antykwariaty ewidentnie zostały otwarte w tym celu, w raporcie stwierdzono wyraźnie: jedynym interesem szefów mafii jest pozostanie w cieniu, a morderstwo ściągnęłoby na nich uwagę organów ścigania. W tym punkcie analiza fachowców z wydziału gospodarczego pokrywa się z naszymi wnioskami.

- W takim razie kto, do cholery, zabił mojego ojca?

Inspektor, głośno westchnąwszy, odpowiedział z rezygnacją:

- Nie wiem, chłopcze, naprawdę nie wiem. Spodziewałem się, że ci z gospodarczego wyjaśnią tę sprawę, ale pomyliłem się. Musimy skierować śledztwo na inne tory.

- No cóż, trudno.

Odpowiedź Enrique'a była zwykłym stwierdzeniem faktu, a nie oznaką znużenia. Jego zdaniem brzmiała fałszywie, ale pewnie Fornells nawet tego nie zauważył. Sam nie wiedział, czy się cieszyć, czy smuć z tego powodu.

- Przykro mi - odpowiedział komisarz, raczej ze zwykłej kurtuazji niż dla wyrażenia prawdziwego żalu. - Enrique, już cię o to pytałem parę dni temu... Czy jesteś pewny, że nie pominąłeś jakiegoś drobiazgu, który pomógłby nam w śledztwie? Mam na myśli coś, co ty sam uznałeś za nieważne: jakąś wzmiankę, aluzję podczas rozmowy z Arturem, coś nietypowego, o czym ci mimochodem napomknął. Może jakiś niespodziewany kłopot... sam nie wiem...

Fornells przejrzał go na wylot i domyślił się, że coś ukrywa. Poczul się sparaliżowany jak mucha w pajęczej sieci. Serce łomotało mu pospiesznie. Żołądek kurczył się ze wstydu. Czy Fornells coś podejrzewał, skoro tak uporczywie go wypytywał? Czy to był przypadek, że zauważył - albo tak mu się zdawało - śledzącego go inspektora Rodrígueza? Spocily mu się dłonie i znowu, jak w dzieciństwie, gdy został przyłapany na kłamstwie, gotów był wyznać wszystko, powiedzieć prawdę i błagać o przebaczenie. Miał już te słowa na końcu języka, ale najpierw spojrzął na Fornellsa: inspektor nawet na niego nie patrzył, rozważał jakby zupełnie inną sprawę. Może myślał o zabitym młodym policjancie. Enrique zrozumiał, że nie ma się czego obawiać; pytanie Fornellsa było czysto retoryczne, typowe dla starego policyjnego wygi; wyklepał je jak wyuczoną lekcję, obowiązkową i nudną, po której niczego nowego się nie spodziewa, robi to jednak z nawyku.

- Nie - stwierdził krótko.

- Zostaniesz jeszcze w Barcelonie?

- Na razie tak, ale nie mogę tu siedzieć bez końca. Za parę dni wracam do San Sebastián.

- Zawiadom mnie o tym.

- Oczywiście. Do zobaczenia.

Szybko przeszedł odcinek dzielący go od Plaça Reial. O tej porze na otoczonym podcieniami placu panowała szczególna atmosfera. Pozorny spokój tego miejsca nie powinien nikogo zwieść: balkony starych budynków, fasady zabytkowych domów, pozamykane bary i sklepy zdawały się emanować energią, która wyzwoli się tuż po zachodzie słońca. Oczywiście, w ciągu dnia ten plac także miał specyficzny nastrój, tyle że ukryty pod subtelnym przebraniem, dzięki czemu dla tłumów ufających w ustalony porządek rzeczy stawał się łatwiejszy do przyswojenia. Wieczorem, w innym oświetleniu, Plaça Reial pozbywał się kamuflażu i przeobrażał w dziwny świat - niezwykajny, odmienny, jednak nie mniej piękny.

Pod numerem osiemnastym, niedaleko restauracji Dwa Światy, której poetycka nazwa idealnie wyrażała dwoistą rzeczywistość rozciągającą się wokół, mieściła się agencja detektywistyczna Carlosa Hidalgo. Drzwi były otwarte; leciwy portier przyglądał mu się ciekawie, choć nieufnie.

Błyskawicznie zaliczył go, zresztą bardzo trafnie, do osób, których zainteresowanie sprowadza się wyłącznie do agencji detektywistycznej i na tym koniec. Oszczędność środków ekspresji, jaka rozwija się z wiekiem, sprawiła, że ograniczył się do lakonicznego, ledwie zrozumiałego burknięcia:

- Trzecie.

Na drzwiach windy dyndał karton z napisem: POPSUTA. Klatka schodowa, pomalowana tylko na parterze, odzwierciedlała podupadający stan całej dzielnicy: wyblakłe, brudne ściany, nieodświeżane od lat, nie pozwalały domyślać się ich pierwotnego koloru, łuszcząca się farba i wszelkiego sortu graffiti... Na podeście drugiego piętra usłyszał przenikliwy kobiecy głos, rzucający wiązkę przekleństw, a po chwili dźwięk tłuczonego szkła. Bez wątplenia klasyczna scena z życia małżeńskiego.

Zadzwoił do drzwi na trzecim piętrze, Nikt nie otwierał. Nacisnął klamkę, drzwi były otwarte. Agencja składała się z przestronnej wysokiej sali, typowej dla budynków z odległej epoki, kiedy mieszkali tu zamożni ludzie. Kilka stołów, na których wśród rozrzuconych papierów i dokumentów stały komputery, w kącie otoczony fotelami stoliczek, obok maszyna do parzenia kawy - ot i cały wystrój. Stanowisko Carlosa znajdowało się w głębi, pod wielkim oknem.

On sam siedział naprzeciwko okna, z raportami rozłożonymi na kolanach. Nawet nie udawał, że je przegląda. Enrique odniósł wrażenie, że przyjaciel czeka na niego, zdawało mu się, że dobrze wie, jakie ma dla niego nowiny. Trudno odgadnąć, jak się tego domyślił, może z docieklivego i trochę zagubionego spojrzenia Carlosa, a może z powodu papierosa tłącego się w popielniczce, porzuconego przez roztargnionego palacza. W każdym razie na widok Enrique'a nie okazał ani zaskoczenia, ani obojętności. Usadawiwszy się przy stole, pisarz zadał pytanie:

- I co?

Carlos ściągnął usta i pogłaskał się po brodzie.

- Już ci powiedziałem przez telefon: nic.

- Co to znaczy? - spytał zaniepokojony Enrique.

- To znaczy, że zgromadziłem szereg informacji o twoich dwóch podejrzanych i nic nie wskazuje na to, żeby mogli być potencjalnymi mordercami.

- Mów.

- A zatem... - Poszperał na biurku i wyciągnął dwie teczki. - Guillem Cardús Solans. Najmłodszy z rodu Cardúsów, zamożnej rodziny z Sant Cugat, która dorobiła się na handlu nieruchomościami. Zanim zajął się na poważnie antykami, skończył historię, ze specjalizacją: starożytność, i różne kursy podyplomowe. Znakomite oceny, mimo że już w czasach studenckich wykazywał pewne skłonności do hulaszczego trybu życia. Znany w nocnych klubach, w których bywają milionerzy i celebryci. Nie bierze narkotyków pod żadną postacią, czasem nadużywa alkoholu. Miły, otwarty, lubiany. Należy do grupy sprawców, których profil psychologiczny początkowo nie budzi podejrzeń, a koniec końców okazują się winni. Tamtej nocy, kiedy popełniono zbrodnię, widziano go w kilku nocnych klubach, między innymi w Ottonie i Up&Down. Idealne alibi, bo był tam w porze, kiedy zgodnie z autopsją przeprowadzoną przez panią doktor Santiago dokonano morderstwa. Świadkowie są wiarygodni, widzieli go nie tylko bliscy znajomi. Dlatego, już na wstępie, zostaje automatycznie wyeliminowany jako potencjalny zabójca.

Kolejny to Enric Torner i Pons. Filolog, specjalista od łaciny i klasycznej greki... Ciekawe, wydał trzy monografie na tematy związane z bibliofilstwem. Znany i poważany w kręgach akademickich, z którymi pozostał związany od czasów studiów. Otrzymał stanowisko asystenta na Wydziale Filologii Klasycznej Uniwersytetu Barcelońskiego, ale nie pełnił obowiązków, według oficjalnej wersji ze względów osobistych: odziedziczył po zmarłym ojcu antykwariat. Plotka głosi, że nie prowadził wykładów z powodu chorobliwej wręcz nieśmiałości. Nie pali, nie pije, nie bierze narkotyków, nie chodzi na dziwki... i nie ma całkowicie wiarygodnego alibi. Tamtą noc spędził w Santa Cristina de Aro u swojej przyjaciółki, Anabel Garrido, która to potwierdza. To jedyny świadek i raczej można jej ufać. Na dowód przedstawił kwitki z autostrady, którą przejeżdżał. Policja wyklucza go z kręgu podejrzanych, chociaż, znowu według nieoficjalnej wersji, powiem ci, że podziela mój punkt widzenia: to typ „idealnego podejrzanego”: dziwak, zamknięty w sobie, wycofany, nie budzi zaufania. Jak widzisz, obaj mają mocne alibi, zwłaszcza Guillem. Wytypowałeś osoby spoza kręgu zainteresowania policji.

- Nie do wiary! Przecież to mogli być tylko oni!

- Mówiłem ci, że suma okoliczności sprawia, iż możemy podejrzewać każdą osobę ze środowiska antykwariuszy, ale wobec braku dowodów...

- Musi istnieć jakaś szansa, choćby najmniejsza. Przecież to musiał być jeden z nich! - powtórzył Enrique.

- Uspokój się. Zbytne podniecenie do niczego nie prowadzi. Fakt, że mają alibi, nie świadczy o ich niewinności, ale bardzo utrudnia śledztwo. Istnieją sposoby niewymagające bezpośredniego działania zabójcy. Można przecież wynająć płatnego mordercę. Szczerze mówiąc, nie bardzo w to wierzę. A jeśli wyłączymy tych dwóch i Samuela Horowitza, nie mamy już innych podejrzanych, przynajmniej tych związanych z listem Artura.

- Niewiarygodne... - Enrique nie krył rozczarowania.

- Rozumiem cię. Sądziłeś, że znalazłeś sprawcę lub sprawców, i jesteś zaskoczony, że to żaden z nich. Ale takie są fakty.

- To musiał być któryś z nich - upierał się Enrique. - Tylko oni znali treść rękopisu.

- Nieprawda. Znał ją również Samuel... - Carlos nie skończył zdania.

- To niemożliwe. Samuel nikogo by nie skrzywdził, a już na pewno nie mojego ojca. Kurczę, Carlos, przecież oni przyjaźnili się od trzydziestu lat.

- Nie ma przyjaźni na całe życie, zwłaszcza gdy w grę wchodzi pieniądze, władza lub kobieta. Stwierdziłem to dawno temu i dziwi mnie, że ty, dorosły facet, utrzymujący się z pisania, nie wiesz o tym.

- Ja żyję w świecie fikcji, nie w realu.

- Posłuchaj mnie uważnie: na świecie nie ma nic, absolutnie nic, czego nie da się kupić. Takie jest życie. Przyjaźń, miłość, nawet zbawienie duszy, szczególnie dla wierzących... wszystko jest na sprzedaż. Potrzebna jest tylko odpowiednia zachęta i człowiek robi coś, o co byś go nigdy nie podejrzewał. Mógłbym ci dać na to tysiąc i jeden przykładów, wystarczy sięgnąć do archiwum. - Pokazał stojący przy ścianie wielki, solidny sejf. - Chciałbym wierzyć, że powiedziałeś to bez zastanowienia. W przeciwnym wypadku musiałbym diametralnie zmienić zdanie o tobie, chociaż - tego możesz być pewny - nie wpłynęłoby to na łączącą nas przyjaźń.

Enrique wyjrzał przez okno i przyglądał się przez chwilę przechodniom na Placu Reial: błakającym się bezradnie turystom, cwaniaczkom z przedmieść, dilerom udającym nielegalnych emigrantów, leniwie wylegujących się na słońcu, mieszkańcom krzątającym się z torbami pełnymi zakupów...

- A więc...? - spytał Carlos.

- Więc co? - odparł Enrique.

- Obudź się, przyjacielu. Prosiłeś mnie o pomoc, więc ci jej udzieliłem. Odpowiedź ci się nie spodobała, być może dlatego, że pytania były nieprawidłowe. Powiedz: chcesz, żebym sprawdził Samuela?

Enrique wahał się. Po logicznym wywodzie starego przyjaciela jego niezachwiana wiara w niewinność Samuela zaczęła się kruszyć. Wiedział, że Carlos ma rację, ale trudno mu było w to uwierzyć. Samuel podejrzany?

- W porządku. - Enrique ustąpił wobec faktów. - Sprawdź go.

- Już to zrobiłem - odpowiedział Carlos, pochylając głowę i mrużąc oczy.

- Jak to?

- Tak jak słyszysz. Już to zrobiłem. Detektyw nie może spocząć na laurach. I zanim dostaniesz jeden ze swoich słynnych ataków szału, siedź cicho i słuchaj, co ci powiem.

Rzeczywiście, Enrique czuł, jak narasta w nim złość, przekłeta wściekłość, której nie potrafił okiełznać. Carlos nie był przecież byle jakim, przygodnie zaangażowanym detektywem, który przypadkiem stanął na jego drodze. Znali się od dawna. Nieważne, że prześwietlił Samuela, wzburzała go natomiast sama myśl, że podjął tak ważną decyzję bez jego zgody.

- Jak śmiałeś!

- Zamknij się - uciął krótko Carlos. - W tej sprawie jest już jeden trup, to nie są żarty. Na początek muszę ci powiedzieć, że nie możesz oczekiwać, abym prowadził śledztwo jak detektywi z wiejskiego kryminału. Pamiętaj, to moja sprawa i moja odpowiedzialność. Zgodziłem się ci pomóc i robię to z przyjemnością, ale weź pod uwagę, że dla ciebie to kompletnie nieznany teren. Samuel jest jednym z podejrzanych, czy ci się to podoba, czy nie. I problem nie leży w tym, że ja tak sądzę na podstawie faktów, które mi przedstawiłeś, ale także Fornells, stary policyjny wyga, uważa go za podejrzanego. Nie zrobiłem nic ponad sprawdzenie szczegółów śledztwa dotyczącego tej konkretnie osoby. Powiem ci, bo powinieneś to wiedzieć, że Samuel nie ma wiarygodnego alibi, a na dodatek jakieś czterdzieści godzin przed morderstwem widziano, jak kłócił się z twoim ojcem w miejscu publicznym, głośno i

zażarcie, walnął nawet pięścią w stół. Przesłuchany na tę okoliczność, przyznał, że doszło między nimi do różnicy zdań na tematy zawodowe. Wiem, że Fornells oficjalnie rozważa tę możliwość, chociaż prywatnie ją odrzuca, ponieważ zna go równie dobrze jak ty, albo i lepiej, i także uważa, że Samuel nie skrzywdziłby nawet muchy. A zatem śledztwo dotyczące Horowitza polega przede wszystkim na udowodnieniu jego niewinności, a nie winy.

- Co ja mam teraz zrobić?

- Nic, po prostu czekać. Fornells zrobił wszystko, co trzeba, i przypominam ci, że ma więcej środków do dyspozycji niż ja. Ja mogę tylko wypytać moich informatorów. Porozmawiaj z Fornellsem i dowiedz się, co jest w raporcie z Wydziału Przystępstw Gospodarczych. Będziemy mieli więcej danych.

Enrique nie mógł nic z siebie wydusić. Carlos, panując nad sytuacją, odezwał się pierwszy.

- Już rozmawiałeś z Fornellsem - odgadł bez trudu.

- Właśnie wracam z komisariatu.

- I to, co ci przekazał, wcale ci się nie podobało. Co więcej, sądzisz, że mnie też się nie spodoba.

Enrique skinął głową.

- Dostał już raport z Wydziału Przystępstw Gospodarczych: rzeczywiście, istnieje dobrze zorganizowana szajka, która wykorzystuje nowo powstałe antykwariaty do prania brudnych pieniędzy, ale raczej wyklucza się jej związek ze śmiercią Artura.

- Wystarczy - stwierdził Carlos. - Można się było tego spodziewać. W takim razie mamy niewiele innych możliwości. - Jego głos załamał się nagle i w końcu przeszedł w sznapsbaryton, typowy dla mężczyzn nadużywających alkoholu. - Morderstwo twojego ojca to brudna sprawa, mafiosi nie chcą się tym paprać. Szajki odpowiedzialne za pranie brudnych pieniędzy nigdy nie plamią sobie rąk krwią. Równie mało wiarygodna jest wersja z napadem rabunkowym i udziałem jakiegoś przypadkowego złodziejzka narkomana. Już byśmy o tym wiedzieli od naszych informatorów. A jeśli wykluczemy te trzy możliwości, musimy się skupić na osobach, które już zbadaliśmy.

- W dalszym ciągu uważasz ich za podejrzanych...

- Powiedzmy, za ewentualnych podejrzanych, chociaż jako sprawcy zostali wyeliminowani.

- Mówiłeś, że mają alibi nie do podważenia. Jak ich zdemaskować?

- Nie możemy prowadzić bardziej intensywnego śledztwa, bo to by ich spłoszyło. Mogliby nawet złożyć skargę na policji. Nie jest to nam potrzebne, a dokładnie - nie jest to tobie potrzebne.

- A więc...

- A więc będziemy musieli zastawić pułapkę, wystawić coś cennego na wabia, żeby nie potrafili oprzeć się pokusie, a wtedy sami wpadną nam w ręce.

- Tylko jaką przynętę?

- Coś takiego! Facet o takiej wyobraźni jak ty nie potrafi sam czegoś wymyślić? Ejże, bo zacznę podejrzewać, że twoje książki piszą za ciebie murzyni! - Carlos udawał oburzenie.

Gdy Enrique pojął zamiysł przyjaciela, w jego oczach pojawił się błysk.

- To ryzykowne.

- Zastawianie pułapki zawsze wiąże się z ryzykiem, ale nie mamy innego wyjścia.

- Jak to zrobisz?

- No cóż... o ile dobrze pamiętam, złożono ci ofertę kupna sklepu Artura. Czy coś już postanowiłeś?

- Nie, jeszcze nie. Puigventós, prezes stowarzyszenia antykwariuszy, powiedział, że jeśli zamierzam sprzedać sklep i cały znajdujący się w nim towar, to najlepiej urządzić licytację: wtedy można uzyskać najlepsze ceny i skierować ofertę bezpośrednio do członków gremium, z pominięciem osób z zewnątrz. Określił to jako sposób skuteczny i dyskretny. „Wszystko zostanie w rodzinie” - powiedział.

- Świetnie, będzie można wystawić coś na wabia.

- Nie rozumiem...

- Posłuchaj: nikt się nie spodziewa, że coś podejrzewasz, a to nam daje przewagę. Zaprosz ludzi z najbliższego grona Artura na spotkanie w antykwariacie. Przecież to żaden kłopot. Powiesz, że jesteś wdzięczny za złożenie oferty, ale postanowiłeś postąpić zgodnie z radą prezesa Puigventósa i zorganizować licytację. Liczysz na ich pomoc przy ustalaniu ceny wyjściowej dla większości towarów znajdujących się w sklepie i magazynie. A jeszcze lepiej, zanim ich o to poprosisz, ofiaruj im jakiś osobisty prezent, jednocześnie odrzucając ich ofertę. Będzie to nawet grzeczniej. Aha, i nie zapomnij

zaprosić Samuela! W końcu on też złożył ci propozycję kupna. W przeciwnym razie on albo dwaj pozostali potencjalni winowajcy mogą coś podejrzewać.

- Ale on nie...

- Daj mi skończyć! Jesteś w gorącej wodzie kąpany! Nad sklepem jest biuro, prawda?

- Tak.

- Na stole w biurze powinien leżeć rozłożony manuskrypt, w całej swojej krasie, otoczony mnóstwem odręcznie sporządzonych notatek. Wtedy będzie widać, że cały czas nad nim pracujesz.

- To nie będzie trudne.

- Wyobrażam sobie - skomentował z powagą Carlos. - Musi leżeć w widocznym miejscu, stanowić centrum zainteresowania, jak przedmiot kultu, choć z drugiej strony nie powinno być zbyt oczywiste, że chodzi o ten konkretny rękopis. Jeśli w tym gronie znajduje się zabójca, nie będzie miał innego wyjścia jak spróbować go sobie przywłaszczyć, i to jak najszybciej. Pomyśl, pozbył się Artura, bo staruszek wpadł na jakiś trop, a teraz ty stanąłeś mu na drodze.

- Brzmi groźnie.

- Bo to jest niebezpieczne. Mniej więcej wiesz, jak zamordowano twojego ojca, ale nie czytałeś raportu lekarza sądowego, a ja tak. Morderca naprawdę działał z zimną krwią, ta bestialska zbrodnia została popełniona z absolutną premedytacją. Teraz ty stanowisz przeszkodę. Może ci grozić niebezpieczeństwo. Masz jeszcze jedno wyjście: idź na policję i pokaż Fornellsowi list, który ci przesłał Artur tuż przed śmiercią. Mając nowy ślad, Fornells może skierować śledztwo na inne tory i w ten sposób zaoszczędzi nam wielu kłopotów.

- Nie.

- Podejmujesz duże ryzyko, ale cóż, w końcu jesteś już dużym chłopcem...

- Wchodzę w tę grę. I jak najszybciej przygotuję przynętę.

Gdy za Enrikiem zatrzasnęły się drzwi, Carlos wybrał numer na swojej komórce. Po kilku sygnałach odezwał się wreszcie kobiecy głos, subtelny, acz stanowczy.

- Ana?

- Słucham, szefie.

- Znajdź Pedra i powiedz, żeby przejął twoje śledztwo. Będziesz mi potrzebna do czegoś innego. Na razie odpocznij, potem do ciebie zadzwonię.

- W porządku, szefie.

- Do widzenia. - Wyłączył telefon.

Przez chwilę bawił się klawiaturą komputera i w końcu bez wielkiego zdziwienia odczytał wyświetlone na ekranie zdanie, które niemal bezmyślnie wystukał, rozmawiając ze swoją pracownicą: „Przypadki nie istnieją”.

Enrique opuścił agencję detektywistyczną pełen wątpliwości. Carlos wprawdzie nie wyeliminował z listy podejrzanych Enrica i Guillem, jednak wcale nie był przekonany o ich winie, Fornells zaś miał wątpliwości co do mafiosów piorących brudne pieniądze. A Samuel? Zupełny absurd! Zdesperowany złodziejaszek? Ćpun na głodzie? Nie, to raczej niemożliwe. Kluczem do sprawy musiał być rękopis. Przez niego zginął Artur, tego był pewny. Guillem miał niepodważalne alibi, alibi Enrica potwierdziła tylko jedna osoba. Być może próbowała go chronić. Tak, tak było. Jeśli Carlos dowie się czegoś nowego, na pewno się z nim zgodzi.

Pojechał do Vallvidrery. Zastanawiał się, czy znowu nie wstąpić do archiwum arcybiskupstwa i nie poszperać w starych dokumentach, w których - był o tym przekonany - krył się klucz do zagadki. Odpowiedź, prawdopodobnie prosta, była chwilowo nieosiągalna, postanowił więc wrócić do ładu i spokoju panującego w domu Artura. Pozornego ładu i spokoju. Wspomnienia o ojcu czały się wszędzie, wyłaniały się z każdego zakamarka, nagle i niespodziewanie. Niby niewinne, przypominały o sprawach ostatecznych.

Bardzo mu się dłużyła powrotna droga do domu. Gdy zdołał ominąć korek przy Plaça Sarrià, dojechał już względnie płynnie do drogi na Vallvidrerę. Po pięciu minutach dotarł do domu. Zaparkował przed bramą, wyjął nieodłączną teczkę z manuskryptem i własnymi notatkami i już miał otworzyć drzwi, gdy nagle ku swemu zdziwieniu usłyszał kobiecy głos.

- Myślałam, że już nigdy nie wrócisz.

Ona? Czy to się dzieje naprawdę? Z mieszaniną radości i irracjonalnego rozdrażnienia, jakie zawsze odczuwał w obecności Bety, gapił się, zachwycony, na jej śliczną twarz.

- Co ty tu robisz? - spytał zupełnie zaskoczony.

- Pięknie mnie witasz, nie ma co, chociaż, szczerze mówiąc, nie spodziewałam się niczego innego. - W jej głosie krył się chłód, irytujący i stwarzający dystans. - Mam nadzieję, że przynajmniej zaprosisz mnie do środka.

- Oczywiście.

Odpowiedź nie mogła być krótsza. Jak zawsze nie chciał tak odpowiedzieć. I jak zawsze tak właśnie odpowiedział.

Otworzył drzwi. Bety dźwigała oburącz ciężką torbę podróżną. Enrique chciał jej pomóc, ale stanowczo odrzuciła jego ofertę. Bez słowa weszli do domu. Był przerażony. Znając wścibski charakter Bety oraz świadom ryzyka związanego ze sprawą manuskryptu, starał się ją trzymać z dala od śledztwa, lecz jego wysiłki okazały się daremne.

Jej olśniewająca uroda, jak zawsze, podziała na wyobraźnię Enrique'a. Bezskutecznie walczył ze wspomnieniami. W końcu nie tak dawno dzielili wspólne łóżce, gdy przyjeżdżali do Barcelony odwiedzić ojca i teścia. Bety zdecydowanym gestem otworzyła drzwi do sypialni i ostatkiem sił postawiła torbę na materacu, z którego od tamtej pory nikt nie korzystał. Enrique cierpliwie czekał, aż Bety rozpakuje torbę i znajdzie czas, żeby z nim porozmawiać.

Bety odprężyła się, pedantycznie rozpakowując i rozkładając w komodzie swoje rzeczy. Na pewno zrobiła mu niespodziankę swoją wizytą, ale żeby aż tak zimno ją przyjął... Zdenerwowana, straciła ochotę na wyjaśnianie, że przyleciała do Barcelony tylko po to, żeby mu pomóc. Bardzo ją niepokoiło jego milczenie, nie zasłużyła sobie na takie chłodne przyjęcie. Enrique w końcu zrozumiał, zresztą jak zawsze za późno, że jego zachowanie nie było zbyt miłe, i próbował załagodzić sytuację.

- Przepraszam, nie chciałem tak zareagować.

- Tylko pogarszasz sprawę. Nie powiedziałeś tego, czego nie czujesz i nie myślisz - odparła z pozornym spokojem.

- Nie gniewaj się na mnie, Bety. Wiesz, jaki jestem.

- No cóż... niestety, wiem. Choć przekonałam się o tym za późno.

- Chodź, usiądziemy na tarasie.

Nawet nie raczyła odpowiedzieć, wyszła jednak z nim na świeże powietrze. Usadowili się w wygodnych bambusowych fotelach.

- Dlaczego przyjechałaś?

- Martwiłam się o ciebie. - Miał wrażenie, że jej głos nie brzmi już tak oschle. - Od sześciu dni unikasz rozmów ze mną. Nie odbierasz ani telefonu stacjonarnego, ani komórki. Dlatego pomyślałam, że powinnam tu być z tobą.

- To wcale nie tak, że nie chciałem z tobą rozmawiać. Po prostu to okropne uczucie mieszkać tu bez Artura. Sam nie wiem... Wolę trzymać się z dala od reszty świata.

- To znaczy dokładnie to samo: nie chciałem ze mną rozmawiać. - Powiedziała te słowa tak kategorięcznym tonem, że nikt, a on przede wszystkim, nie ośmieliłby się im zaprzeczyć. - Posłuchaj, na ostatniej radzie wydziału ustalono terminy i punktację egzaminów, więc póki nie nadejdzie pora na poprawianie prac, jestem wolna. Zresztą mogą się tym zająć asystenci i w ten sposób mam dziesięć dni wakacji. Wpadłam na pomysł, że cię odwiedzę, bo moim zdaniem nie zachowujesz się normalnie. Bardzo się o ciebie martwię.

- Nie ma powodu - uśmiechnął się uspokajająco. - Absolutnie żadnego. Dobrze wiesz, że lubię być sam, a sposobnością ku temu jest śmierć bliskiej osoby.

- Kłamiesz - rzuciła wyzywająco, bez krztyny współczucia. - Nie ze mną te numery. Komu innemu mógłbyś wcisnąć ten kit, ale mnie nie nabierzesz.

- To nie w porządku, że podejrzewasz mnie o kłamstwo - stwierdził stanowczym głosem Enrique.

Na ustach Bety zaczął pojawiać się nieśmiały uśmiech, który stopniowo rósł, aż zmienił się w głośny, perlisy śmiech, tak zaraźliwy, że Enrique w końcu się uśmiechnął, chociaż powstrzymywał się od tego ze wszystkich sił. Na widok swojego byłego męża usilnie próbującego pohamować gromki śmiech Bety zaśmiała się tak głośno, że pewnie było ją słychać w całym sąsiedztwie. Powoli Enrique'owi przechodziła złość, stopniowo łagodniał, zarażony radością Bety. Po kilku minutach odzyskali spokojny oddech, ale i tak od czasu do czasu dopadała ich głupawka i wtedy nerwowo chichotali albo znowu wybuchali śmiechem.

- Prawdę mówiąc, nie było powodu - powiedział Enrique, już opanowany.
- A ja myślę, że był! Mnie próbowałeś okłamać?! Jakbyśmy nie znali się na wylot!
- Masz rację - ustąpił Enrique. - Byliśmy zbyt długo razem, żebyśmy teraz się oszukiwali. Oboje dobrze wiemy, jak jest, ja tylko chciałem, ale teraz...
- Teraz musisz mi wyjaśnić, dlaczego nie chciałeś ze mną rozmawiać.

Enrique obserwował twarz Bety, wyczekującą, skupioną, olśniewającą, i nie potrafił się powstrzymać od uczucia podziwu: bystra i spostrzegawcza, jak zawsze zresztą, od razu odkryła coś nienormalnego: jedyny ślad, jakieś wiadomości nagrane na sekretarkę telefonu... i to wystarczyło, żeby pospieszyć mu z pomocą. Przebyła sześćset kilometrów, sterczała nie wiadomo jak długo przed drzwiami... Nie mógł tego zignorować.

Przez dwie godziny Enrique streszczał jej wszystko, co się wydarzyło tej straszliwej nocy, kiedy zamordowano Artura. Starał się mówić spokojnie, wyczerpująco, nie pomijając żadnego szczegółu. Bety, jak zawsze skupiona, słuchała przepelnionej smutkiem opowieści o okolicznościach tragicznej śmierci ukochanego teścia. Enrique zauważył jej zmieniający się wraz z biegiem relacji nastrój: od niepokoju po złość, niedowierzanie, zdziwienie i na koniec strach. Nigdy nie potrafiła ukryć swoich emocji. Tym razem było tak samo.

Gdy skończył, Bety wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze -znak, że opowieść wywarła na niej duże wrażenie. Nie przerwała mu ani razu. Enrique wpatrywał się w nią z uwagą, czekał na jej słowa, opinię, zdanie.

- Chciałabym zobaczyć list i rękopis - powiedziała tylko.

Enrique szybko przyniósł na taras skórzaną teczkę na dokumenty i wyjął z niej list Artura oraz stary manuskrypt. Bety przeczytała uważnie postscriptum, a potem wnikliwie przeglądała rękopis, strona po stronie, bardziej z ciekawości, że ma w swoich rękach powód, dla którego zabito starszego pana, niż ze względu na zainteresowania historyczne.

- Z tego powodu zginął? - upewniła się.
- Tak. Morderca chciał mu przeszkodzić w odczytaniu zaszyfrowanej w tej księdze wiadomości.
- A ty nie chcesz, żeby w rozszyfrowaniu jej wyprzedziła cię policja czy ktokolwiek inny.

Trafiła w sedno. Właśnie o to chodziło. Carlos nie powiedział tego otwarcie z grzeczności, ale dla Bety nie liczyły się względy kurtuazyjne.

- Tak - przyznał i powiedziawszy to, poczuł się częściowo oczyszczony.

Bety nie odezwała się więcej; nie zrobiła żadnej miny; nie uniosła brwi ze zdziwienia ani nie ściągnęła ust z dezaprobatą, a mimo to Enrique dobrze wiedział, że nie podziela jego punktu widzenia.

- Mam ku temu powód - bronił się. - Oprócz złapania mordercy pragnę również znaleźć to coś, przez co Artur zginął.

- Carlos uprzedził cię, że zastawianie pułapki wiąże się z ryzykiem.

W jej głosie Enrique usłyszał starannie ukrytą prośbę.

- Jeśli będziemy ostrożni, nie będzie ryzyka.

- Chciałabym ci pomóc.

- Już to zrobiłaś. Jesteś przy mnie.

Spojrzenia Bety i Enrique'a skrzyżowały się. Łącząca ich więź była co prawda bardzo wątła, jednak nadal istniała. Namiętność wypaliła się, niemal zupełnie wygasła, ale pozostało uczucie podziwu i szacunku, co sprawiało, że ich związek był w pewnym sensie nierozzerwalny. Enrique sięgnął po jej rękę, wiedząc, że go nie odtrąci. I tak siedzieli przez chwilę ze splecionymi dłońmi, zapatrzeni na rozjarzone światłami miasto.

6.

Obudziwszy się następnego dnia rano, Enrique zastał na stole w salonie przygotowane śniadanie. Bety, ranny ptaszek, przyzwyczajona do sztywnych godzin pracy na uczelni, nie umiała spać dłużej niż do ósmej. W tygodniu i w weekendy zrywała się z punktualnością zegarka, po części z nawyku, po części dlatego, że należała do osób o precyzyjnym wyczuciu czasu. Nie było jej w domu, ale jeszcze ciepłe mleko w kubku wskazywało, że wyszła przed chwilą. Po raz pierwszy od tygodnia zjadł

śniadanie w wyśmienitym humorze. Obecność Bety w domu znakomicie poprawiła mu nastrój i uspokoiła stargane nerwy. Nieuchronne wspomnienie dawnych dobrych czasów rozbudziło w nim nieokreśloną tęsknotę. Wieczorem udali się do oddzielnych sypialni; nigdy tak nie było, żeby przebywając pod jednym dachem, spali w osobnych łóżkach. Enrique miał ochotę zapukać do jej sypialni i nawet spędził przed drzwiami parę minut, z przygotowanym do pukania zgiętym palcem wskazującym, cały pogrążony w rozterkach: czy definitywnie zerwać z przeszłością, czy przedłużyć agonię rozstania, z pozoru definitywnego. Nie odważył się zapukać, prawdopodobnie z obawy przed odmową. Bety zawsze działała zdecydowanie i konsekwentnie, była odpowiedzialna za swoje czyny i decyzje, ale poprzedniego wieczoru miał wrażenie, że dostrzegł w jej zachowaniu coś, co mogło być dla niego zachętą... Nie miał jednak śmiałości; lęk przed porażką stanowił przeszkodę nie do pokonania. Nigdy się nie dowie, co by się stało, gdyby nie stchórzył.

Właśnie kończył śniadanie, kiedy ubrana w lekki dres, złana potem Bety wróciła do domu. Codziennie rano biegała pół godziny i nic nie mogło jej w tym przeszkodzić. Machnęła mu ręką na powitanie i poszła do łazienki wziąć prysznic. Weszła do salonu otulona ogromnym ręcznikiem kąpielowym, z mokrymi włosami rozrzuconymi na ramionach.

- Dzień dobry! - wykrzyknęła radośnie.

- Oby!

- Ogarnij się jak najszybciej. Czeka nas mnóstwo roboty.

Enrique nienawidził pracować rano. Wiedziała o tym. Jego zwyczaje w tym względzie jeszcze bardziej komplikowały ich związek. Bety, adiunkt na wyższej uczelni, pracowała przedpołudniami, Enrique czuł przyływ inspiracji dopiero po podwieczorku, kiedy ona wracała do domu i miała ochotę iść na spacer albo do kina, spotkać się z przyjaciółmi. Nie rozumiała, że w przypadku Enrique'a natchnienie przychodzi o ustalonej porze i dlatego siada do pisania po południu. Często powtarzała: „Skoro dostałeś od Boga dar tworzenia, nie wierzę, że przyływ talentu odczuwasz tylko w określonych godzinach. Spróbuj pisać rano, wtedy popołudnia będziemy mogli spędzać razem”. Enrique odpowiadał, że może się to odbić na jakości jego utworów, i nie chce nawet próbować. Ta sprawa, jak wiele innych, była przyczyną nieustannych napięć w ich związku.

- Nie rób takiej miny! Skoro nie potrafisz znaleźć „tej rzeczy”, a Arturowi się udało, to znaczy, że twój tok rozumowania jest błędny albo... Sama nie wiem, może to wina tłumaczenia.

- Uważasz, że jego wiedza pomogła mu trafić na ślad, którego ja nie potrafię znaleźć?

- Nie zamierzałam urazić twojego ego, ale rzeczywiście tak myślę. Tak czy siak wydaje mi się, że chodzi raczej o to pierwsze. W każdym razie wiedza przyda się do odrzucenia tych dwóch możliwości i pozwoli skupić się nad innymi aspektami. No dalej, ubieraj się. Idziemy do archiwum, gdzie będziesz mógł spokojnie pracować i nic nas nie będzie rozpraszało.

Popchnęła go w stronę sypialni.

- Już dobrze, dobrze! Poddaję się, pójdę z tobą, tylko mnie nie szarp.

- W porządku, lepiej ustąpić przed logiką faktów na początku niż na końcu. To duża oszczędność czasu, a czas to pieniądz - stwierdziła sentencjonalnie Bety.

- I tak nie mogę spędzić z tobą całego przedpołudnia - dodał Enrique. - Muszę porozmawiać z Puigventósem o licytacji.

- Wystarczy, że poświęcisz mi trochę czasu: opowiesz o tekście i pomożesz odcyfrować twoje hieroglify. Potem będziesz wolny - powiedziała i puściła do niego oko.

- Zgoda. Idę się ubrać.

Po godzinie siedzieli w przestronnej, prawie pustej o tej porze czytelnicy Ca l'Ardiaca - siedzibie archidiecezji, biblioteki i archiwum zarazem. Kilku pilnych czytelników w podeszłym wieku przypatrywało im się spod oka, jakby byli intruzami, którzy wkroczyli na ich prywatny teren. Sprawdziwszy i oceniwszy pozytywnie nowo przybyłych, wracali do przerwanych zajęć.

Enrique wyjaśnił Bety najważniejsze wątki swojego tłumaczenia, stanowiące klucz do zagadki. Przedstawił własną wizję całego tekstu, który wstępnie podzielił na trzy części: pierwsza to opis zajęć autora w formie dziennika, wraz ze spisem wpływów i wydatków; druga, złożona z notatek i komentarzy, zapowiadała prawdziwą tajemnicę i charakteryzowała się pojawieniem zapisków na marginesie; trzecia to szczegółowy wykaz budowli.

Uważał, że powinna rozpocząć tłumaczenie od drugiej części, ponieważ uznał ją za najważniejszą, ale Bety z miejsca obaliła jego argument.

- Właśnie w tym tkwi problem, nie masz duszy prawdziwego naukowca, jesteś po prostu zwykłym, przeciętnym amatorem. Twoje notatki są wrywkowe, a przecież klucz do rozwiązania zagadki może się kryć między wierszami i choć to mało prawdopodobne, nie należy niczego pomijać. Jeśli nawet ta część manuskryptu nie pomoże nam w śledztwie, powinniśmy jednak przestudiować rękopis jako całość. Pośpiech jest złym doradcą.

Po godzinie, mając przed sobą uporządkowane tłumaczenie Enrique'a oraz rozszyfrowane skróty i bazygroły, Bety pozwoliła mu odejść.

- Biorę się do poważnej pracy. Możesz już iść.

- Świetnie. O której po ciebie przyjechać?

- Pod wieczór, przed zamknięciem archiwum. Wyskoczę tylko na chwilę coś zjeść.

- Bety...

- Będę uważała na rękopis, nie martw się. - Odgadła niewypowiedzianą prośbę Enrique'a. - Nie spuszczę go z oka ani na chwilę.

- Do widzenia.

- Idź już. I nie przejmuj się tak.

Enrique bardzo się denerwował, że zostawił Bety w archiwum samą z manuskrytem. Sam udał się na Boulevard dels Anticuaris, aby porozmawiać ze starym Puigventósem, prezesem stowarzyszenia. Deptakiem Portal de l'Àngel z modnymi butikami, w których młodociana klientela szukała designerskich ciuchów, doszedł do Plaça de Catalunya, następnie zagłębił się w dumną i elegancką Rambla de Catalunya. Nadłożył nieco drogi, ponieważ do słynnego centrum antykwariuszy wchodziło się od strony Passeig de Gracia, ale zawsze lubił tę obsadzoną wdzięcznymi lipami aleję, żywo przypominającą Francję. Stojące wzdłuż niej majestatyczne w swym pięknie kamienice stanowiły przeciwieństwo nieokielzanej urbanistyki wielkiej Barcelony. Tu i ówdzie w ten święty zakątek harmonii i światła wdarł się jakiś hotel wzniesiony w innym stylu czy oszklony biurowiec i przypominał o nowoczesnym, współczesnym obliczu miasta. Pograżony we wspomnieniach, szedł środkiem szerokiego chodnika, dającego pieszym przewagę nad samochodami -reminiscencja dawnej epoki, dopełniająca urok Rambli. Od dzieciństwa lubił spędzać tu czas, czuł neodpartą pociąg do tej spokojnej alei, którą kiedyś przechadzał się z mamą, zachwycony otoczeniem przepelnionym dostojną ciszą i wyrafinowanym wdziękiem przepięknych modernistycznych kamienic, emanujących magią i kolorem. Pragnął zamieszkać w jednym z takich domów z ażurowymi balustradami tarasów na dachach, skąd można było podziwiać aleję w dole, wyścielaną zielonymi koronami lip. Senne marzenia z przeszłości, nierozłącznie związane ze wspomnieniem rodziców, z pamięcią o ukochanej matce...

Przejście przez sześć pasów ruchliwej Carrer Aragó skutecznie przypominało o rzeczywistości. Miejsca, w których przeżywa się najpiękniejsze chwile, mają moc intensyfikowania emocji. Jak w nagłym błysku flesza potrafią z plątaniny obrazów wyłonić z oślepiającą jasnością te najważniejsze. Rambla i Passeig de Gracia łączyła znana galeria handlowa, ciągnąca się wśród krętych przejść w kwartale usytuowanym między tymi dwoma ulicami. Zatrzymawszy się przed witryną jednego z butików, poczuł neodpartą potrzebę kupienia jakiegoś подарunku dla Bety, tak jak to robił przy innych okazjach, ale przemyślał ten pomysł i zrezygnował. Opanowany nagłą nostalgią za wyidealizowaną przeszłością, z trudem powracał do brutalnej rzeczywistości. Miał wrażenie, że przeszłość opanowała jego umysł po to, aby zniekształcić odbiór teraźniejszości. Na próżno próbował pozbyć się wspomnień. A zresztą wcale tego nie chciał.

Wszedł po schodach prowadzących do stałej wystawy przy Boulevard dels Anticuaris. Puigventós zajmował przestronny lokal, usytuowany w głębi galerii. Ten prawie osiemdziesięcioletni mężczyzna, od ponad dwudziestu lat piastujący zaszczytne stanowisko prezesa, prowadził z sukcesem rodzinną firmę. Przodkowie Puigventósa byli znakomitymi snycerzani. Jego ojciec założył sklep z antykami, interes na tyle intratny, że wkrótce należał do największych w mieście. Po śmierci ojca ten wspaniały lokal przypadł synowi, który po powstaniu galerii antykwariuszy przeniósł się właśnie tu.

Enrique przeszedł przez galerię, otoczony zewsząd najwspanialszym dziedzictwem przeszłości, i dotarł do sklepu. Zza chińskiego parawanu wyłoniła się elegancka, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Wysoka -miała jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu - bez wątpienia świadoma swojej urody, o znakomitej figurze, którą podkreślała dopasowana czarna wytworna sukienka. Ciemnokasztanowe włosy nosiła upięte w kok. Wystające, szeroko rozstawione kości policzkowe, zaokrąglony podbródek, pięknie zarysowane policzki i wydatne, namiętne usta. Typowa katalońska piękność. Bardzo

dyskretnie umalowana, z delikatnymi cieniami na powiekach, błękitnymi oczami podkreślonymi lekką kreską, wargami pociągniętymi jasnoróżową szminką. Podeszła do niego i odezwała się z pewnością siebie znacznie przekraczającą prostą relację wszechwiedzącego sprzedawcy i klienta ignorantą. Nie ulegało wątpliwości, że ta kobieta ma klasę, siłę i charakter.

- Dzień dobry. W czym mogę pomóc?

- Dzień dobry. Nazywam się Enrique Alonso. Chciałbym się widzieć z panem Puigventósem.

Była wyraźnie zaskoczona.

- Enrique Alonso, naprawdę? Przybrany syn Artura?

- Tak, to ja.

- Nie pamiętasz mnie? - Uśmiechnęła się do niego. - Mariola Puigventós.

Enrique ujął jej dłoń i poczuł silny, niemal męski uścisk. Córka starego Puigventósa. Nie widział jej chyba od ponad piętnastu lat.

- Tata jest na dole. W biurze stowarzyszenia. Przepraszam na chwileczkę, zaraz do niego zadzwonię.

- Może będzie lepiej, jeśli ja zejdę... - zaproponował Enrique.

- Ależ nie. On lubi przyjmować swoich gości tutaj, jak to określa, „na własnych śmieciach”. Tu się czuje swobodniej.

Podczas gdy Mariola rozmawiała przez telefon, Enrique usiadł w jednym z secesyjnych foteli i z uwagą rozglądał się po sklepie. Puigventós specjalizował się w stylu modernistycznym i secesyjnym. Nie wystawiał mebli pochodzących sprzed 1870 roku. Można było nawet zauważyć pojedyncze awangardowe przedmioty, świetnie dopasowane do otoczenia, chociaż wcale nie było to łatwe zadanie. „Styl -przypomniawszy sobie słowa Artura - to klucz do wielkości. Styl wyznacza różnicę”.

- Ojciec zaraz przyjdzie - powiedziała.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Umilkła na chwilę. - Pragnę ci przekazać serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci Artura, i to w tak dramatycznych okolicznościach. Wszyscy z tego powodu ubolewamy. Ten cios dotknął całe nasze grono, a nas przede wszystkim. Artur był wspaniałym człowiekiem. Mojego ojca łączyły z nim serdeczne więzy.

- Dziękuję za ciepłe słowa.

Enrique dostrzegł w niej wykształconą, dobrze ułożoną, wytworną damę, a przy tym kompetentną, doświadczoną i piękną. Kobiety o dojrzałym typie urody z wiekiem stają się coraz piękniejsze.

- Nie chcę być niedyskretna, ale czy ty się dobrze czujesz?

- Przepraszam?

- Wybacz, ale jesteś jakby nieobecny, zamyślony.

Jej spostrzegawczość zaskoczyła Enrique'a.

- Masz zmysł obserwacyjny. Tak, rzeczywiście jestem trochę rozkojarzony. Ciężko mi mieszkać w domu Artura.

- To normalne. Artur wielokrotnie podkreślał, że jesteście sobie bardzo bliscy. Mówił też, że jest z ciebie dumny.

- Znowu muszę ci podziękować. Miło mi to słyszeć.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, ale Mariola jakby nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Ojciec opowiadał mi o tobie. O ile dobrze pamiętam, parę lat temu wyjechałaś z Hiszpanii.

- Po ślubie przeniosłam się do Nowego Jorku. Mój mąż był marszandem i krytykiem sztuki, miał biuro na Manhattanie. Cztery lata temu rozwiedliśmy się i wróciłam do Barcelony, do rodziców.

- Przepraszam, nie chciałem być wścibski...

- Nie przejmuj się. Przecież sama ci to powiedziałam. Zaraz, zaraz... - zastanawiała się na głos - o ile dobrze pamiętam, byłeś żonaty.

Enrique był zaskoczony. Wypytywał ją o szczegóły z życia osobistego, a ona, zamiast zejść z tego tematu, zrewanżowała się pytaniem w tym samym stylu. Gra wstępna. Odbiła piłeczkę bez wahania.

- Byłem. Już nie jestem.

- Rozumiem. - Jej promienny uśmiech rozjaśnił wnętrze sklepu. - A wiesz, że w Stanach czytałam twoje książki?

- Która ci się najbardziej podobała? - spytał prawie pewny, że zna odpowiedź, trochę zbity z tropu niespodziewaną pochwałą.

- Sztuka niespełnionej miłości. Bardzo piękny wątek, przedstawiony z takim uczuciem... To jedna z moich ulubionych powieści.

- Nam, pisarzom, zawsze miło usłyszeć komplement.

W jego przypadku była to szczerza prawda.

- Nie powiedziałam tego, żeby ci zrobić przyjemność.

Jej spojrzenie przewiercało go na wylot.

- A ja wcale nie twierdzę, że tak jest.

Jego oczy rozpromieniły się.

Właśnie w tym momencie do sklepu wszedł prezes Puigventós, z wigorem niepasującym do jego wieku. Na pomarszczonej twarzy malowało się zmęczenie, było w niej jednak coś szczególnego, co nadawało jej blasku: oczy, takie same jak u córki, przenikliwe i rozjarzone. Enrique spojrzął na starszego pana i natychmiast przeniósł wzrok na Mariolę.

- Patrzysz na nasze oczy, prawda? - spytała poważnie.

Enrique przytaknął. Były identyczne.

- Tato, pomogę ci... - Mariola podeszła do starszka i podała mu ramię. - Popatrz, przyszedł Enrique.

- Bardzo mi miło, młody człowieku. Żałuję, że nie mogłem uczestniczyć w pogrzebie Artura, ale w moim wieku ciało płata brzydkie figle i nie jestem w stanie nad nim zapanować.

- Proszę się tym nie przejmować. Wiem, że łączyła was prawdziwa przyjaźń, i chociaż nie mógł pan przyjść, sercem był z nami.

- Rzeczywiście tak było. Ale, proszę, mów mi po imieniu! Nie rób ze mnie starszego, niż jestem!

- Skoro tak sobie życzysz.

- Córeczko, chodź z nami do biura.

Poszli w głąb sklepu, gdzie Mariola otworzyła drzwi znajdujące się tuż obok lustra, i weszli do niewielkiego, acz wykwintnie urządzonego gabinetu. Starszy pan usadowił się wygodnie w jednym z eleganckich foteli, a Mariola gestem wskazała Enrique'owi drugi.

- Potrzebujesz czegoś, tato?

- Nie, córeczko, dziękuję.

- W takim razie zostawiam was samych - powiedziała i wyszła, nie zaszczyciwszy ich spojrzeniem.

Enrique odprowadził ją wzrokiem i ze zdziwieniem stwierdził, że przy drzwiach wmontowane jest lustro fenickie, będące swego rodzaju oknem od strony biura, przez które można obserwować, co się dzieje w sklepie i w holu. Puigventós roześmiał się z zadowoleniem, gdy spostrzegł, jakie wrażenie wywarło to na Enrique'u.

- Znakomity wynalazek - rzekł. - Należało do pewnej zacnej rodziny, której nazwisko pominę milczeniem. Było zainstalowane na ścianie sypialni i bez wątplenia służyło zgoła innym celom niż u nas.

- Wyobrażam sobie.

- Już wiesz, jak działa: z jednej strony odbija postać, a z drugiej - pozwala ją obserwować. Nic nowego. Ale nie będę cię rozpraszał rozważaniami typowymi dla samotnych, starych ludzi. Powiedz, czemu przyszedłeś.

- Zdecydowałem się przyjąć twoją propozycję. Zgodnie z testamentem Artura jestem jego jedynym spadkobiercą. Postanowiłem zlikwidować antykwariat. Tak jak sugerowałeś, chciałbym zorganizować aukcję dla fachowców zajmujących się handlem antykami.

W części sklepu, widocznej z okna gabinetu, pełna gracji Mariola wprawną ręką układała kompozycję z suszonych kwiatów. Enrique zastanawiał się, co w jej zachowaniu wynika z potrzeby działania, a co nieświadomie - a może świadomie - robi na pokaz. Z trudem oderwał wzrok od tak uroczego widoku, zawstydził się podglądania i skoncentrował na rozmowie ze starszym panem.

-...podjąłeś słuszną decyzję - stwierdził Puigventós, kiedy Enrique powrócił do przerwanej wątku rozmowy. - Licytacja przyniesie ci więcej korzyści, a pamięć o Arturze będzie stanowiła przeszkodę w próbach ewentualnych przekrętów. W takich sytuacjach okazujemy lojalność zawodową. Jak zamierzasz zorganizować aukcję?

- Szczerzę mówiąc, myślałem, że pan...

- Pamiętaj, że mówimy sobie po imieniu.

-...myślałem, że ty pomożesz mi ją zorganizować. Sobie pozostawię tylko jedno zadanie: wyznaczenie ceny wyjściowej niektórych przedmiotów.

- Mariola mogłaby ci pomóc przy wycenie. Ma dobre oko do tych rzeczy. Odziedziczyła je po nieboszczce matce, niech spoczywa w spokoju.

Propozycja trochę zaniepokoiła Enrique'a. Znowu przyjrzał się Marioli przez lustro fenickie. Była naprawdę bardzo piękna. Zamierzał przygotować odpowiednią scenerię do zastawienia pułapki na jednego z podejrzanych, ale perspektywa spędzenia paru wieczorów w towarzystwie Marioli wydała mu się tak pociągająca, że nagle zmienił plan.

- Będę szczęśliwy, jeśli wyrazi zgodę.

- Oczywiście, że się zgodzi! - odparł Puigventós z przesadnym zapałem. - Wysoko ceniła Artura i nie odmówi pomocy jego przybranemu synowi. W porządku, a teraz ustalmy daty - dodał, otwierając kalendarz. - Wycenę towaru moglibyście przeprowadzić podczas weekendu. Możecie zacząć już w piątek po południu. Nie wiem, ile tego jest, ale sądzę, że dwa dni intensywnej pracy wystarczą. W takim razie aukcja mogłaby się odbyć na przykład w następną środę przed południem, wtedy nasze stowarzyszenie jest zamknięte dla gości. Tak, to byłby najlepszy termin. Zgadzasz się?

- Jeśli Mariola nie ma żadnych obiekcji, to się zgadzam.

- Doskonale! Ja zajmę się koordynacją i przygotowaniem aukcji. Dobrze mi zrobi oderwanie się od nudnych obowiązków prezesa. Pomóż mi wstać, chłopcze.

Enrique podał mu ramię i odprowadził do sklepu. Mariola wyszła im naprzeciw.

- I co? Załatwiliście wasze sprawy?

- Tak, córeczko. Obawiam się, że zadysponowałem twoim czasem bez twojej zgody. Musisz pomóc, i to komuś innemu, nie mnie.

- Nie uważam za stratę czasu pomaganie naszym przyjaciółom - odparła, rzucając szybkie spojrzenie Enrique'owi.

- Enrique zamierza zlikwidować antykwariat Artura. Organizuje licytację. Potrzebuje eksperta do oszacowania wartości mebli i cennych przedmiotów.

- Rozumiem. Z przyjemnością ci pomogę, Enrique - powiedziała, zwracając się bezpośrednio do niego. - Kiedy zaczynamy?

- Twój ojciec proponuje przeprowadzić aukcję w następną środę.

- Mamy zatem cały weekend na oszacowanie towarów - stwierdziła Mariola. - We dwoje szybciej się z tym uporamy.

- Zgoda.

- Zadzwon pod ten numer. Nie, lepiej ja do ciebie zatelefonuję. Podaj mi numer komórki.

Enrique podał jej namiary na swoją komórkę oraz na telefon w domu Artura. Mariola zapisała je w wyjętym z kieszeni notesiku.

- O której mogę cię złapać?

- W domu zazwyczaj jestem około jedenastej wieczorem. Później raczej się nie zdarza. Komórkę mam prawie zawsze wyłączoną.

- W porządku, a zatem do zobaczenia - powiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

- Mam nadzieję. - Te dwa krótkie słowa były bardzo znaczące. -I jeszcze raz dziękuję wam obojgu.

- Nie ma za co, chłopcze. Pamiętaj, jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

Enrique wyszedł ze sklepu pod wrażeniem déjà vu: już kiedyś przeżył coś podobnego. Zastanawiał się, co to może znaczyć i czemu tak często mu się przydarza.

Nie wiedząc jeszcze, co przyniesie mu rozmowa z Puigventósem, przeczuwał, że wydarzenia potoczą się zupełnie inaczej, niż planował. Mariola wyłoniła się zza chińskiego parawanu jak w magicznej sztuczce, jak rządzenie opatrności i z miejsca go oczarowała. Następującymi po sobie wypadkami jakby rządziło przeznaczenie. Wcale nie czuł się zawiedziony, że los pokrzyżował mu plany: nie zwróci się o pomoc przy wycenie do ewentualnych podejrzanych. Wpadł mu do głowy zupełnie inny pomysł na przygotowanie zasadzki: zaprosi całą trójkę w piątek i przy kawie przedstawi propozycję nie do odrzucenia: niech każdy z nich wybierze sobie jakiś przedmiot ze sklepu jako pamiątkę po Arturze. Przyjdą na spotkanie przeświadczeni, że zgadza się na ofertę kupna

antykwarium. Będzie to znakomita okazja do wystawienia na wabia rękopisu. Potem wystarczy cierpliwie czekać: ryba sama wpadnie w sieć.

Tak właśnie zrobi.

7.

Enrique poświęcił całe popołudnie na podróż sentymentalną do znaczących i pamiętnych miejsc swego dzieciństwa. Nie mógł pomagać Bety, która chciała sama przetłumaczyć tekst, by poprawić usterki po pierwszym tłumaczu. Nie był też w odpowiednim nastroju, by szukać wskazówek, gdzie Casadevall ukrył tajemniczy przedmiot. Znacznie wygodniej było poczekać, aż Bety skończy swoją pracę: jej błyskotliwy umysł i dociekliwość, którą wielokrotnie odczuł na własnej skórze, były wystarczającymi narzędziami do przeprowadzenia tego przedsięwzięcia i zwiększały szansę na powodzenie.

Bardzo go niepokoił zbliżający się termin przygotowania zasadzki. Nie wątpił w swój sukces, uważał się bowiem za dobrego aktora i miał powody zagrać swoją rolę przekonująco: pragnął, by sprawiedliwości stało się zadość, chciał się zemścić, czuł nienawiść, ale nie potrafił podejść do realizacji swego pomysłu bez obaw. Jeden z zaproszonych gości zabił przecież Artura z zimną krwią, bez skrupułów. Ufał, że Carlos zadba o jego bezpieczeństwo. To go uspokajało, gdy sobie wyobrażał, jakie niespodzianki mogą go czekać, ze śmiercią włącznie.

Postanowił nieodwołalnie oderwać się od dręczących go problemów i wybrał się do dzielnicy, w której dorastał. Po śmierci rodziców w tragicznym i absurdalnym wypadku Artur postanowił, że chłopiec w dalszym ciągu będzie uczęszczał do szkoły prowadzonej przez salezjanów z Rocafort, mieszczącej się w ogromnym, jak mu się wówczas wydawało, kompleksie. Zajmował cały kwartał barcelońskiej dzielnicy Eixample. Trzypiętrowy gmach, z wysokimi drzwiami od ulicy i podcieniami od strony dziedzińca, z górującym nad nim kościołem o posępnym wnętrzu, do tej pory śnił mu się po nocach jako najstraszliwszy z koszmarów sennych.

Dotarł na miejsce około piątej, kiedy gwarny i radosny tłum uczniów opuszczał szkołę. Rodzice i dzieci tworzyli zbiegowisko przy wielkiej bramie prowadzącej na dziedziniec. Przemknął wśród nich, udając jednego z rodziców, i zajrzał na podwórzec szkoły, który nie wyglądał już tak jak dawniej. Zmienił się tak bardzo, że Enrique stał przez chwilę jak osłupiały. Za ogradzającym szkołę murem wznosiła się teraz wielka kamienica z balkonami wychodzącymi na wewnętrzne patio. Nowo powstały parking i hala sportowa zupełnie przeobraziły dziedziniec. Widok białych linii i bieżni na boisku do reszty zniszczył wspomnienia Enrique'a. Zaglądając przez wysokie okna, bez trudu odnalazł sale klasowe zapamiętane z dzieciństwa. W jego głowie zaczęły pojawiać się obrazy. Widocznie był to jeden z tych nostalgicznych dni, które czasem mu się zdarzały. Nauczyciele, kumple z klasy, a także anegdotki i psikusy. W większości zabawne, inne trochę mniej. Wszystkie należały już do przeszłości, ale bez nich nie byłoby teraźniejszości: drobne elementy układanki, składające się na jego życie.

Dziedziniec coraz bardziej pustoszał i w końcu jeden z młodych seminarzystów zgromadzenia salezjanów, odpowiedzialny za bezpieczeństwo, nakazał mu uprzejmie, acz stanowczo, opuścić teren szkoły. Enrique odszedł, unosząc w sercu wspomnienie dawnych dni. Zaniedbał się: od nieoczekiwanego przyjazdu Bety oglądał się wstecz, zamiast patrzeć naprzód. Czuł się rozkojarzony. Osaczały go myśli, a w tych okolicznościach nie mógł sobie pozwolić na rozluźnienie.

Udał się do archiwum Ca l'Ardiaca. Do dzielnicy gotyckiej doszedł od strony la Rondy. Przezornie ominął komisariat na Ravalu. Przez Carrer Ferran dotarł potem do placu Sant Jaume - centrum działalności politycznej i siedziby władz miejskich Barcelony. Przemierzył dzielnicę żydowską, krocząc wśród innych już budowli, ale na pewno po tym samym bruku, po którym chodził mistrz Casadevall z tajemniczym S. Być może te uliczki poznały ich sekret.

Ca l'Ardiaca znajduje się tuż obok katedry; mieści się tam jedna z największych bibliotek w Barcelonie. Miejsce to ma wyjątkowy urok.

Wbiegł na piętro, gdzie Bety tłumaczyła rękopis, pokonując po dwa stopnie naraz. Siedziała obok wysokiego okna, pogrążona w pracy.

Bibliotekarz spojrzawszy przelotnie na Enrique'a, poznał go i pozwolił mu wejść. W końcu nie na darmo przesiadywał w tej sali całymi dniami, by znaleźć klucz do zagadki manuskryptu. Podeszedł cicho. Bety nie zauważyła go, póki nie stanął koło niej. Nie traciła czasu na zbędne powitania. Wskazała mu miejsce obok siebie i zaczęła z zapalem opowiadać.

- To nadzwyczajny dokument! Jego wartość poznawcza znacznie przewyższa ewentualną wartość materialną, oczywiście oprócz tajemnicy, którą kryje na swoich stronach. Wszyscy historycy zajmujący się średniowieczem daliby się posiekać za ten rękopis.

- Na której stronie jesteś?

- Na razie w pierwszej części, tej, którą ty, krótkowzroczny pisarzyno, zajęty swoimi przyziemnymi sprawami, uznałeś za nieważną.

- Mam wystarczająco dużo powodów, by nie zajmować się sprawami niezwiązanymi z przedmiotem mojego prywatnego śledztwa - rzucił prowokacyjnie.

Bety, sprowadzona z wyżyn naukowych na ziemię, uświadomiła sobie prawdziwy powód poszukiwań Enrique'a.

- Przepraszam. - Przybrała lodowaty ton. - Poniosło mnie. To się więcej nie powtórzy.

- Nieważne, mów dalej.

- Otóż - kontynuowała - twoje tłumaczenie jest w ogólnych zarysach poprawne, chociaż zbyt... swobodne. Popeliłeś wiele błędów składniowych, które zniekształciły treść manuskryptu. To mnie niepokoi. Skoro popeliłeś je w pierwszej części, to znaczy, że mogłeś popelić także i w drugiej. Twoja znajomość łaciny jest nie tyle zwietrzała, ile po prostu absolutnie beznadziejna. Mówimy o tłumaczeniu, które ma ujawnić klucz do tajemnicy. Jest absolutnie do niczego - wydała ostateczny osąd. - Spójrz: tu i tu pomyliłeś dopełniacz z celownikiem, mianownik z wołaczem, a to nie wszystkie przykłady. Wypisałam je w notesie. Oprócz tego popełniasz poważne błędy fleksyjne i znaczeniowe, wydatnie wpływające na zrozumienie tekstu. W jakim stopniu, dowiem się, gdy skończę przekład.

- Masz rację - przyznał pojednawczo. - Dawno nie miałem do czynienia z tak trudnym tekstem. To zajęcie przewyższa moje umiejętności, ale nie miałem do kogo się zwrócić.

- Cieszę się, że dostrzegasz swoje ograniczenia i potrafisz przyznać się do błędów - przerwała mu. - Dawniej tego nie robiłeś. Uczysz się z wiekiem.

- Daj spokój - stwierdził i zmienił temat. - Jak myślisz, kiedy to skończysz?

- Nie mogę powiedzieć nic pewnego. Ta praca wymaga precyzji i jak trafnie zauważyłeś, w miarę lektury tekst traci swój pierwotny charakter i ze zwykłego dziennika zmienia się w rodzaj pamiętnika... Rzuciłam okiem na dalsze strony i zmartwiłam się. Słownictwo staje się coraz bardziej skomplikowane i fachowe, szczególnie we fragmentach dotyczących architektury. Mistrzowie budowlani nie władali tak dobrze łaciną jak duchowni, ale Casadevall dysponował językiem bogatszym niż większość mu współczesnych. Przygotowanie wersji wstępnej zajmie mi co najmniej kilka dni.

Słyszac tę konkluzję, Enrique westchnął głęboko.

- Uzbrój się w cierpliwość - poleciła.

- Cierpliwość... - powiedział bardziej do siebie niż do swojej eksmałzonki. - Najpierw trzeba ją mieć.

- Jedziemy do domu czy zjemy coś w pobliżu? - spytała.

- Lepiej tu, nie chce mi się gotować.

Zjedli lekką kolację w jednym z ogródków restauracyjnych przy Plaça del Pi. Enrique udał się tam podświadomie, z czystej potrzeby kierowania swoich kroków w te miejsca w Barcelonie, które najbardziej go pociągały. Bety skakała z tematu na temat, paplała, wylewając z siebie potok słów. Zawsze dobrze jej wychodziła zmiana toku rozmowy i odsuwanie od siebie problemów zarówno zawodowych, jak i osobistych. Rozkojarzony Enrique słuchał jednym uchem, odpowiadał monosylabami, ale to chyba wcale nie przeszkadzało Bety - znakomicie czuła się we własnym towarzystwie. Nawet niezwykła atmosfera bohemy panująca na tym placu, przypominająca paryską Dzielnicę Łacińską, nie potrafiła oderwać go od smutnych myśli. Prześladowało go wspomnienie Artura, a otoczenie Plaça del Pi jeszcze bardziej potęgowało to wrażenie. Na dodatek pojawił się w jego głowie obraz Marioli, choć nie było ku temu powodu.

W końcu, gdy Bety zaproponowała powrót do Vallvidrery, Enrique zgodził się bez dyskusji, pragnąc jak najszybciej odnaleźć pozorny spokój świata swoich marzeń. W domu właśnie wyszedł spod prysznicza i suszył włosy, gdy zadzwonił telefon. Bety odebrała.

- Do ciebie... jakaś Mariola - usłyszał zza drzwi.

- Przekaż, że już podchodzę.

- Tak powiedziałam.

Owinął się w pasie ręcznikiem i wszedł do salonu. Bety siedziała na tarasie, pogrążona w myślach.

- Dobry wieczór. - Sam był zdziwiony swoim serdecznym tonem.

- Witam. Jak minął dzień?
- Całkiem nieźle. Czasami warto wrócić do wspomnień.
- Masz rację. Enrique, jutro po południu nie mogę się z tobą spotkać, ale tak ustawiłam swoje sprawy, że cały weekend będę do twojej dyspozycji.
- Świetnie się składa. Jutrzejsze popołudnie też mam zajęte: spotkam się w antykwariacie z przyjaciółmi Artura, żeby dać im coś na pamiątkę. Nie chciałbym ci sprawiać kłopotu - skłamał gładko.
- To żaden kłopot.
- Twój ojciec twierdzi, że oszacowanie rzeczy może nam zająć wiele godzin...
- Nie przejmuj się. Umawiamy się na sobotę, powiedzmy, po dziesiątej?
- W sobotę? W porządku.
- W takim razie do zobaczenia.
- I bardzo dziękuję, Mariolu.
- Nie ma za co - powiedziała i rozłączyła się.

Wrócił do łazienki dosuszyć włosy. Włożył szorty, podkoszulek i usiadł w fotelu na tarasie obok Bety. Nie odzywała się. Widać było, że jej nastrój uległ diametralnej zmianie, której powodu Enrique nawet się nie domyślał. On z kolei czuł potrzebę towarzystwa, stał się rozmowny, a nawet wylewny. Chociaż zazwyczaj nie umiał rozpoznawać uczuć, szybko zauważył, że coś nie gra.

- Co się dzieje?
- Głucha cisza.
- Bety, powiedz, co się stało.
- Trudno uwierzyć, że tego nie rozumiesz.
- Ale ja naprawdę nie wiem.
- Dlaczego mnie to nie dziwi? Jesteś tolerancyjny dla własnych błędów, oczywiście, jeśli w ogóle jesteś w stanie je zauważyć, ale wobec innych już nie jesteś taki wielkoduszny.
- O czym ty mówisz? - Gniew zastąpiło zdziwienie.
- W bibliotece powiedziałam, że się zmieniłeś, ale myliłam się - stwierdziła spokojnie. - Jesteś takim samym nieodpowiedzialnym szczeniakiem jak dawniej.
- Powiedz w końcu, o co ci chodzi, i skończ z tymi bredniami. Rozstaliśmy się po to, aby uniknąć ciągłych oskarżeń i wyrzutów.
- Tak, powiem ci! - wykrzyknęła wściekła. - Przygotowałeś plan złapania mordercy na przynętę, tak to nazwałeś. Ja się na to nie zgodziłam, ze względu na ryzyko, ale nie posłuchałeś mnie...
- Sama wiesz, że nie mogę powiedzieć wszystkiego komisarzowi. To nie jest dobre wyjście.
- Zamknij się i słuchaj! - Tyle nagromadzonej złości sprawiło, że Enrique umilkł. - Przyjechałam przekonana, że mogę ci pomóc. Okazało się, że jestem w pewien sposób zamieszana w morderstwo i na dodatek wkręciłeś mnie w ten swój głupi pomysł, że sam, bez włączania w to policji - nie wiem, czy z żądzy zemsty, czy przez wygórowaną ambicję - na własną rękę rozwiążesz zagadkę z przeszłości. Zaniedbałam własne sprawy, a ty, nieudaczniku, pozwalasz sobie na zmianę ustaleń i nie masz nawet tyle przyzwoitości, żeby porozmawiać o tym ze mną. Dowiedziałam się tego dzięki twojej rozmowie telefonicznej z jakąś Marioną, czy jak jej tam na imię! Chyba się domyślasz, że nie mogę czuć się specjalnie zaszczycona, gdy po czterech godzinach zabawiania cię najnowszymi wiadomościami politycznymi i pikantnymi ploteczkami z San Sebastián w odpowiedzi słyszałam tylko całą serię obojętnych chrząknięć, jakie tylko wymyślił gatunek ludzki, odkąd stał się zbiorem myślących jednostek.
- Bety, jak zwykle, miała rację. Powinien był jej to powiedzieć.
- Kim jest ta Mariona?
- Na imię ma Mariola.
- Guzik mnie obchodzi, jak ma na imię. Dlaczego nie robisz wyceny z Samuelem i pozostałą dwójką przyjaciół?
- To było absurdalne, ale tym razem Bety nawet nie próbowała mówić rozsądnie.
- Przypominam ci, że Puigventós zaoferował pomoc wcześniej, a Carlos sam mi doradzał, żebym nie wciągał tamtych dwóch do wyceny...
- ...a ty się z grzeczności zgodziłeś, prawda? Mogę się założyć, że ta Mariola nie jest siedemdziesięcioletnią zgrzybiałą, garbatą i pomarszczoną staruszką!

Milczał.

- No mów! Prawda, że nie jest? - spytała drwiąco.

- Nie, nie jest - odpowiedział - tylko nie wiem, jakie to ma znaczenie.

- Skoro tego nie widzisz, to jesteś ślepy. Pomagam ci, a ty zamiast wdzięczności okazujesz mi obojętność i trzymasz na dystans.

- Zamierzałem ci powiedzieć.

- To czemu tego nie zrobiłeś? Nie, lepiej już nic nie mów - przerwała mu, kiedy już otwierał usta, żeby jej odpowiedzieć. - Sama ci to powiem: myślałeś o niej i nie miałeś odwagi o tym ze mną porozmawiać.

- Bety, ja...

- Nie wiem, dlaczego mnie to zaskoczyło - rozmyślała na głos. - Każdy z moich studentów zachowuje się dojrzej od ciebie.

- Dosyć! Teraz moja kolej. Przez cały wieczór byłem rozkojarzony, bo jutro czeka mnie spotkanie z mordercą ojca. Jak mam pozostać obojętny wobec takiej sprawy? Nie zawiadomiłem cię o zmianie planów nie ze złej woli ani ze względu na Mariolę. Po prostu wydawało mi się, że to nie jest ważne.

Bety wstała i nawet na niego nie spojrzawszy, poszła prosto do swojego pokoju. Enrique, rozdarty między obrazę a niepokój z powodu nowego pomysłu, na który wpadł dopiero w tej chwili, odprowadził ją aż do drzwi sypialni.

- Lepiej nic nie mów, bo całkiem stracę do ciebie zaufanie. Zostanę tyle, ile trzeba, żeby dokończyć tłumaczenie, i wracam do domu - powiedziała i zamknęła mu drzwi przed nosem, zostawiając go w pół słowa.

Zaskoczyła go nagła myśl, która przemknęła mu przez głowę jak błyskawica; miła, a zarazem zaskakująco nieoczekiwana. Czy Bety wściekła się, że nie powiedział jej o swoim pomysle, czy była zazdrosna o Mariolę?

Rozstali się, mimo to Enrique wierzył, że jest między nimi znacznie głębsza więź, niż oboje przypuszczali. Spojrzenia, gesty... Nigdy nie rozumiał kobiet, ale zdawało mu się, że jest w stanie dostrzec, kiedy między kobietą i mężczyzną pojawia się chemia. Może właśnie dlatego miał więcej związków niż większość znanych mu osób. Dokładnie pamiętał moment podpisania papierów rozwodowych. Bety, w aurze niedostępności i chłodu, użyła swojego długopisu, a nie jego pióra, beużytecznie tkwiącego w kieszonce marynarki. Szczegół, zadawać by się mogło, bez znaczenia, nieistotny dla innych, ale nie dla tego wzorca skrupulatności i konsekwencji, jakim była jego ekszona, w codziennym życiu maniakalnie przywiązująca wagę do drobiazgów. Dla kogoś, kto ją dobrze znał, ten pozornie nieważny uczynek zdradzał pewien brak logiki.

Kolejnym tematem, który należało przeanalizować, była jej niespodziewana decyzja o przyjeździe do Barcelony, bo, zgodnie z jej słowami, jedynym powodem było jej przeświadczenie, że tylko ona może mu pomóc w trudnych chwilach. Po okresie niemal całkowitej rozłąki, niełatwej w San Sebastián, mieście stosunkowo małym, zwłaszcza gdy ma się wspólnych przyjaciół i znajomych, zjawia się w domu Artura, życzliwa, ciepła, pragnąca dzielić z nim ból. Jak wytłumaczyć podobne zachowanie? Gdyby nie wspomniała o Marioli, Enrique nie podejrzewałby, że jest o niego zazdrosna, a skoro tak, to znaczy, że czuje do niego coś więcej niż zwykłą sympatię, pozostałość po wspólnie przeżytych latach.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Enrique poczuł się szczęśliwy, napił się soku i poszedł spać. Po raz pierwszy od śmierci Artura zasnął bez trudności.

Piątkowe przedpołudnie upłynęło na gorączkowej krzątaninie. Zaplanowane z góry zajęcia pozbawione były napięcia i świeżości typowej dla nieprzewidzianych wydarzeń. Zawiózł pograżoną we wrogim milczeniu Bety do Ca l'Ardiaca. Zostawiwszy ją w bibliotece, wpadł do wydawnictwa złożyć tekst swojej ostatniej powieści. Szykował się na ciężką chwilę wysłuchiwania kondolencji, na co wcale nie miał ochoty. Tak jak się spodziewał, redaktorzy przyjęli go ze współczuciem. Wydawca, Juan Vidal, z którym łączyły go więzi przyjaźni zaprawionej latami ustawicznych potyczek, wynikających z uporu autora, niegodzącego się na proponowane zmiany, nie był na szczęście zbyt wylewny. Dobry przyjaciel i fachowiec, nie potrafił okazywać uczuć. Enrique szybko skierował rozmowę na tematy zawodowe i Vidal z prawdziwą ulgą odebrał pendrive'a z tekstem powieści. Długo dyskutowali o zmianach i przeróbkach wprowadzonych przez autora w ostatnich rozdziałach, związanych z głównym wątkiem. Początkowo nie spodobały się Vidalowi, ale obiecał przejrzeć i zanalizować je jak najszybciej

i odpowiedzieć Enrique'owi. Żegnając się, wydawca zaprosił go na kolację z udziałem innych współpracujących z nim pisarzy, ale Enrique wymigał się pod pretekstem załatwiania pilnych spraw osobistych. To nie był odpowiedni moment.

Z wydawnictwa udał się na Carrer de la Palla. Podobnie jak podczas spotkania z Juanem miał wrażenie, że wszystko dzieje się inaczej niż zazwyczaj. Jakby czas przybrał inny wymiar. Potrafił się skupić jedynie na spotkaniu z potencjalnym mordercą Artura. Cała reszta: otoczenie, znajome ulice, przechodnie - była mdła, pozbawiona intensywności. Zamazane, ledwo dostrzegalne postacie przypominały cienie.

Najpierw odwiedził dwóch dalszych przyjaciół Artura, ewentualnych podejrzanych, później Samuela. Rozmowy przebiegały w otocze nierealności, jak we śnie. W jednej chwili wszedł do sklepu Guillem'a, a już wychodził od Samuela. Zaprosił całą trójkę do antykwariatu Artura na wpół do dziesiątej, po zamknięciu sklepów. Nie chciał im wyjaśniać powodu spotkania. Pewnie spodziewali się, że udzieli im odpowiedzi na ich oferty, co było prawdą, ale nie taką, jakiej oczekiwali.

Przygotowawszy grunt, poszedł do biblioteki po manuskrypt. Bety wręczyła mu go zdenerwowana, świadoma niebezpieczeństwa, na jakie naraża się Enrique. Nie rozwodziła się na temat swoich postępów w pracy nad tekstem, tylko krótko stwierdziła, że są znaczące. Kazała mu zachowywać się rozsądnie i ostrożnie podczas „szopki”, jak nazwała spotkanie z antykwariuszami. Enrique chciał jej dać kluczyki od auta, ale oznajmiła, że nie zamierza wracać do Vallvidrery bez niego.

- To nie jest dobry pomysł, żebyś była na tym spotkaniu.

- I wcale nie zamierzam. Wpadnę po ciebie o wpół do dziesiątej, godzinę po umówionej porze. A tymczasem zaczekam na ciebie w jakimś barku przy placu. I nie sprzeciwiaj się.

Zostawił nieukrywającą zdenerwowania Bety na Plaça del Pi. Była na niego wściekła, ale niepokój o niego okazał się silniejszy od złości. Wszedł do sklepu głównym wejściem, zapalił wszystkie światła i przymknął drzwi. Nie potrafił się powstrzymać, by nie spojrzeć na stary stół ołtarzowy. W całym pomieszczeniu ktoś wprawna ręką uprzątnął wszystkie ślady śmierci Artura. Wszystkie oprócz złamanej balustradki i nieusuwalnej czerwonej plamy na jasnym marmurze ołtarza.

W biurze Artura zajął się starannym i detalicznym przygotowaniem zasadzki. Opracował całą scenę: jeden z wygodnych foteli ustawił przed wielkim stołem, na którym położył otwarty na ostatnich stronach manuskrypt, obok porozkładał niedbale kartki z notatkami. Sprawdził jeszcze, jakie to robi wrażenie z perspektywy schodów, i skonstatował z zadowoleniem, że sceneria wygląda bardzo wiarygodnie.

Zastanawiał się, jak się zachowa morderca, przychodząc do sklepu Artura, i uśmiechnął się na samą myśl, że powtórzy się odwieczny motyw powieści kryminalnych: morderca zawsze powraca na miejsce zbrodni. Był pewny, że zbrodniarz nie będzie okazywał emocji, ale... co pomyśli? Jakie uczucia będzie ukrywał za maską żalu? Hipokryzja domniemanego mordercy wstrząsnęła nim do głębi, ale zmusił się, aby o tym nie myśleć: miał w tym przedstawieniu swoją rolę i odegra ją perfekcyjnie.

Pięć minut po umówionej godzinie trzech antykwariusze zapukali do drzwi sklepu. Wyrzwał z antresoli, dał im znak i wyszedł na spotkanie.

- Wchodźcie, moi drodzy, zapraszam - rzucił na powitanie. Odkłonili się uprzejmie. Samuel z nieobecną miną bezwiednie spojrzął na ołtarz i pokręcił głową. W oczach zakręciły mu się łzy.

- Wybacz - powiedział. - Patrząc, jak schodzisz z góry, przypomniałem sobie nasze ostatnie spotkanie z Arturem. Zachował się tak samo jak ty, zszedł do nas, żeby nas przywitać. - Nie mógł mówić dłużej, głos mu się załamał ze wzruszenia.

Enrique złapał go mocno za ramiona.

- Trzymaj się, Samuelu. Spróbuj o tym nie myśleć.

- Próbuję, synu. Staram się wyrzucić to z głowy, ale kiedy tu wszedłem i zobaczyłem cię na schodach, żal ścisnął mnie za gardło.

- Zmieńmy temat. Wyjaśnię, po co was tu zaprosiłem. - Wszyscy trzej wpatrywali się w niego wyczekująco. - Złożyliście mi ofertę kupna mebli oraz wszystkich przedmiotów znajdujących się w sklepie, gdybym zamierzał zlikwidować interes Artura. Otóż postanowiłem sprzedać antykwariat wraz z towarem, ale nie mogę przyjąć waszej oferty... ani też od nikogo innego - dodał, celowo zawieszając głos. - Puigventós doradził mi, że najlepszy sposób na likwidację sklepu to zorganizowanie aukcji dla niewielkiego grona członków stowarzyszenia oraz ludzi z nim związanych. Zgodziłem się. Mariola, jego córka, pomoże mi podczas weekendu wycenić wszystkie znajdujące się w sklepie towary.

Żaden z trzech antykwariuszy nie okazał emocji, Enrique mówił więc dalej.

- Mam wobec was dług wdzięczności. Jako przyjaciele Artura w każdej chwili byliście gotowi udzielić mi pomocy. Dlatego w imieniu moim oraz Artura chciałbym wam coś dać na pamiątkę. Jestem pewny, że w sklepie albo w magazynie jest jakiś mebel czy przedmiot, który wam się szczególnie podoba. Proszę, weźcie to sobie i zachowajcie Artura we wdzięcznej pamięci.

Trzej mężczyźni odezwali się jednocześnie, próbując go przekonać, że taki gest jest niepotrzebny, ale Enrique pozostał nieugięty.

- Nie będę w zgodzie z własnym sumieniem, jeśli wyjdziecie stąd z pustymi rękami. Musicie coś wybrać, choćby dlatego, żeby zrobić mi przyjemność.

Pierwszy zareagował Guillem. Popatrzył na swoich kolegów i powiedział:

- Mam nadzieję, że mówię w imieniu nas trzech. Jesteśmy ci wdzięczni za wspaniałomyślność. Powtarzam: uważam to za niepotrzebne, ale nie zamierzam się z tobą kłócić. Zgadzą się przyjąć coś na pamiątkę i muszę powiedzieć, że nigdy ci tego nie zapomnimy.

- Jestem z natury nieśmiały - wtrącił się niespodziewanie Enric. - Odzywam się tylko wtedy, gdy jestem do tego zmuszony. Teraz jednak pragnę coś powiedzieć. Artur był wyjątkowym człowiekiem, i to pod wieloma względami: do jego encyklopedycznej wiedzy i pasji poznania należy dodać niespotykaną miłość do świata staroci - te trzy cechy określały jego charakter. Przede wszystkim wyróżniał się wrażliwością i życzliwością w stosunku do bliźnich, a są to podstawowe przymioty dobrych ludzi. To połączenie zalet stanowiło o wielkiej charyzmie, jaką cieszył się w kręgu antykwariuszy. Jego dobroć i szlachetność odnosiła się do wszystkich, każdego kolegi, czy to młodego, czy to zasłużonego, wiekowego. Guillem i ja czuliśmy się zaszczytzeni, że uważał nas za swoich przyjaciół. Zawsze chętnie dzielił się czarem naszego specyficznego świata z każdym, kto czuje tak samo. Chciałbym jeszcze coś dodać: widać, że wychowywał cię Artur - masz wiele jego zalet, a najważniejsze z nich to wierność w przyjaźni i szlachetność.

Następnie głos zabrał Samuel:

- Już nic więcej nie dodam. Ty najlepiej wiesz, co czuję. Dziękuję ci.

Enrique podziękował im serdecznie. W głębi duszy zaczął mieć wątpliwości. Czy któryś z jego gości mógł wypowiadać się tak ciepło i serdecznie o Arturze, będąc jednocześnie jego mordercą? Albo się pomylił, albo byli największymi łgarzami pod słońcem.

Starął się pozbyć rozterek. Trzej antykwariusze, niezdolni do reakcji, ciągle jeszcze zaskoczeni, czekali na znak. Enrique zachęcił ich do wybrania sobie czegoś, co szczególnie przypadło im do gustu, bez względu na wartość, z wyjątkiem książek, te bowiem zamierzał, jak wyjaśnił, włączyć do swoich zbiorów.

Guillem i Enric przechadzali się po sklepie, rozglądali i nie wiedzieli, na co się zdecydować. Guillem wziął w końcu komplet wachlarzy wyłożony w ozdobnej witrynie, Enric - pozytywkę ze scenkami z Paryża z początku XX wieku. Samuel, niepewny, dokonał wyboru ostatni.

- Artur przechowywał w szufladzie biurka starą, osiemnastowieczną talię kart, pochodzącą z Francji. Nie została jeszcze skatalogowana, jest w bardzo dobrym stanie, a zatem ma nieoszacowaną wartość.

- Należy do ciebie. - Enrique uśmiechnął się. - Zapraszam wszystkich na górę. Przy okazji wręczenia prezentu Samuelowi napijemy się kawy. Pewnie nie będzie taka smaczna jak ta, którą sami parzycie, ale liczą się dobre chęci.

Weszli za nim na górę. Oryginalna lampa Tiffany'ego rozlatała łagodne światło, padające prosto na stół, na którym spoczywał - nieświadom swojej wagi - manuskrypt Casadevalla, częściowo ukryty pod karteluszka z zapiskami Enrique'a, kiedy próbował zgłębić zawarte w nim tajemnice. Na podeście Enrique kurtuazyjnie przepuścił gości przodem. W gruncie rzeczy chciał obserwować ich reakcje w chwili, gdy zobaczą manuskrypt. Jeśli nawet któryś z nich był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać. Enrique zapalił żyrandol i zgodnie ze zwyczajem ojca celebrowanym przez tyle wspólnych wieczorów, poprosił gości, aby zajęli swoje ulubione miejsca. Parzenie kawy nie trwało długo. Wkrótce gęsty, mocny i aromatyczny napój parował w filiżankach z tego samego serwisu, którego używał Artur. Potem Samuel wyjął talię kart z szuflady biurka.

Rozmowa toczyła się wartko, przeskakiwała z tematu na temat. Enrique'a zaskoczyła obojętność, jaką goście okazali na widok „przynęty”, i stracił pewność, że wkrótce zakończy śledztwo w sprawie morderstwa Artura. Może jednak się mylił? Może Artur zginął z rąk jakiegoś złodziejzaka ze slumsów, ćpuna, który akurat był na głodzie? Równie dobrze jednak mordercą mógł być jeden z nich, może nawet siedział obok niego, na miejscu zbrodni, niewzruszony, spokojny, niewzbudzający podejrzeń.

Konwersacja powoli dogasała. Antykwarjat Artura nie był odpowiednim miejscem na niefrasobliwe pogawędki. Nie zablżyła się jeszcze rana spowodowana śmiercią właściciela. Enrique do perfekcji naśladował cotygodniowy rytuał, od lat praktykowany przez jego ojca i przyjaciół. Niezręczną ciszę przerwał Guillem.

- Pracujesz teraz nad nową powieścią? - spytał Enrique'a. Była to prawdziwa okazja zesłana przez miłosiernego Boga.

- Tuż przed przyjazdem do Barcelony skończyłem swoją najnowszą książkę, a tu nieoczekiwanie znalazłem interesujący temat i chciałbym go wykorzystać.

- Zdradzisz, o co chodzi? - wtrącił Samuel.

- Na razie mam zaledwie ogólny zarys tej historii. Właśnie tutaj, w sklepie, natknąłem się na stary rękopis, sprytnie ukryty wśród książek na półce. Bardzo mnie to zaintrygowało, a ponieważ w ciężkich chwilach potrzebuję odmiany, zabrałem się do tłumaczenia i muszę przyznać, że rezultaty są obiecujące.

Enrique sam był zaskoczony łatwością, z jaką wymyślił to kłamstwo; nawet przygotowane wcześniej, nie brzmiałoby prawdziwiej.

- To znaczy? - spytał Guillem.

Wszyscy trzej niespodziewanie okazali ciekawość, co oniesmieliło Enrique'a. Nie potrafił bowiem odczytać z ich twarzy, czy pytali z grzeczności, czy kryło się za tym coś więcej.

- Nie jestem pewny - improwizował w przyplwywie natchnienia. - Moja znajomość łaciny nie jest najlepsza, zdołałem zaledwie przejrzeć ten tekst, ale już z pierwszych stron wydedukowałem, że jest to autentyczna historia jakiegoś nielegalnego stowarzyszenia w piętnastowiecznej Barcelonie. Wiąże się z Kościołem i Żydami oraz z jakimś tajemniczym przedmiotem. Ale nie to jest najważniejsze. Ten tekst posłuży mi za punkt odniesienia, podstawę do napisania mojej pierwszej powieści historycznej. Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem, o czym ona dokładnie będzie, poza tym, że powinna mieścić się w tradycyjnym schemacie powieści sensacyjnej, z mocno osadzonym w realiach epoki wątkiem głównym.

- Tematyka historyczna jest dość trudna. Konieczna będzie dokładna dokumentacja, żeby nie popełnić błędu czy nieścisłości - stwierdził Samuel. - Jeśli chcesz, mogę ci w tym pomóc. Dobrze wiesz, że jestem ekspertem od historii hiszpańskich Żydów. A skoro o tym mówisz, to przypominam sobie, że Artur pracował nad jakimś dokumentem, który nazwał rękopisem Casadevalla. Pokazywał nam go nawet w piątek, tuż przed... przed śmiercią.

- To ten sam. Już od kilku dni robię notatki. Dziękuję ci za propozycję, Samuelu. Pewnie w końcu zwrócę się do ciebie o pomoc, ale na razie muszę opracować tu - wskazał na własną głowę - wątek. No cóż, moi panowie: towarzystwo to najmiłsza rzecz pod słońcem, ale niestety, wpadną tu po mnie za kilka minut...

-...i chciałbyś zostać sam - dokończył za niego Guillem. - A zatem, drodzy koledzy, bierzmy przedmioty, które ofiarował nam na pamiątkę Enrique, i ruszajmy w drogę.

Enrique odprowadził ich do drzwi i serdecznie pożegnał na progu. Widział, jak idą w stronę Plaça de Sant Josep Oriol. Zdjęty nagłym lękiem, pchnął drzwi, upewniając się, czy są dobrze zamknięte. Teraz, kiedy skończyło się przedstawienie, odczuł ogromne napięcie. Pomimo panującego w sklepie ciepła przeszedł go dreszcz i dostał gęsiej skórki. Wbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz, schował manuskrypt i notatki do skórzanej teczki, a następnie popędził na dół do drzwi. Tam się zawahał i wreszcie podjął decyzję: otworzył drzwi, rozejrzał się po pustawej o tej porze uliczce i jednym ruchem opuścił metalowe żaluzje.

Nie mógł czekać na Bety w sklepie. Był pewny, że pił kawę z mordercą ojca w tym samym miejscu, w którym popełnił zbrodnię, i do niepokoju, jaki odczuwał, przychodząc wieczorem do antykwarjatu, dołączył się strach, że może go spotkać ten sam los. Ciemną i słabo oświetloną ulicą przechadzali się jedynie beztroscy, ciekawscy turyści, których obecność dodawała mu poczucia bezpieczeństwa, być może złudnego, jednak wystarczającego. Przywarł do ściany, by mieć w polu widzenia oba krańce krótkiej uliczki. W oddali dostrzegł Bety. Ruszył jej na spotkanie i wziął za rękę. Poszli w stronę parkingu ulicą w przeciwnym kierunku niż Plaça de Sant Josep Oriol.

Carrer de la Palla prowadziła prosto na Plaça de la Catedral. Tam, wśród nocnych amatorów wrotek i deskorolek, odetchnął spokojnie. Usiedli na ławce naprzeciwko przepięknej gotyckiej katedry i streścił Bety przebieg spotkania, podkreślając zwłaszcza obojętność, jaką goście okazali wobec rozłożonego rękopisu: zaledwie jeden komentarz, i to rzucony mimochodem. To prawda, że potem rozmowa zesłała na tematy literackie, ale oprócz tej jednej uwagi nie padło ani słowo więcej. Dla Bety

było to nieistotne, chciała się dowiedzieć, kto dał się złapać, to znaczy: kto pierwszy podjął ten temat. Jego odpowiedź: Guillem, potwierdziła jej podejrzenia.

Starala się uspokoić byłego męża. Objęła go ramieniem; miał bardzo napięte mięśnie. Tylko skóra zareagowała na jej dotyk.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Nie, wcale nie - odparł.

Wstali. Bety objęła go w pasie, Enrique oplótł ją ramieniem i tak przytuleni szli w stronę parkingu na Plaça de Catalunya.

Obserwowała ich ukryta w cieniu, rzucanym przez dwie potężne rzymskie wieże strażnicze, ciemna, milcząca, nieruchoma postać. Gdy zniknęli z oczu, tajemniczy osobnik odwrócił się i zniknął w ciemnościach krętych zaułków.

8.

Podczas śniadania Enrique przypomniał sobie straszliwą awanturę, jaką Carlos zrobił mu przez telefon w piątek wieczorem. Zadzwoił do niego, żeby mu powiedzieć, że zastawiona pułapka zakończyła się w jego odczuciu sukcesem. W odpowiedzi usłyszał stek wyzwisk, które zrobiłyby wrażenie nawet na najbardziej nieokrzesanym marynarzu. Przyczyną autentycznej wściekłości Carlosa był nieprawdopodobny brak rozważenia Enrique'a - naraził się na niebezpieczeństwo ze strony domniemanego i na dodatek niezidentyfikowanego mordercy i przeprowadził całą akcję, nie informując o tym przyjaciela. Bety, słuchając rozmowy przez drugi aparat, nie mogła powstrzymać się od ironicznego uśmiechu. Na szczęście Carlos tego nie widział.

Już łagodniejszym tonem Carlos polecił mu, aby pozamykał wszystkie drzwi i okna i siedział w domu, póki nie prześle mu przez komórkę słowa: „Bezpiecznie”. Miało to znaczyć, że zapewnił mu ochronę. Od tego momentu przez całą dobę będą go chronili detektywi z agencji, doświadczeni, a przy tym dyskretni. Carlos dodał jeszcze stanowczym głosem, że jeśli w przyszłości zamierza podejmować podobne akcje samowolnie, nie konsultując się z nim, może sobie szukać innego detektywa.

- Sprawa jest zbyt poważna, aby niedoświadczony amator działał na własną rękę i wyszedł z tego cało. Pamiętaj, główną cechą bezmyślności jest brawura, a za ewentualny błąd możesz zapłacić własnym życiem.

- W takim razie co powinienem teraz zrobić?

- To, co zawsze. Postępuj tak, żeby morderca niczego się nie domyślił. Zachowuj się naturalnie. Nie wykonuj żadnych ruchów, które mogłyby zdezorientować twojego anioła stróża. Ja bym ci radził pracować w bibliotece albo w domu, jak wolisz. Najlepiej zająć myśli czymś innym.

- Czy mam nosić przy sobie rękopis?

- Wszystko jedno. Mordercę raczej interesuje nie sam rękopis, tylko tajemnica, którą poznałeś, ale jeśli będziesz udawał, że masz go przy sobie, zwiększysz szanse, że zacznie szybciej działać. Jeśli wolisz zostawić manuskrypt w domu, postaraj się go dobrze ukryć.

- Jasne.

- Zanotuj ten numer. - Podyktował mu cyfry. - To moja komórka. Dzwon do mnie natychmiast, jeśli zdarzy się coś dziwnego, coś, co wyda ci się podejrzanym. Nawet gdyby to było jakieś głupstwo, pozornie bez znaczenia, lepiej być czujnym niż potem rozpaczkać. Zgoda?

- Zgoda.

- A zatem życzę ci szczęścia i do zobaczenia.

- Dzięki za wszystko.

Bety wyszła z sypialni i stwierdziła z sarkazmem:

- No widzisz, nie tylko ja się wściekam, że nie zawiadamiasz mnie o swoich planach. Carlos ma rację, twierdząc, że wczoraj wieczorem naraziłeś się na niebezpieczeństwo. Dlaczego o tym wcześniej nie pomyśleliśmy?

- Nie sądziliśmy, że morderca może działać bez namysłu.

- A więc za mało myśleliśmy na ten temat bądź nasze rozumowanie było błędne. Umysł zabójcy jest nieprzewidywalny. Oczywiście, wydawało nam się najbardziej prawdopodobne, że nie będzie działał natychmiast, bez uprzedniego planu: w końcu byliście w tym samym miejscu, w którym dokonano

morderstwa, a znalezienie kolejnej ofiary tuż po spotkaniu z podejrzanymi z pewnością obudziłoby czujność nawet najgłupszego gliny. Ale gdy analizowaliśmy potencjalne posunięcia zbrodniarza, powinniśmy byli zostawić margines na sprawy nieprzewidziane. Przecież mógł działać pod presją, poczuć się osaczony i zrobić coś zaskakującego.

- Gdyby tak było, już bym nie żył.

- I być może ja także - dodała Bety. - Nie dziwi mnie, że ty na to nie wpadłeś, ale że ja o tym nie pomyślałam...

Roześmiali się.

Po kolacji odżyła dawna magia. Bety postanowiła zrobić mu masaż. Nie wzbraniał się. Leżał na brzuchu na kanapie i czuł, jak jej delikatne, silne dłonie ślizgają się po skórze, ugniatają mięśnie i modelują jak czystą pierwotną glinę. W pewnym momencie chyba oboje odczuli to samo: czasem trudno jest wyzbyć się dawnych wspomnień. Spojrzeli na siebie, opanowani niespodziewanie jakimś nieokreślonym uczuciem. Enrique nie pamiętał, kiedy jego wargi dotknęły ust Bety, ale gdy to się stało, poderwała się i pobiegła do sypialni. W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefonu. Jego anioł stróż wtrącił się, aby ich rozdzielić. Znowu siedząc sam na kanapie, uderzył się otwartą dłonią w czoło i przeklął prześladowcę go pecha.

Następnego dnia rano obudził się w radosnym nastroju. Pograżony w myślach, ubrał się i poszedł do kuchni zjeść śniadanie. Bety, ranny ptaszek, tym razem była jeszcze w sypialni. Ewidentnie nie chciała go widzieć. Zostawił dla niej list:

Kochana Bety!

Muszę iść do antykwariatu oszacować rzeczy. Nie jest mi potrzebny manuskrypt. Możesz nad nim pracować. Jeśli czegoś potrzebujesz, zadzwoń do sklepu. Poprosiłem Carlosa, żeby zapewnił nam dwojgu ochronę.

I pamiętaj, jeśli wyjdiesz na spacer, nie zostawiaj rękopisu na widoku, lepiej zabierz go ze sobą.

Bądź ostrożna.

Całuję

ENRIQUE

Umieścił kartkę między stronami manuskryptu tak, żeby wystawała, i położył wolumen na podłodze przed drzwiami do jej sypialni. Jadąc samochodem, na próżno próbował zorientować się, czy podąża za nim tajniak. Niestety, nie udało mu się go namierzyć. Przez chwilę miał ochotę wykonać jakiś niespodziewany manewr, na przykład nieoczekiwanie skręcić, żeby zmusić ochronę do ujawnienia się. Zazwyczaj relaksował się, tworząc tego rodzaju wizje, których później, jak było do przewidzenia, bał się zrealizować. Potem w ruchu ulicznym w centrum Barcelony, na szczęście niewielkim ze względu na weekend i wczesną porę, zrezygnował ze swego pomysłu. Zaparkował samochód w tym samym miejscu co zawsze, zatrzymał się przed kioskiem, żeby kupić gazetę, i szybkim krokiem dotarł na Plaça de Sant Josep Oriol, pełen młodych i starszych wiekiem malarzy, skazanych na wystawianie swoich prac - chociaż dla niektórych była to niezwykła przyjemność i swoisty zaszczyt - w tym cudownym otoczeniu, z dala od blichtru i nadętej atmosfery galerii sztuki.

Zaledwie kilka metrów dzieliło plac od sklepu Artura. Przy drzwiach czekała już na niego Mariola: inna, a zarazem taka sama jak dwa dni temu. Co prawda nie była już tak elegancko ubrana, w weekend nosiła się raczej młodzieżowo, co jednak nie pozbawiło jej klasy i dobrego smaku. Ewidentnie należała do tych nielicznych osób, które niezależnie od mody i stroju budzą podziw i zainteresowanie mężczyzn. Przywitali się. Ona pierwsza wyciągnęła do niego rękę. Uścisnął ją delikatnie. Podciągnął żaluzję i zaprosił Mariolę do środka. O tej porze słońce rozświetlało prawie całą ulicę i wpadało do sklepu. W jego jaskrawych promieniach wirowały pyłki kurzu.

- Nikt tu nie sprząta - usprawiedliwił się Enrique. - Dawniej przychodziła sprzątaczką, a teraz...

Mariola nie zwróciła na to uwagi, pochłonięta przyglądaniem się wystawionym w antykwariacie meblom i cennym przedmiotom.

- Artur miał znakomity gust i niezwykle poczucie smaku. Meble są ustawione w taki sposób, że przyciągają wzrok. - Spojrzała na Enrique'a. - Twój ojciec potrafił przykuć uwagę nawet

przypadkowych przechodniów: szmaragdowa zieleń i błękitna ultramaryna są piękne same w sobie, a w dodatku jak żaden inny kolor potrafią wydobyć urodę szlachetnego drewna.

- Nie znam się na waszych koncepcjach piękna, ale przyjaciele Artura zawsze go chwalili za umiejętny dobór barw i doskonale wyczucie stylu.

- I słusznie - podsumowała Mariola. - Miał niezwykły dar. I co, gotowy do pracy?

- Do usług.

- Weź kartkę, długopis i chodź ze mną. Zaczniemy od sklepu, a potem przejdziemy do magazynu, ale najpierw chciałam tu rzucić okiem.

Enrique zapalił lampy w składzie. Padające z sufitu zimne jarzeniowe światło z trudem docierało do wszystkich kątów i zakamarków przestronnego pomieszczenia. Mariola przeciskała się z wdziękiem między ciasno rozstawionymi meblami. Niektóre niewidoczne pod wielkimi białymi płachtami, inne pokryte grubą warstwą kurzu - ewidentną oznaką zaniedbania. Z energią, o jaką Enrique nigdy by jej nie podejrzewał, Mariola ściągnęła gwałtownym ruchem jeden z pokrowców i odsłoniła imponujący kredens z tekowego drewna, zdobiony inkrustacjami z pozłacanego metalu. Spojrzała na Artura, jakby z góry prosząc o wybaczenie za to, co robi. Natchniona swoim odkryciem, dzięki któremu przywróciła światu ten piękny przedmiot, przechadzała się wśród mebli, w białych prześcieradłach przypominających duchy, i jak wróżka z baśni wydobywała z nicości biurka, witrynki, wielką bambusową klatkę, bufety, serwantki, cokół z klasyczną rzeźbą... Enrique, oszołomiony niezwykłym rozwojem wydarzeń, ze zdziwieniem słuchał srebrzystego śmiechu Marioli. Tak, śmiała się, pewnie poczuła dreszcz nieoczekiwanego szczęścia, gdy jak w onirycznej nierzeczywistości odkrywała prawdziwe piękno.

Na podłogę opadło ostatnie prześcieradło i lekko zadyszana Mariola podeszła do niego z uroczym uśmiechem na ustach.

- To niewiarygodne! - wykrzyknęła. - Artur ukrywał tu najpiękniejsze okazy, jakie kiedykolwiek widziałam. To niemal muzealna kolekcja mebli.

- Racja, jest naprawdę piękna - potwierdził Enrique, choć jego słowa niekoniecznie odnosiły się do mebli.

- Nie rozumiem, czemu nie wystawił ich w sklepie. Wiedziałeś o tym? - Zatoczyła krąg rękami.

- Nie wiem, co powiedzieć. Znam się trochę na starych meblach, ale nie potrafiłbym ocenić ich wartości.

- Posłuchaj. - Tym razem przybrała serdeczny, kumpłowski ton, jakim dorosły opowiada bajki swojemu ukochanemu dziecku: - Artur trzymał w magazynie dwa rodzaje mebli. Jedne przeznaczał na sprzedaż. To te nieprzykryte prześcieradłami. Wśród nich możemy dokonać kolejnego podziału: te wymagające renowacji stoją bliżej bramy, z kolei tamte, które już przeszły przez ten proces, znajdują się u wejścia do sklepu. - Zamilkła na chwilę i wzięła głęboki oddech. - Wśród nich są jeszcze inne meble: z różnych epok, różnego przeznaczenia, wykonane z rozmaitych odmian szlachetnego drewna. Perły rękodzielnictwa meblarskiego, do ich wyrobu wykorzystano materiały najwyższej jakości i pieczołowicie je wykończono.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Przepraszam, tłumaczę ci to tak, jakbyś należał do naszego grona. - Znowu się roześmiała. - Enrique, twój ojciec miał tu muzeum. Tak, autentyczne muzeum.

Na jego twarzy odmalował się wyraz totalnego osłupienia, bo Mariola znowu się roześmiała, tym razem znacznie głośniej.

- Te wyjątkowo piękne przedmioty trafiły w ręce wytrawnego i doświadczonego antykwariusza, konesera piękna przez całe długie życie. I mogę to zrozumieć tylko w jeden sposób: Artur założył to prywatne muzeum wyłącznie dla siebie, na swój prywatny użytek.

- Dlatego wszystkie meble przykrył pokrowcami.

- Właśnie. Zostały odrestaurowane z niebywałą starannością przez najlepszych rzemieślników. Artur przechowywał je z oddaniem i dbałością. A ponieważ nie mieściły się już w sklepie i raczej trudno trzymać w normalnym domu tak niezwykle okazy, ze względu na ich rozmiary i różnorodny styl, zostawił je tutaj.

Enrique, zarażony euforią Marioli, przeciskał się ciasnymi korytarzykami wśród niezwykłych, tak bardzo kochanych przez Artura mebli.

- Wyobrażasz go sobie, jak chodzi tędy i kolejno odsłania te prześliczne okazy...?

-...wolno i starannie - wszedł jej w słowo - ciesząc się, że przywraca je światu. Jego ruchy były wyważone, tak jak jego życie, ale też dynamiczne, pełne siły, bo kochał to, co robił. Tak jakby odkrywał sacrum, przeżywał niemal intymną rozkosz. Wyobrażam sobie - mówił dalej - jak nabywa te cenne perełki do swojej kolekcji. Pierwszy z jego ukochanych mebli stał tu pewnie od dawna, a on zastanawiał się, czy wystawić go na sprzedaż, czy zostawić sobie. Trochę później kolejny cenny nabytek, ustawiony obok pierwszego, mógł wpłynąć na jego decyzję: dwa klejnoty wśród zalewu tandety. I tak powoli rosła jego niezwykła kolekcja, tworzona raczej sercem niż głową i oparta bardziej na impulsive niż na handlowej kalkulacji.

Mariola milczała. Wpatrywała się w niego z uśmiechem. Nawet ci, którzy ją dobrze znali, nie potrafiliby odczytać, co kryło się pod tym jej enigmatycznym wyrazem twarzy. Enrique, ciągle jeszcze wstrząśnięty odkryciem nieznannej strony życia ojca, utrzymywanej przez lata w ukryciu jak grzeszny nałóg, zakamuflowanej tak, aby nikt tego nie odkrył, nie potrafił skupić myśli na Marioli. Wzruszył się, oczy mu zwilgotniały, usilnie próbował powstrzymać łzy. Nie lubił okazywać uczuć, i myśli, że Mariola mogłaby być świadkiem, jak płacze, sprawiła, że ukrył ból. Nagle pojął przyczynę swego zachowania: mężczyzna atrakcyjny dla kobiet to macho, silny facet, taki, którego nic nie może zranić. Nie potrafił ukryć uśmiechu, zrozumiał, że Mariola podoba mu się tak bardzo, że uległ działaniu podświadomości.

Przez parę sekund zdawało się, że istnieje między nimi jakiś niepisany pakt milczenia. Oboje się nie odzywali, choć z różnych powodów. Mariola pierwsza przerwała tę magiczną chwilę ciszy.

- Gotowy do pracy? - spytała.

- Kiedy tylko zechcesz.

- Zaczniemy stąd. Zrobimy tak: oznacz przedmioty numerami, zaczynając od pierwszego, a ja określe jego rodzaj, materiał, z jakiego został zrobiony, stan, epokę, styl i oczywiście przybliżoną wartość początkową. Potem każdej z tych rzeczy zrobię zdjęcie cyfrowką i w ten sposób nie będziemy musieli przenosić najcenniejszych sztuk do sali aukcyjnej.

Godziny upływały spokojnie, jak nurt meandrującej rzeki, która spowalnia swój bieg w zakolach, jakby chciała na chwilę odpocząć. Mariola, rozradowana otoczeniem pięknych przedmiotów ze świata sztuki i antyku, dyktowała mu niekończącą się listę rzeczy o różnych wymiarach, począwszy od okazałych biurków w stylu rokoko, skończywszy na kolekcji miniaturowych zapalniczek z początków XX wieku, wystawionych w niewielkiej gablotce. Enrique z uwagą wsłuchiwał się w wyjaśnienia Marioli, cieszył się jej bliskością, wdychał dyskretny zapach perfum, wpatrywał się w piękny zarys jej wydatnych ust. W powietrzu unosiła się atmosfera szczęścia, które Mariola czuła w głębi duszy, a ponieważ nie potrafiła zachować euforii dla siebie, podświadomie przekazywała ten stan swojemu podenerwowanemu asystentowi z przypadku.

Zrobili sobie półgodzinną przerwę, podczas której wzmocnili się kawą i kanapkami. Enrique miał wrażenie, że niespodziewanie powrócił do krainy szczęścia, dawno temu utraconej. Ponowne spotkanie ze znaną mu z dzieciństwa magią, kiedy Artur opowiadał przepiękne, wymyślone na poczekaniu opowieści o pochodzeniu i losach antycznych przedmiotów wystawionych w sklepie, a teraz ciepłe uczucia, jakie budziło w nim dzielenie się intymnymi zwierzeniami z osobą płci przeciwnej, sprawiły, że zupełnie zapomniał o tym, iż w tym samym miejscu został brutalnie zamordowany jego ojciec.

Wieczorem większość przedmiotów znalazła się na liście i Mariola ogłosiła koniec pracy.

- Na dziś wystarczy. Ciężko pracowaliśmy, a jutro rano musimy kontynuować. Która godzina?

- Przed chwilą dzwony katedry wybiły dziewiątą.

- Cóż, wydaje mi się, że zasłużyłam na nagrodę. Zaprosisz mnie na kolację? - spytała i spojrzała na niego przeciągle swoimi błękitnymi oczami.

- Nie wiem, czy to będzie odpowiednia nagroda za twój trud.

Nalegała, aby zjedli kolację na Plaça de Sant Josep Oriol.

- Już dawno nie byłam w żadnej z tamtejszych restauracji - wyjaśniła.

Wszystkie stoliki zajmowali studenci, turyści obłożeni bedekerami i mapami oraz barwna menażeria ludzka, którą tworzyli malarze, poeci, muzycy, intelektualiści... Dzięki więzom przyjaźni, jakie istniały między jego ojcem a właścicielem baru na Plaça del Pi, Enrique zdobył stolik, nie wyczekując w długiej kolejce wygodniałych gości. Usiedli na końcu kawiarnianego ogródka, niemal na samym środku placu, z dala od ożywionych i głośniejszych rozmów, które z typowym dla Hiszpanów brakiem dyskrekcji nakładały się wzajemnie na siebie, tworząc hałaśliwą kakofonię dźwięków. Kelner natychmiast przyjął od nich zamówienie i na stół szybko trafiła misa z sałatą oraz dwie tortille.

- Ten plac ma szczególny urok, niespotykany w żadnym innym miejscu w Barcelonie - mówiła Mariola. - To jakby przeniesiony tu żywcem paryski zakątek, doskonale wpasowany w nowe otoczenie.

- Znasz Paryż?

- Très bien. - Miała znakomity akcent. - Studiowałam tam na Akademii Sztuk Pięknych. Mój tata jest bardzo konserwatywny, uznaje tylko szkoły katolickie, a ponieważ księża w tamtych czasach byli frankofilami i paryska Akademia jest znana na całym świecie, tata zaś nie grzeszył nadmiarem wyobraźni, więc zgodził się, żebym spędziła pięć lat w mansardce na Montmartrze, wynajmowanej wspólnie z dwiema koleżankami. Nie przypuszczał, że będę pobierać nauki nie tylko od profesorów akademickich! - Znowu się roześmiała, ubawiona wspomnieniami z przeszłości. Pianista przy barze zdawał się grać nostalgiczne melodie tylko dla niej. - Naiwna córeczka tatusia już na pierwszym roku zmieniła się w kobietę, a tego się nie spodziewał.

- Niewielu ojców potrafi pogodzić się z taką przemianą. Większość nadal traktuje syna czy córkę jak dziecko.

- Z tobą też tak było? - spytała zaciekawiona.

- Nie, chyba nie. Być może dlatego, że byłem adoptowany. Artur utrzymywał między nami pewien dystans. Spróbuj mnie zrozumieć, nie chodzi o to, że mnie nie kochał, czuł się za mnie odpowiedzialny. Przez pamięć o moich rodzicach starał się wychować mnie jak najlepiej. Teraz, po latach, widzę, że był najczulszym opiekunem i ojcem. Pod maską osoby wymagającej i surowej krył się wspaniały, wielkoduszny człowiek. I ta jego cecha zawsze się ujawniała. Miał naprawdę niezwykłą osobowość.

- Zgadzam się. Może nawet zbyt niezwykłą.

- Czemu tak mówisz?

- Kiedy zaproponowałam Samuelowi, żebyśmy stworzyli spółkę, Artur był temu przeciwny. Sytuacja finansowa antykwariatu Samuela była katastrofalna, pewnie się domyślasz. Sztuka sakralna to trudny rynek i w pewnym momencie Samuela dopadł kryzys. Artur sądził, że propozycja współpracy to tylko przelotny kaprys rozpieszczonej paniusi, świeżo po rozwodzie, która szuka sposobu na zabicie czasu. Nie przypuszczał, że zaangażuję się w ten interes, tak jak to zrobiłam. Przekazał mi swoje zdanie bezpośrednio, bez emisariuszy. Był grzeczny, a jakże, ale nie serdeczny. Długo starałam się zasłużyć na jego szacunek. A opinia Artura w tak plotkarskim środowisku jak nasze jest w stanie zrównoważyć wpływy mojego ojca, który nie chciał korzystać ze swojego stanowiska, żeby ludzie nie gadali, że faworyzuje jedynaczkę.

- Nic o tym nie wiedziałem. - Enrique poczuł się skruszony. Artur nigdy nie wspominał o swojej niechęci do Marioli; widocznie obawiał się, że w ten sposób wzniesie mur między nim a młodą kobietą.

- Nieważne. To było istotne w pewnym momencie, potem wszystko się ułożyło i łączyły nas serdeczne stosunki. Nie było między nami przyjaźni, ponieważ Artur myślał, że obraziłam się na niego za to, jak się zachował wobec mnie na samym początku, choć mnie nie jest łatwo obrazić, wolał jednak trzymać dystans. Przez parę lat nie pojawiał się na imprezach organizowanych przez mojego ojca. Ostatnio, ku mojemu zadowoleniu, stosunki znacznie się ociepliły. Nawet przyjmował nasze zaproszenia. Ale dość o mnie. Rozmawialiśmy o twojej rodzinie. Nie miałeś żadnych krewnych ze strony ojca ani matki?

- Miałem, ale nie mogłem oczekiwać od nich żadnej pomocy. Wszyscy krewni ze strony ojca uciekli po wojnie domowej do Związku Radzieckiego, z wyjątkiem Artura, a matka była jedynaczką, ostatnią z rodu. Byli jeszcze jacyś dalsi kuzyni i wujowie, ale stosunki z nimi zostały całkowicie zerwane po śmierci moich rodziców. Nie żyli w zgodzie z Arturem.

- Pewnie czułeś się bardzo nieszczęśliwy. - Wzięła go za rękę.

- Bardzo - przyznał Enrique i nie próbował zabrać dłoni. - Jedenastoletni chłopiec, który nagle stracił rodziców... nawet sobie tego nie wyobrażasz. Zresztą nikt sobie tego nie może wyobrazić.

W odpowiedzi Mariola uściśnięła mocno jego dłoń.

- Na szczęście Artur wychował mnie bardzo starannie, tak jakbym był jego własnym dzieckiem, którego świadomie postanowił nie mieć..

- Nie rozumiem...

- To bardzo proste. - Roześmiał się. - Nie można powiedzieć, że Artur był mizoginistą, ale zawsze mawiał, że kobiety tylko rozpraszają mężczyzn. Wiem - powiedział konfidencjonalnym tonem - że miał jakieś romanse. Pewnie sądził, że ja, dzieciak, niczego się nie domyślam, ale byłem bardzo sprytnym chłopcem jak na swój wiek.

- A ty podzielasz jego opinię? - Mariola, siedziała z brodą wspartą na dłoni i wpatrywała się w niego badawczo, z uśmiechem, który Enrique uznał za figlarny.

- Nie.

- Bardzo się cieszę - odpowiedziała poważnie.

Kolacja przebiegała w tak sympatycznej atmosferze, że nie zauważyli upływu czasu. Enrique ze zdziwieniem doliczył się jedenastu uderzeń katedralnych dzwonów. Zupełnie zapomniał, że Bety na niego czeka.

- Zrobiło się późno. Muszę wracać do domu - stwierdził.

- Rozumiem - odpowiedziała Mariola. Przypomniała sobie, że gdy do niego dzwoniła, telefon odebrała jakaś kobieta. - Pewnie ktoś na ciebie czeka.

- To nie tak, jak myślisz. Moja była żona, Bety, była bardzo przywiązana do Artura, ale nie mogła przyjechać na pogrzeb. Przyleciała parę dni później, żeby mi w czymś pomóc.

- Nie musisz się tłumaczyć.

- Podrzucić cię do domu? - zaproponował.

- Nie. Nie rób sobie kłopotu. Przejdę się trochę, a potem złapię taksówkę.

- Dobrze. Jutro...

- O dziesiątej, tak jak dziś. Do południa powinniśmy skończyć.

Enrique pochylił się do niej i cmoknęli się w policzki, bez cienia czułości. Odszedł kawałek i z niewielkiego pasażu łączącego oba place obejrzał się do tyłu. Marioli już tam nie było.

Bety czekała na niego na tarasie, spowita mrokiem nocy. Żar palącego się papierosa był jedynym śladem, który pomógł mu dostrzec ją w ciemnościach: nie odpowiadała na jego wołanie, nie znalazł jej też w pokojach. Usiadł obok niej. W dole, pod ich stopami, roztaczała się magiczna sceneria Barcelony rozświetlonej milionami żarówek i neonów, rzucającymi z dala tysiące błysków.

- Jak ci idzie czytanie rękopisu? - spytał, wiedząc, że jest to jedyny temat, na jaki zechce z nim rozmawiać.

- Dobrze.

- Zrobiłaś jakieś postępy? Dużo przetłumaczyłaś?

- Trochę. Żeby dobrze pracować, muszę być w dobrym humorze, a nie jestem.

- Do którego miejsca dotarłaś?

- Zaczynam czytać listę budowli.

- Druga część jest fascynująca, prawda?

- Tak.

Enrique, zrozpaczony małomównością Bety, stracił rezon, na szczęście przyszedł mu do głowy zbawienny pomysł.

- Nadal znajdujesz tak dużo błędów w moim tłumaczeniu?

- Można by z nich sporządzić instruktażowy podręcznik dla studentów pierwszego roku filologii klasycznej. Jest ich tyle i są tak różnorodne, że ciągle jeszcze mnie zaskakują. Często zastanawiałam się: jak to możliwe? Tak jak ci powiedziałam, jest to tłumaczenie typowe dla amatora i dyletanta... Bo w końcu nim jesteś.

Wysłuchawszy tyrady Bety, Enrique uwierzył, że jej poprzedni wstręt do mówienia zniknął, i starał się tego trzymać. Wolał ją taką: wściekłą i obrażoną, byle nie milczącą.

- Teraz, kiedy wyłuskałaś błędy w pierwszej części tekstu, może go na nowo zinterpretujesz, odczytasz między wierszami coś, co pomoże rozszyfrować zagadkę.

- Niestety, to nie jest tak, jak myślisz - powiedziała i zaciągnęła się głęboko papierosem. - Wyobrażałam sobie, że poprawię twoje błędy składniowe i tekst stanie się klarowniejszy, ale pomijając jego zadziwiającą treść, manuskrypt w dalszym ciągu stanowi dla mnie zagadkę. Nie mam żadnego nowego śladu. Jest interesujący sam w sobie, ponieważ przedstawia rozważania Casadevalla, jego lęki, zmartwienia, problemy, ale jak do tej pory nic więcej nie odkryłam.

- A zatem żadnych nowin?

- Żadnych. Zmieńmy temat: jak wam poszła wycena? Chyba się napracowaliście, bo wróciłeś bardzo późno. - Powiedziała to z nieukrywaną przyganą.

Enrique, korzystając z ciemności, przygryzł dolną wargę i starał się wymyślić rozsądną odpowiedź.

- Rzeczywiście. Ledwie znaleźliśmy wolną chwilę, żeby coś przekąsić. - Milczenie Bety sprowokowało go do mówienia. - Oszacowaliśmy wartość rzeczy w magazynie i większość przedmiotów wystawionych w sklepie. Mariola uważa, że jutro do południa skończymy.

- Jaka ona jest? - spytała nagle Bety.

Zaskoczony Enrique szybko zrozumiał sens tego pytania. Jej beznamiętny i celowo pozbawiony uczuć głos zmusił go do udzielenia szczerzej odpowiedzi.

- Wspaniała - stwierdził krótko.

- Wyobrażam sobie. - Zgasiła niedopalek w popielniczce, stanęła za nim i chwytając go za ramiona, powiedziała: - No cóż... Życzę ci szczęścia.

Weszła do salonu. Enrique poderwał się, gotów do dalszej rozmowy, ale instynkt kazał mu zostać na tarasie. Nie zastanawiał się nad sensem tej wymiany zdań. Gdyby to zrobił, wywołałby nowy konflikt, a tego sobie nie życzył.

W ciągu jednej doby nastrój Bety diametralnie się zmienił. W sobotę była w złym humorze, zupełnie ignorowała Enrique'a, a w niedzielę - pewnie na skutek rozmowy z poprzedniego wieczoru - zaczęła zachowywać się swobodnie i naturalnie, jakby wyzbyła się wątpliwości. Enrique słyszał, jak zerwała się rano na swój codzienny jogging. Podczas śniadania gawędzili o dziwnym zachowaniu Casadevalla i tajemnicy zawartej w rękopisie. Według Bety mistrzem powodowała tak zwana swoboda twórcza pamiętnikarza i być może poniósł go nadmiar wyobraźni. Natomiast Enrique, prawdopodobnie pod wpływem skrzywienia zawodowego, uważał, że opisane fakty mogły, a nawet musiały się zdarzyć. Nie rozmawiali już więcej o wycenie. Po śniadaniu Bety oświadczyła, że natychmiast po zakończeniu pracy nad przekładem wraca do San Sebastián, najpewniej we wtorek lub w środę. Enrique posmutniał. Szczerze mówiąc, Bety nie tylko przyczyniła się do zrozumienia tekstu, ale także podtrzymała go na duchu. Jej ciepło i dobry humor działały jak balsam na jego świeże rany spowodowane śmiercią Artura i skutecznie łagodziły ból.

W drodze do Barcelony doznał olśnienia: Bety postanowiła usunąć się w cień, żeby dać mu szansę stworzenia z Mariolą nowego związku. Musiał przyznać: potrafiła wyciągnąć wnioski na podstawie wnikliwej analizy jego zachowania. Zauważyła, i to wcześniej od niego, że jej obecność jest niewskazana, postanowiła więc wyjechać. A może tak zdecydowała, bo nie chciała się mieszać w jego sprawy. Albo z obu powodów naraz. Enrique starał się walczyć z męską pychą: w końcu został doceniony przez płć piękną. Przewyciężył uczucie triumfu, które sam uznał za niegodne prawdziwego mężczyzny.

Wycena pozostałych przedmiotów zmieniła się w beztróską pogawędkę, jak to zwykle bywa między dwojgiem młodych. Zostało im już niewiele pracy, mogli się więc skupić bardziej na swoich doznaniach niż na sporządzanej liście. Tuż po pierwszej zakończyli szacowanie przedmiotów. Lista wraz ze wstępnymi cenami trafiła do segregatora.

- Sekretarka stowarzyszenia powiadomi wszystkich zainteresowanych o licytacji. Zostaw mi wykaz, dołączymy go do ogłoszenia o aukcji, żeby wszyscy wiedzieli, czego się spodziewać.

Enrique podał jej listę.

- A ty nie chcesz sobie zostawić czegoś na pamiątkę? - zapytała.

- Ależ tak, ale nie mogę wszystkich zabrać do domu.

- Dobry pretekst, żeby zmienić wystrój.

- Dopiero od roku mam własne mieszkanie i podoba mi się takie, jakie jest: praktyczne i nowoczesne. Podziwiam piękno starych mebli, ale nie mógłbym ustawić ich u siebie, nie psując efektu całości. A zresztą chcę zerwać z przeszłością - dodał. - Te rzeczy za bardzo przypominałyby mi bolesne wydarzenia, o których wolę zapomnieć.

- I jeszcze jedno: musimy jak najszybciej przewieźć meble do pomieszczeń stowarzyszenia, najlepiej w poniedziałek, i to wcześniej rano. Przeprowadzka - rozejrzała się w koło, próbując ocenić, ile będzie potrzeba na to czasu - przy zachowaniu środków ostrożności, żeby nie uszkodzić mebli, zajmie wiele godzin, może nawet dwa dni.

- Poniedziałek absolutnie odpada. Nie dam rady wpaść do sklepu. Muszę najpierw załatwić parę spraw z Bety. Jak to zrobić?

- Ufasz mi?

Enrique zatopił wzrok w jej błękitnych oczach i poczuł się zupełnie zauroczony. Miały kolor młodości, urok niewinności, czar tajemnicy i wiele obiecywały.

- Tak - odpowiedział bez wahania.

- Daj mi klucze. Zlecę przeprowadzkę solidnej firmie przewozowej i osobiście wszystkiego dopilnuję.

Enrique wręczył jej klucze. Zgasili światła i zamknęli starannie drzwi. Na progu Enrique złapał Mariolę za rękę.

- Poczekaj. Muszę ci coś powiedzieć.

- Słucham. - Spojrzała na niego i znowu poczuł się całkowicie oczarowany.

- Pragnę ci coś podarować. Chcę, żebyś miała pamiątkę, zarówno po Arturze jak i po mnie, jako wyraz wdzięczności za okazaną pomoc. W antykwariacie jest na pewno jakiś mebel albo przedmiot, który ci się szczególnie podoba. Jestem tego pewny. Chcę, żeby należał do ciebie.

Taką samą propozycję złożył dwa dni temu przyjacielom Artura. Uznał, że pomysł obdarowania ich prezentami w piątkowy wieczór nie płynął ze szczerego serca, był bowiem podyktowany strategią, pragnieniem osiągnięcia celu, może z wyjątkiem Samuela, i został wymuszony okolicznościami. Podarunek dla Marioli miał uciszyć jego sumienie i w pewien sposób przywrócić szczerą intencjom.

Mariola, zachwycona tym pomysłem, uśmiechnęła się.

- Tu jest dużo pięknych przedmiotów, ale jeden podoba mi się szczególnie.

- Więc zgadzasz się?

- Tak - roześmiała się zadowolona - ale nie zdradzę ci, co to jest. Sam się musisz domyślić... jeśli ci się uda.

Enrique opuścił żaluzję.

- I co teraz? - spytała Mariola, chowając klucze do torebki.

- Nie rozumiem.

- Pomyślałam, że może chciałbyś wpaść do mnie na obiad.

Enrique, zanim odpowiedział, wymazał z pamięci obraz Bety.

- Z przyjemnością.

Nie wiedział, gdzie mieszka Mariola. Wskazała mu drogę na Pufocet, wzgórze położone w pobliżu Aveniguda del Doctor Andreu, bardziej znanej jako Aveniguda Tibidabo, Droga na Tibidabo. Wzgórze Putxet stanowi rezerwat zieleni i ciszy wśród miejskiego hałasu i monotonnej szarości. Tu, w najwyższej położonej części Barcelony, gdzie zamożna burżuazja z początków XX wieku chroniła się przed letnim skwarem, z czasem wchłoniętej przez dynamicznie rozwijające się miasto, miała swój azyl Mariola.

- Obecny dom powstał na fundamentach dawnego pałacu należącego do rodziny Bisbalów, przemysłowców z początku ubiegłego wieku, którzy popadli w tarapaty finansowe - opowiadała. - Tata kupił tę posiadłość jakieś piętnaście lat temu. Później jednak zmienił plany. Gdy wróciłam z Ameryki, podarował mi tę rezydencję. Ja wtedy wolałam mieszkać w apartamencie w centrum i długo się wzbierałam przed przeprowadzką, ale teraz cieszę się tak bardzo, że trudno to wyrazić. To prawdziwe szczęście mieszkać w takim miejscu.

Enrique pojechał Carrer de Balmes i minąwszy pierwszą obwodnicę, skręcił w prawo, zgodnie ze wskazówkami Marioli.

- Wjazd na Putxet jest dobrze ukryty. Ci, co go nie znają, mogą go łatwo przeoczyć. Wąskimi i krętymi uliczkami nie jeżdżą autobusy miejskie. Nie ma tam miejsca na manewrowanie. Jedyny publiczny środek transportu masz tutaj - pokazała palcem - stację linii metra przebiegającą poniżej wzgórza. Dlatego ojciec nie chciał się tu przeprowadzić, bo nie ma prawa jazdy, a bez samochodu byłby skazany na długi spacer. Na tym skrzyżowaniu w lewo. I jak widać, cały czas pod górkę.

W miarę jak wjeżdżali na wzgórze, niewielkie bloki mieszkalne, najwyższej trzy- lub czteropiętrowe, znikwały, ustępując ukrytym w zieleni ogrodów eleganckim willom, będącym świadectwem dawnej świetności miasta. Droga, nieustannie pnąca się pod górę, za znaną prywatną kliniką rozwidła się. Skręcili w lewo. Za kolejnym zakrętem Mariola kazała mu się zatrzymać:

- Jesteśmy na miejscu. Zaczekaj w samochodzie, otworzę bramę.

Brama w wysokim murze, bujnie obrosniętym zwisającym aż na chodnik bluszczem, otworzyła się bezszelestnie. Enrique wszedł i poczuł się jak w świecie magii i czarów. Przy budowie domu wykorzystano naturalny spadek terenu i budynek wznosił się jakby na trzech poziomach. Największe

wrażenie robiła jednak nie willa, lecz ogród, ciągnący się po zboczu w górę. Przed rezydencją, wśród klombów i trawników, znajdował się otoczony kolumnadą w stylu klasycznym basen, z dnem wyłożonym różnobarwną mozaiką, chroniony przed wzrokiem ciekawskich ścianą zieleni z odpowiednio dobranych drzew i różnej wielkości krzewów.

- Niesamowite miejsce! - wykrzyknął zachwycony.

- Postanowiłam go zachować. Bisbalowie byli rozmiłowani w luksusie. Basen według mnie jest trochę zbyt ostentacyjny, jednak podoba mi się. Jeśli wydaje ci się zbytkiem, boję się pomyśleć, co powiedziałbyś o dawnej rezydencji.

- Uważasz, że w porównaniu z resztą basen nie był luksusem?

- W samej rzeczy. Tak było. Podjazd dla powozów ciągnął się z prawej strony, aż do stajni mieszczących się na tyłach. Służbowe wejście i prywatna winda prowadziły do ogromnej wieży w stylu klasycystycznym. W rezydencji było ponad pięćdziesiąt pokoi. W wykutych w skale piwnicach przechowywano wina. Obok willi znajdowały się dwa korty tenisowe i podświetlany ogród, nawadniany przez strumienie spływające ze wzgórza, na którym z uroczej altanki można było podziwiać panoramę całego miasta. Tę część ogrodu postanowiłam utrzymać w pierwotnym stanie.

- Musieli być strasznie nadziani - stwierdził z podziwem Enrique.

- Uważaj, bo ta uwaga dotyczy także i mnie.

- Nie, to znaczy, szczerze mówiąc, tak - poprawił się. - W końcu utrzymanie takiego pięknego miejsca na odpowiednim poziomie musi być bardzo kosztowne.

- Część posiadłości sprzedaliśmy radzie miasta. Powiększyła obszar przylegającego do niej parku publicznego. To był dla nas potężny zastrzyk finansowy. Dzięki temu i prawie wszystkim oszczędnościom ojca mogłam postawić ten dom. A jeśli chodzi o ogród, rada miasta zobowiązała się dbać o niego w zamian za możliwość pierwokupu całej posiadłości. Wejdz, zapraszam.

Marmurowymi schodami poprowadziła Enrique'a na pierwsze piętro.

- Tu mam salon, dość duży, bo taki mi się podobał. Na pierwszym piętrze mieszczą się łazienki i sypialnie, a jeszcze wyżej - gabinet. Okna wszystkich pokoi wychodzą na południe, więc przez cały dzień mogę cieszyć się naturalnym światłem - opowiadała, jednocześnie odsuwając wielkie szklane drzwi, oddzielające salon od tarasu.

Enrique'a zaskoczył tak niebywały przepych. Zawsze uważał się za szczęściarza, bo najpierw mieszkał w Vallvidrerze, a obecnie na zboczu Igueldo, ale to miejsce przypominało krainę z bajki. Rozciągał się stąd widok taki sam jak z domu Artura, a na dodatek miał wygody i luksusy jak cesarski pałac. Całość wydawała się zbyt kłopotliwa aż do przesady.

- Czy ten dom nie jest za duży dla kogoś żyjącego samotnie?

- To mój prywatny świat - odparła Mariola. - Mieszkając tu, nie potrzebuję niczego z zewnątrz. Mam w zasięgu ręki to, co życie może mi zaoferować najlepszego, a solidne mury chronią mnie przed złem.

- Nie boisz się mieszkać tu sama? Teraz włóczy się tylu oszołomów...

- Nie - zaprzeczyła. - W porównaniu z Nowym Jorkiem, gdzie przeżyłam prawie cztery lata, Barcelona wydaje się prowincjonalną miejsciną. Przynajmniej tak myślałam zaraz po powrocie. W Stanach wszystko jest ogromne, tak zatraciło proporcje, że w porównaniu z Nowym Jorkiem Barcelona wygląda jak zabawka z klocków lego. Zresztą dom ma system alarmowy podłączony do agencji ochrony, a w szufladzie nocnego stolika trzymam pistolet. Pewnie potencjalnego włamywacza wystraszyłby sam alarm, ale zapewniam cię, że w obronie własnej nie zawahałabym się użyć pistoletu.

- Nie przestajesz mnie zadziwiać - przyznał. - Nie wyobrażam sobie ciebie z bronią w ręku, strzelającej do złodzieja.

Mariola roześmiała się.

- Gdybyś pożył trochę w Stanach, byłbyś zaskoczony, ilu uzbrojonych ludzi chodzi po Nowym Jorku.

- Tak czy siak ja chyba bym nie potrafił strzelić do człowieka - stwierdził Enrique. - Przyznam się, że broń budzi we mnie lęk.

- Coś takiego! Gdybyś znalazł się w sytuacji bez wyjścia, użyłbyś jej bez wahania, zapewniam cię. Wszyscy w coś wierzymy, wyznajemy jakieś idee, ale to okoliczności nami rządzą.

Enrique pokręcił głową. Może miała rację.

- Napijesz się czegoś? - zmieniła temat.

- Tak, bitter, poproszę.
- Zwykły czy bezalkoholowy?
- Bezalkoholowy. Raczej nie piję mocnych trunków.
- No cóż. W końcu musiała wyjść na jaw jakaś twoja wada.
- Tylko jedna?
- Drugiej nie znam - uśmiechnęła się słodko.
- Ty nie masz żadnej.

Gdy podawała mu szklankę, ich palce lekko się zetknęły. Przeszedł ich nagły dreszcz. Wyszli na taras.

- To przepiękne miejsce. Jak z bajki - powiedział. - Gdyby nie było takie odludne, byłoby wspaniałe.
- Nie zawsze jestem sama. Tata organizuje tu imprezy dla członków stowarzyszenia, a wtedy nawet sobie nie wyobrażasz, ile mam pracy. Często wpadają do mnie moi przyjaciele z Ameryki i...
- ...i od czasu do czasu zapraszasz kogoś na kolację - dokończył za nią.
- Tak - przyznała. - Czasami zapraszam kogoś, kto myśli i czuje podobnie jak ja.
- Skoro tak, to dlaczego nie jesteście razem?
- Porozumienie w niektórych sprawach to nie wszystko. To jest znacznie bardziej złożone, niż myślisz.
- Wolę nic nie myśleć i przyjmować życie takie, jakie jest.

Mariola stała przy balustradzie tarasu, wpatrzona w ogród. Enrique stanął obok niej, twarzą zwrócony w stronę salonu. Przesunął ręką w górę jej szyi, do upiętych włosów. Znalazł spinkę podtrzymującą kok i wyjął ją delikatnie. Czarne jedwabiste włosy opadły jej na ramiona.

- Niełatwo było ją znaleźć. Musisz mieć doświadczenie.
- Pewne mam - przyznał Enrique i zaczął ją całować.

Rozstali się późną nocą.

- Muszę już wracać do domu. Bety na mnie czeka. Nie chcę, żeby siedziała sama.
- Wcale mi się nie podoba, że zostawiasz mnie teraz samą - zaprotestowała nieśmiało - ale rozumiem, że masz wobec niej zobowiązania, jesteś jej wdzięczny za to, że do ciebie przyjechała. Bo przecież tylko o to chodzi, prawda?
- Tak - potwierdził Enrique. - Tylko o to.

Mariola włożyła szlafrok i odprowadziła go do samochodu. Kiedy już siedział w środku, złapała go przez otwarte okienko za rękę z taką samą energią, jaką emanowała przez cały wieczór. Nic nie powiedziała. Wbiła w niego uporczywy, enigmatyczny wzrok, którego nie potrafił rozszyfrować. Potem otworzyła bramę. Już na ulicy pomachał do niej na pożegnanie. Nie odwzajemniła tego gestu.

9.

Był szczęśliwy. Nie roztrząsał swoich uczuć, raczej się nimi napawał. Poczł się spełniony, jak każdy mężczyzna po dokonaniu podboju miłosnego. Przysięgłby, że może przywołać nie tylko wszystkie przeżyte razem chwile, ale także te wcześniejsze, i to w najdrobniejszych szczegółach, od momentu pierwszego spotkania.

Prowadził zamyślony, pogrążony w marzeniach, spokojnie i wolno, starając się skupić na drodze, oddalającej go coraz bardziej od obiektu pożądania. Jak we śnie dotarł do domu. Było już późno, ale Bety czekała na niego w salonie. Słyszcząc zgrzyt klucza w zamku, poderwała się i wybiegła mu na spotkanie.

- Nareszcie! Myślałam, że już nigdy nie wrócisz, a nie mogłam cię złapać. Miałaś przez cały wieczór wyłączoną komórkę.
 - Co się stało?
 - Złapali go.
- Enrique stanął jak wryty.
- Jak? Kiedy?

- Fornells dzwonił do ciebie około dziesiątej trzydzieści. Wpadli na jego trop i wczoraj po południu złapali go w Sitges.

- Ale którego z nich?

- Żadnego. - Uśmiechnęła się, jakby rozbawiło ją pytanie Enrique'a, i odpowiedziała krótko: - Myliłeś się.

- Czy ty mnie przypadkiem nie nabierasz?

- Nie. Nie aresztowali ani Guillema, ani Enrica, ani Samuela, tylko kogoś zupełnie innego, o kim nic nie wiem.

Enrique zostawił Bety w pół słowa. Wystukał numer komisariatu na Ravalu, ale Fornells nie mógł podejść do telefonu. Połączono go natomiast z jego współpracownikiem, Rodríguezem.

- Słucham.

- Tu Enrique Alonso.

- Nareszcie. Na razie niewiele wiem. Zatrzymaliśmy podejrzanego, domniemanego mordercę pańskiego ojca. W tej chwili Fornells go przesłuchuje. Przypuszczamy, że może to długo potrwać. Facet należy do upartych, trudno coś z niego wycisnąć.

- Ale kto to jest, do jasnej cholery?

- Phillipe Brésard, lepiej znany pod ksywką Francuz. Poszukiwany międzynarodowym listem gończym handlarz kradzionymi dziełami sztuki.

- Niewiarygodne! - wykrzyknął Enrique, zdezorientowany nieoczekiwanym zwrotem akcji. Jego potencjalny morderca zniknął jak sen po przebudzeniu, złożona hipoteza zaś, stworzona w ciągu poprzednich dni, straciła rację bytu. Poczul się jak ostatni idiota ze słuchawką w ręku, niezdolny wymówić słowa, jakby zapomniał języka w gębie.

- Przepraszam, jest tam pan? - spytał nieco zaniepokojony Rodríguez.

- Pan wybaczy, ale ta wiadomość mną wstrząsnęła - wydukał skonsternowany. - Jak pan sądzi, kiedy będę mógł porozmawiać z Fornellsem?

- Znał go pan?

- Kogo?

- Pytam, czy znał pan Francuza.

- Nie mam pojęcia, kto to jest.

- W porządku - odpowiedział po chwili Rodríguez. - Chyba będzie pan mógł pogadać z Fornellsem jutro rano, ale nie potrafię powiedzieć, o której godzinie. Proszę być pod telefonem. Zadzwoń do pana, jak tylko będzie mógł.

Odłożywszy słuchawkę, zdezorientowany Enrique nie wiedział, co robić. Zastygł przy stoliku, na którym stał telefon, zatopiony w myślach, z zagubionym spojrzeniem. W końcu Bety wzięła go za rękę i zaprowadziła na kanapę. Gdy usadowili się wygodnie, cierpliwie czekała, aż się odezwie.

- To niemożliwe - powiedział w końcu. - Niewiarygodne.

- Ale tak jest - stwierdziła Bety z łagodnym uśmiechem, typowym dla niej, kiedy chciała go uspokoić.

- Przecież wszystko idealnie pasowało. Inne rozwiązanie nie wchodziło w rachubę.

- A jednak.

Ich spojrzenia się spotkały i Enrique poczuł, że jego niezachwiana pewność zaczyna się kruszyć.

- Rzeczywiście - powiedział.

- Nie ma powodu do zmartwień. Być może te tragiczne wydarzenia tak na ciebie wpłynęły, że wymyśliłeś w miarę spójną teorię, co do której przekonałeś i mnie. Tak czy siak jutro dowiemy się więcej.

- Masz rację.

- Prześpij się. Dobrze ci to zrobi.

- Tak, masz rację.

Enrique posłuchał Bety, ale położywszy się do łóżka, nie mógł zmrużyć oka. Podświadomość podszeptowała mu coś, jakieś ostrzeżenie, którego nie słyszał wyraźnie.

Wcześnie rano rozległ się dzwonek telefonu. Enrique był już od dawna na nogach i niecierpliwie wyczekiwał wiadomości od Fornellsa. I rzeczywiście, to był on.

- Enrique... - Raczej stwierdził, niż zapytał.

- Przy telefonie.

- Musimy porozmawiać.

- Kiedy i gdzie?

- Wpadnij do mnie, ale nie do gabinetu. Poczekaj na zewnątrz. Skoczmy coś przekąsić. Dasz radę za trzy kwadranse?

- Na pewno.

- W porządku, na razie.

Bety wsunęła głowę przez szparę w drzwiach, kiedy skończył rozmowę.

- To był Fornells?

- Tak. Chce ze mną porozmawiać.

- Czemu jesteś taki poważny? Od wczorajszego wieczoru jesteś jakby inny.

- Nie wiem. Mam przeczucie, że coś tu nie gra.

- Nie sądzisz, że to po prostu efekt mieszanki wybuchowej, jaką daje rozdęte ego autora bestsellerów i jego absurdalnych teorii?

- Być może - przyznał niechętnie.

Po dziesięciu minutach, ubrany i gotowy, mógł już opuścić swój prywatny raj. Bety odprowadziła go do wyjścia i tam pożegnała, cmoknąwszy dwa razy w policzek.

- Powodzenia.

O umówionej godzinie Enrique czekał na rogu przy komisariacie. Oparty o zniszczoną, pomazaną graffiti ścianę, wyobrażał sobie tysiące wystających pod nią bezimiennych ulicznic podczas tysiąca nieskończone długich nocy. Wreszcie dostrzegł wychodzącego z komisariatu Fornellsa. Komisarz, nie zauważwszy go, bacznie rozglądał się po wymarłej ulicy. Enrique pomachał do niego ręką. Fornells wolno, ociężale ruszył w jego stronę. Stał przed nim i zamrugał nerwowo oczami, poczerwieniałymi ze zmęczenia po nieprzespanej nocy.

- Muszę się czegoś napić.

- W to nie wątpię. Widzę, w jakim jesteś stanie.

- Pewnie zaraz otworzą bar London.

Szli w milczeniu. Enrique miał wrażenie, że w ciągu zaledwie jednej nocy Fornellsowi przybyło kilka lat. Drobił powoli, niemrawo, co doprowadzało Enrique'a do rozpacz. W barze poranna zmiana właśnie sprzątała lokal. Fornells podciągnął opuszczoną do połowy kratę i zawołał do jednego z kelnerów:

- Cześć, Andreu! Można?...

- Cap problema, home. Nie ma sprawy. Wejdźcie. Przy stoliku w rogu będziecie mieli spokój. Co podać?

- Enrique... - Fornells zwrócił się do swego towarzysza.

- Ciepłe mleko i dwa tosty z masłem.

- Dla mnie czarna kawa z brandy.

Fornells wyjął z paczki papierosa i starannie przypalił. Pudełko było wymięte, jakby ścisnął je w garści, a papieros lekko zdeformowany. Z lubością zaciągnął się dymem i wypuścił w górę kilka kółek.

- Musimy porozmawiać - oświadczył.

- Po to przyszedłem - odparł Enrique.

- To nie będzie miła rozmowa.

- Tak przypuszczałem.

- No dobra... - Policjant potarł skronie i zwichrzył sobie resztki włosów na głowie. - Od czego zacząć? Zaraz, zaraz... Zanim przejdę do sedna, muszę ci wyjaśnić kilka spraw, o których pewnie nie masz pojęcia. Cofnijmy się wiele lat w przeszłość, kiedy nie tylko nie było ciebie na świecie, ale nawet

twoi rodzice jeszcze się nie znali. Opowiem ci o odległych i mrocznych czasach, dla dzisiejszej młodzieży niezrozumiałych.

Ta historia zaczyna się w połowie ubiegłego wieku. Dekada lat pięćdziesiątych nie była zbyt dobra, znacznie jednak lepsza w porównaniu z latami czterdziestymi. Te dopiero były straszne. Nie patrz tak na mnie, chłopcze, nie jestem starym nudziarzem, który plecie coś trzy po trzy. Słuchaj cierpliwie. Nasz kraj przeżywał wtedy swego rodzaju boom gospodarczy. Skończyła się epoka racjonowania żywności na kartki. Społeczeństwo, podzielone wówczas pod względem sytuacji ekonomicznej na zwycięzców w wojnie domowej i całą resztę, zaczęło inwestować i działać, a poziom życia wzrósł na tyle, że udało się wyeliminować największe braki.

Oczywiście, wokół wspomnianej elity szybko powstał krąg ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z problemami dnia codziennego, z jakimi borykała się większość. W Barcelonie do tego kręgu zaliczali się ludzie związani z nową władzą, czyli elementem napływowym, w Katalonii na szczęście nielicznym, oraz ta część miejscowej burżuazji, która bez trudu przystosowała się do nowych czasów i nowych rządów, byle tylko zachować swój status i przywileje. No cóż, tutaj, tak samo jak zawsze i wszędzie, ludzie dobrze ustawieni przyjęli zwycięzców z otwartymi ramionami i - co za dziwny zbieg okoliczności - szybko zaczęli prowadzić wspólne interesy.

Żyli w odizolowanym świecie. Wśród powszechnej nędzy oni, w mniej lub bardziej ostentacyjny sposób, w zależności od dziedzicznej skłonności do pychy, dysponowali wszystkim aż do przesytu: żywnością, pieniędzmi...

Twój prawdziwy ojciec, to znaczy Lluís, nie Artur, dzięki swojemu urodzeniu należał do klasy uprzywilejowanej i powinien dorastać wśród równych sobie. Niestety, znalazł się między młotem a kowadłem. Większość jego krewnych była zaangażowana politycznie po stronie republiki i po przegranej wojnie musiała uciekać z kraju. Tylko nieliczni z nich trzymali się na uboczu spraw, wśród nich twój ojciec, Lluís.

Jeśli chodzi o Aiguaderów, przypadł im w udziale znacznie gorszy los. Wszyscy byli zaangażowani po stronie republiki i za tę działalność spadły na rodzinę surowe represje. Większa część ich fortuny rozeszła się na pomoc wygnańcom. Mogli się różnić pod względem ideowym, ale w dalszym ciągu pozostali kuzynami, stryjami, braćmi. Potem nowa władza uwłaszczyła większość majątków ziemskich i przedsiębiorstw, a byli posiadacze znaleźli się na progu nędzy. Przeszli ciężkie chwile. Pere, ojciec Artura, trafił nawet do obozu pracy, a po powrocie ciężko zaniemógł. Był rodziny zależał przede wszystkim od miłosierdzia pozostałych krewnych. Parę lat później kompromitująca etykieta „czerwonych”, którą im przyklejono, straciła znaczenie i tym samym sytuacja finansowa rodziny znacznie się poprawiła.

Może nie rozumiesz, dlaczego ci to opowiadam, ale chciałem osadzić postać Artura w konkretnej epoce i środowisku, bo otoczenie, w którym dorastamy, pozostawia na nas wpływ do końca życia, a Artur nie był wyjątkiem od reguły.

W tym miejscu Fornells przerwał na chwilę wspomnienia i jednym haustem wypił kawę wzmocnioną brandy. Enrique, już dawno po śniadaniu, skorzystał z okazji, by przerwać jego monolog.

- Miałeś rację. Przepraszam, ale ciągle jeszcze nie rozumiem...

- Słuchaj uważnie - uciął krótko komisarz i nie zwracając uwagi na Enrique'a, mówił dalej. - Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego Artur adoptował cię po śmierci rodziców? Albo inaczej, czy znasz przyczynę ich wielkiej przyjaźni?

- Ale ja... - Enrique na próżno usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek rozmawiał o tym z Arturem. - Wiem, że byli przyjaciółmi od dziecka. Zimowymi wieczorami, kiedy dokuczał nam chłód, siadywaliśmy przy kominku i Artur opowiadał mi o rodzicach. Często go o to prosiłem, mogę więc powtórzyć niemal słowo w słowo wszystkie opowieści Artura o mojej rodzinie. Pamiętam zabawne dykteryjki o wybrykach i przygodach waszej trójki, anegdoty o moim ojcu z czasów dzieciństwa... ale nie pamiętam, żeby Artur kiedykolwiek mi mówił, co ich połączyło.

- To oczywiście, ale mogę ci to wyjaśnić. Dopiero wtedy zrozumiesz wszystko. Weź pod uwagę, że od trzynastego do osiemnastego roku życia byliśmy z Arturem kumplami z tej samej szkoły.

Artur pochodził z zamożnej burżuazji. Przyjaźnił się z dziećmi szacownych, bogatych i wpływowych ludzi, między innymi z twoją matką, Núrią Pujolras, i ojcem - Lluísem Alonso. Lata wojny domowej spędzili z dala od dziejowych wydarzeń. Żyli we własnym świecie, odizolowani, chronieni przez dorosłych, którzy cenzurowali przychodzące z zewnątrz wiadomości.

Po wojnie, jak to zwykle bywa, przegrani zostali upokorzeni i zgnojeni przez zwycięzców. Zubożała rodzina Artura musiała się wyprowadzić do gorszej dzielnicy. Zamieszkali wśród prostych ludzi, dla których jedynym celem życiowym było przetrwać. To samo zresztą dotyczyło Aiguaderów. Właśnie

wtedy poznałem Artura: w biedzie i poniewierce. To, co dla mnie i mojej rodziny było normalne, przyzwyczailiśmy się do tego, dla Artura i jego rodziców było prawdziwym szokiem, z którego długo nie mogli się otrząsnąć.

Poznaliśmy się w szkole. Początkowo Artur miał kłopoty: to nie było środowisko, w jakim dorastał. To było od razu widać. Był wyniosły i dumny, choć wynikało to raczej z wychowania i przynależności do arystokracji, a nie z charakteru. Przestał się wywyższać, gdy dumę i pychę brutalnie wybito mu z głowy. My, miejscowi, nie mieliśmy zrozumienia dla lalusia z wyższej klasy społecznej - skonstatował z uśmiechem Fornells. - Później został zaakceptowany przez naszą paczkę, bo był dowcipny, inteligentny i zawsze skory do pomocy. Zdobył wielu przyjaciół, co potem potrafił umiejętnie wykorzystać.

Zaprzyjaźniliśmy się, choć był ode mnie starszy. Nie byliśmy może parą nierozłącznych kumpli na dobre i na złe, ale wiedzieliśmy, że możemy sobie ufać. Zaufanie od zwierzeń dzieli zaledwie krok. Artur wyznał mi swoje największe marzenie: wydobyć się z biedy. Pamiętał jeszcze dzieciństwo spędzone w zupełnie innych warunkach, jego jedynym pragnieniem był powrót do korzeni.

Dorośliśmy i nasze drogi się rozeszły. Ja wstąpiłem do policji, co w tamtej epoce stanowiło w pewnym sensie synonim przynależności do kapłaństwa. Miałem zapewniony wikt, ubranie i dach nad głową. Artur przerwał studia, związał się z określonymi kręgami, raczej nieciekawymi, i w ciągu paru lat zgromadził całkiem pokaźny majątek. Umarła jego matka, Ana, a wkrótce później ojciec, Pere. Artur, wolny od wszelkich więzi i zakazów, rozwinął swoją nie do końca legalną działalność. Paserstwo i handel na czarnym rynku wiązały się z dużym ryzykiem i niebezpieczeństwem, ale było to bardzo lukratywne zajęcie.

Właśnie wtedy odnowił znajomość z Nurią i Lluísem. Odbiorcami przemycanych i kradzionych towarów byli niemal wyłącznie bogaci Katalończycy. Artur, którego imię i nazwisko było w tych kręgach dobrze znane, stał się ważnym kontaktem dla nadzianych hipokrytów: oficjalnie potępiali to, co robił, i gardzili nim samym, a cichaczem otwierali mu tylne drzwi do swoich dobrze strzeżonych posiadłości.

Nie znam szczegółów przyjaźni z Nurią. Wiem tylko, że Artur był przystojnym młodym człowiekiem, z racji swojej nielegalnej działalności otoczonym aurą tajemniczości. Początkowo widywali się w szerszym gronie, potem zaczęli się spotykać tylko we dwoje. W następstwie tych ukradkowych schadzek w zachowaniu Artura zaszła radykalna zmiana: porzucił swoje pokątne zajęcie i postanowił odzyskać utraconą pozycję w klasie wyższej, do której należała Nurią. Miłość i nienawiść to dwa uczucia zdolne przeobrazić każdą ludzką istotę, a Artur się zakochał.

Zmienił się diametralnie. Otworzył niewielki antykwariat, załóżek przyszłego interesu, i wrócił na studia. Jego wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Wyjątkowo inteligentny i pracowity, po siedmiu latach nauki zdobył tytuł magistra na dwóch wydziałach: historii i filologii klasycznej. Miał ukończone studia i dobrze prosperujący biznes, który pomimo trudności rozwijał się. Sądził więc, że skoro zarabia pieniądze w uczciwy sposób, ma prawo starać się o rękę Nuri. Niestety, spotkał się z kategoryczną odmową jej rodziców. Nie życzyli sobie mezaliansu. Nurią była zrozpaczona, rodzice, którzy pewnie nawet nie przypuszczali, jak blisko młodzi są ze sobą związani, zabronili im się spotykać. W tym środowisku i na dodatek w tamtych czasach przed wolą rodziców należało się ugiąć.

Artur poczuł się boleśnie zraniony - nie spodziewał się takiej reakcji, a tym bardziej odmowy - nie pogrążył się jednak w rozpacz, tylko zaczął szukać innej drogi do celu.

A teraz opowiem ci o Lluísie, z którym łączyły go dość nietypowe więzy. O ile początkowo Artur zbliżył się do niego, by ułatwić mu dostęp do zamkniętego kręgu młodych, bogatych ludzi, o tyle potem stali się prawdziwymi przyjaciółmi. Lluís nie był typowym przedstawicielem bogatej młodzieży z jego środowiska, ponieważ nie miał świadomości przynależności do wyższej klasy, jaką chępli się jego znajomi. Artur był dla niego przykładem walki i uporów, wzorem do naśladowania, a nie kimś, kogo należało odtrącić. Tak jak inni słyszał plotki o Arturze, ale nie wierzył w nie. Nawet i w tym okazał się szlachetny: zawsze twierdził, że nie ma prawa osądzać cudzego życia.

W ten najbardziej banalny sposób umocniła się ich przyjaźń. Mieli podobne spojrzenie na większość spraw, dzielili te same pasje i zamiłowania, i w końcu stali się niemal nierozłączni. Właściwie wiedzieli o sobie wszystko. Wszystko oprócz jednego: że obaj kochają tę samą kobietę. Bo tak się właśnie zdarzyło. Lluís także pragnął zdobyć Nurię. Według mnie każdy normalny facet by tego chciał. Twoja matka była prawdziwą pięknoscią.

- Rzeczywiście - przyznał Enrique, przypominając sobie stare zdjęcia przechowywane w rodzinnych albumach.

- Widziałem ją zaledwie raz, ale zrobiła na mnie niesamowite wrażenie: miała w sobie coś eterycznego, wielkie oczy i delikatne rysy... jak postać nie z tego świata. Ale odbiegłem od tematu. -

Fornells podjął przerwany wątek. - Nie wiem, dlaczego ludzie, którzy tak dobrze się znali, ukrywali przed sobą nawzajem miłość do Núrii. Być może dlatego, iż niezależnie od szczerości w przyjaźni każdy ma jakiś sekret, z którego nikomu się nie zwierza. Może Artur i Lluís coś podejrzewali, ale nie mieli śmiałości pytać.

Pewnego dnia Lluís postanowił poprosić rodziców Núrii o jej rękę, mimo iż ona nic nie wiedziała o jego uczuciach. Był świadom, że bez ich przyzwolenia ślubu nie będzie, dlatego przed podjęciem kolejnego kroku musiał koniecznie mieć ich zgodę. Rozmowa między dwoma mężczyznami była długa i satysfakcjonująca, przypieczętowana uściskiem dłoni. Lluís okazał się idealnym kandydatem: pochodził z dobrej rodziny, o świetnej pozycji, z pokaźnym majątkiem, którego był jedynym dziedzicem. Taki związek wzmocniłby oba rody i chociaż zdaniem ojca i matki zgoda Núrii nie była aż tak istotna, Lluís wolał sam z nią porozmawiać.

Dla dziewczyny oświadczenie Lluísa były całkowitym zaskoczeniem. Najbardziej zdziwiło ją to, iż przez tyle lat ukrywał, że jest w niej zakochany. Potraktowała go z szacunkiem, na jaki zasługiwał, bo chociaż go nie kochała, to jednak nie chciała zranić. Nie wspomniała, że w jej życiu jest ktoś inny, i odmówiła w najbardziej delikatny i taktowny sposób.

Lluís się jednak nie poddał. Artur nie mógł spotykać się z ukochaną, natomiast jego rywal widywał ją regularnie. Była to strategia powolna, ale skuteczna i pewnego dnia dała owoce: Núria powiedziała „tak”. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiła, może już nie kochała Artura, a zakochała się w twoim ojcu. Była młoda, a młodzi są niestali w uczuciach. Tego się już nigdy nie dowiemy. Wiem tylko, że gdy się pobrali, Artur oddalił się od nich. Lluís przypisywał to starej prawdzie: dwoje to para, a troje to już tłok. Po pewnym czasie stało się jasne, że jest jeszcze inny powód. Na stanowcze naleganie Lluísa Artur wyznał, że jest zakochany w Núrii. Szczerość, zamiast rozżłościć młodego żonkosia, wywołała wręcz odwrotny skutek: stali się najlepszymi przyjaciółmi i tak jak przedtem Artur unikał towarzystwa małżonków, tak teraz zacieśnił z nimi kontakty.

Zastanawiasz się pewnie, skąd znam te wszystkie szczegóły. Wtedy Artur i ja widywaliśmy się dość regularnie. Ja dostałem przydział do komisariatu na Via Laietana, a pierwszy sklep Artura znajdował się na początku Carrer de la Palla, toteż często wpadaliśmy na siebie na ulicy albo jedliśmy razem obiad. I choć nasze układy nie były tak bliskie jak kiedyś, to jednak mieliśmy do siebie zaufanie. O wielu sprawach, o których ci opowiadam, dowiedziałem się od niego. Resztę sprawdziłem na własną rękę.

Fornells zamilkł. Streszczenie wydarzeń z przeszłości zajęło półtorej godziny. Zamówił wodę gazowaną. Otwarty od pewnego czasu bar zapełnił się liczną i barwną klientelą. Andreu przyniósł półlitrową butelkę wody, jakiej od dawna nie było w sprzedaży. Można na nią trafić tylko w takim lokalu, jak London.

- Zaszczyło mi w gardle. Miałem bardzo ciężką noc, ale wspomnienia każdego potrafią ożywić. - Nalał do szklanki wodę i przytrzymał z rozkoszą w ustach pierwszy łyk, jakby smakował najwyborniejsze wino. Spojrzał na Enrique'a. - Ileż ty jeszcze rzeczy o nich nie wiesz!

Enrique z uwagą słuchał długiej opowieści, jakby pogrążony w transie, oszołomiony sensacjami z dawnych lat. W dalszym ciągu nie rozumiał powodu tej rozmowy, ale był zafascynowany, a nawet wstrząśnięty historią swojej rodziny. Fornells przeciągle ziewnął.

- Mijały lata - ciągnął - a więź między tą trójką wcale nie słabła. Stanowiła nawet okazję do plotek, do których oni nie przywiązywali wagi. Mówiło się, że nie jesteś synem Lluísa, lecz Artura. - Na twarzy Enrique'a pojawił się wyraz absolutnego zaskoczenia. - Może plotkarze mieli rację.

- Trudno w to uwierzyć!

- A jednak! Nie warto rozgrzebywać przeszłości, szczególnie gdy głównych bohaterów nie ma już wśród nas, ale nie możemy przymykać oczu na fakty. W dzieciństwie nie przypominaleś zbyt wiele swojego ojca, Lluísa. Teraz, po latach, jako dorosły, nie widzisz w sobie pewnego podobieństwa do Artura? Ta sama broda, policzki, te same włosy, nie chodzi o fryzurę, tylko o linię owłosienia skóry głowy, i w ogóle całą powierzchowność. Tak bardzo przypominasz Artura, kiedy był w twoim wieku, że gdy pojawił się w komisariacie, w moich oczach stanął jak żywy twój przybrany ojciec, oczywiście taki jak przed laty. Jeśli masz ochotę, możemy to sprawdzić. W naszym laboratorium można bez trudu zrobić test genetyczny, ale nie wiem, czy warto, ja na twoim miejscu dałbym sobie spokój. W pewnym sensie nieważne, kto był twoim ojcem, w końcu obaj cię kochali i wychowywali.

- Dlatego mnie adoptował.

- Nie było innej opcji. Co prawda nie był twoim biologicznym ojcem, choć tego nie wiemy na pewno, to jednak więź łącząca go z Lluísem i Nurią była naprawdę bardzo silna. Oczywiście, obie rodziny sprzeciwiały się adopcji, ale w tej kwestii zapis w testamencie Lluísa był jasny i kategoryczny.

Rozpętała się prawdziwa batalia prawnicza, nic jednak nie mogło obalić woli twojego prawdziwego ojca. Artur walczył o ciebie jak lew i w końcu wygrał. Dlatego nigdy oprócz Artura nie miałaś innej rodziny. Reszta się nie liczyła.

- Przypominam sobie mgliście moich krewnych: dziadka, kuzynów... Ale odkąd zamieszkałem u Artura, nigdy więcej o nich nie słyszałem.

- Nie chciał, żebyś stał się do nich podobny. Dlatego odsunął cię od ich wpływów. Wychowywał cię jak zwykłego chłopca, cieszącego się jedynym przywilejem: życiem w Vallvidrerze. Mieszkanie w tym orlim gnieździe to prawdziwy dar losu, którego się nie docenia, póki się nie dorośnie i nie nauczy napawać pięknem i prostotą panoramy rozciągającej się przed oczami. Z wyjątkiem Vallvidrery w pozostałych aspektach życia byłeś normalnym chłopcem, jakich mnóstwo biega po ulicach tego miasta, bez żadnych przywilejów wynikających z lepszego urodzenia. Byłeś przy odczytaniu testamentu, prawda? - Enrique skinął głową. - Nie zaskoczył cię ogromny majątek, który zapisał ci Artur?

- Szczerze mówiąc, bardzo - przyznał Enrique.

- Sklep dobrze prosperował, ale nie mógł przynosić aż tak ogromnych zysków. Sądzę, że jesteś tego świadom.

- Insynuujesz, że za majątkiem Artura kryją się jakieś brudne interesy? - przerwał mu oburzony Enrique.

- Nic nie insynuuję, po prostu przedstawiam fakty. Pamiętaj, że jestem policjantem. Od przemierzania ulic w poszukiwaniu przestępców i przeglądania teczek ze sprawami karnymi porobiły mi się nagniotki na stopach i odciski na dłoniach. Mam kopię testamentu i całą dokumentację finansową dostarczoną z banków. Artur nie mógłby zachować takiego majątku, gdyby na jego koncie wykryto jakieś nieprawidłowości. Zawsze był sprytny i inteligentny i mógł sobie zapewnić odpowiednie papiery. Pochodzenie majątku jest okryte mgłą tajemnicy, nawet ci z Wydziału Przestępstw Gospodarczych nie potrafią jej rozwiązać. Podobno istniało aż pięć spółek związanych z Arturem, przeznaczonych do prania brudnych pieniędzy, ale nie ma na to dowodu. Ani jednego. Tylko olbrzymi majątek... nieznanego pochodzenia.

- Wiedziałeś o tym?

- Od dawna. Nawet kiedyś mu radziłem, żeby to rzucił. Niestety, na swoje nieszczęście nie skorzystał z mojej rady.

- Nie potrafisz sobie wyobrazić, że Artur mógł być zamieszany w nieuczciwe interesy.

- Jak na pisarza masz ubogą wyobraźnię.

- Już po raz drugi w tym tygodniu to słyszę.

- W tym wypadku to zrozumiałe. Naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałeś? Niczego nie podejrzewałeś?

- Nie. I trudno mi uwierzyć, że Artur był zwykłym przestępcą.

- A zatem niczego nie podejrzewałeś. No cóż, to możliwe - przyznał Fornells. - Tak czy owak teraz to już nieistotne. Tylko nie wyobrażaj sobie nic strasznego. Znaczenie słowa „przestępca” jest dość szerokie. Może mieć tysiące odcieni i niuansów. Czy możemy zrównać seryjnego mordercę z przeciętnym oszustem podatkowym? Obaj złamali podstawowe prawa współżycia w społeczeństwie, obaj są przestępcami. Artur działał na czarnym rynku dzieł sztuki. Może komuś wydawać się to naganne i odrażające, ale dla mnie, otoczonego przez czterdzieści bez mała lat prostytutkami, sutenerami, handlarzami narkotyków i ćpunami, złodziejami, tkwiącego po uszy w tym gównie, odpadach normalnego społeczeństwa, o czym wolimy nie myśleć, nie ma to właściwie większego znaczenia. Oczywiście, nikogo nie skrzywdził. A to, możesz mi wierzyć albo nie, jest kwestią zasadniczą.

- Nie wiem, czy mówisz tak, by mnie pocieszyć, czy naprawdę w to wierzysz. Ale wątpię, czy możesz sobie wyobrazić, jak trudno mi się z tym pogodzić. Niezależnie od definicji słowa „przestępca”, był zamieszany w nielegalną działalność. Handel dziełami sztuki! Nie do wiary!

- Tak myślisz? Mogłbym przysiąc, że co najmniej kilku barcelońskich antykwariuszy cieszących się renomą i poważaniem prowadzi, prowadziło lub będzie prowadzić podobne interesy, czy to regularnie, czy okazjonalnie. Kiedy praca staje się pasją, ludzie się zmieniają i znajdują wytłumaczenie dla spraw, których nie da się usprawiedliwić. Mam niezbita dowody na poparcie swoich słów. W pewnym magazynie zarejestrowanym na podstawioną osobę, choć w rzeczywistości należał do Artura, znaleźliśmy bardzo dobrze zachowane retabulum w stylu romańskim, spakowane w częściach. Teraz próbujemy odkryć pochodzenie tego arcydzieła, które stało się powodem śmierci twojego ojca.

- Jak to?

- Na razie nie mogę zdradzić szczegółów, ponieważ śledztwo jest jeszcze w toku, ale spróbuję przedstawić schemat działania całej siatki. Otóż przede wszystkim musisz wiedzieć, że większość rabunków dzieł sztuki odbywa się na zlecenie, najczęściej na zamówienie konkretnego kolekcjonera. Artur pracował wyłącznie na wyraźne życzenie stałych klientów, których danych, oczywiście, nie znamy. Gdy kontrahent okazywał zainteresowanie jakimś dziełem sztuki, nawiązywał kontakt z Arturem. Ten jechał tam, gdzie znajdował się namierzony przedmiot, dokonywał wstępnej wyceny, szukał fachowca, z którym ustalał szczegóły finansowe operacji, przedstawiane następnie klientowi. Jeśli się na nie godził, wręczał Arturowi dziesięć procent ustalonej kwoty tytułem zaliczki i wtedy dopiero przystępowano do działania. Od momentu przekazania zaliczki odpowiedzialność spadała na fachowca, który załatwiał całą logistykę związaną z kradzieżą i przemytem dzieł sztuki, często o dużych rozmiarach. Po zakończeniu operacji do obowiązków Artura należało odebranie reszty sumy i przekazanie trefnego przedmiotu pod wskazany adres. Pod żadnym pozorem fachowiec i kontrahent nie mogli się spotkać. Pośrednikiem w kontaktach i łącznikiem zapewniającym powodzenie całej akcji był Artur. O tak, mój drogi, to był dobrze zorganizowany interes.

Tym fachowcem był nie kto inny jak Phillipe Brésard, jeden z najlepszych międzynarodowych paserów dzieł sztuki. Historia Brésarda, znanego pod ksywka Francuz, zaczyna się w połowie lat sześćdziesiątych. Początki były skromne, ale szybko stał się sławny w tym specyficznym kręgu. Powiedzmy, że pierwszy okres jego działalności to postęp liniowy, choć już o tendencji wzrostowej. Zatrzymany w 1971 roku we Włoszech, jego ulubionym terenie działania, wywinął się z tego tanim kosztem, otrzymał minimalną karę, i to w zawieszeniu. Od tamtej pory był nieuchwytny. Pamiętasz może słynne kradzieże z Mauzoleum w Weronie czy obrazów z Gallerii Uffizzi? Wiadomo było, że to on, jego sposób działania był wystarczająco charakterystyczny, toteż choć brakowało bezpośrednich dowodów, Interpol wydał za nim list gończy, ale po Francuzie ślad zginął. Nadal dochodziło do rabunków dzieł sztuki w różnych krajach, nigdzie jednak nie znaleziono żadnych tropów. Facet po prostu rozpułnął się w powietrzu. Francuz ma spory temperament, a przy tym jest bardzo bystry. W pracy staje się prawdziwym robotem, działa szybko i sprawnie. Ta jego niezwykła umiejętność sprawia, że przez trzydzieści lat nieprzerwanej działalności schwymano go tylko raz na gorącym uczynku, i to na początku kariery. W połowie lat osiemdziesiątych został zatrzymany w okolicznościach niezwiązanych z jego „pracą”. Trafiał do aresztu na Costa del Sol po straszliwej burdzie, jaką wywołał w knajpie. Podobno za dużo wypił i strasznie narozrabiał. Noc spędził w celi i rano, po zapłaceniu wysokiej grzywny, znalazł się na wolności. Po trzech dniach, dzięki fotografiom i odciskom linii papilarnych, stwierdzono, że pijak rozrabiająca to poszukiwany międzynarodowym listem gończym złodziej i paser dzieł sztuki, działający pod fałszywym nazwiskiem. Nie potępiam miejscowego komisarza, w sezonie mają tam mnóstwo roboty. Nie przypuszczał, że awanturujący się turysta, mówiący z obcym akcentem, jest przestępcą poszukiwanym w połowie Europy. W tamtych czasach cudzoziemiec nie był postrzegany jako potencjalny terrorysta czy nielegalny emigrant. Turysty stanowili podstawowe źródło dochodów.

Dzięki temu wydarzeniu policja dowiedziała się, że Brésard przebywa w Hiszpanii pod fałszywym nazwiskiem, ale nawet wtedy nie zdołaliśmy go schwytać. Wszystkie ślady wiodły w ślepią uliczkę. Musieliśmy przyznać: Francuz był dla nas za sprytny.

- Dlaczego zamordował Artura? Dlaczego zabił go w tak bestialski sposób?

- Tego nie wiemy. Nie okłamałem cię, mówiąc, że śledztwo w tej sprawie utknęło w martwym punkcie. Nie ruszyliśmy z miejsca, dopóki anonimowy informator nie naprowadził nas na trop. Zazwyczaj kończy się to totalną kłapą, ale gdy nie mamy żadnego innego śladu, to chwytny się wszystkiego jak tonący brzytwy. A ten trop wydał nam się szczególnie nęcący i był dość precyzyjny: ktoś zadzwonił bezpośrednio do mnie na komisariat i oświadczył, że mordercą Artura jest Francuz. I wcale nie użył jego pseudonimu, tylko podał prawdziwe imię i nazwisko. Anonimowy informator powiedział nam także, gdzie go można znaleźć.

Donosiciel dzwonił z budki telefonicznej z El Prat. Wiadomość wydawała się wiarygodna, bo tyle danych o Francuzie mógł mieć tylko ktoś z jego najbliższego otoczenia.

Po sprawdzeniu prawdziwości tego doniesienia pojechaliśmy po Francuza. Nie wiedzieliśmy, czy to on jest mordercą Artura, ale musieliśmy go złapać, żeby potwierdzić lub wykluczyć tę ewentualność. Mieszkał w pięknym, świeżo wyremontowanym domku letniskowym, w pobliżu luksusowego osiedla wypoczynkowego w Sitges. Próbował uciekać, ale stwierdziwszy, że jest otoczony, poddał się, nie stawiając oporu. To potężny i silny facet, robi imponujące wrażenie, i pomimo wieku mógłby z powodzeniem się bronić. Nawet nie dyskutował. Nie odezwał się słowem, póki nie znalazł się w komisariacie. Tam zażądał, abyśmy zadzwonili po jego adwokata. Co robić! Musieliśmy go posłuchać. Teraz są takie czasy, że jeśli nie spełnisz żądań zatrzymanego wynikających z jego praw, masz takie

sankcje, że głowa mała. Tak czy siak jeszcze przed przesłuchaniem, zanim dotarł ten przeklęty obrońca, Francuz „omsknął się” nam na schodach. Ale i tak nic z niego nie wycisnęliśmy. To prawdziwy twardziel, z tych, co idą w zaparte, a przy tym świetnie zna swoje prawa i wie, co wolno policji. Do tej pory większość zatrzymanych wymiękłaby, a przynajmniej trochę skruszała. Doczekaliśmy się czasów, że liczą się tylko prawa zatrzymanego. Nie twierdzę, że to złe, ale w niektórych przypadkach wolelibyśmy mieć trochę więcej swobody przy przesłuchaniach. A tymczasem on jest zupełnie spokojny, rozluźniony, myślami nieobecny, jakby umysł opuścił jego ciało. Doskonale wie, o co nam chodzi, i nie puści pary z gęby, póki nie przyjedzie ktoś z Madrytu z brygady do walki z przemytem dzieł sztuki.

A dowody zabezpieczone w jego domu mówią same za siebie. To, co prawda, zaledwie fragmenty całości, którą gdzieś ukrył - mam nadzieję, że w końcu znajdziemy wszystko - ale to wystarczy, aby udowodnić jego powiązania z Arturem.

Próbujemy też odkryć, co łączy Francuza ze światkiem antykwariuszy. Na razie wszyscy zgodnie twierdzą, że go nie znają. Przypuszczam, że w rzeczywistości znają go bardzo dobrze, ale wolą się do tego nie przyznawać. Mamy nadzieję, że wkrótce odzyskają pamięć.

I to właściwie wszystko. Mamy znanego międzynarodowego złodzieja dzieł sztuki za kratkami, podejrzanego o zamordowanie Artura, ale bez dowodów, które by go bezpośrednio obciążały, z wyjątkiem anonimowego doniesienia.

Enrique głęboko westchnął i rozczochrał sobie włosy.

- Nie mogę uwierzyć, że Artur był przestępcą.

- Czy ja dobrze słyszę? Twierdzisz, że uważasz swojego ojca za przestępcę? Nic bardziej mylnego! Zgadzam się, że naruszał prawo, ale któż tego nie robi? Tej przestępczej siatki, której istnienie tak bardzo cię zaskoczyło, nie da się porównać z innymi tajnymi organizacjami, znacznie bardziej skomplikowanymi, stworzonymi do innych celów. Korupcja w sferach rządowych, handel narkotykami, zmuszanie do prostytucji i temu podobne to są prawdziwe przestępstwa. Znam się na tym lepiej od ciebie. Zbyt pochopnie go osądzasz. Uczynki Artura, przyznaję: niezbyt chwalebne, nikomu nie wyrządziły krzywdy... Z wyjątkiem jego samego.

- Może tak rzeczywiście jest, w końcu masz większe doświadczenie ode mnie. On był... Był dla mnie... Nigdy nie przypuszczałem... A ty, wiedząc, czym się zajmuje, nie mogłeś go powstrzymać?

- Tysiące razy mu powtarzałem, żeby to rzucił. Co jeszcze mogłem zrobić? Aresztować go? Przecież był moim przyjacielem!

Fornells wypowiedział te słowa tak spontanicznie i szczerze, że zabrzmiały jak skarga. W jego głosie było tyle żalu, że to zupełnie rozbroiło Enrique'a.

- Masz rację. Był absolutnie zdolny do podejmowania samodzielnych decyzji. Międlenie o tym w kółko nic nie pomoże.

- No właśnie - przyznał Fornells. - Potrzebuję czasu, najwyżej paru dni, żeby przeprowadzić śledztwo i znaleźć dowody.

Sensacyjne wiadomości ujawnione podczas długiej opowieści Fornellsa, przerywanej jedynie krótkimi wtrętami Enrique'a, ciążyły im obu. Pochłonięci wspomnieniami, pograżyli się w milczeniu. Fornells ujawnił nieznaną obszar życia Artura, wiedząc, że może tym sprawić ból jego synowi. Enrique ciągle jeszcze nie potrafił w to uwierzyć, na próżno próbował się z tym pogodzić. Sensacyjne wyznania komisarza o niegodnym postępowaniu ojca odebrał niemal jak osobisty afront. Obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie pustymi oczami, bez wyrazu. Skupieni na własnych wewnętrznych przeżyciach, nie mieli ochoty rozmawiać. Fornells wyciągnął ostatniego papierosa z wymiętej paczki. Enrique przypomniał sobie, że na początku rozmowy była prawie pełna. Podczas spotkania komisarz palił bez przerwy.

- Muszę już iść - oświadczył. - Jestem wykończony. Nie śpię od trzech dni, a w moim wieku ciało domaga się wypoczynku. Emerytura tuż-tuż... Będziemy w kontakcie.

- Fornells. - Komisarz, który już odszedł od stołu, odwrócił się do Enrique'a. - Dziękuję.

- Nie ma za co - powiedział i zniknął w tłumie.

10.

Podczas rozmowy telefonicznej z Bety Enrique był oszczędny w słowach, mimo to przekazał jej dość informacji, aby mogła podjąć odkładaną od ponad dwudziestu godzin decyzję. Skoro rękopis nie stanowił już śmiertelnego zagrożenia dla jego posiadacza, ani też dla tych, którzy znali jego sekrety, postanowiła zwrócić się o pomoc do osób kompetentnych. Gdy zaczęła tłumaczenie i odkryła popełnione przez Enrique'a błędy, nie wątpiła, że jej umiejętności pozwolą odnaleźć klucz ukryty w tekście średniowiecznego mistrza, teraz jednak, ukończywszy najtrudniejszą pracę, jaką wykonywała w ciągu ostatnich lat - a podjęła się jej nie tyle z własnej woli, ile z chęci udowodnienia Enrique'owi swojej profesjonalnej biegłości - musiała przyznać się do porażki. Tekst łaciński, sam w sobie interesujący, nie przynosił rozwiązania zagadki, należało przetłumaczyć wszystkie zapiski na marginesie. Przyparta do muru, bez zgody Enrique'a, który - usprawiedliwiła się sama przed sobą - nie zgodziłby się tylko dlatego, że to był jej pomysł, postanowiła wykorzystać swoje kontakty z czasów kariery akademickiej w Barcelonie. Po dwudziestu minutach udało jej się dodzwonić do Quima Pagesa, profesora filologii klasycznej, z którym od wielu lat łączyły ją wyłącznie więzy przyjaźni, ponieważ ona nie życzyła sobie innych.

Poznała go w Madrycie, tuż przed rozwodem, podczas seminarium na temat metod badawczych w lingwistyce porównawczej. W trudnym momencie życia szybko uległa jego nieodpartemu urokowi, ukrytemu pod równie atrakcyjną powierzchownością. Ona sama sprawiała w tamtym czasie wrażenie nieśmiałej, co dodawało jej wdzięku. Bystry obserwator dostrzegał jej niepewność, bezbronność, kruchość - żywe odbicie rozterek. Przeżywała głęboki kryzys, targana wątpliwościami, przekonana, że w pewien sposób przyczyniła się do klęski życiowej dwóch osób. Ona - zawsze taka pewna siebie, niezłomna w swoich decyzjach - znalazła się w ślepej uliczce bez wyjścia. Związek z Enrikiem już od dawna tkwił w impasie. Bywało, że przez tydzień nie zamienili ze sobą słowa. Seminarium w Madrycie pozwalało z dystansu przemyśleć problem, bez konieczności bezpośredniej konfrontacji.

Quim dość szybko dostrzegł wewnętrzny konflikt rozdzierający jej duszę. Potrafił, jak większość mężczyzn, bez trudu odgadnąć, co nęka piękną kobietę, i instynktownie pospieszył na pomoc, z atencją i oddaniem, choć może miał w tym również inne, ukryte zamiary. Nie uwodził jej bynajmniej. Miał na to zbyt wiele klasy. Był miły i sympatyczny, zawsze skory do usług, po prostu świetny kumpel. W ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin stał się przyjacielem i powiernikiem Bety. W końcu trzeciego wieczoru, który spędzali razem, zaproponował żartobliwie, że może ją pocieszyć i zastąpić jej męża. Bety już miała na to przystać, ale górę wzięło skrępowanie. Zostawiła go samego w hotelowym korytarzu, po zdawkowym pocałunku w usta. Wrażenie melancholijnego niepokoju szybko się rozwiało.

Parę miesięcy później, już po rozwodzie z Enrikiem, znowu się spotkali. Bety odzyskała dawną pewność siebie, opancerzyła się twardą powłoką oschłości, która czyniła ją niedostępną dla płci przeciwnej. Mogła być najlepszą przyjaciółką Quima i nic ponadto. To nie był najlepszy moment na amory. W głębi serca czuła się bardzo zraniona nie tak znowu odległymi wydarzeniami i nie była jeszcze gotowa zrezygnować ze swojej świeżo odzyskanej niezależności, rzucając się desperacko w nowy związek. Quim próbował się do niej zbliżyć, żeby zatrzeć słodko-kwaśne wspomnienie poprzedniego spotkania, ale napotkał nową Bety, która szczerze wyjaśniła mu całą sytuację. W rezultacie tej rozmowy, zamiast się oddalić, zostali dobrymi przyjaciółmi. Teraz postanowiła zwrócić się do niego po pomoc. Dobrych przyjaciół poznaje się w biedzie. Jeśli Quim nie poradzi sobie z tekstem, z pewnością zna kogoś, kto potrafi złamać szyfr.

Dokładnie w samo południe Bety przekroczyła dostojną bramę uniwersytecką. Widniejące nad nią godło z cytatem z Lukrecjusza: *Libertas perfundet omnia luce*⁹ jaśniało bladym światłem w nikłych promieniach zamglonego słońca, jak niejasna i mglista obietnica rozwiązania równie mglistej i niejasnej tajemnicy.

Kierując się westybulem po lewej stronie, weszła na dziedziniec gmachu wydziału filologii barcelońskiego uniwersytetu, wzniesionego w neogotyckim stylu pod koniec XIX wieku; budynek przez wiele lat był siedzibą wszystkich dyscyplin naukowych, dopóki na skutek dynamicznego rozwoju miasta jego skromne sale nie okazały się za ciasne. O tej porze szacowna uczelnia przypominała zaprzątnięte gorączkową krzątaniną mrowisko. Podczas przerwy w zajęciach studenci przemieszczali się pospiesznie z jednej auli do drugiej, tworząc nieprawdopodobny chaos różnorodnych działań, począwszy od najbardziej bezczelnych prób podrywania aż po zwykłe zaspokojenie normalnego o tej porze głodu.

⁹ Wolność rozjaśnia wszystko - pierwsze słowo tej maksymy było zakazane podczas mrocznych lat reżimu generała Franco (przyp. aut.).

Bety cierpliwie czekała na Quima. Kilku studentów wpatrywało się w nią z nieukrywaną ciekawością; pomimo doświadczenia nabytego podczas lat nauczania nigdy nie przyzwyczała się do tak zuchwałych, taksujących spojrzeń, typowych dla pewnych siebie młodych ludzi. Zwykle na początku kursu musiała się z tym przez parę dni oswajać, żeby nabrać odpowiedniego dystansu. Gdy zobaczyła Quima w bocznych drzwiach, prowadzących do korytarza łączącego wydział filologiczny z wydziałem nauk ścisłych, może poczuła nie tyle ulgę, ile odprężenie. Kilku opieszłych studentów, którzy ociągali się jeszcze z wejściem do sali, przypatrywało się z zainteresowaniem większym, niż wypada, spotkaniu poważnego wykładowcy z atrakcyjnym gościem.

Quim należał do tej uprzywilejowanej garstki wybrańców, którzy nie wyglądają na swój wiek. Chociaż zbliżał się już do pięćdziesiątki, nikt nie dałby mu więcej niż trzydzieści pięć lat. Szpakowate pasemka we włosach dodawały mu atrakcyjności. Był przy tym wysoki i barczysty, dwudniowy zarost i klasyczne rysy uzupełniały jego pociągający wygląd. Ubrany był elegancko, a przy tym zgodnie z najnowszymi trendami mody.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział, całując ją w policzek.

- Ja też - odpowiedziała Bety z uśmiechem.

Quim chwycił ją za rękę i zlustrował od stóp do głów.

- Wyglądasz wspaniale, jak zawsze zresztą.

- Uwodziciel z ciebie, jak zawsze zresztą.

Quim roześmiał się.

- O co chodzi, kochana? Raz ci zaproponowałem coś, co wykraczało poza zwykły koleżeński układ, i nie zrobiłem tego przez grzeczność. To szczerą prawdą.

- Już dobrze - łagodziała Bety. - Nie gniewaj się, stary podrywaczu, wiesz, że nie trafię na twoją listę.

- Chodźmy do mojego gabinetu. Tam porozmawiamy spokojnie.

Krętymi korytarzykami uniwersyteckimi przeszli do pokoi wykładowców wydziału filologicznego. Quim witał się z kolegami i jednocześnie otwierał drzwi do gabinetu - funkcjonalnego, a przy tym przytulnego - w żaden sposób nieprzypominającego ogromnych, wysokich sal, jakich można by się spodziewać w starym gmachu. Kiedy usadowili się wygodnie, profesor odezwał się pierwszy:

- Twój poranny telefon totalnie mnie zaskoczył. Co robisz w Barcelonie?

- To nie jest wizyta dla przyjemności. Zmarł ojciec mojego byłego męża, Enrique'a.

- Nie wiedziałem. Bardzo mi przykro. Podczas rozmowy wspomniałaś, że potrzebna ci moja pomoc.

- Rzeczywiście. - Przez chwilę milczała, zastanawiając się, od czego zacząć. - Muszę przetłumaczyć tekst, a raczej notatki sporządzone w starokatałońskim, prawdopodobnie w XVI i XVII wieku. Pełno tam skrótów, zbitek słów i prawdę mówiąc, sama chyba nie dam rady. Niezbędna jest wielka staranność i dokładność, więc pomyślałam, że pewnie znasz kogoś godnego zaufania, kto pomógłby mi uporać się z tekstem.

Quim w milczeniu kiwał głową i stukał palcami o blat stołu.

- No cóż, zobaczymy - rzekł z uśmiechem, dalej wystukując rytm. - Chyba mam kogoś odpowiedniego. To dość oryginalna postać, Manolo Álvarez, najgenialniejszy i najbardziej zapalony filolog, jakiego znam. Zapewniam cię, że jeśli on tego nie rozgryzie, kto inny połamie sobie na tym zęby.

- Naprawdę jest taki dobry?

- Najlepszy. - Quim stukał w klawiaturę przez kilka sekund, aż natrafił na poszukiwane dane. - Tu mam jego zawodowe dossier. Posłuchaj tylko: Manuel Álvarez Pinzón, urodzony w Mendzie 29 lutego 1955 roku. Magisterium z romanistyki w maju 1985 roku, filologii klasycznej w lutym 1986, rok później doktorat z obu tych nauk. W latach 1993-1995 studia podyplomowe na wydziale bibliotekoznawstwa i informacji naukowej, zakończone z najlepszym wynikiem, tak jak na pozostałych wydziałach. Ukończył kursy językowe na poziomie profiencji z włoskiego, francuskiego, angielskiego, niemieckiego, portugalskiego, języków słowiańskich, hebrajskiego i współczesnej greki. Zna także rosyjski, niektóre języki z grupy semickiej, chiński, japoński i, wcale cię nie nabieram, dialekty afrykańskie, których nazw nie potrafię nawet wymówić. Ten facet jest niesamowity. Ilekroć zaglądam w jego dane, nie przestaję się dziwić.

- Przy takim curriculum nie wątpię w jego umiejętności, ale jak to możliwe, że nigdy o nim nie słyszałam? Tak niebywale utalentowany człowiek to geniusz!

- Gdyby ONZ rozpisało konkurs na tłumacza z różnych języków, reszta fachowców znalazłaby się na bruku. Bez dwóch zdań on dostałby tę posadę.

- Świetnie. Gdzie go mogę znaleźć?
- Poczekaj, chwileczkę... nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana - studził jej zapał. - On jest najlepszy, ale...
- O co chodzi? - przerwała mu Bety. - Nie ma go w Barcelonie?
- Na szczęście jest. Tylko że... nie bardzo wiem, jak ci to wyjaśnić. Pracuje tu, w naszej bibliotece. Ma rządowe stypendium naukowe, ufundowane przez Generalitat. Czasami wyjeżdża do innych miast: Bolonii, Rzymu, Florencji, Narbony, Paryża... w poszukiwaniu informacji. Teraz przypadkowo możesz go złapać w Barcelonie. Ale, widzisz, Manolo... jest trochę dziwny. To znaczy nie odmówi ci, ale równie dobrze może się nie zgodzić.
- Mów dokładnie, o co chodzi z tym Manolem?
- Chciałem cię tylko uprzedzić, że jest nieco ekscentryczny. Dla niego ważny jest tylko jego własny świat. Reszta guzik go obchodzi. Pracuje u nas na wydziale, bo pasjonuje go przedmiot badań stypendialnych, ale nie jest to pasja, jaką mają zwykli ludzie. W jego przypadku to coś zupełnie innego. Gdy coś go naprawdę pociąga, a tylko takimi rzeczami się zajmuje, reszta przestaje się liczyć. Śpi i je, bo to jest konieczne do życia. Gdyby mógł się obyć bez tych czynności, zrezygnowałby także i z tego.
- Prawdę mówiąc, jestem zdezorientowana. Znałam wielu dociekliwych naukowców oddanych bez reszty badaniom, ty jednak przedstawiasz go jako prawdziwego dziwaka, a nawet w pewnym sensie... oszołoma. Jak się z nim dogadujecie?
- Z pracownikami uniwersytetu musi jakoś żyć, utrzymuje z nimi kontakty, powiedzmy, może nie chłodne, ale powierzchowne. Jeśli zwracamy się o pomoc, nigdy nie odmawia, bo jest świadom, że nie mógłby pracować na uniwersytecie, nie utrzymując co najmniej poprawnych stosunków z profesorami. I, co najważniejsze, wcale nie zachowuje się tak, bo czuje się lepszy od reszty, a to akurat jest prawda, albo dlatego, że nami gardzi. Nic z tych rzeczy, nie jest zły ani pyszny. Po prostu nie interesują go sprawy obce jego światu. To wszystko.
- Bety prychnęła niecierpliwie i wykrzyknęła zdumiona:
- Oryginał!
- No właśnie, niesamowity gość. Najlepszy w swoim fachu. Nie martw się. Jeśli sprawa go zainteresuje, pomoże ci. W przeciwnym wypadku odda tłumaczenie jutro, za trzy miesiące, za rok... albo nigdy.
- Nie dodajesz mi otuchy. Chyba wolałabym, żeby zrobił to ktoś inny.
- Spokojnie! Posłuchaj, uważam, że on jest naprawdę najlepszy - upierał się Quim. - Jeśli nawali, znajdziemy kogoś innego. Akurat tu, na uniwersytecie, fachowców od starokatalońskiego nie brakuje. Najpierw jednak zwrócimy się do niego. Dam ci radę: postaraj się okazać powściągliwość w kwestii twojego tłumaczenia tekstu źródłowego. Zachowaj rezerwę i pozór tajemniczości.
- Bety stwierdziła, że łatwo jej to przyjdzie. Wiernie przepisała notatki z marginesów i chociaż miała książkę przy sobie, wolała jej nie udostępniać. Co prawda po schwytaniu zabójcy Artura cała sprawa utraciła swoją dramaturgię, zagadkę rękopisu trzeba było jednak rozwiązać. Im mniej osób wiedziało o jego istnieniu, tym lepiej.
- Dobrze, idziemy - zdecydowała się.
- Chodźmy - rzekł Quim.
- Ruszyli opustoszałymi korytarzami w stronę starej biblioteki uniwersyteckiej.
- Mówiłeś, że nad czym pracuje?
- Przeprowadza badania nad wpływem handlowego języka katalońskiego na grupę języków śródziemnomorskich w okresie od XI do XVII wieku, przy uwzględnieniu katalońskiego prawa handlowego i powstawaniu nowych szlaków handlowych po epoce wielkich krucjat.
- Pasjonujące - skomentowała sarkastycznie Bety.
- To jego świat. To już dziewiąte stypendium, jakie otrzymał. Wygrał konkurs. Miał nad rywalami tę przewagę, że sformułował wnioski potwierdzające opinię szacownych członków komisji przydzielającej stypendia. Jeśli jesteś najlepszy, a na dodatek dochodzisz do takich samych wniosków jak twoi szefowie, konkurencja przestaje się liczyć. Doszliśmy i my... Nigdy wcześniej tu nie byłeś, prawda?
- Nigdy.
- Spodoba ci się to miejsce.

Przez obrotowe drzwi dostali się do biblioteki - wielkiej sali długiej na czterdzieści metrów i szerokiej na dwadzieścia, wysokiej mniej więcej na trzy piętra, czyli dziewięć metrów. Na samym dole przy pulpitych do czytania pracowali głównie studenci, z obu krańców sali pilnowani przez surowe bibliotekarki. Z galerii - dostępnej tylko za specjalnym pozwoleniem - można było obserwować cały parter. Najwyższy, trzeci poziom zajmowały regały ze starodrukami; do górnych półek można się było dostać po stromej drabince. Punktowo rozmieszczone lampy jarzeniowe rzucały mocny snop światła prosto na pulpity, pozostawiając półki z książkami w półmroku, co nadawało sali bibliotecznej posępny wygląd, zniechęcający mniej pilnych studentów do lektury. Słabo oświetlone wnętrze skojarzyło się Bety z kościołem w stylu romańskim. W tej świątyni skupienia - tak odległej od nowoczesnej koncepcji biblioteki - naukowcy i studenci, izolowani od otoczenia własnym kręgiem światła, chronili się przed rzeczywistością w świecie słowa drukowanego, z dala od studenckiej braci.

Stromymi i wąskimi schodkami wspięli się na galerię, gdzie w głębi, przy starym stole zarzuconym książkami, siedział zgarbiony i ledwie widoczny mężczyzna, z kretesem pochłonięty jakimś pasjonującym tematem.

- To on - szepnął Quim. - I jak ci się podoba?

- Typowy mól książkowy. Wygląda na to, że czuje się tu jak ryba w wodzie.

- Jeśli go stąd wyciągniesz, będzie jak śnięta ryba. Trudno go sobie wyobrazić na wydziałowych imprezach.

Podeszli bliżej i zza stosu książek dojrzeliby dość specyficznego osobnika. Skołtunione włosy, od długiego czasu niemające kontaktu z grzebieniem, opadały na twarz szalonego naukowca jak z filmów science fiction z lat czterdziestych. W przeciętnym obliczu wyróżniały się tylko rozgorączkowane, świecące niezwykłym blaskiem oczy. Poza tym nie było w nim nic szczególnego: delikatny podbródek, wąski orli nos, wydatny przy zapadniętych z niedożywienia policzkach. Manolo nie zauważył ich obecności, dopóki Quim się nie odezwał.

- Dzień dobry, Manolo.

Mężczyzna zmrużył oczy w wysiłku dostrzeżenia czegokolwiek poza snopem światła padającym bezpośrednio na stół. Odpowiedział, wiedziony raczej tembrem głosu niż widokiem rozmówcy - pomyślała Bety.

- Quim... - Zabrzmiało to jak pytanie, a nie stwierdzenie faktu.

- Chciałbym ci kogoś przedstawić.

- Oczywiście. - Nawet nie raczył wstać z krzesła.

- To jest pani Beatrice Dale, profesor filologii klasycznej z uniwersytetu baskijskiego. Bety, a to Manuel Álvarez Pinzón.

- Cieszę się. - Manolo nie dostrzegł subtelnej ironii w głosie Quima, albo, jak sądziła Bety, nie potrafił jej docenić.

Zapadła cisza. Manolo wyraźnie oczekiwał, że zaraz zostawią go w spokoju i wróci do swoich szpargałów, nie był jednak pewny, czy może już uznać rozmowę za zakończoną.

- Manolo, Bety potrzebuje pomocy fachowca takiego jak ty - oznajmił Quim.

- W porządku. - Głos nie zdradzał rozdrażnienia, raczej obojętność. - Mów, o co chodzi.

Wreszcie wstał i gdyby nie wrodzony takt Bety oraz znaczenie, jakie przywiązywała do poprawnego przetłumaczenia zapisków, z pewnością wybuchnęłyby śmiechem. Manolo miał na sobie strój chyba z lat osiemdziesiątych, do tego wygnieciony i nieumiejętnie dobrany. Wyjęła z torby odręcznie spisane z marginesu manuskryptu notatki - zajmowały ponad piętnaście starannie ponumerowanych stron - i z powagą wręczyła je Manolowi. Wziął kartki bez słowa, odsunął z brzegu stołu jakieś książki, przysiadł na blacie i zaczął przeglądać zapiski. Po kilku minutach stwierdził:

- Interesujące. Kataloński, i to wcale nie potoczny, mniej więcej z połowy XVI wieku. Liczne skróty. Tekst w zasadzie prosty, ale pozbawiony sensu, nie ma żadnej wskazówki, na której można by oprzeć relację przyczyna - skutek. - Wydał długie i przeciągłe westchnienie. - Mówiąc „prosty”, miałem na myśli łatwy do przetłumaczenia. Czy ma sens, to już zupełnie inna sprawa. Czy mógłbym zerknąć na rękopis, z którego został przepisany?

Bety zawahała się. Widocznie Manolo, nie znając źródła, nie chciał się angażować.

- To są notatki znajdujące się na marginesie rękopisu pochodzącego z początków XV wieku. Przypadkiem wpadł mi w ręce i teraz usiłuję rozgryźć jego treść.

- Masz go przy sobie? - wypytywał Manolo.

- Tak... - wyszeptała, rozdarta między chęcią poznania prawdy a wolą zachowania sekretu.

- Pokaż - zażądał kategorycznie.

Wyjęła manuskrypt z torby i ostrożnie podała go lingwiście, który wziął go z o wiele większym entuzjazmem, niż wykazywał do tej pory.

- Patrzcie, patrzcie, co my tu mamy - cedził słowa.

Położył rękopis na stole, w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą siedział. Rzucił niedbale książki na stos, tak że powstała wysoka, niebezpiecznie chwiejąca się kolumna. Z ciekawością przejrzał kilka kolejnych stron, mając z jednej strony Bety, z drugiej Quima.

- Skąd to masz? - spytał.

- Dostałam... w prezencie - wymyśliła na poczekaniu.

- Nie chodzi mi o to, jak rękopis trafił w twoje ręce - odrzekł niecierpliwie. - Chciałbym wiedzieć, gdzie leżał, skąd go wzięłaś.

- Był w bibliotece w starym dworze.

- Ciekawe miejsce jak na bibliofilskiego białego kruka - wtrącił Quim.

- Rzeczywiście - rzucił krótko Manolo, nie spuszczać wzroku z Bety. - Pomogę ci - zdecydował nagle.

- Jak sądzisz, kiedy możemy zacząć...?

- Natychmiast. Teraz, to oczywiste.

- Skoro doszłście do porozumienia, zostawiam was samych - stwierdził Quim. - Mam mnóstwo zaległej pracy. Bety, masz u mnie dług. Pamiętaj! Sądzisz, że kolacja będzie odpowiednią i wystarczającą rekompensatą?

- Na pewno, zadzwonię do ciebie przed powrotem do San Sebastián.

- Obiecujesz?

- Tak - przyrzekła z uśmiechem.

- W porządku. Wiesz, gdzie mnie złapać. To na razie i dziękuję za pomoc udzieloną naszej koleżance.

W odpowiedzi Manolo wydał z siebie dźwięk przypominający chrząknięcie. Gdy Quim powoli zniknął w korytarzu, mężczyzna zaskoczył Bety niespodziewanym pytaniem, aczkolwiek zadany w najbardziej naturalny sposób.

- A teraz wyjaśnij mi, jak manuskrypt mistrza Casadevalla trafił w twoje ręce.

Bety zastygła z otwartymi ustami. Nigdy w życiu nikt jej tak nie zaskoczył. W każdym razie w przeszłości nic takiego jej się nie zdarzyło, i musiała przyznać, że pewnie nieprędko poczuje się tak oszołomiona jak w tej chwili. Manuel Álvarez Pinzón wiedział o istnieniu manuskryptu Casadevalla! I niecierpliwie czekał na odpowiedź, której nie potrafiła z siebie wydusić.

- Wybacz! Nie zamierzałem wywołać takiej reakcji.

Wydawało się, że w ten sposób chce ułatwić rozmowę. Domyśliła się, że w jego słowach nie kryło się nic złośliwego. Widać Manolo zawsze stawiał sprawy jasno, tak jak je sam odczuwał.

- Skąd wiedziałeś, że w ogóle istnieje?

Manolo zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Qui pro quo. W porządku, ja to określam po prostu wymianą informacji. Spróbujmy zawrzeć układ: ty mi powiesz, skąd go masz i czego się dowiedziałaś z jego treści, a potem ja ci powiem, co wiem na temat rękopisu.

Rozważywszy wszystkie za i przeciw, stwierdziła, że nie ma nic do stracenia, a wiele do zyskania. Rozmawiali o wymianie informacji, a nie o przekazaniu manuskryptu w celach badawczych. Rozważając tę sprawę z takiego punktu widzenia, mogła być spokojna, miała wybór, mogła powiedzieć Manolowi to, co go naprawdę interesowało. Gdyby chciał przestudiować manuskrypt na osobności, mogła się wymigać i przełożyć wręczenie rękopisu aż do odpowiedniej chwili; wystarczyło wyjaśnić, że nie należy do niej, tylko do Enrique'a.

- Dobrze, zgadzam się pod warunkiem, że najpierw przetłumaczysz zapiski z marginesu.

Manolo pokiwał głową i zabrał się do pracy. Bety zajęła jedno z wolnych krzeseł. Czekala z niecierpliwością; zrozumiałwszy to, usilnie starała się ukryć swoje zainteresowanie.

- Powiedz mi tylko, gdzie konkretnie został odnaleziony. Wspomniałaś o jakimś folwarku czy dworze.

- Tak, w pobliżu Ripollu, w majątku rodzowym Berguesów.

- Doprawdy fascynujące. No dobra, ale zanim zaczniemy, powiedz, co wiesz na temat inkwizycji - wypytywał.

- No cóż, zaledwie kilka ogólników, nie jestem specjalistką w tej dziedzinie. Wiem, że już w średniowieczu funkcjonowała bardzo źle zorganizowana inkwizycja. Pod koniec XV wieku, na prośbę Królów Katolickich, Ferdynanda i Izabeli, papież Sykstus IV wydał formalną zgodę na nominowanie inkwizytorów. O późniejszym okresie także mam mgliste pojęcie, same stereotypy - przyznała Bety - stosy, tortury, auto-da-fé¹⁰, sądy świeckie, worki pokutne sambenitos, opowiadania Poego... tego typu rzeczy.

- Wiedziałem niewiele więcej od ciebie, gdy szukałem ciekawego tematu do doktoratu. Jeden z moich ulubionych profesorów podpowiedział mi, żebym się zajął badaniem dokumentów inkwizycji. To był dobry pomysł. Zebrałem potrzebne informacje i w ciągu tygodnia miałem wystarczająco dużo materiałów, aby zrozumieć, że trafiłem na naprawdę pasjonujący temat. Wybraliśmy tytuł mojej pracy doktorskiej: Rozwój łaciny kościelnej od XV do XIX wieku a wewnętrzne wzory prawne.

Dzięki listom polecającym od profesorów, którzy doskonale znali moje możliwości, otrzymałem zgodę na zbadanie archiwów inkwizycji toledońskiej, obecnie przeniesionych do Madrytu. Po spaleniu dokumentów w 1834 roku, a zatem po formalnym zniesieniu inkwizycji, są to najpełniejsze i najbogatsze zbiory w Hiszpanii. Uzyskanie zgody było prawdziwym przywilejem, ponieważ dostają ją tylko wybitni naukowcy. Postawiono mi jednak warunek: uzyskam swobodny dostęp do wszystkich dokumentów, ale nie będę mógł w otwarty sposób wspominać ani cytować w mojej pracy niczego związanego z ich treścią, ograniczę się wyłącznie do zagadnień leksykalnych - de facto przedmiotu moich badań.

Manolo wyraźnie ożywił się, wspominając swoją pierwszą pracę naukową. Mówił swobodnie, słowa, poprzednio odmierzane oszczędnie, teraz wyływały z jego ust niepowstrzymanym potokiem.

- Z początku była to praca, rzekłbym, zwykła, dla laika raczej męcząca i żmudna, a nawet nieciekawa. Dla sformułowania wniosków rzeczowych musiałem przeprowadzić wnikliwe badania wielu tajnych dokumentów. Potem, przez czysty przypadek, jakby wbrew mojej woli, zafrapowała mnie działalność inkwizytorów - tak haniebna, a przy tym fascynująca. Zamierzałem skupić się na analizie porównawczej języka używanego w poleceniach i raportach Rady Najwyższej i Powszechnej, zwanej Supremą, ale... Pewnego dnia przeczytałem stary, zakurzony raport... Szczerze mówiąc, wcale nie był mi potrzebny do pracy, zrobiłem to z czystej ciekawości. Od tej pory nie potrafiłem się powstrzymać od czytania setek dokumentów i akt inkwizycji, oczywiście po odrobieniu pracy wyznaczonej na dany dzień, niezbędnej do napisania dysertacji. Całe noce spędzałem na wertowaniu starych foliałów. Wiele z nich miało podobną treść, ale od czasu do czasu pojawiała się coś nowego, niezwykłego, co mogło przyciągnąć uwagę każdego człowieka dysponującego choć minimum wyobraźni. Właśnie te dokumenty na zawsze wryły mi się w pamięć.

Uwierz, można tam znaleźć wszystko: rozpacz, strach, desperację, grozę, ból, niewysłowione cierpienia, okrutne tortury, niesprawiedliwe prześladowania, przemoc, surowe wyroki. Inkwizycję stworzono przede wszystkim do pilnowania czystości rasy, aby chronić królestwo katolickie przed Żydami i Maurami, nieustannie strzec czystości duchowej starych chrześcijan. Oskarżenia o odstępstwo od wiary, czasami wręcz idiotyczne, w najlepszym wypadku kończyły się wyrokiem skazującym na konfiskatę mienia, a częstokroć na śmierć na stosie. Inkwizycja była także narzędziem zarówno państwa świeckiego, jak i władz kościelnych, służącym do zacierania jednym pociągnięciem pióra śladów po grzeszkach i przewinieniach popełnianych przez przedstawicieli obu filarów władzy.

Inkwizycja rzuciła na mnie silny urok. Akta były suche i rzeczowe. Składały się z następujących rozdziałów: materiał dowodowy, szczegółowe badania genealogiczne podejrzanego, przebieg procesu i wyrok, publiczne wyrzeczenie się błędu, zachowanie sekretu, wymierzona kara oraz załączone świadectwa i dowody. Na materiał dowodowy - jeśli oczywiście był - składały się najbardziej dziwaczne zbiory komentarzy, uwag i donosów.

A zatem, jak już mówiłem, przeglądając stare dokumenty, świadectwa ogromnych ludzkich tragedii, natrafiłem na niecodzienną sprawę, zakończoną 29 lutego 1612 roku. Zaraz ci streszczę przebieg. Od pierwszej chwili, gdy zacząłem przeglądać papiery, wiedziałem, że jest to wyjątkowy przypadek, ponieważ procedura odbiegała od zwyczajowego postępowania inkwizycji. Otóż, zgodnie z prawem, poszczególne przewinienia były rozpatrywane przez sądy grodzkie, właściwe dla danego obszaru. Wydane wyroki powinny być, zgodnie z procedurą, zatwierdzane przez Supremę, czyli Radę Najwyższą i Powszechną Inkwizycji. W tym przypadku było inaczej.

¹⁰ Auto-da-fé (z port. akt wiary) - publiczna deklaracja przyjęcia lub odrzucenia wiary przez chrześcijanina oskarżonego o herezję (przyp. tłum.).

Diego z Siurany stał się ofiarą inkwizycji. Urodził się w niewielkiej miejscowości Siurana w Tarragonie. Urocze miejsce. Byłem tam: kilka domów, kościół i ruiny zamku na stromej skale. Gdy był dzieckiem, miejscowy proboszcz dostrzegł w nim powołanie i ambicje niezwykłe dla wieśniaków, tak przynajmniej wynika z akt. Kilka lat później Diego otrzymał święcenia w diecezji w Tortosie. Jego błyskotliwa kariera w roli sekretarza Archiwum Episkopalnego została gwałtownie przerwana na skutek donosu zawistnego kolegi. Przesłuchano go w sądzie w Barcelonie i stwierdzono następujące odstępowanie od normy: schludny aż do przesady i, straszny grzech, nie jadał wieprzowiny. Inkwizytorzy przeprowadzali drobne badania genealogiczne, aż trafili na ślad - w bocznej linii, i to sprzed dwustu lat - żydowskiego przodka przechrztę. Tylko z tego powodu sprawę należało wnikliwie zbadać i osądzić winnego. Pierwsze posiedzenie polegało na zwykłym przesłuchaniu. Diego przyznał się do „winy”, ale to nie zadowoliło inkwizytorów. Chcieli czegoś więcej. Diego dowodził, że popełnił grzech nieświadomie. Niestety, okazało się to karygodnym błędem. Nic tak nie rozsierdziło inkwizytorów jak niemówienie „prawdy”. Dali mu dwie szanse, nie skorzystał, więc został poddany torturom. Nieludzko męczony, prawie nieprzytomny z bólu, ku zaskoczeniu swoich oprawców wspominał o pewnym przedmiocie. Inkwizytor wziął na spytki skrybę obecnego przy torturach, który potwierdził słowa Diega. Jakże? Tego nie wiemy. Za przyzwoleniem medyka kontynuowano tortury, póki przesłuchiwany nie zemdlął.

Diego coś ukrywał. Tylko co? Talmud? Koran? Bardzo prawdopodobne, podejrzewany był przecież o zaprzaństwo. Całe skonfiskowane mienie Diega zostało szczegółowo przeszukane. Inkwizytorzy sformułowali zapewne szereg wniosków, które nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności zaginęły. W aktach sprawy Diega z Siurany brakuje kilku ostatnich stron. Musiały być ważne, skoro poinformowana o tym incydencie Suprema postanowiła włączyć się i spisać dodatkowy protokół o charakterze poufnym. Aneks do akt, raport wysłany ni mniej, ni więcej, tylko do samego Rzymu, jest w okropnym stanie: pokryty pleśnią, miejscami nieczytelny i w dodatku niekompletny - brakuje przynajmniej kilku stron. Mimo to dowiedziałem się z niego paru rzeczy, a resztę z innych źródeł. I w ten sposób odkryłem, co to był za przedmiot.

Manolo głęboko zaczerpnął powietrza. Bety była zafascynowana jego opowieścią. W końcu dowiedziała się, o co chodzi, co to za tajemnicza rzecz wywarła tak ogromne wrażenie na Casadevall i stała się przyczyną tortur, a pewnie i śmierci Diega z Siurany.

- Z resztek dołączonego do akt raportu wynika właściwie niewiele. Piszą tam o Kamieniu Bożym oraz wyjaśniają, w jaki sposób o jego istnieniu dowiedział się Diego z Siurany. W tym kontekście pada tylko jedno nazwisko. Otóż był to magister operis ecclesiae Casadevall.

- Aha, teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo pragniesz poznać jego zapiski! - przerwała mu Bety.

- Interesuje mnie każda wzmianka związana z tajemnicą, za której dochowanie umarł Diego. Opatrzność przysłała cię do mnie z manuskrypcją, być może stanowiącą klucz do zagadki.

- Co to jest Kamień Boży?

- Kamień Boży... Niewiele o nim wiem - wyznał z uśmiechem. - Prawie dwa lata straciłem na sprawdzanie, o co właściwie chodzi. A jak na mnie dwa lata, zapewniam cię, to naprawdę dużo czasu.

Wiesz, gdy wciągnęła mnie ta zagadka, znalazłem się między młotem a kowadłem: mogłem badać tę sprawę tylko częściowo, a to jest obce moim metodom badawczym. Wreszcie po dwóch latach znalazłem czas, żeby się temu poświęcić. Im bardziej zgłębiałem tajemnicę Kamienia Bożego, tym ciekawszych rzeczy się dowiadywałem. Na początku szperałem w bibliotekach hiszpańskich, ale to nie wystarczyło. Niespodziewanie moi koledzy uniwersyteccy załatwili mi spotkanie z pewnym uczonym człowiekiem w Izraelu. Właśnie jemu zawdzięczam prawdziwe rozwiązanie tej części tajemnicy.

- Czekaj, czekaj, twierdzisz, że musiałeś polecieć do Izraela, żeby dowiedzieć się, o co właściwie chodzi? Czemu nie wybrałeś się do Rzymu, gdzie prawdopodobnie znajduje się kopia raportu sporządzonego przez inkwizycję?

- Nie miałem dostępu do tych dokumentów. Nikt nie może ich badać, z wyjątkiem garstki wybrańców. A filolog, nawet najlepszy, nie należy do grona uprzywilejowanych... chyba że jest członkiem religijnego ultrakatolickiego zgromadzenia, cieszącego się obecnie takim uznaniem w Rzymie. Jestem pewien, że wgląd do nich mają wyłącznie najwyżsi dostojnicy kurii watykańskiej.

- To znaczy, że są pilnie strzeżone.

- Rzeczywiście, są to dokumenty poufne. Zresztą dotyczy to większości archiwów watykańskich. To wręcz niewiarygodne, że po tylu wiekach nie możemy ich zbadać.

- A więc polecałeś do Izraela...

- W Hiszpanii szukałem pomocy u moich kolegów, ale żaden z nich nie potrafił mi wyjaśnić, co to jest ów tajemniczy Kamień Boży. Skierowali mnie do jednego z najlepszych specjalistów od tradycji

hebrajskiej, Izaaka Shackermanna. Sporządziłem pisemną relację z rezultatów moich badań i wysłałem do Izraela. Zgodził się mnie przyjąć. Shackermann to Żyd sefardyjski, potomek starego toledańskiego rodu. Wyjątkowy człowiek, bardzo ceniony i szanowany. Generalnie Sefardycy chlubią się swoim pochodzeniem, a w przypadku Shackermanna jest to szczególnie widoczne. Tak jak wszyscy Spaniolowie szanuje tradycje i zwyczaje swoich antenatów. Klucz do dawnego toledańskiego domostwa wisi w najważniejszym pokoju: w jego gabinecie.

Spróbuj go sobie wyobrazić: staruszek o bezbronnym wyglądzie, chroniący się przed światem za grubymi szklami okularów. Siwiutkie włosy, po bokach twarzy skręcone w długie pejsy. Zawsze ubrany na czarno, w nieskazitelnie białej koszuli, takiej jak jego włosy. Bardzo drobny, pomarszczony, z pozoru kruchy, choć widać, że w młodości był silnym, twardym mężczyzną.

Mieszkał w pięknym domu na jerozolimskiej starówce, w pobliżu ormiańskiego klasztoru Świętego Jakuba, trochę na uboczu, tak że przez wielkie okna przez cały dzień wpadały promienie słońca. Wspaniałe miejsce, z dala od wielkomiejskiego gwaru i zgiełku. W tej części obowiązuje zakaz ruchu kołowego, w wąskich zaułkach można poruszać się wyłącznie pieszo. W ten sposób jeszcze bardziej odgradził się od świata, już i tak od dawna poza jego zasięgiem. Staruszek miał chore nogi i pieszo mógł pokonywać tylko krótkie dystanse. Opiekowali się nim dwaj czarnoskórzy służący, Żydzi etiopscy. Jeden z nich zaprowadził mnie do wspaniałego gabinetu, w którym błyskotliwy umysł Shackermanna, wolny od ograniczeń wątku ciała, zmagał się z tysiącem i jeden problemów.

Zaanonsował mnie służący. Sędziwy Żyd czekał na mnie, wygodnie usadowiony w fotelu. Na stoliku obok stała herbata i ciasteczka, przeznaczone specjalnie dla gości. W kącie gabinetu nowoczesny komputer świadczył o tym, że gospodarz domu jest stary, ale nie metody jego pracy. Shackermann uprzejmie pochwalił listy polecające, które doprowadziły mnie wprost do niego, co jego zdaniem wcale nie było takie proste, oraz moją doskonałą znajomość języka hebrajskiego. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, z wyjątkiem prawdziwego powodu mojej wizyty. Pragnął poznać wszystkie szczegóły dotyczące mojego życia, właściwie od dzieciństwa. Po tym wątku związanym z moją skromną osobą rozmowa zeszała na świat i wielkich ludzi. Wyraźnie próbował mnie wyczuć i poznać moje intencje. Odniosłem wrażenie, że gdyby mu się nie spodobały, nie zawahałby się mnie pożegnać, oczywiście przy zachowaniu konwenansów.

Następnego dnia rozmowa przebiegała w podobny sposób. Gawędziliśmy o różnych sprawach i w końcu zaproponował mi swoistą zabawę intelektualną. Dysponował moim curriculum, a zatem wiedział, że znam języki starożytne. Popatrzył na mnie i nagle powiedział: *Pere nost, che t'ies n ciel, siba sanctificá ti inuem, vënie ti rëni, sibefata ti voluntà coche n ciel nsci n tiëra. Czy może pan dokończyć tę modlitwę w tym samym starym języku?*

Przemówił do mnie w języku ladyńskim, rzadko już używanym! Odpowiedziałem na to wyzwanie, uznawszy je za ostateczną próbę. „Moja znajomość ladino jest wyłącznie teoretyczna. Nigdy przedtem nie mówiłem w tym języku. Odmówił pan Modlitwę Pańską¹¹. Spróbuję. Dalej powinno to brzmieć tak: *Da-nes nauri nose pam d'unidi y lasce-nes dó nose debit, coche neüs biscion dó a nosc debitëures, y no nes nemé tla tentaciön, ma libre-nes del mal.*

Spytał, czy naprawdę nigdy wcześniej tego nie mówiłem. Potwierdziłem. „Muszę przyznać, że wymowa jest zbliżona do prawidłowej. W takim razie będziemy rozmawiać w tym starym, dziś już prawie zupełnie zapomnianym języku” - zaproponował.

To niezwykle doświadczenie zawiodło mnie wprost do przeszłości, ciągle jeszcze żywej we wspomnieniach ludzi takich jak on. Była to zapewne część próby, jakiej mnie poddawał. Na szczęście dojrzał we mnie takiego człowieka, jakim naprawdę jestem: zwykłego filologa, pasjonata historii języków, absolutnie niegroźnego, niezdolnego do kombinowania, jak obrócić przesłuchanie na swoją korzyść. Owoce naszej pracy nie należą do nas, lecz do całej ludzkości. Shackermann tak to określił w ciągu dwóch dni długich rozmów prowadzonych przy oknie, w ciepłych promieniach słońca, przerywanych jedynie posiłkami oraz mejlami, które uczony nieustannie otrzymywał i wysyłał. Pod koniec drugiego dnia wiedziałem, że kontakt z tym człowiekiem jest dla mnie szczęśliwym zrządzeniem losu. Ten starszy człowiek poświęcił swój cenny czas na rozmowy ze mną, zupełnym nieznanym! Wyciągnąłem z tego następujący wniosek: skoro poświęca mi tyle czasu, to znaczy, że on także jest bardzo zainteresowany tym, co mogę mu powiedzieć.

Trzeciego dnia temat naszej konwersacji zmienił się. Zaczęliśmy rozmawiać o religii. Spytał, w co wierzę, jak okazuję swoją duchowość, co sądzę o dogmatach i innych kwestiach wiary. Zadał mi tysiące pytań w tym stylu. Zawahałem się: nie jestem wierzący i bałem się, że to stworzy między nami barierę. Wolałem jednak powiedzieć prawdę, bo domyślałem się, że on już ją zna. Choć zostałem ochrzczony tuż po urodzeniu - któż z nas nie był w tamtych latach? - jako nastolatek przestałem

¹¹ Modlitwa Pańska ułatwia ponoć zrozumienie diagramu Drzewa Życia (przyp. tłum.).

chodzić do kościoła. Prawdę mówiąc, nigdy nie analizowałem dogłębnie moich odczuć w sprawach tak transcendentnych jak wiara. Nie miałem na to czasu - dla niektórych jest to zwykła wymówka, w moim przypadku to prawda. Mój ateizm nie stanowił jednak przeszkody. Shackermann sondował moją duszę raczej w poszukiwaniu prawdziwego „ja” i bez wątpienia je znalazł. Chyba wydał korzystny dla mnie wyrok, bo pod koniec trzeciego dnia oświadczył, że jutro odpowie na moje pytania. Nie było jeszcze późno, dochodziła piąta. Spytałem więc, czy nie mógłby zacząć już teraz. Padła niezrozumiała odpowiedź: „O pewnych sprawach można rozmawiać tylko w biały dzień. Musisz uszanować słabostki starego człowieka. Przyjdź jutro”.

To był czwarty dzień mojego pobytu w Jerozolimie i właściwie jeden więcej nie robił mi różnicy. Bardzo dobrze pamiętam tamten poranek: szary, deszczowy, diametralnie różniący się od poprzednich. W całym mieście mżyło, potem rozpętała się straszliwa wichura. Posępna w strugach deszczu starówka straciła część swojego uroku i panujący tam nastrój był tak szary i ponury jak sama aura. Dzielnica, w której mieszkał Shackermann, była bardziej wymarta niż zwykle. W miarę jak zapuszczałem się w głąb starówki, mijało mnie coraz mniej przechodniów, aż w końcu w krętych i wąskich zaułkach byłem zupełnie sam. Zazwyczaj miłe dla oka stare kamieniczki przybrały oniryczny i smutny wygląd, pogłębiany panującą wokół pustką.

Dotarłem do domu Shackermanna. Służący zaprowadził mnie do gabinetu. Sędziwy mędrzec czekał już na mnie w fotelu, jak zwykle z filiżanką herbaty w ręku. Chociaż nie było bardzo zimno, napalono w kominku i płonące polana rażno trzaskały, strzelając w górę iskrami. Zająłem miejsce naprzeciwko uczonego. Szary, posępny poranek chyba odebrał mu część jego wrodzonej siły życiowej. „Co za ponury dzień - stwierdził po hebrajsku, nie w ladino. - Jakby złowróżbny”. Ta wypowiedź mnie zaskoczyła, choć uznałem ją za czysto retoryczną, pozbawioną dosłownego znaczenia. Milczałem, bo nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Shackermann wypił herbatę do dna i podał mi filiżankę, abym odstawił ją na stół. Nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby ostatecznie oceniał moją osobę i chciał potwierdzić swoją decyzję o wyjawieniu tajemnicy Kamienia Bożego.

Pokiwał głową, jakby przekonany co do słuszności powziętej opinii, i powiedział: „Twoja obecność w moim domu to jeden z tych zdumiewających zbiegów okoliczności, które czasami wywierają wpływ na ludzkie życie. Niezwykle jest już samo to, że goj chce poznać tajemne aspekty naszej odległej przeszłości. Podchodzę do tego z należyтым dystansem. Dziwię się, że taki młody i na dodatek niewierzący człowiek wie o istnieniu Kamienia Bożego, o którym słyszała zaledwie garstka naszych. Ale to nie jest odpowiedni moment na takie dywagacje. Wczoraj postanowiłem odpowiedzieć ci wszystko, co wiąże się z twoimi poszukiwaniami, i właśnie chcę to zrobić. Historia jest prosta, natomiast geneza dość skomplikowana. Postaram się streszczać i nie bawić w szczegóły, chociaż mogą wystąpić w tej materii pewne problemy, wynikające głównie z tego, że jesteś dyletantem w sprawach wiary. Może się więc zdarzyć, że nie będziesz potrafił czegoś zrozumieć, co znacznie ogranicza zakres mojego wywodu”.

Wzruszony i podekscytowany, niecierpliwie czekałem na dalszy ciąg. W środku aż wibrowałem: to dość charakterystyczne doznanie dla wielkiej, przełomowej chwili, kiedy teoria staje się empirią, a fakty znajdują potwierdzenie u źródła.

Shackermann zaczął opowiadać: „Dość trudno o dokładne dane. W nocy długo rozmyślałem, jak pokierować opowieścią, ale nie doszedłem do żadnego konkretnego wniosku. Wszystko się przeplata, miesza. Mogę cię zapewnić, że wpadłeś na trop jednej z największych i najpilniej strzeżonych tajemnic z historii narodu żydowskiego. Wielu z nas ją badało... to znaczy pracowało nad tym. Jedni byli pobożni i religijni, inni ambitni, a jeszcze inni nikczemni. Dlatego, zanim nadeszła ta chwila, rozmawialiśmy przez trzy dni, chciałem bowiem poznać motywy, które cię skłoniły do poznania prawdy. Gdybym uznał cię za osobę o wygórowanej, rozbuchanej ambicji, więcej bym cię nie zaprosił. Okazało się jednak, że należysz do grona prawdziwych badaczy. Moje życiowe doświadczenie rzadko mnie zawodzi. Chcesz wiedzieć z czystej pasji poznania. Twoja ciekawość jest zatem zdrowa i konstruktywna. Postaram się ją zaspokoić, oczywiście w miarę moich możliwości, a przy okazji uporządkuję swoją wiedzę na ten temat. A zatem zaczynamy.

Badania nad Imieniem Boga prowadzono od dawna. Musisz wiedzieć, że judaizm nie zezwala na obrazowe przedstawianie Stwórcy, a Jego Imię, w dosłownym znaczeniu, nie może być wymawiane głośno przez wierzących. Prawdę mówiąc, nikt nie zna Imienia Bożego i od niepamiętnych czasów było ono przedmiotem badań i dociekań. Imiona, jakimi nazywamy Boga, są w gruncie rzeczy skrótami bądź określeniami zastępczymi, zniekształcającymi Jego ideę. Wiemy, jak kazał nam się nazywać, ale nie wiemy, jak się naprawdę nazywa. Wszystko się skupia na słowie On, tak jak nazywają Go w świętych zwojach. Możesz Go również nazywać Jahwe, jest to uproszczona wymowa hebrajskich spółgłosek JHWH, skrócona forma od Jod He Waw He, używana wyłącznie w świątyniach bądź

świętych miejscach. Poza sanktuariami można było na Niego mówić Adonaj - Mój Pan - albo Elohim¹². JHWH - cztery głoski, po grecku zwane tetragramatonem, po hebrajsku znaczą Szem ha-Meforasz¹³, Ukryte Imię Boga.

Jak widzisz, Boga można nazywać na wiele sposobów. Przez wieki jedne imiona pojawiały się, inne znikwały. Poszukiwaniem Imienia Boga zajmuje się kabała. Powstała jako zbiór tradycji przejętych ze Starego Testamentu, ale koniec końców przekształciła się w czyste ezoteryczne poznanie. Pojawiła się w początkach naszego II wieku, pełny zaś rozkwit osiągnęła na początku XIII. Jej wyznawcy stanowili krąg ludzi znających i przekazujących tajemnicę wiary. Uważali, że święte zwoje mogły przekazywać tajemną wiedzę. Przyporządkowali po kolei każdej literze alfabetu hebrajskiego określoną liczbę, których kombinacje dawały dostęp do prawdziwego poznania i wyzwalały ogromne moce stwórcze zawarte na świętych stronach.

Jeden z najważniejszych kabalistów, Izaak Ślepy, znalazł dzięki numerologii¹⁴ nowe określenie Boga. Nazwał Go Ain Sof, Bez Końca, Bóg nieskończony i niepoznawalny. Określenie to oznaczało, że nie można poznać i pojąć Boga poza Nim. Później Mojżesz z Leonu zgłębił to pojęcie i wykazał, że Bóg stworzył świat wewnątrz siebie za pomocą sefir, bezpośredniej emanacji boskiego światła.

W tym momencie musiałem wyglądać na tak zagubionego, że Shackermann uśmiechnął się pobłaźliwie i puścił do mnie oko: „Nie bój się, to nie są brednie starego piernika. Jeśli opowiadam ci o tym wszystkim, to dlatego, abyś poznał otoczkę, zanim zaczniesz zgłębiać sedno sekretu. A jest nim Kamień Boży, o którego istnieniu wiedzą tylko nieliczni. To wyjątkowy kamień, prawdopodobnie szmaragd. Jest dla nas ważny, ponieważ kryje w sobie jeszcze większą tajemnicę, podstawową. Jest na nim bowiem wyryte prawdziwe Imię Pana, dlatego klejnot ten promieniuje obecnością sefiry - jednej z dziesięciu emanacji boskiego światła”.

Tymczasem rozpętała się prawdziwa ulewa. Błyskawice wściekle przecinały niebo, grzmoty, nieco wyciszone przez grube ściany domu, waliły jeden po drugim. Wiem, że mój komentarz może brzmieć śmiesznie, jakbym opowiadał o tanim efekcie dźwiękowym tandetnych filmów grozy, ale zapewniam cię, że było to najbardziej wstrząsające widowisko natury, jakie oglądałem w życiu, spektakl tak niezwykle i nietypowy, że nawet człowiek kierujący się w życiu logiką i rozsądkiem, jak ja, uwierzyłby, że został przeniesiony jakby z innej rzeczywistości. Przysięgłbym, że ktoś lub coś wyrażało swoją wściekłość wobec wiadomości, których nie należy przekazywać, i ta złość została wyrażona w formie burzy, ponieważ był to jedyny sposób, abyśmy mogli to pojąć i ogarnąć naszym ciasnym umysłem. Shackermann dostrzegł moje zdenerwowanie i próbował mnie uspokoić.

Manolo przerwał na chwilę swoją opowieść.

- Shackermann zauważył mój niepokój. Przyznałem, że istotnie, coś dziwnego wyczuwam w powietrzu. „To moc Jahwe. Zawsze jest wokół nas, nie zauważamy tego, bo jesteśmy ślepi, chyba że objawia się właśnie w taki sposób jak dziś. Uspokój się. To prawda, że rozmawiając o porządku rzeczy i boskich sprawach, przekraczamy pewne normy, ale wszak nie robimy tego po raz pierwszy. Jak myślisz, dlaczego przez ostatnie dni tyle rozmawialiśmy o religii? Musiałem się dowiedzieć, czy mogę przekazać ci Prawdę, nie obawiając się ewentualnych implikacji. Nie martw się. Jesteś bezpieczny”. Skinąłem głową i na znak, że zgadzam się z jego słowami, powiedziałem: „A zatem wróćmy do naszej opowieści. Sugeruje pan, że Bóg jest obecny w tym kamieniu?”. „Właśnie. Chociaż jest wszechobecny i znajduje się wszędzie, to jednak można powiedzieć, że są miejsca bardziej naznaczone Jego obecnością niż inne. Jest w Kamieniu, ponieważ wyryto na nim Jego Imię. Niektórzy twierdzą, że sefiry nie są częściami samego Boga, tylko Jego objawieniem, ale to czysta retoryka, niezmiennająca faktów”. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Skoro Bóg nigdy nie objawił swojego imienia ludowi Izraela, to jak znalazło się ono na kamieniu? „Historia Kamienia Bożego to bardziej mit niż rzeczywistość. Według przypowieści o początkach naszej cywilizacji po śmierci Saula Dawid został drugim z kolei królem Izraela. W latach jego panowania, prawdopodobnie najlepszych w naszej historii, Dawid był narażony na wiele niebezpieczeństw. Przede wszystkim na ciągłe ataki Filistynów, które ustały dopiero po śmierci ich wodza, Goliata. W tym pojedynku ważył się los narodu żydowskiego. Goliat, uważany za niezwykłego, był ogromnej postury, wykazywał też niezwykle umiejętności w sztukach walki. W normalnym starciu Dawid nie dałby rady go pokonać. A jednak tego dokonał, i to raczej dzięki boskiemu wstawiennictwu, a nie poprzez własne zasługi. W noc poprzedzającą walkę Dawid wznosił modły, błagając Boga o pomoc. Nie lękał się o własne życie, tylko o los swojego ludu.

¹² Elohim - liczba mnoga od El, uniwersalnego słowa na określenie Boga i bożków pogańskich (przyp. tłum.)

¹³ Dosłownie: Jasny, Jaśniejący (przyp. tłum.).

¹⁴ Chodzi raczej o gematrię - kolejnym literom alfabetu nadaje się wartość liczbową. Potem dodając, odejmując, mnożąc czy dzieląc, szuka się powiązań między poszczególnymi słowami w Biblii, ich ukrytego znaczenia. Jest używana nie tylko w kabale, to swego rodzaju zabawa słowami i znaczeniami, poszukiwanie tego, co ukryte. Nagminnie stosowana w inskrypcjach nagrobkowych (przyp. tłum.).

Bóg go wysłuchał i zesłał na niego proroczy sen. Zgodnie z nim Dawid miał się udać do pobliskiego strumienia i po rytualnym oczyszczeniu wydobyć z dna kamień. Ten właśnie kamień, wystrzelony z procy, zapewni mu zwycięstwo w starciu. Pod żadnym pozorem nie mógł go dokładnie obejrzeć, ponieważ znajdowało się na nim Imię Boga. Kamień miał magiczne właściwości, dzięki emanującej z niego boskiej mocy trafiał sam do celu i zabijał przeciwnika. Po spełnieniu swego zadania powinien zostać na zawsze ukryty. Miał bowiem w sobie zbyt wielką moc, aby pozostawać w zasięgu zwykłych śmiertelników. Bóg stworzył go i tchnął weń - użyjmy współczesnej terminologii - najwyższą, wręcz niewypowiedzianą moc w celu pokonania jednego, niezwyciężonego wroga.

„Dawid posłuchał boskiego nakazu i wyciągnął z piaszczystego dna kamień rzucający zwodnicze zielonkawe błyski. To Kamień Boży, jak nazwały go kolejne pokolenia, spowodował śmierć Goliata”. Skomentowałem, że tej przypowieści nie ma w Piśmie Świętym. „No właśnie - potwierdził Shackermann - nie ma jej. A nie ma jej dlatego, że istnienie Kamienia to pilnie strzeżony sekret, znany tylko garstce wtajemniczonych. Czy sądzisz, że cała tradycja narodu może zostać zapisana w świętych zwojach, które zresztą na początku trafiały w ręce wielu wiernych, kapłanów i skrybów Świątyni? Czy Kościół katolicki nie przechowuje w watykańskich archiwach dokumentów dostępnych tylko wybrańcom? Czy nie jest normą, że we wszystkich religiach istnieje ograniczony krąg osób mających wgląd do najpilniej strzeżonych i ważnych tajemnic, podczas gdy rzesze wiernych, ze względu na swoją ignorancję, nie są godne się do nich zbliżyć? Spójrz na to realnie, taki fakt nie mógł się znaleźć w opisie czynów króla Dawida, choćby z powodów politycznych. Jedynie najwięksi znawcy tradycji oraz kabaliści mogą coś wiedzieć na ten temat”.

- Musiałem przyznać, że ta hipoteza była dość przekonująca - powiedział Manolo do wpatrzonych w niego i zasłuchanej w jego słowa Bety. - Zakładając jednak, że opowieść jest prawdziwa, jak Kamień znalazł się w Hiszpanii? Jaki związek miał z nim mistrz Casadevall? Shackermann spojrzał na mnie. „Mogę ci odpowiedzieć na pierwsze pytanie, ale na drugie już nie. Dawid ukrył Kamień i powierzył jego sekret swojemu synowi, Salomonowi, oraz gronu wtajemniczonych kapłanów. Gdy ukończono budowę Świątyni Salomona, Kamień spoczął w Najświętszym Miejscu, razem z Arką Przymierza i tablicami z tekstem Dekalogu. I przez czterysta lat leżał tam spokojnie aż do najazdu wojsk babilońskich. Od tamtej pory ślad się urywa. Dopiero dziś... Biorąc pod uwagę, że o jego istnieniu wiedziała tylko garstka wybrańców, na dodatek w większości wyróżnionych przez Babilończyków, tajemnica Kamienia stała się znana tylko nielicznym. Jeśli chodzi o drugie pytanie, cóż mogę powiedzieć? Prawdopodobnie jakiś kapłan zdołał z nim uciec. Od upadku Jerozolimy rozpoczęła się pierwsza diaspora, wygnano tysiące naszych przodków i zmuszono do rozproszenia się po całym świecie. Pewnie Kamień podróżował w tobołkach jednego z naszych rabinów. Jeśli chodzi o związek z Casadevallem, nie wiem nic prócz tego, co przeczytałem w twojej relacji. Prawdę mówiąc, o Kamieniu Bożym nie mówiło się od pierwszego zburzenia Świątyni, a było to ponad dwa i pół tysiąca lat temu! Teraz rozumiesz? Ponad dwa i pół tysiąca lat! Dlatego na początku naszej dzisiejszej rozmowy podkreśliłem, iż to nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że właśnie od ciebie dowiedziałem się czegoś nowego na tak szczególny temat. Sądzę, że to opatrność boska zesłała mi ten dar, zanim wybije moja ostatnia godzina. To znak, znak niebios, tak jasny i oczywisty jak burza, która szaleje nad naszymi głowami. Mój czas dobiega kresu, od lat umykam śmierci. Teraz już wiem, że nadchodzi.

- Miałaś rację, to niezwykła historia - stwierdziła Bety.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Manolo. - To wręcz niewiarygodne, jak przeszłość może wpłynąć na przyszłość. Dla Shackermanna moje informacje na temat Kamienia były jeszcze większą niespodzianką niż dla mnie czy dla ciebie. Czuł głęboki związek, zarówno emocjonalny jak i kulturowy, z Kamieniem Bożym. Świadomość, że naprawdę istnieje, bo do takiego wniosku obaj doszliśmy, stanowiła punkt kulminacyjny jesieni jego życia.

- Co się dzieje z Shackermannem?

- Umarł jakieś trzy lata temu. Był bardzo stary, nie przeżył srogiej zimy. Utrzymywał ze mną kontakt aż do śmierci. Każdy z nas miał nadzieję, że ten drugi wpadnie na jakiś ślad prowadzący do Kamienia. Niestety, zjawiłaś się za późno.

- Mówisz, że był badaczem cieszącym się międzynarodową sławą. Czy starał się o dostęp do watykańskich archiwów, strzegących dokumentów inkwizycji?

- Cieszył się sławą, ale raczej w kręgu kultury żydowskiej, i tam rzeczywiście miał do wszystkiego dostęp. Jego wpływy nie sięgały jednak do Watykanu. Próbował, ale nie dostał zgody na przejrzenie tajnych akt.

- To wszystko jest fascynujące.

- Tak, i to bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

- To znaczy? - spytała, ciągle czując niedosyt wiedzy.

- To nie koniec historii Kamienia Bożego. - Manolo zrobił długą, zamierzoną pauzę. - Jest coś jeszcze.

- Mów - poprosiła Bety, nie kryjąc zaciekawienia.

- Kamień Boży to przedmiot mistyczny, o magicznych właściwościach.

Bety uśmiechnęła się z niedowierzaniem. To prawda, że wszystko, co wiązało się z Kamieniem, było fascynujące, ale robienie z niego przedmiotu o magicznych właściwościach stało w jawnej sprzeczności z jej racjonalnym sposobem rozumowania.

- Widać po tobie, że mi nie wierzysz.

- Nie chciałam cię urazić - pośpiesznie wyjaśniła.

- I nie uraziłaś. Zdaje się, że wyraz twojej twarzy niewiele się różni od mojego, kiedy Shackermann opowiedział mi o właściwościach Kamienia. Pomyśl tylko, naukowiec, znawca najstarszych tradycji i kultury, ślepo wierzył w magię! Naprawdę wierzył. - Na twarzy Manola malowała się powaga. Dla wzmocnienia efektu złożył dłonie. - Słuchaj, on naprawdę wierzył! Bezgranicznie ufał magicznym właściwościom Kamienia! Twierdził, że kabaliści potrafili wydobyć moc z sefir i wykorzystać ją dla własnych celów, zarówno szlachetnych, jak i nikczemnych. Wyjaśnił, że są oni w stanie dokonywać cudów. Gdyby zdobyli Kamień, ich umiejętności wzrosłyby niepomiaralnie.

- Chyba rozumiesz, że trudno mi w to uwierzyć.

- Oczywiście, a jakżeby inaczej! Jak można uwierzyć w podobne brednie? Ale posłuchaj uważnie, on naprawdę w to wierzył. Rozumiesz? Shackermann naprawdę w to wierzył! - powtarzał z uporem. - Rozumiesz, co to znaczy?

- Chyba tak - odpowiedziała Bety po chwili namysłu. - Chcesz powiedzieć, że niezależnie od ewentualnych i mocno wątpliwych właściwości magicznych Kamienia są na świecie ludzie tacy jak Shackermann, którzy naprawdę w to wierzą, a to oznacza...

- Właśnie - wyprzedził jej konkluzję. - Kamień stałby się przedmiotem pożądania. Nie przez wielu, bo nie sądzę, by wiadomość o jego istnieniu przedostała się do powszechnej wiadomości. Shackermann nie wyjaśnił tego, bo - zdaje się - jest to informacja przeznaczona tylko dla ograniczonego i specyficznego kręgu badaczy, specjalistów od tradycji żydowskiej - kabalistów takich jak on. Dla tych nielicznych, którzy rzeczywiście wiedzą, o co chodzi, jest to bez wątpienia przedmiot o nie-o-sza-co-wa-nej wręcz wartości niematerialnej. - Wypowiedział to słowo powoli, sylaba po sylabie. - Oczywiście fakt, że jest to szmaragd wielkości pięści, ma znaczenie absolutnie drugorzędne.

Shackermann postanowił przekazać mi swoją wiedzę o Kamieniu nie tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość młodego filologa, ale także by się upewnić, że ja, kontynuując poszukiwania, powiadomię go o moich ewentualnych odkryciach. Manipulował mną tak jak ja nim. Ten człowiek pożądał Kamienia. Nie powiem, że oddałby za niego duszę, był przecież człowiekiem wierzącym, lękającym się Boga, ale pożądał go z całą mocą swojego rozumu. I trafił mu się cukierek, który ja sam podałem mu na tacy.

- Po powrocie do Hiszpanii kontynuowałaś poszukiwania?

- Rzadko. Moje codzienne zajęcia są bardzo absorbujące. Poświęcałem się temu podczas ferii i wakacji, między jedną pracą naukową a drugą. Poznałem gruntownie mistykę żydowską, Talmud babiloński i jerozolimski, kabalistyczne symbole, takie jak Tarcza Dawida, oraz podstawowe teksty ezoteryczne, na przykład Sefer Jecira, czyli Księgę Tworzenia, Se-fer ha-Bahir - Księgę Jasności, zwaną też Księgą Ukrytego Światła, teksty Mojżesza z Leonu, Shoshan Edouth, Sefer ha-Rimon, a przede wszystkim Księgę Blasku, Sefer ha-Zohar. Na niewiele mi się to jednak zdało, oprócz powiększenia już i tak ogromnego i niepotrzebnego zasobu wiedzy. Wszystkie ważne dane zapisałem w notatniku. Potem uczepliłem się jedyne go śladu, jaki miałem: mistrza Casadevalla. Zebrałem wszelkie dostępne informacje na jego temat, przeczytałem wszystkie dokumenty historyczne z tamtej epoki i napisałem coś w rodzaju biografii, opisującej jego życiowe dokonania, ale nie doszedłem do żadnego konkretnego wniosku. Mistrz wiódł normalne życie, oddany swojej pracy. Trochę podróżował po Europie, zatrudniając się przy najważniejszych budowach w tamtym okresie, szczególnie w Narbonie, ale to było zjawisko zwyczajne wśród średniowiecznych budowniczych. A teraz powiedz, co ty wiesz o Casadevallu.

- Niezbyt wiele. Był tak zwanym magister operis ecclesiae, pracował na przełomie XIV i XV wieku przy budowie katedry pod kierunkiem architektów...

-...takich jak Jaime Sola i Arnau Bargues - wtrącił Manolo, nie mogąc się powstrzymać. - Coś jeszcze?

- Mało. Jak już mówiłam, nie należał do najważniejszych architektów, pracował pod kierunkiem tamtych dwóch, zajmował się sprawami administracyjnymi i nadzorem robót.

- Dobrze. Casadevall utrzymał się na swoim stanowisku przez czterdzieści sześć lat, podczas gdy inni majstrowie przychodzili i odchodzili. Rzadko opuszczał Barcelonę, z wyjątkiem jednego sezonu spędzonego w Narbonne, przy budowie katedry rówieśnej naszej i wzniesionej w podobnym stylu. Czterdzieści sześć lat, szmat czasu jak na tamtą epokę. Podobnie jak jego sławni koledzy rozwijał działalność, wznosząc budowle zarówno sakralne, jak i świeckie. Niektóre fragmenty katedry to jego dzieło, budynki świeckie przeważnie nie zachowały się do naszych czasów. Po tym, co pozostało, wyraźnie widać, że jego umiejętności znacznie przewyższały kwalifikacje współczesnych mu architektów. Znasz jakieś jego dzieła?

- Nie, żadnego.

- W księgach robót budowlanych archiwum katedralnego znajduje się zapis, że był odpowiedzialny za prace nad pierwszą wersją chóru, zabudową wirydarza i zwornika czwartego sklepienia. Sklepienie to praca skomplikowana, ale rutynowa, zaznaczona w ogólnych planach robót. W 1410 roku stwierdzono, że sklepienie wzniesione w 1384 roku wymaga podpór. Ich wykonanie zlecono Casadevallowi.

- Podsumowując: Casadevall był w historii katedry zwykłym wyrobnikiem, człowiekiem bez większego, a właściwie żadnego znaczenia.

- Bez znaczenia? Tak uważasz? Może i tak było. Czterdzieści sześć lat pozostawania w cieniu, przy wypełnianiu poleceń innych mistrzów, zawsze gdzieś z tyłu, nigdy na pierwszym planie, tak to z pozoru wyglądało. Ale na pewno nie jest nieznanym, niepozornym człowiekiem ktoś, kto dwieście lat później staje się przyczyną śmierci innego mężczyzny. Casadevall zrobił coś niezwykłego, co wzbudziło wściekłość najpotężniejszej organizacji represyjnej, jaka kiedykolwiek istniała.

- A więc nie był bez znaczenia - przyznała Bety.

- Nie, nie był - potwierdził Manolo. - Był tym, kim pragnął być. Do takiego wniosku doszedłem. Gdyby tylko zechciał, natychmiast by mu przyznano tytuł magistra principalis, chociażby z powodu wysługi lat. Pozostał w cieniu, bo sam tak chciał, aż do śmierci.

- Do śmierci - powtórzyła, trochę rozkojarzona.

- Wiesz, jak to się stało? - spytał Manolo.

- Tak. Pewnego lipcowego poranka znaleziono go martwego na jednej ze stali w katedrze. Lata zrobiły swoje, a warunki życia w tamtej epoce były bardzo ciężkie. Jak na tamte czasy żył bardzo długo i zmarł w miejscu, któremu poświęcił wszystkie lata ciężkiej pracy. Ciekawy koniec jak na tak tajemniczego człowieka.

- Piękna śmierć. Każdy chciałby umrzeć w miejscu, w którym spędził tyle lat życia.

- Tak sądzisz? Moim zdaniem żył, zestarzał się i zgodnie z logiką życia spotkał go taki sam koniec, jaki czeka nas wszystkich: śmierć.

Ich spojrzenia spotkały się. Manolo milczał, czekał, aż Bety zabierze głos.

- A Diego z Siurany? Co się z nim stało?

- Po aresztowaniu w Barcelonie i pierwszym etapie tortur przewieziono go do Toledo, gdzie znowu trafił w ręce oprawców. Rozciągano go sznurami, łamano mu kości, wlewano w niego wodę, rozrywano wnętrzności, przypalano ogniem, rozdzierano, ciągnąc w przeciwnie strony za nogi. Tylko obecność medyka sprawiła, że nie umarł na miejscu. Za wszelką cenę chcieli go zmusić do mówienia. Kara była okrutna i niewspółmierna do „winy”. Nic jednak nie powiedział. Uparcie powtarzał, że nie wie, o co chodzi.

Tortury, jakim poddano Diega, nie były bardziej wymyślne od stosowanych wobec innych ofiar inkwizycji. Istniała jednak zasadnicza różnica. Były rozciągnięte w czasie. Trwały ponad dziesięć lat i powtarzano je co piętnaście dni! Zazwyczaj po trzech lub czterech sesjach podejrzanego o herezję skazywano na stos, dożywotnie kazamaty albo po publicznym auto-da-fé zostawał uniewinniony. Diego był jedyną ofiarą inkwizycji, którą tak długo torturowano, przynajmniej zgodnie z moją wiedzą, a wierz mi, przez moje ręce przeszło tak wiele dokumentów, że sam już wszystkich nie pamiętam.

- Dziesięć lat tortur - wyszeptała wstrząśnięta.

- Dziesięć lat. To wręcz niewiarygodne, że przeżył tak długo. W końcu jego udręczone ciało poddało się. Pewnie na długo przed śmiercią oszalał. W jego przypadku złamano zasadę, że podejrzanego można torturować tylko raz. W koniecznych przypadkach uciekano się do prawnego kruczka „zawieszenie przesłuchania”, pozwalającego po paru dniach, formalnie i zgodnie z procedurami, wznowić męczarnie. Oczywiście zezwalało na ponowne stosowanie tortur, ale tylko wtedy, gdy

pojawiły się nowe dowody lub wystąpiły jakieś dodatkowe okoliczności. Już po śmierci uznano go za winnego odstępstwa od wiary, a jego zwłoki spalono podczas wielkiego auto-da-fé, urządzanego w Toledo, w początkach lipca 1627 roku. Ale nieprawidłowości, charakterystyczne dla postępowania inkwizycji podczas całego procesu Diega z Siurany, nadal się pojawiały: jego nazwisko nie znalazło się na publicznej liście skazanych i przyznających się do herezji w rzeszonym auto-da-fé. Można się tego dowiedzieć wyłącznie z akt.

Ręce Manola, podczas całej opowieści spoczywające beczynn timer na stole obok notatek Bety, nagle przebudziły się z letargu. Podniósł je w górę z wdziękiem, o który by go nie podejrzewała, jakby tym gestem chciał podkreślić grozę zawartą w swoich słowach.

- Rozumiem.

- Rozumiesz?

- To nie jest takie trudne. Nie chciano, by pozostał po nim jakikolwiek ślad.

- Trafny wniosek, ale nie do końca - powiedział szczerze. - Inkwizycja działała w sposób uregulowany, nikt samowolnie nie łamał ustalonych praw. Jednym z najważniejszych było opublikowanie przed każdym auto-da-fé dokładnej listy nazwisk wraz z przewinieniami, by przypomnieć pospólstwu grzechy skazańców. Miała to być dla nich lekcja, że nie należy tak postępować; błędy popełnione przez sambenitów mogły bowiem przejść na sąsiadów, przyjaciół, braci i tak dalej.

- Nie tylko miał nie pozostać po nim żaden ślad, chcieli także wymazać wszelką pamięć o nim.

- Właśnie. - Ściszył głos, jakby zdradzał tajemnicę. - Akty urodzenia mieszkańców Siurany powinny znajdować się w księdze parafii Prades. Otóż w swoim czasie przejrzałem archiwa parafialne i stwierdziłem, że jego nazwisko nigdzie nie figuruje. Nie to, że zostało wytarte bądź skreślone, po prostu go nie było. Powinno też pojawiać się w dokumentach przechowywanych w archiwum arcybiskupstwa Barcelony, koniec końców piastował dość poczesne stanowisko, jednak, choć są to najbogatsze zbiory dokumentów kościelnych w naszym kraju, nigdzie nie ma śladu po nim. Diego z Siurany przestał istnieć, rozwiął się, zniknął, tak jakby się nigdy nie urodził. Dopiero w obecnych czasach ciekawski badacz, grzebiący w haniebnych historiach z przeszłości, natrafił na jego nazwisko.

- Wskresiłeś człowieka.

- Tak! - potwierdził podekscytowany. - Naukowców, niezależnie od dziedziny, pociąga możliwość odkrywania tajemnic. Wszystko jedno jakich: najważniejsze to wpaść na jakiś sekret, zmierzyć się z nim i rozwikłać go - wyznał. - Ja wpadłem na jeden z nich niemal mimowolnie, przekazałem go człowiekowi, który umiał to wykorzystać, to jest Shackermannowi, i kiedy już rozwiązanie tajemnicy było niemal w zasięgu ręki, nagle zniknęło, rozwiątało się, wyparowało, zakpiło z moich umiejętności, jak frywolna kurtyzana, która kusząc swoimi wdzykami, nagle oświadcza: „Jesteś blisko, ale mnie nie złapiesz”.

Bety nie mogła wprost uwierzyć w opowieść Manola. Była tak bardzo odległa od jej i Enrique'a wyobrażeń, niezależnie od tego, czy fantazjowali razem, czy osobno. Sama nie miała wiele do powiedzenia młodemu człowiekowi, który z dobrej woli przekazał jej całą swoją wiedzę na temat rękopisu i kryjących się w nim tajemnic. Trudno jej będzie dorównać Manolowi.

- Pora na mnie - powiedziała. - Twoja opowieść była dość długa, moja natomiast jest znacznie krótsza. Mam krewnych w Barcelonie, związanych z kręgami bibliofilów. Jeden z nich nabył ostatnio całą bibliotekę pochodzącą ze starego majątku ziemskiego. Tam wśród innych dokumentów znajdował się manuskrypt. Mój kuzyn zwrócił się do mnie o pomoc w przetłumaczeniu tego tekstu. Chętnie się zgodziłam, ponieważ rzadko przydarzają się nam podobne okazje. Niektóre fragmenty okazały się dość zawiłe. Pracę dodatkowo utrudniało wyjątkowo nieczytelne pismo autora, ale ukończyłam przekład bez większych problemów. Poddałam się dopiero przy zapiskach na marginesie. Jak zauważyłaś, pojawiają się od pewnego miejsca w tekście podstawowym. Przypuszczam, że powstały wiele lat po napisaniu manuskryptu. Ktoś czytając tekst, na gorąco spisywał swoje wrażenia. Nie rozumiem jednego. Skoro inkwizycja pragnęła zatrzeć wszelki ślad po Diegu z Siurany, dlaczego nie zniszczono manuskryptu Casadevalla wraz ze wszystkimi zapiskami na marginesie, będącymi dowodem czynów i istnienia Diega? Jak ten bezcenny dokument wymknął się z rąk inkwizytorów i trafił w nasze? To nie ma sensu!

- Przychodzi mi do głowy tylko jedno. Pamiętasz, jak na początku naszej rozmowy spytałem, gdzie go znalazłaś?

- Tak. Powiedziała, że w starym dworze Berguesów w Vic.

- Zgadza się. A pamiętasz, czy to nazwisko przewinęło się podczas naszej rozmowy?

- Właśnie... Teraz przypominam sobie, że parę minut temu, gdy rozmawialiśmy o Casadevallu, wymieniliśmy nazwiska najważniejszych mistrzów budowlanych i jednym z nich był właśnie Bergues!

- Architekt nazywał się Bargues, przez „a”, ale możliwe, że z biegiem lat zapis uległ zniekształceniu, i w rezultacie mamy Berguesa. Wszyscy mężczyźni z tego rodu byli od pokoleń budowniczymi i architektami; w tamtych czasach syn dziedziczył profesję po ojcu. Prawdopodobieństwo, że Diego z Siurany jako sekretarz arcybiskupstwa zetknął się z jednym z Berguesów, jest całkiem duże, ta hipoteza jest dość wiarygodna i pasuje do faktów. Nie wiem, w jakich okolicznościach na siebie wpadli i Diego przekazał mu manuskrypt, ale tak się stało. Czy Bergues przechował manuskrypt z przyjaźni? A może poznał tajemnicę? Chciał dalej prowadzić poszukiwania Diega czy musiał się poddać i przerażony mrocznym cieniem prześladowań inkwizycji zapomnieć o swoich pragnieniach? Któż to wie...

- Teraz rozumiem, dlaczego tak zareagowałaś, kiedy ci powiedziałam, że cała sprawa ma związek z Berguesami z Vic.

- Wszystko pasowało od samego początku. - Manolo obserwował ją w milczeniu. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jednak Bety poczuła niepokój, tak jakby ten młody człowiek domyślił się, że wprawdzie nie skłamała, ale nie mówiła też całej prawdy. - A teraz, gdy przetłumaczyłaś tekst łaciński, szukasz specjalisty, który pomoże ci zrozumieć tekst w starokatalońskim, to znaczy notatki spisane na marginesach rękopisu przez Diega z Siurany, bo nie ma wątpliwości, że to o niego chodzi -stwierdził Manolo. - Nie martw się: Quim przyprowadził cię do najlepszego!

Z pozornym spokojem Bety skinęła głową. Co do tego nie miała wątpliwości: Manolo był naprawdę najlepszy. I właśnie to ją niepokoiło.

11.

- To tutaj wszystko się zaczęło.

Enrique przyglądał się smukłym łukom podtrzymującym sklepienia katedry. W samym szczycie sklepienia dalekie zworniki wieńczące dzieło wyglądały -jak zawieszony w powietrzu, umieszczone tam ręką olbrzyma. Carlos patrzył w to samo miejsce - na jasną kamienną powierzchnię, która po pracach konserwatorskich, przeprowadzonych w początkach lat siedemdziesiątych XX wieku, i zeskrobaniu sześćsetletniej warstwy brudu odzyskała pierwotny kolor.

- Właśnie.

- I trwa, bagatela, już prawie sześćset lat.

- Tak - przytaknął Enrique.

O dziwo, w katedrze nie było zwykłych o tej porze tłumów turystów, którzy nie traktują tej szacownej świątyni jak miejsca kultu religijnego. Choć był jeszcze biały dzień, jakaś piąta po południu, zaledwie kilku wiernych, gorliwych i żarliwych katolików, w większości w podeszłym wieku, modliło się w bocznych kaplicach lub na kłęcznikach przed głównym ołtarzem. Ani hałaśliwe wycieczki Japończyków, uganiających się za najlepszymi ujęciami, ogarniętych szaleńcami, jaki w ich kraju wzbudza architektura Gaudiego, ani krajowi turyści, nieumiejący zachować się w kościele, nie zakłócili rozmowy Enrique'a z Carlosem. Wyjątkowa cisza i niezwykła akustyka gotyckiej katedry, wręcz wymarzona do wykonywania koncertów organowych, zmusiła ich do zniżenia głosu; nie chcieli mącić panującego w tym miejscu spokoju. Ławy kościelne były doskonałym miejscem do snucia szeptem opowieści o owianych tajemnicą wydarzeniach z odległej przeszłości.

Zastosowali się do wiszącego na drzwiach apelu o niezakłócanie dostojności świątyni.

- Już parę lat tu nie byłem - stwierdził Carlos. - Trzeba przyznać, że jest naprawdę imponująca. Zapomniałem, jaka jest piękna.

- Ja też - przyznał Enrique z uśmiechem. - Szczerze mówiąc, ta sprawa mnie przerasta, już sam nie wiem, gdzie jestem, co robię, jaka jest w tym wszystkim moja rola. Na początku wszystko wydawało się proste. Miałem złapać mordercę, pomścić śmierć Artura i odnaleźć tajemniczy skarb z przeszłości. Tymczasem mordercę wskazuje jakiś anonimowy informator, zemsta zostaje zatem dopełniona, a ja nie mam z tego żadnej satysfakcji. Skarb staje się coraz bardziej nieuchwytny, o ile w ogóle istnieje, i co najgorsze, odebrano mi dobre wspomnienia.

Carlos wybuchnął stłumionym, ze względu na powagę otoczenia, śmiechem.

- O mój Boże! Gdybyś w ten sposób przedstawił tę sytuację przeciętnemu wielbicielowi powieści sensacyjnych, zapewniam cię, że czułby się równie zagubiony jak ty. Słuchaj, życie wcale nie jest takie proste, składa się z tysiąca drobnych, wzajemnie ze sobą powiązanych wydarzeń. Niezwykle trudno dostrzec związek między nimi. Potrafią to wychwycić tylko nieliczni. Właśnie na tym polega praca detektywów i policjantów. Ci naprawdę dobrzy mają - a właściwie mamy, precz, skromności! - specjalne zdolności, szósty zmysł. Jesteśmy, nie bardzo wiem, jak ci to wyjaśnić...

- Podaj jakiś przykład - podsunął Enrique.

- Wyobraź sobie sieć rozpiętą przed tobą. W lewym górnym rogu zdarza się coś, co się przesuwają poziomo po sieci. Za każdym razem, kiedy dochodzi do krawędzi, schodzi o jeden szczebel w dół, o jeden węzeł niżej, i tak do samego dołu, gdzie w prawym rogu znajduje się rozwiązanie. Pionowe nitki sieci oznaczają zdarzenia równoczesne. Gdy badam jakąś sprawę, tworzę z otrzymanych informacji sieć wyobrażającą relacje zachodzące między wydarzeniami. W ten sposób, nie dysponując wszystkimi danymi, docieram do przeciwnego rogu sieci. Mówiąc inaczej, idę jak po sznurku.

- Bardzo klarowne.

- Rzeczywiście. Szkoda, że rzetelna praca nie daje gwarancji sukcesu, tak jak w tym przypadku. Śledztwo wykluczyło Samuela z grona podejrzanych. Miał dobre alibi, tłumaczyłem ci podczas obiadu. Podobnie jak dwóch twoich potencjalnych winowajców. A teraz zjawiasz się w mojej agencji, odrywasz mnie od obowiązków, za co ci w gruncie rzeczy dziękuję, bo, szczerze mówiąc, jestem dość leniwy, a w życiu zawodowym doszedłem do takiego momentu, że inni za mnie pracują, ja tylko odcinam kupony, wyciągasz mnie na obiad na Plac Reial i oświadczasz, że złapano mordercę Artura. I nie tylko to: potem opowiadasz mi jakąś niewiarygodną historię sprzed pięciuset lat o ukrytym skarbie i ku mojemu zaskoczeniu twierdzisz, że Artur był zamieszany w nielegalny handel dziełami sztuki.

- Nie krytykuj mnie. Możliwe, że moja pisarska wyobraźnia miała coś wspólnego ze stworzeniem tak skomplikowanej historii, której dała się zwieść nie tylko Bety, ale także taki zawodowiec jak ty. Ale musisz przyznać, że elementy pasują do siebie idealnie. Co ty wtedy powiedziałeś? Że doświadczenie nauczyło cię nie wierzyć w przypadki, albo coś w tym stylu...

- Tak powiedziałem - przyznał Carlos. - Bo to prawda. Ale niezależnie od tego, czy ta historia jest wiarygodna, czy nie, zataiłeś przede mną pewne istotne informacje. Już podczas naszej pierwszej rozmowy na jachcie wiedziałem, że coś przede mną ukrywasz, i dałem ci to jasno do zrozumienia. Nie czuję się obrażony, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś.

Enrique pokręcił bezradnie głową. Nie wiedział, co nim powodowało, że ujawnił przyjacielowi tylko część prawdy.

- Daj spokój! Gdy przyszczaty dwudziestolatek nie zna powodów swojego postępowania, mogę to zrozumieć, ale ty, dorosły, poważny facet, a na dodatek mój przyjaciel!

- Naprawdę nie wiem. To żadne usprawiedliwienie, wiem, ale może zrobiłem tak pod wpływem emocji, że znalazłem skarb. Podobnie czułem się w dzieciństwie, gdy ojciec czytał mi Wyspę skarbów. Chowaliśmy w domu jakiś przedmiot, a mama go szukała. Brakowało tylko kapitana Flinta pojawiającego się w moich snach i papugi skrzeczącej: „Jo, ho, jo, ho i butelka rumu”. Carlos, cholera jasna, bardzo mi przykro. Nie chciałem cię okłamać.

- Komu innemu dałbym za coś takiego kopa w tyłek, ale ty zawsze byłeś nieprzewidywalny. Nie śmiej się. Zawsze próbowałeś skupiać na sobie uwagę całego świata i nie przyjmowałeś do wiadomości, że świat świetnie sobie bez ciebie poradzi.

- Dobra, zasłużyłem na burę - przyznał Enrique.

- Tak, ale jesteś moim przyjacielem - stwierdził Carlos - dlatego tym razem ci wybaczam.

Umilkli. Naszły ich ciepłe, pełne nostalgii wspomnienia długoletniej przyjaźni. Przez chwilę napawali się uczuciem prawdziwie męskiego braterstwa, którym tak rzadko można się w pełni cieszyć. Nie odzywali się, słowa mogły zniszczyć magię.

Jakaś starszuszka zapaliła świecę przed wizerunkiem świętego Pankracego. W powietrzu uniósł się zapach kadzidła i palącego się wosku. Przysięgliby, że jest to chwila oderwana od rzeczywistości.

- Jak sobie radzisz z rewelacjami na temat Artura? - spytał Carlos ze współczującym uśmiechem.

Rozdrapał świeżą ranę. Enrique oparł czoło o metalową barierkę oddzielającą od chóru.

- Źle - rzucił krótko i ukrył twarz w dłoniach.

Zabrzmiało to żałośnie. Nastrój Enrique'a uległ radykalnej zmianie i nawet nie próbował tego ukryć. Carlos, zanim zadał pytanie, myślał, że wie, jak się czuje jego przyjaciel, jednak nie przypuszczał, że prawda o ojcu tak bardzo go dotknie. Odkąd podczas obiadu Enrique opowiedział mu o nielegalnej, przestępczej działalności Artura, nie wracał już do tego tematu. Widać było, że jest to dla niego

bolesne. Nie chciał zostawiać kumpla samego z rozdartym sercem. Cierpienie dzielone z bliźnim staje się mniej dotkliwie, przynosi pociechę i stanowi pierwszy krok ku błogosławionemu zapomnieniu.

- Chodźmy stąd - zaproponował.

Podnieśli się jednocześnie. Wyszli z katedry bocznymi drzwiami na wirydarz. Wiosenne słońce ciągle jeszcze rzucało ukośne promienie na miejsce, które dawniej skłaniało do medytacji i religijnych uniesień, teraz zaś dla większości było zwykłym dziedzińcem i tylko dla nielicznych zakątkiem skłaniającym do zadumy. Stąpali po kamiennych płytach, pod którymi spoczywały szczątki dostojnych mężów, członków barcelońskich gremiów i kupieckich gildii. Na Carrer Bisbe Irurita Enrique pożegnał się z przyjacielem.

- Nie chcę więcej o tym rozmawiać. Dziękuję ci z całego serca, ale chciałbym przejść się sam.

Carlos nie nalegał. Jako dobry przyjaciel dał Enrique'owi możliwość wyżalenia się, zwierzenia, rozładowania emocji. Nie skorzystał - jego problem. Nic na to nie poradzi.

- W porządku. - Ucisnął mu rękę. - Wracam do biura. Kiedy wyjeżdżasz?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Chyba wkrótce.

- Pamiętaj, przed wyjazdem koniecznie do mnie zadzwoń. Wieje północny wiatr. Moglibyśmy popływać któregoś dnia.

- Postaram się. Dzięki za wszystko, stary. - Ucisnął mu dłoń i ruszył Baixada de Santa Eulàlia.

Schodził w dół uliczką, gdzie przed wiekami zamęczono niewinne dziewczę, późniejszą patronkę Barcelony. Oprawcy wsadzili ją do beczki nabitej gwoździami i stoczyli po starożytnym Mons Taber Romano. Miał wrażenie, że dziwnym zrzędzeniem losu kroczy po jej śladach. On też był męczennikiem, choć jego kalwaria nie miała wymiaru fizycznego, lecz duchowy. Gdy Fornells zdradził mu najnowsze szczegóły dotyczące śledztwa i zostawił go samego w barze London, poczuł się zupełnie zdruzgotany, jakby spadł mu na plecy ciężar nielegalnej działalności Artura, przytłoczył go, przydusił. Błąkał się bez celu po porcie, próbując zebrać myśli. W końcu stwierdził, że śledztwo prowadzone przez Carlosa nie ma już sensu. Poszedł zatem do agencji przyjaciela, by podzielić się z nim wiadomością o zaskakującym zwrocie w policyjnym dochodzeniu i znaleźć pociechę, o którą, tego akurat był pewny, duma nie pozwoli mu prosić.

Szedł teraz w stronę Carrer de la Palla - serca barcelońskich antykwariuszy - i z daleka dostrzegł sklep Artura. Ruszył dalej i po paru minutach oparł czoło o chłodną szybę wystawy, nad którą widniał napis S. HOROWITZ. ANTYKWARIUSZ. Lokal Samuela, najlepszego przyjaciela jego ojca, miał nowoczesny wystrój, zupełnie inny niż stary antykwariat Aiguadera. Właściciel wykorzystał niskie łuki podporowe starej kamienicy, liczącej sobie bez mała czterysta lat, i stworzył efektowny kontrast ceglanych sklepień z jasnym kolorem ścian. Ciepłe, choć intensywne oświetlenie wydobywało urok i jakoś eksponatów, w większości o charakterze sakralnym. W sklepie Samuela w oczywisty sposób jakoś przeważała nad ilością. W środku kobieta o eleganckiej, smukłej figurze przeglądała dokumenty rozłożone na siedemnastowiecznym, barokowym biurku, ustawionym między dwoma łukami. Czarne lśniące włosy opadały jej swobodnie na obnażone ramiona. Miała na sobie lekką sukienkę na ramiączkach, w intensywnym kolorze bordo, podkreślającym jasne tęczęwki oczu. Stał wpatrzony w nią. Mariola z naturalnym wdziękiem przeglądała księgi. Klasę i styl widać było nawet w zwykłych, codziennych, pozornie pozbawionych znaczenia gestach.

W końcu zobaczyła go za szybą. Nie musiała nawet podnosić głowy, ostrzegł ją instynkt, tajemny zmysł, podpowiadający, że jesteście obserwowani. Początkowy wyraz zdziwienia szybko przeszedł w uwodzicielski uśmiech. Nie wypuszczając pióra z ręki, skinęła na niego, żeby wszedł do środka. Enrique pokręcił przecząco głową. Wtedy szybciotko, jakby pod wpływem magii, wyszła do niego. Powitała go ciepłym, uroczym uśmiechem:

- Cześć.

- Witaj.

- Myślałam, że zadzwonisz do mnie rano.

- Chciałem, ale nie miałem czasu. Policja zatrzymała mordercę Artura.

Mariola zmarszczyła brwi. Po raz pierwszy Enrique dostrzegł taki wyraz na jej twarzy i nie potrafił zrozumieć jego znaczenia.

- Nie wejdiesz? Powinniśmy o tym porozmawiać.

- Nie mam ochoty. Lepiej ty wyjdź.

- Jestem sama - zaproponowała Mariola. - Samuel ma jakieś sprawy do załatwienia i nie będzie go aż do wieczora. Musiałabym zamknąć sklep.

- Proszę.

W odpowiedzi Mariola weszła do antykwariatu, pogasiła światła i włączyła alarm. Przed wyjściem otuliła szyję zwiewnym szalem i włożyła elegancki, w kolorze lilaróż, długi żakiet z dużym dekoltem, z kołnierzykiem, mankietami i dołem wykończonymi miękką wełną angorską.

- Gdzie pójdziemy?

- Nie mam pojęcia. Włóczyłem się bez celu, aż trafiłem na wasz antykwariat. Połazimy zaułkami.

- Dobrze.

Mariola wzięła go pod ramię i udali się niespiesznie w stronę Pla de la Catedral.

- Kto go zabił?

- Właściwie nie powinienem ci tego mówić.

- Daj spokój! - zbesztala go. - Myślisz, że zaraz wykrzyczę nowinę na wszystkie cztery strony świata?

- Prawdopodobnie niejaki Phillipe Brésard - wyznał Enrique. W głębi duszy aż się palił do podzielenia się tą wiadomością.

- Francuz - rzuciła Mariola.

Enrique stanął jak wryty.

- Znasz go?

- A któż go nie zna?

Straszna myśl przemknęła Enrique'owi przez głowę.

- Ty też z nim pracowałaś.

- Nie trzeba z kimś „pracować”, jak to określiłeś, żeby go znać. Słyszałam o przypadkach korupcji w Hiszpanii, a nie jestem w żaden sposób związana z bohaterami tych afer - odpowiedziała spokojnie, nie okazując ani trochę zdenerwowania czy urazy.

- W takim razie...?

- Od dzieciństwa byłam związana ze światem antykwariuszy i handlem dziełami sztuki. Brésarda nie znali może zwykli ludzie, ale w naszym środowisku stał się czarną legendą. Jak mogłeś przypuszczać, że członkowie naszego stowarzyszenia nie znają największego złodzieja dzieł sztuki w Europie, a może i na świecie? Dziwi mnie to, że ty o nim nie słyszałeś.

Może dlatego, że nie wyczuł w jej głosie ani śladu gniewu, Enrique miał wrażenie, że popełnił gafę.

- Nie powiedziałem, że znałaś go osobiście. Zdaniem komisarza Fornellsa większość liczących się antykwariuszy handluje nielegalnie dziełami sztuki. Istnieje nawet wyspecjalizowany w tropieniu takich przypadków oddział policji, operujący na obszarze całego kraju - usprawiedliwiał się.

- O tym też wiem, ale nie należę do osób, które utrzymywały kontakt z Brésardem.

Mariola pokazała nowe oblicze. Do tej pory spędził z nią nieliczne chwile, które pozwoliły mu zauważyć zaledwie cząstkę jej osobowości. Wiedział, że jest wykształcona, pełna pasji, ale i rezerwy, czego dowodem była obojętna i niewzruszona postawa. Nie okazywała ani trochę urazy, mimo że wytoczył oskarżenia dużego kalibru. Zrobił na nim wrażenie bezbarwny, beznamiętny ton jej głosu.

- Znam Brésarda tylko ze słyszenia i nigdy w życiu z nim nie „pracowałam” - dodała.

To właśnie chciał usłyszeć. Ważniejsze było potwierdzenie, że nie miała żadnych związków z nielegalnym handlem dziełami sztuki, niż zgorzzenie, jakie mogła wywołać nawet ostra scysja na środku ulicy. Uspokojony odpowiedzią, nie wiedział, jak podtrzymać rozmowę. Spojrzał na nią: nie wyglądała na obrażoną. Pociągnęła go w stronę Carrer del Bisbe Irurita. Minęli dwie wysokie wieże strażnicze dawnego rzymskiego miasta i skręcili w prawo, niemal w tym samym miejscu, gdzie przed godziną pożegnał się z Carlosem.

Powoli zapadał zmierzch. Nad miastem rozciągały się ciężkie, posępne chmury, pogrążające ulice dzielnicy gotyckiej w mroku. Chmury jaskółek, które w swoich wędrówkach zatrzymały się w Mieście Książęcym, krążyły na tle nieba w obłędnym chaosie, kreśląc przedziwne figury, trudno dostrzegalne ludzkim okiem, i wyśpiewywały radosne trele.

Wąską uliczką pod łukowatym przejściem dotarli do Plaça de Sant Felip Neri. Szum wody z ośmiokątnej fontanny pośrodku odbijał się echem na pustym placu. Cztery rozłożyste drzewa, pokryte świeżym zielonym listowiem, rzucały tak gęsty cień, że dwoje młodych ludzi z trudem rozróżniało swoje twarze.

Mariola przysiadła na obramowaniu fontanny. Enrique stanął obok niej i pogłaskał ją delikatnie po głowie. Pochylił się, żeby ją pocałować, ale odsunęła się. Spróbował ponownie, lecz odepchnęła go stanowczo.

- Nie chciałem cię zranić - powiedział skruszony.

- Wiem. - Przyciągnęła go do siebie. - Ale to zrobisz.

Wątko światła latarni nieśmiało rozpraszało półmrok. Enrique znowu pogłaskał Mariolę po jedwabistych włosach; z wolna rozluźniała się pod dotykiem jego dłoni. Ujęła ręce Enrique'a w swoje i podniosła głowę, spojrzała mu w oczy.

- Zapomnijmy o tym - wyszeptła.

Pocałował ją. Było to raczej delikatne muśnięcie warg, bardziej pieszczota niż namiętny pocałunek. Wskazała mu miejsce obok siebie. Enrique chciał przerwać ciszę, ale nie wiedział, jak zacząć.

- Pięknie tu - powiedziała Mariola.

Plac naprawdę był piękny - magiczny zakątek w magicznym mieście.

- Rzeczywiście. - Enrique rozejrzał się wokół.

Zmierzch przeszedł w mrok. Delikatne, przyćmione światło lamp na placu podkreślało urok chwili.

- Ten zakątek Barcelony przypomina mi najpiękniejsze miasto na świecie - wyznał.

- Jakie?

Miał wrażenie, że Mariola doskonale wyczuwa jego zamiary i teraz podsuwa mu temat rozmowy.

- Wenecję. Tylko tam można znaleźć takie zakątki jak ten.

- Wenecja jest pełna melancholii, tak jak ty - zauważyła przenikliwie Mariola. - Co łączyło Artura z Brésardem?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Interesy - odpowiedział zgnębiony. - Artur upłynął towar skradziony przez Brésarda.

- Bardzo źle zniosłeś tę wiadomość, prawda?

- Tak.

- Nigdy nie znamy do końca swoich bliskich, nawet tych najbardziej kochanych. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, jest zadufany w sobie. A zresztą czy jest ktoś na świecie, kto z ręką na sercu może powiedzieć, że zna samego siebie?

- Chyba tak.

Pogłaskała go delikatnie po głowie.

- Widzę, że jesteś jeszcze niedoświadczonym dzieciakiem. Posłuchaj: nie dowiemy się, jacy naprawdę są inni, póki się nie przekonamy. - Po chwili ciągnęła dalej: - Złamię jedną z moich podstawowych zasad współżycia w parze i dam ci dobrą radę: nigdy, przenigdy nikogo nie oceniam. Nie oceniam, nie krytykuję, nie osądzam, nie potępiam, nie wyrokuję. Każdy z nas jest jedyny, niepowtarzalny i kieruje się w życiu powodami niezrozumiałymi dla reszty. To dotyczy nas wszystkich. I pamiętaj: nie chodzi o to, żeby nie mieć swojego zdania, nie dzielić się myślami. Po prostu nie należy osądzać. Bo w końcu kim my jesteśmy? Wszyscy popełniamy błędy, grzeszymy, błądzimy.

- Nie osądzaj, a nie będziesz osądzony.

- Właśnie. Któż z nas zna powody, dla których Artur kontaktował się z Francuzem?

- Według Fornellsa Brésard miał powiązania z wieloma antykwariuszami w Barcelonie.

- Możliwe - przyznała Mariola. - Niektórzy z nich żyją ponad stan, tracą kontrolę nad wydatkami.

Natychmiast przed jego oczami pojawiła się willa Marioli. Ogromna, luksusowa, przy której jego skromny apartament na zbieżności Igueldo wyglądał po prostu żałośnie. Ale była przecież współniczką Samuela, a przy tym jedyną dziedziczką fortuny zamożnego mieszczańskiego rodu. No i dała mu słowo. I to wystarczyło.

- Szczerze mówiąc, tylko niewielu z nich mogło liczyć na współpracę z Brésardem - ciągnęła. - Dopiero wieloletnie wspólne kontakty mogą się przyczynić do stworzenia zaufania, niezbędnego w tego rodzaju interesach. Oprócz tego trzeba mieć odpowiednie dojścia do określonych środowisk. Ceny na czarnym rynku są wysokie, nikt nie zaryzykuje bez ustalonego z góry zysku.

- W każdym razie po aresztowaniu Brésarda może wpaść wielu z twoich szacownych kolegów. Znacznie korzystniejsze jest dla niego złożenie zeznań niż uparte milczenie.

- Możliwe. Pewnie wkrótce się czegoś dowiemy. Niejednemu aresztowanie Francuza odbije się czkawką! - Roześmiała się. - Ale to nieistotne. Najważniejsze, że złapali mordercę Artura. Mam nadzieję, że do końca życia będzie gnić w kryminale.

- Jeszcze nie wiadomo na pewno, czy on to zrobił. Na razie policja dysponuje tylko poszlakami, nie ma żadnych niezbitych dowodów.

- Jeśli nie on, to kto? Nie, to na pewno Brésard. Artur był dobrym człowiekiem. Nikt z nas by go nie skrzywdził.

Enrique zastanawiał się, czy opowiedzieć jej o manuskrypcie. Teraz, patrząc na to z dystansu, utrzymywanie sekretu nie było już potrzebne. Wina Brésarda zmieniała wszystko, a zresztą czy wypadało zatajać coś przed nią po tym, co się między nimi zdarzyło przed niespełną dobą? Rozmyślał nad tym. Szczerze mówiąc, była mu bliska, może nawet za bardzo, jak na tak krótką znajomość. Była taka wspaniała, idealna, szlachetna... Nie widział w niej żadnej wady, może z wyjątkiem ledwie wyczuwalnej rezerwy, co w jego oczach dodawało jej uroku. To, co u innych mogło być wadą, u niej stawało się zaletą. Była bezsprzecznie piękna, i to obiektywnie, na dodatek inteligentna i błyskotliwa, o magnetycznej osobowości. Różniła się od kobiet, jakie znał. A raczej stanowiła absolutne przeciwieństwo Bety, jedynej kobiety, którą tak naprawdę zdołał poznać.

Mariola oderwała go od rzeczywistości. Teraz to zrozumiał, myślał bowiem o niej bezustannie, nawet wtedy, kiedy pochłaniały go inne sprawy związane z Arturem, Carlosem, rękopisem, Bety... Ciągle miał ją przed oczami, cały czas była w jego głowie, zajmowała wszystkie jego myśli.

- O czym tak dumasz? - spytała.

- O niczym szczególnym. Zastanawiam się nad tą cholerną sprawą.

- Mów, o co chodzi. Myślałeś o czymś konkretnym. Wyraz twarzy cię zdradził.

Bety ma rację. Wszystko po mnie widać! - stwierdził w duchu.

- Prawdę mówiąc, myślałem o tobie.

- Ty podrywacz! Nie wierzę ci.

- Przysięgam.

To była prawda, ale nie cała. Owszem, myślał o Marioli, ale nie w taki sposób, jak sądziła. W gruncie rzeczy zastanawiał się, czy może jej powierzyć tajemnicę manuskryptu. Nie martwił się tym, że zdradzi swój sekret. Był pewny jej dyskrecji, a nawet w razie czego pomocy. Ale pamiętał jeszcze reakcję Bety sprzed paru dni i nie chciał zrobić sobie z niej wroga. Zachowała się przecież tak wspaniale, pomagała mu, pocieszała, dlatego teraz wolał konsultować z nią każdy swój krok, tak jak o to prosiła.

Z drugiej strony, gdyby się przyznał, że podejrzewał Samuela, najbliższego przyjaciela Artura i wspólnika Marioli, a nawet prowadził prywatne śledztwo i próbował zastawić pułapkę, totalnie by się ośmieszył. Samuel mógłby się obrazić. Oczywiście, gdyby to dotyczyło Enrique'a, wściekłby się, i to bardzo. Nie, lepiej na razie tę sprawę odłożyć, przynajmniej na jakiś czas.

- Nie wiem, czy mogę ci wierzyć - powiedziała po namyśle.

- Jesteś pewna, że wcale o tobie nie myślałem?

- Tak.

- W takim razie do mnie należy przywilej wątpienia - podsumował Enrique.

Plac ożywiły chłodne powiewy nocnego wiatru. Mariola wzdrygnęła się i jej oczy poszukały oczu Enrique'a.

- Chyba już za późno na tak lekki strój - stwierdziła. - Muszę wracać do sklepu.

- Odprowadzę cię.

Opuścili plac zaułkiem łączącym go z Baixada de Santa Eulàlia. Mariola przytuliła się do Enrique'a, a on, chcąc ją rozgrzać, objął ramieniem.

- Chciałabym cię o coś prosić - powiedziała.

- Słucham.

- Mówiłeś o Wenecji.

- Tak.

- Choć brzmi to niewiarygodnie, nigdy tam nie byłam. Chciałabym, żebyśmy pojechali tam razem.

- Kiedy tylko zechcesz. Złożyłem już u wydawcy maszynopis mojej ostatniej powieści i chyba nie będzie wymagał wielu poprawek. Mam mnóstwo czasu.

- Wkrótce. Wybierzemy się tam wkrótce - powiedziała i pocałowała go w policzek.

Pozostawiając Mariolę w antykwariacie, Enrique odczuł dojmujące wrażenie pustki, jaką zawsze budzi rozstanie z ukochaną osobą. Tak bardzo pragnął być z nią, że nawet był gotów zostawić Bety samą w pustym domu w Vallvidrerze. Jeśli tak nie zrobił, to tylko przez wzgląd na zobowiązania i dług wdzięczności wobec byłej żony. Bety co prawda zaaprobowwała jego nowy związek, byłoby jednak nietaktem nie wrócić na noc do domu. Nie zasłużyła sobie na to. A zatem, pełen mieszanych uczuć spowodowanych sensacyjnymi wiadomościami, dręczącymi jego duszę, żalu i bólu, jakie sprawiło mu nieoczekiwane ujawnienie prawdy, oraz szczęścia ze spotkania z ukochaną, ruszył do Vallvidrery.

12.

Jechał prosto do domu. Noc otulała mrokiem stojące na poboczach samochody, w których młodzi ludzie podziwiali wdzięki, jakimi natura hojnie obdarzyła ich towarzyszek, zamiast zachwycać się widokiem księżycy. Czuł się zraniony, przybity, a nawet zrozpaczony: nie mógł być z Mariolą, a z uczuciami przepełniającymi mu duszę dom Artura nie był najlepszym miejscem do wypoczynku. Właściwie nie były to uczucia, lecz duchy, widma. Teraz rozumiał sens frazesu, literackiej metafory mówiącej o „widmach przeszłości”. One naprawdę istnieją, osaczają nas, gotowe w każdej chwili przypomnieć o czyhających nieszczęściach. Żeby iść naprzód, trzeba się od nich odciąć, gdy tylko się pojawią.

Zaparkował przed domem Artura. Był w Vallvidrerze, na zboczu wzgórza Tibidabo, którego historię świetnie poznał w szkole prowadzonej przez salezjanów. Cała góra należała ongiś do bogatej rodziny katalońskiej. Ostatnia z rodu, bogata sukcesorka Dorotea de Chopitea, podarowała ziemię salezjanom z okazji uroczystej wizyty świętego Jana Bosco w Barcelonie. Salezjanie stopniowo wyprzedawali kolejne, coraz większe parcele, aż po sam szczyt, stanowiący ostatnią redutę zakonu. Obecnie wznosi się tam kościół Serca Jezusowego, z którego schodów rozciąga się rozległa panorama. Wkrótce prężna, zamożna burżuazja barcelońska zaczęła zabudowywać górę za pieniądze wypracowane w pocie czoła przez tysiące najemnych robotników.

W domu paliło się światło. Bety już wróciła. Enrique, siedząc w samochodzie, patrzył na jego konstrukcję, lekką i kruchą, tak inną od ciężkiego, przeładowanego stylu rezydencji masowo wznoszonych w tej okolicy. Stał między dwoma letnimi pałacami, pochodzącymi z epoki, kiedy odległe od miasta Tibidabo było synonimem wymarzonej arkadii. Artur polecił zbudować niewysoki, jednopiętrowy dom z mansardką, o prostych, eleganckich liniach i rozbudowanym parterze. Największą ozdobą był taras, na który wychodziły niemal wszystkie pokoje. Szeroki i wygodny, okalający dom z dwóch stron, pozwalał napawać się wspaniałym widokiem. Enrique zdał sobie sprawę, że grunt musiał kosztować fortunę, a budowa pewnie drugie tyle. Takiego majątku nie zdobywa się w legalny sposób. Przez prawie piętnaście lat mieszkał tu, szczęśliwy, niczego nieświadomy, oderwany od rzeczywistości. Przyzwyczał się do rozległej panoramy, uznał ją za naturalną oczywistość, i na swoje siedlisko wybrał podobne miejsce, tyle że nie w Barcelonie, ale w San Sebastián, i nie na zboczu Tibidabo, lecz Igueldo. Bo o marzenia, choć z początku wydają się nieosiągalne, trzeba walczyć. Tak właśnie postąpił, choć do tej pory nie zdawał sobie z tego sprawy. Tuż po przyjeździe do San Sebastián często pływał po zatoce, a jego bujna wyobraźnia żywiła się idealnym krajobrazem La Conchy, zawieszonym między niebem, ziemią i morzem. Dzięki wytężonej pracy i zdolnościom twórczym osiągnął to, czego pragnął.

Ta myśl okazała się zwodnicza. Artur miał przecież podobne doświadczenia; gdy przewrotny los wyrzucił go poza nawias jego świata, został zmuszony do walki o przetrwanie w obcym środowisku. Walczył i wygrał. Ten dom był tego niezbitym dowodem. Za powrót do dawnego świata musiał drogo zapłacić: złamać prawo, w nielegalny sposób handlować dziełami sztuki, stanowiącymi dziedzictwo narodowe. Większość tych bezcennych rzeczy zgniłaby, wyrzucona na dwór, niszczone przez deszcz i słońce, nieodnawiana z powodu kłopotów finansowych nękających pogrążony w wiecznym kryzysie Kościół. Natomiast Enrique'owi wszystko sprzyjało już od dzieciństwa. Dorastał w odpowiednim otoczeniu, czuł się kochany, najpierw przez rodziców, potem przez Artura. Nigdy nie cierpiał głodu ani głodu. Zawsze był przy nim ktoś bliski, kto go pocieszył, gdy łzy napływały do oczu. Otrzymał staranne wykształcenie, znacznie lepsze niż większość rówieśników, a wiedzę przekazywano mu w taki sposób, że nauka stała się dla niego przyjemnością. Otoczony troską i czułością Artura, rozwinął w sobie zdolności twórcze.

Gdyby nie Artur, nigdy nie poświęciłby się pisaniu. Jego przybrany ojciec zachęcał go, a nawet wspierał finansowo przez pierwsze lata, kiedy po ukończeniu studiów Enrique zwierzył mu się ze

swoich ambicji, a potem doradzał i poprawiał teksty. Był zatem jego pierwszym czytelnikiem i zarazem krytykiem. Wszystko, do czego doszedł, zawdzięczał swojemu przybranemu ojcu. Czy w takim razie miał prawo go osądzać? I w końcu kim on był, żeby ferować wyroki? Mariola miała rację. Nie mamy prawa krytykować innych, wszyscy popełniamy błędy.

Pokrzepiony tymi myślami, wysiadł z samochodu. Znowu poczuł w sobie siły, może niezbyt wielkie, ale wystarczające, aby udzielić wyczerpujących wyjaśnień, jakich z pewnością zażąda jego była żona. Otworzył drzwi i poszedł do kuchni, w której paliło się światło. Nagle na progu stanął jakiś dziwacznie ubrany mężczyzna. Przestraszony niespodziewanym widokiem, Enrique cofnął się pod ścianę, ogarnięty panicką myślą: oto morderca Artura. Spojrzeli na siebie, intruz trzymał w prawej ręce szklankę pełną soku i przyglądał mu się z ciekawością i jednocześnie z pobłażaniem.

- Cześć. - Wyciągnął do niego rękę. - Ty pewnie jesteś Alonso, pisarz.

Do przedpokoju wpadła Bety i przerwała tę niezręczną chwilę. Natychmiast przejęła kontrolę nad sytuacją. Enrique w dalszym ciągu trzymał się blisko ściany, z dala od nieznanego.

- Kto to jest?

- Chyba przestraszyłeś Enrique'a - zauważyła Bety ze słabo ukrywanym uśmiechem. - Manolo, przedstawiam ci Enrique'a Alonsa, mojego byłego męża. Enrique, to jest Manolo Álvarez, filolog z uniwersytetu barcelońskiego. Pomaga mi w tłumaczeniu rękopisu Casadevalla.

Ciągle jeszcze nieufny, podał mu rękę. Manolo uściśnął ją energicznie, choć trochę nonszalancko. Spocona dłoń chłopaka skojarzyła się Enrique'owi z oślizgłą rybą. Bety, która już zdołała rozgryźć swojego nowego współpracownika, natychmiast pojęła znaczenie tego gestu. Manolo ulegał konwenansom towarzyskim z czysto praktycznych względów. Poddanie się ustalonym normom i zasadom, choć się z nimi nie zgadzała, dawało oszczędność czasu i pozwalało uniknąć niepotrzebnych wyjaśnień.

- Przepraszam za moje zachowanie... - tłumaczył się Enrique. - Zaskoczyłeś mnie. Skąd się tu wzięłeś?

- Nie przejmuj się, każdy by się śmiertelnie przestraszył, widząc obcego faceta w swoim domu.

Enrique przyjrzał się uważnie nieznanemu. Nie rozumiał, jak Bety mogła zaprosić tu tego dziwnego faceta.

- Przepraszam - zwrócił się do gościa - chciałbym porozmawiać z Bety na osobności.

- Ależ oczywiście. Poczekam na tarasie.

Enrique zaciągnął Bety do kuchni. Ona, dobrze znając charakter swojego byłego męża, przezornie zamknęła drzwi.

- Możesz mi wytłumaczyć, co ten typ robi w moim domu?

- Kiedy rano przekazałeś mi przez telefon wiadomość, że aresztowano mordercę Artura, postanowiłam skonsultować moje tłumaczenie zapisków z marginesu ze specjalistą z wydziału filologii katalońskiej. Sama nie mogłam sobie z nimi poradzić, potrzebowałam pomocy fachowca. Poprzez moje kontakty na romanistyce trafiłam na Manola, który jest najlepszym tłumaczem, jakiego w życiu znałam.

- Ten facet jest tłumaczem?

- Tak. Jest nie tylko najlepszym tłumaczem, ale także wybitnym filologiem.

- Dodaj jeszcze, że to językowy geniusz, uklęknij przed nim i bij mu pokłony - rzucił z sarkazmem Enrique.

- To geniusz i mogę paść przed nim na kolana nie tylko z tego powodu. Zapewniam cię, że w całej Hiszpanii nie ma lepszego specjalisty. Chłonie języki jak gąbka. Taki umysł trafia się raz na sto lat. To Burton albo Humboldt dwudziestego wieku - wyjaśniała cierpliwie Bety.

Enrique tracił powoli opowiadanie.

- Guzik mnie obchodzi jego zdolności! Cztery dni temu krytykowałeś mnie za to, że samowolnie podjąłem decyzję, a teraz ty mi robisz takie niespodzianki! To nie do wiary! - Jak zawsze, kiedy był wściekły, miotał się po kuchni od ściany do ściany, wyrzucając z siebie potok słów. - Jak mogłaś wpaść na tak idiotyczny pomysł, żeby opowiedzieć historię manuskryptu jakiemuś obcemu facetowi i nie spytać mnie o zdanie? Cholera jasna, wprost nie mogę w to uwierzyć!

- Zamknij się i słuchaj, kretynie! - wrzasnęła. - Skończyłam tłumaczenie i nie znalazłam słowa na temat miejsca ukrycia tego nieznanego przedmiotu. Jedyne nadzieje w zapiskach na marginesie, a tylko doświadczony ekspert...

- Nie miałaś prawa!

- Zamknij się wreszcie!

Enrique spojrzał na nią zupełnie zdezorientowany. Nigdy, nawet podczas najgorszych awantur, gdy byli jeszcze razem, Bety tak się nie uniosła. Chyba nawet zapomniała o obecności Manola. Z pewnością słyszał jej wrzaski. Zadzyszana i pewnie równie zaskoczona swoim niespodziewanym wybuchem, wyciągnęła w jego stronę wskazujący palec.

- O co ci chodzi? Może mi wyjaśnisz, jaki ma sens utrzymywanie tajemnicy teraz, kiedy nie ma już takiej potrzeby? Staram się wyjaśnić problem, którego sami nie mamy rady rozwiązać! Czy wspomnienie Artura zupełnie zaćmiło ci rozum?

Enrique nie poruszył się, zacisnął tylko mocno pięści. Wyraz jego twarzy kazał Bety się cofnąć. Przeraziła ją widoczna w jego wzroku agresja. Jak zawsze podczas kłótni ostatni strzał oddany przez Bety okazał się śmiertelny.

- Bardzo mnie zraniłaś. Nie wiesz, i pewnie sobie nawet nie wyobrażasz, jak bardzo. Nie powinnaś była tego mówić.

W miejsce złości pojawił się głęboki zawód.

- Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć.

- No myślę. W San Sebastián zdarzyło się to samo. Pamiętasz? Przyszedł do mnie z wiadomością o śmierci Artura. I miałaś rację, koniec końców zawsze mówimy to, co czujemy, nawet jeśli to zaboli drugą osobę. W porządku, zapomnijmy o tym. A teraz powiedz mi, o co chodzi.

Stłumili uczucia w sobie. Pozorny spokój Enrique'a nie oszukał Bety. W gruncie rzeczy czuła się winna. W takich sytuacjach najlepszym lekarstwem jest czas. Napięcie mogło także rozładować wysłuchanie wniosków i hipotez Manola.

- To bardzo zawiła historia; niech on sam to wyjaśni.

- W porządku. Ale najpierw powiedz, co on wie.

- Tylko to, co wiąże się z rękopisem.

- To i lepiej. Chodźmy.

Manolo czekał na nich na tarasie.

- Załatwiliście wasze sprawy?

- Tak, już załatwiliśmy nasze „sprawy”. Chodźmy do gabinetu, tam możemy spokojnie pogadać.

- Zgoda.

Usadowieni wygodnie w trzech ogromnych fotelach klubowych, wysłuchali opowieści Manola. Bety powtórnie. Tak jak i ona Enrique nie mógł zrozumieć, że Manolo wiedział o istnieniu rękopisu, zanim trafił w jego ręce. Sceptyczny z natury, a teraz skrępowany niezręczną sytuacją, której był poniekąd sprawcą, cierpiał, że została naruszona tajemnica. Siedział oszołomiony naprzeciwko mądrali, ubranego jak cyrkowy klaun, przez co sprofanował sanktuarium, jakim był dla niego gabinet Artura, nadal wstrząśnięty podłym i nieoczekiwanym atakiem Bety, bombardowany przez Manola faktami i szczegółami.

- Trudno mi w to wszystko uwierzyć - stwierdził na koniec. - Bo niby czemu porządny mistrz budowlany, jakim był Casadevall, miałby się narażać na ryzyko i ukrywać tak niebezpieczny przedmiot jak Kamień Boży? Kontakty między Żydami a chrześcijanami ograniczały się w owym czasie niemal wyłącznie do spraw handlowych. Względnie pokojowe współistnienie między wyznawcami tych dwóch religii panowało do końca XII wieku. Dlaczego Żydzi sami nie schowali Kamienia?

- Jeśli chodzi o pierwszą kwestię, to odpowiedź znajduje się w tłumaczeniu Bety, które ja osobiście uważam za pierwszorzędną. Mówiła mi, że ty tylko skakałeś po stronach rękopisu i skupiłeś się na najważniejszej części zagadki. Casadevall coś zawdzięczał Żydom, a zatem pomoc w ukryciu Kamienia była swego rodzaju spłatą honorowego długu. Sami nie mogli tego zrobić. Można przypuszczać, że ich fatalna pozycja w średniowiecznym społeczeństwie, po masowych mordach w 1391 roku, utrudniała im normalne funkcjonowanie. Żyli zamknięci w murach getta i bez specjalnego zezwolenia nie mogli opuszczać miasta, chyba że emigrowali na Wschód, a wtedy musieli pozostawić wszystkie dobra.

- Być może właśnie te czynniki zdecydowały o tym, że zwrócili się o pomoc do Casadevalla - dodała Bety. - Spodziewali się, że im samym trudno będzie ukryć Kamień w bezpiecznym miejscu.

- Gdy zachorowała córka Casadevalla, mistrz osobiście się z nimi skontaktował. Dzięki stanowisku, jakie pełnił, podróżował po całej Europie. Poznał wielu artystów i rzemieślników, również pochodzenia żydowskiego, wtajemniczonych w arkana fachów związanych z architekturą, na przykład snyczerzy, witrażystów. Żydów bardziej ceniono za granicą niż u nas w Hiszpanii. Tam jeszcze nie spotykali się z

ksenofobią i antysemityzmem i cieszyli się względną swobodą. Pewnie dzięki podróżom za granicę Casadevall poszerzył swoje horyzonty myślowe i zmienił nastawienie do tego narodu, a zatem wzajemne kontakty były czymś naturalnym.

- Trudno w to uwierzyć - upierał się Enrique.

- Dane, jakimi dysponujemy, są przekonujące, chociaż tych moich nie da się tak szybko potwierdzić - tłumaczył cierpliwie Manolo. - Nie pojedę do Toledo przeszukać tamtejsze archiwa oł, tak sobie: potrzebny jest czas i znajomości wśród duchowieństwa. Tobie z pewnością byłoby łatwiej. Jesteś znanym i cenionym pisarzem, załatwienie zezwoleń trwałoby jednak wiele dni, a może nawet tygodni. Na razie musi ci wystarczyć moje słowo. Jedyne dowód, jaki mam, to ten notatnik. - Wyciągnął z kieszeni notes w zniszczonych, pomarszczonych okładkach. - Tu są wszystkie wiadomości i odkrycia związane z Kamieniem, jakie przez lata moich badań udało mi się zebrać. Są tam także daty. W poszukiwaniach jestem systematyczny i drobiazgowy. A jeśli chodzi o rękopis, Bety ma całe tłumaczenie. Jest do twojej dyspozycji.

Enrique przejrzał notes. Był to gruby zeszyt, specjalnie przeznaczony do sporządzania notatek. Znał paru pisarzy, którzy lubili z nich korzystać przy gromadzeniu informacji do swoich książek: stanowiły dla nich niezbędną pomoc przy pisaniu, by uniknąć błędów.

- Jeśli sobie życzysz, możesz go zatrzymać i dokładnie przejrzeć. Już nie jest mi potrzebny, w razie czego mam kopię wszystkich ważnych dokumentów.

Enrique skwapliwie skinął głową.

- Dziękuję, przejrzę go.

- Wnioski same się nasuwają - dodała Bety. - Casadevall ukrył Kamień Boży w takim miejscu, by nikt go nie znalazł. Został o to poproszony. Dwieście lat później Diego z Siurany miał szczęście znaleźć rękopis, w którym kryła się tajemnica, tak samo fascynująca dla niego, jak teraz dla nas.

- Dziwne szczęście, które ściągnęło na niego tortury i śmierć.

- W porządku - zgodził się Enrique, osaczony żelazną logiką argumentów tej dwójki. - Mogę uwierzyć, że opowieść jest prawdziwa, ale co to zmienia? W gruncie rzeczy nadal nic nie wiemy. Tak naprawdę istotny jest tylko fakt, gdzie Casadevall ukrył Kamień. Mnie osobiście nie interesuje podłoże ani geneza tej sprawy. W końcu nie jesteśmy bohaterami filmu przygodowego, przynajmniej ja się nie czuję Indianą Jonesem. Najprawdopodobniej Kamień zaginął. Być może w miejscu jego początkowego ukrycia wzniesiono jakiś bank, pocztę, a może McDonalda.

Jego tyrada częściowo służyła temu, by wyrzucić z siebie uczucia. Prawdę mówiąc, nie do końca był świadom tego, co mówi, słowa same wypływały mu z ust, niby rozsądne, a w gruncie rzeczy pełne niechęci. O ile parę dni wcześniej zrobiłby prawie wszystko, by rozwikłać tajemnicę manuskryptu, o tyle teraz sensacyjne i przerażające informacje na temat Artura, jakie przekazał mu Fornells, zupełnie zmieniły jego stosunek do tej sprawy. Aż do tej chwili nie uświadamiał sobie tego. Ci dwoje ciągle jeszcze wykazywali mnóstwo zapału wobec kwestii dla niego już nieistotnej i pozbawionej znaczenia.

- Być może ciebie to nie interesuje, ale dla mnie jest to wyzwanie - stwierdził Manolo. - Sądzę, że Casadevall ukrył tajemniczy przedmiot w jakimś specjalnym miejscu, gdzie prawdopodobnie bezpiecznie spoczywa od wieków. Jeśli zdołamy złamać szyfr ukryty w rękopisie, będziemy mogli go odnaleźć. A wtedy...

- Więc dla ciebie jest to tylko wyzwanie. Dobrze zrozumiałem? - przerwał mu Enrique. - Pragniesz tylko rozwiązać tajemnicę, być może największą w twoim życiu. Dla mnie to coś więcej, choć według twoich kryteriów - znacznie mniej. Powiem ci, czym to jest dla mnie: to ostatnie wspomnienie po moim zmarłym ojcu. Chciałem rozwikłać tę zagadkę na cześć jego pamięci, jakby w ostatnim pożegnaniu. Zrozumiałem to za późno. On wiedział, gdzie to znaleźć. Miejsce ukrycia odkrył dzięki swojej inteligencji, wiedzy i doświadczeniu. Jeśli chciałem podążać jego tropem, to wyłącznie w hołdzie dla niego.

- Nie rozumiem, o czym mówisz - odpowiedział zaskoczony Manolo.

- Manolo nic nie wie o Arturze - wtrąciła Bety, próbując przywrócić spokój.

Enrique'a poniosły nerwy. Rewelacje, jakich dowiedział się o Arturze, bardzo go zraniły.

- Mój ojciec zmarł parę dni temu. Został zamordowany. Badał rękopis i sądził, że znalazł miejsce ukrycia Kamienia. List, który wysłał do mnie kilka godzin przed śmiercią, wyraźnie na to wskazuje.

Manolo spojrział na Bety dziwnym wzrokiem, jakby ganił ją za brak informacji o tym tragicznym wydarzeniu. Pojął w końcu, dlaczego w Enrique'a było aż tyle nagromadzonej agresji. Wizerunek znanego pisarza, cieszącego się sławą, kojarzył mu się z kimś spokojnym, opanowanym, kto w

niczym nie przypominał tego impulsywnego indywiduum, przepelnionego złością, którą wybuchał przy lada okazji.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Teraz wszystko jest jasne. Powinieneś mnie jednak wysłuchać: nie jestem twoim wrogiem, nie chcę cię denerwować. Nie przyszedłem tu, żeby rozdrapywać twoje rany, i zapewniam cię, że dobrze rozumiem twoją sytuację, znacznie lepiej niż większość ludzi, którzy składali ci nieszczerze kondolencje. Jeśli grzebanie w przeszłości przywołuje smutne wspomnienia, nie będę tego robił, niezależnie od mojej ciekawości. Żyję we własnym świecie, tak szczególnym, że nie spotkałem jeszcze osoby, która chciałaby go ze mną dzielić. Pociągają mnie wyłącznie moje badania, są dla mnie rozrywką, czasem zmieniają się w pasję, tak jak to się zdarzyło w tym przypadku.

Bety zaskoczył absolutny spokój i wyraźna dykcja, z jaką wyrażał się Manolo, cechy do tej pory głęboko ukrywane.

Enrique przypatrywał się bacznie swojemu rozmówcy. Twarz filologa nie zdradzała żadnych uczuć, albo był tak doskonale opanowany. Mówił beznamyślnie, wypowiadał się jednoznacznie, słowa były idealnie dobrane i trafne. Nie naciskał. Przyjął postawę wyczekującą. W jego spojrzeniu, gestach nie było widać napięcia czy podenerwowania. Nic z tych rzeczy. Manolo po prostu czekał.

- Rozumiem - odpowiedział Enrique.

- Na pewno?

Bety obserwowała obu mężczyzn, pogrążonych w nieprzenikalnych dla niej myślach. Wpatrywała się w nich bez słowa. Jej obecność stała się nieistotna wobec tej dziwnej mentalnej walki. Nie знаła zbyt dobrze Manola, nie rozumiała determinacji Enrique'a. Poczula się wyobcowana, stała się biernym widzem, obecnym jedynie ciałem, nie duchem, kimś, kto nie ma prawa mieszać się w ten niezrozumiały dla niej pojedynek.

- Tak - stwierdził Enrique. - Ile czasu zabierze ci przetłumaczenie zapisków?

- Myślę, że najwyżej dwa dni.

Bety podała mu kartki z notatkami przepisanyymi z marginesu.

- Przekład nie jest trudny, zwłaszcza w części dotyczącej uwag i komentarzy do konkretnych fragmentów tekstu. Inna sprawa to skróty, których znaczenia mogę się tylko domyślać. Rzetelność przekładu tej części rękopisu potwierdzę dopiero po dogłębnym zbadaniu całości.

- Dlaczego?

- To nie są zwykłe skróty, służące do szybkiego zapisywania myśli, lecz zaszyfrowane wiadomości. Diego z Siurany bardziej niż Casadevall obawiał się sporządzać zapiski na temat czegoś, co było dla niego oczywiste.

- A zatem zagadka pozostaje nierozwiązana - podsumowała Bety. -Przeszłość ujawniła nam tylko część tajemnicy, nie zdradzając całości. Sądzę jednak, że tłumaczenie Manola może nam pomóc w ustaleniu miejsca ukrycia przedmiotu.

Jakie to dziwne! - pomyślał Enrique i spojrzał na Bety ze sceptycznym uśmieszkiem, który ona wolała zignorować. Jeszcze parę dni temu chciała powiedzieć o rękopisie policji. Teraz, gdy po zatrzymaniu mordercy Artura tekst Casadevalla nie wiązał się z ryzykiem, ona także uległa pragnieniu rozwiązania zagadki... lub znalezienia skarbu, a może chodziło o jedno i drugie. I to właśnie teraz, kiedy on przestał się interesować nie tylko manuskrytem, ale w ogóle wszystkim, co wiązało się z przeszłością. Zaskoczony, dostrzegł w sobie rezerwę, jaką budzi rozczarowanie, oraz dystans wobec uczuć i pragnień do niedawna dla niego najważniejszych.

Tymczasem Bety mówiła dalej, z nieukrywanym entuzjazmem. Tak, musiała prowadzić poszukiwania, choćby po to, by uwolnić się od magii tajemnicy.

-...szczerze mówiąc, reszta jest nieistotna - perorowała. - Część podstawowa mogłaby nas doprowadzić do samego przedmiotu, ale sądzę, że rozwiązanie znajduje się w liście dołączonej do manuskryptu. Tam znajdują się najciekawsze informacje.

- Chciałbym je przeczytać, i na pewno to zrobię... Przeczytam dokładnie cały rękopis. Ale powiedzcie, do jakich wniosków doszliście.

Bety i Manolo spojrzeli na siebie z wahaniem. W końcu odezwał się filolog:

- Nie są zbyt odkrywcze. Nie wiemy i wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy, jak manuskrypt trafił w ręce Diega. Nie wiemy także, jak znalazł się w posiadaniu Berguesów. Tylko przez przypadek wpadł w nasze ręce.

- Zapiski do pierwszej części manuskryptu Manolo mógł wiernie przetłumaczyć. - Znowu Bety zabrała głos. - Są dość klarowne. Zaczynają się od nieznanej daty, ale z całą pewnością pochodzą

przed lutego 1612 roku, bo właśnie wtedy rozpoczęło się dochodzenie przeciwko Diegowi. Doszliśmy do następujących wniosków: po pierwsze, Diega interesowały wyłącznie zapiski związane z S.; po drugie, począwszy od stron, na których pojawia się wzmianka o tajemnicy, to znaczy tam, gdzie jest najwięcej notatek na marginesie, Diego stosuje szyfr, aby ukryć informacje; po trzecie, Diego sprawdził końcową listę, obiekt po obiekcie, budynek po budynku. Tuż obok wykazu znajdują się skróty literowe dat poszukiwań. Ostatni zapis w manuskrypcie: LLO.SÍ.D. to według Manola Lloaſ sigui Déu¹⁵. Uważamy, że wyraża radość ze znalezienia właściwego miejsca; i po czwarte, miejsce to jest oznaczone jakimś symbolem, którego nie znamy - skonkludowała i pokazała kartkę Enrique'owi.

- Brzmi dość sensownie - przyznał. - A reszta zapisków?

- Jak już mówiłem - podjął Manolo - niezależnie od wniosków Bety wolałbym sam zbadać oryginał i spróbować powiązać fakty. Bety, zresztą bardzo słusznie, nie pokazała mi rękopisu, bo nie chciała tego robić bez twojej zgody. A zatem, jeśli pozwolisz, zatrzymam manuskrypt na parę dni i spróbuję się dowiedzieć, co ukrywa.

Enrique skinął głową. Był ciekaw, czy Manolo będzie w stanie zinterpretować poprawnie znaczenie skrótów. Manolo idealnie zrozumiał tok jego rozumowania.

- Nie musisz się martwić o rękopis. Całe życie spędziłem wśród cennych inkunabułów. Świetnie znam ich niezwykłą wartość i potrafię o nie należycie zadbać. Zwrócę ci go bez najmniejszego uszczerbku. Przrzekam.

- W porządku. Możesz go wziąć.

- Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczny - odpowiedział filolog, z trudem ukrywając wzruszenie.

Jego misja została wypełniona. Dłuższy pobyt w domu Enrique'a nie miał już sensu. Manolo wstał.

- Na mnie już pora.

- Odwieźć cię? - zaproponowała Bety.

- Nie trzeba. Jeśli można, zadzwonię po taksówkę.

- Nie musisz - wtrącił Enrique, nie wstając z fotela. - Dwieście metrów stąd jest postój na placu w Vallvidrerze. Zejdziesz tylko uliczką w dół.

- Świetnie. Zadzwonię do was, jak będę miał coś nowego.

Enrique skinął mu ręką na pożegnanie. Betty odprowadziła filologa do drzwi. Słyszał ich rozmowę w przedpokoju. Głosy dochodziły słabe, stłumione odległością. Gdyby się wsłuchał uważnie, wiedziałby, o czym rozmawiają, ale nie interesowało go to. Usłyszał trzask drzwi. Manolo wyszedł, zabierając ze sobą ten rozdział jego życia, który on definitywnie uznał za zamknięty. Bety wróciła do gabinetu. Zaczęła coś mówić, a on udawał, że słucha; pogrążony w myślach, nie potrafił się skupić. Bety, zazwyczaj taka spostrzegawcza, tym razem nie zauważyła jego nastroju. A może zauważyła, tylko czuła się winna i wołała zapomnieć o swojej gafie.

- Prześladuje mnie widok Diega z manuskrytem w ręku. Prawdopodobnie trafił do niego podczas kompletowania tekstów z archiwów kościelnych. Pewnie nawet do niego nie zajrzał. Pewnego dnia jego wzrok padł na zniszczony grzbiet starej księgi. Zaintrygowany, i może znając nazwisko autora, zaczyna czytać: z początku nic ciekawego. Tekst jakich wiele, fakty mniej lub bardziej interesujące. W tym miejscu mógłby odłożyć go na półkę, ale na swoje nieszczęście nie robi tego. Przewrotny los sprawia, że czyta jeszcze jedną stronę i jeszcze jedną. Nie może się wprost oderwać. Zmienia się styl rękopisu, jego charakter, tematyka. Czyta kolejnych dziewięć stron i nagle treść zaczyna go fascynować - co stało się zresztą przyczyną jego późniejszych nieszczęść - fascynacja rośnie z godziny na godzinę.

Autor ujawnia daty, nazwiska, wykaz budowli. Diego bierze się do pracy. Sprawdza. Wszystko się zgadza. Opisane wydarzenia, związane z pracą mistrza, są prawdziwe, potwierdzone w innych źródłach. Budynki istnieją lub istniały. Z pozoru wygląda to wiarygodnie. Tajemnica go wciąga, emocjonuje się odkryciem czegoś nadzwyczajnego. Bada. Stanowisko sekretarza Archiwum Episkopalnego daje mu dostęp do dokumentów wszelkiego autoramentu, bez wzbudzania podejrzeń. W końcu coś odkrywa. Tymczasem inkwizycja wszczyna postępowanie przeciwko niemu, prawdopodobnie na skutek anonimowego donosu. Oskarżenie mógł wnieść konkurent w bezlitosnej walce o wyższy urząd w kurii albo ktoś, kto dostrzegł w jego zachowaniu coś niezwykłego. Może Diego dotarł do ksiąg znajdujących się na indeksie, a może tych z aneksu sporządzonego w Hiszpanii: Catalogus librorum reprobatorum, będących poza zasięgiem obiecującego wprowadzić, ale w końcu zwykłego urzędnika. Nie wiemy, jak było, w każdym razie Diego został zatrzymany, co w tamtych czasach nie było niczym nadzwyczajnym. W porę ostrzeżony, zdążył ukryć manuskrypt.

¹⁵ Chwała Panu Naszemu (przyp. aut.).

Prawdopodobnie postanowił schować rękopis z dwóch powodów: świadom swoich żydowskich korzeni, wiedział, że schwytyany z tak kompromitującym dokumentem, niechybnie zostanie od razu skazany; możliwe jednak, że znając tajemnicę, która nas tak bardzo interesuje, postanawia zataić ją przed inkwizytorami. Udaje mu się przekazać księgę Barguésom. Następnie straż inkwizycji arestuje go, wtrąca do lochów, a potem zostaje wszczęte drobiazgowe śledztwo. Diego wierzy w szybkie wyjaśnienie sprawy. Zna sposób postępowania Świętego Oficjum i spodziewa się, że udział w auto-da-fé w stroju pokutnym i publiczne przyznanie się do winy wystarczą, by zaspokoić żądną ofiar inkwizycję. Będzie to stanowiło dowód, że Hiszpania jest pełna heretyków, więc istnienie tej instytucji jest uzasadnione, a nawet konieczne dla zachowania królestwa i wiary.

A jednak coś nawaliło. Wydarzenia przyjęły nieoczekiwany obrót. Być może donosiciel był wpływową osobistością, może los Diega został przypieczętowany, gdy przyznał się, że w jego żyłach płynie żydowska krew. Oskarżony o praktykowanie żydowskich zwyczajów, został poddany torturom. W wyniku długotrwałych męczarni zaczyna mówić. Nie wiemy jednak, co wyznaje, inkwizytorzy komentują to między sobą, ale nie wpisują do protokołu. Natomiast powiadamiają Supremę i przewożą Diega do Toledo. Tam torturują go przez długich dziesięć lat, aż do śmierci...

Historia dość ciekawa, musiał przyznać. Odtwarzanie w wyobraźni zaszłych wypadków to ćwiczenie doskonale mu znane, dające twórcy swobodę narracji, pod warunkiem że muzy obdarzą go natchnieniem, wskażą drogę, którą potoczy się akcja powieści. Bety raczej nie ulegała porywom natchnienia i nie poddawała się imaginacji, mimo to była urzeczona historią Casadevalla i Diega z Siurany. Opowiadała o wydarzeniach z odległej przeszłości, jakby sama brała w nich udział.

Wstał i pewnym krokiem podszedł do barku w salonie. Artur, choć pił niewiele, cenił dobre trunki i wieczorami lubił delektować się smakiem wytrawnej starej brandy czy oryginalnej whisky. Enrique nalał sobie brandy do szklaneczki i wrócił na swoje miejsce w gabinecie. Bety była zaskoczona. Przez tyle lat wspólnego życia po raz pierwszy widziała Enrique'a pijącego alkohol. Udawał, że nic się nie stało, choć bez specjalnego zapachu, a Bety powróciła do przerwanej opowieści z taką samą pasją jak przedtem. Mówiła i mówiła, dźwięki docierały do niego jakby z oddali, obce, puste, pozbawione znaczenia. Z utkwionym w nią wzrokiem, kiwał machinalnie głową, udawał zainteresowanie, ale myślami był daleko. Staczał walkę z góry skazaną na porażkę z niezwyciężonym wrogiem: zapomnieniem.

MANUSKRYPT CASADEVALLA.

Wreszcie nadeszła długo oczekiwana chwila. Siedział w łóżku, przykryty kołdrą, z rozłożonym na kolanach tłumaczeniem Bety. Zastanawiał się, czy lektura pomoże mu zasnąć; przedwczesna nadzieja. Demonstrował brak zainteresowania zagadką, tymczasem zapiski Casadevalla okazały się naprawdę fascynujące, przypominały dobrze napisaną powieść przygodową.

Co prawda pierwsze strony to nudny wykaz prac i obowiązków mistrza budowlanego, lista zleceń, jednak na piętnastej stronie w połowie zdania kreska nieoczekiwanie szybuje w górę i tam, gdzie bez wątpienia złamało się gęsie pióro, plama atramentu kala papier. Poniżej zaczynał się pamiętnik Casadevalla.

Jestem znużony... Życie, które tak bardzo kocham, porażające swoim pięknem, pulsujące niezmordowanie w tym gwarnym mieście, zarażające zapachem, żądzą, pragnieniem, teraz omija mnie z daleka, ignoruje, wyrzuca z zawrotnego wiru szerokiego i nieogarniętego świata, znajdującego się w ciągłym rozwoju, w którym dzieło boże objawia się na każdym kroku, w każdej chwili, w każdym miejscu i w każdym naszym najmniejszym uczynku. Tak, to wspaniałe życie, życie, które Stwórca tchnął w każdą istotę ludzką, nadając jej kształt i duszę, teraz - kiedy myślałem, że zniósłem już wszystko, co człowiek może wytrzymać, i osiągnąłem jeśli nie spokój, to przynajmniej rodzaj ukojenia - znówu mnie karze. Moja córka, mała Eulàlia, zachorowała, a eksperjencja podpowiada mi, że są to symptomy tej samej choroby, która zabiła moją żonę, Leonor, oraz nasze dzieci: Josepa i Luíse.

Moje katusze zaczęły się dziś rano. To był szczególnie trudny dzień. Dostawa surowca z kamieniołomów Montjuic, przeznaczonego na wzmocnienie drugiej arkady, podtrzymującej

żebrowanie czwartego przęsła sklepienia, gdzie przedstawione jest Zwiastowanie, nie dotarła, prawdopodobnie z powodu waśni rajców miejskich, czy kamienne bloki mają trafić na plac budowy katedry, czy na brzeg morza i posłużyć do wzniesienia barbakanu. W pobliżu Barcelony dostrzeżono bowiem pirackie galery i w ciągu ostatniego miesiąca dwukrotnie zapalano żagwie na wieży wartowniczej w Montgat, ostrzegające mieszkańców przed morskimi rabusiami. Widocznie za ważniejsze uznano fortyfikacje i ochronę grodu od strony morza.

Przez cały dzień przeprowadzaliśmy prace przygotowawcze do wciągnięcia dzwonu Honorata, słynnego w całym mieście, zanim jeszcze zaczął bić; nie na próżno na odlanie go zbierano datki wśród wiernych.

Pojutrze, w niedzielę 27 listopada Roku Pańskiego 1393, nasz wielbny biskup pobłogosławi dzwon, który zostanie wciągnięty na wieżę Sant lu i stamtąd będzie już po wsze czasy wybijał szacownym mieszkańcom grodu Barcelony godziny i kwadranse, i w ten sposób na wieki zapamiętają, że również to, co ziemskie, pochodzi od Boga, i tylko dzięki Niemu wszystko ma swoje wytłumaczenie.

A tu kolejny ambaras: magister operis principalis wyjechał i na mnie spada odpowiedzialność za postęp prac budowlanych zgodnie z planem. Wszystko dzieje się jednocześnie na dziesięciu różnych frontach! Do kłopotów z kamieniolomami i wciągnięciem dzwonu doszły strapienia z polichromią w krypcie świętej Eulalii, niech będzie pochwalone jej imię, i ciągłe spory, jakie z tego powodu prowadzimy z biskupem, oraz problemy z dostawą drewna na chór. Nagle zaczęło brakować dębiny, jej cena wzrosła niepomniernie, co może znacznie utrudnić zakup. Mistrz ciesielski Jordi Johan y Anglada rozpacza, bo zebrał już zacne grono rzeźbiarzy i snycerzy, trzymających w gotowości dłuta i rylce, a tu brak surowca.

Panuje ogólny chaos, i to ogromny. Cóż za paradoks! Tkwię w zamęcie, a przecież naszym zamiarem jest wzniesienie budowli, która po wsze czasy będzie chwalić boskie dzieło stworzenia; to mnie wzburza i czasem zaczynam wątpić w swoje umiejętności. Te mnożące się trudności przygnębiają mnie, wymagają nadzwyczajnych kroków, dziś jednak znalazły się na drugim planie i straciły znaczenie.

Właśnie wróciłem z budowy, kiedy Anna zawiadomiła mnie o chorobie malutkiej. Mała miała gorączkę, z początku niewielką, która jednak pod wieczór zaczęła rosnać. Zajrzałem do niej i wypytałem, jak minął dzień. Niewiele mi mogła rzec, bo zaraz wróciła do łóżka, nie czuła się bowiem dobrze. Kazałem jej się położyć i dokładnie zbadałem. Na drobnym ciałku nie było jeszcze wysypki, ale pomacawszy szyję, stwierdziłem obustronne zgrubienia. Boże litościwy, spraw, aby nie była to ta zniechęcająca zaraza! Nie przeżyję straty Eulalii! Nie chcę, żeby odeszła tak jak jej matka i rodzeństwo. Jestem przerażony i nawet nie chcę myśleć, co by się działo, gdyby w Barcelonie znowu wybuchła zaraza zwana czarną śmiercią. Zapomniałem o moich obowiązkach w katedrze Świętego Krzyża i Świętej Eulalii Męczennicy, na której cześć moja córeczka, ostatnia z rodu, nosi jej imię.

Tę noc spędzę na czuwaniu. Odmówię modlitwę świętego Bernarda i będę błagał Najświętszą Maryję Pannę o wstawiennictwo.

29 listopada Roku Pańskiego 1393

Wczoraj o szóstej po południu, wśród modłów gawiedzi wciągnięto Honoratę na dzwonnice. Nasz wielbny biskup pobłogosławił dzwon na oczach rozgorączkowanych wiernych, tak jak tylko on potrafi to czynić swoim potężnym, pełnym namaszczenia głosem. Procesja wyruszyła z siedziby episkopatu, otoczona tłumem pątników, w radosnym nastroju, w zgiełku i gwarze, dzięki talentom oratorskim naszego biskupa przemienionym w szczerą, żarliwą modlitwę - tak wielki jest jego wpływ na wiernych, poddawanych surowym, acz koniecznym nakazom.

Nie mogłem uchylić się od udziału w pracach przy wciąganiu dzwonu na szczyt wieży, choć nie były one trudniejsze od innych robót przy wznoszeniu naszej katedry, z tą jednak różnicą, że zazwyczaj uczestniczą w nich tylko robotnicy i majstrowie, a tym razem wszystkie działania musieliśmy przeprowadzać otoczeni tłumem kilku tysięcy gapiów, trzeba więc było przewidzieć grożące im niebezpieczeństwo. Nie będę opisywał wszystkich trudności, na jakie natrafiliśmy przy wciąganiu dzwonu, bo to nie miejsce ni czas po temu. Ciałem byłem obecny i wydawałem stosowne rozkazy, sercem jednak byłem przy córeczce.

Poprzedniej nocy z trudem odszedłem od jej łoża. Gorączka trochę spadła, na tyle że uznałem to za dobry znak. Być może stało się tak dzięki wstawiennictwu Najświętszej Pani, która wysłuchawszy moich modłów i litanii zmawianych podczas długich godzin czuwania, okazała łaskę i ulżyła mojemu dziecku w cierpieniu. Kazałem zawołać medyka z prawdziwego zdarzenia. Ci domorośli felczerzy

potrafią tylko wycinać guzy i puszczać krew. Zwykle łapiduchy, a nie konsyliarze. Stary Aimeric ma wprawę i doświadczenie. We wczesnej młodości był prostym cyrulikiem, rasor et minutor, krążącym od klasztoru do klasztoru; wygalał braciom zakonnym tonsury, wrywał zęby, puszczał krew. Dzięki korzystnemu układowi gwiazd ukończył studia medyczne w paryskim Kolegium Świętego Kośmy. Znamy się od dawna, jeszcze z czasów, zanim szczęśliwy los pchnął go na dwory, aby tam świadczył swoje usługi. Teraz leczy głównie szlachtę i patrycjuszy Barcelony, ale dzięki moim związkom z biskupstwem i naszej dawnej znajomości mogłem po niego posłać i miałem honor gościć go w moich skromnych progach. Zbadał Eulalię. Wsłuchał się w jej oddech, przyłożywszy ucho do wątlej dziewczęcej piersi, i zalecił wypoczynek, ciszę i spokój. Nie jest zwolennikiem, przynajmniej w tej chwili, upuszczania krwi ani oczyszczania organizmu. Kazał trzymać dziecko w ciepłe, z dala od przeciągów, by uchronić je przed czymś gorszym. Ledwie odważyłem się wspomnieć o moich obawach, ale musiał wyczytać je z mojego oblicza, gdy nieśmiało pokazałem mu zgrubienia na szyi i wyszeptalem:

- Czy to nie jest...?

- Za wcześnie wyrokować - przerwał mi. - Choroba atakuje przede wszystkim płuca. Opuchnięcia nie są niczym niezwykłym. I jeszcze jedno, czy spowiadaliście się ostatnio - wy, mistrzu Pere, i mała? Pamiętajcie, wiele chorób spada na nas za grzechy. Łzy szczerzej skruchy sprawiają, że Pan Nasz, Najwyższy Lekarz, uleczy nas z nich. Tak głoszą słowa ewangelii...

- Eulalia uczestniczy we mszy świętej w każdą niedzielę i spełnia wszystkie obowiązki wobec kościoła, tak jak przystało.

- A zatem wypełniajcie moje polecenia. Jeśli jej stan się pogorszy, poślijcie po mnie.

Sięgnąłem po sakiewkę, lecz Aimeric odmówił przyjęcia zapłaty.

- Mistrzu Pere, pracujecie dla naszego kościoła. Módlcie się. To wystarczy. Jeśli potrzebne będą jakieś medykamenty, wtedy porozmawiamy o pieniądzach.

Potrzeby takiego człowieka jak ja są skromne. Nie mam na co wydawać, nie mam długów. Dom od wielu lat należy do mnie i prócz płacy ochmistrzyni i wydatków na żywność nie trwonię ani grosza. Zawsze dbałem o to, żeby Eulalii niczego nie brakowało, i takie też polecenie wydałem Annie. Przerozdołałem odłożyć część moich zarobków mistrza budowlanego i stać mnie na zapłacenie każdej sumy, jakiej zażąda Aimeric, oczywiście do pewnych granic. Jego usługi są drogie. Leczy wszak szlachtę i bogatych mieszczan, ale oddałbym wszystko, byle tylko moja córka wyzdrowiała!

Tydzień. Minął tydzień od moich ostatnich zapisków w diariuszu. Mogę w nim poczynić zwierzenia i wylać swoje żale. Stan Eulalii pogorszył się. Teraz Aimeric pojawia się u nas codziennie, a ja, widząc jego starania, nie kryję lęku. Twierdzi, że nie muszę się niczego obawiać, zmiany w jej stanie są normalne, ale wpatrzywszy się w jego twarz, dostrzegam niepokój, a co gorsza, pod maską nabożnego skupienia widzę zwątpienie, więc na próżno stara się rozwiać moje obawy. Mała ciągle kaszle; parę dni temu plwociny z ciemnożółtych zmieniły się w zielonkawę, na dodatek są takie gęste, że z trudem może je odkrztusić i dusi się przy odpluwaniu. Złe sypia, straciła łaknienie, ma bowiem tak opuchnięte gardło, że nie może przełknąć żadnej stawy prócz cienkiej polewki, a i to spożywa bez apetytu i z trudnością.

Pamiętam, jak trzynaście lat temu w Narbonie, gdzie zlecono mi prace wykończeniowe przy wirydarzu, u Leonor jako pierwszej wystąpiły symptomy podobne do tych, jakie ma Eulalia. Mieszkaliśmy wtedy niedaleko kanonii - do katedry mogłem dojść spacerkiem -w drewnianym domu z ogródkiem. Katedra pod wezwaniem Świętego Justyna i Świętego Pastora stała się kością niezgody między duchowieństwem a władzami świeckimi Narbony. Rajcowie miejscy chcieli zachować stary mur wizygocki przed frontem świątyni, pełniący funkcję obronną, duchowni zaś przeciwnie - zamierzali zburzyć mur i dokończyć budowę według projektu mistrza D'Arrasa. Długotrwałe dysputy przerodziły się w otwarty spór, jednak budowa wirydarza przebiegała bez zakłóceń. Właśnie tam w pełni rozkwitły moje umiejętności, a szczęście towarzyszące przyozdabianiu domu bożego walczyło o prymat z radością, jaką dawała mi powiększająca się rodzina. Widok moich bliskich zdrowych i szczęśliwych był dla mnie nagrodą, gdy wieczorem wracałem do naszego małego domku, gdzie zawsze odnajdywałem spokój wewnętrzny i idealną harmonię ducha.

Tamtego wiosennego wieczoru wszystko się zmieniło. Otulona kocami Leonor leżała w łóżku, z wysoką gorączką. Siedmioletni Josep podawał kolację swojej siostrze Lluísie. Dzieci wyglądały na

zdrowe, z wyjątkiem Eulàlii, sześciomiesięcznego niemowlaka, zanoszącego się od płaczu - Leonor nie miała siły jej nakarmić. Zamieniwszy z nią kilka słów, wziąłem małą na ręce i napiłem krowim mlekiem. Gdy malutka, syta i spokojna, zasnęła, włożyłem ją do kołyski, a potem utuliłem do snu dwoje starszych dzieci. Wcześniej rano poszedłem do naszej sąsiadki, starszej niewiasty o imieniu Marie, i poprosiłem ją, aby troszczyła się o moją rodzinę, póki Leonor nie wyzdrowieje; początkowo nie uważałem jej choroby za poważną.

Wróciłem z pracy o zwykłej porze, zmęczony, ale zadowolony. Prace postępowywały zgodnie z planem, surowca nie brakowało, wynagrodzenie przychodziło regularnie; wszystko działało idealnie. Niestety, w progu domu czekała mnie najgorsza wiadomość, jaką można sobie wyobrazić. Teraz, prócz Leonor, także moje dzieci, Josep i Lluís leżały, tak jak zawsze, przytulone do siebie w jednym łóżku, ale rozpalone gorączką. Marie przygotowała dla mnie skromną wieczerzę i poradziła, abym zaniósł Eulàlię do mamki, żeby miała być karmiona regularnie. Pozostałymi członkami rodziny ja będę się zajmował w nocy, a ona w dzień. Przystałem na taki układ i Marie zaniósł Eulàlię do mamki, młodej niewiasty o imieniu Anne, która parę dni temu straciła swoją ledwie roczną córeczkę.

I tak to trwało przez cztery kolejne dni. Gorączka w ciągu dnia trochę opadała, pod wieczór wzrastała, tak że chorzy bredzili w majakach. Czwartego dnia, kiedy obmywałem ich ciepłą wodą, by ulżyć im nieco w cierpieniach, zauważyłem na skórze obrzęki i wrzody, zarówno w gardle, jak i na całym ciele. Cała trójka wyglądała podobnie; tego wieczoru ropnie nie były jeszcze duże, powoli jednak powiększały się. O świcie, zaniepokojony, pobiegłem po pomoc. W kapitule doradzono mi, abym się zwrócił do cieszącego się dobrą sławą cyrulika. Razem z nim wróciłem do domu. Cyrulik imieniem Jacques włożył grube włosiane rękawice i zbadawszy chorych, potwierdził moje najgorsze obawy. Wrzody były objawem morowej zarazy - tej samej, która siedemnaście lat temu zdziesiątkowała nie tylko mieszkańców Narbony, ale i całą Francji.

- A jak wy się czujecie, mistrzu? - spytał cyrulik już od progu, odskoczywszy pospiesznie od łóżek chorych, i spojrzał mi prosto w oczy.

- Nic mi nie jest, nie mam ani gorączki ani żadnych boleści.

- Powinniście jak najszybciej opuścić ten dom. Tu nikt nie jest bezpieczny, wszystkim nam grozi mór. Zresztą muszę spełnić rozkaz książęcy i zgłosić każde zakażone miejsce.

- Mam opuścić rodzinę? Kto się o nią zatroszczy? Kto nakarmi dzieci i żonę? Jesteście pewni, że to czarna śmierć?

- W rzeczy samej, to morowa zaraza. Te podbiegłe ropą wrzody są tego niezbitym dowodem.

- Czyli nie ma już... żadnej nadziei?

- Możemy jedynie przeciąć wrzody, wypuścić złą krew i czekać. Czasami, w nielicznych przypadkach, chorzy wracają do zdrowia. Ja sam, kiedy morowa zaraza pustoszyła Narbonę w 1365 roku, też zachorowałem - mówiąc to, podwinął rękaw, żeby pokazać mi kilka szkaradnych blizn na przedramieniu - i przeżyłem. Zanim zapadłem na mór, opiekowałem się chorymi, ale, mistrzu Pere, musicie wiedzieć, że większość zarażonych zabrał do siebie Nasz Pan. A teraz idźcie stąd. Chorzy muszą zostać sami.

Chciałem podejść do moich bliskich, ale Jacques chwycił mnie mocno za rękę.

- Dobrze się zastanówcie, mistrzu. Jeśli straż książęca zastaną was przy chorych, nie będziecie już mogli opuścić domu. A jesteście zdrowi. I pamiętajcie o najmłodszym dziecku. Przemyślcie to sobie!

Do dziś pamiętam rozpacz i zwątpienie, jakie wzbudziły we mnie jego słowa. Odejść czy zostać? Moja ukochana Leonor, Josep i Lluís leżeli trawieni gorączką, w agonii, a ja ich miałem opuścić...

- A wy, panie? Zostawicie ich na pewną śmierć? Nie możecie ich uratować?

- Wypełnię moją powinność. Książę zezwala medykom doglądać chorych, ale z daleka. Nacinamy wrzody i wypuszczamy humory specjalnymi ostrzami na długim trzonku.

- Ależ oni cierpią! Musi być jakieś remedium uśmierzające ból!

Jacques przypatrzył mi się bacznie, zanim odpowiedział.

- Mogę sprawić, aby mocno spali, ale to kosztuje. Jest pewne lekarstwo, które pomoże im zasnąć, ale jego składniki: szalej, suszony korzeń mandragory, opium, ostromlecz, są bardzo drogie i trudno je zdobyć.

- Za wszelką cenę zdobądźcie, panie, ten medykament.

- Wezmę od was, mistrzu, tyle, ile się należy. A teraz idźcie stąd. Odejdźcie, bo sprowadzę straż książęcą.

Jacques wyruszył do Narbony powiadomić o przypadku moru książęcego konstabla. Zanim wróci z lekarstwem, miałem do dyspozycji tylko godzinę. I tak zastygłem na progu mojego domu, nie mając odwagi wejść. Patrzyłem bezradnie na wijące się w konwulsjach, rozpalone ciała moich dzieci na wąskim łóżeczku, i moją ukochaną Leonor, zaciskającą palce w gorączkowych majakach. Przestałem tę godzinę w drzwiach, z twarzą zalaną łzami, w głębokiej desperacji, lękając się wejść do środka i ulżyć w cierpieniach moim bliskim. Godzina zwątpienia, i co gorsza, godzina tchórzostwa, bo czyż mąż nie powinien pomóc swojej niewieście, nie opuszczać jej w potrzebie, tak jak ślubował? Tak, byłem tchórzem. A raczej zachowałem się jak tchórz. Nie wszedłem do domu, ale nie zrobiłem tego ze strachu. Wrzody, charakterystyczne dla czarnej śmierci, pokrywające spocone ciała moich bliskich, były wyraźnymi symptomami najstraszliwszej choroby, jaką znał człowiek, największej plagi w historii.

I tak stałem, gdy wrócił cyrulik Jacques z sześcioma gwardzistami. Towarzyszył im sługa, niosący długi przedmiot, owinięty skórzaną płachtą. Cyrulik spojrzął na mnie ze współczuciem, a potem kazał książęcyemu strażnikom usunąć mnie z progu.

- Dobrzeście zrobili, mistrzu, nie wchodząc do środka. W przeciwnym razie straż nie pozwoliłyby wam opuścić domu. A teraz idźcie do swojej najmłodszej córki albo do katedry pomodlić się.

- Chciałbym się przyjrzeć waszym zabiegom.

- To niebezpieczne. Mogą być przy tym tylko doświadczone osoby.

- Błagam was, panie. Niezbadane są wyroki pańskie, a ja chciałbym być przy moich bliskich i w razie czego zmienić swoją decyzję.

Strażnicy książęcy chwycili mnie mocno, być może w obawie przed jakąś nieprzewidzianą reakcją z mojej strony. Jacques pokręcił głową, ale ton jego głosu zdradzał przeciwne uczucia.

- Nie wchodźcie do środka, tylko ja przejdę przez próg.

Posłuchałem. Uścisk gwardzistów zelżał. Pozwolili mi przypatrywać się zabiegom medyka. Sługa odwinął ze skórzanego pokrowca ostry nóż na długim na dwa metry drągu, który umieścił na podpórce; w ten sposób łatwiej nim było manewrować bez nadmiernego wysiłku. Jacques ze sługą weszli do domu, z twarzami zakrytymi maskami. Zawodzili monotonicznie pod nosem coś, co bardziej niż modły chrześcijańskie przypominało czarodziejskie zaklęcia. Wypowiadane słowa docierały do moich uszu zniekształcone przez dziwaczne maski. Sługa, ostrożnie posługując się kijem, zsunął szatki okrywające moje dzieci. Następnie razem z medykiem włali do stojącego na ziemi naczynia zawartość kolby i wymieszali z wodą. Gdy stwierdzili, że mieszanka ma już odpowiednią konsystencję, zanurzyli w niej gąbkę, którą następnie zbliżyli do twarzy dzieci. Efekt był natychmiastowy, dzieci drgnęły i zapadły w głęboki sen, spowodowany działaniem leku. Medyk nacinał wrzody, jeden po drugim, manewrując z daleka nożem. Trysnęła ropa, plamiąc pościel, po izbie rozszedł się ohydny smród. Następnie zajęli się Leonor. Po tych czynnościach okryli chorych świeżymi kocami, a brudne, splamione ropą wrzucili do ogniska rozpalonego na ulicy przez książęcą wartę. Żołnierze ustawili się od zawietrznej strony, aby zgnęły fetor czarnej śmierci nie dotarł do ich nosów. Jacques popatrzył na mnie poważnym wzrokiem i powiedział:

- Te zabiegi należy przeprowadzać codziennie. Będziemy tu każdego dnia o świcie. Możecie się zbliżyć tylko wtedy, gdy będziemy w środku. W przeciwnym razie książęce straż pod groźbą użycia broni nie wypuszczą was z izby. A zatem, panie, zachowajcie rozwagę i cierpliwość. Nasz los od dnia narodzin jest w rękach Pana Naszego.

Gwardziści zamknęli drzwi na grubą drewnianą sztabę. Odszedłem stamtąd załamany i rozbity. Udałem się pospiesznie do katedry, gdzie przed głównym ołtarzem padłem pokornie na kolana. Modliłem się godzinami, w końcu zupełnie opadłem z sił. Wyczerpany, zmęczony przeżyciami, nie mogłem wstać, dopiero mój wierny druh, towarzysz przy budowie wirydarza, majster D'Arimon, wyprowadził mnie z kościoła i ukoił w żalu.

Już chyba cała Narbona zdawała się znać straszliwe wieści. Gdy D'Arimon wiódł mnie do chaty mamki, czułem na swoich plecach spojrzenia sąsiadów, przesywające mnie na wskroś jak sztylet. Można w nich było odczytać odrazę i strach, niektórzy żegnali się nawet na nasz widok i szybko czmychali do domów, jakbyśmy obaj byli zadżumieni. Czarna śmierć budziła w ludziach strach. Wszyscy pamiętali jeszcze epidemię dżumy sprzed kilku lat. Zaraza wybiła wtedy ponad połowę mieszkańców. Na pobliskim wzgórzu w zbiorowej mogile spoczywają setki krewnych i znajomych. Rozumiałem ich bojaźń, ja też ją odczuwałem, stojąc na progu domu, ale teraz niewiele mnie to obchodziło.

Na otwartym terenie, obok mojego wynajętego domostwa na kanonii, zauważyłem nowe stopy; spichrz i komórka również płonęły. Kłęby dymu wznosiły się w górę. Kręcąc się i wijąc, zasnuwały błękitne niebo. Upiorny czarny kolor zawsze zwiastował pomór i pojawiał się wszędzie tam, gdzie

wystąpiła zaraza. D'Arimon kazał mi wypić całą flachę wina; nie oponowałem, tylko trunek mógł mi przynieść zapomnienie.

Obudziłem się o świcie, otumaniony winem, które jednak dało mi swego rodzaju ukojenie i sen. Przypatrywałem się zabiegom medyka; na udreńczonych ciałach moich bliskich pojawiły się nowe wrzody. W obowiązkach mistrza budowlanego zastąpił mnie mój druh D'Arimon. Przez następne cztery dni patrzyłem bezsilnie, jak choroba wyniszcza moich bliskich; nie byli już w stanie nic przełknąć. W końcu, jednego ranka, tuż po zabiegach leczniczych, umarli moje dzieci. Ich zwłoki spłonęły na stosie, który przezorni strażnicy książęcy zawczasu rozpalili. Gdy drobne dziecięce ciała rzucono w płomienie, niemal straciłem rozum. Próbowałem podbiec i uściskać ostatni raz syna i córkę, ale czujny strażnik temu zapobiegł, wymierzając mi ręką miecza celny cios w głowę. Pod wieczór, kiedy z rozpacz straciłem przytomność, zmarła Leonor. Z jej zwłokami nikt się nie cackał. Strażnicy zaoszczędzili sobie trudu i podpalili dom z jej ciałem w środku. Ocknąłem się w stogu siana i wtedy D'Arimon przekazał mi tę tragiczną wieść. Całymi godzinami szlochałem rozdzierająco, póki nie zabrakło mi łez. Mój wierny druh podawał mi bukłaki z winem, jeden za drugim. Wreszcie straszliwa rozpacz i ból przycichły pod wpływem błogosławionego zapomnienia, jaki daje trunek. Dopiero po dwóch dniach odzyskałem zmysły.

Stwierdzono dwa kolejne przypadki czarnej śmierci w odległej dzielnicy, położonej za murami miasta, zamieszkaną przez biedotę i żebraków, którym ledwie starcza na nędzną roślinność. Reakcja księcia była drastyczna: kazał siłą opróżnić chaty i szalasy, podłożyć ogień, a wszystkich nieszczęśników przesiedlić do zaimprovizowanego lazaretu w opuszczonych kamieniołomach, gdzie pozostawiono ich samym sobie. Nie zajęli się nimi miejski medyk ani cyrulik, strawę spuszczano im na linach. Nie dla wszystkich starczało pożywienia. Nietrudno się domyślić skutków.

Tymczasem moja dziecinka, mała Eulàlia, nie wykazywała żadnych symptomów choroby. Podjąłem błyskawiczną decyzję, już nic nie trzymało mnie w Narbonie, pragnąłem jak najszybciej znaleźć się z dala od tego pechowego miejsca, nie tylko ze względu na morową zarazę, ale by uciec od wszechobecnego wspomnienia moich bliskich. Miałem nadzieję, że rozpacz i ból przygasną, kiedy znajdę się daleko od ich prochów. Daremne złudzenia! Tak jakby dystans miał jakkolwiek wpływ na nasze najszczęśliwsze uczucia! Tylko konieczność karmienia Eulàlii powstrzymywała mnie od wymarszu, a w gruncie rzeczy zwykłej ucieczki. Aby przekonać mamkę do towarzyszenia mi, musiałem sięgnąć do wszystkich moich zasobów.

Podróż do Barcelony była długa; po drodze musieliśmy się zatrzymać w Perpignan, Gironie i w Vic, nie licząc postojów w oberżach przy trakcie. Na szczęście perspektywa opuszczenia zadziwionego miasta okazała się tak bardzo kusząca dla Anne, że niemal od razu podjęła decyzję. Pożegnała się niezbyt czule ze swoim mężem, nieokrzesanym prostakiem, za którego wydali ją rodzice, i obiecała, że wróci najdalej za trzy tygodnie. Wręczyłem brutalowi uzgodnioną sumę, zresztą bardziej niż sowitą, i wyruszyliśmy. Trzy tygodnie! Trzy tygodnie dla męża Anne, a dla Eulàlii trzynaście lat. Anne nie miała najmniejszego zamiaru wracać do Narbony. Nie czuła się szczęśliwa w małżeńskim stadle, mąż dręczył ją i bił, a po śmierci własnego dziecka odnalazła w Eulàlii nieboszczkę córkę.

Życie Eulàlii zależało teraz od mamki, i nie chodziło tylko o pokarm. Nie wiedziałem, jak się zajmować niemowlęciem, ten obowiązek należał do kobiet. I tak powoli, z dnia na dzień, rosła między nimi nierozdzielna więź.

W Barcelonie wynająłem niewielkie domostwo położone na skraju koryta wyschniętej rzeki, w pobliżu Plaça de la Trinitat. Dom co prawda nieduży, ale, zwłaszcza przed południem, bardzo nasłoneczniony. Miał też spory wewnętrzny dziedziniec, z wydzielonym malutkim ogródkiem. Gdy już rozpakowaliśmy nasze tobołki, Anne poprosiła mnie o rozmowę.

- Panie, muszę oznajmić, że nie chcę wracać do Narbony. Jeśli się zgodzicie, nadal będę nianią Eulàlii, a zatem nie będziecie musieli szukać innej mamki, tym bardziej że mała przyzwyczaiła się do mojego pokarmu.

- Ależ zgodnie z umową, jaką zawarłem z twoim mężem, miałaś wrócić do domu po trzech tygodniach, a ten termin mija za pięć dni.

- Nie chcę więcej słyszeć o tym potworze. Za waszą zgodą, panie, zostanę z wami i będę się zajmować malutką. Jeśli nie chcecie, i tak zostanę w mieście i poszukam sobie jakiego godziwego zajęcia.

- Przecież nie znasz języka! Co zrobisz sama w Barcelonie?

- Nasz Pan wskaże mi drogę. Wolalabym jednak, abyście to byli wy, panie. Pod waszą opieką czułabym się bezpiecznie i zapewniam was, że z mojej strony nie musicie się niczego obawiać, jestem wam bowiem dożgonnie wdzięczna.

I tak Anne zmieniła się w Annę. Szybko nauczyła się katalońskiego i rozpoczęła nowe życie, na zawsze zapominając o przeszłości, która, jak podejrzewam, była znacznie gorsza, niż gadały kumy z Narbony.

Trzydzieści lat później, tamtego straszliwego dwudziestego siódmego dnia listopada, właśnie Anna przekazała mi wieść o chorobie ostatniej z mojego rodu.

Chyba cień przeszłości nigdy nie znika, a beztrudnie dzieciństwo Eulàlii było tylko nieudaną próbą ucieczki przed okrutnym przeznaczeniem, które wryło sobie w pamięć imię tego dziecka i tylko przez zaniedbanie pozwoliło mu się wymykać. Ale tym razem - o okrutna śmierci! - nie dam jej sobie odebrać, tak jak matkę i rodzeństwo, chyba że najpierw mnie zabierzesz. Wszelkimi siłami będę walczył o ocalenie córki, uczynię wszystko, co w ludzkiej mocy, a jeśli już nie będzie sposobu - bo taka jest wola boska - i moja córka umrze, wytrwam przy niej do ostatniego tchnienia.

Minął kolejny dzień. Modliłem się całymi godzinami i stwierdziłem, że to na nic. Czy Pan wysłucha moich prośb? Czy słyszy modły i błagania ludzkie? Czyż nie służyłem wiernie Kościołowi, nie poświęciłem życia na sławienie całym sercem chwały naszego Stwórcy? Mam kolana obdarte ze skóry od klęczenia na kamiennej posadzce przy łóżku Eulàlii, obolałe plecy od modłów ze skrzyżowanymi rękami i duszę wyzbytą miłości do Chrystusa. Nie ma już we mnie szacunku do Kościoła. Mossen Custodi z pobliskiej parafii pod wezwaniem Świętego Justyna starał się mnie pocieszyć. Na próżno; słowa pociechy nie trafiały do mnie, a tak wielkie mam do niego zaufanie, że zwierzyłem mu się ze wszystkich swoich rozterek. Zaniepokojony uznał je za herezję i przekonywał, żebym jeszcze raz wszystko sobie przemyślał. Nie chciałem wzbudzać podejrzeń, więc wytłumaczyłem mu, że zwątpienie jest chwilowe i bierze się z gniewu. Ale to nieprawda, tkwi we mnie bardzo głęboko i zakorzeniło się silnie w moim sercu. Ilekroć spojrzę na spoconą twarz mojej córeczki i na jej ciało pokryte krostami, czuję, że moje rozterki rosną.

Kolejny nowy dzień i nowa diagnoza Aimerica obnażyła brutalną, do tej pory ukrywaną prawdę, niwecząc nasze oczekiwania i płonną nadzieję. To czarna śmierć. Ropnie długo się nie pojawiały, teraz pokrywają całe ciało Eulàlii. Aimeric musi powiadomić o tym batlle'a, namiestnika królewskiego. Miasto powinno przygotować się na wybuch zarazy - tej samej, która wyludniła Barcelonę trzydzieści i osiem lat temu, choć za drugim razem przybrała znacznie mniejsze rozmiary. Zostaną podjęte następujące kroki: dziewczynka będzie odizolowana albo w domu, albo w lazarecie. Jeśli w domu, reszta domowników pozostanie z nią. To nie jest jedyny przypadek. Do tej pory trzymano to w sekrecie, ale zarówno w L'hort de Sant Pau, jak i nad rzeką są kolejni chorzy.

Jestem wdzięczny Aimericowi za pomoc. To zacny człowiek i nie nadużywa swojej uprzywilejowanej pozycji. Być może pamięta jeszcze czasy, kiedy jego ranga nie była wyższa od mojej. A może po prostu mnie lubi, bo znamy się od dawna, choć później nasze drogi życiowe się rozeszły. Już stał w drzwiach, kiedy nagle odwrócił się i rzekł:

- Pere, muszę ci coś wyznać, choć może nie powinienem ci tego mówić.

- Słucham.

- Wykorzystam całą swoją wiedzę lekarską przy leczeniu Eulàlii. Być może to nie wystarczy, Pere. Mór zabił tysiące mieszkańców. Tylko nieliczni ocalili. Jednak...

- Mów dalej! - ponaglałem.

- My, medycy chrześcijańscy, niewiele możemy zdziałać, ale być może inni mogą pomóc.

- Co to znaczy? Wyjaśnij!

Aimeric wszedł do izby, zamknął za sobą starannie drzwi i ściszył głos.

- Nikt nie może usłyszeć tego, co powiem. Robię to tylko przez wzgląd na naszą przyjaźń. Gdyby się wydało, wpadlibyśmy w poważne tarapaty.

- Przysięgam na mój honor, że nikt się o tym nie dowie.

- A zatem dobrze, słuchaj uważnie. Podczas zarazy morowej w 1365 roku po mieście krążyła plotka o Żydach z getta. Złe języki opowiadały, że to oni są winni za wybuch epidemii czarnej śmierci, tak samo zresztą gadano parę lat wcześniej, w 1348 roku... Ja wtedy terminowałem u balwierza i ledwie pamiętam tamte pełne niepokoju i rozpaczycy dni 1365 roku. Przypominam sobie tylko wozy załadowane trupami, zbieranymi z zaułków i podwórek we dnie i w nocy, przemierzające wymarłe

ulice Barcelony w stronę Porta Ferrissa i Portal Nou. Za murami miasta palono je, a prochy wsypywano do wspólnych mogił. Ludzie nie poprzestali na rzucaniu oskarżeń, opowiadali, że Żydów zaraza nie zabija. Nie była to prawda, sam bowiem widziałem, jak z getta wyjeżdżały wozy pełne trupów. Razem z balwierzem odwiedzaliśmy chorych, puszczaaliśmy krew i oczyszczaliśmy ropnie tym, których nie stać było na medyka, i wtedy przekonałem się, że wypowiedziane w złości oszczerstwa pociągają za sobą skutki. Miasto było pogrążone w chaosie i nikt nie miał głowy do Żydów z getta, ale ziarno zostało zasiane, czekało jeno dwa lata, do 3 sierpnia, żeby zakiełkować. Tamte wydarzenia pewnie dobrze pamiętasz... Napastnicy, którzy spustoszyli barcelońskie getto, oskarżali Żydów właściwie o wszelkie możliwe winy, o wszystko, co mogło usprawiedliwić grabież i gwałt. To była prawdziwa rzeź, Pere, sam to widziałeś tak jak ja i wielu innych, ale lękaliśmy się temu przeciwstawić. Dopiero autorytet biskupa, który odważnie wstawił się za Żydami i z oddziałem straży miejskiej stanął w bramach getta, zapobiegł masakrze. Już wcześniej zdarzały się napady, pamiętasz, jak w 1367 dokonano samosądu na trzech Żydach, ale to było nic w porównaniu z tym, czego byliśmy świadkami dwa lata temu.

- Jaki to ma związek z chorobą Eulalii?

- Bądź cierpliwy i słuchaj. Po wielkiej epidemii w 1365 wybuchła kolejna, już nie takich rozmiarów jak przed ośmioma laty.

- Dobrze ją pamiętam. Gdy stwierdzono pierwsze przypadki, wyjechaliśmy z miasta na trzy miesiące. Nie chciałem narażać moich bliskich na zarażenie.

- Ja wtedy właśnie wróciłem z Paryża. Już nie byłem dawnym pacholęciem, które pierwszy raz styka się z zarazą i jej ofiarami. Jako dorosły mężczyzna zauważyłem, że plotki, jakoby Żydów nie tykał mór, nawet jeśli nie do końca były prawdziwe, to jednak nie we wszystkim mijają się z prawdą. Żydzi też umierali, ale nie tak masowo, jak można by się spodziewać.

- Nie rozumiem.

- W 1348 roku umarło ponad piętnaście tysięcy osób. W 1365 jakieś siedem tysięcy, a w 1385 zaledwie trzy tysiące. Nie wiem, ilu Żydów umarło podczas pierwszej i drugiej epidemii, wiem natomiast, że osiem lat temu mieszkało w Barcelonie trzydzieści pięć tysięcy ludzi, w tym ponad cztery tysiące Żydów. To znaczy, że na każdych dziewięciu zmarłych chrześcijan powinien przypaść jeden izraelita, jeśli rozumiem logicznie, jak uczono mnie na studiach. Tymczasem na osiemnastu chrześcijan przypadał zaledwie jeden Żyd. Potwierdził to spis sporządzony po epidemii na polecenie królewskiego namiestnika.

- To znaczy, że mają jakieś skuteczne remedium przeciwko czarnej zarazie?

- Właśnie. Świącie w to wierzę. Mogło się zdarzyć, że zmarłych było trochę mniej, tak czasem bywa, ale to nie wyjaśnia tak wielkiej różnicy. To nie może być przypadek. Sądzę, że żydowscy medycy znają jakiś sekret, wymyślili tajemniczą miksturę, która pomaga zmniejszyć skutki epidemii.

- A zatem musimy udać się do dzielnicy żydowskiej i zdobyć ten medykament! - Zerwałem się, gotów natychmiast wprowadzić słowa w czyn.

- Nie! Nie wolno działać pochopnie! - Aimeric chwycił mnie za rękę. - Jeśli wtargniesz teraz na ulice getta i otwarcie zażądasz leku, narazisz niewielką społeczność żydowską, która tam jeszcze mieszka, na kolejną rzeź, choć teraz cieszy się ona protekcją króla Jana i w większości to przechrzty.

- Ale tu chodzi o życie mojej córki!

- I mógłbyś żyć dalej spokojnie ze świadomością, że przez to zginęło trzysta osób? Znam cię, Pere Casadevall. Jesteś zarym człowiekiem. Wiem, że żałowałbyś, gdyby tak się stało.

Rozgorączkowany i rozdarty wątpliwościami, kurczowo zaciskałem dłoń. Co robić? Aimeric miał rację. Wejście do getta - przez obydwie bramy - było zabronione chrześcijanom od wieków, także teraz, gdy Żydzi cieszyli się łaską królewską, a poszukiwanie remedium leczącego dżumę wzburzyłoby tłumy i stało się powodem masowej rzezi, zwłaszcza że w Barcelonie czarna śmierć zbierała obfite żniwo. Poza tym osobiście znałem wielu Żydów przechrztów wśród witrażystów, którzy przygotowywali ogromne rozety i witrażowe okna w naszej katedrze, a wcześniej w Narbonne i w innych miejscowościach. Nie, nie mogłem narażać tych ludzi w zamian za złudną nadzieję. Jak się z nimi skontaktować? Jak trafić na odpowiednią osobę, jednego z doświadczonych żydowskich medyków i przekonać go, aby wyznał mi swoją tajemnicę? Tylko po co miałby zdradzać sekret medykamentu chrześcijaninowi i tym samym narazić swoje życie? Gdybym ja był konwertytą strzegącym podobnego sekretu, nigdy nie zdradziłbym go przedstawicielowi nacji, która zaledwie dwa lata temu wtargnęła przez Bramę Sanahuja i dokonała kolejnej masakry.

- Co robić, Aimeric? Co robić?

On również nie znał odpowiedzi na to pytanie. Żaden z nas nie potrafił nic mądrego wymyślić. Nagle w ciemnościach rozległ się głos i podpowiedział nam rozwiązanie. Anna wyszła ze spiżarni, gdzie przysłuchiwała się naszej rozmowie. Miałem wrażenie, że promyk nadziei rozjaśnia jej nadobne lico, kiedy zaoferowała nam swoją pomoc.

- Panie Aimeric i ty, mój panie, jestem tylko mamką Eulalii, ale to mój najdroższy skarb i nie pozwolę jej umrzeć.

- Cóż ty możesz zrobić, niewiasto? - spytał Aimeric.

- Tam gdzie mężczyźni nie mogą się dostać, kobiety wchodzą bez przeszkód. Znam wiele przechrzczonek Żydówek. Razem chodzimy po wodę do tej samej studni na Plaça Nova. Po tylu latach to chyba zwyczajne, że gadamy ze sobą i dzielimy się kłopotami. Mogę się im zwierzyć i wyjaśnić, o co chodzi.

- Mogłabyś wejść do getta niepostrzeżenie?

- A któż by zwrócił uwagę na zwykłą służkę, zakutaną w chusty, dźwigającą cebrzyk z wodą?

- Skoro tak, to wstrzymam się do zmierzchu z powiadomieniem królewskiego namiestnika.

- Do tej pory pewnie uda mi się zasięgnąć języka. Potem pozostanie tylko czekać. A jeśli chodzi o zamknięcie w domu, chcę pozostać przy Eulalii.

- Nie! - zaprotestowałem gwałtownie. - Nie odejdę od jej łoża!

- Anna ma rację, jeśli oboje dacie się zamknąć w domu, kto będzie kontaktował się z przechrztami? Przynajmniej jedno z was musi pozostać na zewnątrz.

Anna mogła nam ułatwić kontakt, moim zadaniem było zadbać, aby przyniósł on korzyści. Jeśli dam się dobrowolnie zamknąć, niewiele uda mi się zdziałać. Z sercem rozdartym bólem pozwoliłem odejść Aimericowi i Annie, a sam usiadłem przy łożu Eulalii i czekałem na ich powrót, ściskając dłonie mojej córeczki.

Minęło sześć godzin. Honorata doskonale wypełnia swoje zadania i w całym mieście rozlega się jej donośne i czyste bicie. Wszyscy złotnicy i rzemieślnicy pracujący na ulicach i w zaułkach, którzy do tej pory przy otwieraniu i zamykaniu swoich kramów kierowali się światłem dnia, teraz robią to na dźwięk dochodzący z katedralnej wieży. Kiedy piszę te słowa, właśnie wybiła siódma i powoli zapada zmrok. Wkrótce wąskie uliczki, dotąd wypełnione gwarem i ożywioną krzątaniną, zaczną się wyludniać. Kramarze zbiorą towary ze straganów i schowają je w składach. Bednarze i stolarze opuszczą swoje miejsca na Pla de l'Estany i umożliwią dojście do studni. Na wybrzeżu żeglarze chwilowo znajdujący się na łodzi, oczekujący, aż jakiś kapitan ich zatrudni, wyciągną z sakiewek ostatni grosz i roztrwonią na wino i kobiety, a na wieczór zadowolą się miską polewki z ptasich podrobów, byle jakiej, ale za to taniej. Narodzi się miasto nocy, jakiego większość z nas nie zna albo udaje, że nie zna. Noc już czyha, ściele się ponurym mrokiem nad nieświadomą niczego, pogrążoną we śnie Barceloną. Zabrzmiał seny del lladre¹⁶. Bramy miejskie zostały zawarte aż do świtu. Czujemy się bezpieczni, tak jakby całe zło przychodziło zza murów, a w gruncie rzeczy zło, krzywda i groza są w nas, pochodzą z naszych dusz, osaczają nieszczęsne żywe trupy. Co będzie, jeśli morowe powietrze zatruje całe miasto? Ustaną zabawy, hulanki, zgaśnie radość? Na co zdadzą się modły i błagania? Ilu z nas umrze? A ilu przeżyje? Anna ciągle nie wraca...

Eulalii trochę się polepszyło. Nakarmiłem ją zupą rybną, przelknęła kilka łyżeczek. Jeszcze jadła, kiedy wróciła Anna. Otuliłem małą i wybiegłem jej na spotkanie.

- Dowiedziałaś się czegoś? Spotkałaś swoje przyjaciółki?

- Tak. W domu Àngela Martina, przechrzt, który dawniej mienił się Mossed Cayim. Ona również zwała się inaczej, Miriam. Teraz nosi imię Marta. To szwagierka Martina, wyszła za mąż za jednego z jego siostrzeńców. Udało mi się z nią porozmawiać i pomimo jej początkowego uporu, który z trudem przełamałam, choć nie winię jej za to, przyrzekła porozmawiać z osobą upoważnioną do rozważenia naszej prośby. Przesiedziałam u niej trzy godziny, czekając, aż przekaże naszą wieść.

- Ależ czas ucieka, a choroba postępuje. Wielu chorych umierało w czasie krótszym, niż choruje Eulalia. Muszą się pospieszyć, bo jej wątle siły wkrótce się wyczerpią.

¹⁶ Seny del lladre (kat.) - dzwon złodzieja; jego bicie dawało sygnał do zamknięcia na noc i otwarcia o świcie bram miejskich oraz zawarcia drzwi domostw (przyp. tłum.).

- To już nie zależy od nas. Z trudem przekonałam ją do przedstawienia naszej prośby, ale już sam fakt, że znamy to lekarstwo, to rodzaj szantażu, którego nie mogą zignorować, tak samo jak następstw. Przecież dobrze wiemy, co to znaczy.

- A więc...?

- Jutro dadzą nam odpowiedź. Jutro rano ktoś się z wami spotka w oberży na placu Zbożowym. A teraz idźcie już, panie, bo wkrótce nadejdą strażę miejskie i zamkną dom. Musicie być na zewnątrz, żeby kupić nam żywność i spotkać się z przechrztami.

Przytaknąłem i odszedłem, pocałowałem najpierw moją córeczkę w czoło. Jej lico, jakimś dziwnym zrzędzeniem losu, nie zaatakowała choroba, nie było na nim wrzodów, pozostało śliczne i nieskalane. Kiedy ją całowałem na pożegnanie, była spokojna i gdybym nie znał straszliwej prawdy, kryjącej się pod otulającymi jej ciało kocami, nie wątpiłbym, że Eulalię czeka długie życie. Jeszcze jedna noc oczekiwania. A teraz nawet nie mogę przy niej być.

8 grudnia Roku Pańskiego 1393

Zapadła noc. Wszystko, co mi się dzisiaj przydarzyło, było tak bardzo niezwykle i niewiarygodne, że trudno mi się powstrzymać od zapisania tego na stronicach mojego diariusza. Chociaż będzie to długi opis, mogę streścić to jednym zdaniem: jest nadzieja! Ale najpierw muszę wyjaśnić pewne moje myśli, przeto będzie lepiej, jeśli zacznę od początku.

Po tamtej bezsennej nocy wstał smutny, deszczowy dzień. Z trudem powstrzymałem się od chęci pognania do domu i sprawdzenia, jak się czuje Eulalia. Nie mogłem tego zrobić, bo lękałem się, że mój wyczekiwany gość dotrze do oberży na placu Zbożowym i nie zastanie mnie tam. Aż do dziewiątej musiałem trzymać nerwy na wodzy, wtedy bowiem w drzwiach karczmy pojawił się postawny mężczyzna w podeszłym wieku, około sześćdziesiątki, w stroju prostego wyrobnika. Miał charakterystyczne rysy twarzy, orli nos i kędzierzawe włosy, typowe dla ludzi jego rasy. O tej porze oberża była pusta, podszedł więc prosto do mnie i przywitał skinieniem głowy. Ponieważ usiadłem przy stole oddalonym od innych, nikt nie mógł nam przeszkodzić.

- Jestem Àngel Martin, a wy to pewnie mistrz Pere Casadevall.

- Tak.

- Muszę się upewnić. Kim jest osoba, która mnie wezwała?

- Anna. Znam ją. Nie musicie się obawiać, panie.

- Dzień, kiedy my, nowochrześcijańcy, nie będziemy się obawiać starych chrześcijan będzie dniem naszego ostatecznego upadku, i sądzę, że nie jest on zbyt odległy. Ale wracajmy do rzeczy: czego, panie, oczekujecie ode mnie?

- Dobrze wiecie, o co mi chodzi, panie. Anna opowiedziała wam, co się stało w moim domu, nie będę tego powtarzać. Potrzebuję pomocy i tylko wy, Żydzi, możecie mi jej udzielić.

- A wy naprawdę wierzycie, że tę, tę... „pomoc”, jak to określiliście, znajdziecie u nas?

- W takim razie jak wyjaśnicie nieliczne przypadki śmierci wśród waszych parę lat temu, kiedy... zaraza szalała w całej Barcelonie?

- Przyjmijmy, że rzeczywiście tak było. Czy jesteście, panie, świadomi, co taka wieść znaczy dla moich braci?

- Gdyby moją intencją było sprawienie cierpienia, już bym to zrobił. Nawet nie musiałoby istnieć remedium na dżumę. Wystarczyłoby wyjść na Pla den Llalla albo na Plaça del Born i opowiedzieć o tym pleciugom. Ja nie życzę zła przechrztom ani żydom. Pragnę tylko, żeby moja córka wyzdrowiała.

- Wierzę w waszą szczerą, mistrzu Pere. Wyczuwam ból w waszym sercu. Jestem pewny, że nie kłamiecie, bo od wczoraj, kiedy Anna rozmawiała z moją szwagierką, zasięgnęliśmy o was języka.

- A zatem pomożecie mi?

- Mówcie ciszej. To nie jest stosowne miejsce na takie rozmowy. Wy budzicie moje zaufanie, ale to miejsce nie. Pójdźcie ze mną.

Zapłaciłem oberżyście piętnaście soldów za byle jaką strawę, której nawet nie tknąłem, i za nocleg. Ruszyliśmy w stronę dzielnicy żydowskiej. Pomimo wielkich zniszczeń zachowała charakter getta, choć planowano zburzyć barbakan i osiedlić tam chrześcijan. Zresztą rodziny wychrztów przenosiły się za mury, do domów na Carrer Tres Llits, nieopodal Konwentu Świętej Trójcy. Może jako nowi

chrześcijanie szukali protekcji duchownych. Przeszliśmy Bramę Sanahuja, obok której dawniej wznosiły się synagoga i jesziwa, akademie talmudyczne; niedawno na jej miejscu wzniesiono kaplicę pod wezwaniem Świętego Krzysztofa. Martin wszedł do środka i przeżegnał się znakiem krzyża. Ja zrobiłem to samo. Zajęliśmy ławkę przy bocznym ołtarzu, skąd widać całe wnętrze.

- Prawie nikt tu nie zagląda. O dwunastej i piątej po południu przychodzi ksiądz odprawić mszę. Starzy chrześcijanie ciągle pamiętają, że nie tak dawno stała tu synagoga. Tu jesteśmy bezpieczni. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- A zatem porozmawiajmy otwarcie. Jak już mówiłem, nie chcę skrzywdzić żadnego przechrztu. Chcę tylko dostać remedium, które może uratować moją córkę!

- Jeśli przyznam, że ten specyfik istnieje, narażę moich braci. Jestem odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo. Jaką mam gwarancję, że zachowacie, mistrzu, tę wiadomość dla siebie? Jak byście postąpili na moim miejscu? Czy rozumiecie, jak wielka odpowiedzialność na mnie spoczywa?

Rozważałem jego słowa. Martin miał rację. Jaką gwarancję mogę mu dać? Jak zasłużyć na jego zaufanie? Niespodziewanie wpadła mi do głowy pewna myśl: skoro ten dojrzały wiekiem człowiek był tu ze mną, to znaczy, że on również ma jakiś tajemny zamiar względem mej osoby, którego jeszcze nie wyjawiał. Mógłbym zdradzić Żydów, że ukrywają remedium na czarny mór i wywołać nową rzeź albo szantażować go dla własnych korzyści. W obu przypadkach Martin nie chciałby w ogóle ze mną rozmawiać. Nasze przedłużające się spotkanie miało sens, jeśli pragnął uzyskać coś więcej niż tylko pewność, że wieść się nie rozniesie.

- Jestem gotów zrobić wszystko, czego tylko zażądacie, aby dowieść mojej dobrej woli.

- Jesteście w kaplicy przed ołtarzem. Czy przysięgniecie na waszego Boga, że dochowacie tajemnicę?

Wzbudziłem w nim zaufanie, otworzyłem więc przed nim serce.

- Gdybyście zażądali tej przysięgi jakieś osiem dni temu, zrobiłbym to bez wahania, nawet za cenę zbawienia mojej duszy, ale dziś, kiedy zachorowała Eulàlia - a przecież parę lat temu moją żonę i dwoje dzieci zabiła ta sama zaraza - przyznaję, że zwątpiłem. Przysięga złożona przed tym ołtarzem nie płynęłaby ze szczerego serca. Chciałbym wierzyć, lecz ku mojemu ubolewaniu nie czuję tak mocnej więzi z naszym Stwórcą jak dawniej. Modliłem się, ale mnie nie wysłuchał i karze po raz wtóry.

Martin w milczeniu rozważał moje słowa. Nie okazał zdziwienia. Pogrążony przez dłuższy czas w głębokim zamyśleniu, w końcu wyrzekł te słowa:

- Zabrzmiało to poważnie. Gdyby ktoś usłyszał, co powiedzieliście, mistrzu, i doniósł o tym Świętej Inkwizycji, wasz los byłby przesądzony. Na nic by się zdały wasze zasługi jako mistrza przy wznoszeniu katedry. Pozbawiono by was majątku, skazano na tortury, a może nawet na stos.

- Wiem, panie.

- Czy bylibyście gotowi spisać dokument poświadczający wasze zobojętnienie wobec spraw wiary? Zostawić zapis, który by was tak poważnie oskarżał?

- Dajcie mi pergamin i pióro, a otrzymacie moją pisemną gwarancję.

Martin dwukrotnie głośno klasnął w dłoń. Przez wrota kaplicy weszli dwaj mężczyźni. Wcześniej ich nie widziałem. Jeden z nich podszedł do niego, pochylił z szacunkiem głowę i wyszeptał tylko jedno słowo:

- Rebe.

Martin powiedział mu coś na ucho i obaj wyszli z kaplicy. Po paru minutach wrócili z tabliczką do pisania, inkaustem i pergaminem. Rabin podał mi te utensylia bez słowa. Ja też nic nie mówiłem, zapisałem tylko to, co wcześniej wyrzekłem na głos. Wręczyłem mu zapisany pergamin.

- Wiecie, co oznacza ten dokument.

- To wyraz zaufania.

- Może oznaczać życie albo śmierć.

- Rzeczywiście, panie, ale nie tylko moją, również mojej córki.

- Dla mnie jest to gwarancja. Od tej chwili możemy zacząć rozmawiać.

- Powiedzcie, czy naprawdę macie jakiś medykament?

- Istnieje specjalnie sporządzone remedium, które w wielu przypadkach pomaga chorym i ratuje ich od śmierci. Nie zawsze jest skuteczne. Składniki owego specyfiku są trudno dostępne, pochodzą z Dalekiego Wschodu, a może z jeszcze dalszych zakątków świata. Nie mamy go zbyt wiele. Jeśli

zaraza będzie się rozprzestrzeniła, medykamentu może zabraknąć dla naszych chorych... Możemy wam dać tyle, ile trzeba dla malej Eulalii. Dla was już nie wystarczy.

- Przynieście mi go jak najszybciej! Moja córka choruje już od tygodnia. Lekarstwo jest potrzebne natychmiast.

- Ten dokument jest gwarancją, ale to nie wszystko.

- Co jeszcze mogę zrobić?

- Wy też musicie nam pomóc. Zanim to nastąpi, musimy kilka razy spotkać się i porozmawiać. Najpierw bowiem powinniście zrozumieć sprawy, których na razie nie pojmujecie, a jest to warunek konieczny przed podjęciem jakichkolwiek działań.

- Pragnę, aby moje dziecko przeżyło i jestem gotów przystać na wasze warunki, jednakże, z powodów, które już wyjaśniliście, nie chcę, by za cenę życia Eulalii ucierpieli inni.

- Nikomu nie stanie się krzywda, nikt nie zginie. Nie będzie to również zdrada Korony Aragońskiej. To jest dość prosta sprawa i zarazem trudna. Jeśli zaręczycie, że to zrobicie, prześlemy wam lekarstwo.

- Dobrze wiecie, że nie mogę kłąć się na wiarę.

- Przeto przysięgnijcie na swoją córkę.

Stanąłem przed Martinem i patrząc mu prosto w oczy, uroczyście przyrzekłem:

- Przysięgam na życie mojej córki Eulalii, że jeśli wyzdrowieje, wypełnię obietnicę pomocy, oczywiście, jeśli to nie wyrządzi krzywdy bliźnim i nie będzie oznaczało zdrady moich rodaków.

- A zatem wszystko zostało już powiedziane. Trzymajcie. - Wyciągnął spod szaty fiolkę z różowawym proszkiem. - To właśnie jest to remedium, musicie tylko rozmieszać je z małą ilością wody i podawać chorej trzy razy dziennie przez tydzień. A przede wszystkim przestańcie nacinać wrzody, bo wydzieliną powoduje powstawanie nowych ropni i stan malej się pogarsza. Chorobę można zwalczyć tylko od środka. Pamiętajcie, mistrzu Pere, nie możemy zapewnić, że będzie skuteczne. Wielu z nas brało ten lek, a jednak nie wszystkich udało się wyrwać z ramion śmierci. Nie wińcie nas, jeśli się nie uda.

- Na pewno nie będę was winić. Przynajmniej daliście mi nadzieję, a to już dużo.

- A teraz idźcie stąd. Nie spotkamy się, póki nie nadejdzie czas, a o tym zadecyduje Adonaj. Bądźcie dyskretni i czekajcie. Nikt, absolutnie nikt nie może się dowiedzieć o istnieniu remedium. Od tego zależy nasze życie.

- Powiem przeto „do zobaczenia”, zamiast: żegnajcie, bo serce mi podpowiada, że wkrótce znowu się spotkamy.

Opuściłem kaplicę pod wezwaniem Świętego Krzysztofa, z flakonikiem z cudownym specyfikiem ukrytym pod opończę. Początkowo szedłem powoli, ale możliwość uratowania córki dodała mi skrzydeł i sprawiła, że im bardziej oddalałem się od zaułków getta, tym bardziej przyspieszałem kroku. Nagle zdałem sobie sprawę, że pędzę jak szalony, jakby mnie diabli gonili. Wpadłem z impetem na stragan wikliniarza. Słyszając wrzaski kramarza oraz jego klienta, odzyskałem rozum i wymruczałem pod nosem przeprosiny. Flakonik musi dotrzeć w całości do mojej córeczki, więcej medykamentu dla nas nie było.

Przed domem nie zastałem straży. Może stwierdzono kolejne przypadki dżumy, a może stary Aimeric nie zdążył poinformować o naszym nieszczęściu. Cokolwiek się zdarzyło, wejście do środka stało otworem. Gdy wszedłem na wewnętrzny dziedziniec, dziwnie wymarły o tej porze, Anna wybiegła mi na spotkanie.

- Macie lekarstwo?

Przypomniałem sobie obietnicę złożoną Martinowi. Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Muszę dotrzymać słowa. Chociaż miałem do Anny bezgraniczne zaufanie, nie miałem innego wyjścia.

- Nie ma żadnego cudownego specyfiku - skłamałem. - A teraz, Anno, musisz stąd odejść. Nie możemy oboje narażać się na śmierć, pozostając przy Eulalii.

- Ani myślę! Kocham ją jak własną córkę!

- Anno, nie czas na spory. Zrób to, co mówię, i to natychmiast. Idź do kościoła pod wezwaniem Świętego Gerwazego. Możesz zamieszkać na plebanii u mossena Enrica Sabaté. Powiedz, że ja cię przysyłam. Póki zaraza będzie się szerzyła, trzymaj się z dala od domu, tak jak to uczyniliśmy osiem lat temu.

- Nie chcę was opuszczać!

„Was opuszczać...” Nie chodziło jej o Eulalię, lecz o mnie. Przez te wszystkie lata była dla mnie tylko piastunką mojej córki. To prawda, że gdybym tylko chciał, łączyłyby nas inne stosunki. Od przyjazdu do Barcelony nasze życie i łączące nas więzi były dla naszych sąsiadów dość oczywiste, a plotki ucinalem w zarodku. Może praca przy wznoszeniu i wykończeniu katedry przydawała wszelkim moim słowom wiarygodności. Tak czy owak nie było między nami, czy to publicznie, czy w domu, żadnych oznak konfidencji. Anna nigdy nawet nie wspomniała o tym słowie. Dzięki temu udało nam się utrzymać taki układ i unikać obmowy. Po raz pierwszy odsoniła, delikatnie, acz otwarcie, skrywane do tej pory uczucia.

- Jeśli naprawdę nas kochasz, powinnaś natychmiast opuścić ten dom - powiedziałem chłodno i spokojnie. - A jeżeli moje słowa ci nie wystarczą, zrób to przez wzgląd na miłość, którą oboje z Eulalią czujemy do ciebie. Posłuchaj mnie, bo mam ku temu naprawdę ważny powód.

Anna, powstrzymując łzy, przygotowała węzełek. Na progu odwróciła się, pokiwała mi ręką na pożegnanie i udała się do kościoła Świętego Gerwazego. Gdy zostałem sam, pobiegłem natychmiast do kuchni. Tam otworzyłem flakonik. Różowawy proszek miał kolor charakterystyczny dla roślin, chociaż nie znałem żadnej o tej barwie. Przygotowałem odpowiednią dawkę i usiadłszy przy łożu mojej córki, przebudziłem ją i podałem lekarstwo.

Pozostało mi tylko czekać... Dzień po dniu, godzina po godzinie, sekunda po sekundzie wypatrywać najmniejszej zmiany, tchnienia życia, najdrobniejszego gestu, podniesienia powiek... Ograniczam się do podawania leku oraz lekkiej, acz pożywnej zupy. Eulalia bardzo wychudła i marnieje niemal w oczach. Czasem ogarnia mnie zniechęcenie, kiedy indziej zaczynam się znowu modlić i to mnie zadziwia; moja poprzednia decyzja wyrzeczenia się wiary, taka przedtem niezłomna, traci bowiem sens. Rzeczywistość wymyka się moim zmysłom. Już od pięciu dni jestem zamknięty w domu i tylko, kiedy siadam na naszym podwórku, dochodzą mnie z dala stłumione odgłosy miasta, które żyje, wrze, budzi się o świcie i zasypia wieczorem. Bałem się, że zaraza rozszerzyła się na cały gród i mieszkańcy pouciekali.

Moje dziecko ciągle żyje! Do tej pory nie znałem nikogo, kto by tak długo opierał się czarnej śmierci. Wrzodów jest znacznie mniej, odkąd przestałem je nacinać. Gorączka spadła. Jest jakaś nadzieja!

Eulalia otworzyła oczy! Po dwóch dniach dostrzegłem pierwszy symptom zdrowienia. Nadchodził już wieczór, gdy przysypiając na zydelku przy jej łożku, poczułem na sobie jej wzrok. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że ma otwarte oczy, wbite we mnie, co prawda w zmęczonej i wycieńczonej chorobą buzi, ale wreszcie otwarte. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Przytuliłem ją przez dłuższą chwilę szlochalem ze wzruszenia. Gdy rozluźniłem uścisk, znowu spała - spokojnie, nierozpalona gorączką.

Nie ma wątpliwości: Eulalia wyzdrowiała.

Moja córeczka już siada na łożku, a nawet zaczęła mówić. Wypytywała o Annę. Wyjaśniłem, że kazałem jej zamieszkać na plebanii w parafii Świętego Gerwazego. Widać, że mała bardzo za nią tęskni. Udało mi się przespać kilka godzin, po raz pierwszy od dwunastu dni. Powoli zmęczenie ustępuje, córeczka nabiera sił, między nami zawiązała się niewidzialna więź. Wszystko zmierza ku lepszemu, tylko zapasy powoli się kończą. Muszę wyjść do miasta kupić prowiant.

Właśnie wróciłem z wyprawy po żywność. Barcelona jest pogrążona w ciszy, słychać tylko dzwony bijące za dusze zmarłych. Ulice są prawie zupełnie opustoszałe. Tu i ówdzie unoszą się dymy ze stosów, na których płoną rzeczy pozostałe po nieboszczykach. Dzięki Bogu zaraza nie rozszerzyła się tak okrutnie jak mór sprzed ośmiu lat i oczywiście była znacznie mniejsza niż jeszcze wcześniejsza, która choć straszna, jednak nie przybrała rozmiarów tej z 1348 roku. Wtedy ciała zmarłych piętrzyły się na ulicach, a dowódca straży i namiestnik królewski ledwie sobie radzili z panującymi wokół chaosem i paniką. Tym razem zmarło o wiele mniej ludzi. Może kara boska zesłana z niebios w postaci dżumy - jak by powiedział każdy dobry kaznodzieja: sprawiedliwa kara za grzechy i pychę barcelończyków - maleje wraz z upływem lat. Czyżby mieszkańcy Barcelony mniej grzeszyli przez

ostatnie dekady? Ja jednak sędzę, że ci, którzy przeżyli pierwsze zarazy, uodpornili się, a słabsi wymarli... Zresztą któż to wie! W każdym razie bez większych trudności udało mi się zdobyć trochę warzyw i kawałek mięsiwa, co prawda niezbyt świeżego, ale zawsze to lepsze niż nic.

Zjedliśmy z apetytem. Eulàlia jest coraz silniejsza i dziś przeszła się parę kroków po izbie. Będzie żyła. Remedium Martina podziałało. Mała nic nie pamięta z czasu choroby, a zatem tajemnica zostanie zachowana. Tylko ja ją znam.

Pozostaje jedynie czekać.

Trzydzieści dni później Barcelona znowu odżyła. Doliczono się jedynie tysiąca zmarłych i choć to dużo, to jednak wola życia zwyciężyła śmierć i wszystko zaczęło toczyć się normalnie. Znowu życie kipiło dokoła. Anna wróciła od Świętego Gerwazego zaraz po otrzymaniu mojej wieści. Taka była radosna, taka szczęśliwa! Tylko błysk w jej spojrzeniu zdradza uczucie, którego nigdy nie wyznała na głos.

Wznowiono prace przy budowie katedry. Wróciłem do moich zadań, tych samych co wczoraj, takich samych, jakie będę wykonywał jutro. Tylko coś w mojej duszy zmieniło się na zawsze. Już nie pracuję na chwałę Pana. Wznoszę teraz potężny i piękny, ale tylko gmach. Moja dusza już nie zostawia śladu w budulcu z kamieniołomów z Montjuic. I na nieszczęście sam nie wiem, dokąd zmierza.

Enrique odłożył tekst na nocny stolik i poszedł się napić wody. Ileż to rzeczy wyjaśniał rękopis Casadevalla! Wcześniej nie pojmował, co skłoniło mistrza do udzielenia pomocy Żydom, teraz wszystko stało się jasne. Ważniejszy od samej przysięgi złożonej rabinowi był kryzys duchowy: Casadevall zwątpił i przez to zbliżył się do innowierców. Enrique uważał, że w innych okolicznościach, gdyby nie targające mistrzem wątpliwości, nawet choroba córki nie skłoniłaby go do podjęcia tak dziwnej decyzji. Kara w postaci tylu niewinnych ofiar tylko w jego rodzinie okazała się zbyt wielka. Choć z drugiej strony wielu ludzi straciło podczas zarazy rodzinę, to jednak nie wyrzekło się wiary katolickiej... Umościł się wygodnie na łóżku, otulił kocami i kontynuował przerwana lekturę.

Trzynasty czerwca 1400 roku to szczęśliwa data: świętowaliśmy ślub mojej córki Eulàlii. Po półrocznym narzeczeństwie, zgodnie z dobrym obyczajem, ksiądz połączył ją świętym węzłem małżeńskim z Felipem, średnim synem Andreu Bonastruca, handlarza wyrobami z wełny i lnu. Ojciec mojego zięcia zaczynał jako prosty kramarz. Zebrawszy wszystkie swoje oszczędności, wyruszył do Walencji, gdzie nabył ogromne ilości wełny, a sprzedał trudne tam do zdobycia tkaniny francuskie. Dzięki jego zaradności cała rodzina cieszy się dużym szacunkiem i żyje w dostatku, przeto wyraziłem zgodę na ślub. Zresztą, gdybym się sprzeciwił, sprawiłbym córce przykrość, widać bowiem, że młodzi darzą się prawdziwym uczuciem. Ślub odbył się, a gdzież by indziej, w barcelońskiej katedrze, chociaż Bonastruc wolałby wyprawić go na Riberze, w katedrze Santa Maria del Mar. Choć nasza świątynia ciągle jeszcze jest i długo będzie w budowie, jednak zawarty w niej związek małżeński, pobłogosławiony przez samego biskupa, przysparza więcej estymy. Weselisko trwało do późnej nocy, i to z tańcami. O rozsądnej porze udałem się na spoczynek, oczywiście pożegnawszy się pierwaj z moją córką... moją córeczką, która już nie jest taka mała. Urosła i licząc sobie dwadzieścia wiosen, jest piękną, szczęśliwą dziewczyną. Na jej smukłym ciele czarna śmierć pozostawiła jedynie ślady w postaci niewielkich blizn po przeciętych wrzodach. Gdy nadejdzie pora, powije zdrowe dzieci i będzie się cieszyła długim życiem. Patrząc na nią, nie żałuję tego, co zrobiłem. Mogę się tylko cieszyć, choć odczuwam ból z powodu straty Anny. Nasza wierna Anna umarła bowiem kilka miesięcy temu. Bardzo za nią tęsknimy! Jakże była z nami szczęśliwa!

Piszę te słowa właśnie dziś, wiele lat po moich pierwszych zapiskach w diariuszu, ponieważ wróciwszy z wesela, zastałem czekającego na mnie w domu gościa. Nie wzbudziło to mojego niepokoju, bo natychmiast pojąłem, o co chodzi.

- Witajcie, mistrzu Pere, i przyjmijcie moje najlepsze życzenia z okazji ślubu waszej córki.
- Bądźcie pozdrowieni, Àngelu Martinie. Czujcie się jak u siebie w domu.
- Dziękuję, panie. Pewnie się domyślacie, dlaczego do was przybywam?
- Mogę sobie wyobrazić. Dziwiłem się, czemu to się tak odwleka.

- Rzeczywiście, trochę późno się spotykamy, znacznie później niż należało. Ale potrzebny nam był spokój. Po śmierci Anny i ślubie waszej córki wreszcie możemy porozmawiać sam na sam. Nigdy jednak nie straciliśmy was z oczu, widzieliśmy, jak Eulàlia dorasta, silna i zdrowa. Specyfik okazał się skuteczny.

- Tak. A ja dotrzymałem słowa.

- Właśnie o tym chciałem z wami porozmawiać. Powiem wprost, mistrzu Casadevall: wasza córka zawdzięcza życie łasce Adonaja. Przechowujemy dokument, który wtedy spisaliście. Rozumiecie zatem, że nie chodzi tu o wasz los, tylko waszej córki. Jeśli ten dokument dostanie się w niepowołane ręce, będzie zgubiona.

- Nie musicie mi tego przypominać. Zresztą oprócz życia mojej córki położyłem na szali moje słowo i dotrzymam go.

- Jesteście zatem człowiekiem honoru.

- Za takiego się uważam.

- Muszę was uprzedzić, że sprawy, o których się dowiecie, wywrą na was ogromne wrażenie.

- Jeśli tylko zostaną dotrzymane warunki zapisane w dokumencie, zrobię, co każecie.

- A zatem powiadam wam: w ciągu następnego roku odwiedzi was pod osłoną nocy gość. Przyprawdę tu pewnego mężczyznę, mistrzu Pere. On objaśni wam wszystko, co powinniście wiedzieć. Pozostanie anonimowy. Będziemy go nazywać S. Wizyty będą nieregularne, może się zdarzyć, że będziemy przychodzić przez dwie kolejne noce, kiedy indziej między jednymi a drugimi odwiedzinami upłyną długie tygodnie. Bądźcie zatem cierpliwi, panie, i słuchajcie uważnie. Powtarzam, uzbrójcie się w cierpliwość i przyjmijcie część wiedzy, którą wam przekaże.

- Niech tak się stanie.

- A zatem mogę już odejść.

Martin wyszedł, a ja długo rozmyślałem o naszej rozmowie. Prawdę mówiąc, już niemal zapomniałem o naszym układzie, bo lata płyną, życie idzie naprzód, a złe wspomnienia zacierają się w pamięci. I rzeczywiście, właśnie tego dnia, w dniu ślubu mojej córki, po raz pierwszy pomyślałem o tamtym wydarzeniu. Widać tak musiało być. Kim był ów tajemniczy S.? Martin, jak pamiętam, jest rabinem, kapłanem gminy żydowskiej: najważniejszą osobą wśród barcelońskich izraelitów. A jednak, gdy mówił o S., w jego tonie słychać było szczególnie szacunek i podziw, a nawet dumę. Wyczułem u rebego pewnego rodzaju poczucie niższości, jakby w hierarchii gminy S. stał znacznie wyżej od niego.

Stanie się to, co jest mi przeznaczone.

W zeszłym miesiącu S. zjawił się po raz pierwszy. Stało się zwyczajem, że Martin podprowadza go pod moje drzwi i odchodzi. Zostajemy sami. S. zaczyna mówić. Ma łagodny, niemal niewieści głos. Nie jest jeszcze stary, ale też nie najmłodszy. Pragnie pozostać ukryty. W mroku ledwie mogę rozróżnić rysy jego twarzy. Wiem, że już go kiedyś widziałem, to znaczy nie twierdzę, że spotkałem S. na ulicy, ale przysięgłbym, że znam go od dawna, jakby od zarania dziejów. Jednak gdy drobnymi kroczkami przemyka do drzwi, jego charakterystyczne rysy, pomimo wysiłków, natychmiast zacierają się w mojej pamięci. W ciemnościach widać tylko błysk jego oczu, szczególnie intensywny, kiedy pojmem jakąś ważną myśl. Wtedy świecą mocno jak gwiazdy i mam wrażenie, że rzucają widoczne tylko dla mnie światło. Ma w sobie coś dziwnego. Niezależnie od tego, co to jest, nie budzi we mnie lęku ani odrazy, tylko wrażenie bliskości, więzi.

S. mówi godzinami, a ja słucham z pokorą. Opowiada niezliczone historie, pozornie bez związku, pozbawione logiki. Czasem są to przypowieści ze Starego Testamentu, świętej księgi również dla Żydów. Kiedy indziej przytacza krótkie anegdotki z niespodziewanym morałem, to znów objaśnia rzeczy, których nie rozumiem. Raz wypowiedziane myśli znikają, zamazują się jak jego rysy, jakby pozostawały poza zasięgiem mojego pojmowania albo S. mówił w obcym dla mnie języku, a przecież używa potocznego katalońskiego, niekiedy tylko wtrąca jakieś słowo po łacinie. A zatem czemu jego opowieści znikają w mojej pamięci, gdy tylko tajemniczy gość opuszcza progi domu? Jaki szczególnie czar ma jego głos i osoba? Wiem jedno, że tęsknię za nim i pragnę, aby znowu mnie odwiedził. U schyłku życia los pod postacią S. rzucił mi wyzwanie.

Kim jest S.? Widujemy się często, ale nie zdołałem mu się przyjrzeć. Rozmawiamy o wielu sprawach, ale tylko nieliczne pozostają mi w pamięci. Patrzy na mnie i wtedy doznaję oświecenia, jakby | ogarniał mnie blask, choć w izbie panują ciemności. Ktoś inny na moim miejscu mówiłby o zaurczeniu, o czarach, rozprawiłby o piekle i wiecznym potępieniu. Ja jednak znajduję w nim tylko wzniosłość, ocalenie i chwałę. Co się kryje w jego duszy? Jaką mądrość ukrywa? Nie ma w nim niepokoju, jest tylko cicha, łagodna pewność. Nie ma zguby, tylko droga! A jednak to wszystko, co mi przekazuje, jest niedostępne, niezrozumiałe, poza zasięgiem mojego umysłu. To, co niepojęte, znalazło się na mojej drodze i zmieniło w namacalną, choć ciągle jeszcze nieuchwytną rzeczywistość, która zdaje się dobrotliwie ze mną igrzać. I wcale nie kpię, wierząc, że dostrzegam wyłącznie... wyłącznie... obietnicę! Nie wiem tylko czego.

Nadszedł grudzień. S. odwiedza mnie już od pół roku. Uczę się słuchać jego słów. Wiele opowieści pojąłem. Błysk w jego oczach pojawia się coraz częściej, i to z niespotykaną siłą. Tak jak przypuszczałem, tylko ja dostrzegam to lśnienie: kiedyś, porażony światłością, rozejrzałem się: otaczały mnie ciemności. Spojrzałem na S. i znowu opromieniło mnie światło. Gdy czasami przemawia do mnie niezrozumiałym językiem, choć powinienem pojmować go bez trudu, mam wrażenie, że uśmiecha się z pobłażaniem, jak dobry nauczyciel, który zachęca do pracy swawolnego i mało pojętego ucznia, a przy tym ceni go i szczerze kocha. Opowieści powtarzają się: nie zawsze je rozumiem, ale odbieram ich melodyjne brzmienie, o którym opowiadają muzycy; wiem, że powtarza mi je kolejny raz, spodziewając się, że w końcu trafią do mojego ograniczonego umysłu. Wychwytyję tylko pojedyncze myśli, opowieść sama w sobie nie pozostaje w mojej pamięci, jakby to, o czym mówi, było obce mojemu pojmowaniu rzeczywistości; nie mogę tego znać i dlatego nie jestem w stanie zrozumieć. Tak bardzo pragnę doznać oświecenia, że kiedyś zalałem się łzami; szczerze sobie życzyłem, aby wysiłki Martina nie poszły na marne, nie tylko ze względu na ostateczny cel, jaki sobie postawił. Płakałem też z powodu mojego preceptora i jego ofiarnej pracy nagrodzonej tak mizernym rezultatem. Wówczas, po raz pierwszy, S. podszedł do mnie, położył dłoń na mojej nisko pochylonej głowie i ciepłym, porywającym głosem oznajmił, że jest mi nieskończenie wdzięczny i zobowiązany. W cudowny i niezrozumiały sposób od razu doznałem pociechy i ukojenia, jakby sam jego dotyk miał cudownie uzdrawiające, mistyczne działanie. Od tamtej pory zacząłem z łatwością pojmować jego słowa. Wtedy S. uznał, że czas go okazać mi pewien bezcenny przedmiot, w rzeczy samej będący powodem naszych spotkań. Stanie się to u nich, w dzielnicy żydowskiej, innej możliwości nie ma.

Zaprzestaliśmy spotkań w moim domu. Teraz, po zapadnięciu zmroku, bez specjalnego zaproszenia wymykam się niepostrzeżenie z moich pieleszy do getta, do domu Ángela Martina. Wędruję ciemnymi ulicami, nie błędzę i nie natykam się na nikogo. Nie spotykam ani straży obchodzącej nocą miasto, ani zwykłych opojów poszukujących uciech w lupanarach czy złodziejasków czyhających na bezbronną ofiarę, którą mogliby złupić. Moja nocna wędrówka jest bezpieczna i pozbawiona zagrożeń. U jej kresu czeka na mnie S. Drugie rozmowy, prowadzone ongiś u mnie, teraz toczymy u niego. Pojmuję już wszystko i czekam chwili, kiedy wreszcie zobaczę ów tajemniczy przedmiot. Dręczy mnie niecierpliwość, ale S. powiada, że pośpiech jest niewskazany. Świadom wartości skarbu, jak go określił, choć nie jest to cenny przedmiot w rozumieniu zwykłych ludzi, twierdzi, że należy zbliżyć się doń powoli, z respektem, ma on bowiem niematerialną, nieskończenie wielką wartość duchową. Zwykły człowiek nie może być jego posiadaczem, wolno mu jedynie przechowywać go czasowo, bo relacje mogą się odwrócić i przedmiot zapanuje nad swoim tymczasowym właścicielem.

Zeszliśmy w czeluść piwnicy przez specjalne odrzwia, o których skomplikowanym zamknięciu nawet nie wspomnę. Po zniszczonych, wysłużonych stopniach, topornie wyciosanych w kamieniu, świadkach minionych epok, zstępowaliśmy w dół, aż do okrągłego pomieszczenia, od którego odchodziło siedem pogrążonych w ciemnościach korytarzy. Weszliśmy do jednego z nich, wiodącego jeszcze niżej. Droga zdawała się nie mieć końca. Wędrówka trwała godzinami. Niewiele brakowało do celu. Gdy wydostałem się na światło dzienne, nie pamiętałem, jak tam doszedłem. S. spojrzał na mnie z powagą.

- Wracamy. Dziś nie jest odpowiedni dzień. Odczuwasz pożądanie. Pomyliłem się. Jeszcze za wcześnie.

Powrót do paradnej izby w domu Martina ledwie mi się majaczy. Czuję się bardzo zawiedziony.

- Musimy jeszcze popracować. - Łagodny głos S. brzmiał melodyjniej niż zwykle, jakby pieścił każdą cząstkę mojego jestestwa. - Macie w sobie potencjał, to prawdziwa łaska Adonaja, że do nas trafiliście. Nie trapiecie się, panie. W końcu wam się uda, ale możecie ów przedmiot zobaczyć dopiero wtedy, gdy nie będzie mógł was zauroczyć.

Mówiąc te słowa, kolejny i tym razem ostatni raz dotknął mojego czoła.

Sam nie wiem, jak dotarłem do domu. Zapadłem w długi, głęboki sen. Wrażenie, jakie pozostawiła we mnie ta nocna wędrówka, rozwiało się o świcie następnego dnia.

Minęła kolejna noc. S. nie przyszedł, za to pojawił się Martin.

- Przyniosłem wam dokument. Poznacie?

Wręczył mi przewiązany sznurkiem, zwinięty w rulon pergamin. Nie musiałem go rozwijać, żeby wiedzieć, co to jest.

- Lata minęły, a ja ciągle pamiętam dzień, kiedy go spisałem. Czemu mi go zwracacie?

- Ponieważ nie jest już potrzebny. Wiemy, że nas nie zdradzicie, mistrzu, i lepiej, żeby do was wrócił, niżli pozostał w naszych rękach. Spalcie go w kominku, mistrzu Pere.

Rzuciłem dokument na rozżarzone głownie, pergamin natychmiast zajął się ogniem i doszczętnie spłonął.

- W rzeczy samej, ja bym was nie zdradził. Jednak gdyby ten dokument wpadł w niepowołane ręce, mógłby zaszkodzić mojej córce, a nie chcę, żeby tak się stało.

- I nie stanie się. Wiemy, że nasz ratunek zależy od was. Taka jest wola Adonaja.

- Bardzo mi ufacie.

- Tak jak wam rzekłem owego dnia: czekaliśmy długo. S. twierdzi, że nadszedł czas. A on się nie myli. Ja jestem tylko zwykłym rabinem, który zmuszony okolicznościami niesprzyjającymi naszemu ludowi, musi podjąć wyzwanie i w sekrecie wyznawać wiarę, dawniej otwarcie z niej dumny. On nie może się mylić.

- Kim właściwie jest S.? Kim jest ten, który nie może się mylić, tak jak my wszyscy, zwykli śmiertelnicy? Czyż nie jest taki sam jak my? Czuję przecież dotyk jego dłoni! A was, rabina, najważniejszą osobistość w waszej gminie, czym takim przewyższa?

- Mistrzu Pere, czyż piękno dnia nie przewyższa uroku nocy? Przecież rozmawialiście z nim, musieliście dostrzec różnicę.

Oczywiście, że jest człowiekiem z krwi i kości, tak jak my wszyscy, chociaż są wokół nas istoty niematerialne, których nie możemy dostrzec! Nawet wśród mędrców znajdzie się ktoś jeszcze mądrzejszy, kto prostuje nasze ścieżki i wyjaśnia niezrozumiałe: to jest właśnie rola takich ludzi jak S., ostatniego kabalisty, jaki pozostał na naszym półwyspie w oczekiwaniu na zakończenie swojej misji.

- To dla mnie zbyt zawile.

- W gruncie rzeczy zrobiliście wszystko, co w waszej mocy, mistrzu Pere, jednak nie pojęliście wszystkiego. Zbliża się wielka chwila. Poczekajcie jeszcze trochę.

Po tych słowach wyszedł, pozostawiając mnie zatopionego w myślach przed płonącym kominkiem.

Enrique znał zakończenie tej historii. Bety zamieniła tylko niektóre słowa na inne i poprawiła część zdań, a i tak czytał ten tekst z ogromnym wzruszeniem, bo teraz po rewelacjach Manola, nabierał innego sensu i przenosił go do innego wymiaru.

Nadszedł maj, przez Żydów nazywany szwat, a przez muzułmanów jumada. I właśnie w tym miesiącu wydarzy się coś niezwykłego: dziś mają mi To pokazać. S. potwierdził, że będę dzisiaj uczestniczył w gahalu, całkowicie odmiennym od poprzednich. Tyle razy mnie wzywano, że aż trudno mi uwierzyć, iż w końcu postanowili to zrobić. Niech Bóg mnie prowadzi i oświeci.

Nie wolno mi mówić o tym, co dzisiaj widziałem, a nawet o tym wspominać. Zaprowadzono mnie z domu S. w nieznane miejsce ciągiem wąskich przejść i korytarzy. Oddaliśmy się od uprzednio poznanych szlaków, tak że teraz nie umiałbym odtworzyć drogi. Kręte labirynty prowadziły do miejsc zakazanych, o których my, przejeżdżając beztrudną niewiedzą, nie mamy pojęcia. Tam, gdzie ongiś moja niecierpliwość nie pozwoliła mi zachować żadnego wspomnienia, dziś, oświecony jasnością mojego odrodzonego umysłu, dokładnie zapamiętałem mroczną drogę.

Najpierw schodziliśmy długo w dół, potem mam wrażenie, że kręciliśmy się w kółko. Może była to jedyna droga, a może chcieli mnie zmylić, bym nie był w stanie jej odtworzyć, nawet gdybym chciał. Chyba mi ufają, jednak różnice między nami są tak oczywiste jak istnienie tych tuneli, które w razie prześladowań są dla nich jedyną drogą ucieczki. Bardzo mi zaufali, prowadząc mnie sekretnym labiryntem przejść. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zdradziłby obcemu miejsca ukrycia tego przedmiotu, relikwii, czy jak to nazwać, nie podjąwszy uprzednio wszelkich środków ostrożności. W końcu jestem w ich oczach tylko niewiernym. I wcale nie dlatego niewiernym, że nasze religie są inne. Niewierni to ci, co ich prześladują, obrabowują i wyrzynają bez litości. Niezależnie jednak od tego, czy nim jestem, czy nie, i czy oni są bałwochwalcami w moich oczach i wobec mego Boga, poprosili mnie o pomoc, a ja dałem słowo, że nikomu o tym nie powiem.

Dotarliśmy do okrągłej sali, udekorowanej ciężkimi, grubymi kotarami w kolorze purpury, przetartymi i pociemniałymi od kurzu, osadzanego przez niezliczone lata zapomnienia. Na samym środku znajdował się surowy, kamienny ołtarz, na którym stała srebrna me-nora - siedmioramienny świecznik. Z sali wychodziło siedmioro drzwi. Na posadzce przed nimi wyryte było imię jednego z siedmiu demonów, których Żydzi zowią Szedim: Naama, Kardeiakos, Ruah, Sam Ha, Mawet, Szibeta i Aszmodai.

S. dał znak swoim ludziom, którzy jednocześnie, tak jakby powtarzali ten rytuał setki razy od zarania dziejów, nadeptali lewą stopą na imiona demonów. Miałem wrażenie, że do moich uszu doszedł głuchy, ledwie słyszalny pomruk - zdawał się dochodzić znikąd. Chciałbym wierzyć, że był to jeno wytwór mojej wyobraźni, wywołany atmosferą tego dziwnego i bluźnierczego miejsca, mogącego zasugerować mojemu udęconemu umysłowi sprawy i rzeczy nieistniejące. Chcę wierzyć, że podekscytowanie, iż wkrótce spełni się moje marzenie, mogło zaburzyć mój odbiór świata. Chcę w to wierzyć. A jednak...

Towarzysze S. zastygli nieruchomo na znakach. S. wszedł do środka z rozwagą, nieufnością i lękiem - nie potrafił tego ukryć. Żywną pałeczką zwisającą z pochodni niesionej przez jego pomocnika zapalił świecę w menorze. Zaczął od lewej strony i pozwolił mi się zbliżyć, gdy wszystkie siedem świec zapłonęło równym, jasnym płomieniem, typowym dla starego wosku.

U podstawy zauważyłem wygrawerowany jakiś symbol. Chociaż S. przestrzegał mnie, że pod żadnym pozorem nie wolno mi nic mówić ani robić bez jego wyraźnego nakazu, jednak powodowany niewytłumaczalnym impulsem pochyliłem się i już miałem dotknąć znaku, gdy S. zatrzymał zdecydowanym, acz niepozbawionym łagodności gestem moją dłoń i wyszeptał:

- Abrakadabra.

Potem mi wyjaśnił, że to słowo ma magiczną moc przebudzenia potężnego, oślepiającego promienia; śmiałek, który dotknie Kamienia, wkrótce umiera w męczarniach. Może także przywołać wszechmocnego demona, by schwytał zuchwalca i ukarał za nieuzasadnione wtargnięcie do tego mrocznego sanktuarium. Gdyby ktoś, niezależnie od wyznania, opowiedział mi podobną historię, zanim poznałem to miejsce i przeżyłem to, co się potem stało, wziąłbym go za szaleńca. Byłem jednak naocznym świadkiem tego, czemu rozum przeczy i co wydawało się całkowicie niedorzeczne.

Najpierw S. recytował cicho jakąś dziwną modlitwę po hebrajsku i choć usilnie starałem się ją zrozumieć, moje wysiłki spełzyły na niczym. Być może był to jakiś rzadki dialekt, od dawna nieużywany, pochodzący z zamierzchłych czasów. Potem odsunął rytualny świecznik i nacisnął jakieś miejsce na drewnianym obramowaniu ołtarza. Tabliczka, na której były wyryte znaki, ustąpiła. Widać w ramie ukryty był zmyślny mechanizm przesuwający kamienną płytę. Następnie S. wsunął dłonie w otwór powstały pod ołtarzem i wyjął ten przedmiot.

To, co wydarzyło się później, jest zbyt nieprawdopodobne, by o tym mówić, a tym bardziej pisać. Opowieści S. okazały się prawdziwe. Wystarczy powiedzieć, że na przedmiocie jest wyryte Jego Imię i S. ośmielił się je wymówić.

Mieli rację. Moim obowiązkiem jako chrześcijanina i człowieka jest zachować To w sekrecie na zawsze. Muszę znaleźć jakiś sposób, aby To ukryć i zapomnieć o tym, co widziałem i trzymałem w

ręku. Oczywiście, że ukryję, tak jak sobie S. życzy, chociaż tam na dole jest tak dobrze zakamuflowany, iż sądzę, że moja pomoc w tym przypadku jest zbędna. Jednak Martin wcale tak nie uważa. Jego zdaniem wkrótce Żydzi zostaną wygnani z Barcelony, całe ich mienie przepadnie, domy będą przetrząśnięte, drobiazgowo przeszukane i skarb nie będzie już bezpieczny.

Panie, wybacz mi, bo popełniłem najcięższy grzech. Boże, wybacz mi, bo jeśli zgrzeszyłem, to tylko dlatego, by inni nie mieli ku temu sposobności i by jeszcze większe nieszczęścia nie spadły na ludzkość. Z całą świadomością przyznaję się do winy. Niech Bóg zlituje się nad mą biedną duszą.

Zrobiłem, co było w mojej mocy. Na koniec, prowadzony i chroniony miłością oraz mądrością, znalazłem wyjątkowe i odpowiednie miejsce w Królestwie Bożym, które miłosierny Bóg raczył mi wskazać.

Enrique przeczytał do końca manuskrypt Casadevalla. Przekład Bety pomógł rozwiązać wątpliwości, jednak tajemnica pozostała niewyjaśniona. Miał wrażenie, że autor zakpił sobie z niego w żywe oczy. Gdzie, do diabła, ukrył Kamień? Czy przetrwał do naszych czasów? I najważniejsze - czy go odnajdą? Kim był ów tajemniczy S., którego imię na zawsze pozostało nieznane? I dlaczego mistrz Casadevall uległ do tego stopnia niezwykłemu urokowi swego gościa?

Te wszystkie pytania zasługiwały na odpowiedź. Każdy człowiek, choć trochę ciekawy, ulegnie pokusie rozwiązania zagadki, a co dopiero pisarz! W odpowiednich rękach - Enrique miał na myśli siebie - taki materiał może stać się kanwą fascynującej powieści, prawdziwego bestsellera. Prawdę mówiąc, główne zadanie zostało już wykonane. Teraz należało tylko nadać mu odpowiednią strukturę i dla urozmaicenia akcji powiązać główny wątek z pobocznymi. W ten sposób uniknie się monotonii i złamie nudną konstrukcję przyczynowo-skutkową... Tak, to już postanowione: pozalutnia wszystkie ważne sprawy i zabierze się do pisania. Kiedy Mariola i on... Gdy wszystko zostanie zakończone, rękopis znajdzie się na drugim planie.

UPADEK MOTYLA.

13.

Tej nocy Enrique miał lekkie sny, takie, których się po przebudzeniu nie pamięta. Może nie były aż tak porywające, żeby chciał śnić je powtórnie, ani nie nazbyt chaotyczne i męczące, ale pozostawiające po sobie miłe wrażenie. Obudził się późnym rankiem jak nowo narodzony. Odprężony, zrelaksowany, przygotował sobie śniadanie i wziął prysznic. Czuł się pokrzepiony na ciele i duchu.

Bety była taka miła i przed wyjściem wyłączyła telefon, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Wczorajszej nocy coś podpowiedziało jej, żeby tak zrobić. W ciągu kilku godzin zachowanie Enrique'a zmieniło się diametralnie. Nic nie było już takie jak wczoraj. Najgorsze minęło. Nie pogodził się jeszcze z przeszłością, ale przynajmniej z nią nie walczył. Rana się zabiła, i to szybciej, niż oczekiwał. Wcześniej czy później przyjdzie zapomnienie, a wraz z nim zniknie żal.

Włączył telefon i komórkę. Sprawdził skrzynkę głosową. Może Mariola zostawiła mu jakąś wiadomość, tak jak się umówili.

Ubrał się w mgnieniu oka. Gotów do wyjścia, wyjął ze skrzynki pocztowej dwie gazety, które zamawiał Artur. Postanowił poświęcić ten dzień na załatwienie bieżących spraw: anulować liczne prenumeraty Artura, zmienić nazwisko odbiorcy na rachunkach za światło, wodę i gaz oraz płatnika podatku miejskiego, odwiedzić kancelarię notarialną.

Z kolei Bety zaczęła dzień tak jak zwykle: kilkukilometrowym intensywnym biegiem po zboczach Tibidabo, by rozbudzić ciało i utrzymać je w formie przez cały dzień. Zaczęła trenować poranny jogging jeszcze na początku kariery akademickiej i teraz nic nie mogło jej w tym przeszkodzić.

Po powrocie z przebieżki postanowiła wyłączyć telefon stacjonarny. Enrique smacznie spał i nie chciała, żeby obudził go dzwonek. Ostatnie dni miał szczególnie ciężkie. Poprzedniego wieczoru szybko stracił panowanie nad sobą podczas sprzeczki w kuchni. Zbyt wielka presja. Nie umiał zapomnieć o bólu, jaki sprawiły mu informacje Fornellsa o Arturze, które usłyszał kilka godzin wcześniej, ale prawdę mówiąc, mało kogo by to nie obeszło. Po kłótni ogarnęło go zupełne rozprężenie, a próba szukania pomocy w alkoholu zaskoczyła Bety. W każdym razie kiedyś Enrique bardzo źle by zniósł takie rewelacje, tego akurat była pewna. Od czasu ich rozstania zmienił się bardziej, niż sądziła. W pewnym sensie stanowił dla niej zagadkę. Był bardziej wyculony, wrażliwszy, otwarty na rzeczowe argumenty, rządził nim nie impuls czy typowe dla niego zmiany nastroju, lecz zdrowy rozsądek. Choć mogła to być tylko chwilowa zmiana... Ale to nie czas na rozmyślanie o ewolucji charakteru byłego męża. Manolo powierzył jej konkretną pracę, pomocną w odnalezieniu Kamienia Bożego.

Miała dwa dni na sporządzenie pełnego wykazu budowli sakralnych i świeckich wzniesionych w XIV i XV wieku, ze szczególnym uwzględnieniem tych, przy których pracował Casadevall, zlokalizowanie ich i zaznaczenie na planie Barcelony in situ budynków istniejących do dziś, jeśli okaże się to konieczne. Prawdopodobnie ta lista nie będzie zbyt przydatna; po stuleciach większość budowli została zniszczona, ale była iskierka nadziei, że Casadevall ukrył skarb w tak szczególnym i bezpiecznym miejscu, że tkwi tam do tej pory. A jeśli stało się inaczej i sekretny schowek obrócił się w ruiny i proch, grzebiąc Kamień na wieki? Trudno odtworzyć tok myślenia Casadevalła przy wyborze miejsca ukrycia skarbu. Bezpieczniej było go wrzucić w toń Morza Śródziemnego, pozwolić, by głębiny okryły go mrokami na zawsze. Po co miałyby chować Kamień w jakimś obiekcie? Tylko Casadevall mógł to wytłumaczyć: on i oczywiście tajemniczy S. Musiał istnieć jakiś tajemny powód, choć czy teraz warto rozważać podobne kwestie? Należało ograniczyć się do przedstawionych w rękopisie faktów, do rejestru sporządzonego na ostatnich stronach i do tajemniczych, umieszczonych na końcu liter LLO.SÍ.D. - dla Casadevalła oczywistych, a dla niej enigmatycznych.

Ze wskazówkami opracowanymi w rozgorączkowanym umyśle Manola wyruszyła do biblioteki Stowarzyszenia Architektów, gdzie spodziewała się znaleźć całą potrzebną dokumentację.

Przez całą długą drogę taksówką była jakby nieobecna. Rozmyślała nad zagadką i skomplikowaną siecią zależności, ukazaną w rękopisie, zaskoczona sugestywną mocą, jaką wywierała na niej zawarta w nim tajemnica. Minęło pięćset lat, a przeszłość zmusiła niewielkie grono ludzi do podjęcia trudnego zadania, jakim było odnalezienie magicznego przedmiotu. Dokument emanował jakąś niezwykłą siłą. Po latach trafił kolejno w ręce zapaleńców, jakich ze świecą szukać: najpierw leciwego antykwariusza - miłośnika przeszłości, potem młodego, ale już cieszącego się sławą pisarza i wreszcie filologów - specjalistów od języków klasycznych. Fascynacja manuskryptem chwilowych posiadaczy oraz chęć rozwiązania zagadki rosły coraz bardziej. Nie, to przecież niemożliwe, śmieszne i żałosne, rękopis nie może mieć szczególnych właściwości, tak jakby żył własnym życiem...

Nagle stwierdziła, że taksówka odjeżdża Via Laietana w górę, w kierunku centrum, a ona stoi na chodniku i nie pamięta, jak tu dotarła. To nie było dla niej typowe, zawsze potrafiła się skupić, skoncentrować na tym, co robi. Dała się uwieść magii starego inkunabułu.

Na Plaça Jaume I zatrzymała się przed wystawą. To co zobaczyła w odbiciu szyby, wcale jej się nie spodobało. Patrzyła na nią kobieta zaabsorbowana cudzą sprawą. Ruszyła do archiwum. Musi mieć dystans, w przeciwnym razie żądza poznania całkowicie nią zawładnie.

Enrique'owi godziny mijały niezauważalnie na wizytach w kolejnych urzędach. Większość ludzi w jego sytuacji odczekałaby jakiś czas, zmierzyla się z tym, co nieuniknione, i wyrzuciła to z pamięci. Zostawił samochód na parkingu przy Carrer de l'Hospital; nie miał ochoty włączać się w chaotyczny ruch uliczny wielkiego miasta, postanowił złapać taksówkę. Cały dzień działał jak we śnie - był, mówił normalnie, załatwiał sprawy, podpisywał umowy, ale myślami znajdował się gdzieś daleko. Jedyne momenty, który zapamiętał wyraźnie, to wizyta w kancelarii notarialnej. Postanowił sprzedać lokal sklepowy Artura.

Notariusze Santfeliu pochodzili ze starego, przywiązanego do tradycji rodu prawników. Kancelaria mieściła się w eleganckim budynku, nieopodal Łuku Triumfalnego, w dolnej części Dreta de l'Eixample. Wspaniałe wejście do budynku, z modernistycznym wystrojem, jednoznacznie wskazywało na rangę tego miejsca. Co prawda nie był umówiony na spotkanie, ale przyjęto go bez zwłoki. Może jeszcze była tu żywa pamięć o Arturze, a może właściciele kierowali się czystym zmysłem handlowym, przecież przez lata zarządzali krociową fortuną zmarłego antykwariusza. Któż to wie! Po wyprzedazy antyków i zamknięciu sklepu przeszłość, szczególnie ta materialna, szybko się zamaże. Enrique'a

interesował właściwie tylko dom w Vallvidrerze, bo większą część swego życia spędził w jego czterech ścianach. Może za parę lat przeprowadzi się do Barcelony, chociaż, skoro nie zrobił tego po rozwodzie z Bety i zdążył się przyzwyczaić do San Sebastián, nie widział powodu... chyba że pewna osoba... Zresztą sama myśl o sprzedaży albo wynajmie domu swojego dzieciństwa nie była dla niego przyjemna. Co za absurdalny pomysł, żeby jacyś obcy ludzie w nim zamieszkali! Jednak utrzymywanie dwóch mieszkań w odległych od siebie miastach nie było rozsądne, choć mógł sobie na to pozwolić.

Notariusze obiecali załatwić wszystkie formalności. Ponieważ sprzedaż i wynajem lokali nie należały do ich kompetencji, mieli przekazać sprawy fachowcom, sporządzić odpowiednie dokumenty oraz zająć się koniecznymi opłatami. Byli kompetentni, ale do jakiego stopnia? Czy mieli jakieś powiązania z interesami Artura i praniem brudnych pieniędzy? Możliwe, nie miało to jednak znaczenia. Przynękali, że odezwią się, jeśli zajdzie taka konieczność, i to wystarczyło Enrique'owi; pragnął jak najszybciej zamknąć ten rozdział życia.

Ku swojemu zdziwieniu, wychodząc z kancelarii, wpadł na Rodrígueza. Inspektor podał mu rękę.

- Nie spodziewałem się pana tu spotkać. Jak samopoczucie? - spytał uprzejmie.

- Dobrze. - Enrique nie miał ochoty rozmawiać, ale musiał się dowiedzieć, co się dzieje z Brésardem. - Ma pan chwilę?

- Oczywiście. Panowie Santfeliu nie zając, nie uciekną - zażartował. - Możemy gdzieś wpaść na kawę.

- Zgoda.

Weszli do pierwszego napotkanego barku, prawie pustego o tej porze, o wystroju w stylu lat siedemdziesiątych, z krzesłami obitymi czerwonym skajem, łagodnym oświetleniem. Kelnerzy, sądząc po wieku oraz absolutnym braku zainteresowania przybyłymi gośćmi, pewnie pracowali tu od samego początku. Zajęli stolik przy oknie i zamówili dwie kawy.

- Czy możemy mówić sobie po imieniu? - zaproponował Enrique.

- Jasne. Słucham.

- Cały dzień biegam jak opętany i nie miałem czasu zadzwonić do Fornellsa. Chciałbym się dowiedzieć, jak idzie śledztwo w sprawie Francuza.

- Francuza? Komisarz już ci powiedział? Właściwie nie wiem, czemu jestem zaskoczony. Powinienem się tego spodziewać.

- O co chodzi?

- Posłuchaj, Enrique. To jest informacja poufna. Jeśli przeciek wyjdzie na jaw, stary może mieć kłopoty... chociaż myślę, że teraz, tuż przed emeryturą, niewiele go to obchodzi.

- W dalszym ciągu jest poufna?

- Tak.

- W takim razie nie możesz mi nic powiedzieć.

- Nie, ale jeśli tego nie zrobię i Fornells się o tym dowie, odczuje to tak, jakbym mu wbił nóż w plecy, i jeszcze bardziej upieprzy mi życie. Pytaj więc, o co chcesz. Odpowiem ci w miarę możliwości.

- Przyznał się?

- Nie. I raczej tego nie zrobi. Fornells próbował już wszystkiego, ale Brésard nie puścił pary z gęby. Rozumiesz, to typ twardziela.

- I co teraz będzie?

- Mamy przeciwko niemu tylko dowody poszlakowe, żadnych rzeczowych. Anonimowe doniesienie nie wystarczy do sformułowania oskarżenia. Oczywiście, możemy udowodnić, i właściwie już to zrobiliśmy, powiązania Francuza z twoim ojcem, ale na podstawie dotychczasowego śledztwa nie możemy go uznać za poszukiwanego mordercę. Samuel Horowitz potwierdził, że Artur mu opowiadał o kłótni z Francuzem, ale to tylko kolejna poszlaka, to za mało, by wnieść oskarżenie. Wszystko wskazuje na to, że Brésard jest mordercą, potrzebujemy jednak twardych dowodów, inaczej nam się wymknie.

- Trudno uwierzyć, że facet może się tak łatwo wyłgać.

- To wcale nie jest takie proste, jak wam się wydaje. - Inspektor pokręcił głową. - Odkąd przyjechali z Madrytu ludzie z brygady do walki z przemytem dzieł sztuki, Brésard już nam nie podlega. Jeśli znajdziemy dowody, możemy przygotować oskarżenie, ale na razie mamy tylko poszlaki... A zresztą jest poszukiwany międzynarodowym listem gończym i ścigany przez Interpol w całej Europie. Mają go

przewieźć do Madrytu. Tak sprawa wygląda. Oczywiście razem z nim wyślemy raport policyjny o śledztwie w sprawie Aiguadera, jak ją nazywamy, ale...

- Cholera jasna, chyba nie chcesz mi powiedzieć, że może się z tego wywinąć!

Wyglądało na to, że morderca Artura pozostanie bezkarny. Enrique nawet nie poczuł z tego powodu złości, raczej rozgoryczenie i zawód.

- Nie traćmy nadziei. Często niezbite dowody pojawiają się na ostatnim etapie dochodzenia... Kiedy śledztwo jest już prawie zakończone, a nasza wyobraźnia wyczerpana.

Enrique spojrzął na niego przenikliwym wzrokiem i inspektor zamilkł. Rodríguez jako żywo próbował podtrzymać go na duchu, jak lekarz w rozmowie z pacjentem cierpiącym na nieuleczalną chorobę. Tylko że on nie był chory. Dręcząca go na początku nienawiść zniknęła. Artur nie żył, skazanie mordercy na dożywocie niczego nie zmieni, ale na samą myśl, że zabójca może pozostać na wolności, skręcało go w środku.

- Chyba wiem, po co się wybierasz do kancelarii Santfeliusów.

Rodríguez przyjrzał mu się z ciekawością.

- Skoro od Fornellsa wiesz o ciemnych interesach ojca, to chyba nic dziwnego, że się z nimi spotykam - wyjaśnił.

- Czy są w jakiś sposób powiązani z praniem brudnych pieniędzy i Arturem?

- Może - przyznał ostrożnie inspektor. - Santfeliusowie zajmowali się jego finansami i raczej niemożliwe, żeby nic nie wiedzieli o istnieniu ogromnego kapitału niewiadomego pochodzenia. Jeśli o tym nie wiedzieli, to znaczy, że wcale nie są takimi dobrymi prawnikami, za jakich się uważają. Rodzi to nowe pytania: wśród ich klientów są znani przedsiębiorcy, ludzie różnego pokroju, którzy - to oczywiste, przez proste powiązanie faktów, któż to wie - również mogli dokonywać drobnych, a nawet niekoniernie drobnych, przekrętów wobec fiskusa.

- Sprawa się komplikuje.

- Jeśli gównu pojawia się w jednym miejscu, smród rozchodzi się wszędzie.

- Przypuszczam, że naślecie na nich kontrolę finansową.

- Oczywiście. Ale to rodzinny zespół adwokacki: ojciec notariusz, synkowie specjaliści od prawa handlowego. To nie będzie takie proste. Zanim się do nich dobierzemy, trzeba trochę powęszyć. Weź pod uwagę, że prowadzimy śledztwo poszlakowe. Bez materiału dowodowego żaden prokurator nie wyda zgody na przeszukanie. Nie możemy przejrzeć ksiąg bez poważnych poszlak wskazujących na popełnienie przestępstwa. Nic nie jest takie proste, na jakie wygląda.

Enrique uścił rachunek.

- Tak zazwyczaj bywa. No cóż, dziękuję za wszystko.

- Nie ma za co. Oczywiście o naszym spotkaniu nikt się nie dowie.

- Jasne.

Przed drzwiami kafejki uściśnęli sobie ręce na pożegnanie.

- Zadzwonimy do ciebie, jeśli pojawi się coś nowego - obiecał Rodríguez. - Pamiętaj, że przed powrotem do San Sebastián musisz się z nami skontaktować.

- Jutro jest licytacja antyków ze sklepu Artura. Pewnie zostaną jeszcze tydzień, żeby uporządkować sprawy rodzinne. Dziękuję.

Enrique patrzył, jak inspektor przechodzi przez jezdnię przy Ronda de Sant Pere i zmierza do kancelarii Santfeliu. Podupadł na duchu: wszystko wskazywało na to, że Brésard nie zostanie skazany za morderstwo. Tak czy siak w dalszym ciągu sceptycyzm czy fatalizm skłaniał go do przyjmowania życia takim, jakie jest.

Zadzwoił do Marioli. Odebrał Samuel. Marioli nie było, ale zostawiła dla niego wiadomość: będzie na niego czekała na Pla de la Catedral między pierwszą a wpół do drugiej. Była dokładnie pierwsza. Zdażyłyby tam na czas piechotą, ale nie miał ochoty na spacer. Złapał taksówkę. Trafił na taksiarza gadułę, miłośnika radiowych talk-show; typ faceta, który próbuje zmienić ustalony porządek za pomocą fatalnego zwyczajnie nieustannej krytyki. Dla taryfiarza milczący pasażer był darem niebios, bo mógł tokować do woli. Na szczęście trasa była krótka, Enrique jednak wysłuchał, jak zwalczają terrorizm ETA, jak zapobiec kryzysowi gospodarczemu. Dowiedział się też, jak uzdrowić skorumpowane życie polityczne, poznał sekrety alkowy ludzi na świeczniku i przepis na domowy sposób na odmrożenia. Cała tyrada wygłoszona została ze specyficznym akcentem przybysza z prowincji, zamieszkałego gdzieś na przedmieściach Barcelony i starającego się uchodzić za

rdzennego Katalończyka: jednym słowem stwór, ni stąd, ni stamtąd, dziwna hybryda oderwana od korzeni. Wysiadając z taksówki, Enrique rzucił ironicznie:

- Do widzenia i dziękuję za rozmowę.

Już z daleka zobaczył Mariolę. Jej smukła sylwetka wyróżniała się na niemal pustym o tej porze placu. Kilku samotnych, rozleniwionych i znudzonych beczynnością emerytów wygrzewało się na nowych ławkach, które władze miejskie porozstawiały, próbując narzucić nowy styl, daleki od miejscowych gustów. Stała prawie na środku placu: elegancka w ciemnym kostiumie, z dobraną do niego skórzaną torebką. Okulary przeciwsłoneczne skrywały jej przenikliwy wzrok. Idąc przez plac, zauważył, że nieliczni przechodnie gapią się na nią: jedni z nieukrywaną ciekawością, przyciągnięci jej niewiarygodnym szykiem, inni jak na obiekt pożądania: zmysłowy i piękny; modelowa kobieta, o jakiej marzą wszyscy normalni faceci, świadomi, że nigdy jej nie zdobędą, chyba że we śnie, albo inwestując w znajomość z nią wielką kasę. Mariola dostrzegła go z daleka, ale czekała, aż do niej podejdziesz. Enrique, witając się, ciągle czuł się niepewny. Ona jednak, całując go w usta, rozwiła wszelkie wątpliwości.

- Myślałam, że już nie przyjdiesz - wyszeptła mu do ucha. - Dzwoniłam do ciebie przez cały ranek i ciągle włączała się poczta głosowa. Ty naprawdę masz jakiś problem z komórką.

- Masz rację, ale już jestem - stwierdził radośnie Enrique, szczęśliwy z randki.

- Masz lepszy nastrój niż wczoraj?

- Tak.

- Znam w pobliżu uroczą restauracyjkę z bardzo dobrą kuchnią. Potrawy są proste, menu mało urozmaicone, ale kucharz jest świetny i obsługa także. Jeśli masz ochotę, możemy tam pójść.

- Bardzo. - Zgodził się natychmiast.

Mariola wzięła go pod rękę i czule przytuleni udali się do restauracji.

- No dalej, opowiadaj, co dzisiaj robiłeś - rzuciła ponaglająco.

Zanim odpowiedział, westchnął głęboko.

- Nic specjalnego. Całe przedpołudnie załatwiałem sprawy związane ze śmiercią Artura. Zmiana nazwiska na rachunkach i takie tam urzędowe bzdety... sama wiesz.

- Naprawdę dobrze się czujesz? - wypytywała.

- Tak, naprawdę. Sam nie wiem dlaczego, ale czuję się o wiele lepiej, niż się spodziewałem. Prawdę mówiąc, tyle zmieniło się w ciągu ostatniego tygodnia, że mnie samemu trudno w to uwierzyć. Na szczęście spotkałem ciebie, a to nie tylko równoważy zło, ale wręcz przeważa na korzyść dobra.

Twarz Marioli rozjaśnił szczery uśmiech.

- Jesteś taki miły... Nawet gdy mówimy o tobie, wspominasz o mnie. Mogłabym przysiąc, że często o mnie myślisz.

- Częściej, niż możesz sobie wyobrazić.

- Nie jesteś taki jak przeciętni faceci. Może dlatego tak bardzo cię lubię - stwierdziła.

- Nie jesteś taka jak dzisiejsze kobiety. Może dlatego tak bardzo cię lubię - odbił piłeczkę.

Usadowili się wygodnie w małej restauracyjce o rustykalnym wystroju, ze stolikami rozmieszczonymi na trzech poziomach, ścianami obwieszonymi starymi cepami, motykami, sierpami i oryginalnymi obrazami malarzy, co prawda nieznanymi, ale niewątpliwie obdarzonych talentem. W kamieniczce, wiekowej jak uliczka, przy której mieścił się ten lokal, na wyższe piętra prowadziły kręte, strome schody. Drugie piętro było najmniej uczęszczane, o czym ukochana Enrique'a z pewnością wiedziała. Na pierwszy rzut oka niższe poziomy sprawiały sympatyczniejsze wrażenie, ale panował tam większy tłok.

Kelner zaproponował na początek bogaty wybór przystawek. Na drugie danie Mariola, stała bywalczynią, doradziła zapiekankę z jajek z krewetkami i do tego butelkę wytrawnego wina. Rozmawiali na różne tematy: o muzyce, kinie i, jakżeby inaczej, o literaturze. Ku ich obopólnemu zaskoczeniu mieli podobny gust. Enrique był tym zdziwiony, uważał się bowiem za eklektyka pod względem literackich upodobań. Podobali mu się różni autorzy, podejmujący zgoła odmienne tematy i prezentujący różne style pisarstwa. W końcu, co było nieuniknione, zaczęli opowiadać o sobie: o swojej przeszłości, o dawnych związkach.

- Dlaczego się rozwiedliście? - spytała.

- Nie było innego wyjścia. To się musiało tak skończyć.

- Przecież się kochaliście.

- Tak, kochaliśmy. Przynajmniej ja ją kochałem. I sądzę, że ona mnie także, ale co do tego nie mam pewności. Kiedy oznajmiła, że odchodzi, była bardzo stanowcza: nie ma odwrotu; nie mamy o czym rozmawiać, nie ma po co dyskutować. Odeszła, nie obejrzawszy się za siebie. I dobrze zrobiła. Miała rację.

- My, kobiety, zawsze mamy rację - stwierdziła Mariola łagodnie - tylko wy, mężczyźni, nie potraficie tego zrozumieć, a potem jest za późno. Założę się, że ostrzegła cię tysiące razy, iż wkroczyliście na drogę bez powrotu:

- Rzeczywiście. I to nie tylko słownie, ale także na inne sposoby. Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy nie dało się tego naprawić.

- Nie pogniewaj się na mnie za to, co powiem: wam, facetom, brakuje wrażliwości. Tylko nieliczni nie podlegają tej regule. Jesteście inni i inaczej odczuwacie pewne sprawy. Nie mogę pojąć, jak to się dzieje, że rodzina ciągle jest akceptowaną formą współżycia społecznego. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent par nie łączy miłość. Początkowo czują pociąg, pożądanie i póki łączy ich namiętność, wszystko gra, problemy stają się mniejsze, gdy spycha je w kąt miłosny żar. Z czasem ogień przygasa i codzienne kłopoty wychodzą na pierwszy plan. Powodem jest rozbuchany egoizm, który - wiem, co mówię - niszczy wasze partnerki.

- Cóż za feministyczny wywód, niepozbawiony zresztą racji. Ludzie udają szczęśliwych, choć żyją w dwóch różnych światach.

- A rozstanie i rozwód to dla wielu kobiet nadal temat tabu. Chciałyby tego, ale powstrzymują je obawa i niepewność.

- To nie jest przypadek Bety.

- Ma charakter. Zamknęła za sobą przeszłość... mam nadzieję, że na zawsze. - Wbiła w niego wyczekujący wzrok.

- Na zawsze - potwierdził.

Zapanowała niezręczna cisza. Reszta gości już wyszła. Do ich uszu dochodziły przytłumione odgłosy krzątania na innych poziomach. Enrique postanowił przegnać smętne myśli wypróbowanym i na ogół skutecznym sposobem:

- Wypijmy - zaproponował, podnosząc kieliszek.

Mariola z uśmiechem podniosła w górę swój; wyraz niepewności malujący się na twarzy kobiety dodawał jej atrakcyjności. Stuknęli się: wyraźny, ostry dźwięk szkła uderzającego o szkło odbił się echem w opustoszałej sali. Enrique przytrzymał kieliszek Marioli wolną ręką i z uczuciem wpatrywał się w oczy ukochanej.

- Teraz moja kolej, tak? - spytała.

- Nie, szczerze mówiąc, wcale tego nie oczekiwałem, ale chętnie wysłucham twoich zwierzeń. Chcę się dowiedzieć o tobie wszystkiego: o twojej przeszłości, teraźniejszości, o tym, co było dobre, a co złe.

- W porządku. Opowiadałam ci już w antykwariacie, że byłam żoną krytyka i marszanda sztuki. Nazywał się Eric Keitel, poznałam go w Paryżu, kiedy studiowałam na ostatnim roku w akademii sztuk pięknych. Tuż przed końcem studiów studenci organizują zbiorową ekspozycję swoich najlepszych prac. Eric często bywał w Paryżu. Na wernisażach szukał młodych talentów. Dla początkujących artystów był kimś w rodzaju Pigmaliona, oczywiście Pigmaliona nastawionego na zysk. W kontrakcie miał zagwarantowany pewien procent od sprzedaży dzieł. Prawdę mówiąc, początkowo nic mnie w nim nie pociągało. Stwierdziłam, że jest dla mnie za stary; później dowiedziałam się, że jest ode mnie starszy o szesnaście lat. Miał jednak w sobie to coś, co mają mężczyźni z innej epoki: elegancki, dobrze wychowany i bardzo uprzejmy. Chyba nietrudno sobie wyobrazić, że taki facet może oczarować każdą kobietę.

Byłam młoda, piękna, dość zamożna i wydawało mi się, że mogę robić, co chcę. Niezależność, wolność uderzyły mi do głowy. Skończyło się na paru dzikich imprezach, mocno zakrapianych alkoholem. Na szczęście w porę się opamiętałam. Oczywiście, wpakowałam się w kilka romansów, a nawet przeżyłam pierwszą romantyczną miłość, która, jak to zwykle bywa z młodzieńczymi uczuciami, miała dla mnie tragiczny finał. Potem nabrałam rozumu, a może stałam się większą egoistką, co w gruncie rzeczy znaczy to samo.

W tamtym czasie byłam akurat wolna i nikogo nie kochałam. Chyba po raz pierwszy w życiu czułam się naprawdę szczęśliwa. Świat stał przede mną otworem, a ja miałam tyle marzeń! Opowiadam ci to po to, abyś zrozumiał, jaka wtedy byłam... sama nie wiem, promienna, radosna, wspaniała, spełniona... Tak, to jest właściwe słowo.

- Teraz też taka jesteś - rzucił komplement.

Mariola wzięła go za rękę i podziękowała uśmiechem.

- To nie to samo. Czuję się szczęśliwa, ale młodość już minęła - odparła impulsywnie. - Wtedy to było jak nagłe przebudzenie się do życia. Dlatego, kiedy Eric zaczął mnie na wystawie, byłam zaintrygowana. To nie był zwykły podryw. Podobałam mu się, wyczułam to od początku. Co takiego mógł we mnie dostrzec taki dojrzały mężczyzna jak on? To nie był zwykły pociąg seksualny. On - taki przystojny i bogaty - mógł przebierać w kobietach jak w ulęgawkach. Byłam tego świadoma. Broniałam się, nie chciałam się z nikim wiązać. Parę razy zaprosił mnie na randkę. Był dowcipny, uprzejmy, subtelny. Nigdy nie zachowywał się natarczywie czy natrętnie. Schlebiało mi tak jawnie okazywane zainteresowanie. Na trzeciej randce rozmawialiśmy o pewnym obrazie. Pamiętam go do tej pory: bukiet purpurowych róż na czarnym tle. Sama nie wiem, dlaczego powiedziałam, że są to moje ukochane kwiaty. Zapamiętał to. Uwodził mnie, przysyłając codziennie tuzin czerwonych róż. Nigdy nie zdradził, jak zdobył mój adres; ja mu go nie dałam. Do bukietu zawsze była dołączona wizytówka z jego nazwiskiem i numerem telefonu. Po tygodniu zadzwoniłam do niego, żeby podziękować za kwiaty, a wylądowałam z nim na kolacji w jednej z uroczych restauracyjek na Montmartrze, który tak bardzo przypomina Plaça del Pi.

Reszta była tylko kwestią czasu. Eric przedłużył swój pobyt w Paryżu i po kilku miesiącach uznaliśmy naszą znajomość za coś głębszego. Nie mógł jednak dłużej zaniedbywać swoich interesów; jego firma mieściła się na Manhattanie. Rozstaliśmy się z ciężkim sercem. Po dyplomie natychmiast poleciałam do niego do Stanów pod pretekstem doskonalenia angielskiego. Pod koniec lata podjęliśmy decyzję: pobierzemy się, będę pracowała w jego agencji.

Z Nowego Jorku wróciłam z Erikiem. Możesz sobie wyobrazić, jakie to zrobiło wrażenie u mnie w domu. To była prawdziwa bomba. Prawdę mówiąc, dopiero teraz widzę, jaką krzywdę wyrządziłam rodzicom, a szczególnie matce. Ale w życiu często podejmujemy decyzje, które ranią naszych bliskich, i ta właśnie do takich należała. Ślub był cichy, jakby trochę w tajemnicy. A potem zaczęło się dla mnie nowe życie w Nowym Jorku. Ciekawa praca - byłam do niej przygotowana - i mąż nieustannie w rozjazdach po całym świecie; mogłam mu towarzyszyć tylko przy nielicznych okazjach. Na początku, jak zawsze, wszystko było idealne, ale z upływem czasu chemia zaczęła znikać i pewnego dnia poczułam, że mężczyzna, z którym się kocham od czasu do czasu, jest mi w gruncie rzeczy zupełnie obojętny, a ja tylko udaję miłość. Potrzebowałam czegoś więcej: nie chodziło o pieniądze ani o namiętność. Chciałam się z nim utożsamiać, dzielić z nim życie, odczuwać tak jak on. Eric nie potrafił mi nic takiego zaoferować. Próbował, ale nie umiał. Oboje grzęźliśmy w tej beznadziei. Kiedy wyjaśniłam mu w końcu, o co mi chodzi, zrozumiał. Na szczęście nie mieliśmy dzieci. Rozwiódliśmy się za porozumieniem stron, bez uraz i walk. On bardziej cierpiał, bo na swój sposób jeszcze mnie kochał. Wróciłam do Barcelony z rozdartym sercem: żalem do Erka, bólem z powodu przykrości wyrządzonej rodzicom. Żał mi było także samej siebie. Byłam samotna, choć wcale tego nie pragnęłam. Ale przewyciężyłam to uczucie i teraz jestem tu.

- Utrzymujecie jakiś kontakt?

- Od przypadku do przypadku. Kartki na Boże Narodzenie, życzenia noworoczne... Gdy jestem w Nowym Jorku, jemy razem obiad... I to wszystko.

- Utrzymywanie kontaktów jest niewskazane. Przeszłość to przeszłość.

- I kto to mówi!

Enrique zaczął się bronić przed insynuacjami Marioli.

- Bety tylko mi pomaga. Nic nas nie łączy. A zresztą, czy uważasz, że mógłbym być związany z dwiema kobietami naraz?

Mariola długo się zastanawiała.

- Nie, ty nie. Ale mężczyźni bywają dość przewrotni i większość z was nie miałyby skrupułów, żeby tak zrobić, a przynajmniej spróbować.

- No cóż, dziękuję za zaufanie.

- Nie ma za co. W każdym razie chciałabym... to znaczy, nie obraź się, ale zrozum, że... - płątała się. Wiedziała, co chce powiedzieć, ale obawiała się reakcji Enrique'a.

- Wiem, o co ci chodzi. Chcesz, żeby Bety wróciła do San Sebastián.

- Tak - przytaknęła z ulgą. - Spróbuj postawić się na moim miejscu. Mówisz, że nic was nie łączy, a mieszkacie w tym samym domu i tyle lat byliście razem. Stara miłość nie rdzewieje. Trudno mi to wyrazić, ale tak czuję.

Bolała ją ta sytuacja. Enrique niczemu nie zawinił, ale to nie miało znaczenia.

- Nie przejmuj się. Niedługo wyjedzie. Mariola skinęła głową. Miała wilgotne oczy.

- Właśnie tego nie mogę zrozumieć - wyszeptła. - Pomagała ci, kiedy byłeś sam, ale teraz już nie jesteś. Czemu przedłużyła swój pobyt w Barcelonie? Może chce, żebyście się zeszli.

Ze swojego punktu widzenia miała rację. W pewnej chwili między nią a Bety odżyła dawna magia, ale tylko przelotnie. Bety przybyła do Barcelony tylko po to, by rozszyfrować tajemnicę manuskryptu. Enrique nie miał innego wyjścia, musiał wszystko opowiedzieć Marioli. No, prawie wszystko, bo w końcu szczegóły nie były aż tak istotne.

- Posłuchaj, Bety pracuje w Barcelonie nad ważnym tłumaczeniem. Jak wiesz, jest pracownikiem naukowym na filologii klasycznej. Artur przed śmiercią zajmował się przekładem starego rękopisu autorstwa -jak udało nam się ustalić - Casadevalla, mistrza budowlanego z końca XIV wieku. W tekście znajduje się klucz do jakiejś dziwnej zagadki, którą - naszym zdaniem - Artur rozszyfrował. Wskazuje na to list wysłany do mnie w dniu zabójstwa. Pisał o jakimś przedmiocie, o którym sam niewiele wiedział. Na razie, po pierwszym tłumaczeniu, nic nie odkryliśmy. Istnieje wykaz ewentualnych miejsc ukrycia „tego czegoś”, jednak niewiele budowli z tamtej epoki zachowało się w pierwotnym stanie. Niektóre zostały przebudowane lub poważnie uszkodzone, inne wyburzone, prowadzimy badania w nadziei, że znajdziemy jakąś odpowiedź, aczkolwiek według mnie jest to bardzo trudne. Najprawdopodobniej ten przedmiot przepadł na zawsze.

- Zaskoczyłeś mnie. - Na twarzy Marioli znowu pojawił się uśmiech. -Więc twierdzisz, że Bety mieszka z tobą tylko z powodu śledztwa, jakie razem prowadzicie? Naprawdę tylko dlatego? O nic innego nie chodzi?

- Wyłącznie dlatego. Wyjaśnię jej pewne rzeczy i jasno postawię sprawę. A może - powiedział, olśniony własnym pomysłem - mógłbym przenieść się do ciebie? W ten sposób jeden kłopot mielibyśmy z głowy.

Mariola przez dłuższą chwilę zastanawiała się. Wydawało się, że rozważa propozycję Enrique'a.

- Jeszcze nie - odpowiedziała. Spojrzała mu prosto w oczy, z lekko przechyloną głową i uwodzicielskim uśmiechem. - Jeszcze nie. Na razie jest na to za wcześnie.

- W porządku, w takim razie ona będzie musiała wyjechać.

- Nie chciałabym ci niczego narzucać.

- To żaden kłopot - wszedł jej w słowo. - Planowała wrócić do San Sebastián w połowie tygodnia, w środę. Odpowiada ci to?

Skinęła głową z zadowoleniem.

- Jasne. - Przesłała mu buziaka. - Wolalabym, żeby wyjechała jeszcze dzisiaj, ale poczekam do środy. No cóż, muszę już iść. Zrobiło się późno, a ja całe przedpołudnie nie byłam w antykwariacie.

Zabrali swoje rzeczy i zeszli na parter, gdzie Enrique uregulował rachunek. Pożegnali się dopiero na Ramblas. Mariola szła do sklepu, a Enrique - do wydawnictwa.

- Kochany, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna za wyrozumiałość i za to, że mnie wysłuchałeś.

- Daj spokój, nie ma za co.

- A ja myślę, że jest - stwierdziła i cmoknęła go w policzek. - I jeszcze jedno... Mam nadzieję, że się nie obraziłeś za to, iż nie chciałam, żebyś u mnie zamieszkał.

- Chciałbym być z tobą, ale rozumiem, że dla ciebie może to za szybkie tempo.

- Bez przesady. Nastąpi to szybciej, niż się spodziewasz - powiedziała i tym razem pocałowała go mocno w usta. - Przyjdź do mnie wieczorem, po ósmej. Nie chcę, żebyś u mnie zamieszkał, ale to nie znaczy, że nie możemy spędzić trochę czasu razem.

- Będę na pewno. - Uśmiechnął się szczęśliwy.

Mariola odeszła. Zniknęła w tłumie licznych o tej porze przechodniów. Patrząc za nią, pogratulował sobie, że taka wspaniała kobieta stała się częścią jego życia.

14.

Badacz ślęczał przy stole zavalonym książkami. Bibliotekarka, pani w podeszłym wieku, o dostojnym wyglądzie, zerkwała na niego od czasu do czasu z mieszaniną ciekawości i niepokoju. Powodem był chaos panujący na jego pulpicie. Dziwaczny gość, ogarnięty szalem pracy, sporządzał

sąźniste notatki, przerywając swoją działalność tylko na chwilę, by zamówić kolejne białe kruki oraz dokumenty niewyciągane z magazynu przez ostatnie trzydzieści lat, które ta kobieta przepracowała bez zbędnych emocji w tej oazie spokoju, jaką jest biblioteka Archiwum Korony Aragonii. Nie tylko ona czuła się skrępowana naruszeniem ustalonego i rzadko zakłócanego porządku; czytelnicy, przebywający w świecie przeszłości, również obserwowali niechlujnego osobnika, szperającego gorączkowo w rękopisach i księgach. Dowodem były rzucone co i rusz ukradkowe spojrzenia, specjalne spacerki do ubikacji, wymagające niewielkiego zboczenia z trasy, by zza ramienia młodzieńca podejrzyć, cóż tak interesującego go pochłania.

Bibliotekarka pamiętała tego szczególnego gościa z poprzednich, co prawda niezbyt licznych wizyt. Nie sposób było go nie zauważyć. Z reguły przychodzili tu starsi ludzie, emerytowani profesorowie, naukowcy z wieloletnim stażem. Badacz, bo takim mianem ochrzciła go bibliotekarka, burzył ten schemat, zakłócał monotonię panującą w archiwum. Gdy parę lat temu zobaczyła go po raz pierwszy, była oburzona jego niekonwencjonalnym wyglądem: młody człowiek w obcisłych dżinsach, wzorzystej koszuli w odblaskowych kolorach. Przyszedł z jednym z najbardziej szanowanych w barcelońskim światku akademickim profesorów, który przedstawił go jako swojego najlepszego studenta. Odniosła wtedy mało korzystne wrażenie, ale cóż było robić - list polecający od profesora otwierał drzwi nawet największych bibliotek prywatnych w Hiszpanii. Gdy jednak zobaczyła, z jakim zapałem i zaangażowaniem pracuje, zmieniła o nim zdanie. Może i wyglądał ekscentrycznie, ale przeglądał stare dokumenty z niezwykłym błyskiem w oczach. Dlatego nazwała go Badaczem. Oczywiście, pozostali czytelnicy też zasługiwali na to miano, ale tylko młodzieniec, którego imienia nawet nie знаła, emanował szczęściem i radością, zgłębiając najczystsze i najprawdziwsze tajemnice przeszłości. Zresztą był przy tym niebywale uprzejmy i zawsze grzecznie dziękował za wszelką udzieloną pomoc i radę.

Oczywiście, fakt, iż dostrzegła zacięcie naukowe młodego człowieka, nie oznaczał, że akceptowała naturalny bałagan wiążący się nieuchronnie z jego działalnością. Zawsze było tak samo: niekończące się prośby i zamówienia zakłócały spokój bibliotekarce. Tytuły książek ostatnio wyciąganych w latach pięćdziesiątych, dokumenty i annały - sama nie wiedziała, gdzie leżą, niemal zapomniała, że istnieją - piętrzyły się w dzikim nieładzie na jego stole. Wzdychała ciężko. Inni czytelnicy mieli wokół siebie pedantyczny porządek. Metodycznie, jak należy, przeglądali dokument po dokumencie, książka po książce, a nie czternaście naraz. Na pulpicie Badacza leżały teraz: Crónica del Racional de la Ciutat, Llibre de les Solemnitats de Barcelona, Dietari de la Diputació del Generals, Dietari Privat de Jaume Safont, Memoriał de Boscà i wiele innych rzadkich, cennych ksiąg.

Tak czy owak zdążyła się już przyzwyczaić do obecności Badacza, nauczyła znosić jego zagmatwany system pracy, oparty na analizie porównawczej. Wertował dokumenty z energią roju pszczoł. Czytelników zdawała się paraliżować ta nadaktywność, dla niej nie była niczym nowym. Natomiast wprowadził ją w konsternację okrzyk, który nagle rozległ się pośród ciszy i zmusił pozostałych bywalców czytelni do podniesienia pełnego niedowierzania wzroku:

- O kurwa!

Krótkie i dosadne słowo, mające znaczenie konkluzji, świadczące o oczywistym odkryciu, o całkowitym zwycięstwie, tym razem wyrażało również, a może przede wszystkim, całkowite zaskoczenie. Nim wybrzmiało echo tego okrzyku, Manolo Álvarez Pinzón pospiesznie zebrał notatki i rękopis. Resztę ksiąg i dokumentów, nad którymi pracował, rzucił na niebezpiecznie chyboczący się stos i popędził do drzwi, gdzie przystanął tylko na chwilę, żeby usprawiedliwić swoje nagłe wyjście.

- Przepraszam, ale nie mogę pozbierać i oddać książek. Bardzo się spieszę - rzucił niemal w biegu i wypadł z archiwum, pozostawiając zdumioną i oniemiałą bibliotekarkę.

Ciągle jeszcze przejęty swoim odkryciem, chuderlawy młody człowiek o mało nie spadł ze schodów, zbiegając z nich po dwa stopnie naraz. Przekroczywszy próg archiwum, stanął oślepiiony jaskrawymi promieniami słońca. Chwilowo ociemniały, wyglądał dość żałośnie, tym bardziej że omal nie stoczył się ze schodów wejściowych do biblioteki. To nagłe potknięcie przywróciło mu utraconą równowagę ducha, więc mimo podniecenia starał się iść w miarę możliwości spokojnym krokiem. W gruncie rzeczy przeszedł piętnaście metrów. Pod imponującym gmachem podniósł w górę wzrok i podziwiał jego majestatyczne piękno. Uśmiechnął się do siebie. Prawdę mówiąc, niepotrzebnie się aż tak trudził, żeby znaleźć budowlę, w której Casadevall ukrył Kamień Boży. Wystarczyło pomyśleć logicznie. Czyż mógł go schować gdzie indziej? Spojrzał na zegarek: za dziesięć pierwsza. Nie musiał się spieszyć. Miał dość czasu na uruchomienie swoich kontaktów. Zdąży przed zamknięciem dla zwiedzających. Dzierżąc w ręku notatki, wszedł boczną furką, z niezłomną wiarą, że uda mu się znaleźć tajemniczy przedmiot. Nie zauważył śledzącej go postaci, bo koniec końców skąd miał wiedzieć, że ktoś go szpieguje.

I tym samym przypieczętował swój los.

Gdy znalazł ukryty w zapiskach klucz do zagadki, stwierdził, że musi działać szybko: zdobyć pozwolenie na wstęp i poruszanie się we wszystkich strefach gmachu, niedostępnych dla zwykłych obywateli. Nie każdy może zwiedzać zakamarki barcelońskiej katedry, w której Casadevall ukrył Kamień Boży. To było to idealne miejsce: doskonale je znał, jak swoje dziesięć palców, w końcu nie na próżno spędził ponad czterdzieści lat przy jej wznoszeniu. W chrześcijańskim społeczeństwie i w ogóle w świecie wstrząsanym wewnętrznymi niepokojami katedry stały się symbolem niezmienności i trwania. Nikt nie ośmieliłby się zbezczeszczyć tego miejsca, chyba że zmieniłby się porządek świata i nastąpił upadek naszej cywilizacji. Jeśli istniał jakiś święty symbol, akceptowany i poważany przez całe społeczeństwo chrześcijańskie, to z pewnością była nim katedra. Dlatego właśnie tu ukrył Kamień Boży. Cóż za ironia losu - pomyślał Manolo - ukryć najważniejszy symbol tajemnej wiary judaizmu w samym sercu świata chrześcijańskiego w Barcelonie. Wyobraził sobie Casadevalla z Kamieniem w ręku. Sam fakt, że go posiadał, musiał wywołać u niego szok. Niesamowite było to, że podjął się go schować, znając jego nieoszacowaną wartość, S. bowiem pokazał mu Kamień podczas spotkania zwanego gahalem. W manuskrypcie mistrz nie pisze, co się stało, kiedy wyryte na powierzchni sekretne imię zostało wypowiedziane na głos, ale z pewnością wywarło to na nim wstrząsające wrażenie, skoro podjął się dotrzymać obietnicy danej Żydom. A teraz on, Manolo Álvarez Pinzón, naukowiec, z którego kpili sobie zawistni koledzy i profesorowie, był na tropie tajemnicy, którą wielu z nich pragnęłoby poznać.

Poprzez swoje doświadczenia szybko skontaktował się z kapitułą i poprosił o wydanie zezwolenia na zbadanie rytów i inskrypcji zdobiących kamienne ściany katedry. Po swojej pamiętnej pracy doktorskiej na temat ewolucji łaciny kościelnej był pewny, że otrzyma zgodę - w gruncie rzeczy wcale nie aż tak wyjątkowy przywilej. Zmyślony temat pracy o budowie katedry stanowił doskonały pretekst do włóczenia się po całym obiekcie bez wzbudzania podejrzeń. Sekretariat arcybiskupstwa poinformował go, że zgoda będzie gotowa tuż po sjeście i wtedy będzie mógł udać się do dziekana katedry. Tymczasem skrzętnie gromadził narzędzia niezbędne do przeprowadzenia poszukiwań: ołówki, długopisy, rękopis Casadevalla, aparat fotograficzny, latarkę, papier ścierny różnej grubości, przeznaczony do usuwania warstwy brudu nagromadzonego przez sześć wieków na powierzchni kamieni i specjalny sprej, nadający blasku i uwypuklający wyryte setki lat temu napisy, dłuto i młotek. Nie mógł zabrać ze sobą notesu, w którym zapisywał wszystkie informacje związane z Kamieniem Bożym, bo w tej chwili miała go Bety. Szczerze mówiąc, nie był mu potrzebny - pamiętał wszystkie zapisane w nim szczegóły, ale sam fakt, że go nie ma, zaburzył jego poczucie porządku.

Z odpowiednim ekwipunkiem stawiał się o wyznaczonej porze w zakrystii katedry. Przedstawił dziekanowi konspekt wymyślonej dysertacji. Wyjaśnił, że opracowuje wykaz dokonań architektów i mistrzów, przez wieki wznoszących tę piękną świątynię. Przede wszystkim chce zajrzeć do księgi robót budowlanych, w której odnotowywano wszelkie zmiany przeprowadzane w katedrze od początku aż do dziś. Archiwum znajduje się pod ścisłą kontrolą, na wgląd do dokumentów potrzebna jest zgoda księdza dziekana. Zamierza zbadać in situ znaki murarskie wyryte w kamieniu przez mistrzów po zakończeniu pracy i skonfrontować je z dokumentacją. Badania w żaden sposób nie będą kolidowały z nabożeństwami i uroczystościami religijnymi ani też rozpraszały uwagi wiernych i przeszkadzały turystom odwiedzającym katedrę, będzie je bowiem prowadził głównie na galeriach, w tryforium, na balkonie chóru i na dachu.

Dzekan nie stawiał przeszkód, bo w przeciwieństwie do wyglądu Manola listy polecające, jakie przedstawił, budziły zaufanie. Słyszał zresztą o nim od samego biskupa, choć nie miał przyjemności czytać jego dysertacji. Po półgodzinie spędzonej w archiwum ksiądz zaprowadził go na galerię i na dach. Można się tam dostać albo od Porta de Sant lu, albo obok wejścia do wirydarza. Weszli od strony Porta de Sant lu. Schody były wąskie, kręte, słabo oświetlone, stopnie mocno zużyte i wydeptane. Dziekan, ze względu na podeszły wiek, wspinał się ostrożnie. Nie było to jego ulubione zajęcie, w połowie drogi dostał zadyszki. Dwukrotnie przystawał dla złapania oddechu. Najpierw przy galeriach, a potem na wysokości tryforium. Tam uznał, że Manolo ma odpowiedni zasób wiedzy o konstrukcji katedry, i wymówił się niecierpiącymi zwłoki obowiązkami. Zarządzanie tak ogromnym obiektem sakralnym wymaga wysiłku i wielkiego zaangażowania, a zatem nie może poświęcić mu zbyt wiele czasu. Jeśli będzie potrzebował rady czy wskazówki, znajdzie go w zakrystii. Byłby wdzięczny, gdyby się tam stawiał po zakończeniu badań. Manolo podziękował uprzejmie dziekanowi za okazaną życzliwość i sprowadził go po schodach na dół, gdzie szybko się pożegnali. Biedny ksiądz, nawet sobie nie wyobrażał, jaką grzeczność mu wyświadczył, udzielając zezwolenia na swobodne poruszanie się po świątyni; prowadząc poszukiwania nie musiał się nikomu tłumaczyć.

Gdy został sam, przysiadł na ławce i z nabytego w sklepiku na dziedzińcu przewodnika turystycznego wyjął plan katedry. Przedstawiono na nim przekrój poziomy świątyni oraz dwudziestu ośmiu bocznych kaplic, a także rzut sklepień wraz ze zwornikami i żebrami w nawie głównej i w nawach bocznych. W swoich notatkach znalazł diagram, na którym widniał ciąg okręgów połączonych równoległymi liniami. Pod diagramem napisał: Drzewo Życia; ilustracja kabalistyczna, przedstawiająca powiązania między sefirami. Uśmiechnął się uszczęśliwiony i z tej radości rozczochrał sobie włosy. Zawsze marzył o odkryciu tego miejsca, jednak bez manuskryptu Casadevalla było to niemożliwe. Bez studiów nad religią judaistyczną i kabałą również nie znalazłby go w tak ogromnej katedrze. Teraz już wiedział, że odnajdzie je w Królestwie Bożym. Gdy dostrzeże odpowiedni symbol, będzie to oznaczało, że właśnie tam kryje się skarb. Ożywiony tą myślą, zabrał się do pracy.

Po trzech godzinach wytężonych poszukiwań wrócił do punktu wyjścia. Sprawdził już całą katedrę, wszystkie miejsca, gdzie zgodnie z jego hipotezą mógł się kryć skarb - na próżno. Zarówno na posadzce galerii, jak i na sufitach, stanowiących jednocześnie podłogę tryforium, nie znalazł żadnych symboli. Przeszukał wszystko starannie, nawet tam, gdzie nie spodziewał się niczego odkryć, i choćby przeczyło to zdrowemu rozsądkowi, nie chciał jednak niczego przeoczyć. Wnikliwe badania stropu katedry również zakończyły się fiaskiem.

Stare kamienie, z których wzniesiono ten najznamienitszy kościół w Barcelonie, były oznakowane różnymi symbolami majstrów budowlanych, ale żaden z nich nie był tym, którego Manolo szukał na potwierdzenie swojej hipotezy. Poczł się zawiedziony, uważał bowiem, że w jego rozumowaniu nie ma błędu. Na pewno tkwił w tym jakiś kruczek, drobiazg bez znaczenia, coś tak nieistotnego, że to zbagatelizował, zwykła błahostka, która po wykryciu budzi zdziwienie i radość. To takie frustrujące: zawsze był dumny ze swoich niezwykłych umiejętności analizowania danych, a tym razem - nie miał wątpliwości - w jakimś punkcie rozumowania pomylił się.

Starł się skupić, odtworzyć proces przetwarzania danych, ale doszedł do tych samych wniosków. To logiczne - myślał. Moje rozumowanie jest prawidłowe. Wobec tego gdzie, do cholery, popełniłem błąd?

Wyjął rękopis mistrza i kartkował go uważnie, aż natrafił na potrzebny fragment. Przeczytał w skupieniu zdanie zawierające rozwiązanie zagadki, to ujawniające skomplikowaną strukturę, dzięki której on - Manolo Àlvarez Pinzón - odkrył klucz do odnalezienia Kamienia Bożego, ukrywanego starannie przez ponad dwa i pół tysiąca lat. Niby wszystko było jasne, nie istniała żadna inna interpretacja: musiał być jakiś znak, wskazówka, ślad, symbol, który by to potwierdził. Schował rękopis razem z notatkami do teczki i zaczął się wspinać pod strop katedry. Robił to bezmyślnie, z wyjąłowym umysłem, z jednym tylko pragnieniem, by jego podświadomość rozwiązała za niego zagadkę. Schody zawiodły go na dach, miejscami wypukły, ze względu na naprężenie łuków oraz kształt sklepień, aż do punktu, w którym, jak sądził, powinno znajdować się rozwiązanie: przeszło ponad chórem, zwieńczone czwartym kłincem kluczowym, ukończone przez Casadevalla. I nic. Tam też niczego nie znalazł. Przyjrzał się uważnie kamieniom, jednemu po drugim, zbadał wszystkie dokładnie, przesunął po nich palcami w poszukiwaniu jakiegoś wgłębienia, najdrobniejszej oznaki upragnionego symbolu pokrytego sześćsetletnim brudem i kurzem. Na próżno. Przeszedł do krzyża umieszczonego nad czwartym zwornikiem, nad prezbiterium, i zrezygnowany przysiadł na kamieniu, już bez determinacji, bez wiary w szybkie rozwiązanie zagadki.

W czerwonożółtawych barwach zmięzchu przepływające po błękitnym niebie Barcelony postrzępione chmury kładły się wydłużonym cieniem na dach katedry. O zmroku będzie musiał zejść z wysokości i przynajmniej na parę godzin odłożyć poszukiwania. Może to i lepiej: noc bywa dobrym doradcą. Rano obudzi się wypoczęty.

Mijały minuty. Żwawe jaskółki, jak zawsze wiosną, wykonywały o zmięzchu swój podniebny taniec, wiedzione jakimś wewnętrznym przymusem. Wpatrywał się w czarne, krążące wysoko w górce punkciki, przemierzające się szybko po nieboskłonie, w fantastycznych i zdumiewających ewolucjach. Cała gromada ciągnęła za swoim przewodnikiem to w dół, to w górę. Pełen wywijasów lot przebiegał szybko i zwinnie.

Manolo, oparty plecami o krzyż, wypoczywał. Zapatrzony w podniebne harce ptaków, powoli zapadał w letarg, uśpiony miarowymi ruchami jaskółczych skrzydeł. Człł się zupełnie wypalony, jakby oderwany od świata. Wtedy całe stado zmieniło kierunek. Jaskółka - przywódczyni stada - skręciła o sto osiemdziesiąt stopni i cała reszta, z niespełna sekundowym opóźnieniem, choć zauważalnym dla bystrogo obserwatora, poszybowała za nią. Ułamek sekundy tu, ułamek tam, różnica dla innych nieuchwytna, ale nie dla Manola. Jego umysł przeszła z nieprawdopodobną mocą nagła myśl. Poderwał się na równe nogi, podbiegł do sklepienia czwartego przęsła, zatrzymał się i błyskawicznie wyjął swoje notatki. Pospiesznie przerzucał kartki, próbując opanować gorączkowe podniecenie, aż trafił na diagram Drzewa Życia. Myśl była tak absurdalna, że z logicznego punktu widzenia powinien

natychmiast o niej zapomnieć. Przedtem działał zgodnie z rozsądkiem. Casadevall przerabiał czwarte przesła i na zdrowy rozum właśnie tam, w Królestwie Bożym, powinien był ukryć Kamień, tak jak wskazywał w rękopisie. Szczyt sklepienia odpowiadał dokładnie miejscu, jakie w kabalistycznym Drzewie Życia zajmowało Królestwo Boże, i jakby nie dość było tych zbiegów okoliczności, język, jakiego Casadevall używał w manuskrypcie, dotąd mętny, tu jasno i wyraźnie sugerował właśnie ten punkt. Nie widząc innej możliwości, Manolo na tej interpretacji się opierał... aż do tej pory.

Przypomniał sobie słowa swojego mentora: „Prostota to podstawowa zasada naukowca. Nie szukaj skomplikowanych, złożonych rozwiązań, choćby były nie wiem jak kuszące, chyba że proste rozwiązania zostały wykluczone. Unikaj wszelkich zawłości i mętnego rozumowania, ponieważ rozprasza to umysł badacza, usypia jego wyobraźnię i czujność”. Takie też musi być rozwiązanie tej zagadki. Nie było innego wiarygodnego wyjaśnienia. Jedyne, jakie wskazywał rękopis. Pomyłka w rozumowaniu wynikała wyłącznie z jego własnego błędnego odbioru świata, zakłóciła tok jego myślenia, a przecież to było logiczne: Casadevall nie ukrył Kamienia w zwieńczeniu czwartego przesła nawy głównej katedry. Kamień był jeszcze wyżej. Jego położenie zgadzało się ze wskazówkami Casadevalla. Można to było przewidzieć, podążając tropem myślenia średniowiecznego mistrza. Biedny Manolo poczuł się zbity z pantałyku. Jakie to proste! Wystarczyło powiększyć kabalistyczną formę Drzewa Życia.

Uspokojony, podszedł do wybranego miejsca. Marzył o tej chwili tysiąc i jeden razy podczas tysiąca i jednej bezsennej nocy. Tym razem był pewny, że wpadł na ostateczne rozwiązanie zagadki. W pogłębiającym się mroku dostrzegał jedynie kontury, nic więcej. Poświecił sobie latarką i szybko znalazł poszukiwany symbol. Zamknąwszy oczy, tak jakby dotykał samej przeszłości, przesunął opuszkami palców po wielowiekowym rycie, po znaku własnoręcznie wyrzytniętym sześćset lat temu przez Casadevalla - mistrz nikomu innemu nie ufał. Symbol, a właściwie literę, mógł odczytać tylko ktoś, kto znał jego znaczenie.

Wyrzucił ramiona w górę i z twarzą wzniesioną ku gwiazdom wydał na wszystkie cztery strony świata okrzyk radości, który dotarł do tysiąca kołujących po niebie jaskółek. Szczęśliwy uśmiech rozpromienił oblicze Manola. Wyjął z torby młotek i dłuto, gotów wyrwać Kamień z kamienia. Zbadał ponownie to miejsce: solidny skalny blok, połączony z innymi, jemu podobnymi, zaprawą murarską. Wymacał niewielkie pęknięcie, rysujące się w poprzek kamienia. Na innych nie zauważył takiej szczeliny. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć: czy wydłubać Kamień, czy najpierw pogłębić szparę, która - zakładał, że tak było - wiązała się z tajemnicą mistrza. Przyłożył dłuto do zastygłej spoiny i mocno uderzył młotkiem. Hałas nie był zbyt duży, skutecznie go zagłuszyły samochody jadące pobliską Via Laietana. Odłożył narzędzia na bok i oświetlił szczelinę latarką, by sprawdzić rezultat swego działania. Biaława szczerba wyraźnie wskazywała, że nietrudno będzie kuć dalej, ale zajmie to znacznie więcej czasu niż parę minut. Zresztą nie da się trzymać jednocześnie latarki i narzędzi, a nierówna powierzchnia dachu nie pozwalała umieścić na stałe źródła światła w odpowiednim miejscu. Szkoda, bo późna pora sprzyjała jego działaniom. W biały dzień nie będzie to możliwe. Wróci tu jutro o zmierzchu. Zapadający powoli zmrok ukryje jego poczynania. Wziąwszy pod uwagę zwłokę wynikającą z jego gapiostwa, dziekan w każdej chwili mógł tu przyjść i przyłapać go na gorącym uczynku. Z żalem pozbierał notatki i narzędzia.

Z wysokości tryforium spojrzął w dół na opustoszały kościół. Zamykano go punktualnie o dziewiątej. Wyznaczona godzina minęła jakieś dwadzieścia minut temu. Wygaszono już światła w nawach bocznych i imponujący kataloński gotyk emanował mrocznym, dumnym pięknem, tak innym o tej porze od tego, który podziwiali turyści. Ciemności rozpraszały jedynie reflektory, oświetlające z zewnątrz witraże w wysokich oknach katedry, i lampki wotywny w kaplicach. Widziane z góry wnętrze przybrało szczególny wygląd, budzący nieokreślony, niejasny niepokój. Nie wyobrażał sobie, jak bardzo samotnie i porażająco może wyglądać zupełnie opustoszała świątynia, bez wiernych, bez jednej chrześcijańskiej duszy, którą miała za zadanie zbawić. Zupełnie odmieniona, pozbawiona otoczki ukrywającej to, czym była w XIV wieku: domem surowego Boga, bezlitośnie skazującego na wieczne potępienie grzeszników, którzy choć raz zeszli z prostej drogi. Mroczny przybytek pański w mrocznych czasach, doskonały i piękny.

Po kręconych, stromych i wąskich schodach, oświetlonych jedynie wątłym snopem latarki, schodził ostrożnie, niemal po omacku. Bał się potknąć na zniszczonych, wyszczerbionych stopniach. Utrata równowagi mogła się źle skończyć. Gdy minął ostatni zakręt, odetchnął z ulgą: był już prawie na samym dole. Znalazłszy się w nawie głównej, dostrzegł w drzwiach do zakrystii dziekana, rozmawiającego z nocnym strażnikiem. Na jego widok kapłan wyszedł mu na spotkanie aż do schodów prowadzących do krypty.

- Nareszcie! Już zacząłem się niepokoić: dawno minęła dziewiąta, a pan się nie pojawił, tak jak się umawialiśmy... Właśnie prosiłem wartownika, żeby wszedł na dach i sprawdził, co się dzieje. Czy brak oświetlenia na schodach nie utrudniał panu zejścia z dachu?

- Owszem. Przynajmniej częściowo usprawiedliwia to moje spóźnienie. Prawdę mówiąc, przeoczyłem umówioną godzinę. Zachód słońca zastał mnie na górze i zapatrzyłem się w nadchodzący zmierzch. Schodziłem bardzo ostrożnie, wolniutko, krok za krokiem.

- Cieszę się, że nic się panu nie stało. Znalazł pan coś?

- Tak. Potwierdziłem swoją hipotezę, ale będę musiał powtórnie wszystko obejrzeć, by odnaleźć znaki majstrów. Może uda mi się zakończyć prace jutro, tuż przed zamknięciem świątyni.

- Katedrę otwieramy dla turystów i wiernych o dziesiątej rano, na pierwszą mszę, ale jeśli pan sobie życzy, może wejść wcześniej, o ósmej, drzwiami od zakrystii.

- Bardzo dziękuję, ojcze, ale nie ma potrzeby. Rano muszę sprawdzić znaki i inskrypcje w archiwum, więc jeśli można, przyjdę po południu.

- Jak pan woli. A teraz przepraszam. Pedro odprowadzi pana do wyjścia. Mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia. Ta robota chyba nigdy się nie skończy.

- No właśnie.

Dziewkan wrócił do zakrystii, a wartownik imieniem Pedro odprowadził Manola do drzwi na dziedzińcu wychodzący na Carrer de la Pietat. Wyszedłszy z katedry, Manolo odetchnął głęboko. Ruszył w stronę Plaça de San lu, a zatem w przeciwnym kierunku, niż znajdowało się główne wejście do katedry, pragnął bowiem napawać się specyficznym spokojem dzielnicy gotyckiej. Słodkie dźwięki fletu skierowały myśli ku nieznanemu mu przeszłości, do czasów budowniczych, kiedy katedra była jeszcze projektem, zaledwie w połowie ukończonym domem bożym, otoczonym drewnianymi rusztowaniami, rojnymi od rzemieślników i cieśli. Samotny uliczny grajek, nieświadomy jego obecności, wyżywał się w wydobywaniu z instrumentu łagodnych dźwięków, natchniony bardziej otoczeniem niż potrzebą grania dla publiczności. Ewidentnym tego dowodem był brak monet w futerałach. Grał dla siebie, dla nikogo więcej, pewnie tak samo zainspirowany wznoszącymi się wokół starymi kamiennymi murami jak Manolo, lecz ze zgoła innego powodu. Ta nieznaną większości magia otoczenia, inna o różnych porach roku, a nawet dnia, przybierała w każdym momencie inne oblicze.

Zwycięski, pewny siebie i ufny w swój sukces, ruszył ulicą do Pla de la Catedral. Tam odwrócił się, spojrzął na imponujący, dumny kontur katedry, której ukrytą przez wiele wieków tajemnicę zdołał wreszcie rozwikłać, i roześmiał się w głos. Jutro Kamień będzie jego. To znaczy niedokładnie jego: Bety i Enrique też mieli do niego pewne prawa, ale bez jego udziału ich wysiłki spełzłyby na niczym. Na razie to było nieważne. Dopiero gdy będzie miał Kamień w ręku, omówi z nimi tę kwestię. Byli inteligentni, dobrze wychowani i - jak przypuszczał - rozsądni. Tacy przynajmniej się wydawali.

Na Via Laietana złapał taksówkę. Podał swój adres i rozparty na tylnym siedzeniu, rozmyślał o uczcie, jaką wyprawi sobie w domu, weźmie ciepłą kąpiel, a potem przy lampce wybornego koniaku zatopi się w lekturze jakiejś starej księgi. Ten dzień zasługiwał na to. Precz z ascetycznymi nawykami! Zakończy go w jakiś wspaniały sposób.

Dwie godziny później spełnił dwa z trzech swoich życzeń. Otulony starym szlafrokiem kąpielowym, stał przed biblioteczką, zastanawiając się, co wybrać. Przeciągnął dłonią po grzbietach książek. Nie potrafił się zdecydować, którą z nich wyjąć. Przemianę Kafki znał na pamięć, ale niezmiennie pociągały go nieszczęsne dzieje i tragiczny koniec jej bohatera - Gregora Samsy. Wyjął do połowy książkę. Dzisiejszy dzień był idealny na jej ponowną lekturę: miał wyśmienity humor, nie musiał szukać pociechy w książkach, co przydarzało mu się kilka razy do roku. Nagle jego wzrok przyciągnęły wytłoczone na grzbiecie stojącego obok wolumenu złote litery: Utopia Tomasza Morusa - piękna, stara angielska edycja braci O'Toole, wydana w 1923 roku w Liverpoolu. Prawdziwy rarytas dla takiego zapalonego kolekcjonera białych kruków jak on. Ciężka i wielka księga, z dużym wyraźnym drukiem, pełna kunsztownie wykonanych ilustracji i równie starannie oprawiona. Ta będzie na dziś, doskonale zakończenie udanego dnia - stwierdził.

Szedł umościć się na kanapie, gdy usłyszał pukanie. Trochę zaniepokojony tak późną wizytą, podszedł do drzwi. Nikogo się nie spodziewał. Z księgą w ręku otworzył drzwi. I to była ostatnia rzecz, jaką zrobił w życiu. Z ciemności wychynęła jakaś postać i rzuciła się na niego.

Utopia z głuchym hukiem upadła na ziemię, za nią osunęło się ciało Manola. Przed śmiercią zdążył jeszcze pomyśleć: już nie przeczyta tej pięknej księgi. Refleksja była równie absurdalna jak cała jego koncepcja życia.

15.

Enrique zobaczył się z Bety dopiero późno w nocy, po pierwszej, gdy wrócił z luksusowej willi Marioli. Starał się wejść po cichu, bez hałasu. Zamknął powoli drzwi. Gruby puszysty dywan wyciszył jego kroki. Bety siedziała w gabinecie Artura, z rozłożoną przed sobą mapą i fachowymi publikacjami, związanymi z historią lub z budownictwem, które nabyła w siedzibie Stowarzyszenia Architektów. Biurko, ustawione przy bocznej ścianie, z obu stron otoczone było półkami z poupychanymi na nich książkami z różnych epok, zaspokajającymi nienasycony głód wiedzy dawnego właściciela. Jego syn, oparty o framugę drzwi, patrzył, z jakim skupieniem i napięciem pracuje jego była żona. Zdziwił się, że do czytania używa okularów. Dawniej ich nie potrzebowała, chociaż męczyła ją wielogodzinna lektura.

Już miał się odezwać, gdy Bety zerwała się nerwowo z miejsca; podświadomie wyczuła, że ktoś ją obserwuje. Krzesło przewróciło się z hukiem, a ona, zanim się zorientowała, że to Enrique, odskoczyła w popłochu.

- Ty idioto! - krzyknęła. - Jak mogłeś przycząć się w ciemności? Okropnie mnie przestraszyłeś!

- Przepraszam, nie chciałem. Właśnie miałem się odezwać, ale nie zdążyłem.

Zimny dreszcz przebiegł Bety. Wzdrygnęła się, nie potrafiła oddychać spokojnie. Nagłym ruchem zrzuciła na ziemię część leżących na biurku książek.

- Głupi krety! - Ciągle jeszcze zdenerwowana, podniosła ręce do ust, a potem skrzyżowała ramiona. Była naprawdę wzburzona.

- Przepraszam, nie chciałem.

- Ja myślę! Po tym wszystkim, co się stało, mógłbyś być trochę bardziej przewidujący i pomyśleć o...

- Jeszcze raz cię przepraszam - powiedział pojednawczo, jednocześnie zbierając książki z podłogi.

- Nie sądziłem, że tak gwałtownie zareagujesz.

- A niby jak miałam się zachować? Śmierć Artura, śledztwo, twoja słynna pułapka, historia Diega z Siurany to chyba dostateczne powody, żeby samotna kobieta w pustym domu, położonym na odludziu, wpadła w panikę? Okropnie mnie przestraszyłeś! - powtórzyła.

Enrique ułożył książki na biurku. Bety przemknęła obok niego jak tajfun i zniknęła w ciemnym przedpokoj. Po chwili wróciła już spokojniejsza, ze szklanką zimnej wody w ręku.

- No dobra, zapomnijmy o tym. - Widać było, że usilnie próbuje nie odgrzebywać widm przeszłości.

- Muszę ci coś pokazać. Siądźmy przy biurku.

Przysunęli krzesła i usiedli wygodnie.

- Mów.

- Całe popołudnie zbierałam dane na temat budowli wzniesionych w XIV wieku, które przetrwały do naszych czasów. Manolo uważa, że trzeba sporządzić rejestr, a potem kolejno sprawdzać. Chyba zlecił mi tę pracę po to, żebym się czymś zajęła i trzymała z dala od niego. Prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby ten spis był potrzebny. Najprawdopodobniej klucz do zagadki jest w rękopisie, ale sami go nie rozszyfrujemy. Wykaz pozwoli nam zaoszczędzić trochę czasu.

- Skończyłaś?

- Tak. W Stowarzyszeniu Architektów byli dla mnie bardzo uprzejmi i dostarczyli bibliografię niezbędną do sporządzenia tej listy. Na szczęście większość książek mieli w bibliotece. Z wykazem w ręku łatwiej nanieść te obiekty na plan miasta. Zaznaczam teraz usytuowanie oraz stan budynków zachowanych do naszych czasów. To proste zadanie. Okazało się, że przetrwało znacznie więcej budowli, niż przypuszczałam. Obok lokalizacji umieściłam rubryczki z podstawowymi danymi na ich temat: nazwisko architekta, styl i późniejsze wpływy, stan techniczny, ewentualne zmiany konstrukcyjne i tym podobne.

Enrique pochylił się nad rozłożonym planem barcelońskiej starówki.

- Cholera, jest ich aż dwadzieścia cztery - zauważył ze zdziwieniem. - Nigdy bym nie pomyślał, że po sześciuset latach jeszcze tyle ich zostało.

- Trzynasty i czternasty wiek to złote lata Królestwa Aragonii. Można nawet zaryzykować opinię, że była to wówczas największa potęga w rejonie Morza Śródziemnego, prawdopodobnie o większym znaczeniu niż sama Kastylia. Oba królestwa charakteryzowała duża niestabilność polityczna, ale nadbrzeżne położenie Aragonii oraz silna więź z morzem jej mieszkańców otworzyły królestwu okno na świat i przyczyniły się do rozwoju handlu międzynarodowego. W rezultacie Barcelona, stolica

Aragonii, rozkwitła, wzrosła liczba mieszkańców, znaczenie polityczne i społeczno-kulturalne. Oczywiście towarzyszyła tym zjawiskom niebywała gorączka budowlana. Miasto było całkowicie rozgrzebane, przejęte we władanie przez setki artystów, kamieniarzy, mistrzów budowlanych, rzeźbiarzy, witrażystów i złotników. Kamieniołomy na Montjuic nie nadążały z dostarczaniem materiału!

- Czy ta numeracja coś znaczy?

- Nie, zrobiłam ją z czystej pedanterii. Wykaz budowli masz na kartkach.

- Pokaż... Większość rozpoznaję na pierwszy rzut oka. - Enrique odhaczał kolejne pozycje z listy, jednocześnie pokazując je palcem na planie: - Katedra, kościoły Santa Maria del Pi, Sant Just y Sant Pastor, Santa Maria del Mar, Sant Pau del Camp, Santa Anna, Santa Àgata, Sant Llätzer, Sant Pere de les Puelles, Sant Martí de Provençals, Santa Lúcia, kaplica Marcusa, kaplice w Palau Reial Menor, Palau Berenguer i Palau Episcopal, las Drassanes, szpital Santa Creu y Sant Pau, Generalitat, dawniej Zgromadzenie Ogólne, a to jest... - zawahał się - wyleciała mi z głowy nazwa, kurczę... Mam! Palau Requesens! Dalej Casa dels Canonges, Salo del Tinell w Palau Reial, Lonja, Casa de la Ciutat, Palau Bellesguard. I co, zrobiłem gdzieś błąd?

- Żadnego. Nie ma wątpliwości, że świetnie znasz swoje miasto.

- No cóż, zazwyczaj nie doceniamy tego, co mamy. Barcelończycy nie stanowią wyjątku od tej reguły. Założę się, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców nie zna nazwy jednej czwartej tych budynków.

- To niemal pewnik - roześmiała się Bety. - Nie jestem naiwna, żeby sądzić inaczej. A teraz, kiedy udowodniłeś znajomość tej materii, zadam ci pytanie za milion: czy mógłbyś powiedzieć, które z nich, jeśli w ogóle, przetrwały w nienaruszonym stanie po dziś dzień?

Enrique zastanowił się, nim odpowiedział.

- Wyobrażam sobie, że w mniejszym lub większym stopniu wszystkie doznały jakichś uszkodzeń bądź dokonano w nich przeróbek.

- Trafna odpowiedź. Lista obejmuje budynki, które przetrwały do naszych czasów niemal bez przeróbek i modyfikacji, chociaż gwoli prawdy Sant Martí de Provençals, Casa dels Canonges czy Casa de la Ciutat doznały znacznego uszczerbku i nie powinny znaleźć się na liście. Istnieją też inne budowle, niewłączone do wykazu, ponieważ, jeśli dobrze się trzymają z zewnątrz, we wnętrzu przeróbki były tak poważne, że raczej nie można odnaleźć w nich Kamienia, nawet jeśli został tam ukryty.

- Świetna robota, Bety - przyznał Enrique. - Teraz należałoby porównać twoją listę z rejestrem Casadevalla.

- Już to zrobiłam. W wykazie figuruje trzydzieści sześć obiektów, z czego o dwunastu nic nam nie wiadomo. Prawdopodobnie miały świecki charakter, z czasem popadły w ruinę i zostały rozebrane.

- Gratulacje. Naprawdę znakomita robota i w dodatku w rekordowym tempie.

Bety przyjrzała mu się uważnie, nim zaczęła mówić dalej. Miał wrażenie, że analizuje jego wypowiedź.

- Można wiedzieć, co się z tobą dzieje? - spytała otwarcie.

- Nie wiem, o co ci chodzi - skłamał.

- Nie wygłupiaj się. Od dwóch dni jesteś jakiś inny.

- Czemu tak myślisz?

- Daj spokój, Enrique! Jeszcze niedawno tak bardzo pragnąłeś odnaleźć nieznaną przedmiot, który okazał się przeklętym Kamieniem Bożym, że byłeś gotów narazić własne życie. A teraz wygląda na to, że wcale cię to nie interesuje.

- Nie narażałem życia dla Kamienia Bożego, bo o jego istnieniu nie miałem wtedy pojęcia. Chciałem schwycić mordercę Artura, a to zupełnie co innego.

- Moglibyśmy o tym podyskutować, bo mam wrażenie, że coś kręcisz. Nadal pozostaje otwarte pytanie, co się z tobą dzieje. Już nic cię to nie obchodzi?

Zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie, już nic mnie to nie obchodzi - przyznał. - Wszystko się zmieniło, gdy Fornells opowiedział mi o powiązaniach Artura z nielegalnym handlem dziełami sztuki. Powiedziałem Manolowi prawdę: chodziło o ostatni hołd, ale teraz to nie ma sensu. Przypatruję się waszym poszukiwaniom z pewną dozą ciekawości, ale i z dystansem.

- Nie rozumiem cię, to dziwne...

- Nie bardziej niż twoje nagłe zainteresowanie Kamieniem. Przebyliśmy odmienną drogę: wyruszyliśmy z punktu dla mnie zasadniczego, a dla ciebie nieistotnego, a dotarliśmy do tego, który dla mnie nie ma znaczenia, a dla ciebie jest bardzo ważny.

Bety patrzyła na niego zaskoczona, wyglądała jak ryba schwykana na haczyk.

- Touché, mon ami. Masz rację - stwierdziła.

- Czemu ta zawsze rozsądna i sceptyczna Bety zaangażowała się tak głęboko w sprawę, która ani ją ziębi, ani grzeje? - spytał kąśliwie.

- Bo to wspaniała historia - odpowiedziała natychmiast, bez chwili namysłu. - To wspaniała historia, jedyna w swoim rodzaju, prawdziwa przygoda, darowana przez przypadek. I właśnie ten przypadek zawiódł nas wprost do niej, choć wcale tego nie pragnęliśmy. To jest jak zrządzenie losu, nieoczekiwana nagroda. Nie możemy tego ignorować. Dlatego dziwi mnie, że właśnie ty, choćbyś nie wiem jak bardzo czuł się zraniony prawdą o Arturze, odrzucasz szansę przeżycia prawdziwej przygody, w której, prawdę mówiąc, od dawna uczestniczymy. Właśnie ty, twórca świata fantazji, miłośnik przygód, narrator i gawędziarz, autor najlepszych książek, jakie miałam okazję czytać, i najciekawszych opowieści, jakich dane mi było słuchać, uciekasz od takiej wspaniałej historii.

Enrique pokręcił głową. Bety nie potrafiła zrozumieć, że odkąd się rozstali, on się zmienił. Przecież to oczywiste, że nie był już tym samym człowiekiem. Bety ciągle odbierała go jako natchnionego pisarza, geniusza słów, zmiennego w nastrojach, humorzystego, o wygórowanych oczekiwaniach wobec życiowych partnerek. Nie tylko Bety, ale żadna inna kobieta by z nim nie wytrzymała.

- Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery?! Enrique jakiego znam, nigdy by się tak nie zachował - powtarzała z uporem.

- Enrique, jakiego znałaś, już nie istnieje - wyjaśnił cierpliwie.

Bety rozpuściła zebrane w koński ogon włosy, a gdy opadły swobodnie na ramiona, roztrzepała je dłońmi. Ramiączka stanika i koszulki zsunęły się wdzięcznie i odsłoniły różowawe obwódki piersi - krągłych i jędrnych jak wtedy, kiedy pieścił je Enrique. Poprzez kosmyki włosów dojrzał intensywny blask jej źrenic. Przypomniawszy sobie dawne czasy - kiedyś uważał je za najszcześniejsze, teraz ich urok zbladł wobec wspomnienia kuszących kształtów pięknej brunetki, zajmującej obecnie główne miejsce w jego sercu.

- Byłaś z nią, prawda?

- Tak - przyznał.

- Co ona ma takiego w sobie, czego ja nie mam? - Sama była zaskoczona własnymi słowami.

Enrique pogłaskał ją po policzku. Poczuł na dłoni ciepło jej oddechu i przeszedł go dreszcz rozkoszy.

- Nic. I wszystko - odparł. - Po prostu nadszedł jej czas.

Bety, jakby nieświadomie, porwana pragnieniem niezależnym od jej woli, wzięła dłoń Enrique'a w swoją i bardzo wolno sunęła nią po niebotycznie długiej szyi. Palce Enrique'a przemykały po delikatnej skórze dekoltu i dotarły do pięknych piersi. Trwało to nieskończenie długie sekundy, słodkie i gorzkie zarazem, jakby odrealnione. Świetnie znał jej ciało, jego dłonie błędziły po nim tysiące razy; przymknął oczy, wzrok nie był mu potrzebny, by rozpoznać znajome kształty. Pod powiekami miał obraz miłosnych uniesień, chwile ulotnej, intensywnej namiętności, o których już prawie zapomniał. Nie, przeszłości nie da się zapomnieć: zawsze tkwi przyczajona w jakimś odległym zakamarku pamięci, tam gdzie nie może zepsuć ani zburzyć teraźniejszości. Przypomniawszy sobie jej nagie ciało, wilgotne od potu, drżące z rozkoszy. Przypomniawszy sobie swoje ręce pieszczące pełne, sprężyste piersi, jak kielichy matowego kryształu wypełnione winem o niezwykłej mocy. Przypomniawszy sobie sterczące sutki, twardniejące pod dotykiem jego palców. Przypomniawszy sobie kuszącą Unię bioder, jędrny, umięśniony tyłeczek i nogi - długie jak bezksiężycowa noc. Przypomniawszy sobie chwile wspólnie przeżywanej rozkoszy, radość oddania, miłosne zapasy, oczekiwanie pełne szczęścia, dumę ze spełnienia ofiarowanego ukochanej osobie, a nie tylko sobie. Otworzył oczy. Jego dłoń leżała w tym samym miejscu, gdzie ją położył, zanim opuścił powieki. Wspomnienia napływały jak wezbrana rzeka - w ciągu jednej chwili. Ocknął się. Obraz Marioli w jego ramionach sprawił, że cofnął dłoń. Bety spojrzała na niego z żalem. Miała rozchylone usta i błyszczące oczy.

- Wybacz - powiedziała. Odwróciła głowę i poszła do swojej sypialni.

Enrique już chciał się zerwać, ale powstrzymała go jakaś nieznaną wewnętrzną siłą. Przytłoczył go ciężar, który zupełnie sparaliżował zarówno jego ciało, jak i umysł. Rozum nie pozwolił mu odczuwać żądz. Mariola miała rację, chociaż nie znała swojej rywalki. Być może potrafiła to przewidzieć -

wszystkie kobiety są z tej samej gliny, co sprawia, że odczuwają i reagują podobnie. Może, trochę go znając, odgadła, jak Bety się zachowa. Nigdy się tego nie dowie. Tak czy owak jego była żona powinna jak najszybciej wyjechać.

Środowy poranek był chłodny i pochmurny. Masy nadciągającego z północy powietrza przyniosły ożywczy, ale zimny powiew znad gór i temperatura w Barcelonie, pomimo jej specyficznego mikroklimatu, znacznie spadła. Enrique'a obudził trzask drzwi wejściowych. Po nocnym incydencie Bety nie chciała natknąć się na eksmęża. Słyszając alarm budzika, wyszła, a właściwie uciekła z domu. Enrique uznał, że tak jest lepiej: spotkanie nie byłoby przyjemne dla obojga. Nie mogliby udawać, że nic się nie stało, więc należało się nawzajem unikać. Zajrzał do jej sypialni, żeby sprawdzić, czy poszła pobiegać, czy pojechała do miasta. Dres do joggingu leżał na krześle. Pierwszy raz odstępiała od swojego zwyczaju.

Po szybkiej kąpieli i zjedzonym w biegu śniadaniu pojechał do Barcelony. O dwunastej w sali aukcyjnej w Boulevard dels Anticuaris zaczynała się licytacja. Spotkał się z Mariolą. Nic jej nie powiedział o Bety, nie było o czym. Gdyby tylko chciał, od wspomnień i pieszczot przeszli-by do czegoś znacznie bardziej zobowiązującego. Ciągle jeszcze czuli do siebie pociąg, przeszłość była wciąż żywa. Teraz, gdy zdołał stłumić żądze, zwykle wspomnienie dawnego związku nie wystarczało, aby doprowadzić do zerwania nowego, choć co prawda nie do końca oficjalnego. Nie skrzywdzi Marioli. Rozmawiali wyłącznie o licytacji. Powiedziała, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Punktualnie o dwunastej śmietanka barcelońskich antykwariuszy spotka się w sali aukcyjnej i będzie licytować cenne przedmioty ze sklepu Artura. Nie wszystkie wartościowe rzeczy zostały wystawione na sprzedaż. Pięć sztuk mebli w różnym stylu, z tych przechowywanych na zapleczu, które Artur darzył szczególnym sentymentem, nie znalazło się w wykazie, bo, prawdę mówiąc, już stały w willi Marioli w Putxet. Dla Enrique'a nie był to żaden problem. W końcu czy to ważne, do kogo trafią eksponaty? Skoro Mariola jest z tego powodu szczęśliwa, niech stoją u niej. Chciała za nie zapłacić, on uważał, że to śmieszne. Posprzeczał się o to. Potem wybiję Marioli z głowy ten bzdurny pomysł. Umówili się o dziesiątej w biurze na Passeig de Gracia, mieli więc dość czasu na ustalenie ostatnich szczegółów aukcji.

Szczęśliwym trafem udało mu się zaparkować naprzeciwko galerii; stwierdził, że to dobra wróżba. Passeig de Gracia, ulicę handlową w dokładnym tego słowa znaczeniu, zapełniali ludzie dźwigający wielkie torby z logo eleganckich sklepów, przypadkowi przechodnie i zamożni biznesmeni w drogich garniturach o najmodniejszym kroju, którzy z komórkami przyklejonymi do ucha uwijali się między bankami, kasami oszczędnościowymi i innymi instytucjami finansowymi. Wyminał to ludzkie mrowie i wszedł do gmachu zajmowanego przez stowarzyszenie antykwariuszy. Mariola, jeszcze piękniejsza niż zwykle - o ile to możliwe - ubrana z typową dla niej prostotą, rozmawiała z najczystszy nowojorskim akcentem z kimś przez telefon; wskazała mu palcem krzesło. Pokręcił głową, wolał się przejść po antykwariacie starego Puigventósa. Skończywszy rozmowę, podeszła do niego i pocałowała w policzek.

- Jak się czujesz? - Uśmiechnęła się słodko.

- Świetnie. Czułbym się jeszcze lepiej, gdybym spędził tę noc z tobą.

- Nie wątpię. - Roześmiała się. - Chodźmy do sali aukcyjnej. Poprowadziła go za rękę do windy towarowej. Wjechali piętro wyżej.

Korytarzem dotarli do sali.

- Weszliśmy tylnym wejściem, służbowym. Można tędy wnosić meble wprost na podjazd.

Sala aukcyjna była przestronna, nowoczesna i funkcjonalnie urządzona. Prezentowała minimalistyczny wystrój. Już rozstawiono w niej jakieś sto wygodnych krzeseł dla licytujących, przygotowano podium z pulpitem dla aukcjonera i zamontowano ruchomą taśmę, po której miały się przesuwać licytowane przedmioty oraz niewielkich rozmiarów meble. Sala łączyła się z kolejną, jeszcze większą. Część mebli o dużych gabarytach, dających się przenieść, ustawiono pod ścianą za pulpitem licytatora i teraz demonstrowały potencjalnym kupcom swój urok antyków. Natomiast największe sztuki, których nie można było wnieść, zostały sfotografowane. Dwaj pracownicy sprawdzali mikrofon i system głośników, powtarzając monotonicznie: „Raz, dwa, próba mikrofonu...” Dwaj inni poprawiali nierówno rozłożony chodnik. Enrique'owi przypominało to przygotowania do wyścigów Formuły 1. Mnóstwo zadań, może niezbyt gorączkowych, ale nieustannych. Przeszli czerwonym chodnikiem do wejścia.

- Wszystko już gotowe. Zgodnie z tradycją przygotowałam małe przyjęcie koktajlowe. Jeśli ewentualni kupcy czują się swobodnie, są hojniejsi podczas licytacji. Koktajl zacznie się za chwilę, o jedenastej, w sąsiedniej sali.

Odsunęła zasłonę. Trzej kelnerzy dopieszczali jeszcze ostatnie szczegóły. Stoły były zastawione tacami pełnymi zakąsek oraz trunkami, którymi zaproszeni goście mieli zaspokoić pragnienie.

- Nie sądziłem, że zorganizowanie aukcji jest takie skomplikowane - stwierdził ze zdumieniem Enrique. - Mam wrażenie, że nie będzie gorsza od tych, które widziałem na filmach.

- Zauważ, że dzisiejsza licytacja skierowana jest do wąskiego grona specjalistów oraz niewielkiego kręgu osób spoza środowiska, mających wiedzę w tym zakresie. Przez zwykły szacunek zasługują na więcej starań. Ojciec jest bardzo wymagający i osobiście wszystkiego dopilnował. O, właśnie idzie.

Pere Puigventós schodził po szerokich schodach, lewą ręką trzymając się poręczy, a prawą wspierając o laskę. Poruszał się z trudnością, miał przygarbione wiekiem plecy i niepewny, chwiejny chód. Mariola podeszła do niego, nie ukrywając gniewu.

- Tato, przecież dobrze wiesz, że nie wolno ci samemu schodzić, możesz upaść.

- Daj spokój! - fuknął staruszek, biorąc jednak córkę pod rękę. - Dzień dobry, Enrique! Jak widzisz, bez pomocy nie mogę już chodzić po schodach.

- Dzień dobry. Nie powinien pan się uskarżać: to prawdziwa przyjemność korzystać z pomocy pięknej kobiety.

- Drogi kolego, zapewniam cię, że moja córka to jedyna kobieta, której na to pozwalam. Ona i jej świętej pamięci matka zawsze potrafiły zmusić mnie do spełniania ich życzeń.

- Nie chcę cię irytować - stwierdziła Mariola i zwracając się do Enrique'a, wyjaśniła: - Ojciec dwa lata temu spadł ze schodów. Boję się, że to się może powtórzyć.

Rozczulony słowami córki, Puigventós pogłaskał ją po głowie.

- Użalasz się nad sobą z przyzwyczajenia. Gdybym o ciebie nie dbała, tęskniłbyś za tym.

- Jak zwykle masz rację - przyznał. - Ale dziś jest specjalny dzień i chcę, żeby wszystko się udało. Biegam z góry na dół, starając się na ciebie nie wpaść. Pamiętaj, że to spotkanie jest poświęcone pamięci naszego drogiego Artura.

- Pamiętam, tato. Zapewniam, że wszystko, absolutnie wszystko, jest dopracowane w najdrobniejszych szczegółach. Prawdę mówiąc, było zapięte na ostatni guzik już wczoraj wieczorem, z wyjątkiem programu aukcji. Drukarnia obiecała dostarczyć foldery dzisiaj rano i chyba są już wyłożone w holu.

- W porządku. Skoro tak twierdzisz, pójdę się przebrać. Przyjdźcie po mnie, zanim zaczną się schodzić goście.

- Na pewno przyjdziemy - przyrzekła. - Na razie, spróbuj odpocząć. Czeka nas długi i wyczerpujący dzień. Musisz zebrać siły.

Odprowadziła go do windy. Przez domykające się drzwi ojciec pomachał jej na pożegnanie.

- Straszny uparciuch z niego. Ma jeszcze w sobie tyle energii, tylko ciało już słabe. Lata zrobiły swoje, szybko się męczy. Po śmierci mamy podupał na zdrowiu. Zazwyczaj zachowuje się rozsądniej, ale śmierć Artura wstrząsnęła nim. Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem dlaczego, ale chyba ma wyrzuty sumienia. Wczoraj powiedział, iż to niesprawiedliwe, że umierają młodszy od niego.

- Nie powinien tak się czuć. Śmierć Artura to nieszczęście, nic nie możemy na to poradzić. On nie ma z tym nic wspólnego.

- Starzy ludzie widzą to inaczej. Ojciec uważa, że jego życie dobiega kresu. Pragnie jak najszybciej połączyć się ze swoją Elisą, moją matką. Czasami bardzo się o niego martwię.

- W takich przypadkach na nic zdaje się rozsądek czy cudze zdanie. Odbiór świata zmienia się wraz z upływem lat. Starzy ludzie dostrzegają niuanse, które nam wydają się nielogiczne, a nie do końca są pozbawione racji. Twój ojciec czuje, że jego życie się kończy. Stara się nie załamywać, nie tracić ducha, ale jest świadom przemijania. Rzeczywistości, która go otacza, już nie uznaje za swoją. Żyje wspomnieniami o twojej zmarłej matce...

Mariola spojrzała na niego z podziwem.

- Rozumiesz rzeczy, wydawać by się mogło, niepojęte. Teraz widzę, że twoi bohaterowie przemawiają słowami swojego twórcy. W Sztuce niespełnionej miłości podobne słowa wypowiada Felix.

Enrique nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- A zatem to prawda, że ją czytałaś...

- Głuptasie! - zganiała go Mariola, udając złość. - Oczywiście, że czytałam! Przeczytałam wszystkie twoje książki. Uwielbiam je!

- Ja tylko żartowałem - stwierdził, rozkładając ręce. - Pokaż mi wydrukowany program aukcji.

- Dobrze, przejdźmy do holu.

Wchodzili po schodach, trzymając się za ręce. Niech wszyscy widzą że są razem.

Enrique był zaskoczony zachowaniem Marioli: nie okazywała jawnie swoich uczuć, ale też ich nie ukrywała. Każdy uważny obserwator mógł to dostrzec. Zachwycony jej urodą, był w nią bez reszty wpatrzony. W holu Mariola wręczyła mu ulotkę.

- Proszę, to dla ciebie. - Podała mu kilkustronicowy prospekt. -W gruncie rzeczy to ten sam wykaz przedmiotów i mebli, który sporządziliśmy podczas weekendu, przepisany na czysto i uzupełniony staranniejszymi opisami. Nic więcej nie trzeba. Goście dobrze znali Artura, wiedzą, że przedmioty z jego antykwarium są naprawdę cenne.

- Masz nadzieję, że sprzedamy wszystko?

- To prawie pewnik. Stół ołtarzowy, - ze względu na wymiary, ciężar i szczególny charakter - najtrudniejszy mebel wystawiony na licytację postanowiliśmy kupić do spółki z Samuelem, więc nie bądź zaskoczony. Świetnie pasuje do wystroju naszego sklepu. Pozostałe rzeczy z pewnością znajdą nabywców. Zobaczysz, wszystko pójdzie gładko.

- Taką mamy nadzieję - wtrącił się Samuel, podchodząc z wyciągniętą na powitanie ręką do Enrique'a. Wspólnik Marioli i najlepszy przyjaciel Artura pojawił się nienagannie ubrany, z prospektem dostarczonym przez drukarnię w dłoni. Na wszystkich stronach widniały odręcznie sporządzone notatki. - Widziałeś już kiedyś aukcję? - spytał Enrique'a.

- Ta będzie pierwsza - odpowiedziała za Enrique'a Mariola.

- Prawdziwe widowisko. Warto to zobaczyć. Dla nas, weteranów, to rodzaj zabawy, która nie traci swego uroku, niezależnie od tego, ile razy bierzemy w niej udział. Będziesz miał okazję to wszystko zobaczyć, a zwłaszcza zażartą rywalizację, typową dla naszego fachu.

- Co tu zaznaczyłeś? - spytała Mariola, wskazując prospekt.

- Przecież wiesz - odpowiedział z uśmiechem Samuel.

Enrique spojrział na program, kiedy Mariola przerzucała kartki. Prawie wszystkie przedmioty oznaczone były imionami, przy niektórych z nich znajdowało się nawet kilka. Zanim Enrique zdążył zapytać, Mariola pospieszyła z wyjaśnieniem.

- To rodzaj naszej gry - powiedziała. - Przed każdą aukcją zakładamy się, kto zaliczytuje najwyższą stawkę.

- Niewinna rozrywka, w której trzeba użyć wyobraźni i pamiętać o suspensie. Ale dzisiaj chyba nie będę miał konkurencji. Mariola była bardzo zajęta przygotowaniem do aukcji i nie mogła bawić się w takie bzdury. Prawda?

- Tak. Zazwyczaj osoba wystawiająca przedmioty na sprzedaż zajmuje się też organizacją aukcji. Stowarzyszenie dostarcza wypożyczony za niewielką kaucję sprzęt. Ale ponieważ brak ci doświadczenia, a Artur był dla nas kimś wyjątkowym...

- Przygotowanie licytacji wcale nie jest trudne, wymaga jednak pewnej znajomości środowiska - wtrącił Samuel. - Mariola, choć ma stosunkowo krótki staż, jest prawdziwą specjalistką w tej dziedzinie. Zapewniam cię, że nie każdy potrafiłby przygotować aukcję w ciągu pięciu dni. Co prawda prawie zupełnie zaniedbała swoje obowiązki, więc musiałem cały czas siedzieć w antykwarium. Nie mam jej tego za złe. Chodziło wszak o przyjacielską przysługę. Odwaliła kawał dobrej roboty.

Enrique spojrział na Mariolę.

- Wierzę. - Tym krótkim słowem wyraził całą swoją wdzięczność.

- Posłuchaj, na parkingu widziałem Massachsów i braci Ribó. Za dwadzieścia minut sala będzie pełna, nie wciśniesz nawet szpilki. A gdzie Pere? - spytał, zwracając się do Marioli.

- Poszedł się przebrać. Pójdę po niego.

Ruszyła na wyższe piętro, gdzie mieścił się gabinet ojca. Enrique patrzył, jak odchodzi, ciągle pod wrażeniem jej urody, którego nie zdołała przyćmić rzeczowa rozmowa.

- Wspaniała kobieta - stwierdził Samuel. - Gdybym był o trzydzieści lat młodszy i nie kochał jej jak własnej córki, nasz związek byłby całkiem innej natury. Chociaż mam wrażenie, że ona już wybrała - dodał, puszczając do niego oko.

- Zauważyłeś?

- A jakżeby inaczej? Tyle telefonów i wiadomości pozostawianych podczas ostatnich dni mogło wynikać z potrzeb organizacyjnych aukcji, ale gdy zobaczyłem was razem, od razu wiedziałem, że coś się święci. Zdradza cię twój wzrok i sposób, w jaki na nią patrzysz.

- Masz rację, to chyba coś więcej niż zwykła znajomość - przyznał Enrique.

- Cieszę się, chłopcze, naprawdę bardzo się cieszę. - Złapał go za ramiona. - To kobieta z charakterem i osobowością.

- Dziękuję.

Zgodnie ze słowami Samuela wkrótce pojawili się pierwsi uczestnicy aukcji. Miała się co prawda rozpocząć nieco później, o godzinie określonej w programie, ale wśród antykwariuszy było to wydarzenie o specjalnym znaczeniu, nie tylko w sensie towarzyskim. Udział w licytacji był hołdem oddanym pamięci Artura, a jednocześnie okazją nabycia cennych przedmiotów z jego sklepu. Po niespełna dwudziestu minutach salę zapełniła śmietanka barcelońskich antykwariuszy, ubranych ze stosowną elegancją i zachowujących się kulturalnie, jak przystało na ludzi pochodzących z dobrych rodzin. Na szczęście Mariola i Samuel na zmianę towarzyszyli Enrique'owi, żeby nie był sam wobec przejawów nadmiernej życzliwości i przesadnej grzeczności gości pragnących okazać mu szacunek, przekazać kondolencje, podziękowania, zasypać anegdotkami i opowieściami o wspólnych przeżyciach z człowiekiem, który przez dwadzieścia bez mała lat był dla niego jak ojciec. Mariola pełniła honory gospodyni i nie mogła poświęcić mu zbyt wiele czasu; witała tłumnie napływających uczestników aukcji, przekonywała, że ich obecność jest konieczna, wmawiała, że to oni są najbardziej wyczekiwani.

Mimo sympatycznej i dyskretnej opieki Samuela Enrique nie potrafił poddać się nastrojowi panującemu w sali. Guillem i Enric dotrzymywali mu towarzystwa, dopóki im na to pozwalał Samuel - stary i zaufany przyjaciel jego ojca. Gdy wreszcie odeszli i wmieszali się w tłum gości, Enrique nie mógł się nadziwić, że ci dwaj nieszkodliwi mężczyźni wzbudzili w nim podejrzenia jako potencjalni mordercy Artura. Zerkał na nich ukradkiem. Guillem jak zwykle szybko stał się ośrodkiem zainteresowania. Enrique bacznie obserwował jego zachowanie: bezsprzecznie brylował, demonstrując charakterystyczne dla niego cechy: elegancję, czar i savoir faire. Wszyscy poddawali się jego urokowi i zaśmiewali do rozpuku z anegdotek. Nie należał jednak do tych pyszałkowatych bufonów, którzy tylko rozśmieszają towarzystwo, ale był jego duszą i środkiem, wokół którego krążyła reszta. Potrafił wzbudzać sympatię i podziw otoczenia. Z kolei Enric, z poważną miną odzwierciedlającą jego naturę, stał spokojnie w kącie sali i dyskutował z kilkoma starszymi panami. Trudno o parę bardziej różniących się od siebie przyjaciół, zarówno z wyglądu, jak i z usposobienia. Łączył ich chyba podobny rodzaj intelektu.

Po wnikliwej obserwacji reszty gości Enrique wyciągnął następujący wniosek: stanowili naprawdę zintegrowaną grupę. Znaczący wpływ na istniejące między nimi więzi miała tradycja rodzinna. On, Enrique Alonso, chociaż uważany za syna Artura Aiguadera, nie czuł z nimi związku. Świat staroci nigdy go za bardzo nie pociągał, zatem Artur nie zakładał, że przybrany syn powinien kontynuować jego działalność, dla starszego pana będącą całym światem. Wśród zebranych panował dość elitarny nastrój, świetnie się czuli we własnym gronie, zachowywali się naturalnie, byli po prostu sobą, bez hipokryzji i udawania. I rzeczywiście należeli do innego typu ludzi.

Gdy zabrzmiał dzwonek obwieszczający początek aukcji, Enrique sączył właśnie sok i wzdrygnął się, zaskoczony. Mariola podeszła do niego zdecydowanym krokiem. Samuel zniknął gdzieś w tłumie gości. Udali się do pierwszego rzędu krzesel, gdzie z boku były zarezerwowane dla nich miejsca. Idąc przez salę, wśród komentarzy na temat prospektu z listą przedmiotów Enrique wyraźnie słyszał powtarzane szeptem plotki o nim i Marioli, która posadziła go obok Samuela, a sama wyszła na korytarz, żeby pomóc z trudem idącemu ojcu dotrzeć do pulpitu dla licytatora. Tam Pere Puigventós sięgnął po mikrofon, na sali zapanowała cisza.

- Dzień dobry, drodzy koledzy i wszyscy miłośnicy sztuki - zwrócił się do zebranych. - Niecodziennie przewodniczący gremium przemawia do zgromadzonych przed rozpoczęciem aukcji, ale dziś mamy ku temu specjalną okazję. Zebraliśmy się tu po to, by oddać hołd naszemu staremu przyjacielowi, którego nie ma już, niestety, wśród nas. Nie zamierzam wygłaszać panegiryku na jego cześć, w krótkich słowach wspomnę jego postać, a zatem bądźcie cierpliwi i zachowajcie w życzliwej pamięci naszego biednego kolegę. Wszyscy znaliśmy go bardzo dobrze. Mowa oczywiście o Arturze Aiguaderze.

Czterdzieści lat temu pewien inteligentny młody człowiek miał odwagę kupić, również na aukcji, lokal naszego dawnego członka, o którym być może pamiętają jeszcze najstarsi z nas, Lluísa Foxa. Lluís, z powodów politycznych - by uniknąć więzienia lub jeszcze gorszej kary - wyemigrował. Za

sklep, jeden z najstarszych na Carrer de la Palla, młody człowiek, ze względu na przeszłość jego poprzedniego właściciela, zapłacił grosze. To były złe czasy dla antykwariuszy. Panowały bieda, recesja, handel antykami prawie nie istniał. Artur sporo ryzykował. Gdy przejął lokal Lluísa, wielu z nas, między innymi i ja, krytykowało go otwarcie albo za jego plecami. Kim jest ten młody dorobkiewicz, który ośmielił się wejść szturmem w nasz świat, nie należąc do niego? Tak bywa, również w naszych czasach, grzeszyliśmy egocentryzmem: zapatrzeni w siebie, nie wiedzieliśmy, że przekazał pewną sumę, odpowiadającą rzeczywistej wartości sklepu i znajdującym się w nim przedmiotom, prawowitemu właścicielowi, przebywającemu na wygnaniu w Meksyku. Artur był cierpliwy: nigdy nie irytował się lekceważącym zachowaniem środowiska i w końcu, stopniowo, zdobył sympatię większości nas. Gdy po wielu latach Lluís odnowił kontakty z moim ojcem, w owym czasie prezesem naszego stowarzyszenia, poprosił w liście, aby podziękował Arturowi za to, że nie wykorzystał sytuacji i przesłał mu te pieniądze na rozpoczęcie nowego życia w Meksyku. Jak sobie zapewne wyobrażacie, ta wiadomość spowodowała ogromne poruszenie i ostatecznie przełamała lody wobec Artura. Uznaliśmy go za jednego z nas.

I taki właśnie był Artur: dyskretny, hojny, prawdziwy dżentelmen w najlepszym tego słowa znaczeniu, zawsze gotów spieszyć z pomocą, nie żądając niczego w zamian. Postać z innej epoki.

Niestety, Artur odszedł. Bezlitosny morderca, bez serca i skrupułów, odebrał nam tego wspaniałego przyjaciela i dobrego człowieka. Bo, poza wszystkimi zaletami, Artur był - jak kiedyś powiedział o sobie nasz słynny poeta Antonio Machado - dobrym człowiekiem.

Puigventós zamilkł na chwilę. Enrique, zaskoczony mową pochwalną na cześć ojca, zauważył, że zebrani, zarówno członkowie stowarzyszenia, jak i pozostali goście, przysłuchują się z pełną szacunku uwagą ciepłym słowom o Arturze, którego przez tyle lat znali i cenili. Siedząca tuż obok Mariola otwarcie wzięła Enrique'a za rękę i uśmiechnęła się do niego.

- Dziś jest razem z nami jego syn. Znam go od małego, jak pamiętam, nie sięgał mi nawet do pasa. Dorastał w świecie antyków, wśród starych, pokrytych kurzem wieków mebli, wśród pociemniałych przez lata obrazów, w otoczeniu starych ksiąg - prawdziwej pasji Artura.

Dzisiaj Enrique, jedyny spadkobierca majątku swojego ojca, postanowił zerwać ze światem antykwariuszy. Ubolewam nad tym, zniknie bowiem jeden z najstarszych antykwariatów w Barcelonie, urwie się nić tradycji. Z drugiej jednak strony cieszy mnie to, bo wiem, że Enrique ma wyjątkowy talent i powinien go w pełni wykorzystać. Lepiej, żeby poświęcił się pisaniu swoich wspaniałych powieści, do których czytania już nas przyzwyczaił, niżby miał utknąć na resztę życia w ciasnym lokaliku, wśród rzeczy, do których nie czuje takiej miłości jak my. Mam zaszczyt wręczyć Enrique'owi - spadkobiercy Artura, naszego przyjaciela, kolegi i wiceprzewodniczącego stowarzyszenia, w tej właśnie kolejności - medal honorowy, wybity specjalnie na jego cześć.

Puigventós wyciągnął spod pulpitu etui i otworzył je wśród delikatnych okłasków zaproszonych gości. Srebrny medal rozbłysnął w świetle lamp jarzeniowych. Mariola zachęciła zaskoczonego Enrique'a, aby podszedł i odebrał niespodziewane wyróżnienie. Przewodniczący ze łzami w oczach opuścił podium i przytulił syna Artura. Enrique także nie potrafił ukryć wzruszenia; dopiero po długiej chwili wymamrotał ledwie słyszalne podziękowania, jednocześnie oglądając medal. Potem z powrotem zajęł miejsce obok uśmiechniętej Marioli.

- Ty to pewnie wymyśliłaś - szepnęła jej do ucha. - Zajmowałaś się sprawami organizacyjnymi, więc musiałaś o tym wiedzieć. Mogłaś mnie uprzedzić!

- To nie był mój pomysł, tylko ojca - odpowiedziała równie cicho. - Miał ochotę urządzić taką uroczystość i nadarzyła się okazja. Oczywiście, nie miałam zamiaru zepsuć mu niespodzianki. Jest też inny powód...

- Jaki?

- Po takiej wzruszającej scenie nasi goście nie będą mieli śmiałości nisko licytować. Dobrze znam moich kolegów po fachu, jesteśmy bardzo sentymentalni.

Nagle w sali aukcyjnej odezwał się basowym głosem mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna, wysoki, szczupły, o arystokratycznym wyglądzie, ubrany w nienaganny czarny garnitur. Wyglądał jak ucieleśnienie powagi. Przedstawił zbiór licytowanych przedmiotów jako „wyjątkową kolekcję cennych okazów, najwyższej jakości” i natychmiast przeszedł do przedstawiania ich w takim porządku jak w prospekcie. Po podkreśleniu wyjątkowych cech licytowanych rzeczy podawał cenę wyjściową każdej z nich, ustaloną przez Mariolę, która sprytnie nieco ją zaniżyła, by zachęcić uczestników do podbijania. Zgodnie z jej oczekiwaniem licytujący dali się podpuścić, aczkolwiek nikt zażarcie nie walczył o upragniony przedmiot. Cena wyjściowa wzrastała najwyższe o jedną trzecią.

Enrique stwierdził ze zdziwieniem, że licytujący wyraźnie cieszyli się panującym w sali nastrojem, swobodną atmosferą, dopuszczającą szeptów i ciche komentarze. Samuel chwilami przerywał licytację i podchodził do kolegów albo zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, w którym kelnerzy serwowali trunki i zakąski. Działal w imieniu firmy Samuel Horowitz. Antykwariusz, bo Mariola jako organizatorka aukcji, wolała pozostać w cieniu i omawiać z Enrikiem jej przebieg. Gdy przyszła kolej na stół ołtarzowy, upatrzony przez nią i Samuela, do licytacji nieoczekiwanie włączył się inny chętny, chyba dość zamożny. Mariola szepnęła Enrique'owi na ucho, że to osobista sprawa, zupełnie nieoczekiwany kaprys jakiegoś anonimowego uczestnika aukcji. Ołtarz bowiem raczej nie był zwykłą ofertą handlową, można go było jedynie wykorzystać, tak jak zrobił to Artur, jako główną ozdobę salonu, tarasu czy sklepu. Oni sami nie zamierzali go sprzedawać, lecz traktować jako ekspozycję, przełamującą monotonną powierzchnię sklepu. Enrique sprzeciwiał się przekazaniu ołtarza na licytację, ale Mariola twierdziła, że chodzi o to, aby uzyskać dla niego jak największy dochód, dla niej przegrana w licytacji nie była aż taka istotna. W końcu anonimowy licytujący został właścicielem ołtarza, za sumę znacznie wyższą od początkowej.

- Jestem pewny, że przelicytował nas, żeby zrobić nam na złość - stwierdził Samuel, tracąc nagle dobry humor, którym tryskał do tej pory.

Mariola opowiedziała Enrique'owi, że przyczyną wrogości i rywalizacji była jakaś zadawniona uraza. Sami już nie pamiętali, o co poszło. Antagonizm podtrzymywał upór adwersarzy - żaden nie chciał ustąpić, żeby nie dać satysfakcji przeciwnikowi.

- Takie historie zdarzają się dość często w świecie antykwariuszy - tłumaczyła. - To na ogół ludzie z charakterem i nierzadko dziwacy. W naszym środowisku panują różne animozje, do których zresztą nie przywiązuje się większej wagi. Podobno wynika to ze zwykłej, zdrowej rywalizacji, ale bystry obserwator, choć trochę znający te kręgi, powie, że chodzi raczej o uprzykrzenie życia bliźniemu.

- Dlatego bawicie się z Samuelem w zgadywanek, kto będzie podbijał cenę poszczególnych przedmiotów.

- Na tym to polega. O działalności antykwariuszy decydują indywidualne gusta i guściki. Dwóch, najwyżej trzech, podziela te same upodobania. A zatem, znając ich ulubiony styl, możemy spekulować na temat przebiegu licytacji.

- Odnoszę wrażenie, że to wcale nie jest taka niewinna zabawa, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

- Nie robimy tego w złej wierze - roześmiała się Mariola. - Choć, prawdę mówiąc, czasem rzeczywiście jest dość zabawnie, zwłaszcza gdy rywale starają się ukryć zawiedzioną minę po przegranej licytacji.

- Póki wam się to nie przydarzy. - Wskazał na wściekłego Samuela.

- Akurat mnie to nie dotyczy. Scysje i animozje mają swoje korzenie w dawnych czasach. Ja pracuję w tej branży dopiero od czterech lat i jeszcze nie dorobiłam się wrogów. I raczej nie będę ich miała, bo według mnie to głupota tracić czas na podobne brednie. C'est ne pas vrai? - spytała słodkim głosem.

- Oui, ma chérie.

Licytacja przebiegała w miarę szybko i płynnie, pomimo mnogości wystawionych przedmiotów, pochodzących ze sklepu i magazynu Artura. Około trzeciej po południu wylicytowano ostatni przedmiot - chiński porcelanowy wazon - za niebotyczną cenę siedmiu tysięcy euro. Antykwariusze, po skończonym widowisku, jakim była dla nich aukcja, zaczęli się rozchodzić, ponownie składając kondolencje, wyrazy żalu i szacunku. Enrique, pod ochroną Marioli, znowu musiał ucisnąć dziesiątki dłoni, złożyć nieskończenie wiele pocałunków oraz dziękować gościom za to, że raczyli się zjawić. Obszerna sala, jeszcze przed chwilą pełna ludzi, nagle opustoszała. Pozostali w niej tylko Mariola Puigventós, jej ojciec Pere, Samuel i Enrique.

- Nareszcie koniec! - stwierdził Puigventós z ożywieniem, niepasującym do jego wieku. - I muszę stwierdzić, iż z moich pobieżnych rachunków wynika, że poszło bardzo dobrze - dodał, pocierając palcem wskazującym o kciuk.

- Już policzyłeś zysk? - spytał Samuel.

- Założę się, że przekracza sto dwadzieścia tysięcy euro, jakieś dwadzieścia milionów starych peset - wtrąciła Mariola. - Trzy antyczne meble, te najpiękniejsze, poszły za prawie dwa miliony, a pozostałe za jakieś osiemnaście.

- To się zgadza z moimi rachubami - dodał Puigventós. - Po odliczeniu podatku, prowizji, kosztów wynajmu sali dostaniesz na czysto jakieś dziewięćdziesiąt tysięcy euro. Potwierdzimy to dopiero za tydzień, gdy sekretarka policzy wpływy za zakupione przedmioty i zrobi bilans.

- Niezła sumka - skomentował Samuel.

- Nawet nie wiem, na co ją wydać. Prawdę mówiąc, wolałbym nie mieć tych pieniędzy, byle Artur był wśród nas. Niestety, nic na to nie można poradzić.

- Enrique - odezwał się ktoś z drugiego końca sali.

Wszyscy odwrócili się jednocześnie. W drzwiach stał komisarz Fornells. Wyglądał na zmęczonego, a nawet przybitego. Jego twarz nosiła ślady niewyspania i ledwie dostrzegalny wyraz żalu. Ruszył w kierunku grupy, ale nagle zatrzymał się w połowie drogi, jakby czymś skrępowany, być może poczuł się niezręcznie na obcym gruncie, na jaki rzadko zdarzało mu się wkraczać. Znużonym gestem skinął na Enrique'a, by do niego podszedł. Ten, przeprosiwszy resztę, zbliżył się do inspektora.

- Co się stało, Fornells? Żle wyglądasz.

Pod oczami miał obwisłe worki, jak na wpół opróżnione bukłaki, poczerwieniały nos, obrzmiałą, typową dla alkoholików twarz - efekt niezliczonych godzin pracy bez snu i filiżanek małej czarnej, dla odpędzenia senności wzmocnionej koniakiem.

Komisarz milczał. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Enrique'owi przekrwionymi oczami.

- Musimy porozmawiać - stwierdził krótko.

- W porządku, skoro tak sobie życzysz, możemy przejść do gabinetu pana Puigventósa.

Fornells pokręcił głową.

- Nie, musimy porozmawiać w komisariacie. Na zewnątrz czeka wóz patrolowy.

Enrique'a zaniepokoiła prośba Fornellsa. Do tej pory sądził, że organy porządku publicznego są po to, by służyć i pomagać obywatelom, a nie po to, by ich karać. Dlatego nigdy nie czuł niepokoju, jaki wielu ludziom mrozi krew w żyłach przy mijaniu policjanta. Jednak tym razem, mimo że miał czyste sumienie, nie był taki pewny siebie. Wóz patrolowy, komisariat... i ten bezosobowy ton, tak mało serdeczny w porównaniu z poprzednimi rozmowami - wszystko to wytrąciło go z równowagi.

- Oczywiście, tylko pożegnaj się z przyjaciółmi.

- Jasne - zgodził się Fornells, machając ręką. - Czekam na ciebie na ulicy, przy schodach wejściowych. Pospiesz się.

- Pożegnaj się, zabiorę z biura marynarkę i schodzę.

Fornells bez słowa ruszył do wyjścia. Enrique wrócił do przyjaciół, którzy z daleka obserwowali całe zajście.

- Coś się stało? Jakies nowiny? - dopytywał się Samuel. - Dowiedzieli się czegoś nowego?

- Nie wiem. Inspektor powiedział tylko tyle, że musimy porozmawiać na komisariacie.

- Może znaleźli jakieś nowe ślady... - rzucił domyślnie Puigventós.

- Nie sądzę. Jak wiecie, Fornells był przyjacielem z młodości mojego ojca i podchodzi do tej sprawy bardzo osobiście. Był zbyt zdenerwowany jak na posłańca dobrych wieści. Idę do biura po marynarkę. Pójdiesz ze mną? - zwrócił się do Marioli.

- Oczywiście.

- Jeśli będą jakieś nowiny, zaraz wam je przekażę. Do widzenia i bardzo dziękuję za pomoc.

Pożegnał się z Puigventósem i Samuelem. Mariola zaprowadziła go do windy towarowej. Jechali w milczeniu. Enrique nie potrafił ukryć niepokoju.

- Oby to były dobre wieści - powiedziała, gdy wysiedli.

- Taką mam nadzieję - odparł zamyślony.

Już się nie odezwała. Weszli do biura i Enrique wziął marynarkę. Ze schodów prowadzących na Boulevard dels Anticuaris zobaczył Fornellsa. Stał oparty o ścianę, z papierosem zwisającym smętnie w kąciu ust.

- Martwię się o ciebie - powiedziała Mariola zatroskanym głosem. - Jesteś taki zdenerwowany. Zadzwoń, jak tylko stamtąd wyjdiesz. Będę w domu.

- Zadzwonię.

- Pamiętaj, proszę.

Enrique wyczuł w jej głosie prośbę.

- Nie martw się. Będę pamiętał - obiecał i pocałował ją delikatnie, jakby na potwierdzenie swoich najszczęśliwszych zamiarów.

Na jego widok Fornells rzucił papierosa na ziemię i niedbale przydeptał.

- Chodźmy. Samochód jest tam. - Wskazał wóz zaparkowany przy bocznej uliczce, odchodzącej od Passeig de Gracia.

Otworzył tylne drzwi auta. W środku siedział inspektor Rodríguez. Enrique powitał go skinieniem głowy. Wsunął się na kanapę i zatrzasnął drzwi. Zabrzmiało to złowroźnie. Wóz patrolowy ruszył. Z trudem przebijał się w gęstym jak zawsze o tej porze ulicznym ruchu. Zniecierpliwiony Fornells wycedził jedno słowo:

- Szybciej!

Kierowca, umundurowany policjant, włączył syrenę i przyspieszył. Samochody zjeżdżały z drogi i zatrzymywały się przy krawężniku, ustępując mu miejsca, jakby był zadżumiony, i już po pięciu minutach zatrzymali się przed komisariatem na Ravalu. Ponieważ drzwi od strony Enrique'a były zablokowane, ktoś otworzył je z zewnątrz. Enrique, idąc z Fornellsem z jednej strony i Rodríguezem z drugiej oraz mając umundurowanego policjanta za plecami, po raz pierwszy od wyjścia z siedziby antykwariuszy zdał sobie sprawę ze swojej sytuacji: był najzwyczajniej w świecie zatrzymany.

16.

W gabinecie komisarza Fornellsa Enrique siedział na krześle przed stołem zarzuconym papierami, teczkami i różnymi dokumentami i cierpliwie czekał, aż ktoś raczy mu wyjaśnić, co się właściwie, do cholery, dzieje. Spędził tak prawie godzinę, bo po przyjeździe do komisariatu umundurowany stróż porządku zniknął, a Fornells i Rodríguez bez słowa wyjaśnienia kazali mu wejść do gabinetu. Czas włókł się w nieskończoność. Enrique'a opanowało uczucie niepewności. Coś tu nie gra... tylko co? Może dowiedzieli się o manuskrypcie? Świadomie zataił ten ślad związany z morderstwem Artura. Tak przynajmniej twierdził Carlos. Zabójca był za kratkami, a zatem ujawnienie tej informacji nic by nie zmieniło. Jeśli się dowiedzieli o istnieniu rękopisu, mieli pełne prawo wściec się na niego, ale chyba nie do tego stopnia, żeby urządzić taką szopkę. Tak czy owak raczej wątpił, że ściągnęli go tu tylko z tego powodu. Rękopis nie miał aż tak wielkiego znaczenia.

Rodríguez otworzył drzwi do gabinetu i od progu poinformował Enrique'a:

- Fornells powiedział, że zaraz przyjdzie.

Asystent komisarza zamknął drzwi i usiadł obok Enrique'a, przed stołem szefa.

- Wybacz, że musiałeś czekać, ale po powrocie do komisariatu mieliśmy telefon od lekarza sądowego i musieliśmy jeszcze coś załatwić. Fornells jest już w drodze. Będzie za dziesięć minut. Tymczasem, jeśli chcesz, możemy zacząć.

- Ale co? - spytał zdumiony Enrique.

Rodríguez wyciągnął zteczki fotografię i pokazał mu.

- Znasz go?

- Tak, znam.

Z powiększonego zdjęcia patrzył na niego Manolo. Błysk flesza uchwycił go zapewne przy jakiejś uroczystej okazji: Manolo w marynarce i pod krawatem, z porządnie uczesаныmi włosami, wyglądał zgoła odmiennie niż w zwykłym mu stanie totalnej abnegacji.

- Wiesz, jak się nazywa i czym się zajmuje?

- Nazywa się Manuel Álvarez i jest filologiem.

- Kiedy go poznałeś?

- Przepraszam, ale zanim udzielę odpowiedzi, zadam ci jedno pytanie, jeśli mogę. Czy to jest przesłuchanie?

Policjant zastanawiał się przez chwilę, wreszcie odpowiedział:

- Na razie nieoficjalne, ale tak, to jest przesłuchanie.

- Nie rozumiem, o co chodzi. Czy możesz mi wyjaśnić?

- To bardzo proste. Podam ci w skrócie przebieg wydarzeń. Około dwunastej czterdzieści w nocy otrzymaliśmy zgłoszenie, że coś dziwnego dzieje się w mieszkaniu w jednej z wyżej położonych

dzielnicy Barcelony. Powiadomił nas mieszkający samotnie emeryt. Usłyszał jakieś jęki, potem zapadła cisza. Sąsiad początkowo nie przywiązywał do tego wagi, mogło to być wszystko: parka uprawiająca miłość, skowyt psa, który raczej oberwał smyczą, niż został pogłaskany. Schodząc ze śmieciami, zauważył, że drzwi na drugim piętrze są uchylone. Pomyślał, że właściciel, którego znał już od dłuższego czasu i uważał za bardzo roztrągniętego, zapomniał je zamknąć. Zapukał do drzwi. Nic. Cisza. Nacisnął dzwonek - to samo. Żadnej reakcji. Już chciał odejść od drzwi, ale ciekawość zwyciężyła i starszy pan zajrzał do mieszkania. Na środku przedpokoju leżały zwłoki sąsiada.

- Manolo nie żyje?

- Tak. Nie żyje.

Rodríguez zamilkł i zupełnie otwarcie gapił się na Enrique'a.

- No, jest już Fornells. Był w kostnicy, gdzie przeprowadzono autopsję. Ma ze sobą raport lekarza sądowego, zawierający wszystkie dane.

- Zamordowany.... - wyszeptał przerażony Enrique.

- Tak - poświadczył Fornells, zamykając starannie za sobą drzwi gabinetu. - Już mu powiedziałeś?

- Tylko o sąsiedzie.

- Ciekawe. Skąd wiesz, że Manolo został zamordowany, skoro nikt ci tego nie powiedział?

- Intuicja - odparł Enrique.

- Masz dobrą intuicję. Tak dobrą, że będziesz nam musiał wszystko dokładnie wyjaśnić. A zatem słuchaj: don Manuel Álvarez Pinzón, urodzony nietypowego dnia, bo 29 lutego, został zamordowany z zimną krwią dziś w nocy. Jeszcze nie minęło siedemnaście godzin. Motywu na razie nie znamy. W zamku nie stwierdzono śladów włamania. Sądząc po ułożeniu ciała, Álvarez zginął w chwili, gdy otworzył drzwi. Morderca wbił ostre narzędzie - nożyczki, otwieracz do listów albo śrubokręt - w komorę prawej gałki ocznej. Ostrze dotarło do mózgu. Zgon nastąpił mniej więcej po minucie. Przez ten czas morderca próbował stłumić jęki ofiary chusteczką, choć jak wynika z zeznań sąsiada, nie do końca skutecznie.

Nie znamy tożsamości mordercy ani motywu zbrodni. Jednak dysponujemy pewnymi danymi, które pomogą nam to ustalić. Szczególnie jeden fakt jest bardzo znamienity: mieszkanie zostało gruntownie przetrząśnięte. Sprawca wyraźnie czegoś szukał. Następnym śladem nie jest jeszcze dla nas jasny, ale mamy nadzieję, że przy twojej pomocy uda nam się powiązać wątki: Beatrice Dale, twoja była żona, przebywająca w domu należącym do Artura, obecnie stanowiącego twoją własność, udała się w poniedziałek rano na uniwersytet barceloński, gdzie rozmawiała z Joaquimem Pagesem, profesorem na wydziale filologii klasycznej. Beatrice potrzebowała pomocy w tłumaczeniu. Profesor Pages przedstawił jej najlepszego specjalistę ze swego wydziału, właśnie Manuela Alvareza. Kontynuuj, Joan.

Zamyślony Rodríguez ociągał się chwilę z odpowiedzią.

- Przepraszam, Fornells, zamyśliłem się. Pomyślimy, dziś mamy środę. Dokładnie dwa tygodnie temu, mniej więcej o tej samej porze, Enrique wszedł do komisariatu. Nawet pamiętam, że to ja osobiście powiadomiłem go o zabójstwie jego przybranego ojca i o naszych podejrzeniach co do sprawcy, a komisarz tak jak dzisiaj przyszedł trochę spóźniony.

- Masz rację. Życie jest pełne zbiegów okoliczności - stwierdził sentencjonalnie Fornells. - Dzisiejsze spotkanie różni się od tego sprzed czternastu dni. Wtedy to my poinformowaliśmy Enrique'a o zbrodni...

-...a dzisiaj Enrique będzie nam musiał powiedzieć, co wie na temat kolejnego morderstwa. Prawda?

Obaj policjanci patrzyli na Enrique'a, oczekując jedynej możliwej odpowiedzi.

- Tak. - Enrique przetarł oczy. - Powiem wszystko, co wiem na ten temat.

Przez trzy bite godziny Enrique mówił, a policjanci notowali. Opowiedział szczegółowo o wszystkim, co zaszło, odkąd Bety poinformowała go o śmierci ojca. Zaczął od listu, który Artur wysłał do niego przed śmiercią, ze wzmianką o tajemniczym odkryciu oraz o lęku, jakie w nim to odkrycie wzbudziło. Potem podzielił się swoimi początkowymi podejrzeniami, głównie wobec Guillem'a i Enrica, a w drugiej kolejności wobec Samuela, których uważał za ewentualnych morderców, ponieważ podczas ostatniego spotkania - w piątek 22 kwietnia - dowiedzieli się o tajemniczym odkryciu. Te podejrzenia potwierdziły oferty kupna lokalu wraz ze znajdującym się w nim towarem, złożone przez tę trójkę. Opowiedział o pomocy udzielonej mu przez szkolnego kolegę, Carlosa Hidalgo, w prowadzeniu prywatnego śledztwa, o wiarygodnym i dokładnie sprawdzonym alibi trzech antykwariuszy, co w zasadzie wykluczało ich z grona podejrzanych, oraz o zasadzce, ostatnim sposobie na

zdemaskowanie mordercy. Gdy w niedzielę 8 maja Bety powtórzyła mu wiadomość o zatrzymaniu Francuza, trzech antykwariusze automatycznie zostali wykluczeni z kręgu podejrzanych. Brésard pasował idealnie do profilu sprawcy, Carlos odwołał więc dyskretną ochronę Enrique'a i uznał sprawę za ostatecznie załatwioną. Tymczasem Bety na własną rękę przeprowadzała badania i robiła tłumaczenie manuskryptu, od którego wszystko się zaczęło. Zgodnie z informacjami, jakimi dysponowali policjanci, właśnie wtedy - przez Quima Pagesa - poznała Manola. Młody człowiek - co za nieprawdopodobny zbieg okoliczności - także wiedział o istnieniu tajemniczego przedmiotu, o którym wspominał autor manuskryptu, i chętnie zaoferował swoją pomoc. Opowiedział im o genezie, losach oraz właściwościach Kamienia Bożego. Potem Enrique dostarczył Àlvarezowi księgę, ponieważ twierdził, że warunkiem rozwiązania zagadki jest dokładne przestudiowanie zapisków Casadevalła. Dalej nie wie, co się działo.

Zamilkł. Fornells i Rodríguez patrzyli na niego pytającym wzrokiem. Stary policyjny wyga zniechęconym gestem prawej dłoni dał pole do popisu podwładnemu. Rodríguez wyraźnie miał ochotę wyciągnąć całą prawdę od Enrique'a.

- Uprowadzam, że w wielu punktach będziesz nam musiał udzielić dodatkowych wyjaśnień. Zanim zaczniesz cię wypytywać, chciałbym, żebyś wyjaśnił, dlaczego wcześniej nie powiedziałaś nam o manuskrypcie. Świetnie pamiętam, że siedziałeś przy tym samym stole, na tym samym krześle, gdy Fornells cię poprosił, żebyś sobie przypomniał wszystko, co mogło mieć związek ze śmiercią Artura.

- Przepraszam. Chyba zachowałem się nieodpowiedzialnie.

- Nami się nie przejmuj - wtrącił Fornells. - Pomyśl o Àlvarezie. Gdybyś wtedy powiedział o rękopisie, być może ten człowiek by żył, a nie leżał w chłodni zakładu medycyny sądowej w charakterze świeżo wypatroszonego zimnego trupa.

Enrique zaniemówił. Fornells rozjątrzył jego ledwie zagojoną ranę: w jakim stopniu był odpowiedzialny za śmierć Manola? Z całą pewnością o wiele większym, niż mógł to sobie wyobrazić.

- Komisarz ma rację, ale tylko częściowo. Gdybyś powiedział o rękopisie wtedy, kiedy należało, być może dałoby się uniknąć tego nieszczęścia. A teraz gadaj, co wiesz.

- Ja... to znaczy, gdy Fornells wezwał mnie do komisariatu, nie powiedziałem o manuskrypcie, bo chciałem sam rozwikłać zagadkę. Bałem się, że powstrzymacie mnie przed działaniem na własną rękę. Przynajmniej tak było na początku. Później, kiedy otrzymałem oferty kupna antykwariatu Artura, pomyślałem, że to dziwny zbieg okoliczności. Carlos się z tym zgodził. Powiedział dosłownie tak: „Przypadki nie istnieją”. Sprawdził alibi trzech podejrzanych, ale nie znalazł nic, co mogłoby świadczyć o ich winie.

- Reasumując, milczałeś, bo sam chciałeś rozwiązać tajemnicę manuskryptu - wtrącił się znowu Fornells. - Powodowała tobą ambicja, prawda? Chciałeś zachować dla siebie całą chwałę, wszystkie zasługi: rozszyfrować manuskrypt, rozwiązać zagadkę i własnoręcznie schwytać mordercę. - W miarę jak mówił, tracił spokój i podnosił głos. - Czemu, do cholery, nam nie zaufałeś? Właśnie to mnie najbardziej wkurza! Przyszedłeś tu jak zbity pies, z podkulonym ogonem, troszczyliśmy się o ciebie jak o nikogo innego, i tak nam się odplącałeś!

- Fornells - zmiłkował go Rodríguez. - Wyjdźmy na moment.

Policjanci opuścili gabinet. Enrique, oprócz świadomości, że po części jest odpowiedzialny za śmierć Manola, czuł również głęboką skruchę za okłamanie Fornellsa. Komisarz miał rację: po starej przyjaźni z Arturem wprowadził jego syna w szczegóły śledztwa, o których rodzina ofiar zazwyczaj nic nie wie. Miał jeszcze w pamięci rozmowę w barze London, w poniedziałkowe przedpołudnie, kiedy Fornells opowiedział mu historię młodego Artura. Enrique nigdy by jej nie poznał, gdyby nie życzliwość starego gliny. Fornells miał prawo czuć się zawiedziony, zarówno ze względów zawodowych, jak i osobistych.

Po kilku wlokących się niemiłosiernie minutach, podczas których obaj policjanci dyskutowali zawzięcie na korytarzu, Rodríguez wrócił do pokoju.

- Zraniłeś go. Wściekł się, że nic mu nie powiedziałaś, bo to oznacza zupełny brak zaufania.

- Brak mi słów, aby wyrazić, jak bardzo mi przykro.

- Za późno - stwierdził bezlitośnie Rodríguez. - Śmierci Àlvareza nie da się odwrócić, a Fornellsowi wcześniej czy później przejdzie złość. Teraz, skoro czujesz się taki skruszony, a nie wątpię, że mówisz szczerze, uspokój się i spróbuj się skupić na odpowiedziach.

- Dobrze.

- Przywiozłeś ze sobą do Barcelony list, który napisał do ciebie Artur?

- Tak.

- Będzie nam potrzebny. Jakie miał Hidalgo zdanie na temat twojej teorii?
- Uważał, że alibi wszystkich trzech podejrzanych jest nie do podważenia. Nie sądził, aby mordercą był jeden z nich, ale zgodził się na zastawienie pułapki. Musicie wiedzieć, że namawiał mnie do podzielenia się moją wiedzą z policją, uważał bowiem jakiegokolwiek działanie na własną rękę za szaleństwo. Oświadczył nawet, że zatajenie istotnych dla śledztwa informacji można uznać za przestępstwo.
- Dobrze zrobił, że cię ostrzegł, i źle, że nie powiadomił nas o twojej hipotezie - stwierdził Rodríguez. - Ale to jego przywilej, jako prywatny detektyw miał prawo zachować tego typu informacje dla siebie. A teraz powiedz: byłeś świadom niebezpieczeństwa, na jakie się narażałeś, zastawiając pułapkę?
- Tak. Ale mam stuprocentowe zaufanie do Carlosa: jesteśmy przyjaciółmi od dzieciństwa i wiem, że w tych sprawach jest prawdziwym fachowcem. Otoczył nas całodobową ochroną, z której zrezygnowaliśmy tego samego niedzielnego wieczoru, gdy wróciłem do domu i Bety powiedziała mi o zatrzymaniu Francuza.
- Pamiętam, powiedziałem ci przez telefon o zatrzymaniu Brésarda, a ty zdziwiłeś się, a nawet byłeś bardzo zaskoczony.
- Trudno mi było uwierzyć, że to nie Guillem albo Enric. Wszystko o tym świadczyło.
- Zauważyłem, że nic nie wspominasz o Samuelu Horowitzu.
- On na pewno tego nie zrobił. Nigdy go nie podejrzewałem o dokonanie tej zbrodni. Był przyjacielem mojego ojca od pięćdziesięciu lat. I to nie byle jakim, serdecznym.
- Samuel Horowitz jest z pochodzenia Żydem. Z tradycją hebrajską związany jest również Kamień, o którym mówimy.
- On by tego nie zrobił - zaprzeczył Enrique. - A zresztą ma alibi.
- Tak samo jak dwaj pozostali podejrzani. Zrozum, oni ostatni widzieli Artura żywego, dlatego musieliśmy sprawdzić, co robili podczas weekendu. Tak jak powiedział Carlos, mają niepodważalne alibi. A teraz opisz mi rękopis.
- To bardzo stary foliał, dużych rozmiarów, jakieś 42 centymetry wysokości i 21 szerokości. Oprawiony w delikatną, cielistą skórę, prawie czarną, pociemniałą z wiekiem. Na okładce widać wytłoczone ornamenty, ozdobne złożone, zwane filedami, oraz przeplatające się elipsy z miniaturowymi wzorkami wewnątrz...
- Poczekaj, za dużo szczegółów. Mógłbyś to naszkicować? - Podał mu papier i długopis.
- Tak.
- Enrique oddał się zadaniu narysowania okładki rękopisu Casadevall. Ukończywszy swoje dzieło, wręczył je Rodríguezowi, który wyszedł z pokoju i przekazał szkic wraz z niezbędnymi instrukcjami jednemu z podinspektorów.
- Sprawdzimy, czy nie leży gdzieś w mieszkaniu ofiary. Jestem pewny, że go tam nie ma, ale tak czy siak musimy poszukać. Czy masz gdzieś kopię treści?
- Notatki i niekompletne, pełne błędów tłumaczenie. Możliwe, że Bety przechowuje zapis będący uzupełnieniem mojego.
- Ile jest wart manuskrypt?
- Nie jestem specjalistą, ale chyba sporo.
- Czy Kamień Boży to rodzaj jakiegoś szlachetnego kamienia?
- Tak. Prawdopodobnie duży szmaragd.
- No cóż. Ktoś zadał sobie zbyt wiele trudu, jak na rzecz, która być może wcale nie istnieje albo ma niewielką wartość. Kolejne pytanie: po co Bety przyjechała do Barcelony?
- Enrique westchnął.
- Żeby mi pomóc. Byłem bardzo przywiązany do Artura, znacznie bardziej niż większość ludzi jest zżyta ze swoimi rodzicami. Być może dlatego, że mnie adoptował. Bety bardzo się martwiła, dlatego załatwiła swoje sprawy na uczelni i niespodziewanie pojawiła się w zeszłą środę.
- Jesteście rozwiedzeni, prawda?
- Tak.
- Czy obecnie łączy was tylko przyjaźń?

- Między nami nie ma seksu - wyjaśnił otwarcie Enrique. - Prawdę mówiąc, nie widzieliśmy się przez kilka miesięcy.

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem i w nocy?

Enrique zrozumiał, o co chodzi Rodríguezowi. Bez ogródek sprawdzał jego alibi na czas popełnienia zbrodni.

- U Marioli Puigventós.

- Do której?

- O ile dobrze pamiętam, wyszedłem około pierwszej w nocy.

- Podaj mi adres i telefon pani Puigventós.

Enrique podyktował dane ukochanej.

- A teraz opowiedz mi o niej.

- To córka Pere Puigventósa, przewodniczącego stowarzyszenia katalońskich antykwariuszy.

- Co was łączy?

Zawahał się. Nie bardzo wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- No cóż, myślę, że możesz zanotować, iż jesteśmy parą.

Rodríguez podniósł wzrok znad dokumentów i przyjrzał mu się z uśmiechem, niepozabawionym cynizmem.

- To znaczy twierdzisz, że mieszkasz w Barcelonie ze swoją byłą żoną, a jednocześnie jesteś w związku z Mariolą Puigventós?

- Tak, dokładnie - potwierdził trochę skrępowany. - No cóż, przypuszczam, że mogę to wyjaśnić.

- Cały zamieniam się w słuch - odparł inspektor z filuternym uśmiechem.

- Gdy Bety przyjechała do Barcelony w zeszłą środę, ja i Mariola jeszcze nie... Prawdę mówiąc, nie widzieliśmy się od dwunastu lat, albo i dłużej. Ona mieszkała w Nowym Jorku, cztery lata temu rozwiodła się i wróciła do Hiszpanii... - Enrique zamilkł na chwilę. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Wydawało mu się bardzo nie na miejscu omawiać swój związek z Mariolą. - Czy ja naprawdę muszę o tym wszystkim opowiadać?

- Skoro o to pytasz, to znaczy, że ciągle jeszcze nie jesteś świadomy powagi sytuacji. - Twarz inspektora straciła wyraz krótkotrwałej wesołości.

Rodríguez przybrał surową minę.

- Może powinieneś mi wyjaśnić, jaka jest moja sytuacja - stwierdził Enrique.

- To bardzo proste. Fornells nie uważa cię za podejrzanego w sprawie o morderstwo Artura ani Manola. Jeśli chodzi o to pierwsze, w pełni się zgadzam. Mikel Garaikoetxea potwierdza, że wypłynąłeś w morze rano w niedzielę 24 kwietnia. W żadnym z pobliskich portów nie odnotowano, że jacht „Hispaniola” zawinął tam na noc, a zakotwiczyć w innym miejscu, zgodnie z oświadczeniem specjalistów, nie mogłeś ze względu na warunki atmosferyczne. Stwierdzili, że przy takim wietrze żadna lina kotwiczna by nie wytrzymała i jacht roztrzaskałby się o skały. Jeśli chodzi o drugie morderstwo, no cóż, podchodzę do tego sceptycznie, nie zakończyliśmy jeszcze przesłuchania. W każdym razie radzę ci się nie denerwować. Muszę cię wypytać na potrzeby śledztwa. Nie jestem twoim psychoanalitykiem, więc odpowiadaj i przestań się wygłupiać.

Enrique zaniepokoił się, słysząc, że sprawdzano jego alibi w związku z zabójstwem Artura. Wreszcie zrozumiał, w jak trudnym znalazł się położeniu. Rodríguez analizował wnikliwie wszystkie jego zeznania, by określić jego prawdziwą rolę w tej historii. Jednak, zanim udzielił odpowiedzi, musiał zadać pewne konieczne pytanie:

- Czy naprawdę podejrzewaliście, że mogę mieć coś wspólnego ze śmiercią mojego ojca?

- Daj spokój! Fakt, że jesteś osobą publiczną, sławnym pisarzem, nie oznacza, że stałeś się odporny na pokusę nagłego wzbogacenia! - Rodríguez uśmiechnął się. - Przecież to oczywiste, że nasza praca polega na przesłuchiowaniu także rodziny i przyjaciół ofiary. Według danych statystycznych dziewięćdziesiąt pięć procent zabójstw dokonują krewni bądź znajomi zamordowanych. A jeśli do tych statystyk dodamy krociowy spadek, jaki zostawił ci Artur, stanie się jasne, że musieliśmy poprowadzić śledztwo także i w tym kierunku. Ty w każdym razie żeglowałeś po morzu. Nie było możliwości, abyś popełnił tę zbrodnię. Ale darujmy sobie te dywagacje. Próbowaleś mi wyjaśnić, co łączy Mariolę Puigventós i Beatrice Dale.

- Puigventós, ojciec Marioli, zaoferował mi pomoc w organizowaniu aukcji przedmiotów pochodzących ze sklepu Artura - kontynuował Enrique. - Mariola zajęła się przygotowaniem licytacji, z

której w południe zabrał mnie Fornells. Otóż w niedzielę wieczorem, po całym weekendzie spędzonym przy wycenianiu eksponatów, zaprosiła mnie do siebie na kolację i... Na razie mieszkam w domu Artura, gdzie przebywa także Bety, oczywiście tylko czasowo. Ja i Mariola jesteśmy ze sobą. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- No widzisz, to wcale nie było takie trudne do wyjaśnienia. Czy Mariola Puigventós wie o istnieniu manuskryptu Casadevalla i Kamienia Bożego?

- Nie wszystko.

- Gdy ludzie są razem, zazwyczaj nie mają przed sobą tajemnic.

- Opowiedziałem jej o rękopisie, żeby zrozumiała, dlaczego Bety została w Barcelonie.

- Nie rozumiem. To znaczy, że jest zazdrosna o panią Dale?

- Nie, to znaczy tak. Chodzi mi o to, że nie wątpi w moją wierność, ale nasz układ nie wydaje jej się normalny.

- Jak dużo wie o Kamieniu Bożym?

- Wie, że Bety jest tu po to, aby przetłumaczyć stary rękopis, który może nas doprowadzić do ujawnienia nieznanej dotąd tajemnicy. I nic poza tym.

- Czemu nie powiedziałeś jej wszystkiego?

- Niczego przed nią nie ukryłem. Gdy rozmawialiśmy o tłumaczeniu, mnie już nie interesowało rozwiązanie zagadki. Dlatego opowiedziałem jej tylko to, co najważniejsze: wyjaśniłem powód, dla którego Bety, to znaczy pani Dale, została w Barcelonie.

- Raczej trudno, a nawet bardzo trudno w to uwierzyć. - Wskazał na niego długopisem. - Przekonaj mnie, że się myłę.

- Może będziesz zaskoczony, ale część winy ponosi Fornells.

Enrique w skrócie opowiedział o rewelacjach na temat przeszłości Artura, przekazanych mu przez Fornellsa w poniedziałek rano, oraz jak bardzo wpłynęło to na jego nastrój. Rodríguez szczegółowo odnotowywał jego zeznania w notesie.

- W porządku. Idźmy dalej. Opuściłeś rezydencję pani Puigventós w pół do pierwszej w nocy. Co robiłeś później?

- Wróciłem do Vallvidrery. W domu byłem około pierwszej - odpowiedział pospiesznie.

- Ciekawe. Bardzo ciekawe. Wiesz może, gdzie mieszkał zamordowany Manuel Àlvarez?

- Nie. W poniedziałek w nocy Bety zaproponowała, że go odwiezie do domu, ale nie zwróciłem uwagi dokąd.

- Mieszkał na Carrer Muntaner, niedaleko pierwszej obwodnicy. Enrique natychmiast dostrzegł w słowach Rodrígueza narzucającą się wręcz oczywistość. Mieszkanie Manola znajdowało się w połowie drogi między willą Marioli a domem Artura. Na tyle blisko, że piechotą można tam dojść w dziesięć minut. Właściwie, wychodząc z domu Marioli o wpół do pierwszej, mógł spokojnie popełnić zbrodnię i po jakichś dwudziestu minutach wrócić do Vallvidrery.

- Byłeś w domu około pierwszej i zastałeś tam panią Dale.

- Tak.

- Czy pani Dale ustaliła już datę powrotu do San Sebastián?

- Początkowo zamierzała wrócić dzisiaj albo jutro. Ale nie sądzę, by wyjechała przed rozwikłaniem zagadki manuskryptu.

- Czy swój wyjazd planowała, czy nie, w tych okolicznościach będzie musiała go odłożyć, póki z nią nie porozmawiamy. Czy przypadkiem wiesz, gdzie możemy ją zastać?

- Nie. Wczoraj wieczorem mieliśmy... powiedzmy, małą sprzeczkę. Dziś rano, gdy wstałem, już wyszła. Przypuszczam, że możecie ją znaleźć w archiwum arcybiskupstwa albo w Ca l'Ardiaca.

- Można wiedzieć, o co się pokłóciliście?

Poczuł się jak zmłócony ciosami bokser, chroniący się w narożniku ringu. Z całego przesłuchania właśnie ta część najbardziej go zraniła. Poczuł się jak zwykły rzezimieszek z przedmieścia, zmuszony do odpowiedzi.

- Myślę, że jest zazdrosna o Mariolę - wyznał z westchnieniem.

- Zreasumujmy: powiedziałeś, że łączą was wyłącznie stosunki przyjacielskie. Jesteś teraz z Mariolą, a nie z Bety. Czyżbym się mylił?

- Nie, nie mylisz się. Przypuszczam, że Bety ciągle jeszcze coś do mnie czuje. Pozostała w niej część dawnej miłości, która nas łączyła.

- A jak jest w twoim przypadku?

- Zanim spotkałem Mariolę, też coś czułem do Bety. Ale teraz już nie.

- No dobrze. To dość interesujące - powiedział do siebie inspektor, przerzucając zabazgrane strony notesu. - Ciekawa historia. No dobrze... myślę, że już mamy wszystko, co potrzeba.

- W takim razie... czy mogę wyjść?

Rodríguez zlustrował badawczym wzrokiem Enrique'a i z niespotykanym spokojem rozważał swoją odpowiedź.

- Tak, ale zanim wyjdiesz, musisz coś wiedzieć. Po pierwsze, twoja wersja wydarzeń jest zbieżna z zeznaniami pani Dale. Została przesłuchana w innej części komisariatu. Czeka na ciebie w poczekalni. - Zaskoczony Enrique poczuł, jak opuszczają go wszystkie siły: Bety przesłuchana! Bogu dzięki, że powiedział całą prawdę! - To dobra nowina. Po drugie, na razie nie jesteście jeszcze oczyszczeni z podejrzeń. Szczególnie w twoim przypadku, z powodów, których łatwo możesz się domyślić, przynajmniej póki nie porozmawiamy z panią Puigventós. Zalecam ostrożność. Bądźcie w miarę możliwości uchwytani, zawsze pod telefonem. Nasz wydział prowadzi śledztwo wielotorowo i może to wymagać waszej obecności. Czy wszystko jasne? Jakies pytania?

Enrique pokręcił głową.

- Fornells... - wyjąkał.

- Daj spokój. To bez sensu.

Enrique już wychodził z gabinetu, gdy zatrzymał go głos Rodrígueza.

- I jeszcze jedno - powiedział, nie podnosząc głowy znad notatek. - Podczas przesłuchania powiedziałem, że na koniec będę miał gotową opinię na temat twojej winy. Jest wiele obciążających faktów łączących cię ze śmiercią Àlvareza, ale nie sądzę, żebyś był mordercą. W przeciwnym razie byłbyś najgłupszym mordercą w historii kryminalistyki. Chociaż, szczerze mówiąc, w tej sprawie przodujesz w roli imbecyla.

Po wyjściu z gabinetu czuł się jak zbity pies, zmykający z podkulonym ogonem. Zszedł ciemną klatką schodową do poczekalni. Tak jak powiedział Rodríguez, rzeczywiście czekała tam na niego Bety. Siedziała w starym zdezelowanym fotelu, pasującym do wystroju komisariatu. Obok na stoliku leżały plotkarskie pisma. Wzrok miała utkwiony w zacieki na suficie. Głębokie cienie pod oczami wskazywały wyraźnie, że płakała. Na jego widok zerwała się z miejsca i podbiegła do niego. W obskurnej, zimnej poczekalni komisariatu przytuliła się do niego, szukając otuchy. Dwaj policjanci pilnujący wejścia do budynku patrzyli na nich bez cienia ciekawości, przez lata służby przyzwyczajeni do takich scen świadczących o ludzkiej desperacji. Trochę tym skrępowany, Enrique przeszedł przez poczekalnię do drzwi. Schodzili powolutku, w ciszy przerywanej tylko cichym, tłumionym szlochem Bety.

Wyszli na ulicę. Siąpiła mżawka. Szli w kierunku Ramblas pod szarym, stalowym niebem, rozjaśnionym różowawą luną świateł Barcelony. Niektórzy przechodnie przyglądali im się z ciekawością, ale większość z nich, pochodząca z biednej, podupadłej dzielnicy, zajęta własnymi kłopotami, w ogóle nie zwracała na nich uwagi. Nikt się nie dziwił, że wyszli z komisariatu w takim stanie.

Dotarli do Ramblas. Padający deszcz wystraszył licznych zazwyczaj o tej porze przechodniów. Enrique niemal bezwiednie skierował swoje kroki w stronę morza. Przed kościołem pod wezwaniem Świętej Moniki nagle zatrzymał się. Bety była zbyt roztrzęsiona, żeby dalej iść. Tam, pod rozłożystym platanem, którego bujne listowie chroniło przed coraz intensywniej padającym deszczem, przytulił ją i nie wypuścił z objęć, dopóki nie uspokoiła się i nie przestała drzeć.

17.

Po godzinie Bety i Enrique dotarli do domu w Vallvidrerze. Ona milczała przez całą drogę, ciągle jeszcze wstrząśnięta niespodziewanym rozwojem wydarzeń. Widziała wyraźnie twarz Manola, odbijającą się w przedniej szybie, czyszczonej miarowym ruchem wycieraczek, i znikającą po chwili w

strumieniach deszczu spływających na samochód. Z kolei Enrique, z zupełnie wyjąłowym umysłem, wolnym od jakiegokolwiek myśli, prowadził auto niemal mechanicznie. Chciał wyrzucić z siebie tyle słów, tylko nie wiedział jak, a zresztą nie sądził, że warto. Gdy szli piechotą do Passeig de Gracia, gdzie rano zostawił auto, stwierdził, że próba oceny sytuacji przerasta go. Narastające poczucie winy obciążało sumienie, dręczyło duszę, wpływało na samopoczucie fizyczne. Początkowe zmęczenie zmieniło się we wszechwładne pragnienie, aby wyciągnąć się na łóżku i zasnąć, spać, zapomnieć o całym świecie i po przebudzeniu o niczym nie pamiętać.

Po powrocie do domu przygotował gorącą, prawie wrzącą kąpiel. Pomógł Bety rozebrać się. Była spokojna, aż za spokojna, miała obojętny wyraz twarzy, zagubione spojrzenie. Otulił ją płaszczem kąpielowym i zaprowadził do łazienki. Wydawała się taka krucha, bezbronna. Jak dziecko, zszokowane okrucieństwem świata, trzymała go kurczowo za rękę. Chwilę później pojawił się przelotny błysk w jej oczach; dzięki łagodnemu dotykowi gąbki, którą Enrique obmywał jej ciało, Bety powoli wracała do rzeczywistości.

- Co ja zrobiłam? Co ja takiego zrobiłam? - Dygotała.

- Ty nic nie zrobiłaś. Jeśli już, to zawiniliśmy oboje.

- To nie w porządku - mamrotała zrozpaczona. - Pragnęłam odnaleźć Kamień, gdy ty zrezygnowałeś. Znalazłam tłumacza, żeby pomógł rozwikłać tę zagadkę. Jestem odpowiedzialna za jego śmierć.

- Nawet tak nie mów, przecież to nieprawda. Nieszczęście zaczęło się w chwili, gdy zataiłem fakt istnienia manuskryptu przed policją. Tak to wygląda. A może cała historia zaczęła się o wiele wcześniej, gdy Casadevall zgodził się pomóc S. i postanowił prowadzić te swoje przekłete zapiski? Czemu chciał naprowadzić potomnych na ślad tajemnicy? Dlaczego nie zachował sekretu tylko dla siebie i nie zabrał go ze sobą do grobu?

- Nic nie pomogą twoje słowa. Nie da się odwrócić biegu wydarzeń. Nic nie uwolni mnie od poczucia winy.

Bety nie dopuszczała do siebie żadnych argumentów, które mogłyby zdjąć z jej barków ogromny ciężar. Patrzył na nią z niepokojem. Siedziała przed nim naga, zgięta w pół, w wannie pełnej wody. Ramionami obejmowała podkurczone nogi. Brodę oparła na kolanach, twarz ukryła w dłoniach. Utkwiła w ścianie zagubione spojrzenie. Musiała zmierzyć się z problemem. Nie mogła wymigać się od odpowiedzialności, ale też nie powinna demonizować tego faktu. Była mu potrzebna jej błyskotliwa inteligencja, pragmatyzm, racjonalizm. Za wszelką cenę musi wyrwać ją z apatii. Potrzebował jej. Najprostszy sposób, aby zaczęła reagować, to doprowadzić ją do furii.

- Upieranie się, że to twoja wina, do niczego nie prowadzi - stwierdził w przeblysku natchnienia. - Los bawi się z nami, jak chce. Pogrywa znaczone kartami i zgarnia wszystkie lewy. Sądzisz, że śmierć Manola to twoja wina? Nie bądź głupia. Był zaślepiony potęgą swojego umysłu, kierowała nim rozbuchana ambicja. To samo mogło się zdarzyć Tobie. Od lat badał wszystko, co się wiązało z Kamieniem Bożym. Być może na początku, zafascynowany zagadką z przeszłości, kierował się ciekawością, pragnieniem poznania, zresztą sam to wyznał w gabinecie. Ale mnie nie oszukał. - Bety wyprostowała się, gotowa się wtrącić, ale Enrique nie dał jej dojść do słowa. - Dostrzegłem na jego twarzy, podobnie jak na twojej, a jeszcze wcześniej na własnej, symptomy chorej żądzy poznania. Wszyscy troje daliśmy się omamić demonowi ambicji: ambicji odkrycia, ambicji posiadania, pychy. Nie marzyłaś o rozgłosie, jaki ci przyniesie Kamień? Nie myślałaś o sławie, wywiadach? Kamień sam w sobie, niezależnie od obłąkańczych rojeń starego Shackermanna, to przedmiot o nieoszacowanej wartości! Odpowiadaj! Nie marzyłaś o tym?

- Tak! Oczywiście, że marzyłam! - odpowiedziała, tłumiąc rodzący się szloch. Czemu mnie o to obwiniasz? Ty też tak robiłeś!

- To prawda - odpowiedział rozmyślnie powoli - i teraz przeklinam siebie za to. Chciałem przekroczyć granice naszej percepcji i skutki tego okazały się nieobliczalne. To mój brak rozwagi doprowadził nas do tego.

- Nic nam nie zwróci Manola - stwierdziła głosem pełnym bólu.

- Zatracasz się w roztrząsaniu drugorzędnych spraw, nie dostrzegasz istoty rzeczy.

- To mi wyjaśnij. - Gniew zaczął wypierać ból.

- Zaraz to zrobię, ale prawda nie będzie przyjemna.

Zupełnie osaczona Bety czekała niecierpliwie na jakieś ważne wyznanie, gotowa bronić swojej pozycji pazurami i zębami.

- Czy pomyślałaś o sobie samej, zamiast o innych? Bo to pierwsza rzecz, jaką się robi w razie niebezpieczeństwa. A może myślisz, że bezlitosny morderca, który systematycznie i z zimną krwią pozbywa się jednego rywala po drugim, nic nie wie o naszej znajomości z Manolem? Przecież dowiedział się o nim, śledząc nas. Z pewnością policja doszła do tego samego wniosku.

Bety musiała uznać tę argumentację. Inne wyjaśnienie nie istniało. Pograżona w bólu, nie dostrzegała prawdziwych przyczyn zamordowania Manola.

- Dla policji, zgodnie ze słowami Rodrígueza, nie jesteśmy podejrzanymi, możesz w to wierzyć albo nie. Być może tylko tak powiedział, żebyśmy poczuli się pewni siebie, i będzie nas obserwował. A może to prawda; kiedy wychodziłem z gabinetu, stwierdził, nie podnosząc głowy znad dokumentów, że w całej tej sprawie zachowałem się jak kretyń. I miał rację. Zastanów się, co się dzieje z mordercą. Pomyślałaś o tym?

- Nie.

- No to nadszedł czas - stwierdził. - I wcale nie po to, aby rozwiązać zagadkę, ale z zupełnie innych powodów. Po pierwsze, aby udowodnić naszą niewinność. Wkurza mnie, że mogą mnie podejrzewać o zabicie Artura! Po drugie, dla naszego bezpieczeństwa: zginęły już dwie osoby powiązane z rękopisem, nie chcę, żebyśmy dołączyli do tej tragicznej listy. A po trzecie, żeby w końcu dorwać tego skurwysyna, który chodzi sobie spokojnie po świecie i morduje każdego, kto stanie mu na drodze. Jesteś gotowa mi pomóc czy na cały dzień zastygniesz w wannie? -Wstał i podał jej szlafrok kąpielowy.

- Pomogę ci.

Godzinę później siedzieli w kuchni, przy stole pełnym jedzenia - Bety zaledwie przełknęła kawałek kanapki - Enrique podsumowywał wszystko, co się zdarzyło przez te trzy tygodnie. Nakreślił schemat najważniejszych wątków, naśladując system, jaki często stosował przy konstrukcji swoich powieści. Na kartce papieru sieć kresek i kółek o różnych średnicach przecinała się, tu i ówdzie spletała, żywy dowód rozpaczliwych poszukiwań nieznanego mordercy, który nagle okazał się prawdziwy i groźny, oraz dziwaczного kamienia z wrytym imieniem Boga. Bety, otulona płaszczem kąpielowym, przysłuchiwała się z uwagą wyjaśnieniom Enrique'a.

- I co o tym myślisz? - spytał, skończywszy swój wywód.

- Jak sądzisz, czy notes Manola może nam w czymś pomóc?

- Tak. Przeczytałem go uważnie. Jest tam pełno zapisków i rysunków, ale jeśli to szyfr, nie da się ich wykorzystać.

- Carlos - powiedziała w końcu. - Musisz zwrócić się do Carlosa. To, co powiedziałaś, to prawda, ale nie potrafię znaleźć łącznika między faktami, klucza, jakiegoś związku między tymi dwoma morderstwami. Carlos może nam pomóc.

Enrique rozważał jej słowa. Wyostrzony zmysł rasowego pisarza, tak pomocny w tropieniu pogubionych wątków powieści, tym razem zawiódł go na całej linii. Nie ganił się za to; oczekiwał, że błysk intelektu poda mu na srebrnej tacy rozwiązanie, ukryty, lecz istniejący klucz, jakiś drobiazg, który właśnie dlatego, że był zaledwie szczegółem, umykał mu. Był pewny, że ma wystarczająco dużo rozumu, by rozwiązać tajemnicę, tylko nie umie poskładać elementów w logiczną całość. Bety podsunęła mu rozsądne wyjście: Carlos jako detektyw myśli logicznie. Zaangażowanie go zwiększy poczucie bezpieczeństwa.

- Powinieneś powiedzieć mu całą prawdę - stwierdziła. - Po pierwsze, bo wplątałaś go w tę aferę i może go nękać policja. A po drugie, bo to jedyny człowiek, który może nam pomóc.

- Masz rację.

Zadzwoił do swojego starego przyjaciela. W słuchawce odezwał się ten sam kobiecy głos co dwa tygodnie temu, tym razem jednak wyraźnie zmęczony. Enrique poprosił Carlosa do telefonu. Poinformowany o sensacyjnych nowościach w sprawie, która zdawała się zamknięta, przyrzekł wznowić śledztwo w ciągu najbliższych godzin. Nakazał im pozostać razem, w jednym miejscu i pod telefonem, najlepiej w domu w Vallvidrerze, póki się z nimi nie skontaktuje.

Następnie Enrique połączył się z Mariolą. Była zdenerwowana, a przy tym obrażona brakiem jakichkolwiek wiadomości. Zadzwoiła do komisariatu na Ravalu i wypytywała o niego. Wyjaśnili jej, że wyszedł stamtąd około wpół do dziewiątej. Domyśliła się, że coś musiało się stać, skoro do niej nie zatelefonował, ale chyba właśnie z tego powodu poczuła się zlekceważona. Doszła do wniosku - zresztą trafnego - że nie był sam, lecz w towarzystwie Bety. Gniew przeważał nad niepokojem.

Obecność byłej żony przy boku ukochanego zwiększała jej zazdrość. Długo musiał ją przekonywać, zanim się udobruchała. Wzmianka o grożącym im niebezpieczeństwie okazała się wystarczającym argumentem, aby pogodziła się z tym, że spędzi jeszcze tę noc pod jednym dachem z Bety. Odłożywszy po półgodzinnej rozmowie słuchawkę, poczuł się bardziej wyczerpany niż wtedy, gdy kilka godzin temu opuszczał komisariat. Te dwie sprawy zupełnie go wykończyły. Musiałby natychmiast położyć się do łóżka i przespać dwanaście bitych godzin, żeby znowu zacząć racjonalnie myśleć.

Głębokie cienie pod oczami i nieobecny wyraz twarzy jasno świadczyły, że z Bety dzieje się podobnie. A jednak, choć było widać, że powinna odpocząć, była żona dała dowód swojej nieprawdopodobnej siły, tak bardzo kontrastującej z jej kruchym wyglądem.

- Poczekaj. Gdy rozmawiałeś z Mariolą, jeszcze raz zastanowiłam się nad sprawą zabójstwa Manola... - Nagle zamilkła, widząc zmęczenie malujące się na twarzy Enrique'a. - Postaraj się skupić. Wcale nie czuję się lepiej od ciebie. Pozwoliłabym ci iść spać, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

- W porządku. - Machnął ręką, zniechęcony. - Mów.

- Podejrzewam, że Artur zginął z powodu manuskryptu. Morderca wiedział o jego istnieniu i pragnął go zdobyć. Możliwe, że Artur był świadom wartości Kamienia, choć nie jestem tego pewna. Ty uważałaś, że mordercą może być Samuel, Enric albo Guillem. Czy ktoś spoza tej trójki mógł to zrobić? Ktoś, kto rozmawiał z Arturem po piątkowym spotkaniu przy kawie?

Pomyślmy o tych kilku dniach przed śmiercią Manola. Morderca wiedział, że mamy manuskrypt. Pewnie nas śledził. To jedyne logiczne wytłumaczenie. Zabił Manola, bo chciał zdobyć rękopis, ale to nie jedyny powód. Domyślił się, że to właśnie on stara się znaleźć Kamień Boży. Faktycznie, mógł nas zabić. Nikt by mu w tym nie przeszkodził po zatrzymaniu domniemanego winnego i odwołaniu przez Carlosa ochrony, która pilnowała nas po zastawieniu pułapki. Miał pełną swobodę działania. I wiesz co? Szczególnie wnikliwie badam tę sprawę pod tym kątem i doszłam do następującego wniosku: morderca nie zrobił tego, ponieważ nie wiedział, gdzie szukać Kamienia Bożego. Nie miał rękopisu. Śledził Manola, skorzystał z efektów jego pracy i pozbył się go. Jestem tego pewna. Biedny Manolo odnalazł Kamień, może nawet miał go w ręku.

Akcentując wyraźnie słowa, Bety podkreślała swoje głębokie przeświadczenie, że ma rację. Przedstawivszy hipotezy Enrique'owi, zupełnie się rozchmurzyła.

- I co teraz?

- Musimy sprawdzić, czy Manolo znalazł Kamień. Jeśli tak, morderca zabrał i Kamień, i manuskrypt; ślad mogący doprowadzić nas do niego, urwał się i przestaliśmy być dla niego ważni. Istnieje również taka ewentualność, że wie, gdzie Casadevall schował Kamień, ale jeszcze go nie wydobył. I ostatnia hipoteza: jeśli on go nie ma, sądzi, że wiemy, gdzie jest ukryty. W takim wypadku jesteśmy jego rywalami i w dalszym ciągu grozi nam niebezpieczeństwo.

- Dlaczego jeszcze nie ma Kamienia, skoro wie, gdzie jest ukryty?

- A skąd mam wiedzieć? Sądzę, że skoro zabrał rękopis, to znaczy, że Manolo nie miał Kamienia, a zabójca nie wiedział, gdzie może być schowany.

- Być może zabrał diariusz, aby zatrzeć ślady, zmylić tropy... Gdyby udało nam się zrekonstruować ostatnie godziny życia Manola, dowiedzielibyśmy się...

- ...gdzie był lub gdzie jest ukryty Kamień. Policja powinna to wiedzieć, chyba już znają jego ostatnie kroki i działania, tak samo jak przez Quima wpadli na nasze powiązania z Manolem.

- Z drugiej strony, jeśli znajdziemy Kamień, przyciągniemy do siebie mordercę.

- Gdybyśmy go mieli, zabójca przyleciałby jak ćma do światła. A może wystarczyłoby w dyskretny sposób obserwować miejsce, w którym jest ukryty.

- Możliwe, że Carlos to sprawdził. Jeśli miał dostęp do informacji o zabójstwie Artura, może mieć również doświadczenie do sprawy Manola. Ale tego się dowiemy dopiero rano - stwierdziła. - A na razie prześpijmy się.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Bety przywołała na usta delikatny uśmiech, który choć przelotny, był jednak pełen wdzięku. Jej szósty zmysł znowu działał.

Enrique zasnął jak kamień. Taka senność zdarzała mu się w bardzo szczególnych okolicznościach, na przykład po tygodniowej albo i dłuższej samotnej żegludze. Gdy przybijał do portu, był w stanie przespać w mikroskopijnej kajutce dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. Teraz też spałby dłużej

we własnym domu, gdyby nie natrętny promień słońca, który padał prosto na jego twarz. Z przeciągłym ziewnięciem wstał z łóżka. Podciągnął żaluzje i odsunął story. Przez zamglone niebo przebijało się słońce. Ulewa, która wieczorem szalała nad miastem, przesunęła się nad Morze Śródziemne, a wraz z nią uciekły złowrózne przecucia z poprzedniej nocy.

Otulony szlafrokiem, szuka! Bety po całym domu. Zamiast niej znalazł liścik: poszła pobiegać. Każdy walczy ze stresem na swój sposób. Ja śpię, ona biega - powiedział do siebie. Spojrzał na zegarek: wpół do pierwszej. Spał dwanaście godzin, ale jego ciało nadal domagało się wypoczynku. Zrobił sobie śniadanie i rozsiadł się na tarasie. Wkrótce pojawiła się Bety, zlana potem, z ręcznikiem narzuconym na ramiona.

- Dzień dobry - powiedziała obojętnym tonem, niezdradzającym jej nastroju.

- Cześć - rzucił. - Jak tam jogging?

- Jestem wykończona - stwierdziła. - Źle spałam. Prawdę mówiąc, przedzemałam ledwie parę godzin. Parokilometry bieg dobrze mi zrobił.

Wiatr, choć niezbyt porywisty, skutecznie rozwiął mgłę i chmury; przed nimi roztaczała się wspaniała panorama Barcelony, zazwyczaj spowitej szarym smogiem. W jakimś miejscu tego wielkiego miasta nieznany mu człowiek wczytywał się w manuskrypt, próbując odgadnąć, gdzie Casadevall ukrył Kamień Boży.

A on mógł tylko siedzieć na tarasie i czekać.

Z ponurych myśli wyrwał go dzwonek telefonu. Oboje z Bety poderwali się jednocześnie, jakby podłączeni do sygnału dźwiękowego aparatu. Spojrzeniem dał jej do zrozumienia, że sam odbierze; Bety, pełna nadziei i niecierpliwości, poszła za nim do salonu.

- Słucham.

- Mówi Carlos. Musimy porozmawiać. Możecie przyjechać do mnie do biura?

- Oczywiście. Zaraz będziemy.

- Czekam - powiedział i odłożył słuchawkę.

- Carlos chce z nami rozmawiać. Czeka na nas u siebie w biurze. Kazał się pospieszyć.

- Tylko wezmę prysznic. Będę gotowa za kwadrans.

- Świetnie.

Enrique prowadził bez pośpiechu, sprawnie. Po półgodzinie zostawił samochód na parkingu przy Carrer de l'Hospital i po krótkim marszu Ramblas dotarli z Bety do Plaça Reial. Wcisnął dzwonek domofonu; ktoś bez słowa otworzył im drzwi. Wsiadli do już sprawnej windy. Biuro było pełne ludzi. Młoda, mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna wysłuchiwała uważnie zwierzeń jakiejś pary. W głębi dwóch detektywów omawiało nowe zlecenie. Enrique przecisnął się między biurkami i dotarł do gabinetu Carlosa. Rozmawiał właśnie przez telefon. Gestem wskazał im krzesła, jednocześnie żegnając się z rozmówcą.

- Okropny dzień - powiedział. - Chyba wszyscy rogowie w Barcelonie zmówili się, by skorzystać z naszych usług. Moi ludzie uganiają się po mieście i śledzą niewiernych współmałżonków. Nawet moja żona musiała przyjść do biura i nam pomóc. A na dodatek, jakbyśmy mieli mało kłopotów, dostaliśmy jeszcze to... - Potrząsnął przesłanymi faksem stronami, w lewym górnym rogu złączonymi zszywaczem.

Enrique rzucił na nie okiem.

- Czy to jest to, co myślę? - spytała Bety cichym głosem.

- Tak - odpowiedział Carlos.

Enrique zwrócił mu kartki. Dreszcz przeszedł mu po plecach.

- Żeby tylko nie spalił mojego kontaktu w policji! Śledztwo jest jeszcze w toku, a ten dokument nie miał prawa znaleźć się w moich rękach. Gdybym nie załatwił facetowi paru spraw, pogoniłby mnie. No dobra, do rzeczy... Bety, to nie będzie zbyt przyjemne, ale sądzę, że powinnaś to usłyszeć.

Kiwnęła głową.

- Wasz znajomy, Manolo, został zadżgany w podobny sposób jak Artur - mówił Carlos. - Morderca użył noża do otwierania listów albo sztyletu o szerokim i spiczastym ostrzu. Wskazuje na to średnica i głębokość rany klutej. Z położenia ciała można wywnioskować, że nieszczęśnik umarł niemal natychmiast, najwyżej po kilkudziesięciu sekundach. Kimkolwiek był morderca, zabił go z zaskoczenia

i zniecałecenia. Nie widać śladów walki, nie miał także możliwości uniknięcia ciosu. Policja uważa, że morderca mógł znać ofiarę. To tylko hipoteza, a nie pewność - wyjaśnił, podnosząc wzrok znad raportu lekarza sądowego. - Było po północy, pora raczej nieostrożna na niezapowiedziane wizyty. Prawdopodobna godzina zgonu to dwudziesta czwarta trzydziści. Narzędzie zbrodni zostało wbite w komorę prawej gałki ocznej i doszło aż do mózgu ofiary. Dźgnięcie miało być z założenia zabójcze. Właściwie można powiedzieć, że umarł w chwili, gdy śmiertelne ostrze dotarło do mózgu.

Carlos podniósł głowę, aby zobaczyć reakcję Bety. Była blada, miała zacisnięte wargi i zmarszczone brwi, ale nie powiedziała ani słowa, nawet nie drgnęła.

- Morderca zaatakował skutecznie, zadając śmiertelny cios w jedyne miejsce niechronione kością. Zapewniam was, że nie był to przypadek. Widziałem mnóstwo zabójstw i przeglądałem wiele raportów z autopsji. Na ogół zabójca atakujący ostrym narzędziem, zadaje ofierze od dwudziestu do trzydziestu pchnięć. Taki rodzaj bestialstwa jest raczej rezultatem nieznamomości anatomii niż dowodem działania w afekcie, oczywiście w rozumieniu kodeksu karnego. Morderca zadaje cios, a gdy nie udaje mu się trafić we właściwe miejsce, uderza kolejny raz, a potem znowu i znowu. Poszkodowany odczuwa ból, w wyniku uderzeń traci częściowo przytomność, ale nadal żyje, a przede wszystkim porusza się w sposób niekontrolowany, zatacza się to w jedną stronę, to w drugą, chwieje. Morderca przestaje panować nad sytuacją i zadaje pchnięcie za pchnięciem w przemieszczającą się ofiarę, która uchyla się, robi uniki, żeby ocalić życie. W większości przypadków do śmierci przy użyciu białej broni dochodzi w wyniku wstrząsu hipowolemicznego: gwałtowna utrata krwi powoduje spadek temperatury ciała i w dalszym etapie zatrzymania krążenia. Natomiast Manolo umarł bardzo szybko: jeden cios wystarczył, i to z nawiązką, by wysłać go w zaświaty czy tam, gdzie trafiamy po śmierci.

- Przepraszam - wykrztusiła Bety. - Niedobrze mi.

Na potwierdzenie tych słów zbladła; z twarzy odpłynęła cała krew. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć. Enrique podtrzymywał ją na krześle, podczas gdy Carlos otworzył okno i pobiegł po kawę z koniakiem. Gęsty mocny napój oraz świeży powiew wpadającego przez okno wiatru przywrócił policzkom Bety rumieńce.

Carlos mógł kontynuować.

- Jeśli chodzi o raport lekarza sądowego, nie muszę już nic więcej dodawać. W chwilę po zadaniu ciosu morderca usuwa ciało Manola, zamyka drzwi i wpycha mu chusteczkę do ust, by zdusić ewentualne krzyki. Udaje mu się to tylko częściowo. Sąsiad, który znalazł zwłoki, słyszał charczenie Manola. Trwało ono jakieś trzy-cztery sekundy, póki zabójca po zamknięciu drzwi nie zakneblował go chusteczką. Stwierdziwszy, że Manolo nie żyje, zabrał się do przeszukiwania mieszkania. W raporcie policyjnym nie podano motywu zabójstwa ani powodu przeszukania, ale mam dziwne wrażenie, że wiem, czego szukał. Potwierdźcie, jeśli intuicja mnie nie myli.

Enrique skinął głową.

- Twierdzisz, że morderca zamknął drzwi - wtrąciła Bety - a podczas przesłuchania powiedziano mi, że staruszek, mieszkający piętro wyżej, schodząc ze śmieciami, zastał je otwarte.

- Bo zamek nie zaskakuje prawidłowo, przynajmniej tak jest napisane w raporcie policyjnym. Trzeba je mocno pchnąć, by się zatrzasnęły. Morderca sądził, że zamknął drzwi, a one były zaledwie przymknięte. Zatrzasak nie zaskoczył. Po paru sekundach drzwi zaczęły się stopniowo otwierać. Możliwe, że po zabiciu Manola zabójca oparł się ciężarem całego ciała na drzwiach, które dzięki temu się zamknęły. Natomiast uciekając z miejsca zbrodni, starał się je zamknąć ostrożnie, bez hałasu. Musiały się otworzyć, kiedy zbiegał na dół, i tego już nie zauważył.

Nalał sobie kolejną filiżankę kawy, którą suto osłodził.

- No cóż, zgodnie z raportem policyjnym wszystkie zebrane ślady, takie jak włosy, kurz, nitki z materiałów, przekazano do laboratorium. Zgon nastąpił po dwunastej, sąsiad znalazł ciało przed pierwszą. Machina policyjna, wbrew obiegowym opiniom bardzo skuteczna, została natychmiast wprawiona w ruch. Ustalono tożsamość zamordowanego. Inspektor, który początkowo zajmował się śledztwem - nie Fornells -skojarzył, że numer telefonu zapisany na leżącej na biurku karteczce należy do domu w Vallvidrerze, gdzie mieszkała ofiara morderstwa sprzed trzech tygodni. Policja sprawdziła to w komputerze, dzięki specjalnemu programowi łączącemu dane z różnych dochodzeń. Inspektor, uzyskawszy potwierdzenie, skontaktował się z Fornellsem, który przejął od niego śledztwo. Przeprowadził środowisko uniwersyteckie i odkrył powiązania Manola z Bety. Tak wpadli na wasz trop, doprowadzili na komisariat... i bezprawnie przesłuchali.

- Rodriguez uprzedził mnie, że to nie jest oficjalne przesłuchanie.

- Nie chciał, żeby obecność adwokata ograniczała mu pole działania.

- Nie potrzebowaliśmy adwokata, jesteście niewinni - sprostowała Bety.

- To wiecie wy, ale nie policja - odparł Carlos. - Przypuszczalnie zakładali waszą niewinność. I dlatego to przesłuchanie staje się podwójnie diaboliczne. Człowiek niewinny nie będzie domagał się obecności adwokata. W tym przypadku jest jeszcze jedna okoliczność obciążająca: oni was znają, wy im ufacie, dlatego nie pomyśleliście, że działają na waszą niekorzyść. Mielicie szczęście, że wasze zeznania były zgodne. Jedna rozbieżność w wersjach sprawiłaby, że trafilibyście za kratki. Bety nie ma alibi, a ty zgodnie z tym, co zeznałeś, miałeś czas popełnić zbrodnię.

- Przecież to absurd! Manuskrypt należał do mnie! Niby po co miałem zabijać Manola?

- Bo może ty nie potrafiłeś znaleźć Kamienia... a on tak.

- Czy to nie są wystarczające przesłanki, aby nas zatrzymali? - spytała Bety.

- Fakt, że was znają, przemawia na waszą korzyść. Mam wrażenie, że Fornells, wbrew temu, co mówi, uważa was za zupełnie niewinnych. Jest wściekły, zwłaszcza na ciebie, Enrique, za to, że zataiłeś informacje istotne dla śledztwa. Powiedziałbym, że wasze „przesłuchanie” służyło raczej wydobyciu danych, a nie uznaniu was za ewentualnych podejrzanych czy winnych.

Enrique westchnął przeciągle.

- Czy mają alibi...?

- Twój trzech podejrzani? Tak, mają. I to niezbite. Samuel był na kolacji w modnej i uczęszczanej restauracji ze swoimi starymi znajomymi z Izraela, przebywającymi chwilowo w Hiszpanii. Guillem był w kinie w towarzystwie kobiety i jeszcze jednej pary. Enric spędził noc u swojej przyjaciółki w Geronie. Wszystkie dane sprawdzono i są niepodważalne. Nie są ani nie będą podejrzani - stwierdził kategorycznie. - Zapomnij o tym.

- I co teraz?

- Najpierw powiem wam, jakie były ostatnie kroki Manola. Potem zobaczymy. Otóż całe wtorkowe przedpołudnie spędził w Archiwum Korony Aragonii. W południe otrzymał zgodę arcybiskupstwa na wstęp do części katedry zamkniętej dla zwiedzających. Prośbę swoją uzasadnił koniecznością przeprowadzenia badań nad ewolucją łaciny oraz słownictwa związanego z architekturą i budownictwem. Zgodnie z zeznaniem księdza dziekana chciał sprawdzić inskrypcje pozostawione przez majstrów na ścianach i posadzce świątyni. Spędził tam całe popołudnie, aż do zmierzchu, między innymi w tryforium, sam nie wiem, co to jest, i na dachu katedry. I to wszystko.

Bety i Enrique spojrzeli na siebie. Katedra! Oczywiście! Manolo odkrył miejsce ukrycia Kamienia. To wyjaśnia, dlaczego zwrócił się do arcybiskupstwa o zgodę na wejście na galerie i dach.

- Znalazł go! - zawołała Bety. - My nie potrafiliśmy odkryć, gdzie go schował Casadevall. Przypuszczaliśmy, że klucz do zagadki kryje się w zapiskach na marginesie, i dlatego zwróciliśmy się do Manola o pomoc.

- W takim razie morderca musi mieć Kamień - podsumował Carlos.

- Nie jestem tego pewny - stwierdził Enrique. - Możliwe, że Manolo odkrył, w jakim budynku Casadevall ukrył Kamień, ale samego miejsca nie znalazł. A może zorientował się, tylko nie potrafił wyciągnąć go z kryjówki.

- Równie dobrze mógł go wyjąć i Kamień trafił w ręce mordercy - wtrąciła Bety. - Mamy trzy możliwości.

- Casadevall był architektem, prawda? - spytał Carlos.

- Mistrzem budowlanym - odpowiedziała Bety. - To właściwie to samo.

- Ukrycie Kamienia w katedrze wydaje mi się tak logiczne, że aż się dziwię, iż sami na to nie wpadliśmy. Koniec końców katedra była największym dziełem Casadevalla.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jeśli schował Kamień w katedrze, jak przypuszczamy, bardzo wątpię, żeby łatwo go było wydostać. Raczej nie pozostawił go na widoku albo w jakimś dostępnym miejscu. Powiem więcej: Manolo zlokalizował to miejsce, ale biorąc pod uwagę późną porę i zawartość plecaka, raczej nie miał szans go wydobyć.

- Brzmi wiarygodnie - przyznał Enrique.

- Musimy dojść, gdzie Casadevall ukrył Kamień - dodała Bety. - Wszystko od tego zależy.

- Masz rację. Tylko w jaki sposób? Skoro poprzednio nie potrafiliśmy go zlokalizować, na jakiej podstawie przypuszczacie, że teraz uda nam się go znaleźć?

- Poprzednio nie mieliśmy tej informacji. Teraz poszukiwania ograniczą się do katedry, a nie do ponad dwudziestu obiektów. Casadevall pracował w katedrze. Czy to nie logiczne, że ukrył Kamień właśnie tu?

- Enrique świetnie zna świątynię. - Bety nie ukrywała podniecenia. - Pamiętasz? Opowiadałeś mi o tym pierwszego dnia po przyjeździe z San Sebastián.

- Znam. Teraz się domyślam, gdzie Casadevall mógł ukryć Kamień. Manolo prowadził poszukiwania w tryforium, to znaczy na galerijce położonej wysoko wokół nawy głównej i naw bocznych, oraz na dachu, to znaczy, że wyeliminował możliwość ukrycia go w wirydarzu i na chórze. Podążając tym tokiem myślenia, sądzę, że mógł go ukryć w sklepieniu czwartego przęsła nawy głównej, które remontował w 1413 roku.

- To dość przekonujące - przyznał Carlos. - Jesteś pewny?

- Nie - odparł Enrique z uśmiechem. - Mogą istnieć również inne rozwiązania, ale sądzę, że to jest najbardziej prawdopodobne. Możemy to sprawdzić.

- Wiedziałam, że uda ci się go znaleźć - powiedziała słodkim głosem Bety.

- Jeszcze nie czas na odtrąbienie zwycięstwa. Nawet jeśli hipotetycznie tam jest, pomyślcie, jak się dostaniemy na dach katedry. Nie sądzę, aby ksiądz dziekan udzielił nam zgody ot tak, po prostu! A zresztą nie możemy wejść na dach i walić młotkiem jak gdyby nigdy nic!

- To prawda - przyznał Carlos. - Nie znam przepisów administracyjnych obowiązujących w obiektach sakralnych, ale wiem, że władze kościelne są raczej ostrożne. A jeśli już dowiedziały się o zabójstwie, mogą nie udzielić nam zgody. Można spróbować wejść po kryjomu, ale nie wydaje mi się, żeby w waszej sytuacji, z policją na karku, był to dobry pomysł. Najlepiej złożyć niewzbudzającą podejrzenia prośbę.

- Za bardzo kombinujecie. Morderstwa nie popełniono w katedrze, tylko w prywatnym domu. Śmierć Manola nie musi mieć związku z jego pobytem w kościele. Oczywiście policja mogła to skojarzyć, ale dziekan już niekoniecznie. A prośbę o pozwolenie można złożyć za pośrednictwem wydawnictwa Enrique'a pod jakimkolwiek pretekstem. Albo po prostu ty to zrób - zwróciła się do Carlosa. - Jako prywatny detektyw przez nas zaangażowany. Dlaczego mieliby odmówić?

- Oto głos rozsądku - pochwalił ją Enrique. - Jak zawsze najprostszą drogą wprost do celu.

- Napiszę podanie i osobiście zaniósę do sekretariatu arcybiskupstwa. I zobaczymy. A teraz - mówiąc to, sięgnął do szuflady - trzymajcie.

W lewej ręce dzierżył rewolwer. Połyskliwy metal rzucał lśniące błyski, które hipnotyzowały Enrique'a.

- No nie - skrzywiła się Bety. - Czy ty potrafisz się tym posługiwać?

- Tak, umie - przerwał jej Carlos. - Gdy pisał Śmierć, okrutna kochanka, nauczyłem go wszystkiego, co pisarz powinien wiedzieć o pociskach i krótkiej broni, żeby brzmiało to wiarygodnie. Przeprowadziliśmy nawet próbę strzelania. Ale nie odbiegajmy od tematu: wydaje ci się, że to jest niepotrzebne - mówił teraz poważnym głosem. - Od tej chwili musicie mnie we wszystkim słuchać. W tej sprawie są już dwa trupy, pistolet jest niezbędny do samoobrony. Pamiętajcie, co mówiłem o raporcie lekarza sądowego, sporządzonym po zabójstwie Manola? - spytał. - Powiedziałem, że morderca działał z premedytacją. Jeśli macie wątpliwości, czy to się wam przyda - wskazał rewolwer - to znaczy, że nie rozumiecie powagi sytuacji. Enrique, trzy tygodnie temu zamordowano twojego ojca. Zabójca zrobił to, że tak powiem, z marszu. Użył przycisku do papieru leżącego w gabinecie Artura. Wczoraj zginął Manolo i tam nie było już miejsca na improwizację. Morderstwo było starannie zaplanowane, dokonane z zimną krwią przez kogoś, kto działał, podkreślam, z premedytacją. Nie znaleziono narzędzia zbrodni. Morderca przyniósł je ze sobą, użył, a potem z pewnością pozbył się go. Wszystko zostało perfekcyjnie zaplanowane. Fornellsowi trudno będzie rozwikłać tę sprawę.

Teraz spróbujcie sobie wyobrazić, chociaż na moment, postać mordercy. Spróbujcie go zobaczyć takim, jaki jest: cień bez twarzy, bez rysów.

Zróbcie to i pomyślcie: zabił już dwie osoby, bo najwyczejniej w świecie stały mu na drodze do celu. Zamordował z zimną krwią. Czy będzie miał skrupuły zabić po raz kolejny?

Enrique bez słowa sięgnął po leżący na stole rewolwer. Mariola miała rację: przy odpowiedniej motywacji każdy jest w stanie dostosować się do okoliczności i popełnić czyn niezgodny z jego charakterem.

- Tak jest lepiej - pochwalił detektyw. - Życie jest krótkie. Należy je przeżyć aż do końca.

18.

Długo siedzieli na zniszczonej, pobazgranej graffiti drewnianej ławce, naprzeciwko mola mariny w starym porcie w Barcelonie. Nie odzywali się. W chwili gdy Enrique wziął od Carlosa pistolet, coś się zmieniło. Wszystkie zmysły wyostrzyły się. W tajemniczy sposób wyczuwał, że rzeczywiście spoczywa w lewej kieszeni jego kurtki. Niewielki i lekki, wcale mu nie ciążył; dyskretna broń, którą trudno sobie wyobrazić w ręku pisarza o sympatiach lewicowych, zwolennika ruchu ekologicznego i zdeklarowanego pacyfisty. A jednak tkwiła tam i oboje z Bety o tym wiedzieli. Gdy przemierzali krótki odcinek między Placą Reial i Moll de la Fusta, ani razu się nie odezwała. Zatopiona w myślach, z nieprzeniknioną twarzą, ograniczyła się do biernego towarzyszenia mu. Od czasu do czasu rzuciła ukradkowe, szybkie spojrzenie na wypchaną kieszeń kurtki Enrique'a, zaniepokojona niema obecnością tego dziwnego przedmiotu, dawniej tak obcego w ich życiu.

On zaś czuł się schwyty w dwa ognie. Stał przed koniecznością dokonania wyboru: powiedzieć Bety czy nie, że musi się spotkać z Mariolą i przekazać jej najnowsze wiadomości. Ale Carlos specjalnie podkreślał, że nie wolno im się rozstawać. Rozmowa z Mariolą w obecności Bety byłaby niezręczna dla całej trójki i na pewno żadne z nich by sobie tego nie życzyło. Raczej nie przypuszczał, by doszło do otwartej konfrontacji. Okolicznością niesprzyjającą była zazdrość Marioli o Bety; dobrze, że nic nie wiedziała o niedosłej miłostce. Nie, sytuacja doprawdy nie była łatwa, a przecież nieunikniona. Ta świadomość ciążyła mu tak bardzo jak rewolwer w kieszeni. Nie miał jednak odwagi jej o tym powiedzieć. Czuł się zaskoczony śmiesznością tej sytuacji. Zamieszany w krwawą intrygę, w której zginęły dwie osoby, nie chciał zwracać Bety głowy taką błażostką.

Wspaniały żaglowiec cierpliwie czekał, aż ruchomy most Rambla de Mar pozwoli mu przepłynąć na wody portu, gdzie będzie mógł rozwinąć żagle. Na pokładzie kilka osób uwijało się jak w ukropie, przygotowując niezbędny ekwipunek: jedni zdejmowali pokrowce z żagli, drudzy zwiłali liny, inni wyciągali odbojniki ochronne. Zazdrościł spokoju i harmonii panujących na pokładzie, niebywałej radości, jaką dają podmuchy wiatru wypełniające żagle. Przez krótką chwilę wyobrażał sobie, że jest z dala od tej przerażającej tragedii rozgrywającej się wokół niego; na nic zdały się desperackie próby wymazania jej z pamięci i schronienia się w prywatnym świecie żagli, wiatru i słów. Miał już dość uganiania się za nieznanym cieniem: trzech tygodni niepewności, niepokoju, manipulowania przez wszystko i wszystkich, braku wolności i możliwości podejmowania decyzji. Nawet Mariola nie była warta tak brutalnego zerwania z jego uporządkowanym światem.

Kłamstwo. Tylko uczucie odrazy, jakie wywoływała ta sprawa, mogło obudzić w nim tak idiotyczną myśl. Mariola była tego warta. To, że ją spotkał, stanowiło jedyną pozytywną stronę tej tragicznej historii. Chociaż ledwie ją znał i jeszcze sobie nie wyobrażał, jaka będzie ich przyszłość - jeśli w ogóle jakaś ich czekała - Mariola była naprawdę tego warta. Nie mógł zapomnieć tych dwóch spędzonych razem nocy. To nie był tylko seks. Obiecywał sobie po nich coś, czego zawsze szukał. Nie był to poryw namiętności, zaślepiający zmysły i odbierający rozum. To było coś jeszcze. Tyle uczucia i miłości zasługiwało na to, aby ich milczące, niewypowiedziane zobowiązanie zmienić w coś więcej.

- Muszę zobaczyć się z Mariolą - rzucił nieoczekiwanie.

- Co? - spytała, choć wcale nie dlatego, że jego słowa ją zaskoczyły, była po prostu rozkojarzona i nie słuchała uważnie.

- Muszę zobaczyć się z Mariolą - powtórzył wyraźnie.

- Dobrze. Idziemy.

Nie wierzył własnym uszom. Oczekiwał każdej reakcji z wyjątkiem obojętności. A na dodatek ta liczba mnoga: „Idziemy”. Ale czy to naprawdę była obojętność?

- Pewnie się denerwuje i chyba powinienem jej powiedzieć, co się stało - wyjaśnił niepotrzebnie. - Wczoraj wieczorem obiecałem, że dzisiaj wpadnę do sklepu. A zresztą Fornells pewnie będzie chciał z nią porozmawiać.

- Nie ma sprawy. Gdzie jest ten sklep?

- Za antykwariatem Artura, bliżej katedry.

Poderwała się, mówiąc:

- Idziemy.

Decyzja Bety wprawiła go w zakłopotanie. Spodziewał się braku zainteresowania, a tu nagle jego była żona zachowała się zupełnie inaczej. A więc o to chodziło: Bety pragnęła zaspokoić ciekawość i poznać swoją następczynię, a on po prostu stworzył jej ku temu idealną okazję.

- Myślałem, że nie chcesz jej poznać - odezwał się słabym głosem.
- No to się pomyliłeś - odparła.

I tak jak w drodze na molo z biura Carlosa była cicha i wycofana, w powrotnej drodze stała się gadatliwa i rozluźniona. W pierwszym kiosku na Ramblas kupiła „Diario Vasco” i z zapalem godnym lepszej sprawy komentowała nowiny z Guipuzcoy, aż Enrique pomyślał, że w gruncie rzeczy wcale jej nie interesują. Ani niefrasobliwy tonik, jakim powtarzała lokalne plotki, ani dosadne anegdoty na tematy polityczne, które tak łatwo wymyślić w tym królestwie absurdu, jakim jest Kraj Basków, nie potrafiły ukryć jej ewidentnego pragnienia, aby poznać Mariolę. Z kolei Enrique odczuwał wyraźny niepokój.

- Myślisz, że to wypada?
- Nie rozumiem. Skoro sam mi to zaproponowałeś, musiałeś brać pod uwagę taką ewentualność.

Nie odpowiedział. Wiedział, że ona rozprawi się z każdym sprzeciwem z jego strony. Do tej pory pamiętał, ile razy bezskutecznie próbował się jej przeciwstawić w dyskusjach, z góry skazany na porażkę. Prawdę mówiąc, co innego go martwiło: jak zareaguje Mariola, kiedy zobaczy ich razem wchodzących do antykwariatu. Na razie postanowił się tym nie przejmować i odłożyć tę kwestię na później, kiedy dojdzie do spotkania.

- Chciałam cię o coś spytać - paplała dalej Bety.
- Słucham.

- Pamiętam, mówiłeś mi, że Mariola wróciła do Barcelony po swoim rozwodzie. Dlaczego została współniczką Samuela?

Spokojnie. Na szczęście pytanie nie było uszczypliwe, jak się obawiał.

- Nie znam dokładnie tej sprawy. Podczas jednego z moich pobytów w Barcelonie Artur coś mi opowiadał, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. O ile się nie mylę, ona po powrocie do Hiszpanii szukała pracy, a Samuel chciał rozszerzyć swoją działalność. To stary Puigventós podrzucił im ten pomysł i oboje na to przystali. To było jakieś cztery lata temu.

- Rozumiem. I jeszcze jedno: jeśli natkniemy się na Samuela, a jest to bardzo prawdopodobne, czy pomyślałeś, co mu powiesz na temat przesłuchania?

- Nie - odpowiedział po namyśle. - Ale na pewno coś mi wpadnie do głowy.

Poszli w górę Ramblas aż do Pla de la Boqueria, stamtąd Carrer Cardenal Casañas dotarli na starówkę. Na Plaça del Pi rozgościł się jarmark staroci, na którym w każdy czwartek antykwariusze wystawiali pamiątki z przeszłości, ku radości i uciechu okazjonalnych kupców oraz miłośników przeszłości. Barwny i różnorodny tłum kręcił się między straganami; trochę dalej saksofonista, przy wsparciu muzyki odtwarzanej z kompaktu, wykonywał w skupieniu jakąś popularną melodię, której tytułu Enrique nie potrafił sobie przypomnieć; chyba to była All Blues Milesa Davisa.

Na Carrer de la Palla mijali jeden po drugim sklepy ze starociami. Prawie wszystkie były puste, tylko w antykwariacie Guillema dojrzeli jakiegoś przypadkowego klienta. Mijając dawny lokal Artura, Enrique nie potrafił się powstrzymać, by nie zajrzeć do środka. Antykwariat był opustoszały, dostrzegł cienką warstwę kurzu, który wdzierał się nie wiadomo skąd i zaścielał podłogę. Ściany, pomalowane na intensywnie zielony kolor i błękit, wydawały się teraz niemal wypłowiałe. Sklep przypominał powiększony domek dla lalek, opróżniony z mebli przez kapryśną małą właścicielkę. Na antresoli wyłamana barierełka była jeszcze niemym świadectwem tragedii sprzed trzech tygodni. Wzruszony Enrique z trudem przełknął ślinę.

- Chodźmy - powiedziała Bety, ciągnąc go delikatnie za rękę i zmuszając do marszu. - To miejsce należy już do przeszłości, a ty musisz o niej zapomnieć.

- To nie takie proste - odpowiedział, wkładając rękę do lewej kieszeni - szczególnie gdy przeszłość uparcie daje o sobie znać.

S. HOROWITZ. ANTYKWARIUSZ.

Stary szyld napisany gotyckim literami był już trochę podniszczony, co przydawało mu wdzięku staroświeckości, jakim emanował cały sklep. Lokal był piękny. Podczas remontu odkryto zamurowane stare łukowe sklepienie, które Samuel i Mariola zdecydowali się odstąpić. Przy biurku w barokowym stylu siedział Samuel, przeglądając gazetę. Na odgłos otwieranych drzwi podniósł głowę. Szeroki uśmiech rozpromienił jego pomarszczoną twarz.

- Witajcie, moi drodzy! Bardzo się cieszę! - Pocałował Bety w oba policzki i podał rękę Enrique'owi. - Siadajcie, rozgoście się, kochani - zapraszał. - Ślicznie wyglądasz, Bety. Bardzo pragnęłam cię

zobaczyć. Enrique mówił, że już od paru dni jesteś w Barcelonie, ale tyle się tu działo, że nie miałem okazji cię odwiedzić.

- Bardzo mi miło - podziękowała za życzliwość. - Prawdę mówiąc, też chciałam cię zobaczyć. Tyle lat minęło...

- No, właśnie. Cóż - uśmiechnął się znowu Samuel - takie jest życie Enrique, wczoraj bardzo się o ciebie niepokoił. Fornells wyglądał na zdenerwowanego, kiedy odchodziliście... Mariola niewiele mi mogła wyjaśnić dziś rano. Powiedziała, że muszą jeszcze potwierdzić jakieś dane, ale chodzi o tajemnicę śledztwa i nic więcej nie chciała jej powiedzieć.

- Śledztwo chyba się komplikuje - stwierdził Enrique. - Niestety, Mariola ma rację. Fornells prosił mnie o zachowanie absolutnej dyskrecji - skłamał gładko.

- No cóż, kiedyś wszystko się wyjaśni.

- Chciałbym zobaczyć się z Mariolą - poprosił Enrique. - Wczoraj wieczorem mówiła, że ją tu zastanę.

- Jest w piwnicy. Zaraz ją zawołam.

Wyjął interkom z szuflady i włączył system głośno mówiący. W sklepie rozbrzmiał najpierw nieprzyjemny zgrzyt, a potem odezwał się zniekształcony głos.

- Mariola, jest tutaj Enrique... i Bety.

- Już idę - odpowiedziała.

Parę minut później na krętych schodach w głębi lokalu, łączących oba poziomy sklepy, pojawiła się Mariola, wyglądająca jak zwykle oszałamiająco. Miała na sobie spódnicę w pistacjowym kolorze, do tego białą marynarkę, prostą i elegancką, dopasowaną w talii, na nogach białe pantofle na słupku. Ciemne włosy, rozpuszczone i starannie uczesane, zdawały się kołysać w powietrzu w rytm jej kroków. Enrique wstał, podnieśli się również Bety i Samuel. Gdy podeszła bliżej, rzuciła powitalne „cześć” i przelotnie cmoknęła Enrique’a w usta.

- Mariolu, przedstawiam ci Bety.

- Bardzo mi miło.

- Mnie także.

Podaly sobie ręce.

Enrique był świadom, że sytuacja jest dość delikatna, szczególnie gdy dostrzegł - co prawda ukradkowe - ciekawskie spojrzenie Samuela. Antykwarium przypatrywał się nie tylko dwóm kobietom, obserwował także ich reakcje.

W pewien sposób przypominały fotografię postawioną obok negatywu. Mariola z rozpuszczonymi czarnymi włosami, jasną cerą, elegancka, Bety z blond włosami uczesany w koński ogon, opaloną twarzą, ubrana w swobodny, sportowy strój: spodnie z zaszewkami, T-shirt w kwiaty i krótkie zamszowe botki. Dwie piękności tak bardzo odmienne: jedna klasyczna, druga nowoczesna. Mariola przypominała kobiety z ubiegłego wieku, o delikatnych, a przy tym wyrazistych rysach twarzy, wąskim nosie, delikatnych ustach i dużych oczach. Bety uosabiała typ współczesnej dziewczyny, o mniej wyrafinowanych rysach niż jej rywalka, dużych, wypukłych ustach, okrągłych policzkach i migdałowych oczach. Uroda Marioli była oryginalniejsza, mniej zwyczajna, zbyt idealna. Bety, choć w żaden sposób nie była pospolita, reprezentowała zupełnie inny styl, bliższy dzisiejszemu gustowi.

Nie tylko dwaj mężczyźni obserwowali tę scenę z ciekawością. One, prawdziwe bohaterki tego wyjątkowego spektaklu, wpatrywały się w siebie z dobrze ukrywanym zainteresowaniem. Mariola miała przed sobą wieloletnią partnerkę Enrique’a, o którą jeszcze parę dni temu była zazdrosna. Dla Bety ta sytuacja również nie była zręczna. Pod wpływem impulsu próbowała uwieść swojego byłego męża. Nie miała wątpliwości, że to zrobiła: starała się go oczarować, choć parę lat temu zerwała z nim na zawsze. Nie wiedziała, co ją do tego skłoniło, ale tak czy owak, nie czuła się z tego powodu dumna, raczej była na siebie wściekła. Poczuli się upokorzona, przede wszystkim tym, że mu się narzucała. Koniec końców, chociaż Enrique bardzo się zmienił, ciągle był takim samym facetem jak kiedyś. Wcale jej się nie podobało, że pociąg - a może zadurzenie - jaki pomimo upływu lat Enrique ciągle jeszcze do niej czuł, zniknął, odkąd na horyzoncie pojawiła się Mariola. Gdy znalazła się naprzeciwko Marioli, pięknej, pełnej godności i niedostępnej, zrozumiała, że właśnie straciła swojego odwiecznego adoratora. Nic między nimi nie zaszło wcale nie dlatego, że ona go odrzuciła - to on nie przejawiał inicjatywy, a stało się tak z powodu tej trzeciej. Gdy to zrozumiała, poczuła się lepiej, ale ciągle widziała w swoim rozumowaniu jakiś brak logiki: bo jeśli sprawy miały się tak, jak sobie wyobrażała, dlaczego patrzyła na Mariolę z zazdrością?

- Musimy porozmawiać.

Głos Enrique'a przepłoszył zły urok wywołany tą sytuacją. Cisza trwała może o kilka sekund za długo, w zasadzie było to niemal niezauważalne. Powiedziawszy to, młody mężczyzna spojrzął wymownie na Samuela, który natychmiast zrozumiał niemą prośbę w jego wzroku.

- Zostawiam was samych. Wskoczę coś przekąsić. - Wstał i zdjął z wieszaka marynarkę. - Wróćę za dwadzieścia minut. Odpowiada wam to?

- Oczywiście - odparł Enrique.

- W takim razie do zobaczenia - pożegnał się, rzuciwszy okiem po kolei na każde z trojga młodych ludzi.

Patrzyli na Samuela, jak wychodzi ze sklepu i na drzwiach wiesza karteczkę z napisem „Zamknięte”.

- Proszę, siadajcie. - Mariola odezwała się pierwsza. - Jeśli chcecie, mogę zaparzyć kawę. Artur rozpowszechnił ten miły zwyczaj wśród antykwariuszy - powiedziała. - I, szczerze mówiąc, stałych klientów wzrusza okazywanie tego rodzaju względów.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie rób sobie kłopotu - stwierdził Enrique.

Bety pokręciła głową, ani przez chwilę nie spuszczać wzroku z Marioli. Wyglądała na totalnie zauroczoną właścicielką antykwariatu.

- W takim razie... - Pozostawiła to zdanie świadomie niedokończone. Była zdziwiona obecnością Bety i czekała na jakieś wyjaśnienie.

- Samuel narzekał, że nie chciałaś mu nic powiedzieć. Wczoraj nawet mi do głowy nie przyszło, że się niepokoi tym, co się stało, i może cię wypytywać.

- Nie wiedziałam, jak dużo mogę mu powiedzieć. Wolałam nic nie mówić, póki nie porozmawiam z tobą. Oprócz niepokoju dręczy go także ciekawość. To też jest ważne. Ostatnio wydzwaniali do sklepu członkowie stowarzyszenia, dopytując się o Samuela - zbyt wielu i nazbyt często, aby uznać to za przypadek. Mam wrażenie, że kryje się za tym zainteresowanie aferą z aresztowaniem Francuza. Mówiłam ci: niejedna osoba z naszego środowiska miała z nim jakieś konszachty. A ponieważ Samuel był z wami bardzo blisko... no cóż, ludzie myślą, że może coś wie na ten temat. Natomiast trudno mi uwierzyć w to, co się wczoraj stało.

- Nam także - wtrąciła Bety. Tym razem Mariola przypatrywała się jej z uwagą. - Niestety, to prawda.

- Przyszliśmy ci wyjaśnić, co się stało i co o tym myślimy - dodał Enrique i opowiedział, do jakich wniosków doszli po spotkaniu z Carlosem. Przede wszystkim stwierdził, że od samego początku byli śledzeni, że prawdopodobnie - i to jest najważniejsze - Manolo, którego Bety poprosiła o pomoc, zlokalizował miejsce ukrycia Kamienia w barcelońskiej katedrze. Teraz trzeba sprawdzić, czy Kamień jeszcze tam jest, czy znalazł się w rękach mordercy.

- Czy to znaczy, że wiecie, gdzie go schował Casadevall? - spytała Mariola.

- Nie mamy pewności, tylko hipotezy - odparł Enrique.

- Mam wrażenie, że nie chcecie mi tego powiedzieć.

- Tak jest rozsądniej - zauważył. - Myślę, że gdybym ci powiedział, naraziłbym cię na niebezpieczeństwo. Nie mamy pewności, co wie morderca, ale prawdopodobnie wyobraża sobie, że już znamy to miejsce. W takim wypadku nie warto ryzykować. Wystarczy, że my dwoje za dużo wiemy.

- Enrique ma rację - dodała Bety. - Nie należy narażać innych. Cena, jaką można za to zapłacić, jest wysoka. Dowodem są dwie śmierci: Artura i Manola.

- Rozumiem, ale prawdę mówiąc, wcale mi się to nie podoba, wolałabym być razem z Enrique'em i dzielić z nim wszystkie niebezpieczeństwa. - Mówiąc to, spojrzała bynajmniej nie przypadkiem na Bety. - Obawiam się, że już podjęliście decyzję.

- Tak - stwierdził Enrique. - Nie będę cię narażał na niebezpieczeństwo. Wystarczająco źle znoszę myśl, że Bety ryzykuje, ponieważ jest zamieszana w tę straszną sprawę.

- Sporo razem dzielicie - skonstratowała z sarkazmem Mariola.

- Znacznie mniej, niż myślisz - odparowała Bety. - I szczerze mówiąc, wolałabym, żeby tych wspólnych spraw było jeszcze mniej.

Spojrzały na siebie przeciągle. W ich wzroku nie było wrogości ani agresji, jednak Enrique wyczuwał napięcie między nimi. Mariola pragnęła się dowiedzieć, co naprawdę ich łączy. Natomiast Bety odczuwała przemożną potrzebę wysondowania, co kryje się pod maską spokoju i opanowania, jaką Mariola demonstrowała światu. Enrique spodziewał się takiego przebiegu rozmowy, poczuł, że

nie jest w stanie odwrócić biegu wydarzeń. Mariola jednak zamknęła tę kwestię, zmieniając temat i zadając nowe pytanie:

- Kiedy zamierzacie przeprowadzić poszukiwania w katedrze?

- Carlos uważa, że uda mu się zdobyć konieczne zezwolenie jeszcze dziś po południu albo jutro rano. Ze zgodą w ręku udamy się do katedry, żeby sprawdzić, co się właściwie stało we wtorek wieczór.

- Wyobraźcie sobie, że znaleźliście Kamień - argumentowała Mariola. - Czy to nie zwiększa ryzyka? Jeśli morderca was śledzi, pewnie to go zmotywuje do działania. Nie pozwoli, aby ktoś mu odebrał przedmiot pożądaną.

- Masz rację - stwierdził. - Jeśli przypadkiem go znajdziemy, to oczywiście będzie oznaczało koniec zabawy w detektywów. Prosto z katedry pójdziemy na policję i prześlemy Kamień komisarzowi Fornellsowi. Przypuszczam, że w ten sposób raz na zawsze zamkniemy tę sprawę.

- Zresztą liczymy na współpracę Carlosa - dodała Bety. - Nie zostawi nas samych. Przyszliśmy tu razem, ponieważ postępujemy zgodnie z jego instrukcją. Zalecił nam, żebyśmy nie rozstawali się ani na chwilę i pod żadnym pozorem.

- To mnie trochę uspokaja. Twierdzisz, że ten Carlos jest naprawdę dobrym fachowcem?

- To doświadczony detektyw, rozwiązał wiele trudnych spraw. Przy nim nie powinniśmy się niczego obawiać.

- W porządku. Chyba już wszystko wyjaśniliście. Bety, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym porozmawiać sam na sam z Enrique'em.

- Oczywiście.

Mariola i Enrique odeszli w drugi koniec sali, na taką odległość, by Bety nie mogła słyszeć ich rozmowy. Stali odwróceny do niej bokiem. Bety ukradkiem i nienawidząc samej siebie za to, próbowała z ich gestów i mimiki odgadnąć, o czym rozmawiają.

- Jednego nie potrafię zrozumieć w tej całej sprawie, Enrique. Nie chodzi o Kamień ani o zamordowanie Artura czy tego drugiego mężczyzny, Manola. Chodzi o ciebie i o mnie, a przede wszystkim o Bety.

Enrique obawiał się najgorszego.

- Mów wreszcie.

- Jeszcze pytasz?! - krzyknęła.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- A ja myślę, że ty nie chcesz zrozumieć. - Zrobiła długą pauzę, czekając na odpowiedź, która nie padła. - W porządku, sama ci to powiem. Dlaczego nie powiedziałeś mi wszystkiego, co się wiąże z Kamieniem Bożym, skoro zdecydowaliśmy się być razem? Chcę wiedzieć, dlaczego we wtorek w południe powiedziałeś mi tylko część prawdy.

- Nie miałem zamiaru niczego przed tobą ukrywać...

- Całe szczęście. Odnoszę jednak wrażenie, że twoje czyny dzieli od zamiarów głęboka przepaść.

Enrique uzbroił się w cierpliwość. W końcu Mariola miała rację, choć tylko częściowo. Zataił przed nią informacje nie dlatego, żeby ją trzymać z dala od tej sprawy. Wraz z rozwojem tej historii stopniowo tracił zainteresowanie zagadką.

- Słuchaj i nie przerywaj mi - poprosił. - Nic ci nie mówiłem, bo tą sprawą tak naprawdę zajmuje się Bety, nie ja. To znaczy, zanim ciebie poznałem, też pociągało mnie rozwiązanie tajemnicy, ale w miarę jak nasza znajomość stawała się coraz bliższa, moje zaciekawienie Kamieniem Bożym malało. Natomiast w przypadku Bety zaszedł odwrotny proces: przyjechała do Barcelony tylko po to, już ci mówiłem, żeby mi pomóc po śmierci Artura, ale kiedy poznała tę historię, najpierw naubliżała mi od kretynów za to, że nic nie powiedziałem policji, a potem sama postanowiła rozwikłać zagadkę.

- Nie rozumiesz. - Mariola pokręciła głową. - Właśnie z tego powodu jestem zła, czuję się zraniona, i to głęboko. Ona zajmuje moje miejsce, choć zawdzięcza to w gruncie rzeczy zbiegowi okoliczności. Widzę jednak wyraźnie, że trzymasz mnie na uboczu, i nie sądzę, żeby to był zwykły przypadek.

Enrique wysłuchał reprimendy z zaciśniętymi ustami. Został niesprawiedliwie osądzony i co gorsza, niezrozumiany. Taki chyba był jego los. Gdy w jego życiu pojawiała się kobieta, zawsze popełniał jakąś gafę, która niczym mała śnieżna kulka wzniesła lawinę.

- Zapewniam cię, że naprawdę nie miałem najmniejszego zamiaru sprawić ci przykrości.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Naprawdę jesteś taki ślepy? Przecież to na to samo wychodzi. Gdybyś nic mi nie powiedział, ukrył przede mną całą prawdę, ta rozmowa by się nie odbyła. Ale nie, ty musiałeś ją częściowo zataić, by usprawiedliwić obecność Bety w twoim domu. Bo o to chodzi, zgadłam? - Jej oczy rozgorzały, rozświetlone błyskiem zrozumienia. - Ty chcesz być z Bety.

- Mylisz się - stwierdził spokojnie. Nerwy mogły się przyczynić do popełnienia kolejnych błędów, jak to się już zdarzyło podczas tej rozmowy. - Nie chcę być z nią, tylko z tobą. Żałuję każdej chwili, którą spędzamy osobno, ale nie mogę zostawić Bety samej, póki grozi nam niebezpieczeństwo. Powinnaś to zrozumieć.

- A ty powinieneś mnie zrozumieć. Chcę, żebyś przestał się bawić w poszukiwanie skarbów i zapomniał o wszystkim, co się zdarzyło. Boisz się, że może grozić mi niebezpieczeństwo, tak przynajmniej mówiłeś. Więc posłuchaj, ja też nie chcę, żebyś się narażał. Wyjedźmy do Wenecji, i to natychmiast! Samuel sam zajmie się antykwariatem. Odpuść sobie, pozwól, żeby czas wszystko rozwiązał!

- Może ja mógłbym wyjechać, ale co z Bety? Jesteśmy uwikłani w tę sprawę. Jedyne wyjście to doprowadzić do ostatecznego jej rozwiązania. Zresztą policja prosiła, żebyśmy nigdzie nie wyjeżdżali. Nie mógłbym wyjechać z Barcelony, nawet gdybym tego pragnął.

- W gruncie rzeczy wcale mnie to nie dziwi - odparła posępnym głosem, kręcąc głową z powątpiewaniem. - Lepiej już idź. Oboje już idźcie - powiedziała z emfazą, jednocześnie odwracając się do niego plecami.

Enrique skinął potulnie głową, choć ona już tego nie widziała.

- Pożegnaj ode mnie Samuela.

Cisza. Zatrzymał się, żeby wyjaśnić, o co mu chodzi, ale zrozumiał, że to daremny trud. Zdusił słowa w gardle, wiedząc, że Mariola wcale nie ma zamiaru go słuchać. Już wydała na niego wyrok; mógł go złagodzić tylko upływ czasu i ostateczne rozwiązanie zagadki. Do tego momentu wszelkie wysiłki będą bezcelowe.

Wrócił do biura, gdzie czekała na niego Bety. Tylko na niego spojrzała i od razu wiedziała, że rozmowa z Mariolą nie poszła po jego myśli.

- Kłopoty? - rzuciła.

- Kłopoty - potwierdził. Wziął kurtkę i wyszli na ulicę.

- Jeśli chcesz, mogę z nią porozmawiać - zaproponowała. - Brzmi to jak banał, ale my, kobiety, lepiej potrafimy się dogadać ze sobą niż z wami, mężczyznami. Być może ja na jej miejscu zachowałabym się tak samo.

- Znając prawdę?

- Tak.

- To raczej nic nie da. Może jeszcze bardziej skomplikować sprawy, zamiast je rozwiązać. - Zaczerpnął powietrza i odetchnął głęboko. - W miarę upływu lat wydawało mi się, że zaczynam was rozumieć. Teraz widzę, jak bardzo się myliłem.

Udali się w stronę Ramblas tą samą drogą, którą przyszedli do antykwariatu Samuela.

- Co teraz zrobimy? - spytała. '

- Poczekamy - odparł z westchnieniem. - Poczekamy.

Był kompletnie przybity. Z góry wiedział, że wizyta u Marioli przysporzy mu nowych zmartwień, ale żeby aż takich... Natomiast Bety zdawała się rozumieć Mariolę: nie trzeba być geniuszem, by dostrzec, jakie miejsce zajmowała w tym dziwnym związku; tak mało brakowało, a zamieniłby się w trójkąt. Nie życzyła rywalce źle, ale mroczna część jej osobowości, z którą bezskutecznie próbowała walczyć, ta ciemna strona natury, uciążliwa, czasem wręcz przytłaczająca i prawie zawsze perfidna, teraz przepelniona radością, triumfowała.

19.

- Zdobyłem! - Rozradowany Carlos położył przed nimi wydruk z komputera. Pod tekstem z nagłówkiem arcybiskupstwa widniał wyszukany i pełen zawijasów podpis. - Trochę zwlekali z decyzją. Być może sprawdzali moją tożsamość, ale w końcu wydali zgodę.

- Nie robili trudności? - spytała Bety.

- No cóż, nie sądzę, żeby sprawiał im przyjemność widok prywatnego detektywa w siedzibie arcybiskupstwa. Można być bardzo przekonującym, a oni i tak nie słuchają. Nie zapominajmy także, że śmierć Manola, chociaż nie miała bezpośredniego związku, to jednak nastąpiła tuż po jego poszukiwaniach w katedrze, a zatem... Ale nie mieli powodu nie udzielić mi zgody, tym bardziej że wcześniej wydali ją policji.

- Fornells i jego asystent - skomentował Enrique.

- Tak. Byli w katedrze dziś rano. Oczywiście nie trafili na żaden trop. Prawdę mówiąc, nie wiedzą, czego szukać. Nie mają pojęcia o tym, co my wiemy.

- Kiedy możemy pójść do katedry? - dopytywała się Bety.

- Zaraz. Już możemy wyruszać.

- Im szybciej pójdziemy, tym szybciej skończy się ta sprawa - wyburczał ponuro Enrique.

Carlos podniósł z podłogi plecak i wysypał jego zawartość na biurko: latarka, młotek, dłuto, papier ścierny o różnej grubości oraz sprej o zgoła nieznanym przeznaczeniu.

- Co to? - spytała Bety.

- Mówiłem wam wczoraj, że Manolo miał ze sobą niezbędny ekwipunek. Przynajmniej tak odnotowano w raporcie policyjnym. Leżał w domu w starym plecaku. Skoro chłopak przewidział, co będzie mu potrzebne podczas poszukiwań, postanowiłem skompletować taki sam zestaw narzędzi. Miał także aparat fotograficzny, ale chyba nam się nie przyda.

- Do czego służy ten pojemnik?

- Jest w nim działające pod ciśnieniem sprężone powietrze. Archeolodzy usuwają nim brud i zanieczyszczenia, by wydobyć na światło dzienne wyryte w kamieniu inskrypcje. Są lepiej widoczne, a struktura kruszcu lub kamienia pozostaje nienaruszona. Tak mi wyjaśniono w sklepie specjalistycznym. Przypuszczalnie Manolo szukał napisu albo znaku wskazującego miejsce ukrycia Kamienia. Możliwe jednak, że pojemnik ze sprężonym powietrzem należał do jego stałego ekwipunku i w tym konkretnym przypadku nie był mu potrzebny. Sami mówiliście, że Manolo prowadził różne badania.

- Nieźle był przygotowany - podsumował Enrique. - Nie targałby tego wszystkiego, a zwłaszcza pojemnika, gdyby nie wiedział, czego szuka. Dowodzą tego młotek i dłuto.

- Wkrótce się przekonamy. - Detektyw wstał. - Nadeszła pora, żeby to sprawdzić.

Z Plaça Reial do katedry można dojść różnymi drogami. Nie ma jednej najkrótszej czy najwygodniejszej. Zawsze trzeba zagłębić się w staromiejskie zaułki. Większość tych nastrojowych krętych i wąskich uliczek kryje w sobie jakąś tajemnicę lub wyjątkowy detal architektoniczny. Można iść Ramblas aż do Carrer de la Portaferriosa, nazwanej tak na pamiątkę bramy w drugim murze okalającym Barcelonę. Można również wybrać inną drogę: wejść w Pla de la Boqueria i dalej Cardenal Casañas, potem przeciąć place del Pi i San Josep Oriol i idąc Carrer de la Palla, dotrzeć wprost do Pla de la Catedral. Trzecia trasa prowadzi w górę Carrer Ferran, na wzgórze Mons Taber - centrum miasta za czasów rzymskich - zapuścić się w uliczki dawnej dzielnicy żydowskiej albo idąc Carrer Bisbe Irurita, dotrzeć do imponującego gmachu katedry.

Carlos wybrał tę ostatnią trasę. Wyszli z Plaça Reial pod podwójnymi arkadami prowadzącymi na Carrer Ferran, potem skręcili w prawo. Na Plaça Sant Jaume, wśród służbowych limuzyn, tłumu zwiedzających i kieszonkowców czujnie wypatrujących okazji do kradzieży, uwijali się strażnicy miejscy i funkcjonariusze katalońskich służb porządkowych mossos d'esquadra. Wyminęli liczne grupy turystów japońskich, zafascynowanych czaszką przebitą nożem, umieszczoną nad łukiem rozpostartym nad ulicą noszącą imię znanego biskupa, przecisnęli się między wałęsającymi się przechodniami i weszli do katedry wrotami od Carrer Pietat. Enrique zerknął na zegarek: szósta trzydzieści.

W zakrystii mieszczącej się po prawej stronie głównego ołtarza dziekana nie było, lecz wkrótce zjawił się razem z dwoma zakrystianami, dźwigającymi dokumenty i teczki. Carlos przedstawił się grzecznie i wyjaśnił, o co chodzi. Duchowny z wyraźnym znużeniem przeczytał pismo z arcybiskupstwa.

- W tym tygodniu nie mają chyba co robić. W kółko wydają zezwolenia na wstęp do katedry - zrzędził. - To już trzecie w ciągu trzech dni i powiem państwu szczerze, że wcale mi się to nie podoba. Pierwsze, które przedstawił młody człowiek o ekscentrycznym wyglądzie, było nawet zasadne, ale gdy w mojej katedrze pojawiła się policja, a teraz państwo... Szukacie Bóg wie czego, przeszkadzacie, a ja mam mnóstwo papierkowej roboty. - Wskazał stos zalegający na biurku. - Wieczorem odbędzie się koncert muzyki sakralnej na organy z udziałem chóru i to nam zupełnie zamąci porządek.

- Nie zabierzemy księdzu dużo czasu - wtrącił przymilnie Carlos. - Rozumiemy, że ma ksiądz mnóstwo pracy. Zadowolimy się odtworzeniem ostatnich czynności pierwszego gościa w tryforium i na dachu.

- Dokładnie o to samo prosiła mnie policja, tyle że im musiałem wyjaśnić, gdzie świętej pamięci pan Álvarez przeprowadzał swoje badania, a państwu nie muszę - stwierdził z sarkazmem dziekan. - Pozwolą państwo, że o władnięty ludzką przypadłością, jaką jest ciekawość, zapytam, czego, do diabła, niech mi Pan Bóg wybaczy te słowa, szukacie w mojej katedrze. - Spojrzał tak prostodusznym wzrokiem na swoich gości, że poczuli się zaskoczeni.

- Obawiam się, że nawet my sami tego nie wiemy - odparł pospiesznie Carlos, żeby nie dopuścić do głosu Bety i Enrique'a. - Właśnie chcielibyśmy to sprawdzić.

- Dziwne, policjanci udzielili mi takiej samej odpowiedzi. No cóż, przełożony wydał zgodę, więc nie będę wtykał nosa w nie swoje sprawy. Proszę za mną.

Wyszli z zakrystii. Właśnie przybyli chórzyci biorący udział w koncercie organowym. W kościele kłębił się tłum czterdziestu czy pięćdziesięciu osób w różnym wieku, ubranych w jednakowe stroje jakiegoś religijnego bractwa. Dyrygent bezskutecznie usiłował usadzić śpiewaków na krzesłach rozstawionych z boku głównego ołtarza. Starsi z nich próbowali poskromić najmłodszych uczestników, na oko dziesięcio- dwunastoletnich, zdenerwowanych przed zbliżającym się występem. Licznie napływający miłośnicy muzyki sakralnej krążyli po świątyni w poszukiwaniu wolnego miejsca w ławkach.

- Straszne tu zamieszanie - rzuciła Bety w przestrzeń.

- Słuszna uwaga - odparł dziekan. - Świątynia przypomina Ramblas w godzinach szczytu, przedszkole albo ochronkę, a nie dom boży. Na szczęście to ostatni koncert w tym sezonie.

- Często odbywają się tu koncerty? - spytała.

- Jeśli nic się nie zmieniło od paru lat, to jakieś sześć w ciągu sezonu - odpowiedział Enrique.

Dziekan spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Bogu dzięki, że nie więcej. Lubi pan muzykę kościelną?

- Słucham koncertów, gdy tylko pozwalają mi na to obowiązki. To piękna muzyka. Odpręża i skłania do refleksji, szczególnie w tak wyjątkowym otoczeniu.

- W tym się zgadzamy - stwierdził dziekan. - Gdy rozbrzmiewa chór, to jakby sam Pan Bóg nim dyrygował. Szkoda, że przed tym pięknym spektaklem panuje takie zamieszanie - dodał, wskazując daremnie wysiłki dyrygenta w celu opanowania chaosu.

Doszli do przeciwległej strony katedry. Przy Drzwiach de Sant Iu, wychodzących na ulicę o tej samej nazwie, pożegnał się z nimi.

- Odprowadziłem was aż tu - stwierdził, otwierając drzwi wielkim kluczem. - Te schody prowadzą na galerijki, potem do tryforium i wreszcie na dach. Uważajcie, są strome i wąskie. Starzec taki jak ja mógłby się potknąć, przewrócić i złamać nogę albo, co gorsza, skrócić kark. Wolę tam nie wchodzić. Żelazne drzwi na dach są otwarte, wystarczy je mocno pchnąć. I ostatnia przestroga, uważajcie na dachu. Nad żebrowaniami sklepień ma nierówną, wypukłą powierzchnię.

- Zostawi je ksiądz otwarte? - Carlos wskazał drzwi prowadzące na schody.

- Tak. Zaraz przyjdzie organista, a to jedyna droga do organów. Nie mogę na niego czekać. Pamiętajcie, że za niecałą godzinę zaczyna się koncert. W zasadzie to wszystko. Bardzo was proszę, opuśćcie świątynię najpóźniej o dziewiątej. O tej godzinie zamykamy katedrę. Przyjdźcie do zakrystii zawiadomić mnie, że wychodzicie.

- Oczywiście.

Gdy zostali sami, spojrzeli na siebie. Carlos złapał za klamkę, otworzył drzwi i zaczął się wspinać po schodach, za nim Bety i Enrique.

Kręcone schody były rzeczywiście wysokie, strome i ciemnawe. Przez wąskie prześwity w murze wpadało słabe światło dnia. Wkrótce dotarli na pierwszy poziom galerii, gdzie na wysokości dziesięciu metrów od posadzki znajdowała się Trybuna Królewska i organy. Nie zatrzymując się, wspinali się wyżej. Mniej więcej na wysokości trzydziestu pięciu metrów natrafili na pogrążone w ciemnościach przejście do tryforium, zbudowane dla ludzi z epoki średniowiecza, niższych niż współcześni ludzie. Enrique, najwyższy z całej trójki, musiał schylić głowę, żeby jej sobie nie rozbić o strop.

W tryforium, gdzie docierało światło z nawy głównej, przed upadkiem z dużej wysokości wprost na kamienną posadzkę katedry chroniły biegnące od jednej kolumny do drugiej proste balustradki. Zastygli w niemym zachwycie nad pięknem świątyni, którą pierwszy raz mieli okazję podziwiać z

wysoka. Przed sobą widzieli ołtarz z tabernakulum i ambonę. Tuż pod ich nogami było zejście do krypty świętej Eulalii. W stallach siedzieli goście niecierpliwie wyczekujący na ekstatyczne doznania, jakich miała im dostarczyć muzyka sakralna. W górę unosił się szmer charakterystyczny dla wielkich sal koncertowych, cichszy o ton ze względu na powagę miejsca, a może tłumiała go wysokość.

Chórzyści, karnie rozstawieni w prezbiterium z boku ołtarza, w oczekiwaniu na rozpoczęcie koncertu przygotowywali gardła, zawzięcie ćwicząc wokalizy.

Organista dotarł już na chór i wydobywał próbne tony z potężnych piszczałek organowych. Dyrygent odwrócił głowę w jego stronę, uniósł ręce w górę i dał znak batutą. Pięć po siódmej rozbrzmiały pierwsze tony uwertury do oratorium Pasja według świętego Mateusza Jana Sebastiana Bacha.

- Do roboty - szepnął Carlos.

Przy uroczystych dźwiękach - dzięki donośnemu brzmieniu organów i wyjątkowej akustyce katedry - wypełniających wszystkie zakamarki świątyni, powrócili korytarzykiem do schodów i podest wyżej natrafili na kratę, która mocno pchnięta, otworzyła się ze złowieszczym zgrzytem. W końcu byli na dachu.

- I co teraz? - spytał detektyw swoich pomocników w śledztwie.

Bety wzruszyła bezradnie ramionami. Widać było, że tym razem nie ma nic do powiedzenia. W końcu to Enrique mówił o czwartym sklepieniu.

- Spójrzcie na ten plan. Skopiowałem go ze starej księgi, pamiętnika z podróży pewnego Anglika, niejakiego Richarda Forda. Jest tu przedstawiony rzut katedry. Każde przeszło nawy pokrywa w jego środkowym punkcie rodzaj kopuły - wyjaśnił Enrique. - Po dachu, jak powiedział dziekan, można chodzić swobodnie, ale trzeba uważać na wybrzuszenia sklepień. Zworniki to miejsca krzyżowania się sklepiennych żeber i są to najważniejsze punkty w tego rodzaju budowlach. W nawie głównej jest aż sześć zworników. Mieszczą się w ciągu od prezbiterium po główne wyjście ze świątyni. Casadevall, jak już mówiłem w biurze, zgodnie z zapisem w księdze robót był odpowiedzialny za podstemplowanie czwartego zwornika, wykonanego dziewiętnaście lat wcześniej, w którym należało usunąć jakąś usterkę. Mistrz osobiście się tym zajął. Uważam, że to najlepsza skrytka. Jest bowiem trudno dostępna. Dla mistrzów z tamtej epoki poruszenie bądź wymontowanie tak ogromnego kamienia było prawie niewykonalnym zadaniem. Zresztą w naszych czasach to też spore wyzwanie architektoniczne.

- Wymarzony schowek - stwierdził Carlos. - Jest tylko jeden problem. Zworniki widać z dołu katedry. Jak się do nich dostać?

- Nic trudnego. Na dachu są w tych miejscach wyraźne wybrzuszenia. Zrozumiecie, jak wam je pokażę.

- Prowadź.

Enrique zatrzymał się przy wybrzuszeniu nad czwartym zwornikiem.

- O tu - wskazał.

Nic nie świadczyło o tym, że kryje się tu coś więcej - ot, zwykłe kamienie pokrywające dach katedry. Bety przypatrywała się im zniechęcona.

- Nie możemy stukać młotkiem i sądzić, że nikt tego nie usłyszy. Pomyślcie, co będzie, gdy gruz i pył zaczną spadać na chórzystów podczas koncertu. Od razu zauważą.

- Wyglądają solidnie - stwierdził Enrique. - Raczej nic nie powinno się stać. Poszukajmy najpierw jakiegoś charakterystycznego znaku.

Przykucnął i przyjrzał się wybrzuszeniu nad czwartym zwornikiem. Na pokrywających go kamieniach nie znalazł żadnego tajemniczego symbolu.

- Wewnątrz katedry i tu, na dachu, widziałem różne znaki wyryte w blokach skalnych. Popatrzcie - Carlos z nadzieją wskazał na najbliższy położony kamień. - A tam kolejny. Czy mogą mieć jakiś związek z naszą sprawą?

- Nie. Cyrkle, liniały, węgielnice to symbole poszczególnych gildii murarskich - wyjaśnił Enrique. - Służyły do oznaczenia miejsc, w których pracowali robotnicy, by po ukończeniu robót ustalić wysokość zapłaty. Nie mają dla nas znaczenia. Znajdują się na ciosach wszystkich średniowiecznych budowli sakralnych.

- Czy musimy szukać jakiegoś znaku? Nie mógł ukryć Kamienia ot tak, bez rycia symbolu? - sarknął Carlos.

- Na podstawie zapisków w manuskrypcie Manolo wywnioskował, że Casadevall oznaczył skrytkę jakimś znakiem, ale nie wiemy jakim. W tym cały kłopot.

- I to nie jedyny. Pomyślcie o pojemniku ze sprężonym powietrzem, który miał przy sobie nasz młody przyjaciel. Był mu potrzebny do oczyszczania z brudu zatartych z upływem czasu napisów. Nieprawdaż?

- Tak mówiłem - potwierdził Carlos.

- Sklepienia powstały sześćset lat temu. Wiele z tych znaków zniknęło albo są ledwie czytelne.

- Mimo to Manolo znalazł kryjówkę! - wykrzyknęła Bety. - Skoro on mógł, nam też się uda!

- Nie bądź taka pewna. - Enrique pokręcił z powątpiewaniem głową. - To zaledwie nasza hipoteza.

- Mordercy działają zazwyczaj zmuszeni koniecznością, a koniecznością w tym konkretnym przypadku było odnalezienie Kamienia.

- Posłuchaj - dowodziła dalej Bety - jedyne, co różni nas i Manola... to znaczy, chciałam powiedzieć, różniło... to jego rozległa wiedza na temat religii judaistycznej i kabały. Wszystkie najważniejsze informacje zapisał w notesie, który masz przy sobie.

- Istotnie.

- Dane z notesu okazały się niewystarczające. Dopiero gdy w ręce Manola trafił manuskrypt, odnalazł to miejsce. My mieliśmy manuskrypt, a teraz mamy notes. Rozwiązanie polega na powiązaniu obu tych źródeł informacji!

Enrique bez słowa podał jej notes. Zaczęła go przeglądać razem z Carlosem i nagle zrozumiała sceptycyzm byłego męża. Większą część pięćdziesięciu stron notatnika zajmowały rysunki i szkice. Niektóre przedstawiały budowle bądź sceny dziwne i niezrozumiałe dla niewtajemniczonych i nieobeznanych z symboliką Tserufa, kabalistyczną koncepcją Cimcum, graficznym przedstawieniem litery alef, diagramem kabalistycznym, wyobrażającym Drzewo Życia, i tak dalej. Alfabet hebrajski został zastąpiony łacińskim, a tekst przetłumaczony na hiszpański.

- Teraz rozumiecie? - spytał przyjaciół, gdy zapoznali się z zawartością notesu. - Twoje rozumowanie prowadzi do wniosku, że rozwiązanie zagadki - jeśli to, co mówił Manolo, było prawdą, a dlaczego miałyby nie być - musi znajdować się na tych stronach. Tylko...

- Wczoraj twierdziłeś, że jest jeszcze inna możliwość - przypomniał Carlos.

- Tak. W pewnej chwili zastanawiałem się nad nią. Posłuchajcie, ty, Carlos, jeszcze tego nie wiesz, ale Bety czytała, być może, najważniejszy fragment manuskryptu mistrza Casadevalla. Po długim i szczegółowym wykazie budowli mistrz napisał następujące słowa: „W końcu, prowadzony i chroniony miłością oraz mądrością, znalazłem wyjątkowe i odpowiednie miejsce w Królestwie Bożym, które miłosierny Bóg raczył mi wskazać”. Strawiliśmy nad tym zdaniem wiele godzin. Są dwie możliwości: pierwsza, że Casadevall dziękował Bogu za to, iż wpadł na pomysł, gdzie ukryć Kamień; druga, że właśnie w tym zdaniu kryje się informacja o miejscu jego ukrycia. Obie przyprawiły mnie o ból głowy. Ja optowałem za pierwszą, Bety za drugą. Skoro Casadevall pragnął ukryć skarb tak, aby nikt go nie odnalazł, nie było sensu doszukiwać się w tym zdaniu wskazówki co do jego lokalizacji. Bety patrzyła na to z zupełnie innej perspektywy. Każdy człowiek poddany tak wielkiej presji, jaką z pewnością odczuwał Casadevall, potrzebuje jakiegoś, powiedzmy, wentyla bezpieczeństwa. Nie mógł się nikomu zwierzyć, opisał więc swoje rozterki w pamiętniku. Dowodem na osobisty charakter tych zapisków jest rozzwierająca opowieść o chorobie córki. W ten sposób zdanie nabiera nowego znaczenia. Znaczenia, którego nie potrafiliśmy zrozumieć... aż do wczoraj.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że wiesz, co ono znaczy? - spytała pospiesznie Bety.

- Chyba tak, ale wydało mi się to tak nieprawdopodobne, że wolałem najpierw, zgodnie z logicznym tokiem rozumowania, zbadać wybrzuszenie nad czwartym zwornikiem. Stwierdziłem, że nie tędy droga i musi być inne rozwiązanie.

- Mów jakie.

- Podaj mi notes.

Bety wręczyła mu notatnik w chwili, gdy się podnosił z przykłąku. Przerzucił parę stronę, aż natrafił na diagram.

- Popatrzcie.

Pod napisem Drzewo Życia Manolo odtworzył powiązania między koncepcjami kabalistycznymi. Trzy pionowe kolumny z dziesięcioma kręgami. W każdym z nich znajdowało się słowo hebrajskie i jego transkrypcja w alfabecie łacińskim. Lewa i prawa kolumna składa się z trzech kręgów; środkowa - z czterech. Powiązania między kręgami są przedstawione w różny sposób: pionowo, poprzecznie. Zawarto w nim triadę: Ramię Boże, Wielkie Oblicze i Małe Oblicze.

- Słyszeliście kiedyś o Drzewie Życia? - spytał Enrique.

Pokręcili głowami.

- Ten diagram przedstawia powiązania między sefirami. Złożoną zależność ustalili kabaliści z X, XI i XII wieku. Rozumiecie? A Kamień Boży to, po wpisaniu prawdziwego imienia Boga żydowskiego, emanacja sefir. Spójrzcie na napisy w kolumnach z prawej i lewej strony.

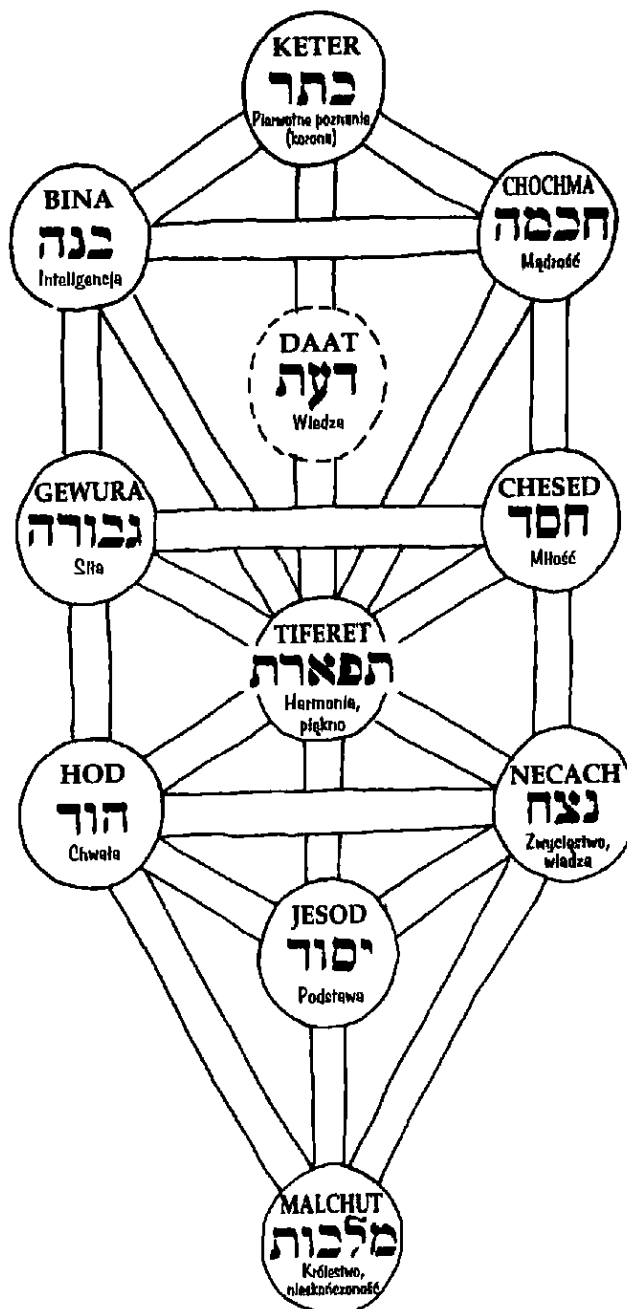
Bety i Carlos z trudem odczytali drobne i ściśnione pismo Manola. Jedna kolumna nosiła nazwę Filar Mądrości, druga - Filar Miłości.

- „Prowadzony i chroniony miłością oraz mądrością” - powtórzyła Bety, jakby mówiła pacierz.
- No właśnie! - wykrzyknął Enrique.
- Jaki to ma związek z najważniejszym zdaniem rękopisu? - spytał nieco zdezorientowany Carlos.
- Każda sefira ma swoją nazwę - odparł Enrique. - Sefiry są tu, wewnątrz każdego koła.

DRZEWO ŻYCIA

Filar Mądrości

Filar Miłości



- Tyle że po hebrajsku!

- Wystarczy dowiedzieć się, gdzie szukać, aby znaleźć właściwą odpowiedź.

Wraz z udzielanymi wyjaśnieniami wzrastała pewność siebie Enrique'a. O ile na samym początku, ze względu na trudną i skomplikowaną materię sekretu Casadevalla, zachowywał się dość powściągliwie, ponieważ brakowało mu wiary w siebie oraz we własne słowa, o tyle teraz w miarę jak przedstawiał przyjaciółom fakty, coraz bardziej wierzył w trafność swoich dociekań.

- Gdzie znalazłeś dane potrzebne do tłumaczenia? - spytała Bety, pragnąc potwierdzić ideę, jaka pojawiła się w jej głowie.

- Chyba się domyślasz. Bardzo blisko nas, w bibliotece, w księgach, które Artur trzymał w sklepie. Tuż przed twoim przyjazdem kazałem je przewieźć do Vallvidrery.

- I?

- Artur był prawdziwym miłośnikiem starych książek. Nie tylko cieszył się posiadaniem bezcennej kolekcji. Prawdziwą rozkosz sprawiała mu lektura, badanie, poszerzanie wiedzy. Cieszyło go poznawanie prawdy.

Jedną z książek znajdujących się w jego bibliotece w antykwariacie była Zohar¹⁷, inaczej Księga Blasku, kopia pierwszej wersji wydanej w Man-tui w 1559 roku. Oczywiście, jej treść okazała się dla mnie zbyt zawiła, ale znalazłem współczesne interpretacje tekstu oryginalnego. Początkowo nie łączyłem jej z Kamieniem Bożym, dopóki nie wpadł mi w ręce notes Manola. Dopiero wtedy zacząłem ją przeglądać i wiązać wątki. Manolo mówił, że to tajemny przedmiot, a księgi w sklepie traktowały o kabale... W końcu skojarzyłem fakty i doszedłem do wniosku, że kabalistyczny diagram, znany jako Drzewo Życia, ma związek z manuskrypcem Casadevalla. Tylko człowiek o tak wszechstronnym wykształceniu jak Artur był w stanie zgłębić tę tajemnicę, nie wiedząc o ukrytym przedmiocie. Ja, oczywiście, nie mogę się porównywać z ojcem. Bez pomocy Manuela nigdy bym nie rozwiązał tej zagadki.

Podstawowym problemem było ustalenie związku manuskryptu z sefirami. Istnienie jakiegoś wspólnego elementu nie oznaczało, że uda mi się dojść sedna. Gdy dowiedziałem się, że Manolo prowadził poszukiwania tu, na dachu katedry, gdzie Casadevall zamknął czwarte sklepienie tego samego roku, w którym, zgodnie z rękopisem, zobowiązał się pomóc tajemniczemu S., te dwa elementy same się połączyły. Gdzieś tu ukrył Kamień, ale nie w tym miejscu, gdzie przypuszczałem.

- To dlaczego szukałeś symbolu nad zwornikiem sklepienia? - Carlos dokonywał cudów, aby nie stracić wątku opowieści.

- Tak jak mówiłem, Drzewo Życia odzwierciedla położenie sefir. Otóż jedna z nich, u dołu diagramu, nazywana jest Królestwem. Casadevall wspominał o Królestwie Bożym, a następnie napisał: „...miłosierny Bóg raczył mi wskazać”. Szukam symbolu Królestwa wyrażonego w alfabecie hebrajskim, ponieważ tam Casadevall ukrył Kamień.

- Myślałeś, że znajdziesz go nad czwartym kłębkiem kluczowym -oświeciło Carlosa. - Jednak tu go nie ma! W takim razie gdzie, do diabła, on może być?

- No więc... sam nie wiem - przyznał z ciężkim sercem Enrique. -Sami widzicie, znamy powiązania między faktami, a nie potrafimy rozwiązać zagadki. Sądziłem, tak samo zresztą jak Manolo, że symbol Królestwa znajduje się nad czwartym zwornikiem. Zgodnie z logiką powinien się tam znajdować.

- Czekajcie - odezwała się Bety. - Ty uważasz, że w kończącej zdanie frazie „...miłosierny Bóg raczył mi wskazać” Casadevallowi chodziło o symbol odpowiadający hebrajskiemu słowu Królestwo. Hipoteza, że znak odnosi się do jakiegoś konkretnego miejsca, ma sens. Wynika to ze zdania; ukrył Kamień w Królestwie Bożym.

- Rzeczywiście - przyznał Enrique.

Zapadał już zmierzch. Intensywnie zielone oczy Bety rozświetlił nagły błysk.

- Spójrzcie tam. - Wskazała kraniec katedry znajdujący się za ich plecami.

Na dachu pozbawionym ozdób architektonicznych z daleka był widoczny krzyż, postawiony nad skrzyżowaniem naw. Trzy pary oczu spojrzały na siebie z nadzieją. Enrique'a przeszedł dreszcz i ciało pokryło się gęsią skórą. Ciemniejące niebo pogrążało w cieniu dach katedry. Emocje studziły powiewy rześkiego wiatru.

¹⁷ Zohar - jeden z podstawowych tekstów mistyki i średniowiecznej kabały. Spisany w XIII wieku, prawdopodobnie przez Mojżesza z Leonu (przyp. tłum.)

- Królestwo Boże. Drzewo Życia. Skonfrontujcie plan świątyni z diagramem. Każde sklepienie katedry odpowiada jednej z sefir. Sefira Królestwa jest tam - wskazała.

- Tak - potwierdził pewnym głosem Enrique. - Musi tam być.

Podeszli do krzyża. Z miejsca, gdzie stał, z wysokości katedry górującej nad budowlami dzielnicy gotyckiej, widać było całe niebo. Bety ma rację. Nie mogło być inaczej.

Konstrukcja krzyża była prosta, jak wszystkie elementy dachu. Wysoki na jakieś dwa metry, jeśli dodać do tego podstawę złożoną z dwóch okrągłych stopni i postumentu. Górna część krzyża oraz poziome ramię były zwieńczone delikatnym fryzmem z wzorem lili. Krzyż nie wyglądał na zniszczony upływem czasu, nie był też remontowany, w przeciwieństwie do jego najbliższego otoczenia: zamontowane nowe rynny i wykonane w ostatnich latach wzmocnienia.

- Musicie szukać tego symbolu. - Enrique wskazał na diagramie Drzewa Życia znak odpowiadający Królestwu. - Chyba nie został wykuty w całości. Najprawdopodobniej mistrz wyrył tylko inicjał.

Otoczyli krzyż. Pochylali się, przykucali, prawie klękali, jakby oddawali cześć świętemu symbolowi, pod którym spodziewali się znaleźć inny, zupełnie odmiennej natury. Carlos pierwszy odkrył coś charakterystycznego. Na jego krzyk przybiegli pospiesznie pozostali, i tak jak przewidział Enrique, na powierzchni kamienia dostrzegli pierwszą literę hebrajskiego słowa Królestwo.

W końcu trafili na ślad.

Znak był wyryty z boku kamienia tworzącego drugi stopień. Bety wyczuła pod palcem delikatną rysę, dzielącą go na pół. Tam, jako ostateczne potwierdzenie ich przeczuc, widniał ślad dłuta - dowód działalności Manola. Wskazała szczelinę kolegom. Carlos wyciągnął z plecaka młotek i dłuto, które przystawił do pęknięcia, i spojrzał na Enrique'a, czekając na hasło.

- Zaczynaj - rzucił pisarz.

Uderzenia młotka tłumiły donośne dźwięki organów i głosy chórzystów.

Pięć minut później złany potem Carlos nie napotkał oporu pod dłutem. Wewnątrz skalnego bloku znajdowała się wolna przestrzeń: pustka. Przekazał narzędzia Enrique'owi, który skupił się na poszerzaniu rysy. Po kolejnych pięciu minutach spróbował poruszyć kamień. Carlos przykucnął obok, wsadził rąb młotka i ostrze dłuta w szparę. Z obu narzędzi powstała prowizoryczna dźwignia. Obaj mężczyźni oparli się na niej i nagle od cokołu krzyża odkruszyła się część kamienia i upadła u stóp Bety. Kamienny odłamek w kształcie litery „L” służył do ukrycia dziury nie większej od pięści. Tkwił w niej mieszek z niewyprawionej skóry, pokryty kamiennym pyłem. Pograżony w pełnym szacunku milczeniu Carlos już po niego sięgał, gdy Enrique złapał go za rękę.

- Poczekaj. Taką chwilę należy uczcić. Drugi raz się nie powtórzy. Warto się nią nacieszyć.

- Masz absolutną rację - przyznał Carlos, kłaniając się lekko przyjacielowi. - Znowu powrócił dawny Enrique, pisarz. Moje gratulacje.

Zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Przez kilka minut wszyscy troje napawali się tą doniosłą chwilą. Enrique złożył w duchu hołd tym, którzy zginęli za zawartość tej niewielkiej skórzanej sakiewki. Carlos cieszył się z przeżycia prawdziwej przygody, bo pociąg do niej sprawił, że postanowił zostać prywatnym detektywem. Bety, bardziej pragmatyczna, uznała tę chwilę triumfu za co najmniej niestosowną, ale wstrzymała się od komentarzy. Enrique i Carlos przyjaźnili się od dziecka, wiele ich łączyło, przeżyli razem mnóstwo niezwykłych sytuacji, nic dziwnego, że zachowują się jak bohaterowie awanturniczego filmu o Indianie Jonesie. Gdy Carlos po raz ostatni wypuścił dym z papierosa, Enrique wydobyl skórzany woreczek ze skrytki. Zważył go w dłoni. Nie był ciężki.

- Gratuluję, Bety. Miałas rację. Obawiam się jednak, że nie uda nam się go otworzyć bez pomocy noża, nożyczek czy innego ostrego narzędzia. Jest mocno zszyty. Musimy pójść do domu albo do biura Carlosa.

- Nie trzeba. Mam w torebce składane nożyczki. Na pewno się nadadzą. - Szperała wśród tysiąca drobiazgów rozpychających małą torebkę, aż je znalazła. - Trzymaj.

Enrique rozłożył nożyczki. Były nieduże, ale solidne, wykonane z nierdzewnej stali i dobrze zastrzone. Woreczek został zszyty cienką skórzaną nicią. Włożył ostrze pod stębowanie i ostrożnie próbował przeciąć nić. Rzemyczek przywarł do skóry mieszka. Kilkakrotnie ścisnął ramiona nożyczek. W końcu udało się. Skórzana nić została przecięta. Enrique'owi dreszcz przeszedł po plecach. Wrażenie deja vu, najsilniejsze, jakie dotąd przeżył, sprawiło, że dostał gęsiej skórki. Ta scena wydała mu się dziwnie znajoma. Przysięgłby, że już się kiedyś zdarzyła: otwierał taki sam mieszek. Wizja była tak sugestywna, że przez chwilę czuł się zupełnie oszołomiony. Starał się uchwycić umykające obrazy, błakające się gdzieś w otchłani pamięci, ale bez powodzenia. Ocknął się dopiero wtedy, kiedy Bety, która знаła go lepiej niż inni, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Nic mi nie jest. Miałem wrażenie, że już coś takiego kiedyś przeżyłem - tłumaczył się.

- W porządku. Skoro oprzytomniałeś, zobaczmy Kamień - wtrącił się Carlos.

Enrique kiwnął głową i wsadził rękę do woreczka, tak samo ostrożnie, jak robią to zaklinacze węzłów wyciągający gady z koszyka. Kamień miał owalny, lekko zaokrąglony kształt, był wielkości pięści i chłodny w dotyku. Enrique chwycił go mocno i wyjął na łagodne światło zmierzchu. Powoli, uroczyście rozprostował palce. Przed oczami miał Kamień Boży - mistyczny, owiany legendą przedmiot, którego ostatni etap historii wiązał się ze śmiercią dwóch osób.

Był zielony, a właściwie jasnozielony, wdzięczny dla oka, ni to matowy, ni to przezroczysty. Nieokreślona barwa zmieniała się w zależności od kąta patrzenia. Żadne z nich nie dopuszczało myśli, że można by ten kamień wykorzystać do ciskania z procy; był taki kruchy, wyglądał raczej jak piękna ozdoba niż - zgodnie z biblijną przypowieścią - posłaniec śmierci. Na pierwszy rzut oka nie było na nim widać żadnych napisów. Enrique przekręcił go i wtedy wszyscy dostrzegli na jego powierzchni delikatnie wyryte litery.

- Uda ci się przetłumaczyć? - spytał Carlos.

- Nie znam hebrajskiego, ale wiem, kto nam może pomóc: Samuel.

- Kto by przypuszczał - wtrącił Carlos - że z podejrzanego stanie się współnikiem w ostatecznym rozwiązaniu tajemnicy? Bo ty, Bety, też nie znasz...

- Nie - odparła Bety. - Obawiam się, że będziemy musieli poczekać z tym do jutra... jeśli rzeczywiście chcecie poznać Imię Boże.

- No co ty, nie spodziewałem się tego po tobie! - zakpił Enrique. - Boisz się legendy sprzed czterech tysięcy lat?

- Tak, skoro zatrąła czyjś umysł do tego stopnia, że stał się mordercą.

Pamiętasz słowa, które Manolo powiedział o Shackermannie? „On wierzył” - tak brzmiały.

- W porządku, porozmawiamy o tym kiedy indziej. - Enrique poczuł się niewyraźnie.

- Jesteście absolutnie pewni, że to ten Kamień? - Carlos wskazał na skórzany miśszek.

- A cóż innego? - odparła Bety. - Ślady zawiodyły nas wprost do niego. W tej małej skórzanej sakiewce spoczywało najcenniejsze w dziejach znalezisko, odkryte w naszych czasach. Tworzymy historię.

- Nie traćmy czasu. Carlos, pomóż mi położyć podstawę krzyża tam, gdzie była.

Zrobili to bez zbyteńnego wysiłku. Blok ważył nie więcej niż piętnaście-dwadzieścia kilogramów. Nie mieli zaprawy murarskiej, ale nie przejmowali się, sam ciężar bowiem utrzyma kamień na dawnym miejscu. Nikt się nie zorientuje, że przez sześćset lat spoczywał pod nim skarb.

- Idziemy stąd - zarządził Carlos. - Mamy Kamień. Ani Manolowi, ani mordercy nie udało się go zdobyć.

- Manolo był już blisko. Ten odprysk w kamieniu to jego dzieło - powiedziała z westchnieniem Bety.

- Dlaczego go nie wyjął?

- Zgodnie z raportem policyjnym, który czytaliśmy, Manolo bardzo późno wyszedł z katedry. Może znalazł trop tuż przed jej zamknięciem, a może bał się, że go usłyszą, jak wali młotkiem - dedukował Enrique. - Fakt, że na dzisiaj był zaplanowany koncert, to szczęśliwe zrzędzenie losu, którego wcale się nie spodziewaliśmy.

- Szczęśliwe zrzędzenie losu? Gdybym wierzył w takie rzeczy, przysięgłbym, że to z góry przewidziany plan - odparł Carlos. - Tyle przypadków świadczy o tym, że to właśnie ty zostałeś wybrany, aby go odnaleźć. Chodźmy już stąd, chcę zobaczyć z bliska, jak wygląda ten przeklęty Kamień.

Ostrożnie doszli po dachu do schodów. Zamknąwszy za sobą ciężką kratę, zaczęli schodzić po wąskich i niebezpiecznych stopniach. Za sprawą donośnych tonów piszczałek organowych czuli się jak w tunelu akustycznym. Na wysokości tryforium Carlos, który szedł przodem, dostrzegł jakąś postać. Zatrzymał się raptownie, zaniepokojony niewyraźnym cieniem kogoś, kto na nich czekał. Złapał za rękę idącego za nim Enrique'a i go zatrzymał.

- Kto tam? - spytał głośno i zdecydowanie.

- Enrique? To ty, Enrique? - usłyszeli zdenerwowany kobiecy głos. - Odpowiedz, proszę.

- To Mariola - szepnął pisarz, zaskoczony jej obecnością. - Kochanie, nie martw się. Już schodzę. Nic mi się nie stało. To Mariola -powtórzył, jakby to miało wszystko wyjaśnić i rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Carlos dotarł do podestu łączącego schody z korytarzykiem wiodącym na tryforium. Przyjrzał się uważnie i stwierdziwszy, że rzeczywiście stoi tam kobieta, przepuścił Enrique'a przodem. Mariola z szeroko otwartymi ramionami czekała na czuły uścisk. Bety i Carlos zatrzymali się kilka metrów od pary zakochanych.

- O co tu chodzi? - zaszeptał Carlos Bety do ucha.
- Pokłócili się dziś rano, kiedy opowiadaliśmy jej o ostatnich wydarzeniach.
- Powiedzieliście jej, że tu będziemy?
- Tak.
- Mam wrażenie, że coś tu nie gra.

Zeszli niżej i zaczęli przysłuchiwać się rozmowie.

- Przepraszam! Nie mogłam czekać na twój telefon. Cały dzień rozmyślałam nad tym, co ci powiedziałam. Ponieważ mówiłaś, że tu będziecie, zostawiłam Samuela samego w sklepie i przybiegłam cię przeprosić.

- Nie musisz mnie przepraszać - odparł Enrique.

Jego słowa zlały się z arpedżem organów. Odwrócił się i zobaczył, że Carlos unosi brwi i sięga do kieszeni kurtki, a Bety ma zdziwioną i przestraszoną minę. Chciał spojrzeć na Mariolę i sprawdzić, czy to ona jest tego przyczyną, ale nie zdążył. Kątem oka zauważył gwałtowny ruch i poczuł mocny cios w bok szyi. Padł bezwładnie na ziemię, zwinęty w precel. Nie stracił przytomności, ale nie mógł się poruszyć.

Mięśnie miał jak z waty. Przed oczami krążyły roje gwiazd. Oszołomiony, nerwowo zamrugał powiekami. Nawet nie zdążył pomyśleć, co się właściwie stało, ani zrozumieć, co zmusiło Mariolę do popełnienia tak szalonego czynu. Nie mógł, a może nie chciał zrozumieć, że jego ukochana mogła popełnić aż dwie zbrodnie. Mariola obojętnie ominęła ciało ukochanego, podniosła pistolet z podłogi i wystrzeliła. W wąskim korytarzyku i z tak małej odległości nie trzeba być doborowym strzelcem, by trafić celu. Carlos wygiął się w tył i przewrócił! jak marionetka pociągnięta przez lalkarza za sznurek. Upadł na Bety, która straciła równowagę pod ciężarem ciała detektywa, co prawda niewysokiego, ale masywnego. Dziwne, ale nie usłyszała huk, dostrzegła tylko mały obłoczek dymu, unoszący się między Mariolą a Carlosem. Zapewne w rewolwerze był zamontowany tłumik. Zebrałszy wszystkie siły, Enrique zdołał złapać Mariolę za kostkę. Kobieta próbowała zrobić jeszcze krok w przód, jakby nie wiedziała, co dalej robić. A może on to widział z innej perspektywy, spowalniającej jego reakcje, w przeciwieństwie do rozwijającej się błyskawicznie akcji. Osiągnął jednak cel. Uwięziona jego uchwytem Mariola potknęła się. Pozbawiona punktu oparcia, osunęła się po ścianie na kamienną posadzkę.

Oszołomiony Enrique podniósł się na kolana i podparł rękami. Zobaczył, jak pistolet prześlizguje się po podłodze, w zwolnionym tempie przesuwa się w stronę Carlosa i zatrzymuje w połowie drogi. Zobaczył wykrzywioną bólem twarz przyjaciela, otwarte usta i ręce przyciśnięte do piersi, dostrzegł Bety, usiłującą wydostać się spod przygniatającego ją ciała Hidalga. Nie widział jednak ani obfitego strumienia krwi tryskającego z piersi Carlosa, ani krwawiącej rany przecinającej twarz Marioli, która była tuż obok niego i nagle w jakiś tajemniczy sposób znalazła się za nim, tak jakby to on przesuwał się na ruchomej taśmie i pozostawił ją za sobą. Nie widział także przerażenia na twarzy Bety, a tym bardziej malującego się na niej wyrazu niedowierzania. Próbowwała sięgnąć po pistolet upuszczony przez Mariolę. Była blisko, opuszkami palców niemal dotykała broni, a może myślała, że już ją ma w dłoni, tylko zamroczona upadkiem nie potrafiła ocenić odległości. Choć rozum mówił, że ma ją w zasięgu ręki, palce nie chciały go słuchać. Ta krótka chwila wystarczyła. Mariola schwyciła pistolet i odskoczyła w tył.

Nadludzkiem wysiłkiem Bety poderwała się, ale Mariola była o sekundę szybsza. W wąskim korytarzyku stała naprzeciwko Bety, twarzą w twarz. Oddychała pospiesznie, ale do Enrique'a dźwięki docierały jakby przytłumione. Mariola zawahała się. Gdy Enrique podniósł się, nadal trzymała broń wymierzoną w Bety.

- Idź stąd. - Usłyszał jakby z oddali głos Marioli. - Wynoś się.
- To byłaś ty - usłyszał własny głos. - To ty ich zabiłaś. Wreszcie, po raz pierwszy, odkąd dostał cios w szyję, był w stanie jasno myśleć.

- Daj mi Kamień - rozkazała. Wyciągnęła dłoń w stronę Enrique'a. - Jeśli mi go oddasz, nic złego wam się nie stanie. Przysięgam.

- Jak jej dasz, zabije nas! - wykrzyknęła Bety.

- Powiedz tej dziwce, żeby się zamknęła. Milcz, suko!

- Dlaczego ich zabiłaś? - Enrique zignorował jej słowa, wstrząśnięty straszliwą prawdą, którą odkrył, widząc ją z pistoletem w dłoni. -Dlaczego zabiłaś Artura? Dlaczego zabiłaś mojego ojca?

- Daj mi Kamień - powtórzyła.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Bo musi być mój.

- Ufałem ci, a ty mnie wykorzystałaś. To wszystko, co było między nami, to kłamstwo. Byłaś ze mną tylko po to, by wyciągnąć informacje na temat Kamienia. Oszukałaś mnie, manipulowałaś mną jak byle głupcem!

- Nieprawda - zaprzeczyła. - Nigdy nie zamierzałam cię wykorzystać. A to, co zaistniało między nami, też by się zdarzyło, gdyby nie było Kamienia.

- Mam ci ufać po tym, co zrobiłaś?

- Nie oczekuję, że mi uwierzysz, ale to szczerą prawdą.

- No, strzelaj. Tylko wtedy mi go odbierzesz.

- Nie zmuszaj mnie. - W jej lodowatym, beznamytnym głosie wyczuł nutę niepokoju. - Nie zmuszaj mnie do tego, bo wtedy naprawdę będę żałować.

Enrique zastanawiał się przez kilka długich sekund. Z łatwością mogła go zabić. Skoro jednak uknuła intrygę, aby go uwięzić, a potem zdzieliła w szyję tak, żeby tylko stracił przytomność, to znaczy, że nie chciała go zabić. Nie wahała się strzelić do Carlosa i z pewnością nie będzie miała skrupułów wobec Bety. Nie wiedział, co robić. W kieszeni kurtki miał pistolet, razem z Kamieniem w skórzanym woreczku, kluczami do samochodu i domu Artura. Ona na pewno się nie spodziewa, że użyje broni. Wystarczy nacisnąć spust, wziąć ją z zaskoczenia. Sam się zdziwił, stwierdziwszy, że pomimo strachu, nienawiści i bólu nie życzy jej śmierci. Przeczucie podpowiadało mu, że Mariola strzeliłaby pierwsza. Co robić? Pod wpływem impulsu wyjął z kieszeni woreczek z Kamieniem i wystawił rękę za barierkę, znajdującą się trzydzieści pięć metrów nad posadzką katedry, pełnej melomanów - wielbicieli muzyki sakralnej.

- Jeśli strzelisz, otworzę dłoń i stracisz Kamień na zawsze.

- Jeśli mi go natychmiast nie dasz, zastrzelę Bety bez wahania. -Uniosła lufę pistoletu w górę i wymierzyła w Bety. - Starasz się ją chronić, ale nie uda ci się. Popatrz, twój przyjaciel się wykrwawia. Spójrz na niego. Ma szansę żyć. Oddasz mi Kamień i zawołasz pomoc.

Enrique rzucił okiem przez ramię. Mariola miała rację: Carlos leżał na podłodze, nieprzytomny, broczący obficie krwią. Wokół jego ciała rozlewała się plama czerwieni, spływała w stronę balustradki i wkrótce zacznie skapywać z tryforium wprost na prezbiterium. Bety wyczołgała się spod jego ciała i ukucnąwszy obok, próbowała, uciskając ranę, zatrzymać krwotok.

- Po tym, co zrobiłaś, nie ufam ci!

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Zrobiłabym dla ciebie tyle samo, ile zrobiłam dla zdobycia Kamienia.

- Idź stąd! Jeśli mnie posłuchasz, postaram się zapomnieć o tobie i o cierpieniu, jakie mi sprawiłaś.

- Zapomnieć o mnie? Nie uda ci się. Na to jest już za późno. Dobre i złe chwile związały nas na zawsze. Powtarzam po raz ostatni: daj mi Kamień.

- Dobrze, weź go sobie. - Wyciągnął do niej rękę.

Mariola podeszła czujnie, drobnymi kroczkami, z bronią w prawej ręce i z lewą wyciągniętą w stronę woreczka z Kamieniem. Zerknęła, co robi Bety, i śledziła ruchy Enrique'a. Jej dłoń musnęła palce kochanka. Enrique odczuł to tak, jakby wszystkie jego zmysły były skupione w opuszkach palców i nic więcej nie istniało.

Woreczek poszybował prosto w twarz Marioli. Zaskoczona tym, cofnęła się i instynktownie pociągnęła za spust. Mieszek przeleciał między szczebelkami barierki otaczającymi tryforium i spadł w kłębiący się na dole tłum. Enrique rzucił się całym ciałem do przodu. Mariola, oszołomiona od uderzenia mieszkami między oczy, opuściła mimowolnie broń. Wystrzelona kula zmieniła trajektorię i ledwie musnęła ramię Enrique'a. Poczuli lekkie uszczyplenie i ból. Dzieliło ich zaledwie parę metrów. Wpadli na siebie z impetem i zwarli się w morderczym uścisku. Upadli na podłogę. Mariola przeturlała

się na bok i dzięki temu udało jej się uniknąć ataku. Enrique złapał ją za rękę, w której trzymała pistolet, nie na tyle mocno, by zmusić ją do wypuszczenia broni, ale wystarczająco silnie, by nie mogła wyrwać dłoni. Mocowali się na czworakach, czołgali, przewracali, w końcu Marioli udało się wstać. Enrique poczuł przeraźliwy ból w przestrelonym ramieniu. Nagle opuściły go siły. Na twarzy Marioli pojawił się triumfujący uśmiech, który szybko zniknął, gdy usłyszała za sobą suchy trzask. Pod naporem jej ciała barierka pękła. Kobieta zaczęła rozpaczliwie machać rękami, próbując znaleźć jakiś punkt zaczepienia, uchwycić się czegoś, przeciwstawić bezwzględnyemu prawu ciężenia.

Enrique z krzykiem rzucił się ratować Mariolę przed szaleńczym lotem w dół, wprost na kamienną posadzkę. W ostatniej chwili złapał ją w pasie, ale siła rozpędu, dodana do bezwładu wiszącego w powietrzu ciała, pociągnęła go w dół. Nieuchronnie czekał go taki sam tragiczny koniec jak ukochaną. Cudem zatrzymał się na skraju podestu galerii, do połowy zwieszony nad przepaścią. Na dole przerażony tłum rozpierchnął się jak mrówki w płonącym mrowisku. Zapadła śmiertelna cisza, przerywana jedynie pojedynczymi historycznymi okrzykami. Organy zamilkły.

- Wytrzymaj! Na wszystko, co kochasz, wytrzymaj! - Zrozpaczony Enrique szukał jakiegoś miejsca oparcia, w końcu zahaczył nienaturalnie wygiętą nogą o kolumnę, broniąc się przed nieuchronnym przesuwaniem się, milimetr po milimetrze, wprost ku straszliwej czeluści. -Bety! Pomóż mi!

- Enrique! - krzyczała rozpaczliwie Mariola. - Enrique!

- Bety! - wrzasnął rozdzierająco.

Ranne ramię sprawiało mu dotkliwy ból, Mariola wyslizgiwała się. Teraz trzymał ją pod pachami.

- Bety!

Poczuł czyjąś dłoń dotykającą napiętych mięśni pleców i chwytającą go za pasek od spodni.

- Enrique! Nie dam rady! - krzyknęła Bety. - Puść ją, bo spadniemy wszyscy troje!

Mariola podniosła głowę i spojrzała na Enrique'a. Na jej twarzy nie było strachu ani rozpacz, tylko malujące się niewypowiedziane uczucie.

- Żegnaj, kochany - powiedziała.

- Nie!

Enrique zamknął oczy i mocno chwycił ją za ramię. Tylko to mu pozostało, jego jedyna nadzieja, skupił zatem całą swoją energię. Jednak nadaremnie. Nagie ramię kobiety wyslizgiwało się z jego mokrej od potu dłoni. Ręka Enrique'a zsunęła się do łokcia Marioli, potem do bezwładnej dłoni, która też mu się wymykała. W końcu pozostały tylko palce. Więził je między swoimi z desperacką siłą.

W końcu poczuł pustkę.

Otworzył oczy. Z ramionami uniesionymi w górę jak w błagalnym geście Mariola spadała w dół. Wydęta powietrzem spódnica łopotała jak motyle skrzydła w locie. Jeszcze zdołał dostrzec blask jej oczu, zagubiony w owalu pięknej twarzy. Szybowanie dobiegło kresu. Tłum przerażonych ludzi zwartym kręgiem otoczył ciało.

Enrique zamknął oczy.

- Nie - wyszeptał. - Nie...

Bety pomogła mu wstać. Nie słuchał jej próśb. Zbiegł schodami w dzikim pędzie, co i rusz objając się o ściany. Na dole kopniakiem otworzył drzwi do prezbiterium. Na widok mężczyzny ze zmienioną twarzą, z opuszczonym bezwładnie, zakrwawionym ramieniem tłum wiernych i melomanów rozstąpił się. Obawiali się jego reakcji, niepewni, czy to nie on jest sprawcą wypadku. Enrique odsunął porożstawiane krzesła i dotarł do Marioli. Upadła na jedno z krzesel, które roztrzaskało się na kawałki. Zieloną spódnicę i biały żakiet pokrywały plamy krwi. Enrique ze łzami w oczach rzucił się na jej ciało. Przytuliwszy jej zakrwawioną, zmasakrowaną twarz do swojej, niespodziewanie poczuł słaby oddech. Mariola jeszcze żyła.

- Mariolu, to ja, Enrique.

- Enrique... - wyszeptała słabym głosem. - Enrique, nie okłamałam cię, przysięgam. - Z jej ust sączyła się strużka krwi. Rozkaszała się spazmatycznie. - Enrique, słyszysz mnie?

- Tak, kochanie. Jestem przy tobie.

- Kocham cię, Enrique. Wierzysz mi?

- Wierzę - odpowiedział.

- Ale ja nie wiem, czy mogę ci wierzyć... Mówisz tak tylko ze współczucia...

- Dobrze wiesz, że tak nie jest.

- Nie...

- W takim razie mnie pozostaw przywilej wątpienia... - szepnął jej do ucha.

Oddech Marioli stawał się coraz lżejszy, coraz słabszy, prawie niesłyszalny. Enrique trzymał w ramionach biedne, pogruchotane ciało, z bezładnie rozrzuconymi członkami. Nie zauważył, kiedy przestała oddychać. Ktoś próbował go od niej odciągnąć, bronił się jednak z całej siły, resztką swojej wątpającej woli wczepiony w bezwładne ciało ukochanej. Gdy po pewnym nieuchwytnym czasie poczuł, że słabnie i do reszty ogarnia go rozpacz, nieznane ręce położyły go na noszach i zaniósły do szpitala.

Po kilku godzinach Bety i Enrique z ręką na temblaku spotkali się z Rodríguezem i Fornellsem w sali szpitala klinicznego. Inspektor poinformował ich, że operacja udała się. Stan zdrowia Carlosa lekarze określają jako ciężki, ale stabilny. Tak czy owak wyzdrowieje.

Bety, bo Enrique nie odezwał się ani słowem, opowiedziała przebóg wypadków, przynajmniej tę część, która interesowała policjantów. Fornells sporządził sążnisty raport. Setki świadków widziało, jak Enrique z narażeniem własnego życia próbował uratować Mariolę. Po spisaniu zeznań policjanci wyszli i zostawili ich samych.

20.

Pół roku później Enrique rozplątywał właśnie liny na pokładzie „Hispanioli”, gdy zobaczył Bety nadchodzącą po wspaniałej kei, niedawno zbudowanej przez Zarząd Portu w San Sebastián. Przyjrzawszy się uważnie byłej żonie, stwierdził, że jest piękna.

- Cześć - przywitała go, skacząc na pokład jachtu.

- Cześć - odpowiedział Enrique. - Ślicznie wyglądasz.

W odpowiedzi obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Skąd wiedziałas, że tu jestem? - spytał.

- Domyśliłam się, gdy wczoraj przez całe przedpołudnie i wieczór nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Miałam w pobliżu parę spraw do załatwienia i przy okazji postanowiłam zajrzeć do ciebie.

- Przeglądam sprzęt - wyjaśniał niepotrzebnie. - Chcę się wybrać w długi rejs i muszę mieć wszystko gotowe.

- Dokąd?

- Na razie w stronę wybrzeża Galicji. A potem, gdzie wiatry poniosą. Popłynę albo na Morze Śródziemne, albo, jeśli naprawdę mocno powieje, wybiorę się po raz pierwszy na Ocean Atlantycki. Carlos namawia mnie na wspólny rejs do Grecji, ale jeszcze zobaczymy.

- Jak on się czuje?

- Już znacznie lepiej. Ma malowniczą bliznę na piersi. Parę miesięcy temu byłem w Barcelonie uzgodnić ostatnie poprawki w tekście i wybraliśmy się razem na kolację. Twierdzi, że stracił formę, ale ma nadzieję odzyskać ją na morzu. On jako jedyny zachował trwałą pamiątkę po naszej przygodzie... w formie ołowianej kulki.

- Twój wydawca przysłał mi to. - Wyciągnęła z torebki grubą kopertę z napisem Tajemnica antykwariusza i podała mu.

- Coś takiego! W końcu Juan zdecydował się na ten tytuł - stwierdził Enrique. - No cóż, może i słusznie. Brzmi najlepiej z tych, które brałismy pod uwagę.

Enrique przeczuwał, co tak naprawdę przywiodło Bety do portu, ale postanowił nie reagować, póki sama tego nie powie. Skoro przyszła z nim porozmawiać, inicjatywa należała do niej.

- To wspaniała powieść, najlepsza, jaką napisałeś. Przykuwa uwagę już od pierwszej strony,

- Nie ma w tym mojej zasługi - wyznał. - Zamysł miałem już od dawna gotowy w głowie. Napisałem ją w ciągu czterech miesięcy. Drukowanie zajęło kolejny miesiąc. Reszta to normalny tryb wydawniczy.

- To już czwarty dodruk w ciągu dwóch tygodni. Najlepsza książka w tym sezonie. Nie - poprawiła się natychmiast - to książka roku. Prawdziwy bestseller.

- Dość beznadziejny sposób, aby stać się „wielkim”. Gdyby czytelnicy nie wiedzieli, że jest to powieść częściowo oparta na faktach, sprzedano by zaledwie połowę nakładu. Pewnie trafiłaby tylko do rąk moich wiernych fanów.

- Podoba mi się dedykacja. Po raz pierwszy w swojej karierze zamieściłeś ją na pierwszej stronie.

- „Arturowi” - przytoczył. - Najwyższy czas. Zasłużył sobie na to. Spóźniony hołd dla człowieka, dzięki któremu udało mi się tyle osiągnąć.

Bety schowała książkę. Spojrzała na Enrique'a.

- Masz ochotę popływać? - spytał nagle. - Moglibyśmy pożeglować po zatoce. Wieje, co prawda, trochę silniej, niż lubisz, ale postaram się nie szaleć.

Bety zawahała się. Nie miała na to wcale ochoty, wiedziała jednak, że w swoim żywiole Enrique będzie się czuł swobodniej i dzięki temu mogłaby go zapytać o dręczące ją kwestie.

- Dobrze, tylko nie wypływaj daleko.

- Słowo. Zajmij się cumą dziobową.

Dość niepewnie poruszała się po pokładzie. Nie żeglowała od rozwodu i, prawdę mówiąc, nigdy za tym nie przepadała. Doceniała uroki tego sportu, poczucie wolności w chwili oderwania się od lądu i potem władzy nad żaglami, ale na pokładzie ogarniała ją niepewność. Ograniczona przestrzeń na samym środku wielkiej wody nie budziła w niej zaufania, niezależnie od tego, jak bardzo ufała umiejętnościom Enrique'a. Nigdy nie wyzbyła się lęku przed wywrotką, pomimo ustawicznych zapewnień swojego byłego męża, że jest to praktycznie niemożliwe. Koniec końców strach to irracjonalne uczucie, nad którym trudno zapanować.

Odwiązała cumę, podczas gdy Enrique rozplątywał węzeł. Zwinęła linę, a on włączył silnik i zwolnił cumę rufową. Poczuli się jak nowicjusz, jakby pierwszy raz znalazła się na pokładzie. Dawniej te proste, rutynowe czynności nie zabierały jej tak wiele czasu.

Po minucie mijali już wejście do niewielkiego portu w San Sebastián. Enrique ustawił jacht dziobem pod wiatr i wciągnął najpierw grot, a następnie ustawiając sterburtę pod wiatr, wciągnął fok. Z lekkim przechylem „Hispaniola” pomknęła miękko w głąb zatoki. Siedzieli po lewej stronie steru, którym Enrique manewrował prawą ręką. Bryza na morzu nigdy nie jest taka łagodna jak na lądzie. Południowo-Zachodni wiatr był dość porywisty, chwilami nawet bardzo silny. Pomimo wysiłków Enrique'a, aby płynąć spokojnie, jacht gwałtownie przechylał się na falach.

- Jeśli chcesz, możemy wrócić do portu - powiedział, stwierdziwszy, że jachtem kołysze znacznie bardziej, niż Bety jest w stanie znieść.

- Nie.

Podobało jej się żeglowanie z nim bardziej, niż się do tego przyznawała.

Był koniec października, w rejonie Morza Kantabryjskiego najlepszy sezon na pływanie. Stałe i dość silne wiatry oczyszczają niebo z chmur i wbrew panującemu pogładowi, rozpowszechnianemu przez dyletantów, jest to pora praktycznie bez opadów. Słońce przygrzewało mocno, ciepłe promienie pieściły ich twarze, wydobywając na wierzch uczucia, które rzadko umiemy docenić. Wody zatoki lśniły jak drogocenny klejnot.

- Jest cudowna, prawda? - spytał, z góry spodziewając się odpowiedzi.

Bety zrozumiała, że on także chce jej coś powiedzieć, dlatego zaproponował wspólną żeglugę.

- Nasze wyjątkowe miejsce. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek tak wspaniale wyglądała.

Okrążywszy wyspę, popłynęli w stronę plaży, omijając otaczające ją mielizny. Za nimi pozostało wzgórze Urgull, porośnięte powoli tracącymi zielone liście drzewami, zwieńczone malowniczym zarysem twierdzy na szczycie. Przed nimi lśniły w promieniach słońca zbocza Igueldo, a w oddali, w głębi lądu, pojawiały się pasma wzgórz i gór, pokryte zielenią tak typową dla Kraju Basków.

- Ja też nie. Właśnie dlatego żeglowanie po zatoce jest tym, czym dla innych spacer plażą La Concha.

Umilkli. Bety próbowała pozbierać myśli. A Enrique... któż to wie? Zebrała się na odwagę i odezwała się pierwsza. Musiała dowiedzieć się tego, o co kiedyś z rozsądku czy też z szacunku dla uczuć Enrique'a nie ośmieliła się spytać.

- Dlaczego to zrobiła? - Postanowiła zacząć od najtrudniejszego pytania. - W powieści nie wyjaśniasz tego klarownie.

- To było niepotrzebne. Niech każdy czytelnik, zresztą tak jak zawsze, myśli, co chce.

- Kamień mógł obdarzyć posiadacza ogromną władzą. Pamiętasz, mówił nam o tym Manolo. Myślisz, że właśnie o to chodziło? Kierowała nią ambicja?

- A ty jak myślisz?

- Nie wiem, co myśleć, Enrique. Naprawdę nie wiem. Gdybym wiedziała, nie pytałabym o to ciebie.

Uśmiechnął się rozbawiony własną myślą, której jednak nie wyraził.

- Myślisz, że naprawdę Kamień miał właściwości magiczne?

- Dawniej, kiedy pochłaniała nas jeszcze jego tajemnica, sądziłam, że tak, że wszystko jest możliwe - odparła. - Ale teraz... chyba już w to nie wierzę. W naszych czasach magia nie istnieje. Powiedz, a ty co sądzisz?

- Ja? Kamień zniknął bez śladu, kiedy go rzuciłem Marioli i spadł na prezbiterium. Pomimo intensywnych poszukiwań ludzie Fornellsa go nie znaleźli. Nigdy się nie dowiemy, czy jego rzekoma moc była czymś więcej niż tylko zwykłą legendą. Podejrzewają, że któryś z melomanów miał lepkie ręce... kto wie...

- Podejrzewają? A może być inne wyjaśnienie?

- Ja wolę myśleć, że sam Bóg, widząc, iż ludzie nie potrafią go odpowiednio wykorzystać, postanowił go im odebrać i zachować dla siebie. Przyznaję, że to romantyczna wizja i trochę staroświecka, niepasująca do naszych czasów, ale... piękniejsza niż wyjaśnienie, że Kamień zniknął przez zwykłą ludzką chciwość.

- Jeszcze mi nie odpowiedziałeś na pierwsze pytanie.

- Robimy zwrot - rzucił krótko, aby nie odpowiadać natychmiast.

Dotarli do drugiego krańca zatoki, przy plaży Ondarreta. Manewr był konieczny, żeby jacht nie osiadł na mieliźnie. Trzymając ster w jednej ręce, Enrique drugą zmieniał ustawienie fok. „Hispaniola” poddawała się posłusznie jego woli i tym samym on dawał dowód doskonałej znajomości własnego jachtu.

- Nie uwierzysz w moje wyjaśnienie. Jest za bardzo... - szukał odpowiedniego słowa - dziwaczne, jeśli można tak powiedzieć.

- Spróbuj.

- Sądzę, że zrobiła to... z powodu Kamienia. - Obserwował reakcję Bety. Ale ona, nawet jeśli była zdziwiona, nie dała tego po sobie poznać. - To dość zawile. Prawdę mówiąc, długo się nad tym zastanawiałem i niewiele wymyśliłem. Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, bo kiedy usiłuję to przedstawić, myśli kłębują mi się w głowie, i to w tak zawrotnym tempie, że nie potrafię ich uchwycić. Widzisz, nie sądzę, żeby to była ambicja czy żądza władzy ani tym bardziej chciwość. Gdy Mariola dowiedziała się od Samuela o prawdziwym znaczeniu Kamienia, postanowiła go zdobyć za wszelką cenę.

- Dlaczego?

- Bo nie miała innego wyjścia.

- Miała rację, nie rozumiem.

Enrique zmusił się do uśmiechu.

- Kamień krył w sobie magiczną moc. Emanował potężną energią. I właśnie ta magiczna siła sprowokowała Mariolę do działania. Manolo wiedział od Shackermanna, że Kamień został ukryty, by „nie wpadł w ręce zwykłych śmiertelników”. Pamiętaj, że mógł stać się przyczyną śmierci. Był tak nasycony złymi uczuciami, że nawet Żydzi, którym przewodził tajemniczy S., ukryli go, a dostęp do niego zabezpieczyli sekretnym rytuałem. Człowiek, który postąpił wbrew tajemnym arkanom, ponosił natychmiast śmierć z rąk potężnego demona. Kamień, żeby określić to w zrozumiałym sposób, żył. Nie tak jak my, ludzie, ale dzięki obecności sefir był żywym organizmem. Miał także własną świadomość i pragnął ujrzeć światło dzienne. Mariola stała się narzędziem do tego celu.

Bety wpatrywała się w niego zupełnie oszołomiona. Nie wiedziała, czy śmiać się, słysząc te niewiarygodne wyjaśnienia, czy polemizować z tymi niedorzecznościami. W końcu on sam powiedział za nią:

- Nie wierzysz mi, prawda? Czytam to z twojej twarzy. Myślisz, że oszalałem, że pod wpływem bólu zupełnie zwariowałem. A może księgi, które czytałem po ukończeniu mojej codziennej dawki pracy przy komputerze, zaatakowały moje szare komórki? Mylisz się jednak. Spróbuję cię przekonać. Nie czynię tego ani przez wzgląd na ciebie, ani tym bardziej na innych ludzi.

Zacznijmy od początku. Kamień ukrywano razem z Arką Przymierza, aby żaden zwykły śmiertelnik nie uległ jego wpływowi. Tylko najwyżsi kapłani mieli do niego dostęp, ponieważ byli przygotowani, czyli wtajemniczeni, i nie ulegali jego działaniu. Po upadku Jerozolimy Kamień dzielił tragiczny exodus z pewnym duchownym, człowiekiem odpowiedzialnym, podkreślam: odpowiedzialnym, który wiedział, że porzucenie Kamienia oznaczałoby dla znalazcy zdobycie mocy, jaka nie powinna trafić w ludzkie ręce. Kapłan ten był też moralnie silny, pokusa bowiem, by wykorzystać Kamień Boży dla osobistych celów, musiała być ogromna. Wraz z upływem lat, może stuleci, posiadacz Kamienia, spadkobierca pierwszego opiekuna, osiadł w Barcelonie wraz z wieloma swoimi pobratymcami. Żyli tu od pokoleń i

coraz lepiej prosperowali. Zazdrość i zawiść - tak typowa dla ludzi, którzy sami nie potrafią niczego osiągnąć - doprowadziła do prześladowań. Nastawienie do Izraelitów bardzo się zmieniło. Zaczęły się napady, pogromy i rzezie. S., bez wątplenia rabin biegły w sztuce kabały, był świadom, że dni Żydów w Barcelonie są policzone. Wcześniej czy później zostaną wygnani, a ich mienie skonfiskowane. Kamień znalazł się w niebezpieczeństwie. Gdyby zabrali go ze sobą, zostałby zarekwirowany podczas przeszukiwania bagaży. Gdyby pozostał w ukryciu, mógł go znaleźć ktoś niepowołany. Casadevall był dla nich jedynym ratunkiem. S. dostrzegł w nim odpowiedniego człowieka, któremu można powierzyć sekret. Casadevall zaufał mu i stał się kolejnym opiekunem Kamienia. Jednak on też nie potrafił się uwolnić od zgubnej mocy Kamienia. Jak myślisz, dlaczego, choć jego zadaniem było ukryć go na zawsze, napisał ten przeklęty rękopis, który po części przyczynił się do śmierci mojego ojca? Jaki miał powód? Powiem jasno i wyraźnie: żadnego! To Kamień go do tego zmusił.

Enrique skończył to zdanie, ciężko dysząc. Myśli, które całymi miesiącami kłębiły się w jego głowie, przybrały określoną formę. Postanowił wykorzystać okazję i przedstawić je Bety. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy: brzmiało wiarygodnie... ale jak można wymyślić podobną bzdurę! Enrique nie dał jej czasu na dywagacje. Odzyskawszy oddech, ciągnął tę nieprawdopodobną historię.

- Moc, magia Kamienia, zresztą nazwij to jak chcesz, jest niepodważalna. Diego z Siurany był kolejnym człowiekiem, który uległ jego czarowi i drogo za to zapłacił. Był o krok od odnalezienia Kamienia, ale przez czysty przypadek na drodze do celu stanęła inkwizycja. Cierpliwie znosił męki i tortury, trwające najdłużej w historii Sanctum Officium, jak wynika ze znajdujących się w archiwach akt. Jak to wyjaśnisz? Nikt nie wytrzymałby podobnych męczarni. Jak wytłumaczysz, że nic nie powiedział? Jedno jego słowo wystarczyłoby, żeby przerwać tortury. Pewnie też by go zgładzili, ale w inny sposób, bardziej humanitarny, bez zadawania kolejnych mąk. A jednak milczał. Wiesz dlaczego? Ponieważ to Kamień kazał mu milczeć, zamknął mu usta. Kamień był świadom, co by się z nim stało, gdyby wpadł w ręce inkwizytorów. Zniszczyliby go. Pamiętasz, co mówiłem na początku? Kamień to rzecz martwa, ma jednak świadomość, co jest dla niego najlepsze. Dlatego Żydzi trzymali go w miejscu tajnym i niedostępnym, a o jego istnieniu wiedziała garstka wtajemniczonych.

Gdy Artur w pośredni sposób dowiedział się o jego istnieniu, Kamień przebudził się z letargu, w którym tkwił pogrążony przez wieki. Artur początkowo nie miał pojęcia, o jaki tajemniczy przedmiot chodzi. Przeczuwał, że musi to być coś ważnego, bo opis rytuału, aby go chronić, znalazł w jednej ze starych ksiąg o okultyzmie. Aż do tamtej pory ani on, ani ja, ani nikt inny przy zdrowych zmysłach nie wierzył w zaklęcia rodem ze starych zakurzonych inkunabułów i rękopisów, na wpół zapomnianych w bibliotece Artura. On sam przechowywał je ze względu na ich historyczną wartość. Absurdem byłoby myśleć, że był jakiś inny powód. Przeczytał je wszystkie i przypomniał sobie mgliście magiczną formułę. Tego samego sobotniego ranka konsultował się telefonicznie z Samuelem w kwestii tajemniczego przedmiotu. Przyjaciel niewiele mu pomógł. Magia z odległej przeszłości z czasem zanika, zaciera się, pozostaje tylko w pamięci badaczy odległych epok i naukowców. Stwierdził, że może chodzić o Kamień, ale nie był tego pewien. Akurat w tej materii wiedza Samuela była dość ograniczona, uważał, że to tylko jedna ze starych przypowieści.

I tak los Artura został przypieczętowany. Samuel, przez przypadek, a może wcale nie, opowiedział wszystko Marioli jeszcze tego samego wieczoru w antykwariacie. Następnego dnia Artur zginął.

- Chcesz ją uwolnić od winy za pomocą tak idiotycznych argumentów? - wybuchnęła Bety. - Była chora, Enrique. Ktoś, kto zabija ludzi, cierpi na ciężkie zaburzenia emocjonalne, nie potrafi odróżnić dobra od zła. Pozbawiła Artura życia, ponieważ, nie zdając sobie sprawy z doniosłości tego odkrycia, znalazł schowek Casadevalla. Z tego samego powodu z zimną krwią pozbyła się Manola. I to samo zamierzała zrobić z nami. Enrique, chociaż trudno ci w to uwierzyć, Mariola to bezlitosna zabójczyni. Prawdę mówiąc, to psychopatka.

- Psychopatka?

- Przez ostatnie pół roku nie mogłam uwolnić się od myśli o jej śmierci. Badałam jej przypadek - nie miało to nic wspólnego ze śledztwem w potocznym rozumieniu. Aż do wyczerpania czytałam podręczniki psychologii i psychiatrii. Mariola, zgodnie z ogólnie przyjętą definicją, cierpiała na zaburzenia psychopatyczne. Tylko szaleństwo mogło ją doprowadzić do wymyślenia tak genialnego planu, jakim był anonimowy donos na policji o kryjówce Francuza. Po zatrzymaniu został posądzony o zabicie Artura, a ona zyskała swobodę działania.

- Wiem, że Mariola zabiła mojego ojca. Wiem również, że z własnej woli puściła moją rękę, by nie pociągnąć mnie za sobą na dół na pewną śmierć.

- To jej nie oczyszcza z winy.

- Nie ma takiej winy. Cały czas działała pod wpływem Kamienia, jak bezwolny automat.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- A widzisz? Mówiłem, że to nie ma sensu. Dla ciebie była psychopatka, dla mnie na zawsze pozostanie nieszczęsną istotą, która uległa nieodpartemu urokowi Kamienia, spadkowi odległej przeszłości, kiedy świat i ludzie byli inni niż teraz. Słuchaj! To, co się z nią stało, mogło przytrafić się tobie, a może i mnie, gdyby Kamień pojawił się w naszym życiu dwa dni wcześniej! Nie pomyślałaś o tym? Na początku Kamień nic dla ciebie nie znaczył, to raczej ja miałem do niego dziwny stosunek i zataiłem ważne informacje przed policją. Później dałaś się uwieść jego magii, zapragnęłaś go mieć. Tak właśnie było! Kamień wywarł wpływ na nas wszystkich! Dobrze o tym wiesz. Teraz to nie ma znaczenia. - Widać było, że jest zrezygnowany. - Nie możesz w to uwierzyć, bo nie chcesz zwątpić w wartości świata stworzonego przez nowoczesne społeczeństwo. Gdybyś uwierzyła, musiałabyś zadać sobie szereg trudnych pytań, poczuć wątpliwości, które lepiej niech pozostaną ukryte w jakimś zakamarku twojej pięknej blond główki.

W ciągu ostatnich miesięcy Bety często myślała o Enrique'u. Po śmierci Marioli i załatwieniu najważniejszych spraw na policji, kiedy tylko poprawił się stan Carlosa po operacji, Enrique wrócił do San Sebastián. Dzwoniła do niego co najmniej dwadzieścia razy, zanim wreszcie raczył odebrać. Chciał być sam; twierdził, że ma dużo pracy i potrzebuje spokoju. Wykazując mnóstwo dobrej woli, chciała mu pomóc zapomnieć. On jednak zamknął się w swoim świecie. Wykluczył z niego ją i wszystkie osoby z San Sebastián, z którymi miała okazję rozmawiać. Doszła do wniosku, że chodzi o nową książkę, ale później stwierdziła, że to nie jest cała prawda. Chodziło o coś jeszcze.

Przez chwilę zastanawiała się, czy jest sens dociekać, pomyślała jednak, że nic na tym nie zyska. A zresztą cel jej wizyty był zgoła inny. Chciała porozmawiać o Marioli i porozmawiała. Była też inna sprawa, która ją nurtowała podczas bezsennych nocy: Kamień. I część tego, co chciała powiedzieć, wiązała się ściśle z teorią Enrique'a.

- Wyobraź sobie, że wierzę w twoją opowieść o cudownych właściwościach Kamienia i jego wpływie na nasz los. Gdyby tak było, człowiek, który go znalazł w katedrze, nie odda go policji, lecz zachowa dla siebie.

- Możliwe. Tego nie wiem.

- Może nic nie wiedzieć o Kamieniu. Nie mieć świadomości ani czym jest, ani do czego służy. Nie zna jego znaczenia, może go użyć jako dekoracyjnego przycisku do papieru.

- I?

- Poczekaaj, twoja teoria nie pasuje do faktów. Twierdzisz, że Kamień może być niebezpieczny, a dostęp do niego utrudniają określone rytuały. Ktoś, kto nie zna jego właściwości, nie wykorzysta go do własnych celów, bo nie jest świadom jego możliwości. Czy tak?

Kiwnął głową.

- A zatem jak wytłumaczysz, że spadł do prezbiterium i dostał się w ręce przypadkowej osoby?

Milczenie.

- Gdy przypominam sobie tamten dzień, nie potrafię zapomnieć pewnego obrazu. Tyle rzeczy się wtedy działo, aż dziwne, iż zapamiętałam właśnie tę scenę... Pamiętam, jak Mariola celowała do ciebie z pistoletu. Kazała ci oddać Kamień. Ty długo grzebałeś w kieszeni, nim wyjąłeś skórzany woreczek. Rzuciłeś go Marioli w twarz. Widziałam wyraźnie, jak spadał w dół. Następnie... wiemy, co się stało.

W zasadzie ta sprawa wcale nie jest taka ważna. To absurd, że mnie prześladowuje tego rodzaju idiotyczna myśl, ale tak zawsze jest, gdy jakaś część układanki nie pasuje do całości. Ta scena to pierwsza część mojej łamigłówki.

Kolejna ma związek z naszym pobytom w szpitalu. Gdy opatrzone ci rękę, następnego dnia rano, po drobiazgowym przesłuchaniu, Fornells kazał nam iść do domu. I poszliśmy, ale kiedy chciałeś otworzyć drzwi, okazało się, że nie masz kluczy. Wcale nie byłeś tym zaskoczony. Wydawało ci się to całkiem naturalne. Bąknąłeś coś, że pewnie je zgubiłeś, i poprosiłeś sąsiada z przeciwka, dobrego znajomego Artura, o zapasowe klucze.

Nie przywiązywałam do tego wagi. Mogłeś je zgubić podczas szarpaniny w tryforium albo potem w szpitalu. Normalna rzecz. Jednak w miarę upływu czasu obraz twojej dłoni szperającej w kieszeni kurtki zaczął mi się wydawać coraz bardziej wymowny. W końcu nie miałaś w niej zbyt wielu rzeczy. Był tam tylko rewolwer, klucze do domu i... Kamień w skórzanym woreczku. Nic więcej. Tylko to.

Obie części łamigłówki nie mają w sobie nic szczególnego. Byłeś zdenerwowany, każdy byłby w podobnej sytuacji. Wsadziłeś rękę do kieszeni i trafiłeś na rewolwer. Mariola mierzyła do ciebie z pistoletu, ale nie wiedziała, że jesteś uzbrojony. Być może ta niezwykła zwłoka, którą ja zauważyłam, wynikała z tego, że nie wiedziałeś, co robić. A może gdy mierzyła do ciebie, szybko

wyjąłeś Kamień z woreczka i wsadziłeś tam pęk kluczy, by sprawić wrażenie, że nasz skarb nadal jest w środku. By nie stracić tak cennego przedmiotu, zaskoczyłeś Mariolę zręcznym fortelem, a później sprytnie sprzedałeś mi bajeczkę o zgubieniu kluczy. Kamień pozostał w twoim ręku i nikt cię o nic nie podejrzewał. Pewnie tak właśnie było. Moja hipoteza, niezależnie od tego, jak bardzo wydaje się absurdalna, wspaniale pasuje do twojej. Kamień nie mógł trafić w nieodpowiednie ręce. Następnego dnia klucze znalazły się razem z pustym woreczkiem.

- Bardzo interesujące. - Enrique nie darował sobie kpiny. - I na dodatek niesłychanie logiczne.

- Czy to znaczy, że naprawdę go masz?

Enrique najpierw uśmiechnął się nieznacznie, potem szeroko, w końcu wybuchnął śmiechem. Absolutna pewność Bety co do ostatecznego losu Kamienia naprawdę mu się spodobała.

- A ty jak sądzisz? - spytał, gdy się już opanował.

- Masz go - stwierdziła z przekonaniem. - Przecież to oczywiste, intuicja mi to podpowiada.

- Czy to takie ważne, co się z nim stało? Czy po tym wszystkim, co się wydarzyło, warto poświęcać mu choć jedną sekundę naszego czasu? Chyba nie.

- Trochę to mało spójne. Powiedziałeś, że przeprowadziłeś badania na jego temat wszelkimi dostępnymi ci środkami. Skoro to zrobiłeś, to znaczy, że warto, a postąpiłeś tak, bo masz Kamień.

Oznaki rozbawienia na twarzy Enrique'a ustąpiły miejsca głębokiemu skupieniu. Zdawał się rozważać potrzebę kontynuowania tej rozmowy. Kilka razy już zamierzał coś powiedzieć, ale słowa zamierały mu na ustach. Bety zauważyła wewnętrzną walkę, jaką staczał w głębi duszy. Z jednej strony pragnął jej się zwierzyć, z drugiej natomiast uważał, że lepiej o wszystkim zapomnieć.

- Robimy zwrot. Wracamy do portu - powiedział w końcu, nie zdecydowawszy się na ostateczne rozwiązanie tego dylematu.

Po raz pierwszy w ciągu minionej półgodziny Bety odwróciła wzrok od twarzy Enrique'a. Wypłynęli z zatoki, a ona, pochłonięta rozmową, nawet tego nie zauważyła.

Wejście do portu Pasajes było już niedaleko. Niebo całkowicie pokrywały ołowiane, ciężkie od wody chmury. W oddali, jakieś dwadzieścia-trzydzieści mil morskich od jachtu, horyzont zakrywała ciemna zasłona - nieomylny znak dla żeglarzy, że tam już pada. Chłód przeszywał do szpiku kości. Po całym dniu bryzy z południa zaczął wiać porywisty wiatr z północnego zachodu. Enrique, widząc, jak Bety dygocze, zastopował ster i zszedł do kajuty. Po chwili oboje byli ubrani w porządne ocieplacze, w których mogli przetrwać najgorszy sztorm.

- Nie odpowiesz mi? - naciskała Bety.

- Jeszcze w Barcelonie stwierdziłem, że poznanie prawdy niczemu dobremu nie służy, oczywiście, jeśli prawda nie jest zgodna z naszymi oczekiwaniami - rozmyślał na głos. - Niewiedza może okazać się nawet pożądana.

- Chciałabym wiedzieć.

- Więc dobrze. Wszystko zdarzyło się tak, jak opowiedziałaś.

- Jednak masz Kamień.

- Nie. Już nie.

- Co to znaczy?

- Kamień jest zbyt niebezpieczny, by pozostał w ludzkich rękach. Nie chciałem się zmienić, w taki czy inny sposób, w kolejnego kandydata na liście osób, które z jego powodu straciły życie.

- I co z nim zrobiłeś?

- To, co powinien zrobić Casadevall. Może pamiętasz naszą rozmowę w Barcelonie? Zastanawialiśmy się wtedy, dlaczego Casadevall ukrył Kamień, zamiast się go pozbyć.

- Coś niecoś pamiętam.

- Mówiliśmy wtedy o takim miejscu, gdzie nikt by go nie znalazł gdzie pozostawałby z dala od ludzkich ambicji. Miejsce, w którym spoczywałby spokojnie, aż świat i ludzie zapomnieliby o jego istnieniu

- Dla ciebie takim miejscem jest ocean.

- Tak. Kamień leży na dnie rowu atlantyckiego, spowity wiecznym mrokiem. Nikt, oczywiście z wyjątkiem mnie, nie ma pojęcia, dokąd tamtego dnia pozełgowałem i w jakim celu zboczyłem z uczęszczanej trasy

- Wrzuciłeś go do oceanu... - wyjąkała zaskoczona.

- To było najlepsze wyjście - tłumaczył. - Nieważne, czy miał magiczną moc; nieważne, czy chodziło o piękny szmaragd ryty dłutem nieznanego czy boskiego artysty. Istotne jest, jak kiedyś powiedział Manolo, że zawsze znajdą się ludzie gotowi na wszystko, by go zdobyć. Teraz nikt go nie wydobędzie, nawet ja sam. Przepadł na zawsze.

- Masz rację - przyznała. - Nie wierzę w twoje hipotezy, ale rzeczywiście, ambicja to nieodłączna cecha ludzkiej natury, a rozbuchana - popycha ludzi do czynienia zła. Dobrze zrobiłeś.

Uśmiechnął się, wdzięczny za jej pełne zrozumienia słowa. Decyzja, jaką podjął kilka miesięcy temu, kiedy Kamień spoczywał jeszcze spokojnie w jego kieszeni, choć wszyscy uważali go za stracony na zawsze, była słuszna.

Północno-zachodni wiatr, nieprzewidziany przez prognozy meteorologiczne, ciągle narastał i właśnie pierwsze jego groźne poddmuchy docierały do wybrzeża. Gdy wzburzone fale zaczęły zalewać pokład „Hispanioli”, Enrique zawinął do portu. Zacumował sprawnie i szybko. Zwinął żagle, wyłączył silnik oraz aparaturę pokładową i zamknął na klucz luk zejściowy. Rzuciwszy po raz ostatni okiem na pokład, zszedł razem z Bety na nabrzeże.

- Popatrzmy na zatokę - zaproponowała. - Chcę zobaczyć nadciągający sztorm.

Enrique, zadowolony z jej życzenia, skinął głową. Portowe nabrzeże, zwykle pełne spacerowiczów, było zupełnie opustoszałe. Ludzie woleli podziwiać piękno rozszalałej natury przez okno, i to najlepiej z jakiegoś przytulnego miejsca. Wiatr wzburzał powierzchnię wody; fale wznosiły się i przewalały jedna na drugą, rosnąc i ogromniejąc. Na promenadę spadły pierwsze ciężkie krople deszczu. Przez chwilę w niemym zachwycie podziwiali potęgę natury. Wreszcie odezwała się Bety:

- Wiesz, Enrique, jednego tylko nie potrafię zrozumieć. Zgodnie z twoją teorią albo pojmowaniem rzeczy czy jak ty to nazywasz, Kamień dba sam o siebie. Skoro trafił w twoje ręce, to dlaczego wrzuciłeś go do wody?

Enrique, zastanowiwszy się, zaczął mówić: spokojnie, ważąc każde słowo, jakby nie był do końca przekonany albo język stanowił pewną barierę, która stopniowo pękała, kiedy zdecydował się w końcu o tym opowiedzieć. Od początkowych zdań pełnych wątpliwości przeszedł do coraz pewniej brzmiących wyjaśnień, od niechęci do mówienia do niepowstrzymanego słowotoku. W końcu odsłaniał swoją tajemnicę.

- Myślałem o tym, ale nie znam odpowiedzi na twoje pytanie. Przyznam się, że sam tego nie rozumiem. Gdy postanowiłem to zrobić, spodziewałem się, że zdarzy się coś zaskakującego, bałem się, że coś zaniedbam albo zmienię zdanie czy też... Sam nie wiem, może oczekiwałem jakiejś boskiej ingerencji. Ale wypłynąłem w morze bez przeszkód. To była wspaniała wyprawa żeglarska - piękna, czysta, spokojna, pełna harmonii, jakbym był pogodzony sam ze sobą. A potem... poczułem, że musi to być szczególne miejsce, i zorientowałem się, że właśnie do niego dotarłem. Zakotwiczyłem, zrzuciłem żagle, wyjąłem Kamień z kieszeni i przyjrzałem się mu. Pamiętam, pomyślałem, że jest piękny, ale nadeszła pora, by zniknąć na zawsze. Klęcząc na rufie, zwiesiłem rękę tuż nad powierzchnię oceanu. Fale dotykały mojej dłoni i poczułem, że z całego serca pragnę pozbyć się Kamienia. Przecież żeglowałem z tym zamiarem i przez całą drogę moja wola, aby wyrzucić go, umacniała się i już nie miałem wyjścia. Stało się jednak coś dziwnego. Musisz mi uwierzyć, Bety, na słowo. Trzymałem Kamień tuż nad powierzchnią wody, ale nie mogłem otworzyć dłoni. Naprawdę nie mogłem, Bety. Minęło kilka godzin, wokół panowała martwa cisza, nawet ocean był spokojny jak nigdy, miałem wrażenie, jakbym zawisł w próżni i przypatrywał się tej scenie z oddali.

Czułem się tak, jakbym miał moc spełniania wszystkich snów, osiągnięcia wszystkich celów. Wystarczyło zrobić jeden ruch - wyjąć rękę z wody i włożyć Kamień do kieszeni. Pozwolić, by został ze mną, i gdy nadejdzie pora, wymówić wypisane na nim Imię. Tak, przysięgam, Bety, że tak czułem, przysięgam! Nie wierzyłem, że mogę odczuwać żądzę posiadania... i może właśnie dlatego ją poczułem. Coś poza mną zdawało się nakazywać mi, żebym tego nie robił, krępowało moją wolę, nie mogłem rozewrzeć palców, choć pragnąłem to zrobić. Chciałem otworzyć dłoń, ale coś mnie powstrzymywało! Nigdy w życiu tak się nie czułem i mam nadzieję, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Próbowałem pomyśleć o czymś innym, o czymś, co przerwałoby ten zaczarowany krąg, który nie pozwalał mi działać, i przypomniałem sobie Mariolę spadającą w dół, rozbijającą się o posadzkę, leżącą w kałuży krwi na lodowatych kamieniach katedry... Wtedy, dopiero wtedy, gdy przywołałem wizję Marioli, zakrwawionej i pięknej, zdołałem otworzyć dłoń. Poczułem, jak Kamień przemyka się między palcami i wpada do wody.

Nic więcej nie zrobiłem. Nic już nie czułem - ani radości, ani żalu, ani bólu, ani euforii. Nawet nie spojrzałem, jak spada w otchłań. Ustawiłem ster, wciągnąłem żagle i z zachodnim wiatrem obrałem właściwy kurs. Pozbyłem się Kamienia dzięki Marioli. Bez niej nie mógłbym tego dokonać.

Bety słuchała opowieści Enrique'a, z przejęcia wstrzymując oddech. Wierzyła, że tak właśnie się stało. Niemożliwe, by ta pasjonująca historia nie płynęła ze szczerego serca. Kamień zniknął na zawsze, spoczął na wieczność na dnie oceanu z dala od ludzi. Dziwne jednak było to, że jego magiczne właściwości objawiły się w chwili, gdy miał zostać wrzucony do wody, co oznaczało złagodzenie odpowiedzialności Marioli za jej czyny i pozwalało zachować o niej piękne wspomnienia. A jeśli ta opowieść nie była prawdziwa? Jeśli Enrique tylko pragnął, żeby wszystko przebiegło w ten właśnie sposób? Znała jego wybujałą wyobraźnię, nieprawdopodobne zdolności narracyjne, ogromną łatwość, z jaką na konferencjach prasowych czy podczas promocji swoich książek potrafił rozbudzić zainteresowanie publiczności i dziennikarzy swymi barwnymi wypowiedziami, przekazać emocje emanujące z kart powieści. Jeśli w coś wierzył, był w stanie przekonać każdego.

- Nie wierzysz mi - powiedział, nie patrząc na nią. - Myślisz, że to, co ci opowiedziałem, to kłamstwo, jeśli nie całkowite, to przynajmniej częściowe. Pewnie myślisz, że Kamień spoczywa w którejś z szuflad mojego biurka i jak uczeń czarnoksiężnika noc w noc odprawiam nad nim czary.

- Daj spokój. Masz rację. W końcu to nieważne, co myślę. Nie musisz się tłumaczyć. Powiedziałeś i basta. Zapomnijmy o tym.

- Przykro mi, że moje odpowiedzi nie przypadły ci do gustu. Ostrzegalem cię.

- Ciągle za nią tęsknisz - stwierdziła nagle.

- Tak. Tak samo jak tęskniłem za tobą. Tak samo jak ciągle za tobą tęsknię.

Milczała. Oczekiwała właśnie takich słów.

- Czuję się samotny, Bety. Bardzo samotny. Straszliwie samotny.

- To niemożliwe, Enrique - powiedziała ze smutkiem.

- W życiu kochałem tylko dwie kobiety. Ciebie pierwszą i straciłem cię przez własną głupotę; drugą odebrał mi przewrotny los. Wiem, że już żadnej innej nie pokocham. Moje serce pozostało przy was dwóch. Nic tego nie zmieni.

Mżawka przeszła w drobny deszczyk, za chwilę rozpęta się ulewa, którą nad zatokę La Concha przywiał północno-zachodni wiatr.

- Za późno - szepnęła. - Wiele spraw nas łączy, ale jeszcze więcej dzieli. A Mariola to najważniejsza z nich. Nawet jeśli będziemy razem, nie pozbedziemy się jej. Pozostanie we wspomnieniach. Mam rację. Dobrze o tym wiesz.

- Tak. A jednak tego pragnę.

- Znasz moją odpowiedź.

- Oczywiście.

Lało coraz mocniej. Nie mogli dłużej stać na nabrzeżu, bo przemokli do suchej nitki.

- Idę, Enrique. Tak będzie lepiej.

Prawie niedostrzegalnie skinął głową, nie spuszczać wzroku z zatoki. Bety już miała położyć mu rękę na ramieniu, ale się powstrzymała. Ze ściśniętym gardłem i niewyobrażalnym bólem w sercu odeszła w strumieniach deszczu, nie oglądając się za siebie. Enrique, samotny na nabrzeżu, w strugach deszczu, ze spływającymi po twarzy łzami, zmieszanymi z kroplami dżdżu, na próżno czekał na cud, który, już to wiedział, nigdy się nie zdarzy.

San Sebastián, czerwiec 1995

BARCELONA W 1390 ROKU

O Barcelonie z tamtej epoki zachowało się wiele dokumentów. Przede wszystkim radzę odwiedzić Arxiu Històric de la Ciutat, mieszczące się w Ca l'Ardiaca (Carrer Ciutat, 1). Pracownikom tego archiwum winien jestem specjalne podziękowania. Warto tam zajrzeć, choćby z tej prostej przyczyny, że mieści się w przepięknym gmachu. Szczęśliwy przypadek sprawił, że właśnie tam znajduje się największy zbiór dostępnych dokumentów związanych z historią tego miasta.

Jeśli możecie, drodzy czytelnicy, zajrzyjcie w to miejsce w święto Bożego Ciała; można się napawać widokiem pięknie ukwieconego dziedzińca i podziwiać Ou com Balla, Tańczące Jajko - to

stara katalońska tradycja, polegająca na tak zręcznym umieszczeniu wydmuszki nad tryskającym z fontanny strumieniem wody, żeby utrzymywał ją w szaleńczych płasach w górze.

W Archiwum Korony Aragonii przy Carrer Comtes 2, w starym pałacu Lloctinent, podlegającym Ministerstwu Kultury, można skorzystać z przebogatej dokumentacji na temat interesującej nas epoki, zwłaszcza że od 2006 roku został zniesiony obowiązek legitymowania się kartą naukowca. Koniecznie należy poznać to piękne i bogate archiwum, położone tuż obok katedry. Pod jego fundamentami kryją się resztki dawnego rzymskiego grodu Barcino, którego odsłonięte fragmenty można podziwiać na parterze Museu d'Història de la Ciutat de Barcelona.

Wiedzę o czternastowiecznym społeczeństwie czerpałem głównie z książki Historia de la Ciutat de Barcelona, wydanej przez Aedos w Barcelonie w 1975 roku.

Wiele wiadomości historycznych można z łatwością znaleźć w Internecie, jednak radzę wam, drodzy czytelnicy, abyście zbyt im nie ufali. W zależności od źródeł daty dotyczące niektórych faktów mogą się różnić od pięciu do piętnastu lat. Należy więc zweryfikować wiadomości z sieci z udokumentowanymi źródłami historycznymi. Jeśli w mojej książce znajdziecie drobne rozbieżności, spróbujcie to uznać za licentia poetka, za co z góry proszę o wybaczenie.

KATEDRA W BARCELONIE

Na temat katedry w Barcelonie istnieje wiele rozmaitych opracowań, zrozumiałych dla laika, nieznającego się na stylach w architekturze. Można je nabyć w samej katedrze.

Jeśli jednak potrzebne są szczegółowe dane i informacje, należy odwiedzić Archivo del Col·legi d'Arquitectes de Catalunya (Oddział w Barcelonie, Carrer Ares). Co prawda wstęp jest zarezerwowany głównie dla architektów i naukowców. Większość zgromadzonych tam dokumentów dotyczy wieku XIX i XX, jednak są tam także materiały związane z katedrą, przede wszystkim opisujące prace renowacyjne prowadzone w latach siedemdziesiątych XX wieku, których celem było przywrócenie dawnego blasku pociemniałym z upływem czasu barwom.

Na koniec radzę zwiedzić otwarty w ostatnich latach dach katedry. Gdy pisałem tę powieść zwiedzający nie mieli tam jeszcze dostępu. To doprawdy przeżycie. Można podejść do krzyża wieńczącego skrzyżowanie naw ze świadomością, że właśnie tam przez długie wieki spoczywał „tajemniczy przedmiot”. Jeśli przyjrzyście się uważnie, być może wypatrzycie, że zaprawa murarska mocująca jeden z kamieni podstawy jest całkiem świeża...

TRADYCJA KABALISTYCZNA

Jest to jedna z największych zagadek, jakimi się zajmowałem. Nie mogę się rozwodzić zbyt obszernie na ten temat, ponieważ zobowiązałem się dochować tajemnicy, a ja - tak jak powiedział wiele wieków wcześniej sam mistrz Casadevall do przechrztły Àngela Martina - „jestem człowiekiem honoru”. Powiem tylko, że tradycja kabalistyczna istniała, istnieje i będzie istnieć.

Oczywiście, można się natknąć na wielu naciągaczy, którzy nie zasługują na zaufanie. Jeśli komuś naprawdę zależy na poznaniu arkanów kabały, powinien poświęcić się im całym sercem i oddać wieloletnim studiom, aby choć otrzeć się o tajemnicę. Można też spróbować zasłużyć na zaufanie człowieka, który jest naprawdę wtajemniczony. Wiercie mi, żadnej prawdziwej wiedzy nie można pojąć bez wysiłku.

Jeśli chodzi o sefiry, są one samym tchnieniem Boga. Poświęcono im wiele różnorodnych dokumentów i opracowań. Większość z nich jest nieprawdziwa bądź zniekształca prawdę, niektóre tylko - a jest ich niewiele - są wiarygodne. Fakt, że Drzewo Życia, diagram kabalistyczny przedstawiający powiązania między sefirami i rozmieszczenie wybrzuszeń nad zwornikami na dachu katedry w Barcelonie zdradzają podobieństwo, to jeden z tych dziwnych przypadków, których żaden pisarz mający choć trochę oleju w głowie nie przeoczy, olśniony własną umiejętnością kojarzenia... A może tak wcale nie jest. Być może, tak jak napisał detektyw Carlos Hidalgo w swoim komputerze: „Przypadki nie istnieją”.

W każdym razie ze wszystkich możliwych analiz, jakie można przeprowadzić na temat zagadnień postawionych w tej książce, ta z pewnością jest najbardziej zawiła, gdyż wrażenie, że nie da się podążać wszystkimi drogami, staje się wyraźne i głębokie. To niesamowite uczucie: zbliżyć się do poznania prawdy, a jednocześnie wiedzieć, że nigdy jej się do końca nie pojmie. Liczy się pragnienie poznania: koniec nie jest już taki ważny, gdy droga do prawdy stanie się naszą życiową pasją.

DONOSTIA - SAN SEBASTIAN

Trudno mi pisać bezstronnie o mieście w którym mieszkam. Dla mnie to najpiękniejsze miasto w całej Hiszpanii i jedno z najładniejszych na świecie. Jego urok nie sprowadza się do „wyjątkowego miejsca”, jak mieszkańcy nazywają zatokę La Concha. Rzeka Urumea oferuje zaczarowaną podróż w bajkowym krajobrazie, w stylu francuskich klimatów, odczuwalnych zwłaszcza o zmierzchu. Wzgórze Urgull to żywe świadectwo Ci \ historii miasta i miejsce, które koniecznie trzeba zwiedzić; ukryty w zieleni Cmentarz Angielski rozbudzi w każdym wrażliwym turyście nostalgię. ' V-Z kolei wzgórze Igeldo, po drugiej stronie zatoki La Concha, zapewnia niezrównane widoki, oraz taki spokój ducha - jaki budził w pisarzu Enrique'a Alonso, pozwala bowiem oderwać się od przyziemnych spraw.

Donostia - San Sebastián to nie tylko miejsce z kolorowej widokówki, to także tętniące życiem, przyjazne mieszkańcom, dynamicznie rozwijające się nowoczesne miasto, gdzie odbywają się wydarzenia kulturalne: Festival Internacional de Cine, Festival Internacional de Jazz, Quincena Musical, Festival de Cine Fantastico y de Terror i wiele innych. Ma tu również swoją siedzibę Orquesta Sinfónica de Euskadi. Między innymi z tego powodu San Sebastián ubiega się o miano Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku.

Serdecznie zapraszam do poznania miasta, które przyjęło mnie tak życzliwie. Zapewniam, że równie ciepło przyjmie was, moi drodzy czytelnicy.